



# *Hochschild*

*Duch króla Leopolda*

*Opowieść o chciwości, terrorze i bohaterstwie  
w kolonialnej Afryce*

**Adam Hochschild**

# **Duch króla Leopolda**

*Opowieść o chciwości, terrorze  
i bohaterstwie w kolonialnej Afryce*

Z angielskiego przełożył

*Piotr Tarczyński*

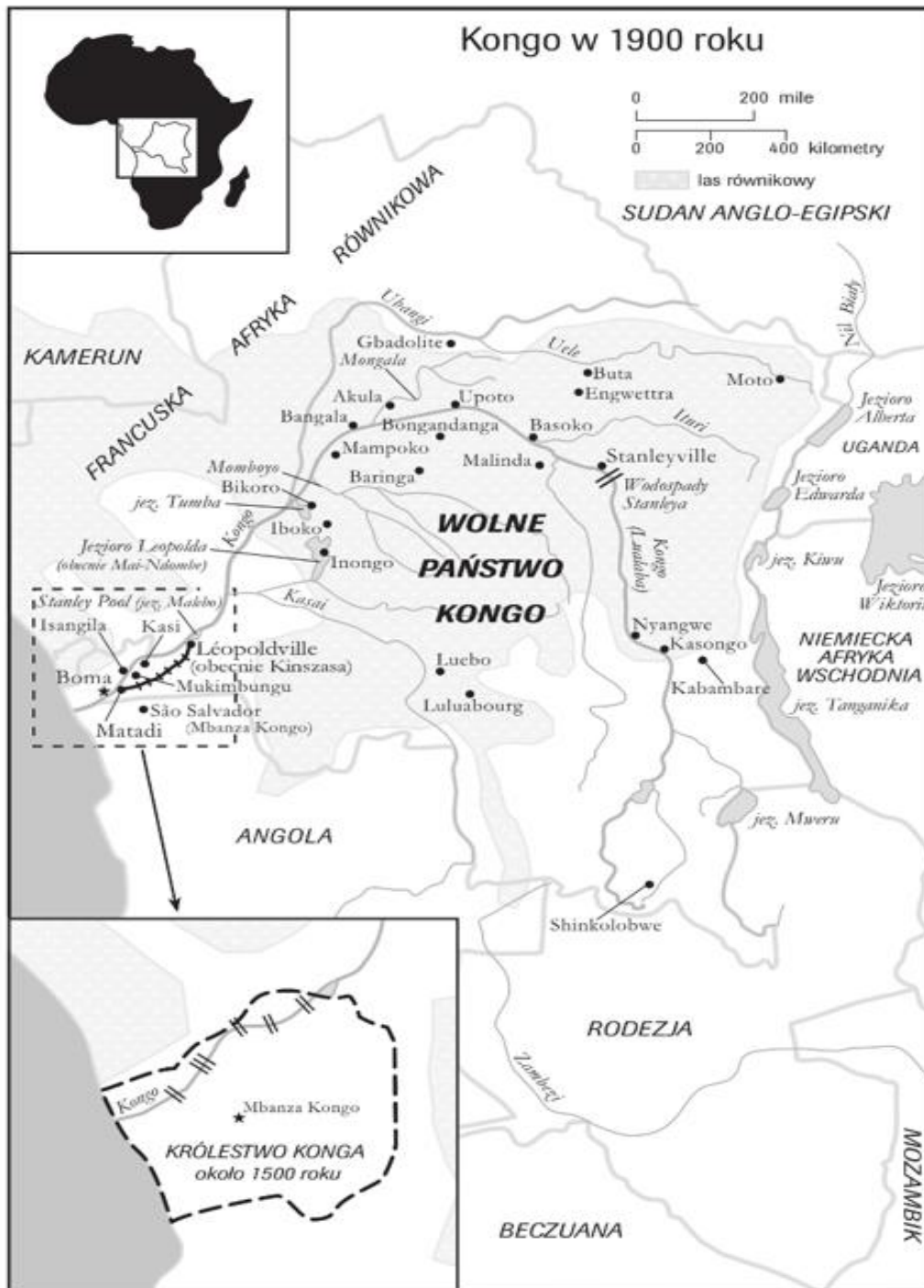
---



Świat Książki



# MAPA



## WSTĘP

OPOWIEŚĆ TA ma swój początek w zamierzchłej przeszłości, ale jej echa docierają do nas po dziś dzień. Dla mnie jednak momentem kluczowym, rzucającym światło na długie poprzedzające go i następujące po nim dziesięciolecia, jest chwila, w której pewien młody człowiek doświadczył moralnego objawienia<sup>1</sup>.

Jest rok 1897 lub 1898. Spróbujcie go sobie wyobrazić, żwawo zstępującego z parowca kursującego przez kanał La Manche, silnego, krzepkiego, dwudziestokilkuletniego mężczyznę z zakręconym wąsem. Jest pewny siebie i wygadany, choć jego angielszczyźnie brakuje ogłady rodem z Eton czy z Oksfordu. Jest dobrze ubrany, ale jego odzież nie pochodzi z Bond Street. Mając na utrzymaniu schorowaną matkę, żonę oraz powiększającą się rodzinę, nie jest typem człowieka, który łatwo ulega jakiejś idealistycznej sprawie. Jego poglądy są całkowicie zwyczajne. Wygląda - bo nim jest w każdym calu - jak rozsądny, szanowany człowiek interesów.

Edmund Dene Morel jest zaufanym pracownikiem kompanii żeglugowej z Liverpoolu. Jej filia ma monopol na cały transport towarów z i do Wolnego Państwa Konga, bo taką wówczas nosi nazwę to ogromne terytorium w Afryce Środkowej, największa na świecie kolonia należąca tylko do jednego człowieka. Tym człowiekiem jest król Belgów, Leopold II, podziwiany w całej Europie monarcha-filantrop. Do swojej nowej kolonii zaprosił misjonarzy. Mówi się, że jego żołnierze pokonali handlarzy niewolników, gnębiących lokalną ludność. Od wielu lat europejskie gazety wychwalają go za inwestowanie swojej prywatnej fortuny na rzecz poprawy losu Afrykanów.

Ponieważ Morel mówi płynnie po francusku, kompania wysłała go co kilka tygodni do Belgii, by dopilnował załadunku i rozładunku statków kursujących między Belgią a Kongiem. Choć urzędnicy, z którymi przyszło mu pracować już od lat, nadzorujący handel na tej trasie, nie widzą niczego niepokojącego, Morel od razu zaczyna dostrzegać, że coś jest nie w porządku. W Antwerpii widzi statki swojej kompanii, których luki wypełnione są po brzegi cennym ładunkiem kauczuku i kości słoniowej. Kiedy jednak odcumowują, by powrócić do Konga - na nabrzeżu gra wówczas orkiestra wojskowa, a ożywieni młodzi ludzie w

mundurach opierają się o burtę - wiozą z powrotem przede wszystkim oficerów armii, broń i amunicję. Nie może być tu mowy o żadnym handlu. W zamian za kaczuk i kość słoniową nie wysyła się z powrotem prawie nic, jeśli w ogóle cokolwiek. Skoro w zamian za owe bogactwa nie wraca do Afryki niemal nic, Morel zdaje sobie sprawę, że mogą one pochodzić tylko i wyłącznie z pracy niewolniczej.

Stanąwszy twarzą w twarz ze złem, Morel nie odwraca wzroku. Wręcz przeciwnie, to, co widzi, ukształtuje nie tylko jego przyszłe życie, ale także niezwykły, pierwszy w XX wieku ponadnarodowy ruch w obronie praw człowieka. Rzadko kiedy jednemu człowiekowi - nawet tak zdeterminowanemu, elokwentnemu, obdarzonemu wybitnym talentem organizacyjnym i niemal nadludzką energią - udaje się prawie samodzielnie sprawić, by jeden temat na ponad dekadę zagościł na pierwszych stronach gazet. Zaledwie kilka lat po tym, jak pierwszy raz stanął w dokach Antwerpii, Edmund Morel będzie przyjmowany w Białym Domu, gdzie będzie się starał przekonać prezydenta Theodore'a Roosevelta, że Stany Zjednoczone mają szczególny obowiązek zrobić coś w sprawie Konga. Będzie organizować delegacje do brytyjskiego Foreign Office i zachęcać każdego, by przyłączył się do jego sprawy - od Bookera T. Washingtona przez Anatole'a France'a po arcybiskupa Canterbury. Zorganizuje ponad dwieście masowych protestów w całych Stanach Zjednoczonych przeciwko niewolniczej pracy w Kongu. W Anglii będzie ich jeszcze więcej - w szczycie kruczaty ponad trzysta - i będą przyciągać nawet po pięć tysięcy ludzi<sup>2</sup>. Jeden z listów protestacyjnych w sprawie Konga do londyńskiego „Timesa” podpisze jedenastu parów, dziewiętnastu biskupów, siedemdziesięciu sześciu parlamentarzystów, siedmiu przewodniczących izb handlu, trzynastu wydawców głównych gazet i każdy lord mayor w kraju<sup>3</sup>. Pogadanki o okropnościach dziejących się w Kongu króla Leopolda będą organizowane nawet w Australii, a we Włoszech dwóch mężczyzn stoczy z ich powodu pojedynek. Brytyjski sekretarz spraw zagranicznych, sir Edward Grey, człowiek daleki od skłonności do przesadzania, stwierdzi, że „w ciągu co najmniej trzydziestu lat żadna zagraniczna kwestia nie poruszyła kraju tak bardzo i tak gwałtownie”<sup>4</sup>.

Oto historia tego ruchu - historia okrutnej zbrodni, w proteście przeciw której powstał, długiego okresu odkryć i podboju, który go poprzedzał, a także tego, jak świat zapomniał o jednym z największych masowych mordów w historii współczesnej.

Nie wiedziałem niemal niczego o historii Konga, dopóki parę lat temu nie natrafiłem na pewien przypis w książce, którą wówczas czytałem. Gdy natykamy się na coś, co robi na nas wyjątkowe wrażenie, często pamiętamy, gdzie byliśmy, gdy to się stało. W moim przypadku była wtedy późna noc, a ja, zdrętwiały i zmęczony, siedziałem na tylnym fotelu samolotu lecącego przez Atlantyk ze wschodu na zachód.

Przypis dotyczył pewnego cytatu z tekstu Marka Twaina, powstałego - jak głosiła notka - gdy pisarz zaangażował się w ogólnoswiatowy ruch przeciwko niewolnictwu w Kongu, które pochłonęło od pięciu do ośmiu milionów istnień ludzkich. Ogólnoswiatowy ruch? Pięć do ośmiu milionów istnień ludzkich? Byłem zdumiony.

Statystyki na temat masowych mordów są często bardzo niedokładne. Jeśli jednak choćby połowa tej liczby była prawdziwa, to Kongo byłoby jednym z największych pól śmierci w najnowszej historii. Dlaczego te śmierci nie są uwzględniane w zwyczajowej wyliczance okropności naszego wieku? I dlaczego nigdy o nich nie słyszałem? Na temat praw człowieka pisałem przecież od lat, a w ciągu moich kilku wypraw do Afryki byłem raz nawet w samym Kongu.

Było to w 1961 roku. W pewnym mieszkaniu w Leopoldville wysłuchałem wówczas jakiegoś faceta z CIA, który za dużo wypił i z satysfakcją opisywał, jak i gdzie kilka miesięcy wcześniej zamordowano Patrice'a Lumumbę, pierwszego premiera tego świeżo niepodległego kraju. Człowiek ten założył, że każdy Amerykanin - choćby tylko przebywający w Kongu z wizytą student, jak ja - będzie podzielał jego ulgę z powodu śmierci człowieka, którego rząd Stanów Zjednoczonych uważał za niebezpiecznego, lewicowego wichrzyciela. Ta rozmowa wciąż rozbrzmiewała w mojej głowie, kiedy dzień lub dwa dni później wczesnym rankiem opuszczałem Kongo, przepływając promem rzekę o tej samej nazwie, a wschodzące słońce oświetlało ciemne, gładkie fale uderzające o kadłub łodzi.

Wiele lat później, gdy natknąłem się na ten przypis, uświadomiłem sobie własną niewiedzę na temat wczesnej historii Konga. Zdałem sobie sprawę, że - tak jak miliony ludzi - czytałem przecież coś na ten temat - *Jądro ciemności* Josepha Conrada. Analizując je w college'u, skupiałem się jednak na tropach Freudowskich - mitycznych podtekstach,

spojrzeniu do wnętrza postaci - traktując tę książkę jako beletrystykę, a nie literaturę faktu.

Zacząłem czytać o tym więcej. Im bardziej się w to zagłębiałem, tym wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że przed stu laty Kongo rzeczywiście doświadczyło zbrodni, której skala jest porównywalna z Holokaustem. Zarazem, niespodziewanie dla samego siebie, spostrzegłem, że zafascynowali mnie niezwykli bohaterowie tej opowieści. Choć Edmund Dene Morel zapoczątkował ten ruch, nie był on jednak pierwszym człowiekiem, który dostrzegł, czym naprawdę jest Kongo króla Leopolda, i próbował zwrócić na to uwagę świata. Przed nim był George Washington Williams, czarnoskóry amerykański dziennikarz i historyk, który - jako pierwszy - przeprowadzał wywiady z Afrykanami na temat ich doświadczeń z białymi zdobywcami. Inny czarnoskóry Amerykanin, William Sheppard, opisał pewne wydarzenie, którego był świadkiem w kongijskim lesie deszczowym, a które, jako symbol brutalności kolonializmu, wywarło niezatarte piętno na świadomości świata. Byli też inni bohaterowie, z których najodważniejszy zakończył życie na londyńskiej szubienicy. W połowie opowieści pojawia się młody kapitan, Joseph Conrad, który spodziewał się poznać egzotyczną Afrykę z marzeń swojego dzieciństwa, ale zamiast niej znajduje „najnikczemniejszą walkę o łup, jaka kiedykolwiek splugawiła sumienie ludzkości i historię odkryć geograficznych”<sup>5</sup>. Nad nimi wszystkimi majaczy król Leopold II, człowiek chciwy i przebiegły, pełen obłudy i wdzięku, przypominający szekspirowskich złoczyńców.

Śledząc przeplatające się losy tych ludzi, zdałem sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy na temat okrucieństw w Kongu i poruszenia, które wywołały. Był to pierwszy wielki międzynarodowy skandal epoki telegrafu i fotografii. Połączenie rzezi na przemysłową skalę, wyższych sfer, seksu, potęgi, jaką daje sława, rywalizacji wpływów i kampanii medialnych, rozgrywające się w kilku krajach po obu stronach Atlantyku, wydaje się być uderzająco podobne do dzisiejszych skandali. Co więcej, w odróżnieniu od innych wielkich drapieżców historii, Czyngis-Chana czy hiszpańskich konkwistadorów, król Leopold II nigdy nie przelał nawet kropli krwi. Jego stopa nigdy nie stanęła w Kongu. Jest w tym również coś bardzo nowoczesnego - niczym w przypadku pilota bombowca, który lecąc wysoko, ponad chmurami, nigdy nie słyszy krzyków ofiar, nie widzi zniszczonych domów i zmasakrowanych ciał.

Choć Europa dawno już zapomniała o kongijskich ofiarach Leopolda, odnalazłem ogromną ilość materiałów, pozwalających zrekonstruować ich los: wspomnienia z Konga

odkrywców, kapitanów parowców, wojskowych; dokumentacje misji handlowych; sprawozdania z państwowych dochodzeń; oraz zjawisko właściwe czasom wiktoriańskim, jakim były pozostawione przez dżentelmenów (a czasami i damy) zapiski z podróży. Epoka wiktoriańska była złotym wiekiem listów i pamiętników. Nierzadko ma się wrażenie, że każdy, kto odwiedzał Kongo, prowadził obszerny dziennik z podróży i każdego wieczora, siedząc na brzegu rzeki, pisał listy do domu.

Problemem jest to, że prawie cały ten potok słów jest dziełem Europejczyków lub Amerykanów. Gdy Europejczycy przybyli do Konga po raz pierwszy, nie znano tam pisma, co w oczywisty sposób wypaczyło sposób utrwalania historii. Dysponujemy dziesiątkami wspomnień białych urzędników kolonialnych, wiemy, jak zmieniało się stanowisko kluczowych ludzi w brytyjskim Foreign Office, czasem nawet co do dnia. Nie mamy jednak ani pełnych wspomnień, ani mówionej historii choćby jednego Kongijczyka z okresu największego terroru. Zamiast afrykańskich głosów słyszymy głównie ciszę.

Mimo to, gdy zacząłem przekopywać się przez te materiały, zobaczyłem, jak wiele ujawniają. Ludzie, którzy zajęli Kongo, nierzadko chełpili się popełnionymi zbrodniami, przechwalając się nimi w książkach i artykułach prasowych. Niektórzy prowadzili zaskakująco szczere dzienniki, odsłaniające znacznie więcej, niż sami by chcieli, podobnie jak czynią to obszerne i szczegółowe podręczniki dla urzędników kolonialnych. Co więcej, kilku oficerów prywatnej armii okupującej Kongo dopadło poczucie winy z powodu krwi, którą mieli na rękach. Ich świadectwa oraz dokumenty, które przemycili, dodawały energii ruchowi protestacyjnemu. Ale nawet po stronie brutalnie ujarzmionych Afrykanów cisza nie jest całkowita. Wciąż możemy dostrzec ich działania i usłyszeć głosy - nawet jeśli tylko przefiltrowane przez zapiski ich prześladowców.

Największy rozlew krwi w Kongu miał miejsce w latach 1890-1910, ale jego przyczyn należy szukać znacznie wcześniej, gdy Europejczycy i Afrykanie spotkali się po raz pierwszy. By odnaleźć źródła naszej opowieści, musimy cofnąć się o ponad pięćset lat, do momentu, w którym pewien kapitan zobaczył, że ocean zmienia kolor, a pewien król otrzymał wiadomość o dziwnej zjawie, która wyłoniła się spod ziemi.



## PROLOG

### „HANDLARZE PORYWAJĄ NASZYCH LUDZI”

KIEDY EUROPEJCZYCY zaczęli wyobrażać sobie Afrykę leżącą za Saharą, kontynent ten jawił się im niczym baśniowa kraina, pełna straszliwych i nadprzyrodzonych zjawisk<sup>6</sup>. Ranulf Higden, angielski benedyktyn, który około 1350 roku opisał ówczesny świat, twierdził, że Afrykę zamieszkują jednoocy ludzie, przykrywający głowę nogami. Pewien XV-wieczny geograf twierdził z kolei, że mieszkańcy tego kontynentu mają tylko jedną nogę, trzy twarze i głowy lwów. W 1459 roku włoski mnich Fra Mauro ogłosił, że w Afryce żyje Ruk - ptak tak ogromny, że jest w stanie unieść w powietrze słonia.

W średniowieczu niemal nikt w Europie nie miał sposobności, by dowiedzieć się, czy w Afryce rzeczywiście mieszkają gigantyczne ptaki, jednoocy ludzie albo w ogóle cokolwiek. Afrykańskie wybrzeża Morza Śródziemnego zamieszkiwali wrodzy Maurowie i niewielu Europejczyków miało odwagę tam się zapuścić, a co dopiero wyruszyć na południe, przez Saharę. Opłynięcie Afryki wzdłuż jej zachodniego wybrzeża też było niemożliwe - wszyscy wszak wiedzieli, że mijając Wyspy Kanaryjskie, wypływa się na Mare Tenebroso, Morze Ciemności.

W świadomości ludzi średniowiecza - pisał Peter Forbath - był to region najbardziej przerażający (...) gdzie niebiosy spuszczały na ziemię deszcze ognia i gorącej wody (...), gdzie na marynarza czekały wyspy ogrów i skały pełne węży, gdzie wielka głowa szatana wynurzała się z bezdennych głębin, żeby pochwycić żeglarza, gdzie na znak bożej zemsty za zuchwalstwo podglądania zakazanych tajemnic poczerniałyby mu twarz i ciało. Jeśli nawet przeżyłby te straszliwe niebezpieczeństwa, dotarłby do Morza Zapomnienia, gdzie przepadłby raz na zawsze w mule i oparach, na krańcach świata<sup>7</sup>.

Dopiero wiek XV przyniósł początek epoki żeglugi oceanicznej, gdy Europejczycy - szczególnie Portugalczycy - zaczęli regularne wyprawy na południe. W latach 40. XV wieku szkutnicy z Lizbony skonstruowali karawelę, niewielki okręt, doskonale nadający się do żeglowania pod wiatr. Choć rzadko przekraczały trzydzieści metrów, te wytrzymałe statki

były w stanie nieść odkrywców daleko, wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki, na południe, gdzie mogły znajdować się przyprawy, złoto i szlachetne kamienie. Odkrywców pociągały jednak nie tylko bogactwa. Wiedzieli, że gdzieś w Afryce znajduje się źródło Nilu - ta tajemnica fascynowała Europejczyków od czasów starożytnych. Przyciągał ich również jeden z najtrwalszych mitów średniowiecza, legenda o Księdzu Janie, chrześcijańskim monarsze, który w sercu Afryki miał rządzić rozległym imperium. Ze swojego pałacu, wzniesionego z przezroczystego kryształu i drogocennych kamieni, władał czterdziestoma dwoma pomniejszych królami, jak również centaurami i olbrzymami. Przy jego wielkim stole, wyrzeźbionym z jednolitej bryły szmaragdu, mogły zasiąść tysiące, a każdy podróżnik był przy nim mile widzianym gościem. Ksiądz Jan bez wątpienia chętnie podzieliłby się swoimi bogactwami z innymi chrześcijanami, a także wskazałby im dalszą drogę do baśniowych skarbów Indii.

Kolejne portugalskie wyprawy docierały coraz dalej. W 1482 roku najambitniejszej z nich podjął się doświadczony kapitan imieniem Diogo Cão. Płynąc wzdłuż wybrzeża, zorientował się, że Gwiazda Polarna zniknęła z firmamentu. Jego karawela przekroczyła równik, a on dotarł tak daleko na południe jak żaden Europejczyk przed nim.

Pewnego dnia Cão natknął się na coś zdumiewającego. Morze wokół jego statku nabrało odcienia ciemnożółtawego łupku, a o pobliskie plaże rozbijały się brązowożółte fale. Płynąc w stronę szerokiej na wiele mil zatoki, jego karawela musiała walczyć z prądem o prędkości ośmiu-dziewięciu węzłów. Co więcej, woda okazała się być słodka, a nie słona. Cão natknął się na ujście ogromnej, mulistej rzeki, większej niż jakakolwiek inna widziana przez Europejczyków. Wrażenie, jakie jej ogrom zrobił na nim i jego ludziach, oddaje tekst z epoki:

Na odległości dwudziestu lig\* [rzeka] utrzymuje swój nurt, nie mieszając się z morzem, którego słone bałwany otaczają ją z każdej strony; jak gdyby ta szlachetna rzeka trwała w walnej bitwie z oceanem, jako jedyna odmawiając mu tej daniny, którą wszystkie inne rzeki świata płacą bez oporu<sup>8</sup>.

Dzisiejsi oceanografowie odnaleźli więcej dowodów siły owej wielkiej rzeki w tej „walnej bitwie z oceanem”: kanion wyrzeźbiony przez nią w dnie morza, długi na sto sześćdziesiąt kilometrów, a miejscami głęboki na ponad kilometr.

Cão zszedł na brzeg przy ujściu rzeki i wznosił kolumnę z wapienia, zwieńczoną żelaznym krzyżem, z wyrytym na niej herbem królewskim i słowami:

W 6681 roku świata oraz 1482 od narodzin Naszego Pana Jezusa Chrystusa najszlachetniejszy, najwspanialszy i najpotężniejszy książę, król Portugalii Jan II, nakazał, by ten ląd został odkryty, a niniejsza kolumna wzniesiona przez Dioga Cão, szlachcica Jego dworu<sup>9</sup>.

Przez następne pięćset lat rzeka, u której ujścia wylądowali, znana będzie Europejczykom jako Kongo. Wpadała do morza w północnych krańcach kwitnącego afrykańskiego królestwa, federacji zrzeszającej od dwóch do trzech milionów ludzi. Już wtedy geografowie pisali zwykle nazwę rzeki przez „c” (Congo), a późniejszą europejską kolonię na jej brzegach oraz ludzi żyjących przy jej ujściu przez „k” (Kongo).

Królestwo Konga miało z grubsza kształt kwadratu o boku niemal pięciuset kilometrów, a ziemie, które obejmowało, leżą dziś w kilku krajach. Stolicą było Mbanza Kongo - *mbanza* oznacza „dwór” - miasto wzniesione na sporym wzgórzu, w odległości około dziesięciu dni marszu w głąb lądu, leżące dziś po angolańskiej stronie granicy Konga i Angoli<sup>10</sup>. W 1491 roku, dziewięć lat i kilka wypraw później, ekspedycja portugalskich księży i wysłanników przebyła ową dziesięciodniową trasę i osiadła w Mbanza Kongo w charakterze stałych przedstawicieli swojego kraju na dworze kongijskiego króla. Ich przybycie wyznacza początek stałych kontaktów między Europejczykami a czarnymi Afrykanami.

Królestwo Konga powstało co najmniej sto lat przed przybyciem Portugalczyków. Władca, noszący tytuł ManiKongo, był wybierany przez zgromadzenie przywódców klanów<sup>11</sup>. Tak jak jego europejscy odpowiednicy, zasiadał na tronie - w tym przypadku zrobionym z drewna inkrustowanego kością słoniową. Insygniami królewskiej władzy były: bat z ogona zebry, pas, z którego zwisały skóry i głowy młodych zwierząt, a także mała czapeczka.

Siedząc pod ogromnym figowcem na wielkim placu, król wydawał wyroki, przyjmował hołdy i dokonywał przeglądów swoich wojsk. Zbliżyć się do niego można było jedynie na czworakach. Pod karą śmierci zabronione było przyglądanie się, gdy król jadł lub

pił. Zanim przystąpił do posiłku, służący uderzał o siebie dwoma kawałkami żelaza, dając sygnał obecnym, by padli twarzą do ziemi.

Siedząc na swym tronie, ManiKongo ciepło przywitał Portugalczyków. Jego entuzjazm w mniejszym stopniu łączył się jednak ze Zbawicielem, o którym opowiedzieli mu niespodziewani przybysze, niż z magiczną bronią miotającą pioruny, którą mu obiecali - dzięki niej mógłby spacyfikować zbuntowane prowincje. Portugalczycy byli gotowi wyświadczyć mu tę przysługę.

Przybysze wybudowali kościoły, a przy nich szkoły. Przerażała ich, podobnie jak wielu późniejszych białych kaznodziejów, poligamia - obwiniali o nią przyprawy obecne w afrykańskiej diecie. Mimo pogardy dla kongijskich zwyczajów Portugalczycy musieli niechętnie uznać królestwo za zaawansowane i rozwinięte państwo - najważniejsze na zachodnim wybrzeżu Afryki Środkowej<sup>12</sup>. ManiKongo mianował zarządców każdej z sześciu prowincji, a administracja państwowa spoczywała w rękach rozbudowanej służby cywilnej, w skład której wchodziło i takie stanowisko jak *mani vangu vangu*, czyli sędzieja pierwszej instancji w sprawach o cudzołóstwo. Choć nie znali koła ani pisma, Kongijczycy potrafili wykuwać biżuterię z miedzi i broń z żelaza, a także wytwarzać tkaniny z włókien liści rafii. Ponieważ według legendy Kongo założył król-kowal, obróbka żelaza była zajęciem arystokracji. Ludzie uprawiali jam, banany oraz inne owoce i warzywa, hodowali także świnię, bydło i kozy. Odległości mierzyli dniami marszu, a czas za pomocą kalendarza księżycowego. Tydzień miał cztery dni, z których pierwszy był świętem. Król zbierał podatki i, jak wielu władców, kontrolował walutę: muszle ślimaków morskich, zbierane pod królewskim nadzorem na plażach przybrzeżnych wysp.

Jak w niemal całej Afryce, również w tym królestwie istniało niewolnictwo. Jego forma różniła się w zależności od regionu, zmieniała się też w czasie, ale zazwyczaj niewolnikami zostawali jeńcy wojenni. Czasami w niewolę popadali przestępcy, dłużnicy lub ludzie sprzedani w charakterze posagu przez swoje rodziny. Jak każdy system, w którym jedni ludzie są panami życia i śmierci innych, afrykańskie niewolnictwo bywało okrutne. W pewnych okolicznościach, takich jak zawarcie porozumienia między wodzami, niektóre ludy Kotliny Konga składały niewolników w ofierze. Powolna śmierć takiego niewolnika, jego pogruchotane kości symbolizowały los tego, kto złamie porozumienie. Niewolnicy bywali także poświęceni, aby móc towarzyszyć zmarłemu wodzowi w zaświatach.

Innymi słowy, afrykańskie niewolnictwo było pod wieloma względami elastyczniejsze i łagodniejsze niż to, które Europejczycy mieli wkrótce ustanowić w Nowym Świecie. W ciągu jednego czy dwóch pokoleń niewolnicy mogli zapracować na swoją wolność, a czasem nawet ją otrzymać. Ludzie wolni i niewolni mogli także niekiedy zawierać między sobą małżeństwa. To, że handel ludźmi w ogóle istniał, okazało się jednak zgubne dla Afryki. Gdy bowiem pojawili się Europejczycy, gotowi zapełnić ładownie statków niezliczonymi niewolnikami, afrykańscy wodzowie byli gotowi dostarczać im towar.

Wkrótce przybyli handlarze niewolników, początkowo w niewielkiej liczbie, ale z powodu wydarzeń po drugiej stronie Atlantyku szybko pojawiło się ich całe mnóstwo. W 1500 roku, zaledwie dziewięć lat po tym, jak pierwsi Europejczycy dotarli do Mbanza Kongo, zepchnięta z kursu portugalska ekspedycja dotarła do Brazylii. W ciągu kilkudziesięciu lat zachodnia półkula stała się ogromnym, lukratywnym, niemal niezaspokojonym rynkiem zbytu na afrykańskich niewolników. Miliony były zmuszane do pracy - część w brazylijskich kopalniach i na plantacjach kawy, część na Karaibach, gdzie na żyznej, urodzajnej ziemi europejskie mocarstwa zaczęły uprawiać trzcinę cukrową.

Portugalczyki rychło zapomnieli o poszukiwaniach Księdza Jana w Królestwie Konga - opanowała ich gorączka niewolnictwa. Mężczyźni wysyłani z Lizbony, by być w Mbanza Kongo budowniczymi czy nauczycielami, mogli zarobić znacznie więcej, wiodąc na wybrzeże konwój zakutych w kajdany Afrykanów, by tam sprzedać ich kapitanom niewolniczych okrętów.

Żądza zysku opanowała nawet niektórych księży, którzy porzucali stan duchowny, brali czarne kobiety jako konkubiny, sami mieli niewolników, a swoich uczniów i wiernych sprzedawali w niewolę. W jednym tylko pozostawali wierni swojej wierze - po nadejściu reformacji starali się nie dopuścić do tego, by ich „własność” przejęli protestanci. Nie byłoby właściwe - powiedział jeden z nich - by „ludzie, którzy otrzymali chrzest w Kościele katolickim, sprzedawani byli ludziom wrogim ich wierze”<sup>13</sup>.

Wioska na południowym brzegu ujścia Konga, w pobliżu kamiennej kolumny wzniesionej przez Dioga Cão, stała się portem niewolniczym, skąd w latach 30. XVI wieku rokrocznie ponad pięć tysięcy niewolników było wysyłanych przez Atlantyckie morze.

wieku z całego Królestwa Konga eksportowano już pięć tysięcy niewolników rocznie<sup>14</sup>. Handlarze prowadzili drobiazgowo rejestry swoich zdobyczy. Jeden z zachowanych spisów z tego regionu wylicza „pogłowie 68” niewolników, podając ich imiona, fizyczne ułomności, wartość. Rejestr zaczyna się od mężczyzn, wartych najwięcej, a kończy się wpisem „dziecko, imię nieznanne, umiera i nie może mówić; dziewczynka z Cantunbe, bez wartości, ponieważ umiera”<sup>15</sup>.

Wielu niewolników wysłanych z ujścia rzeki do obu Ameryk pochodziło z samego Królestwa Konga. Inni byli łupem afrykańskich łowców, działających nawet kilkaset kilometrów w głąb lądu i skupujących niewolników od lokalnych wodzów i kacyków. Zmuszani do marszu na wybrzeże, z szyjami unieruchomionymi za pomocą drewnianych jarzm, rzadko dostawali dość jedzenia, a do tego - ponieważ karawany wędrowały przeważnie w porze suchej - zazwyczaj musieli pić stojącą wodę. Wkrótce szlaki wiodące do niewolniczych portów usiane były bielącymi się kośćmi.

Gdy niewolnicy zostali należycie ochrzczeni i przebrani w jutowe łachmany, zakuwano ich razem w ładowniach statków i najczęściej wysyłano do Brazylii - najbliższego regionu Nowego Świata. Wzrost zapotrzebowania w koloniach brytyjskich od wieku XVII skłonił wielu handlarzy do dalszych podróży - do Ameryki Północnej. Średnio jeden na czterech niewolników, importowanych do pracy na plantacjach bawełny i tytoniu na amerykańskim Południu, rozpoczynał swoją podróż przez Atlantycką Ocean w Afryce Równikowej, w tym także w Królestwie Konga<sup>16</sup>. To właśnie z języka kikongo, którym posługiwano się w rejonie ujścia rzeki, wywodzi się dialekt gullah, którym do dziś mówią Afroamerykanie, zamieszkujący wyspy u brzegu Karoliny Południowej i Georgii.

\*

Gdy transatlantycki handel niewolnikami zaczął dziesiątkować Kongo, państwem władał ManiKongo imieniem Nzinga Mbemba Alfons. Objął tron w 1506 roku i panował przez niemal czterdzieści lat jako Alfons I. Jego życie przypadło na okres wielkich zmian. Kiedy się rodził, nikt w królestwie nie wiedział nawet, że istnieją Europejczycy. Kiedy umierał, istnieniu jego państwa zagrażał rozpętany przez nich szal handlu niewolnikami. Alfons, tragiczna postać, zdawał sobie z tego sprawę i został zapamiętany. Trzysta lat później

pewien misjonarz powiedział, że „kongijscy tubylcy znają imiona trzech królów - obecnego, jego poprzednika oraz Alfonsa”<sup>17</sup>.

Gdy Portugalczycy przybyli do Mbanza Kongo, Nzinga Mbemba miał trzydzieści kilka lat i był lokalnym wodzem. Imię Alfons obrał na chrzcie. Przyjął portugalskich doradców i przez dziesięć lat pobierał nauki u księży przebywających w stolicy. Jeden z nich napisał portugalskiemu królowi, że Alfons „lepiej niż my zna proroków, Ewangelię Naszego Pana Jezusa Chrystusa, żywoty świętych i wszystko, co łączy się z naszą matką, Kościołem. Jeśli Wasza Wysokość spotka go, będzie zdumiony. Mówi tak dobrze i z taką pewnością, że zdaje mi się, iż to Duch Święty przemawia przez jego usta. Panie Mój, nie robi on nic poza nauką, wiele razy zdarzało mu się zasypiać nad książką i nieraz zapomina o jedzeniu i picciu, gdyż mówi o naszym Zbawicielu”<sup>18</sup>. Trudno powiedzieć, na ile ten świetlany portret wynikał z chęci księdza, by zrobić wrażenie na portugalskim monarsze, a na ile ze starań Alfonsa, by zaimponować uczącym go księżom.

Używając języka późniejszej epoki, król Alfons I pragnął modernizować swój kraj. Chciał osiąść zdobycze europejskiej nauki, wojskowości i rzemiosła, aby wzmocnić swoje państwo, zagrożone przez białych ludzi. Zauważywszy na przykład portugalski apetyt na miedź, sprzedawał ją Europejczykom w zamian za produkty, przy pomocy których mógłby podporządkować sobie odległe prowincje. Alfons, człowiek o nieprzeciętnej inteligencji, starał się dokonać czegoś równie trudnego wtedy i dziś - modernizować wybiórczo<sup>19</sup>. Był nastawiony entuzjastycznie do Kościoła, pisma, europejskiej medycyny, ciesielstwa, budownictwa i pozostałych umiejętności, których można było nauczyć się od europejskich rzemieślników. Kiedy jednak zaprzyjaźniony z nim król wysłał z Lizbony posła, mającego zachęcić do przyjęcia portugalskiego systemu prawnego oraz ceremoniału dworskiego, Alfons nie wyraził zainteresowania. Z całych sił starał się także trzymać z daleka poszukiwaczy złota i srebra, obawiając się o los swojego państwa, w razie gdyby Europejczycy odnaleźli cenne kruszce.

Ponieważ wszystko bez wyjątku, co przez następne kilkaset lat wiedziano o tej części Afryki, pochodziło z opisów białych najeźdźców, król Alfons I dostarcza nam coś rzadkiego i cennego: głosu Afrykanina. W istocie jest to w ogóle jeden z niewielu środkowoafrykańskich głosów słyszanych przed wiekiem XX. Władając płynnie portugalskim, podyktował serię niezwykle listów do dwóch kolejnych królów Portugalii. Były to pierwsze znane teksty

autorstwa czarnego Afrykanina spisane w języku europejskim<sup>20</sup>. Zachowało się ich kilkanaście, podpisanych i ozdobionych zamaszystymi podwójnymi podkreśleniami. Utrzymane w oficjalnym tonie, jak to listy między monarchami, zazwyczaj zaczynają się od słów „Najznamienitszy i najpotężniejszy książę i mój bracie królu...”. Widzimy jednak, że pisze to nie tylko monarcha, ale też człowiek przerażony widokiem swoich ludzi wywożonych w wielkiej liczbie statkami handlarzy niewolników.

Alfons nie był abolicjonistą. Jak większość ówczesnych i późniejszych afrykańskich władców sam posiadał niewolników. Co najmniej raz osobiście - wraz z lamparcimi skórami, papugami i miedzianymi obręczami na nogi - wysłał kilku w darze swojemu „bratu”, królowi w Lizbonie. Ta tradycyjna wymiana podarunków między władcami była jednak dla Alfonsa czymś zupełnie innym niż zakuwanie w kajdany tysięcy jego niegdyś wolnych poddanych i wysyłanie ich za morze. Oto jak w 1526 roku pisał do portugalskiego króla Jana III:

Każdego dnia handlarze porywają naszych ludzi - dzieci tej ziemi, synów naszych szlachciców i wasali, a nawet członków naszej własnej rodziny. (...) Owo zepsucie i deprawacja są tak powszechne, że nasza ziemia jest całkowicie wyludniona. (...) W królestwie tym potrzebujemy jedynie księży i nauczycieli - nie trzeba nam żadnych towarów, z wyjątkiem wina i mąki niezbędnych do Mszy świętej. (...) Jest naszym życzeniem, aby to królestwo nie było miejscem handlu i transportu niewolników<sup>21</sup>.

Później, tego samego roku:

Wielu naszych poddanych zachłannie pożąda portugalskich towarów, które Wasi poddani sprowadzili do naszego państwa. Aby zaspokoić te nieumiarkowane apetyty, porywają wielu naszych wolnych, czarnych poddanych (...). Sprzedają ich (...) zabrawszy więźniów pod osłoną nocy [na wybrzeże]. (...) Gdy tylko więźniowie wpadają w ręce białych ludzi, są znakowani rozpalonym żelazem<sup>22</sup>.

Raz po raz Alfons opowiada o powiązanych ze sobą zjawiskach, jakimi były handel niewolnikami oraz kusząca parada tkanin, narzędzi, biżuterii i innych cacek, dzięki którym portugalscy kupcy kupowali ludzki ładunek:

Owe dobra tak bardzo przyciągają prostych i ciemnych ludzi, że zaczynają w nie



wierzyć i zapominają o Bogu (...). Mój Panie, ogromna chciwość popycha naszych poddanych, także chrześcijan, do chwytania członków własnych rodzin, a i naszej także, i sprzedawania ich w niewolę<sup>23</sup>.

Prosząc portugalskiego monarchę o przysyłanie nauczycieli, medyków i lekarzy zamiast kupców, Alfons przyznaje, że zalew materialnych dóbr zagraża jego władzy. Jego ludzie „mogą uzyskiwać teraz, w znacznie większych ilościach niż my sami, rzeczy, za pomocą których kiedyś ich uszczęśliwialiśmy i czyniliśmy sobie posłusznymi”<sup>24</sup>. Lamenty Alfonsa okazały się prorocze - nie był to ostatni raz, gdy w jakimś miejscu na świecie niepohamowane pragnienie europejskich towarów podkopywało tradycyjne sposoby życia.

Portugalscy królowie nie okazali żadnego współczucia. Król Jan III odpowiedział:

Piszesz, że nie chcesz w swoim państwie handlu niewolnikami, gdyż wyludnia on twój kraj. (...) Jednak Portugalczycy, przeciwnie, opowiadają mi, jak ogromne jest Kongo i tak gęsto zaludnione, iż wydaje się, że żaden niewolnik nigdy go nie opuścił<sup>25</sup>.

Alfons błagał innego władcę jak chrześcijanin chrześcijanina, dzielając przy tym przesady epoki. O jednym z księży-handlarzy niewolników napisał tak:

W tym królestwie wiara jest krucha jak szkło z powodu złych przykładów, jakie dają ludzie mający tutaj uczyć, a którzy z powodu ziemskich pokus i pragnienia bogactw odwracają się od prawdy. Tak jak Żydzi ukrzyżowali Syna Bożego z powodu chciwości, mój bracie, tak dziś jest on krzyżowany ponownie<sup>26</sup>.

Kilkakrotnie swoje prośby o zakończenie handlu niewolnikami Alfons wysyłał bezpośrednio papieżowi do Rzymu, ale na próżno, gdyż za każdym razem, gdy jego wysłannicy schodzili na ląd, byli od razu zatrzymywani przez Portugalczków.

W 1539 roku rozpacz Alfonsa sięgnęła dna, gdy dowiedział się, że dziesięciu jego bratanków, wnuków i innych krewnych, wysłanych do Portugalii w celu pobrania nauk religijnych, zaginęło po drodze. „Nie wiemy, czy są żywi, czy martwi - pisał zdesperowany - nie wiemy, jak mogli umrzeć i co mamy o nich powiedzieć ich ojcom i matkom”<sup>27</sup>. Możemy wyobrazić sobie przerażenie króla, który nawet własnej rodzinie nie był w stanie zapewnić

bezpieczeństwa. W czasie długiej podróży do Europy portugalscy handlarze i kapitanowie okrętów nierzadko zbaczali z obranej trasy - wspomniani młodzieńcy wylądowali jako niewolnicy w Brazylii.

Nienawistny stosunek króla do handlu niewolnikami oraz wyczulenie na próby pomniejszania jego władzy sprawiły, że wielu portugalskich kupców zamieszkujących stolicę odnosiło się do Alfonsa wrogo. W 1540 roku, gdy brał udział w wielkanocnej mszy, ośmiu z nich podjęło próbę zamachu na jego życie. Kula przeszła przez połą szaty króla, zginął jeden z towarzyszących mu arystokratów, a dwóch innych zostało rannych.

Po śmierci Alfonsa władza w Kongu stopniowo przechodziła w ręce lokalnych kacyków i wioskowych wodzów, którzy uniezależnili się od Mbanza Kongo i sami bogacili się, sprzedając niewolników. Z nastaniem XVI wieku w handel ten włączyły się również inne kraje europejskie. Angielskie, francuskie i holenderskie statki błąkały się wzdłuż wybrzeży Afryki w poszukiwaniu ludzkiego towaru. W 1665 roku Portugalczycy pokonali w bitwie pod Mbila armię osłabionego Konga, a ManiKongo został ścięty. Walki wewnętrzne jeszcze bardziej wyczerpały królestwo, a jego ziemie zostały zajęte przez Europejczyków do końca XIX wieku.

\*

Z wyjątkiem listów Alfonsa jedyne świadectwa tamtych czasów pochodzą wyłącznie od białych. Jak widzieli Europejczyków - poczynając od Dioga Cão i jego trzech okrętów z wyblakłymi czerwonymi krzyżami na żaglach - ludzie zamieszkujący ujście rzeki? Aby spojrzeć ich oczyma, musimy odwołać się do mitów i legend, które przetrwały stulecia aż po dziś dzień. Po pierwsze, Afrykanie mieli białych żeglarzy nie za ludzi, ale za *vumbi*, duchy przodków<sup>28</sup>. Kongijczycy wierzyli bowiem, że po wejściu do Krainy Zmarłych skóra człowieka bieleje niczym kreda. Było oczywiste, że właśnie stamtąd musieli przybyć owi groźni *vumbi*. Ludzie na brzegu najpierw zobaczyli wierzchołki masztów, następnie nadbudówki, wreszcie kadłub. Nie ulegało wątpliwości, że okręt musiał przywieźć ludzi z ich siedzib pod powierzchnią ziemi. Makunzo Kioko, XX-wieczny opowiadacz z ludu Pende, tak relacjonował przybycie Portugalczyków:

Nasi ojcowie żyli wygodnie. (...) Mieli bydło i zboża, mieli bagna solne i drzewa bananowe.

Nagle zobaczyli ogromną łódź wynurzającą się z wielkiego oceanu. Łódź miała białe skrzydła, błyszczące niczym noże.

Biali ludzie wyszli z wody i przemówili słowami, których nikt nie rozumiał.

Nasi przodkowie przerazili się. To *vumbi*, powiedzieli, duchy przybyłe z zaświatów.

Gradem strzał odepchnęli ich w stronę oceanu.

Jednak *vumbi* pluli ogniem o dźwięku gromu. Wielu ludzi zostało zabitych. Nasi przodkowie uciekli.

Wodzowie i mędrcy orzekli, że owi *vumbi* są poprzednimi właścicielami tej ziemi.

Aż do dziś, biali nie przynieśli nam nic, poza wojnami i nieszczęściem<sup>29</sup>.

Jako że załadowani na statki jeńcy nigdy już nie wracali, handel niewolnikami wydawał się tylko potwierdzać, że Europejczycy przybyli z Krainy Umarłych. Tak jak Europejczyków długo prześladowała wizja afrykańskiego kanibalizmu, tak i Afrykanie sądzili, że Europejczycy postępują identycznie. Uważali, że z ludzkich ciał biali robią solone mięso, z mózgow ser, a z krwi - czerwone wino. Kości Afrykanów mieli palić i przerabiać na proch strzelniczy. Wszystko to miało odbywać się w wielkich, dymiących, miedzianych kotłach, które widzieli na pokładach okrętów<sup>30</sup>. Śmiertelne żniwo na obładowanych statkach niewolniczych było tym większe, że więźniowie odmawiali przyjmowania jedzenia, wierząc, że są karmieni tymi, którzy zmarli przed nimi.

Z upływem lat powstały kolejne mity, tłumaczące pochodzenie tajemniczych przedmiotów, które obcy przywieźli ze sobą z Krainy Zmarłych. Pewien XIX-wieczny misjonarz odnotował, co wedle Afrykanów działo się, gdy kapitan schodził pod pokład statku, by przynieść dobra na wymianę, na przykład tkaniny. Afrykanie wierzyli, że towary nie pochodziły ze statku, ale z dziury wiodącej w głąbiny oceanu. Morskie duszki tkwały materiały

w „podmorskiej manufakturze, a gdy kapitan ich potrzebował, schodził do grotty i bił w dzwon”. Duszki wręczały mu tkaninę, a kapitan „wrzucał im, w charakterze zapłaty, kilka ciał czarnych ludzi, kupionych od tych niegodziwych handlarzy, którzy chwytają swoich pobratymców i sprzedają ich białym ludziom”<sup>31</sup>. Mit nie odbiegał tak bardzo od rzeczywistości. Czymże innym było bowiem niewolnictwo na amerykańskim Południu, jeśli nie systemem zamiany pracy czarnych ciał w tkaninę za pomocą plantacji bawełny?

\*

Ponieważ afrykańscy pośrednicy sprowadzali pojmanych niewolników bezpośrednio na statki, portugalscy handlarze rzadko zapuszczali się w głąb lądu. Przez niemal cztery stulecia - od chwili gdy Diogo Cão przybył do ujścia rzeki Kongo - Europejczycy nie wiedzieli, gdzie zaczyna ona swój bieg. Kongo wlewa do oceanu prawie czterdzieści tysięcy metrów sześciennych wody na sekundę, ustępując pod tym względem jedynie Amazonce. Oprócz jej ogromnego rozmiaru i nieznanego źródła rzeka Kongo stanowiła jeszcze jedną zagadkę. Żeglarze zauważyli, że w porównaniu z innymi tropikalnymi rzekami stan jej wód zmieniał się nieznacznie. Rzeki takie jak Amazonka czy Ganges mają naprzemiennie okresy bardzo wysokiego i bardzo niskiego stanu, w zależności od suchej lub deszczowej pory roku. Dlaczego Kongo się od nich różniła?

Powodem, dla którego przez stulecia nie znaleziono odpowiedzi na to pytanie, była niemożność popłynięcia w głąb rzeki. Ktokolwiek tego próbował, natykał się na przełom, najeżony niemożliwymi do przebycia kataraktami.

Większa część dorzecza Konga leży, jak już dziś wiemy, na położonym w głębi lądu płaskowyżu. Na odcinku zaledwie trzystu kilometrów rzeka schodzi z jego zachodniego brzegu, wzniesionego na ponad trzysta metrów, do poziomu morza. Pokonując to niespokojne zejście, wciska się w wąskie kaniony, kipią fale wysokie na ponad dziesięć metrów, gdy przetacza się przez trzydzieści dwie katarakty. Różnica poziomów oraz masy wody są tak wielkie, że ów odcinek trzystu pięćdziesięciu kilometrów ma potencjał hydroenergetyczny równy wszystkim rzekom i jeziorom Stanów Zjednoczonych razem wziętym.

Dla każdego żeglarza dość odważnego, by zejść ze swojego statku i iść pieszo, trasa

lądowa wiedzie pod górę przez nieprzyjazną, skalistą ziemię, która straszy zdradzieckimi klifami, wąwozami, a także malarią i innymi chorobami, na które Europejczycy nie byli odporni. Z największym wysiłkiem udało się pewnym kapucyńskim misjonarzom dotrzeć aż do szczytu wielkich katarakt. Portugalska ekspedycja, która próbowała powtórzyć ich wyczyn, nigdy nie powróciła. Aż do początków XIX wieku Europejczycy nic nie wiedzieli o interiorze Afryki Środkowej i źródłach rzeki.

W 1816 roku brytyjska wyprawa, dowodzona przez kapitana marynarki królewskiej Jamesa K. Tuckeya, wyruszyła na poszukiwanie źródeł Konga. Na dwóch statkach znajdowała się przedziwna zbieranina ludzi: żołnierze królewskiej piechoty morskiej, cieśle, kowale, chirurg, ogrodnik królewskich ogrodów botanicznych w Kew, botanik i anatom. Ten ostatni miał za zadanie, między innymi, dokładnie zbadać hipopotama i „zachować w spirytusie, jeśli to możliwe, w trzech sztukach, organ słuchu tego zwierzęcia”<sup>32</sup>. W dzienniku pokładowym figuruje również niejaki pan Cranch - zbieracz okazów historii naturalnej. Inny członek wyprawy został wpisany po prostu jako ochotnik i obserwator.

Gdy dotarli do ujścia Konga, Tuckey naliczył osiem statków niewolniczych pod różnymi banderami, zakotwiczonych i oczekujących na towar. Podpłynął swoimi statkami w głąb rzeki tak daleko, jak tylko zdołał, a następnie wyruszył, by okrążyć lądem grzmiące katarakty. On i jego wyczerpani ludzie szybko jednak podupadli na duchu z powodu nieustannego „wspinania się po niemal pionowych zboczach i wielkich blokach kwarcu”<sup>33</sup>. W ten właśnie sposób swoją nazwę zdobyły Góry Kryształowe. Rzeka była pełna spienionych katarakt i gigantycznych wirów. Na pewnym wyjątkowo spokojnym odcinku Tuckey wyraził opinię, dość prowincjonalną, że „widok był piękny i w niczym nie ustępował brzegom Tamizy”<sup>34</sup>. Anglicy zaczęli jeden po drugim zapadać na nieznaną chorobę, najprawdopodobniej żółtą febrę, toteż po mniej więcej dwustu pięćdziesięciu kilometrach wędrówki Tuckey zrezygnował. Jego grupa zawróciła, a on sam zmarł wkrótce na pokładzie swojego statku. Zanim ekspedycja powróciła do Anglii, zmarło dwudziestu jeden z pięćdziesięciu czterech ludzi, którzy na nią wyruszyli. Nie poznano ani źródeł Konga, ani tajemnicy stałego stanu jej wód. Afryka pozostała dla Europejczyków źródłem surowców - ludzkich ciał i kości słoniowej. Tak czy inaczej, postrzegali kontynent jako niezapełnione, puste miejsce na mapie, które tylko czekało, by zostać zbadane. Miano, którym je określano - Czarny Kontynent - mówi więcej o obserwatorze niż o oglądanym obiekcie.

\* Ponad stu kilometrów (przyp. tłum.).

I

# WKRACZAJĄC W OGIEŃ

## „NIE USTANĘ W POSZUKIWANIACH”

DWUDZIESTEGO ÓSMEGO stycznia 1841 roku, ćwierć wieku przed nieudaną ekspedycją Tuckeya, w małym, handlowym walijskim miasteczku Denbigh urodził się człowiek, który dokonał tego, co próbował zrobić Tuckey. Do ksiąg kościoła św. Hilarego został wpisany jako „John Rowlands, bękart”, które to określenie prześladowało chłopca do końca życia, w czasie którego obsesyjnie próbował zmazać z siebie tę hańbę<sup>35</sup>. Mały John był pierwszym z pięciorga nieślubnych dzieci pokojówki Betsy Parry. Jego ojcem mógł być albo John Rowlands, lokalny pijak, który zmarł na *delirium tremens*, James Vaughan Horne, prominentny, żonaty prawnik, albo jakiś londyński przyjaciel Betsy Parry z czasów, gdy tam pracowała.

Po porodzie okryta hańbą Betsy Parry opuściła Denbigh, zostawiając dziecko pod opieką dwóch wujów i dziadka, człowieka, który uważał, że niegrzecznym chłopcom potrzeba „solidnego lania”<sup>36</sup>. Gdy John miał pięć lat, dziadek zmarł, a wujowie natychmiast pozbyli się niechcianego siostrzeńca, oddając go pewnej mieszkającej nieopodal rodzinie, płacąc jej pół korony tygodniowo za opiekę nad chłopcem. Gdy zażądano więcej, wujowie odmówili i przybrana rodzina oznajmiła pewnego dnia małemu Johnowi, że ich syn, Dick, zabierze go w odwiedziny do „ciotki Mary”, mieszkającej w innej wiosce.

Droga była zmusna i wydawała się nie mieć końca (...) W końcu Dick zdjął mnie z ramion i postawił przed wielkim, kamiennym budynkiem. Minął wysoką, kutą bramę i zadzwonił do drzwi. W oddali, z głębi budynku, usłyszałem jego hałaśliwy dźwięk. Pojawił się obcy człowiek o ponurej twarzy, który - mimo moich protestów - chwycił mnie za dłoń i wciągnął do środka. Dick próbował ukoić mój lęk, zapewniając mnie bez zająknienia, że zaraz przyprowadzi ciotkę Mary. Gdy drzwi zamknęły się za nim z donośnym szczękiem, po raz pierwszy poczułem to okropne uczucie bycia zupełnie opuszczonym<sup>37</sup>.

Tak oto sześciolatek John Rowlands został podopiecznym Domu Pracy w St. Asaph.



Doniesienia na temat życia w St. Asaph skrywa zasłona wiktoriańskich eufemizmów, ale miejscowa gazeta pomstowała, że dyrektor jest alkoholikiem, który „niegodnie poczyina” sobie z przebywającymi tam kobietami. Komisja śledcza, która odwiedziła dom pracy w 1847 roku, mniej więcej w tym samym czasie, w którym mieszkał tam John Rowlands, raportowała, że dorosłym mężczyznom „żaden występki nie jest obcy”, a dzieci sypiają dwójkami na jednym łóżku, starsi z młodszymi, co skutkuje tym, że „czynią i rozumieją rzeczy, których nie powinny”<sup>38</sup>. John Rowlands do końca życia będzie odczuwał lęk przed jakąkolwiek formą seksualnej bliskości.

Czego by jednak nie doświadczył w dormitoriach, w szkolnej klasie szło Johnowi znakomicie. Za swoje osiągnięcia został nagrodzony Biblią przez miejscowego biskupa. Fascynowała go geografia. Miał niezwykle talent - wystarczyło mu tylko kilka minut obserwacji, by doskonale skopiować cudzy charakter pisma. Jego własne pismo było uderzająco wdzięczne - młodzieńczy podpis był stylowy, pochylony do przodu, a zamaszyste trzonki i ogonki liter sięgały poza linię, jak gdyby charakterem pisma chciał wykreślić swoją hańbę i napisać historię swojego życia nie jako ubogą, ale elegancką księgę.

Gdy John miał dwanaście lat, jego nauczyciel podszedł do niego „pewnego wieczora w godzinach wieczery, gdy zebrali się wszyscy podopieczni” i wskazując na wysoką kobietę o owalnej twarzy i ciemnych, spiętych w kok włosach, spytał mnie, czy ją rozpoznaję.

«Nie, proszę pana» - odparłem.

«Jakże to, nie znasz własnej matki?».

Z rozpaloną twarzą zwróciłem w jej stronę nieśmiałe spojrzenie i dostrzegłem, że patrzy na mnie chłodno, wzrokiem krytycznym i badawczym. Sądziłem, że odczuję falę czułości, ale wyraz jej twarzy był tak lodowaty, że moje serce zamknęło się z trzaskiem”<sup>39</sup>.

Jeszcze większym wstrząsem było to, że matka przywiozła ze sobą do St. Asaph dwoje nowych nieślubnych dzieci, chłopca i dziewczynkę. Kilka tygodni później wyjechała z domu pracy. Dla Johna było to ostatnie ogniwo długiego łańcucha porzuceń.

W wieku piętnastu lat John opuścił St. Asaph i pomieszkiwał u kolejnych krewnych,

którzy to wszyscy nieszczególnie mieli ochotę opiekować się ubogim kuzynem. Mając lat siedemnaście, zamieszkał u wuja w Liverpoolu i podjął pracę jako dostawca u rzeźnika, obawiając się, że po raz kolejny zostanie wyrzucony z domu. Pewnego dnia dostarczał mięso na amerykański statek handlowy, zacumowany w dokach, noszący nazwę „Windermere”. Kapitan zauważył niskiego, ale krzepkiego młodzieńca i spytał go: „Czy chciałbyś pływać na tym statku?”<sup>40</sup>.

W lutym 1859 roku, po siedmiu tygodniach rejsu, „Windermere” zawinął do portu w Nowym Orleanie, gdzie świeżo upieczony marynarz zszedł na ląd. Na długo zapamiętał fascynującą paradę zapachów: smoły, wody morskiej, zielonej kawy, rumu, melasy. Przemierzając ulice w poszukiwaniu pracy, na werandzie pewnego składu zauważył mężczyznę w średnim wieku, mającego na głowie cylinder - jak się miało okazać, pośrednika handlu bawełną - i spytał go: „Czy potrzebuje pan chłopca, sir?”<sup>41</sup>.

Kupiec, na którym zrobiła wrażenie jedyna rzecz, jaka mogła pełnić funkcję referencji - Biblia otrzymana w nagrodę od biskupa - przyjął do pracy młodego Walińczyka. John Rowlands, rozpoczynający życie w Nowym Świecie, zdecydował się wkrótce przyjąć nową tożsamość. Proces ten był stopniowy. W 1860 roku w spisie mieszkańców Nowego Orleanu figuruje jako „J. Rolling”. Kobieta, która znała go wówczas, zapamiętała go pod imieniem Johna Rollinsa: „Miał umysł ostry jak brzytwa, ale był skłonny do przechwałek, gadaniny i snucia opowieści”<sup>42</sup>. W ciągu kilku lat zaczął jednak używać imienia i nazwiska kupca, który go zatrudnił. Eksperymentował z drugim imieniem, stosując: Morley, Morelake i Moreland, dopóki nie zdecydował się na Morton. Tym sposobem chłopiec, który wkroczył w progi Domu Pracy w St. Asaph jako John Rowlands, przemienił się w mężczyznę, który wkrótce będzie znany światu jako Henry Morton Stanley.

Stanley podarował sobie nie tylko nowe imię, ale przez resztę życia starał dać sobie także nową biografię. Człowiek, który miał zostać najsłynniejszym odkrywcą swoich czasów, znanym z celnych obserwacji na temat afrykańskiej ziemi i tamtejszej przyrody, był również światowej klasy krętaczem, kiedy chodziło o wczesne lata jego życia. W swojej autobiografii na przykład w dramatyczny sposób opowiada o tym, jak opuścił walijski dom pracy. Po tym, jak zorganizował bunt przeciwko okrutnemu opiekunowi starszej klasy, Jamesowi Francisowi, miał przeskoczyć mur ogrodu i uciec. „«Nigdy więcej» - krzyknąłem, zdumiony moją własną odwagą. Z trudem wydałem z siebie te słowa, zanim znalazłem się w powietrzu,

uniesiony za kołnierz kurtki i, pozbawiony siły, rzucony na ławkę. Wówczas zapalczywy brutal zaczął okładać mnie po brzuchu, aż przewróciłem się do tyłu, nie mogąc złapać tchu. Znowu zostałem podniesiony i rzucony na ławkę z siłą, która niemal złamała mi kręgosłup”<sup>43</sup>. Stanley był wówczas żywotnym, zdrowym piętnastolatkiem, a Francis, były górnik, który stracił w wypadku rękę, nie byłby dla niego żadnym przeciwnikiem. Co więcej, pozostali uczniowie nie przypominali sobie żadnego buntu, a już na pewno takiego, któremu przewodziłby Stanley. Zapamiętali Francisca jako człowieka łagodnego, a Stanleya jako pupila nauczycieli, często nagradzanego i chwalonego, który pod nieobecność Francisca był stawiany na czele klasy. Akta domu pracy wskazują, że Stanley nie zbiegł, ale opuścił dom, żeby zamieszkać u wuja i pójść do szkoły.

Równie wymyślne są wspomnienia Stanleya z Nowego Orleanu. Mieszkał, jak twierdził, w domu kupca-dobroczyńcy Henry’ego Stanleya i jego delikatnej, świątobliwej żony. Gdy epidemia żółtej febry dotknęła miasto, żona zachorowała i zmarła w łożu osłoniętym białym muślinem, ale w momencie śmierci „otwarła swe łagodne oczy i, jak gdyby z oddali, przemówiła tymi słowami: «Bądź dobrym chłopcem. Niech cię Bóg błogosławi!»»,<sup>44</sup>.

Wkrótce zboląły wdowiec miał przycisnąć do piersi swojego młodego lokatora i pracownika, obwieszczając mu: „w przyszłości to ty będziesz nosił moje imię”<sup>45</sup>. Później, jak twierdził Stanley, nastąpiły dwa idylliczne lata podróży w interesach z człowiekiem, którego sam nazywał ojcem. Pływali w górę i w dół Missisipi, spacerując po pokładzie, czytając sobie na głos i rozmawiając o Biblii. Niestety, w 1861 roku szczodry, przybrany ojciec Stanleya podążył za swoją ukochaną żonę na tamten świat. „Po raz pierwszy w życiu poczułem, jak przenikliwy ból przebija duszę, gdy ktoś, kogo kochaliśmy, składając lodowate dłonie, zasypia snem wiecznym. Patrzyłem na jego ciało i dręczyło mnie pytanie: czy moje zachowanie było tak doskonałe, jak chciałem, żeby było? Czy w czymkolwiek zawiodłem? Czy szanowałem go tak, jak na to zasługiwał?”<sup>46</sup>.

Przejmująca historia - z wyjątkiem tego, że akta wskazują, że oboje Stanleyowie zmarli dopiero w 1878 roku, siedemnaście lat później. Rzeczywiście adoptowali dzieci - dwie dziewczynki. Według rejestrów miejskich oraz spisu mieszkańców młody Stanley nie mieszkał w domu, ale w kolejnych szkołach z internatem, a Stanley-kupiec strasznie pokłócił się ze swoim młodym pracownikiem i zerwał z nim znajomość, zakazując, by w jego

obecności choćby wymawiano imię młodzieńca.

Opis młodzieńczych lat Stanleya z pewnością zawdzięcza wiele twórcy w tym samym okresie Karolowi Dickensowi, który tak samo lubował się w scenach rozgrywających się przy łożu umierającego, świętobliwych kobietach i bogatych dobroczyńcach. Koloryzowanie wynikało również z poczucia Stanleya, że jego prawdziwe życie okrywała tak wielka hańba, iż - aby móc zaprezentować się światu - musiał wymyślić siebie na nowo. Nie tylko zmyślał wydarzenia w swojej autobiografii, ale też zapisywał w dzienniku katastrofy morskie i inne dramatyczne przygody, które nigdy nie miały miejsca. Czasem opis jakiegoś wydarzenia z podróży po Afryce jest zupełnie inny w dziennikach, inny w listach, inny w artykule wysłanym do gazety, a jeszcze inny w książce, którą zawsze spisywał po powrocie z wyprawy. Psychohistorycy mieli później prawdziwą ucztę.

Jedno z opisywanych (lub wymyślonych) przez Stanleya wydarzeń, które najwięcej odsłania, miało miejsce w Nowym Orleanie, gdzie dzielił hotelowe łóżko z Dickiem Heatonem, młodzieńcem, który przybył z Liverpoolu jako majtek. „Był tak skromny, że nie chciał rozdziać się przy świetle świecy, a (...) gdy zleżł na łóżku, położył się na jego brzegu, by uniknąć ze mną kontaktu. Gdy obudziłem się rano, spostrzegłem, że się nie rozebrał”. Pewnego dnia Stanley obudził się i patrząc na śpiącego u jego boku Dicka Heatona, „zdumiony dostrzegł to, co brał za dwa guzy na jego piersi (...). Usiadłem (...) i krzyknąłem (...) «Wiem! Wiem! Dick, jesteś dziewczyną!»,. Dick, który przyznał się do bycia Alice, zniknął jeszcze tego samego wieczora. „Nigdy więcej już jej nie widziałem ani o niej nie słyszałem, ale mam nadzieję, że los był jej łaskawy, tak jak wtedy, gdy mądrze rozdzielił dwie młode i proste istoty, które zbytek uczuć mógł przywieść do szaleństwa”<sup>47</sup>.

Jak Dickensowska scena przy łożu śmierci, tak i ta niesie w sobie echo legendy - o dziewczynie, która przebiera się za chłopca, by móc zaciągnąć się do wojska albo na statek. Prawdziwy czy nie, przekaz emocjonalny tego wydarzenia jest taki sam: strach Stanleya przed zbliżeniem się do kobiety.

Gdy zaczęła się wojna secesyjna, Stanley dołączył do armii Konfederacji i w kwietniu 1862 roku Regiment Ochotników z Arkansas, w którym służył, wziął udział w bitwie pod Shiloh, w stanie Tennessee. Drugiego dnia walki Stanley został otoczony przez kilku żołnierzy Unii i znalazł się w zatłoczonym, nękanym przez tyfus obozie jenieckim na

obrzeżach Chicago. Wkrótce odkrył, że jedyną metodą ucieczki z tego nędznego miejsca było zgłoszenie się na ochotnika do wojsk Unii, co szybko uczynił. Zapadł jednak na dyzenterię i został zwolniony z powodów zdrowotnych. Przepląnąwszy - jako marynarz - tam i z powrotem przez Atlantyckie Ocean, zaciągnął się do marynarki wojennej Unii. Ładny charakter pisma zapewnił mu posadę kancelisty na fregacie „Minnesota”. Kiedy okręt ten ostrzelał konfederacki port w Karolinie Północnej, Stanley stał się jednym z niewielu ludzi, którzy w tej wojnie walczyli po obu stronach frontu.

„Minnesota” powróciła do portu w początkach 1865 roku i niezmordowany Stanley zdezerterował. Jego podróże nabierają tempa. Jak gdyby nie miał cierpliwości do zorganizowanych instytucji, jak miejsce pracy, statek handlowy czy armia. Udaje się najpierw do St. Louis, gdzie zatrudnia się w miejscowej gazecie jako korespondent-wolny strzelec i nadsyła barwne depeche z dalekiego Zachodu: z Denver, Salt Lake City, San Francisco. Krytykuje „rozwiązłość i hulaszczność” oraz „wir grzechu” tamtejszych miast<sup>48</sup>.

Po awanturkowej wyprawie do Turcji Stanley powrócił na amerykański Zachód, a jego kariera dziennikarska nabrała tempa. Przez większość 1867 roku pisał o wojnach z Indianami, wysyłając depeche nie tylko do St. Louis, ale też do gazet na Wschodnim Wybrzeżu. Nie miało znaczenia, że długi, beznadziejny opór Indian z południowych równin przeciwko zabierającym im ziemię najeźdźcom dobiegał końca; że drużyna, której towarzyszył Stanley, nie widziała wiele walki; że przez większość roku trwały negocjacje pokojowe. Wydawcy Stanleya chcieli relacji z dramatycznych bitew i to właśnie im dawał: „Wojny indiańskie wreszcie się należycie rozpoczęły (...) Indianie, zgodnie z obietnicami i swoimi krwiożerczymi instynktami, z dziką nienawiścią do białej rasy, z tym, czego nauczyli ich przodkowie, wkroczyli na wojenną ścieżkę”<sup>49</sup>.

Reportaże zwróciły uwagę Jamesa Gordona Bennetta Jr., ekstrawaganckiego, przebojowego wydawcy „New York Herald”. Zatrudnił Stanleya, by zdał relację z małej, egzotycznej wojenki: brytyjskiej ekspedycji karnej przeciwko cesarzowi Abisynii. Zainteresowanie nią mogło zwiększyć sprzedaż gazety. W drodze na wojnę, w Suezie, Stanley przekupił głównego telegrafistę. Gdy depeche korespondentów spływały z frontu, to właśnie Stanleya miała być wysyłana jako pierwsza. Przezorność opłaciła się i to właśnie jego entuzjastyczny opis tego, jak Brytyjczycy wygrali jedyną ważną bitwę tej wojny, świat przeczytał jako pierwszy. Depesze jego zirytowanych rywali, a także oficjalne raporty armii

brytyjskiej, musiały pokonywać część drogi do Europy statkiem. W czerwcu 1868 roku, siedząc w jakimś kairskim hotelu, Stanley delektował się swoim sensacyjnym materiałem i tym, że został mianowany stałym zagranicznym korespondentem „New York Herald”. Miał wówczas dwadzieścia siedem lat.

\*

Gdy przeniósł się do Londynu, doszły go pierwsze pogłoski o tym, co będzie kiedyś znane jako „Rozdrapywanie Afryki”. W Europie, pewnym krokiem wchodzącej w epokę przemysłową, przepełnionej poczuciem siły, jaką dawały kolej i parowce, narodził się nowy rodzaj bohatera - odkrywca Afryki. Dla tych, którzy od tysięcy lat zamieszkiwali Afrykę, „nie było co odkrywać, byliśmy tu cały czas” - jak miał powiedzieć później pewien afrykański polityk<sup>50</sup>. Jednak dla XIX-wiecznych Europejczyków, fetujących podróżników za „odkrywanie”, każdy nowy zakątek Afryki był, z psychologicznego punktu widzenia, zaproszeniem, jak gdyby kontynent tylko czekał, aż wezmą go w posiadanie.

W Europie, ciasno oplecionej siecią telegrafów, kółek czytelniczych, codziennych gazet o wielkich nakładach, afrykańscy odkrywcy stali się kimś w rodzaju celebrytów - ich sława przekraczała granice państw, tak jak dziś gwiazd sportu czy filmu. Dwaj Anglicy, Richard Burton i John Speke, odważnie wyruszyli ze wschodniego wybrzeża Afryki w głąb kontynentu, by odkryć jezioro Tanganika - najdłuższe słodkowodne jezioro świata, oraz Jezioro Wiktorii - największy na kontynencie zbiornik wody. Swoje przygody zakończyli tym, co publika lubi u celebrytów najbardziej, to znaczy głośnym, publicznym rozstaniem. Francuz, Paul Belloni du Chailu, przywiózł z zachodniego wybrzeża skóry i szkielety goryli, opowiadając zaintrygowanej publice, jak te wielkie, włochate bestie porywają kobiety i zaciągają je do swoich leży w głębi dżungli, w celach zbyt plugawych, by o nich mówić<sup>51</sup>.

Cała ta ekscytacja podszyta była nadzieją, że Afryka stanie się źródłem surowców, niezbędnych rewolucji przemysłowej, tak jak poszukiwanie innego surowca, potrzebnego do rozwoju kolonialnej gospodarki - niewolników - napędzało wcześniejsze działania Europejczyków w Afryce. Oczekiwania bardzo wzrosły po tym, jak w 1867 roku dwóch poszukiwaczy odnalazło diamenty w Południowej Afryce, a dwie dekady później złoto. Europejczycy lubili wyobrażać sobie, że kierują nimi wyższe cele. Brytyjczycy szczególnie

żarliwie wierzyli w niesienie tubylcom „cywilizacji” i chrześcijaństwa; byli ciekawi tego, co leży w niezbadanym interiorze kontynentu, a także chcieli zwalczać niewolnictwo, kierując się cnotą.

Prawo Brytyjczyków do odczuwania moralnej wyższości z powodu handlu ludźmi było mocno wątpliwe, gdyż resztki niewolnictwa w Wielkiej Brytanii zlikwidowano dopiero w 1838 roku. Anglicy szybko jednak o tym zapomnieli, tak samo jak zapomnieli o tym, że sami tłumili buntów niewolników w Indiach Zachodnich, a do zmięczenia niewolnictwa przyczyniły się czynniki ekonomiczne, które zmniejszyły jego opłacalność. Ich zdaniem epoka niewolnicza dobiegła końca na całym świecie tylko i wyłącznie z powodu brytyjskiej prawości. Jedną z rzeźb na londyńskim Albert Memorial, wzniesionym w 1872 roku, przedstawia młodego, nagiego Afrykanina, osłoniętego kilkoma liśćmi. W informatorze wydanym z okazji inauguracji monumentu czytamy, że „reprezentuje on niecywilizowane rasy”, wsłuchujące się w nauki Europejki, a „strzaskane łańcuchy u jego stóp odnoszą się do roli Wielkiej Brytanii w wyzwoleniu niewolników”<sup>52</sup>.

Znamienne, że największy zapal abolicjonistyczny Brytyjczyków i Francuzów w latach 60. XIX wieku wcale nie był skierowany przeciwko Hiszpanii i Portugalii, w których koloniach niewolnictwo było dozwolone, ani przeciw Brazylii, gdzie żyły miliony niewolników. Słowa moralnego potępienia skierowane były przeciwko celowi niewielkiemu, słabemu i - bezpiecznie - niebiałemu: „arabskim” łowcom niewolników, najeżdżającym Afrykę ze wschodu. Na targach Zanzibaru handlarze sprzedawali ludzi miejscowym arabskim plantatorom, ale także nabywcom z Persji, Madagaskaru oraz innych księstw i sułtanatów z Półwyspu Arabskiego. Dla Europejczyków byli idealnym celem moralnej dezaprobaty - jedną „niecywilizowaną” rasą niewolącą drugą.

Określenie „arabski” było mylące, bardziej prawidłowe byłoby „afro-arabski”. Choć więźniowie często trafiali do świata arabskiego, to łowcami na kontynencie byli głównie Afrykanie pochodzący z terytoriów dzisiejszych Kenii i Tanzanii, których rodzimym językiem było suahili. Wielu z nich nosiło arabskie stroje i przejmowało islam, ale tylko niektórzy byli, choćby i częściowo, arabskiego pochodzenia. Tak czy inaczej, od Edynburga po Rzym powstawały pełne wzburzenia książki, przemówienia, kazania, w których piętnowano okrutnych „arabskich” handlarzy. Tym samym pośrednio piętnowano także pomysł, że Afrykę mógłby skolonizować ktoś inny niż Europejczycy.

Wszystkie te europejskie zrywy - zapal abolicjonizmu, poszukiwanie surowców, nawracanie na chrześcijaństwo oraz zwykła ciekawość - znalazły ucieleśnienie w jednym człowieku, Davidzie Livingstone. Lekarz, poszukiwacz, misjonarz, odkrywca, a w pewnym momencie nawet brytyjski konsul, od wczesnych lat 40. XIX wieku przez trzy dziesięciolecia przemierzał Afrykę. Chciał odnaleźć źródła Nilu, piętnował niewolnictwo, odkrył Wodospad Wiktorii, poszukiwał minerałów i nauczał Ewangelii. Był pierwszym białym człowiekiem, który przemierzył Afrykę z jednego wybrzeża na drugie\*. W Anglii został narodowym bohaterem.

W 1866 roku Livingstone wyruszył na kolejną długą ekspedycję, w poszukiwaniu łowców niewolników, potencjalnych chrześcijan, Nilu czy czegośkolwiek, co mogło być odkryte. Mijały lata, a on nie wracał. Gdy jego los zaczął być przedmiotem dociekań, wydawca „New York Herald” James Gordon Bennett dostrzegł wielką okazję. Jak twierdził później Stanley, w 1869 roku otrzymał pilny telegram od Bennetta, który był jego szefem: PRZYJEŹDŹAJ DO PARYŻA; SPRAWA WAŻNA<sup>53</sup>. Z zarozumiałością, która stała się stałym elementem jego wizerunku, Stanley pisał: „Dziennikarz jest jak gladiator na arenie. (...) Jakikolwiek wahanie lub tchórzostwo i jest zgubiony. Gladiator stawia czoło zaostrzonemu mieczowi, który mierzy w jego łono - wędrowny korespondent stawia czoło rozkazowi, który może wysłać go na zgubę”<sup>54</sup>. Pospieszył do Paryża i spotkał się z wydawcą w Grand Hotelu. Burzliwa rozmowa na temat Livingstone’a zakończyła się, gdy Bennett powiedział: „...ALE ODSZUKAJ PAN LIVINGSTONA!”<sup>55</sup>.

Scena ta jest wyśmienitym otwarciem pierwszej książki Stanleya pt. *Jak odszukałem Livingstona* i czyni z Bennetta, któremu jest zadedykowana, dalekowzrocznego inicjatora tej wielkiej przygody. Jak się jednak wydaje, taka rozmowa nigdy nie miała miejsca. Z dziennika Stanleya zostały wyrwane strony dotyczące dnia, w którym miało dojść do spotkania oraz dni sąsiednich, a sam Stanley rozpoczął poszukiwania Livingstone’a dopiero ponad rok później.

Choć podkoloryzowana, opowieść o dramatycznym wezwaniu do Paryża przez Bennetta sprzedała się wyśmienicie i tylko to się dla Stanleya liczyło. Miał nadzieję na coś więcej niż tylko na sławę odkrywcy. Jego melodramatyczne zacięcie czyniło z niego - jak wyraził się pewien historyk - „protoplastę wszystkich późniejszych profesjonalnych pisarzy-podróżników”<sup>56</sup>. Jego artykuły, książki i cykle wykładów przyniosły mu fortunę



większą niż innym pisarzom podróżnikom, zarówno w XIX, jak i XX wieku. Każdy swój krok w Afryce planował tak, by móc opowiedzieć o nim po powrocie. W sposób na wskroś dwudziestowieczny nieustannie dopracowywał szczegóły swojej sławy.

Aby nie zostawiać żadnych wskazówek swoim konkurentom w poszukiwaniach Livingstone'a, zanim wyruszył do Afryki, Stanley ostrożnie rozpuszczał wieści, że ma zamiar zbadać rzekę Rufidzi. Najpierw udał się na Zanzibar, aby wynająć tragarzy do noszenia zapasów, skąd napisał serię listów do Katie Gough-Roberts z jego rodzinnego miasta, Denbigh. Były to krótkie, niełatwe, nerwowe zaloty, przerywane wieloma wyjazdami Stanleya w sprawach zawodowych, ale w jego listach widać, że się otwiera, wyjawia jej bolesną tajemnicę swojego nieślubnego pochodzenia. Planował ją poślubić po powrocie z poszukiwań Livingstone'a.

W końcu wiosną 1871 roku, w towarzystwie tragarzy, kilku uzbrojonych ludzi, tłumacza, kucharzy, niosącego amerykańską flagę przewodnika, dwóch brytyjskich żeglarzy oraz psa imieniem Omar - w sumie 190 osób, co było wówczas największą w dziejach afrykańską ekspedycją - Stanley wyruszył ze wschodniego wybrzeża w głąb lądu na poszukiwania Livingstone'a, o którym od pięciu lat nie było już żadnych wieści. „Gdziekolwiek by nie był - ogłosił Stanley swoim nowojorskim czytelnikom - bądźcie państwo pewni, że nie ustane w poszukiwaniach. Jeśli jest żywy, usłyszycie, co ma do powiedzenia; jeśli martwy - odnajdę i sprowadzę wam jego kości”<sup>57</sup>.

Wędrówka Stanleya trwała ponad osiem miesięcy, zanim wreszcie odnalazł podróżnika i mógł wypowiedzieć swoje słynne: „Doktor Livingstone, jak sądzę?”. Długie poszukiwania obrosły legendą z powodu licznych depesz Stanleya oraz świadomości Bennetta, że ma w ręku jeden z najbardziej fascynujących tematów stulecia. Ponieważ Stanley był jedynym źródłem informacji na temat poszukiwań (jego dwóch białych towarzyszy zmarło w czasie wyprawy, a nikogo nie obchodziły relacje tragarzy - tych, którzy przeżyli), przetrwała jedynie bohaterska legenda o miesiącach żmudnej wędrówki, straszliwych bagnach, złych „arabskich” łowcach niewolników, tajemniczych, śmiertelnych chorobach, niebezpiecznych atakach krokodyli i wreszcie o triumfalnym odnalezieniu pocziwego doktora Livingstone'a.

W pismach Stanley wychwala Livingstone'a, szlachetną postać ojca, którego od

dawna szukał, a także - do pewnego stopnia - prawdziwego przyjaciela. Według Stanleya kilka miesięcy wspólnego odkrywania uczyniło z doświadczonego mędrca i młodego bohatera dobrych przyjaciół. (Opłynęli północny brzeg jeziora Tanganika, mając nadzieję odnaleźć źródła Nilu, ale ku swojemu rozczarowaniu znaleźli tylko inną rzekę wpływającą do zbiornika). Starszy mężczyzna przekazywał swoją wiedzę młodszemu, zanim - ze smutkiem - pożegnali się i ich ścieżki rozeszły się na zawsze. Wygodnie dla Stanleya, Livingstone pozostał w Afryce i wkrótce zmarł, zanim mógł powrócić do domu i odebrać Stanleyowi część zainteresowania opinii publicznej albo opowiedzieć swoją wersję historii. Stanley chytrze ubarwiał swoją opowieść barwnymi postaciami lokalnych wodzów, egzotycznych sułtanów, wiernych sług, z dużą swobodą operując daleko sięgającymi uogólnieniami, ułatwiającymi jego czytelnikom zrozumienie: „Arab nigdy się nie zmienia”; „Wajśja to urodzony tragarz”; „Wobec półkast żywiej jedynie pogardę”<sup>58</sup>.

W przeciwieństwie do pokojowego i dobrotliwego Livingstone’a, który podróżował bez wielkiej świty i ciężko uzbrojonych pomocników, Stanley był surowym i brutalnym nadzorcą. „Czarni sprawiają niebywale dużo kłopotu; są zbyt niewdzięczni (...)” - pisał z podróży<sup>59</sup>. Choć kolejne korekty łagodzą wydźwięk listów, widać w nich wyraźnie jego skłonność do wybuchów furii. Bez chwili wytchnienia prowadził swoich ludzi przez wzgórza i mokradła. „Gdy błoto i wilgoć osłabiały fizyczne siły leni, ich plecy smagał bicz, przywołując ich do solidnej - czasami nadmiernej - aktywności”<sup>60</sup>. Choć Stanley sam zdezerterował z amerykańskiej marynarki wojennej, zaledwie sześć lat później z satysfakcją zauważał, że „niepoprawni dezzerterzy (...) byli chłostani i zakuwani w łańcuchy”<sup>61</sup>. W wioskach, przez które przechodziła jego ekspedycja, mogła być z powodzeniem wzięta za kolejną karawanę łowców niewolników.

Jak wielu białych po nim, Stanley widział Afrykę jako właściwie pustą. „Niezamieszkaną kraj - pisał. - Jakaż osada mogłaby stanąć w tej dolinie! Jest dość szeroka, by pomieścić sporą ludność. Wyobraź sobie iglicę kościoła wznoszącą się w miejscu, w którym ten ciemny tamaryndowiec rozciąga swoje liście, i jak dobrze wyglądałyby dwa lub trzy domki zamiast tych cierni i eukaliptusów (sic)”<sup>62</sup>. A później: „Wśród Anglosasów jest wciąż mnóstwo (...) Ojców Pielgrzymów (...) i kiedy Ameryka zapełni się ich potomkami, któż może powiedzieć, że to nie Afryka będzie ich następnym przystankiem?”<sup>63</sup>.

Dla Stanleya i jego publiki przyszłość ściśle łączyła się z Afryką. Gdy wrócił do

Europy, francuska prasa porównała odnalezienie Livingstone'a do przebycia Alp przez Hannibala i Napoleona. Zważywszy na przechwałki Stanleya, że zastrzeli każdego, kto stanie mu na drodze, jeszcze celniejsza była uwaga generała Williama Tecumseha Shermana, który - po śniadaniu ze Stanleyem w Paryżu<sup>64</sup> - porównał wyprawę Stanleya do swojego własnego marszu ku morzu, po którym zostawił tylko spaloną ziemię\*\*.

Brytyjczycy byli nastawieni mniej przychylnie. Królewskie Towarzystwo Geograficzne zwlekało z wysłaniem własnej ekspedycji w poszukiwaniu Livingstone' a i jego członkowie byli skonsternowani, kiedy natknęli się w Afryce na Stanleya, który triumfująco wsiadał już na statek, żeby powrócić do kraju. Czytając między wierszami naburmuszonych oświadczeń oficjeli Towarzystwa, można dostrzec irytację, że ich własny członek został odnaleziony przez kogoś, kto nie był ani przyzwoitym odkrywcą, ani przyzwoitym Anglikiem, tylko jakimś dziennikarzyną, wysmarowującym artykuły dla amerykańskiej prasy brukowej. Co więcej, jak zauważyli niektórzy Anglicy, kiedy tylko Stanley popadał w ekscytację, jego amerykański akcent płynnie zmieniał się w walijski. Krążące pogłoski o jego walijskim - i nieślubnym - pochodzeniu niezmiernie martwiły Stanleya, który pisząc dla szowinistycznej i antybrytyjskiej nowojorskiej gazety, z całą stanowczością utrzymywał, że urodził się i wychował w Ameryce. (Czasami sugerował, że pochodzi z Nowego Jorku, czasem, że z St. Louis. Po odnalezieniu Livingstone'a Mark Twain wysłał Stanleyowi list z gratulacjami jako „pobratymcowi z Missouri”<sup>65</sup>).

Stanley, który łatwo czuł się odrzucony, szczególnie przez angielską śmietankę towarzyską, został porzucony przez narzeczoną. Dowiedział się, że w czasie jego podróży Katie Gough-Roberts poślubiła pewnego architekta nazwiskiem Bradshaw. Stanley desperacko próbował odzyskać listy, które jej wysyłał, szczególnie te, w których wyznawał swoje pochodzenie. Gdy jednak napisał do niej, zgodziła się je zwrócić, ale tylko osobiście. Wraz z mężem przybyła na wykład Stanleya w Manchesterze. Po prelekcji udała się do domu, w którym się zatrzymał, i poprosiła lokaja, by zawiadomił Stanleya, że przybyła oddać mu korespondencję. Usłyszawszy to, Stanley odesłał po nie lokaja, ale ponownie odmówiła, mówiąc, że odda je tylko samemu Stanleyowi. Ten nie podszedł jednak do drzwi i Katie wyjechała, zatrzymując listy. Jego zraniona duma pozostała niezabliźnioną raną. Szukając ukojenia, niebawem ponownie wyruszył do Afryki.

\* Niestety dla apostołów europejskiej cywilizacji, pierwszy odnotowany przypadek

przebycia Afryki Środkowej - nieznanym jednak Stanleyowi i innym białym odkrywcom - miał miejsce pół wieku wcześniej. Dokonali tego dwaj Mulaci, handlarze Pedro Baptista i Anastasio José. Była to także pierwsza podróż przez kontynent tam i z powrotem.

\*\* W czasie wojny secesyjnej wojska Unii pod wodzą gen. Shermana pomaszerowały z Atlanty do Savannah, stosując taktykę wojny totalnej: grabiąc ludność cywilną i niszcząc infrastrukturę (m.in. pola uprawne, magazyny, tory kolejowe, linie telegraficzne), która mogłaby posłużyć konfederatom (przyp. tłum.).

## LIS PRZEKRACZA STRUMIENI

WIOSNĄ 1872 ROKU sieci telegraficzne rozniosły wiadomość, że Stanley odnalazł Livingstone'a. Doniesienia te śledził gorliwie pewien wysoki, dostojny, trzydziestosiedmioletni mężczyzna, noszący szeroką, spiczasto zakończoną brodę, zamieszkujący rozległy zamek Laeken na obrzeżach Brukseli<sup>66</sup>.

Siedem lat wcześniej, gdy zmarł jego ojciec, Leopold II odziedziczył szczególny tytuł, pod którym znani byli monarchowie jego kraju - króla Belgów. Sama Belgia była niewiele młodsza od swojego nowego władcy. Po okresach rządów hiszpańskich, austriackich, francuskich i holenderskich, uzyskała niepodległość zaledwie w 1830 roku, zbuntowawszy się przeciwko władzy holenderskiej. Każdy porządny kraj potrzebował króla i młody naród rozpoczął poszukiwania, które zakończyły się wyborem pewnego niemieckiego księcia, spokrewnionego z brytyjską rodziną królewską, który objął tron jako Leopold I.

Niewielki naród, którym przyszło mu władać, był niepewnym zlepkiem użytkowników języka francuskiego i flamandzkiego, jak nazywano wówczas odmianę holenderskiego, którą posługiwano się na północy kraju. Na dworze swojego ojca przyszły Leopold II używał francuskiego i niemieckiego, które znał z dzieciństwa, a wkrótce nauczył się płynnie mówić po angielsku. Nigdy jednak nie zadał sobie trudu nauczania się flamandzkiego, języka połowy swoich poddanych, potrafiąc jedynie rzucać w przemówieniach kilka słów w tym języku. Nie był odosobniony w swoim snobizmie, gdyż w tamtych czasach bolesny podział na dwa języki odzwierciedlał nie tylko różnice geograficzne, ale i klasowe. Nawet na północy ludzie interesu używali raczej francuskiego, patrząc z góry na ubogich, flamandzkojęzycznych rolników i robotników.

Małżeństwo rodziców Leopolda było związkiem pozbawionym miłości, zawartym z politycznej konieczności. Ich starszy syn był tyczkowanym chłopcem o bojaźliwym charakterze, toteż rodzice preferowali jego młodsze rodzeństwo, brata i siostrę. Gdy Leopold miał czternaście lat, matka napisała do niego: „Byłam wstrząśnięta, przeczytawszy w

sprawozdaniu pułkownika, że znów byłeś leniwy, a twoje ćwiczenia niepoprawne i nieuważne. Nie to mi obiecałeś, mam więc nadzieję, że uczynisz wysiłek i postarasz się bardziej. Twój ojciec po przeczytaniu sprawozdania był równie wstrząśnięty<sup>67</sup>. Młody następca tronu nie wykazywał zainteresowania nauką, z wyjątkiem geografii. Kiedy skończył dziesięć lat, rozpoczął szkolenie wojskowe, mając piętnaście lat, miał już rangę porucznika belgijskiej armii, szesnaście - kapitana, osiemnaście - majora, dziewiętnaście - pułkownika, a gdy kończył dwadzieścia lat, był już dwugwiazdkowym generałem. Oficjalny portret, namalowany, kiedy był nastolatkiem, ukazuje go z szablą, karmazynową szarfą i medalami. Niezręczny młodzieniec ma patykowate ciało, złote epolety wydają się za duże w stosunku do jego ramion, a głowa za duża w stosunku do korpusu.

Jeśli Leopold chciał zobaczyć ojca, musiał starać się o audiencję. Ilekroć ojciec chciał mu coś powiedzieć, przekazywał to przez jednego ze swych sekretarzy. To w tej zimnej atmosferze ojcowskiego dworu nastoletni Leopold nauczył się gromadzić wokół siebie ludzi chcących wkupić się w jego łaski. Dworzanie chętnie zaprzyjaźniali się z przyszłym monarchą, zaznajamiali go z oficjalnymi dokumentami, uczyli, jak działa państwo, czynili zadość jego zamiłowaniu do map i wiadomości z dalekich zakątków świata.

Choć między ojcem a synem nie było wiele uczucia, stary król był bystrym obserwatorem. „Leopold jest wyrafinowany i przebiegły - powiedział jednemu z ministrów. - Nigdy nie podejmuje ryzyka. Któregoś dnia (...) obserwowałem lisa, jak chciał niepostrzeżenie przekroczyć strumień. Najpierw ostrożnie zamoczył łapę, by sprawdzić głębokość, a dopiero później, zachowując wszelką ostrożność, bardzo powoli przedostał się na drugi brzeg. To właśnie zachowanie Leopolda!”<sup>68</sup>. Leopold nie zawsze będzie ostrożny, przyjdą w jego życiu momenty, w których przeceni własne możliwości albo zbyt odłoni łup, który będzie pragnął zdobyć. Było jednak coś lisiego w sposobie, w jaki konstytucyjny monarcha małego, coraz bardziej demokratycznego kraju stawał się totalitarnym władcą rozległego imperium na innym kontynencie. Tak jak przeżycie lisa w świecie pełnym myśliwych i większych zwierząt opiera się na skradaniu i maskowaniu się, tak i podobne działania stały się sprawdzonymi metodami Leopolda.

W 1853 roku, gdy Leopold skończył osiemnaście lat, ojciec wziął go do Wiednia i, chcąc związać się z Cesarstwem Austro-Węgier, zaręczył go z młodą Habsburżanką na wydaniu, arcyksiężniczką Marią Henriettą.

Trudno wyobrazić sobie gorzej dobrane małżeństwo. Szesnastoletnia panna młoda znana była ze swojego zamiłowania do jeździectwa oraz bardzo niekrólewskiego, hałaśliwego śmiechu. Leopold miał wyraźną skłonność do spadania z koni i nie okazywał żadnej wesołości. Był niezgrabnym, wyniosłym młodym mężczyzną, którego kuzynka, królowa Wiktoria, określiła jako „bardzo osobliwego”, mającego w zwyczaju „mówić ludziom nieprzyjemne rzeczy”<sup>69</sup>. Leopold, książę Brabantu - bo pod takim imieniem był wówczas znany - był pedantycznie oddany sprawom handlu, co wprawiało wszystkich w zakłopotanie. Pewna wiedeńska dama zauważyła, że ta zdumiewająca para przypominała zaręczyny „stajennego i zakonnicy, a kiedy mówię o zakonnicy, mam na myśli księcia Brabantu”<sup>70</sup>.

Leopold i Maria Henrietta znienawidzili się od pierwszego wejrzenia i wszystko wskazuje na to, że uczucie to nigdy nie uległo zmianie. Zaślubiny poszły tak źle, jak to tylko było możliwe. Leopold zapadł na szkarlatynę. Pociąg, mający dowieźć królewską świtę na drobiazgowo zaplanowaną ceremonię powitania Marii Henrietty na granicy belgijskiej, spóźnił się pół godziny, ponieważ nastoletni telegrafista opuścił swoje stanowisko, chcąc posłuchać orkiestry grającej z okazji tego święta. Głośny śmiech Marii Henrietty płoszył ludzi na spotkaniach w całej Belgii. Podczas ich podróży poślubnej do Wenecji panna młoda łkała na oczach wszystkich, gdy Leopold nie pozwolił jej popłynąć w gondoli - wcześniej wynajętej, wraz z orkiestrą. Leopold potrafił całymi dniami się do niej nie odzywać. „Jeśli Bóg usłyszycie moje prośby - pisała do przyjaciółki miesiąc po ślubie - nie pozwoli mi już długo żyć”<sup>71</sup>.

Jak wielu ówczesnym młodym parom, seks jawił się nowożeńcom jako coś przerażającego i tajemniczego. Zostali jednak, jako jedni z nielicznych, oświeceni przez kobietę, która dała nazwę całej epoce. Po ich wizycie w Anglii u kuzynki Wiktorii królowa - w liście do ojca Leopolda - delikatnie wyraziła wątpliwość, czy małżeństwo zostało skonsumowane. Wziąwszy Marię Henriettę na bok, wyjaśniła jej, czego się od niej oczekuje, a jej mąż, książę Albert, przeprowadził podobną rozmowę z osiemnastoletnim następcą tronu. Był to prawdopodobnie pierwszy raz, gdy ktoś zadał sobie trud i to zrobił, a gdy kilka lat później Maria Henrietta zaszła w ciążę, Leopold napisał do Alberta: „mądra i praktyczna rada,

którą mi dałeś, (...) wydała owoc”<sup>72</sup>. Małżeństwo pozostało jednak nieszczęśliwe. Maria Henrietta zaszła się w zamku królewskim Laeken, by tam niemal codziennie jeździć konno. Leopold szukał rozładowania frustracji w działaniach na znacznie większą skalę.

Gdy myślał o tronie, który kiedyś miał być jego, publicznie okazywał zirykowanie. *Petit pays, petits gens* (mały kraj, mali ludzie), powiedział kiedyś o Belgii. Kraj, wielkości połowy Litwy, położony był pomiędzy znacznie większą Francją Napoleona III i szybko rosnącym w siłę Cesarstwem Niemieckim. Młodym następcą tronu powodowały rozdrażnienie i niecierpliwość. Kraj, który miał odziedziczyć, był dla niego za mały.

Skierował wzrok za granicę. Jeszcze zanim skończył dwadzieścia lat, z notatnikiem i piórem w ręku, podróżując na brytyjskich i tureckich okrętach wojennych, Leopold odwiedził Bałkany, Konstantynopol, Wyspy Egejskie i Egipt, a powróciwszy do domu, wygłosił nudną mowę na temat roli, jaką Belgia może odegrać w handlu światowym. Dokądkolwiek się udał, wypatrywał możliwości powiększenia swojego imperium. Udało mu się wymóc na kedywie Egiptu obietnicę wejścia w spółkę i utworzenia linii obsługiwanej przez parowce łączącej Aleksandrię z Antwerpią. Starał się kupić jeziora w delcie Nilu, chcąc je osuszyć, a powstałe w ten sposób ziemie ogłosić swoją kolonią. Pisał: „Za 30 tysięcy franków można nabyć małe królestwo w Abisynii (...). Gdyby parlament, zamiast mówić tyle o neutralności, zajął się wreszcie handlem, Belgia stałaby się jednym z najbogatszych państw na świecie”<sup>73</sup>.

\*

W XIX wieku, tak jak i dziś, Sewilla była wspaniałym miejscem, pełnym fontann i ogrodów, gdzie wśród palm, pomarańczowych i cytrynowych drzew stały domy o murach białych, ozdobionych sztukaterią, pokryte czerwonymi dachówkami, z oknami zasłoniętymi kratami z kutego żelaza. Goście z całego świata, przeciskając się przez wąskie, brukowane uliczki tego hiszpańskiego miasta, dochodzili do jednej z największych gotyckich katedr w Europie.

W marcu 1862 roku dwudziestosiedmioletni Leopold przybył do Sewilli nie po to, by oglądać katedrę albo słynne mozaiki na dziedzińcach Alkazaru. Spędził cały miesiąc w Casa Lonja, wielkim kwadratowym gmachu dawnej giełdy, stojącym naprzeciwko katedry.



Przez dwa stulecia Sewilla była portem, przez który złoto, srebro i inne dobra z kolonii docierały do Hiszpanii. Mniej więcej osiemdziesiąt lat przed wizytą Leopolda król Karol III nakazał zgromadzić w tym budynku wszystkie dekrety, dworskie zapiski, mapy, plany architektoniczne i inne dokumenty związane z hiszpańskim podbojem Ameryki. Pod jednym dachem zebrano osiemdziesiąt sześć milionów ręcznie spisanych stron - wśród nich list przewozowy jednego ze statków Kolumba - co czyniło z Głównego Archiwum Indii jedną z największych skarbnic wiedzy na świecie. Choć jako dziecko odnosił się do nauki z obojętnością, kiedy w grę wchodziły zyski, Leopold stawał się bez reszty oddanym badaczem. W trakcie pobytu w Sewilli napisał do przyjaciela: „Jestem tu bardzo zajęty, brnąc przez archiwa Indii i obliczając, jakie zyski przynosiły i przynoszą Hiszpanii kolonie”<sup>74</sup>. Człowiek, którego imperium miało być połączone z XX-wiecznymi, międzynarodowymi korporacjami, zaczął od studiowania zapisków konkwistadorów.

Zaostrzyły one tylko jego apetyt i obudziły w nim niespożytą energię. Twierdząc, że lekarze zalecają mu długie podróże w gorące klimaty, wyruszał na coraz to nowsze i dalsze wyprawy, uciekając od nędzy życia rodzinnego. W 1864 roku, mając dwadzieścia dziewięć lat, jak nigdy wcześniej opętany myślą o koloniach, odwiedził brytyjskie posiadłości: Cejlon, Indie i Birmę. Popłynął także do Indii Wschodnich, należących - ku jego irytacji - do najbliższego sąsiada Belgii, Holandii, której, mimo niewielkiego obszaru, udało się zdobyć dochodowe kolonie.

Zainteresowanie przyszłego króla Indiami Wschodnimi zwiększył osobiwy, dwutomowy traktat pod tytułem *Jawa, albo jak zarządzać kolonią*. Zafascynowany tą książką, Leopold rozpoczął korespondencję z autorem, angielskim prawnikiem, adekwatnie nazywającym się J.W.B. Money. Jawajskie plantacje kawy, cukru, indygo i tytoniu, z których zyski szły na budowę kolei i kanałów w Holandii, zrobiły ogromne wrażenie na Moneyu. Na podstawie przyszłych działań Leopolda możemy odgadnąć, co szczególnie zwróciło jego uwagę. Money opisywał na przykład monopol przyznany prywatnemu przedsiębiorstwu, którego jednym z największych udziałowców był holenderski monarcha. Aby pobudzić produkcję na Jawie, holenderscy plantatorzy płacili premię nadzorcom w zależności od wielkości zbiorów. Money zauważył także, że ogromne zyski, które przynosiła Jawa, były wynikiem niewolnictwa. Leopold zgodził się z nim, zauważając, że praca niewolnicza była „jedyną drogą do ucywilizowania i podźwignięcia tych leniwych i zepsutych ludzi Dalekiego

Wschodu”<sup>75</sup>.

Niewielu rodaków podzielało marzenia Leopolda na temat kolonii. Zwracano uwagę na przeszkody natury praktycznej, takie jak brak belgijskiej floty handlowej czy wojennej, które z kolei Leopold odrzucał jako błahe. Po powrocie z jednej z wypraw obdarował prezentem ministra finansów, głośnego przeciwnika kolonializmu. Dał mu kawałek marmuru z ruin Akropolu oprawiony w medalion z portretem Leopolda otoczonym napisem: *Il faut à la Belgique une colonie* - „Belgia musi mieć kolonię”.

Gdzie jednak miano ją znaleźć? Za młodu przeszukiwał świat, pisząc do swego doradcy:

Jestem szczególnie zainteresowany argentyńską prowincją Entre Rios oraz małą wysepką Martin Garcia, położoną u zbiegu rzek Urugwaj i Parana. Do kogo należy ta wyspa? Czy da się ją kupić i założyć tam wolny port pod moralną ochroną króla Belgów? (...) Nie byłoby nic łatwiejszego niż zostać właścicielem ziemi trzy-lub czterokrotnie większej od Belgii, leżącej na terenie Argentyny<sup>76</sup>.

Zainwestował w Kompanię Kanału Sueskiego. Starał się również nabyć Fidżi, ponieważ „nie powinno się dać uciec tak łatwej zdobyczy”<sup>77</sup>. Interesował się również kolejną w Brazylii oraz wydzierżawieniem ziemi na wyspie Formoza\*.

Listy i notatki Leopolda, nieustannie nagabującego kogoś o zdobycie jakiejś kolonii, wydają się być głosem człowieka, któremu jako dziecku brakowało miłości, a który jako dorosły obsesyjnie szuka jakiegoś emocjonalnego substytutu - niczym ktoś, kto wikła się w niekończący się spór o miedzę z sąsiadem albo o spadek z rodzeństwem. Pragnienie posiadania więcej może stać się nienasycone, a jego nadchodzące spełnienie tylko powiększa pierwotne uczucie braku i pobudza do dalszego gromadzenia.

W trakcie XIX-wiecznego wyścigu o posiadłości w Afryce i Azji ludzie usprawiedliwiali kolonializm na różne sposoby - twierdząc, że chrystianizują pogan, cywilizują dzikich albo niosą wszystkim cudowne dobrodziejstwa wolnego handlu. W przypadku Afryki pojawiło się nowe wytłumaczenie - konieczność zniszczenia „arabskich” handlarzy niewolników. Na wczesnym etapie kariery przyszły Leopold II nie ukrywał jednak

swoich ambicji, używając takiej retoryki. Dla niego kolonie miały tylko jedno zadanie - uczynić jego i jego kraj bogatymi. „Belgia nie wykorzystuje świata - narzekał do jednego ze swoich doradców. - Musimy ją w tym rozsmakować”<sup>78</sup>.

Leopold nie dbał o to, czy bogactwo, którego pożądał, będzie brało się ze szlachetnych metali poszukiwanych przez Hiszpanów w Ameryce Łacińskiej, z rolnictwa czy - jak to się w końcu stało - z surowców, o których zastosowaniu jeszcze się wtedy nikomu nie śniło. Liczył się tylko zysk. W swoim pędzie do kolonii szukał nie tylko pieniędzy, ale i władzy. Mimo wszystko Europa Zachodnia zmieniała się, a stanowisko króla nie przynosiło już tyle radości co kiedyś. Najbardziej nieznośne było dla niego to, że w Belgii - i w sąsiednich krajach - autorytet monarchy stopniowo ustępował miejsca autorytetowi wybieranego w wyborach parlamentu. Gdy ktoś chciał kiedyś uczynić Leopoldowi komplement, mówiąc, że byłby „świetnym prezydentem republiki”, ten odwrócił się pogardliwie do wiernego lekarza dworskiego Jules’a Thiriara i spytał: „Jakby się pan czuł, doktorze, gdyby ktoś powiedział panu, że byłby pan świetnym weterynarzem?”<sup>79</sup>. Władca kolonii nie musiałby przejmować się parlamentem.

Gdy w 1865 roku objął tron, Leopold stał się nawet bardziej ruchliwy niż wcześniej. Pewien francuski marszałek, który w 1867 roku zobaczył go na jakimś przyjęciu w Paryżu, stwierdził, że w oczy rzucał się jego „wysoki wzrost, wielki nos i długa broda. Z objającą się o nogę szablą wyglądał jak oficjel, który włożył mundur, nie wiedząc, jak się go nosi”<sup>80</sup>. Wszyscy zwracali uwagę na jego nos. Disraeli pisał: „To taki nos jak z bajki o księciu, który został przeklęty przez złośliwą wróżkę”<sup>81</sup>.

W domu sprawy ze złych zmieniły się na jeszcze gorsze. W 1869 roku dziewięcioletni syn króla wpadł do stawu, dostał zapalenia płuc i zmarł. Na pogrzebie Leopold jedyny raz w swoim życiu załamał się publicznie, padając na kolana i szlochając bez opamiętania. Zachował jednak na tyle przytomności umysłu, by zażądać od parlamentu ustawy, która pokryłaby koszty pogrzebu z państwowej kasy.

Utrata syna była dla niego tym bardziej dotkliwa, że głęboko wierzył w to, iż tylko mężczyźni mogą dziedziczyć koronę i królewski majątek. Królowa Maria Henrietta dała mu jeszcze trzy córki: Luizę, Stefanię i Klementynę, ale już ani jednego syna. Gdy narodziła się ostatnia córka, Klementyna, król - twierdziła Luiza - „był wściekły i od tamtego momentu nie

chciał mieć nic wspólnego ze swoją godną podziwu małżonką<sup>82</sup>. Od samego początku „król nie poświęcał wiele uwagi ani mnie, ani moim siostram” - pisała<sup>83</sup>. Leopold bezskutecznie próbował uczynić siebie wyjątkiem względem belgijskiego prawa, które nakazywało zostawiać spadek dzieciom.

Maria Henrietta odnalazła ukojenie w swoich ukochanych koniach, które osobiście trenowała. Na polecenie matki księżniczka Luiza musiała obejrzeć, jak koń wszedł do zamku Laeken, doszedł schodami do pokoi królowej, a następnie zszedł z powrotem. Maria Henrietta zaprzyjaźniła się z ministrem wojny, który - ku zdumieniu attaché wojskowych - zapraszał królową do prowadzenia szarży kawalerii w czasie manewrów.

Choć wciąż nie miał we władaniu żadnej kolonii, Leopold skupił się na budowaniu w ojczyźnie. Miał zamiłowanie do pomników, rozległych parków, szerokich bulwarów i wielkich pałaców. Po objęciu tronu rozpoczął renowacje w Laeken, które - jak miało się okazać - miały trwać do końca jego życia. Dzięki nabywaniu i wysiedlaniom sąsiednich nieruchomości udało mu się siedmiokrotnie powiększyć królewską posiadłość. Gdy pewien człowiek nie zgodził się na opuszczenie jakiegoś terenu, Leopold nakazał wybudowanie wału wokół posiadłości opornego sąsiada. Wśród nowych budynków wzniesionych w Laeken był wielki kompleks oranżerii. Gdy zostały ukończone, można było przejść ponad kilometr poprzez szklarnie, zamek i łączące je kryte galerie, nie wychodząc na dwór<sup>84</sup>. Wiele lat później król pokazywał swojemu bratankowi, księciu Albertowi, postęp prac. „Stryju, czy to będzie mały Wersal?” - spytał Albert. „Mały?” - zdziwił się Leopold<sup>85</sup>.

\*

Jeśli Leopold byłby postacią fikcyjną, jego twórca mógłby w tym momencie wprowadzić dla kontrastu postać drugoplanową, której losy byłyby złowieszczym ostrzeżeniem przed tym, gdzie mogą zaprowadzić marzenia o imperium. W życiu Leopolda istniała jednak postać nadająca się do tego znacznie lepiej, niż ktokolwiek wymyślony przez jakiegokolwiek powieściopisarza. Była to jego siostra.

Belgijska rodzina królewska, zawsze skłonna do sprzymierzania się z Habsburgami, wydała młodszą siostrę Leopolda, Charlottę, za arcyksięcia Maksymiliana, brata cesarza

Austro-Węgier. W 1864 roku Maksymilian i jego żona - z imieniem stosownie zmienionym na Carlota - zostali zainstalowani przez Napoleona III jako marionetkowa para cesarska Meksyku, gdzie Napoleon intrygował w celu ustanowienia profrancuskiego rządu. Leopold entuzjastycznie wspierał cesarstwotwórcze przedsięwzięcie swojej siostry. Gdy Maksymilian i Carlota wyruszyli do swojego nowego władztwa, europejska opinia publiczna entuzjastycznie odnosiła się do przystojnej młodej pary, która - jak to przedstawiano - szła w ślady konkwistadorów. Co jednak zrozumiałe, większość Meksykanów nie życzyła sobie narzucania obcych władców i podniosła bunt. Rodzące się imperium upadło, a w czerwcu 1867 roku rebelianci schwytali i rozstrzelali Maksymiliana. Jego śmierć nie była może chwalebna, ale za to elegancka: uścisnął dłonie członkom plutonu egzekucyjnego, obdarował ich złotem, wskazał na swoje serce i powiedział „*Muchachos*, celujcie dobrze”<sup>86</sup>.

Rok wcześniej Carlota wróciła do Europy, by starać się o wsparcie dla upadających rządów jej męża. Napoleon III nie był skłonny wesprzeć swoich ambicji adekwatnymi siłami zbrojnymi, więc Carlota udała się do Rzymu błagać o pomoc papieża. W drodze zaczęła się zachowywać dziwnie. Współczesna psychiatria bez wątpienia miałaby na to bardziej precyzyjną diagnozę, ale w tych czasach określano to właściwiej: Carlota oszalała. Była przekonana, że stojący na ulicy kataryniarz jest meksykańskim pułkownikiem w przebraniu, a szpiedzy rozmaitego autoramentu próbują ją otruć. W ramach środków ostrożności jadła tylko pomarańcze i orzechy, uważnie przyglądając się wcześniej skórkom i łupinom, patrząc, czy ktoś przy nich nie majstrował. Chcąc mieć pewność, że nie zostanie otruta, rozkazała zatrzymać powóz przy fontannie di Trevi, aby napełnić kryształowy dzban tamtejszą wodą. W swoim apartamencie hotelowym miała niewielki piecyk węglowy oraz kilka kurczaków, przywiązanych do nóg stołowych, które należało zabijać i gotować na jej oczach. Ku rozpaczy jej wiernych służących pokoje cesarzowej stopniowo wypełniały się piórami i kurzymi odchodami.

Carlota, zarumieniona i łkająca, wybuchła kiedyś w obecności papieża. Pewnego poranka, gdy kończył jeść śniadanie, zanurzyła palce w jego gorącej czekoladzie i oblizawszy je łączywie, zakrzyknęła: „Przynajmniej to nie było trujące! Wszystko, co mi podają, jest zatrute, a ja głoduję, po prostu głoduję!”<sup>87</sup>. Kardynał i dowódca Gwardii Papieskiej wyprowadzili ją z komnaty, po czym Carlota podała dowódcy listę członków jej świty, którzy powinni zostać aresztowani za zdradę.

Służący wysłali pilny telegram do Brukseli. Ponieważ Leopold nie chciał, by jego siostra pałętała się po Europie w takim stanie, umieścił ją i jej opiekunów w belgijskim zamku, z dala od wzroku ludzi. Nigdy już nie pokazano jej światu. Z obawy przed pogorszeniem jej stanu, całymi miesiącami po egzekucji Maksymiliana nie odważono się wymienić w jej obecności jego imienia. Gdy już to zrobiono, Carlota nie uwierzyła i wciąż słała do niego listy i prezenty, wierząc, że wkrótce zostanie cesarzem Francji, Hiszpanii i Portugalii.

Tak szybki upadek imperium jego siostry i szwagra nie osłabił entuzjazmu Leopolda dla posiadania własnego. Widział wokół siebie zaczątki nowej epoki kolonializmu - w której przyszedł południowoafrykański polityk i diamentowy magnat Cecil Rhodes miał powiedzieć: „Gdybym mógł, zaanektowałbym planety”. W 1875 roku Leopold starał się odkupić od Hiszpanii Filipiny, ale znowu się rozczarował. „W tym momencie ani Hiszpanie, ani Portugalczycy, ani Holendrzy nie są skłonni sprzedawać” - pisał wówczas do jednego ze swoich doradców. „Mam zamiar dowiedzieć się dyskretnie, czy dałoby się coś zdziałać w Afryce”<sup>88</sup>.

\*

W połowie lat 70. XIX wieku to właśnie Afryka Subsaharyjska była tym miejscem, w którym aspirujący imperialista powinien był rozglądać się za kolonią. Brytyjczycy i Burowie kontrolowali Afrykę Południową, a osłabiona Portugalia rościła sobie prawa do większości terytorium dawnego Królestwa Kongo oraz leżącego na wschodnim wybrzeżu kontynentu Mozambiku. Kilka wysp położonych u zachodniego wybrzeża Afryki należało do Portugalii, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii i Francji, podobnie jak małe kawałki lądu. Poza tym około 80 procent terytorium Afryki wciąż należała do miejscowych władców. Była gotowa do podboju - lub, jak uczył się mówić Leopold, do roztoczenia nad nią opieki.

Leopold starannie przeczesał *Proceedings of the Royal Geographical Society* w poszukiwaniu informacji na temat Afryki i uważnie śledził wyprawy białych odkrywców. Zgromadził obszerne notatki, spisane niemal niedającym się odczytać charakterem pisma. Gdy Verneyowi Lovettowi Cameronowi, szkockiemu podróżnikowi chcącemu zostać pierwszym człowiekiem, który przemierzy Afrykę ze wschodu na zachód, zabrakło pieniędzy,

Leopold skwapliwie zaoferował dotację w wysokości stu tysięcy franków<sup>89</sup>. Pieniądze okazały się niepotrzebne, ale gest króla uczynił z niego patrona afrykańskich odkryć.

W tym czasie Henry Morton Stanley był w Afryce. Razem ze swoim zwyczajowo wielkim orszakiem strażników i tragarzy w 1874 roku wyruszył ze wschodniego wybrzeża w głąb lądu, kierując się w stronę największej białej plamy na mapach, równikowego serca kontynentu, gdzie nigdy nie dotarł wcześniej żaden Europejczyk. Po drodze planował nanieść na mapy kilka wielkich wschodnioafrykańskich jezior, a następnie podążać dalej na zachód, w kierunku wielkiej rzeki, która mogła być źródłem Nilu albo Konga. Gdy był jeszcze blisko wybrzeża, posłańcy przynieśli Stanleyowi doniesienia prasowe, ale od tamtego momentu nie było od niego wieści.

Leopold zauważył, że Livingstone, Stanley i inni odkrywcy wzbudzili Europejczyków swoimi opowieściami o „arabskich” handlarzach niewolników, gnających smutne karawany zakutych w łańcuchy jeńców na wschodnie wybrzeże Afryki. Jako król niewielkiego kraju, który oficjalnie nie przejawiał zainteresowania koloniami, rozumiał, że dążenie do kolonii na własną rękę wymagać będzie dobrego, humanitarnego pretekstu. Celami, o których trzeba mówić, będą nie zyski, ale ukrócenie handlu niewolnikami, podźwignięcie moralne i postęp nauki. W 1876 roku podjął pierwszy krok w celu stworzenia swojego wizerunku jako filantropa i realizacji swoich afrykańskich ambicji: zorganizował konferencję odkrywców i geografów.

Wysłał do Berlina zaufanego doradcę, aby pozyskał niemieckich uczestników, podczas gdy on sam udał się przez kanał La Manche do Londynu, zatrzymując się w apartamencie hotelu Claridge's. Daleko mu już było do tego niezręcznego, naiwnego młokosa, który ponad dwadzieścia lat wcześniej, w czasie swojej podróży poślubnej, odwiedził królową Wiktorię. Gdy obserwujemy go, jak porusza się po Londynie, po raz pierwszy w życiu sprawia wrażenie obytego kosmopolity, swobodnego, ale cicho dążącego do celu. Obraca się głównie w świecie mężczyzn, ale pamięta imiona ich żon i dzieci, zawsze ciepło o nie pytając. Jego frustracje są ukryte, a żądzę zdobycia kolonii kryje za podstępem i pochlebstwem. Odwiedza drogą kuzynkę Wiktorię w szkockim zamku Balmoral, dwukrotnie je kolację z jej synem, księciem Walii, odwiedza znanych geografów i wojskowych. Przebiegle wybiera się również na lunch z baronessą Angelą Burdett-Coutts, znaną patronką misjonarzy. Przede wszystkim zaś spotyka się z odkrywcą Cameronem, który niedawno

wrócił z Afryki, i wypytuje go o jego podróże. Ku swojej radości Leopold dowiaduje się, że Brytyjczycy nie wykazują zainteresowania ogromnymi połaciami ziemi odkrytymi przez Camerona. Uważano, że większość z nich to dorzecze Konga, choć sam Cameron wyprawiał się na południe od rzeki i - jak wszyscy Europejczycy - nie miał pewności co do jej biegu. To właśnie była ziemia, o której zaczął marzyć król.

We wrześniu 1876 roku zebrała się w Brukseli Konferencja Geograficzna zorganizowana przez Leopolda. W programie, który przekazał podwładnym, nie pominął żadnego szczegółu, choćby najdrobniejszego: „Nazwiska muszą być pisane tak, jak ja je napisałem. G.C.B. oznacza Wielki Krzyż Łażni. F.R.G.S. oznacza członka Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. K.C.B. oznacza Krzyż Komandorski Łażni. (...). Te litery muszą być napisane po nazwiskach osób”<sup>90</sup>. Po brytyjskich gości wysłał belgijski statek, a resztę drogi przebyli specjalnym, ekspresowym pociągiem. Wydał rozkaz, by każdego udającego się na konferencję przepuszczano przez belgijską granicę z pominięciem formalności. Goście, przybywający z najważniejszych europejskich krajów, byli stosownie witani przez Leopolda po angielsku, francusku lub niemiecku.

Pomiędzy trzynastoma Belgami i dwudziestoma czterema gośćmi z zagranicy byli słynni odkrywcy, jak francuski markiz de Compiègne, który wyprawiał się w górę rzeki Ogowe w Gabonie, czy Niemiec Gerhard Rohlfs, który dał się obrzezać, by uchodzić za muzułmanina i móc udać się w odległe zakątki Sahary; geografowie, jak baron Ferdinand von Richthofen, przewodniczący Berlińskiego Towarzystwa Geograficznego; społecznicy, jak sir Thomas Fowell Buxton, przewodniczący Brytyjskiego Towarzystwa Antyniewolniczego, czy sir John Kennaway, przewodniczący Kościelnego Towarzystwa Misyjnego; przedsiębiorcy, jak William Mackinnon z British India Line; wojskowi, jak angielski kontradmirał sir Leopold Heath, dowodzący strażą antyniewolniczą Królewskiej Marynarki Wojennej na Oceanie Indyjskim, czy wiceadmirał baron de la Roncière-le-Noury, przewodniczący Paryskiego Towarzystwa Geograficznego. Nigdy wcześniej w XIX wieku nie zebrało się w jednym miejscu tylu znakomitych Europejczyków, zajmujących się odkryciami, a goście byli zachwyceni, mogąc spotkać się ze sobą w luksusowej scenerii królewskiego pałacu. Spośród wybitnych Europejczyków zajmujących się Afryką brakowało jedynie Stanleya, którego osiągnięcia członkowie Konferencji uczcili oficjalną deklaracją. Choć od miesiący nie było o nim żadnych wieści, wszyscy mieli nadzieję, że wciąż żyje gdzieś pośrodku kontynentu.



Leopold wiedział, że nawet bogaci i dobrze urodzeni będą zachwyceni, mogąc zamieszkać w pałacu. Jedynym problemem było to, że pałac królewski w centrum Brukseli był tak naprawdę biurem monarchy, a rezydencją rodziny królewskiej był podmiejski zamek Laeken. Gabinety i pokoje służby pałacu królewskiego zostały zatem pospiesznie przekształcone w pokoje gościnne. Aby zrobić miejsce dla gości, niektórzy służący spali w szafach na bieliznę, a biurka, książki i kredensy zostały przeniesione do piwnic i stajni. W dzień otwarcia olśnieni uczestnicy konferencji weszli na górę wielkimi, nowo wybudowanymi barokowymi schodami i zostali przyjęci przez Leopolda w oświetlonej siedmioma tysiącami świec sali tronowej. Król odznaczył każdego przybyłego Krzyżem Leopolda. „Mam dla siebie wspaniały apartament - cały w karmazynowym adamaszku i złocie - pisał pierwszej nocy do swojej żony generał dywizji sir Henry Rawlison z Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. - Wszystko jest czerwone, nawet atrament i amunicja (papier toaletowy)!”<sup>91</sup>.

Mowa powitalna Leopolda była prawdziwym majstersztykiem. Skrywała całe przedsięwzięcie pod płaszczykiem szlachetnej retoryki, zaznaczała jego własną rolę w tym, co miało nadejść, oraz zapewniała wsparcie jego planów przez zaproszonych gości.

Otworzyć dla cywilizacji jedyną część globu, do której jeszcze nie dotarła, przebić mroki otaczające całą tamtejszą ludność - oto, ośmielam się powiedzieć, krucjata godna wieku postępu. (...) Belgia, centralnie położony i neutralny kraj, wydawała mi się właściwym miejscem dla takiego spotkania. (...) Czy muszę mówić, że sprowadzając was do Brukseli, nie kierowałem się egotyzmem? Nie, panowie, Belgia może być małym krajem, ale jest rada i usatysfakcjonowana swoim losem; nie mam innych ambicji oprócz tej, by służyć jej dobrze.

Zakończył, wymieniając poszczególne cele, które, miał nadzieję, osiągnie Konferencja - wśród nich podjęcie decyzji w sprawie „położenia kolejnych tras wiodących w głąb kontynentu, a także umiejscowienia gościnnych i naukowych placówek, które należy założyć w celu zwalczania handlu niewolnikami, ustanowienia pokoju między wodzami oraz zapewnienia sprawiedliwej i niezależnej mediacji między nimi”<sup>92</sup>.

Pomiędzy wystawnymi bankietami uczestnicy Konferencji wyciągali mapy i na pustych przestrzeniach środkowej Afryki zaznaczali miejsca, w których miały stanąć owe „gościnne i naukowe placówki”. W każdej z nich - zdecydowali wspaniałomyślni goście - miało stacjonować około sześciu nieuzbrojonych Europejczyków - naukowców,

językoznawców, rzemieślników - którzy mieli uczyć tubylców praktycznych umiejętności. Każda placówka powinna mieć infirmerię wyposażoną w najnowsze lekarstwa, laboratorium przeznaczone do badania miejscowej ziemi, pogody, fauny i flory oraz być dobrze zaopatrzona w zapasy dla odkrywców: mapy, towary handlowe, odzież na zmianę i narzędzia do naprawy instrumentów naukowych.

Konferencji przewodniczył rosyjski geograf Piotr Siemionow - Leopold skromnie pozostał na uboczu. Na cześć odważnej wyprawy Siemionowa w góry Tien-szan, w Azji Środkowej, car pozwolił mu dodać sobie do nazwiska człon „Tjan-Szanski”. Niemniej Siemionow nie wiedział prawie niczego o Afryce - co bardzo pasowało Leopoldowi. Z łatwością pokierował Siemionowem tak, że sieć placówek, którą zarekomendowała Konferencja, położona była na bezpiecznym terytorium dorzecza Konga, które najbardziej interesowało Leopolda. Brytyjscy uczestnicy woleli, by niektóre z placówek znajdowały się bliżej posiadłości Wielkiej Brytanii.

Zanim goście powrócili do swoich krajów, zagłosowali za powstaniem Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego. Leopold wielkodusznie podarował miejsce w Brukseli na siedzibę organizacji. Miały powstawać narodowe komitety stowarzyszenia w poszczególnych krajach, a także komitet międzynarodowy. Leopold został wybrany poprzez aklamację na pierwszego prezesa komitetu międzynarodowego. Usuwając się w cień, zadeklarował, że będzie pełnił funkcję tylko przez rok i że przewodnictwo powinno być rotacyjne i przypadać ludziom z różnych krajów. Każdy gość otrzymał od Leopolda oprawiony portret monarchy w galowym mundurze i olśnieni delegaci rozjechali się do domów.

Powstanie nowej organizacji zostało dobrze przyjęte w Europie. Znamienite postaci, od Rothschildów po wicehrabiego Ferdinanda de Lessepsa, budowniczego Kanału Sueskiego, pospieszyły z datkami. Komitety narodowe miały być kierowane przez wielkich książąt, diuków i inne osoby z rodów królewskich, co brzmiało imponująco, ale nigdy się nie ziściło. Komitet międzynarodowy spotkał się tylko raz, dokonał reelekcji Leopolda (pomimo jego wcześniejszych obietnic, że nie będzie się ubiegał o ponowny wybór) i zanikł.

Tak czy inaczej Leopold, niczym lis, wykonał ogromny krok naprzód. Starając się kupić kolonię, zorientował się, że żadna nie jest na sprzedaż - musiał zatem jakąś zdobyć.

Zrobienie tego otwarcie bez wątpienia zirytowałyby jednak zarówno Belgów, jak i europejskie mocarstwa. Jedyłą metodą zdobycia czegoś w Afryce było przekonanie wszystkich, że kieruje się wyłącznie altruizmem. Dzięki Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Afrykańskiemu udało mu się to znakomicie. Wicehrabia de Lesseps określił plany Leopolda jako „najbardziej filantropijne dzieło naszych czasów”<sup>93</sup>.

Gdybyśmy mogli cofnąć się w czasie i przyjrzeć się Leopoldowi, dostrzegliśmy w nim odpowiednik ambitnego producenta teatralnego. Ma talent organizacyjny i przychylność opinii publicznej, co udowodnił sukces Konferencji Geograficznej. Dysponuje również szczególnym rodzajem kapitału: wielką siłą, jaką w *public relations* jest królewski autorytet. Ma gotowy scenariusz: marzenie o kolonii, które nie opuszczało go, od kiedy był nastolatkiem. Nie ma jednak ani sceny, ani obsady. Pewnego wrześniowego dnia 1877 roku, gdy król-producent planuje swój kolejny ruch, depesza z małego miasta na zachodnim wybrzeżu Afryki opublikowana w londyńskim „Daily Telegraph” przynosi nadzwyczajne wiadomości. Na takie otwarcie czeka Leopold. Pojawia się zarówno scena, jak i gwiazda - spektakl może się rozpocząć.

\* Dzisiejszy Tajwan (przyp. tłum.).

## WSPANIAŁY TORT

MIASTEczKO BOMA leży na północnym brzegu rzeki Kongo, około osiemdziesięciu kilometrów od wybrzeża Atlantyku. Oprócz Afrykanów mieszkało w nim szesnastu białych, głównie Portugalczyków - szorstkich, twardych mężczyzn przyzwyczajonych do noszenia bicia i broni - prowadzących kilka małych faktorii handlowych<sup>94</sup>. Tak jak wielu Europejczyków przez wiele stuleci przed nimi, handlarze ci nigdy nie zapuścili się w głąb lądu z powodu niedostępnej gmatwaniny skał, które zapełniały dno wielkiej rzeki na - liczącym trzysta pięćdziesiąt kilometrów - ostatnim odcinku wzburzonego, usianego kataraktami zejścia do morza.

Piątego sierpnia 1877 roku, godzinę po wschodzie słońca, czterech przemoczonych czarnoskórych mężczyzn wyszło z buszu w pobliżu Boma. Przybyli z wioski odległej o dwa dni marszu i nieśli list zaadresowany „Do jakiegokolwiek dżentelmena w Embomma, który mówi po angielsku”, następującej treści:

Szanowny Panie,

przybyłem do tego miejsca z Zanzibaru ze stu piętnastoma duszami, mężczyznami, kobietami i dziećmi. Zagłada nam w oczy widmo głodu (...), ale jeśli pańskie zapasy przybędą na czas, być może będę w stanie dotrzeć do Embomma w ciągu czterech dni (...) najlepiej byłoby, gdyby przybyło dziesięciu lub piętnastu mężczyzn z ładunkiem ryżu lub zboża (...). Zapasy muszą przybyć w ciągu dwóch dni, gdyż inaczej spędzę czas w towarzystwie umarłych (...).

Z poważaniem

H.M. Stanley, dowodzący Anglo-Amerykańską

Ekspedycją Odkrywczą w Afryce<sup>95</sup>.

Następnego dnia o świcie handlarze wysłali do Stanleya tragarzy z zapasem ziemniaków, ryb, ryżu i konserw. Od razu zrozumieli, co oznacza list: Stanley przemierzył cały kontynent ze wschodu na zachód. W przeciwieństwie jednak do Verneya Lovetta Camerona, jedyne Europejczyka przed nim, który mógł się pochwalić podobnym wyczynem, Stanley dotarł do ujścia Konga. Musiał zatem podążać wzdłuż samej rzeki, stając się pierwszym białym człowiekiem, który sporządził mapę jej biegu i rozwiązał zagadkę jej źródła.

Stanley i pozostali wychudli członkowie ekspedycji, uratowani w samą porę, powoli przemierzyli resztę drogi do Boma. Od momentu, gdy opuścili położony na wschodnim wybrzeżu Zanzibar, w ciągu ponad dwu i pół roku przeszli zygzakowaną trasę długości ponad jedenastu tysięcy kilometrów.

Stanley, Walijczyk udający rodzimego Amerykanina, był w swojej Anglo-Amerykańskiej Ekspedycji zarówno Anglikiem, jak i Amerykaninem. Jej nazwa miała jednak zaznaczać, że ta wyprawa - znacznie kosztowniejsza i ambitniejsza niż poszukiwania Livingstone'a - finansowana była zarówno przez „New York Herald” Jamesa Gordona Bennetta, jak i „Daily Telegraph” Edwarda Levy'ego-Lawsona. Depesze Stanleya publikowano w obu gazetach, a on sam nadawał w trakcie podróży stosowne nazwy: Góra Gordona-Bennetta, Rzeka Gordona-Bennetta, Wzgórza Levy'ego, Góra Lawsona. Swoim własnym nazwiskiem nazwał wodospad w sercu kontynentu oraz miejsce położone 1,6 tysiąca kilometrów w dół rzeki, w którym Kongo rozszerzało się, tworząc jezioro. Twierdził, że na pomysł nazwania tego ostatniego wpadł jego zastępca, Frank Pocock, który „zakrzyknął: «Ależ! Powinniśmy nazwać tę niesamowitą przestrzeń Stanley Pool [Jezioro Stanleya]!»,<sup>96</sup>. Pocock nie mógł tego jednak potwierdzić, gdyż utonął w rzece tuż po tym, jak nazwał w ten sposób - lub nie - jej część.

W przededniu swojej niebywalej transafrykańskiej wyprawy Stanley zakochał się ponownie, tym razem w Alice Pike, siedemnastoletniej amerykańskiej dziewczynie. Zadurzenie się w o połowę młodszą od siebie, niestałą nastolatkę, w dodatku tuż przed trzyletnim rozstaniem, nie było najpewniejszą drogą przed ołtarz, co akurat mogło pasować Stanleyowi, wciąż lęklivemu wobec kobiet. Wraz z Alice postanowili, że pobiorą się po jego powrocie, podpisali kontrakt małżeński i ustalili datę ślubu.

To właśnie imieniem swojej ukochanej Stanley nazwał kluczowy środek transportu ekspedycji. „Lady Alice” była dwunastometrową łodzią z hiszpańskiego cedru, zbudowaną z pięciu części. Gdy były złączone, łódź mogła pływać po afrykańskich jeziorach i rzekach; rozdzielone i zawieszane na belkach, mogły być przenoszone łądem przez tragarzy na odległość setek kilometrów.

Stanley zawsze czuł się nieswojo w towarzystwie ludzi, których talenty mogły przyćmić jego własne. Spośród tysiąca dwustu ludzi, którzy chcieli przyłączyć się do jego wyprawy - między innymi bardzo doświadczonych podróżników - wybrał trzech niezbyt odpowiednich towarzyszy: parę żeglarzy-rybaków, braci Franka i Edwarda Pococków, oraz młodego recepcjonistę hotelowego, Fredericka Barkera. Główną zaletą Edwarda Pococka była, jak się wydaje, umiejętność gry na trąbce. Żaden z trzech nie miał najmniejszego doświadczenia jako odkrywca.

Ci czterej biali mężczyźni wiedli na zachód Anglo-Amerykańską Ekspedycję, liczebnie dwukrotnie większą od tej, która poszukiwała Livingstone’a, bo liczącą trzysta sześćdziesiąt pięć osób. Kobiet i dzieci było wśród nich czterdzieści sześć, gdyż niektórym starszym Afrykanom pozwolono wziąć ze sobą rodziny. Ta miniaturowa armia niosła ponad siedem ton broni, ekwipunku i dóbr, które można było wymienić po drodze. W czasie marszu kolumna miała ponad osiemset metrów długości, toteż sygnały trzeba było przekazywać za pomocą trąbki Edwarda Pococka.

Dźwięki trąbki były na miejscu - ciągła walka była dla Stanleya nieodłączną częścią odkrywania. Nigdy nie zadawał sobie trudu policzenia trupów, które zostawiła za sobą jego wyprawa, ale musiały ich być setki. Grupa Stanleya miała najnowocześniejsze strzelby oraz karabin na słońce z eksplodującymi pociskami. Nieszczęśnicy, z którymi walczyli, uzbrojeni byli w dzidy, łuki lub, w najlepszym wypadku, stare muszkiety kupione od łowców niewolników. „Zaatakowaliśmy i zniszczyliśmy dwadzieścia osiem dużych miast i pięć lub sześć tuzinów wiosek” - napisał w swoim dzienniku<sup>97</sup>. Większość walk miała miejsce nad jeziorami i rzekami. Odkrywca i jego ludzie wywieszali brytyjskie i amerykańskie flagi, a następnie strzelali z czółen i pokładu „Lady Alice”. Gruboskórny Stanley był zdumiewająco szczery, pisząc o tym, jak każdą oznakę wrogości odbierał jako śmiertelną obrazę. Jak gdyby to zemsta dawała mu siłę do przemierzania Afryki. Płynąc „Lady Alice” po jeziorze

Tanganika w stronę brzegu „pełnego furii i kpiarzy (...), zauważyliśmy, że podążało za nami kilka czółen i że w niektórych z nich potrzęsają w naszym kierunku włóczniami (...). Otwarłem do nich ogień z powtarzalnego karabinu Winchestera. Sześć strzałów i cztery trupy wystarczyły, by uciszyć kpiarzy”<sup>98</sup>.

W pierwszych miesiącach swojej podróży Stanley opisywał takie potyczki w depeszach do gazet, które posłańcy zanosili na wschodnie wybrzeże, skąd były przesyłane do Anglii drogą morską i telegraficzną. Tam wywoływały poruszenie filantropijnych organizacji, w rodzaju Towarzystwa Opieki nad Tubylcami czy Towarzystwa Antyniewolniczego. „Stanley strzela do Murzynów, jak gdyby byli małpami” - komentował odkrywca i pisarz Richard Burton<sup>99</sup>. Brytyjski sekretarz spraw zagranicznych bardziej przejmował się jednak tym, że ów zuchwały korespondent prasy popularnej, twierdzący, że jest Amerykaninem, wywiesza flagę Zjednoczonego Królestwa. Wysłał Stanleyowi napuszoną depeszę, w której informował go, że nie ma prawa do jej używania.

Dla zajadle antybrytyjskiego wydawcy „New York Herald”, Jamesa Gordona Bennetta juniora, taki spór był czystą przyjemnością. Ochoczo kpił z krytyków Stanleya, określając ich jako „wyjątych derwiszy cywilizacji (...) bezpiecznych w Londynie (...), filantropów (...) [wyznających] bezsensowny pogląd, że przywódca (...) winien pozwalać na to, aby jego ludzie zostali wyróżnieni przez tubylców, a i on sam powinien być zarżnięty, zaś odkrycie wzięli diabli - byleby tylko nie pociągnął za spust i nie strzelił do tego gatunku ludzkiego robactwa”<sup>100</sup>.

Jednym z osiągnięć pierwszego etapu podróży zdaniem Stanleya było to, że powiedział cesarzowi Ugandy o dziesięciu przykazaniach i nawrócił go na chrześcijaństwo. Pewien francuski oficer przebywający w tym samym czasie w Ugandzie twierdził później, że Stanleyowi udało się przekonać cesarza tylko dlatego, że powiedział mu, iż chrześcijanie mają jedenaście przykazań. Jedenaste głosiło: „Okazuj cześć królom i szanuj ich, gdyż są oni wysłannikami Boga”<sup>101</sup>.

Po miesiącach noszenia ciężkich ładunków wielu tragarzy zbuntowało się, ukradło zapasy i uciekło. Raz za razem Stanley wymierzał szybkie kary: „Morderca Membé został skazany na dwieście batów (...) dwóch pijaków na sto batów każdy, a także na zakucie w łańcuchy na sześć miesięcy”<sup>102</sup>. O swoich tragarzach pisał później: „Są bezbożnymi,

kłamliwymi, złodziejskimi niegodziwcami, którzy sprawiają, że człowiek tylko nienawidzi samego siebie za swoją głupotę i chęć dokonywania wielkich rzeczy w towarzystwie tak nędznych niewolników”<sup>103</sup>.

W listach do swojej narzeczonej, Alice Pike, przybierał inny ton, pisząc o swoich pierwszych świętach Bożego Narodzenia w czasie wyprawy: „Jakże Twoje dobre, kobiece serce współczułoby mi (...). Obóz jest wyjątkowo żalony, a ludzie sprawiają wrażenie, jak gdyby albo rozważali samobójstwo, albo chcieli siedzieć bez ruchu, aż śmierć ich nie wyzwoli”<sup>104</sup>. Zawsze mając przy sobie jej fotografię, dla bezpieczeństwa zawiniętą w nieprzemakalną skórę, Stanley naniósł na swoją mapę Wyspę Alice i Wodospady Lady Alice.

„Tak bardzo kocham tańczyć - pisała do niego Alice. - Wolałabym raczej pójść do opery (...) niż na przyjęcie (...). Niemal każdego wieczora przychodzą jacyś chłopcy - mam już ich serdecznie dość. (...) Mam okropnie obolały palec, cały w pęcherzach od grania na harfie. Całkiem dobrze sobie z nią radzę, tylko nigdy nie ćwiczę”. Wydaje się, że nie miała większego pojęcia, gdzie znajduje się Stanley i że listy od niego musiały być miesiącami niesione przez busz - jeśli w ogóle dało się je dostarczyć. „Wcale już do mnie nie piszesz - narzekała - a ja chcę tylko wiedzieć dlaczego??? Jestem naprawdę zła na Środkową Afrykę”<sup>105</sup>.

\*

W książce o tej wyprawie, zatytułowanej *Poprzez Czarny Ląd*, którą napisał po powrocie, Stanley przestrzegał kilku zasad, do których stosował się również w późniejszych dziełach: rozciągnięcia treści na dwa tomy (w tym przypadku w sumie 960 stron), użycia w tytule słowa „czarny” (jak w późniejszych: *W najczarniejszej Afryce*<sup>\*</sup> oraz *Moi czarni towarzysze i ich dziwne opowieści*) i zastosowanie każdego możliwego środka narracji. Mamy zdjęcia autora przed i po wyprawie, pokazujące, jak zbielały mu włosy; „wymki z mojego dziennika” (porównane z prawdziwymi dziennikami Stanleya okazują się nie mieć z nimi niczego wspólnego); detaliczną, składaną mapę z zaznaczoną trasą wyprawy; ponad setkę rysunków - dramatycznych spotkań, czółna wciągane przez wir rzeczny, szkiców afrykańskich domostw, planów miejscowości, bitew, spisów posiadanych zapasów. Obfitość wykresów pokazuje wszystko - od genealogii afrykańskich władców do kształtu różnych



wioseł. Stanley sprytnie wyczuwał, że niewiedza jego czytelników na temat Afryki sprawi, że będą zafascynowani nieskończoną liczbą najbardziej błahych detali, takich jak choćby tablica cen, pokazująca, że jeden kurczak wart jest w Abadii tyle, co naszyjnik z koralików, a sześć kurczaków w Ugogo kosztuje jedenaście metrów tkaniny. Czytelnicy otrzymywali to, za co zapłacili. Książki Stanleya, choć powstałe w epoce przedelektronicznej, były produktami multimedialnymi.

Gdy dziś czytamy Stanleya, widzimy, w jakim stopniu jego podróżowanie polegało na umiejętnym gospodarowaniu. Nieustannie mierzy i oblicza: temperaturę, przebyte mile, głębokość jeziora, szerokość i długość geograficzną czy wysokość, którą mierzył, sprawdzając, w jakiej temperaturze gotuje się woda. Zaufani tragarze nosili kruche termometry, barometry, zegarki, kompasy i krokomierze. Jak gdyby był geodetą, rysującym mapę kontynentu dla przyszłych właścicieli.

Druga połowa podróży Stanleya staje się imponującym wyczynem odkrywczym. Znad jeziora Tanganika, gdzie kilka lat wcześniej odnalazł Livingstone'a, wraz z kurczącą się grupą tragarzy, w tym buntownikami, którzy zaczynają podróż w łańcuchach, wyrusza w głąb lądu. Idą kilka tygodni, zanim dochodzą do wielkiej rzeki, zwanej przez miejscowych Lualaba. Żaden europejski odkrywca nie dotarł nigdy dalej i żaden nie wie, dokąd wiedzie Lualaba. Livingstone sądził, że jest to od dawna poszukiwane źródło Nilu, gdyż Lualaba płynie na północ, w kierunku Egiptu.

Stanley uważa jednak, że Lualaba jest zbyt duża, by być początkiem Nilu. Przez chwilę sądzi, że może to być Niger, którego ujście - tak jak Nilu - jest daleko na północy. W miarę posuwania się z biegiem rzeki jest coraz bardziej przekonany, że to Kongo. Brakuje mu jednak pewności, gdyż ujście tej rzeki do Atlantyku znajduje się na końcu drugiej połowy kontynentu i - jak pokazują mu gwiazdy - na południe od miejsca, w którym się teraz znajduje, na brzegu płynącej na północ rzeki Lualaba. Na europejskich mapach wszystko to, co tam się znajduje, jest białą plamą.

Oto jak opisuje to sam Stanley. Stoi na brzegu tajemniczej rzeki i zwraca się do zebranych towarzyszy:

Do jakiego morza nie uchodziłaby ta wielka rzeka, za nią podążymy (...) Od waszego

życia zależy moje własne; jeśli zaryzykuję wasze, zaryzykuję też moje. Tak jak ojciec dba o swoje dzieci, tak i ja będę was doglądał. Dlatego, moje dzieci, zdecydujcie się, tak jak ja zdecydowałem, że - ponieważ jesteśmy w samym środku kontynentu i byłoby równie źle wracać, jak i iść naprzód - będziemy kontynuować naszą wędrówkę, będziemy się trudzić dalej i dalej, aż ta - nie żadna inna - rzeka zaprowadzi nas do słonego morza.

Wierny zastępca, Frank Pocock, pyta: „Zanim wyruszymy, sir, czy naprawdę, w głębi swojej duszy, sądzi pan, że nam się powiedzie?”.

Stanley odpowiada:

Czy wierzę? Tak, wierzę, że kiedyś znów dojdziemy do światła. To prawda, że nasze szanse są równie ciemne jak ta noc (...) Wierzę, że [ta rzeka] to będzie Kongo, a jeśli to Kongo, to będzie wiele katarakt (...) czy Kongo, czy Niger, czy Nil, jestem przygotowany (...) Czy wierzę? Widzę nas płynących po falach wzdłuż murów i wież, i umysł mój nie pozwoli na choćby cień wątpliwości w tej sprawie<sup>\*\*</sup>. Dobranoc, mój chłopcze! Dobranoc! I niech towarzyszą ci we śnie szczęśliwe sny o morzu, statkach, przyjemnościach, wygodzie i pomyślności!<sup>106</sup>.

Czy Stanley rzeczywiście stał nad brzegiem rzeki i wymówił słowa choćby zbliżone do tych, które przytoczyliśmy? Nigdy się nie dowiemy, gdyż żaden z pozostałych trzech białych uczestników wyprawy nie przeżył. Na długo przed tym, zanim utonął Frank Pocock, zmarł Fred Barker, ofiara „katuszy” tak strasznych, że „jego krew zdawała się zastygać w żyłach”, aż „zakrzepła krew przestała krążyć i (...) biedny młodzieniec umarł”<sup>107</sup>. Edward Pocock zaczął majaczyć. „Doskoczyłem do niego”, twierdził Stanley, ale „tylko po to, by zobaczyć, jak oddaje swój ostatni oddech”<sup>108</sup>.

Stanley wiedział, że jeśli Lualaba miała okazać się Kongiem, w którymś momencie musiała wykonać zakręt o sto osiemdziesiąt stopni. Płynąc rzeką, a czasem maszerując wzdłuż jej brzegu, często mierzył szerokość i długość geograficzną. Przez kilkaset kilometrów rzeka w zagadkowy sposób płynęła wciąż na północ. Wreszcie zaczęła skręcać odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, na zachód, ostatecznie płynąc na południowy zachód, w stronę straszliwych katarakt i Atlantyku.

Podróż Stanleya wyjaśniła jeszcze jedną geograficzną tajemnicę. Kongo zaczyna się i kończy na południe od równika, ale górna część wielkiego łuku, który pokonuje, leży na północ od niego. W Afryce Środkowej równik jest umowną granicą między porą suchą a deszczową: gdy na północ od niego panuje jedna, na południu trwa druga. Z tego powodu, bez względu na porę roku, część Konga zawsze płynie przez ziemię moką od deszczu, a część przez tereny suche. To pozwoliło wyjaśnić, dlaczego stan wód Konga nie wahał się w ciągu roku tak, jak w przypadku innych tropikalnych rzek.

Jak dowiedział się Stanley, gigantyczna, powoli rozszerzająca się rzeka dawała mnóstwo pożywienia ludziom, którzy mieszkali nad jej brzegami. Od jego czasów naukowcy naliczyli ponad pięćset żyjących w niej gatunków ryb. Te żywiły się rozsi owadami, innymi rybami, owocami i liśćmi spadającymi do wody - szczególnie w porze powodzi, gdy rzeka występowała z brzegów i woda zalewała pobliskie lasy i łąki.

Szkoda, że jedyne głosy Afrykanów, które znamy, pochodzą od samego Stanleya. Co jakiś czas zapisuje - lub wymyśla - taki właśnie głos, jak gdyby od czasu do czasu doskwierało mu poczucie winy. Oto jeden z takich zapisów w jego dzienniku, z dnia 12 września 1876 roku, który, paradoksalnie, był dniem, w którym wystrojeni delegaci zapełnili marmurową klatkę schodową brukselskiego pałacu królewskiego, przybywając na zaproszenie Leopolda II na Konferencję Geograficzną.

Biały człowiek zdaniem ludu Waguhha:

Jak może być dobry człowiek, który w przeciwieństwie do wszystkich innych ludzi przybywa nie po to, by handlować, którego stóp nie widać, który zawsze jest okryty odzieniem? Nie, jest coś w nim bardzo tajemniczego, być może niegodziwego, być może jest magiem. W każdym razie, jak by nie było, lepiej go zostawić w spokoju i mu nie przeszkadzać<sup>109</sup>.

Krwawy pochód Stanleya w dół rzeki zapisał się w miejscowych opowieściach, niekiedy stając się legendą, gdyż dla tych, którzy nigdy nie widzieli podobnej broni, zasięg i celność karabinów zdawały się czymś nadprzyrodzonym. Kilka lat później pewien podróżnik usłyszał taką oto opowieść:

Wódz obcych był okryty tkaniną, a jego twarz była biała i świeciła jak słońce nad rzeką. (...) Wódz obcych miał tylko jedno oko (...) i było ono pośrodku czoła (...). Gdy Basoko wypłynęli czołnami na rzekę, aby walczyć i schwytać obcych, krzyczeli: „Mięso! mięso!”, gdyż chcieli zjeść ich ciała, ale ci nie dali się pochwycić i zabili wielu Basoko za pomocą kijów, które wysyłały grzmoty i błyskawice. Mówili słowami w dziwnym języku. Popłynęli w dół rzeki i kpiąc z silnych Basoko, minęli ich<sup>110</sup>.

Obraz jednookiego Stanleya może być przefiltrowanym przez wiele kolejnych opowieści wspomnieniem teleskopu albo celownika. Dziwnie przypomina też opisy jednookich stworzeń ze średniowiecznych opowieści o mieszkańcach Afryki. Skądinąd wiemy, że Afrykanie sądzili, iż Europejczycy mają kopyta - nie widząc wcześniej butów, uważali je za część anatomii białych<sup>111</sup>.

Po kilkaset kilometrach w dół rzeki drużyna Stanleya musiała obejść wodospady, które nazwał Wodospadami Stanleya. Za nimi, na odcinku tysięcy kilometrów, nie było już naturalnych przeszkód, aż do Stanley Pool. Był to łatwy rejs dla „Lady Alice” i dwudziestu kilku czołen, które ekspedycja kupiła lub ukradła od ludów mieszkających nad rzeką.

Stanley, jego zanzibarscy tragarze oraz żołnierze patrzyli oszołomieni, jak rzeka rośnie, niekiedy stając się tak szeroka, że z trudem można było dostrzec drugi brzeg. Rozlewisko było usiane czterema tysiącami wysp, spośród których wiele było zamieszkałych. W językach, którymi posługiwano się nad brzegami rzeki, nie nazywano jej Kongo, ale - z powodu wielu dopływów - Nzdad albo Nzere<sup>\*\*\*\*</sup>, co znaczyło „rzeka, która połyka wszystkie rzeki”. Stanley nie badał dopływów, ale ich rozmiary - każdy szeroki na kilkaset metrów - zrobiły na nim wrażenie. Nic w tym dziwnego. Kasai, jeden z dopływów Konga, niesie tyle samo wody co Wołga i ma długość połowy Renu. Inny, Ubangi, jest jeszcze dłuższy. Stanley natychmiast spostrzegł, że takie odległości mogłyby pokonywać łodzie parowe - było tak, jak gdyby odnalazł odpowiednik już istniejących, długich na tysiące kilometrów tras kolejowych. „Mocarstwo posiadające Kongo (...) - pisał - mogłoby przejąć handel w całym ogromnym dorzeczu. Rzeka ta jest i będzie wielkim traktem handlowym do Zachodniej Afryki Środkowej”<sup>112</sup>.

Końcówka wyjątkowej podróży Stanleya okazała się najtrudniejsza. Łatwy rejs dobiegł końca u wrót ostatniego, usianego kataraktami odcinka, liczącego trzysta pięćdziesiąt

kilometrów, gdzie rzeka piętrzyła się, tworząc Stanley Pool. Odkrywca był gotów przeprowiać się łodem wokół progów i wodospadów, ale nie zdawał sobie sprawy, że rzeka schodzi do morza skalnymi przełomami, które czynią jej koryto bystrym, spienionym i niespławnym.

Stawał się coraz bardziej skonsternowany. W wielu miejscach nurt rzeki pędził z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, co szacował, obserwując konary drzew.

Weź wąski pas morza, ponad którym szaleje huragan (...), a będziesz mógł sobie dość dobrze wyobrazić jej skaczące fale (...). Pierwsza przelała się w dół, a potem, samą siłą, ogromna masa wody podniosła się stromo do góry, aż gromadząc się na krawędzi, gwałtownie cisnęła samą siebie jeszcze na dziesięć metrów wyżej, by po chwili znów opaść (...). U obu brzegów, składających się z ciągów ogromnych głazów, kłębiła się piana. Ryk był tak ogromny, że aż ogłuszał. Mogę go porównać jedynie z hałasem, jaki wydaje pociąg przejeżdżający przez górski tunel<sup>113</sup>.

Mając nadzieję - zazwyczaj płonną - natrafić na łagodniejszy odcinek pomiędzy kataraktami, odkrywca przez długi czas ignorował rady tubylców i nie porzucił ani „Lady Alice”, ani czółen. Przenoszenie łodem tych ostatnich było szczególnie wyczerpujące, gdyż - w przeciwieństwie do „Lady Alice” - nie mogły być podzielone na części. Największe z czółen miało szesnaście i pół metra długości i ważyło trzy tony. By móc przenieść łodzie, trzeba było najpierw wycinać ścieżkę w gąszczu. Czasami budowano ścieżkę z bali, przy czym część z nich układano poprzecznie i używano jako rolek. Przebycie pięćdziesięciu pięciu kilometrów zabrało trzydzieści siedem dni. Raz za razem na drodze wędrówki pojawiały się poszarpane Góry Kryształowe. W pewnym momencie wyczerpani ludzie musieli ciągnąć łodzie trzysta sześćdziesiąt metrów w górę, by po pięciu kilometrach w miarę równego terenu znowu schodzić w dół. Nadeszła pora deszczowa, a wraz z nią codzienne ulewy trwające pięć, sześć godzin.

Nieustanny szum katarakt stawał się coraz bardziej nieznośny. Ludzie mdleli z głodu. Stanleyowi rozpadła się ostatnia para butów. Jeden z jego ludzi stracił rozum i uciekł w busz, zabierając ze sobą tylko papugę. Wreszcie, po zmarnowaniu miesiący na taszczeniu bezużytecznych łodzi, ekspedycja porzuciła je na dobre. Staranne pismo w dzienniku Stanleya, rozpaczliwie odnotowującego śmierci, masowe dezercje i bunty, staje się coraz

mniej czytelne, a jego zapiski chaotyczne. W sumie przebycie czterystu kilometrów między Stanley Pool a Boma zabrało Stanleyowi i jego wygłodzonej, zdziętkowanej chorobami drużynie aż cztery i pół miesiąca.

Odkrywca płał się w podawanych przez siebie liczbach, ale ofiar było mnóstwo. Wielu zabiły ropiejące rany, dyzenteria, ospa, tyfus, a wygłodzenie tylko nasilało choroby. Stanley nie pozwalał chorym na ospę tragarzom zostawać w tyle i dochodzić do zdrowia ani nawet iść do lasu, by tam mogli umrzeć w spokoju - kazał im dźwigać ładunek aż do śmierci. Siebie samego również nie oszczędzał - w ciągu całej wyprawy schudł prawie trzydzieści kilogramów. Ekspedycji kilkakrotnie brakowało wody, przetrwała ataki węży i hipopotamów, ostre i kłujące trawy, robaki gniezdzące się w stopach tragarzy, zbaczała na ścieżki wiodące przez skały ostre jak brzytwa. Gdy ci, co przetrwali, dotarli do Boma, byli ogłupiali z wycieńczenia, cierpiąc na to, co dziś nazwalibyśmy zespołem stresu pourazowego. Kilku zmarło bez wyraźnego powodu, czekając na powrót do domu.

„Jaki inny mam sposób, by przekazać Ci ogrom mojej miłości do Ciebie - pisał Stanley do Alice Pike z samego serca kontynentu - poza tym listem, który - zanim dotrze nad morze - musi przebyć tysiące kilometrów pełnych dzikusów, narażony na powodzie, ogień i bitwy? Bądź pewna, że moja miłość do Ciebie jest niezmienna, gościsz w mych snach, opoko i nadziejo, moja latarnia morska, wierzę, że będę Cię miłował w taki sposób, dopóki Cię znów nie spotkam”<sup>114</sup>.

Gdy ze swoimi pozostałymi przy życiu tragarzami i żołnierzami popłynął z powrotem na Zanzibar, z którego wyruszył, przeżył wstrząs. Wśród czekającej na niego dwuletniej korespondencji była notatka prasowa sprzed półtora roku, informująca, że Alice Pike poślubiła niejakiego Alberta Barneya, dziedzica kolejowej fortuny z Ohio. Stanley popadł w głęboką depresję i nigdy już nie zobaczył Alice<sup>\*\*\*\*115</sup>.

W oficjalnych komunikatach po wyprawie Stanley tradycyjnie już potępił „arabski” handel niewolnikami, wezwał misjonarzy, aby przybywali do Afryki, pomstował na sposób, w jaki Afrykanie afiszują „nieskromność swojej nagości”<sup>116</sup>, i głosił, że celem jego wyprawy było „rozpalić płomień światła w zachodniej części Czarnego Łądu”<sup>117</sup>. Ani na chwilę nie zapomniał o interesach. Opuszczając okolicę, w której prześladowały go powodzie i dezercje, napisał w dzienniku: „Żegnaj tę ziemię (...) dopóki jakiś hojny i bogaty filantrop nie pozwoli

mi, albo komuś innemu, powieść wyprawy, która zniesie tę przeszkodę dla handlu w Afryce Środkowej”<sup>118</sup>.

Bogaty filantrop już czekał.

\*

W rzeczy samej, filantrop był wniebowzięty. Przez wiele miesięcy poprzedzających pojawienie się Stanleya w Boma Leopold codziennie gorliwie studiował „Times of London” w poszukiwaniu wieści na temat losu podróżnika. W pewnym momencie napisał do swojego doradcy: „Sprawdzenie, czy Stanley dotarł do Lualaby, jest dla mnie sprawą najważniejszą”<sup>119</sup>. Gdy tylko Stanley objawił się światu, król wysłał mu telegram z gratulacjami.

Leopold mógł teraz przeczytać długie relacje z podróży Stanleya, które ten publikował w „Daily Telegraph”, a także obszernie doniesienia prasowe o fetach i bankietach wydawanych na cześć podróżnika w Kapsztadzie, Kairze i innych miejscach na trasie jego drogi do Anglii. Obie izby amerykańskiego Kongresu wysłały mu rezolucję gratulacyjną, a inni podróżnicy wychwalali jego kongijską wyprawę jako największe osiągnięcie podróżnicze stulecia. Leopold był teraz pewien, że to ogromne terytorium pośrodku Afryki - do którego w jakiś cudowny sposób wciąż nie rościło sobie praw żadne europejskie mocarstwo - może stać się ową kolonią, której tak pragnął. Jego wymarzone przedstawienie mogło być wreszcie wystawione, a jego gwiazdą miał być Stanley.

Król nakazał swojemu posłowi w Londynie, by na bieżąco przekazywał mu informacje na temat Stanleya. Ukryty za elegancką zasłoną Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego, Leopold pociągał za sznurki z właściwą sobie finezją. Nakazał swojemu posłańcowi, by był dyskretny: „Jestem pewien, że jeśli otwarcie zwróciłbym się do Stanleya, by w moim imieniu objął w posiadanie jakąś część Afryki, Anglicy by mnie powstrzymali. Jeśli zwróciłbym się do nich bezpośrednio, powstrzymaliby mnie dokładnie tak samo. Sądzę zatem, że obarczę Stanleya zadaniem odkrywcy, co nikogo nie urazi, a da nam bazy i kwaterę główną, z których będziemy mogli skorzystać później”. Ponadto Leopold powiedział swojemu człowiekowi w Londynie: „Nie chcę ryzykować (...)

utruty szansy na zapewnienie nam kawałka tego wspaniałego, afrykańskiego tortu”<sup>120</sup>.

Śląc telegramy, Leopold zarysowywał plan przejścia Stanleya w jego drodze do domu i zwabienia go do Brukseli. Zatrudnił kogoś, by podsunął ten pomysł Stanleyowi, przebywającemu kilka dni w Aleksandrii, gdzie był honorowym gościem na przyjęciu wydanym na jachcie wiozącym byłego amerykańskiego prezydenta Ulyssesa S. Granta. W dalszej części zalotów Leopold zwrócił się z prośbą o pomoc do amerykańskiego przyjaciela w Brukseli, generała Henry’ego Sheltona Sanforda. Był to znakomity wybór: jakaż inna osoba mogłaby przekonać Stanleya (tak chętnie udającego Amerykanina) niż dobrze urodzony rodak?

Generał Sanford chętnie podjął się dla Leopolda tego prestiżowego zadania. Urodzony w zamożnej rodzinie z Connecticut, został mianowany amerykańskim posłem w Brukseli przez Abrahama Lincolna i gdy jego ośmioletnia kadencja dobiegła końca, został tam na dłużej. Wraz z o wiele młodszą żoną, słynną pięknnością, prowadzili wystawne życie towarzyskie w swoim trzypiętrowym domu na przedmieściach Brukseli. Sanford, noszący wysoki cylinder, cwikery, laskę ze złotą gałką i dorodny, kasztanowy zarost, był znaną postacią wśród śmietanki towarzyskiej Brukseli. Nigdy nie był żołnierzem - tytuł generała, podobnie jak szpada i niebiesko-złoty mundur, który nosił przez kilka lat, były nagrodą za podarowanie dział regimentowi piechoty w czasie wojny secesyjnej.

Sanford zainwestował w amerykańskie koleje, nieruchomości na Zachodzie, wielkie sady cytrusowe na Florydzie oraz inne przedsięwzięcia, nazywając swoim nazwiskiem miasteczko, w którym mieszkali pracownicy jego sadów<sup>\*\*\*\*\*</sup>.

Talenty Sanforda jako biznesmena były jednak mniejsze, niż mogło się to zdawać na pierwszy rzut oka. Miał elegancję właściwą człowiekowi, który wychował się w bogactwie, jednak brakowało mu przebiegłości kogoś, kto miałby bogactwo zdobyć, toteż tracił pieniądze na wszystkim, czego się tknął. Nigdy nie zwróciły mu się ogromne pieniądze włożone w kilka dziwnych patentów - krosno do tkania wełny, nowy typ destylatora whiskey, a także małe pudełeczko do smarowania osi wagonów kolejowych wodą, a nie olejem. Kopalnie srebra w Nevadzie oraz cynku w Arkansas okazały się klapą. Kolej w Minnesocie splajtowała. Plantację bawełny w Karolinie Południowej zjadły gąsienice<sup>121</sup>.



Wraz z tym, jak kurczyła się jego rodowa fortuna, przywiązywał coraz większe znaczenie do swoich koneksji na belgijskim dworze. Jednemu ze swoich synów dał imię Leopold. Król, bystry obserwator ludzkich charakterów, szybko zdał sobie sprawę z tego, ile znaczy dla Sanforda wsparcie ze strony dworu, toteż nieustannie mu schlebiał, licząc, że któregoś dnia będzie mógł go wykorzystać. Gdy Sanfordowi po raz kolejny nie udało się zdobyć stanowiska w amerykańskiej dyplomacji, doradca Leopolda, baron Jules Greindl, napisał do niego: „Król jest rad, że będziesz nadal mieszkał wśród nas, tu, gdzie wszyscy cię kochają i szanują”<sup>122</sup>. Sanforda, tak jak wielu Amerykanów, pociągały najwyższe kręgi arystokracji, a Leopold - jak mu się zdawało - cenił go w sposób, w jaki nie czynił tego jego własny kraj.

W styczniu 1878 roku Leopold potajemnie wysłał Sanforda i Greindla, by przechwycili Stanleya we Francji, gdzie odkrywca - wciąż w drodze do Londynu - planował kolejną rundę bankietów i przyjmowania odznaczeń. Wysłańcy spotkali wychudłego, wyczerpanego, chorego Stanleya na dworcu kolejowym w Marsylii i pojechali z nim do Paryża, gdzie oficjalnie zaproponowali mu pracę w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Afrykańskim. Choć bez wątpienia poczuł się doceniony, odrzucił ich ofertę. Zawsze zwracający uwagę na to, jak był przyjmowany w wyższych warstwach społecznych, Stanley nigdy jednak nie zapomniał, że po jego powrocie do Europy szukali go specjaliści emisariusze króla Belgów, w dodatku baron i generał.

Z Francji Stanley udał się wreszcie do Londynu, gdzie czekało na niego powitanie godne bohatera. Choć podawał się za Amerykanina, to jednak jego serce pozostało w Anglii. To flaga Zjednoczonego Królestwa powinna powiewać nad ziemią, przez którą płynęła ta wielka rzeka - powtarzał na kolejnych oficjalnych bankietach i kolacjach. Nadzieje Stanleya na zainteresowanie Kongiem Wielkiej Brytanii wzrosły, gdy przybył go wysłuchać sam książę Walii, który miał jedynie do powiedzenia to, że medale na piersi Stanleya wisiały w niewłaściwym porządku. Większość mapy świata i tak była już usiana brytyjskimi dominiami, koloniami i różnego rodzaju protektoratami. Mając na głowie recesję w kraju i liczne problemy w koloniach, tylko nieliczni Brytyjczycy byli zainteresowani nowymi terytoriami, w dodatku takimi, do których jedyny dostęp blokowały katarakty.

„W ogóle nie rozumiem Anglików - pisał Stanley. - Albo posądzają mnie, że jestem samolubem, albo mi nie wierzą. (...) Gdy uwolniłem Livingstone’a, nazywano mnie oszustem;

gdy przemierzyłem Afrykę, nazywano mnie piratem”<sup>123</sup>. W Stanach Zjednoczonych też brakowało entuzjazmu dla kolonizacji Konga. James Gordon Bennett junior, z Nowego Jorku, chciał wysłać Stanleya na poszukiwania bieguna północnego.

Leopold dalej drążył temat. Swojemu posłowi w Londynie kazał zaprosić Stanleya na lunch. Ponownie wysłał też Sanforda, by porozmawiał z odkrywcą, i między wierszami zasugerował mu, że król może się zwrócić do innego odkrywcy. Leopold znał się na ludziach. Pięć miesięcy po powrocie do Europy Stanley przyjął zaproszenie do odwiedzenia Belgii.

\* Tytuł oryginalny: *In Darkest Africa*, w wydaniu polskim z 1891 roku przetłumaczono na: *W czeluściach Afryki* (przyp. tłum.).

\*\* Przemowa Stanleya miała miejsce (lub nie) w 1877 roku. *Gliding (...) by tower and town* jest parafrazą wiersza Henry’ego Wadswortha Longfellowa pt. *Cadenabbia* z 1858 roku:

Cicho i wolno, wzdłuż murów i wież

Barki ładowne to tu, to tam prą,

Płynie po falach niestały ich cień,

Wzdłuż wież oraz murów, i nurza się w toń.

(przeł. Jacek Dehnel, przyp. tłum.).

\*\*\* Co ciekawe, to właśnie portugalskie zniekształcenie tego słowa, Zair, dyktator Konga Mobutu Sese Seko wybrał w 1971 roku na nową nazwę kraju.

\*\*\*\* Odkrywca nigdy nie dowiedział się, że pani Barney, obserwując jego rozwijającą się karierę, przez większość życia żałowała, że nie została panią Stanley. Wiele lat po jego śmierci w swoich nieopublikowanych, wyidealizowanych i fabularyzowanych pamiętnikach przypisała sobie sukces jego wielkiej wyprawy do Konga: „To ona uczyniła ją możliwą. Bez jej ducha, który dawał mu siłę, nigdy by tego nie dokonał, nie mając nawet ochoty, by ponownie zapuszczać się w te bezkresne ciemności. (...) «Lady Alice» podbiła Afrykę!”.

\*\*\*\*\* Sanford zyskało krótki moment niesławy 75 lat później, gdy szef miejscowej policji, powołując się na zakaz międzyrasowego sportu na terenie miasta, nakazał Jackie Robinsonowi zejść z boiska w trakcie letniego treningu.

## „TRAKTATY MUSZĄ PRYZNAWAĆ NAM WSZYSTKO”

DZIESIĄTEGO CZERWCA 1878 roku Henry Morton Stanley wyruszył przez kanał La Manche na spotkanie z królem Belgów. Miesiące cierpliwych starań miały wreszcie przynieść efekt. Nie wiemy, co robił Leopold, czekając na odkrywcę w swoim gabinecie w pałacu królewskim, ale nie byłoby jednak nierozsądnym sądzić, że ów król-geograf oglądał mapy.

Rzut oka na nie potwierdziłby, że swoje marzenie o posiadaniu kolonii (szczególnie takiej, która byłaby większa od samej Belgii) Leopold mógł spełnić tylko w Afryce. Nie było już ziem niczyich w Ameryce, a katastrofalna wyprawa Maksymiliana i Carloty służyła jako smutne memento tego, co może się stać, gdy próbuje się podporządkować jeden z tamtejszych niepodległych krajów. W Azji też nie było już „białych plam”: Imperium Rosyjskie rozciągało się aż do Pacyfiku, Francuzi zajęli Indochiny, Holendrzy Indie Wschodnie, a większość Azji Południowej - od Adenu po Singapur - była na mapach oznaczona właściwym Brytyjczykom kolorem różowym. Zostawała tylko Afryka<sup>124</sup>.

Stanley przeszedł z biegiem Konga około dwóch i pół tysiąca kilometrów. Bez wątplenia nie widział całej rzeki, choć gdy pierwszy raz dotarł do Konga - w jego górnym biegu - rzeka miała już półtora kilometra szerokości. Jej pełne zbadanie miało zająć całe lata, ale Leopold, który zaczytywał się artykułami prasowymi Stanleya, z grubsza wiedział już, co takiego odkrył podróżnik.

Ostatecznie poznano liczby. Dorzecze Konga obejmuje ponad cztery miliony kilometrów kwadratowych, więcej, niż mają całe Indie. Szacuje się, że dysponuje jedną szóstą światowego potencjału hydroenergetycznego. Dla aspirującego budowniczego imperium w XIX wieku najważniejsze było jednak to, że rzeka i jej rozległa sieć dopływów zapewniały prawie ponad jedenaście i pół tysiąca kilometrów połączonych ze sobą dróg rzecznych - już istniejącą sieć komunikacyjną, z którą mało co na Ziemi mogło się równać. Rozłożone na części parowce mogły być transportowane wokół wielkich katarakt i składane ponownie w

górnym biegu rzeki. Drewna, koniecznego do opalania kotłów, było w bród - większość żeglownych rzek płynęła przez szybko rosnący, zajmujący połowę dorzecza las deszczowy.

O ludziach zamieszkujących dorzecze Konga Europejczycy wciąż nie wiedzieli zbyt wiele. Kiedy nie trzymał ich na muszce, Stanley widział w nich przede wszystkim źródło zaopatrzenia - ludzi, od których można dostać jedzenie w zamian za błyskotki lub kawałek materiału. Dokonał jednak dwóch ważnych spostrzeżeń na temat mieszkańców tych ziem. Po pierwsze, nie byli zagrożeniem: ponad trzydzieści stoczonych przez niego potyczek pokazało, że dzidy, strzały i rozpadające się muszkiety nie mogą się równać z nowymi, odcylkowymi karabinami Snidera. Po drugie, że wzdłuż biegu Konga, kluczowego z transportowego punktu widzenia, nie istniało żadne silne państwo, które trzeba by najpierw podbić. W trakcie dalszych podróży wzdłuż dopływów Konga odkryto, co prawda, kilka dużych królestw, ale osłabionych przez łowców niewolników, od stuleci najeżdżających je tak ze wschodu, jak i z zachodu. Miejskowe ludy były zazwyczaj niewielkie. Jak wkrótce pokazały kolejne ekspedycje, ziemie te zamieszkiwało ponad dwieście różnych grup etnicznych, mówiących ponad czterystoma językami i dialektami. Przy takim rozdrobnieniu potencjalnych przeciwników podbój miał się okazać dość łatwy.

W 1878 roku, kiedy oczekiwał na przybycie Stanleya, Leopold miał czterdzieści trzy lata. Wyzbywszy się niezręcznej, młodzieńczej pedantyczności, nauczył się znakomicie odgrywać rolę monarchy. Choć trzydziestosiedmioletni Stanley był o głowę niższy od króla i nie czuł się pewnie ze swoją podstawową znajomością francuskiego, też wiele osiągnął. Ledwie trzynaście lat wcześniej leniwy dezertor z marynarki, teraz był poczytnym pisarzem, uznawanym za jednego z największych żyjących odkrywców. Na okładkach gazet widniała jego surowa, wąsata twarz, zawsze spoglądająca spod tak zwanej czapki Stanleya, zaprojektowanej według jego własnego pomysłu: wysokiej, otoczonej wianuszkami otworów wentylujących, z rondem osłaniającym oczy oraz welonem - materiałem osłaniającym przed słońcem uszy i kark. Dla nas owo nakrycie głowy wygląda jak coś pomiędzy kepi Legii Cudzoziemskiej a czapką portiera, co - w pewien sposób - dobrze oddaje charakter Stanleya: z jednej strony silnego, surowego herosa o pewności siebie zdolnej przenosić góry, z drugiej zaś wrażliwego, nieślubnego dziecka z klasy pracującej, nerwowo zabiegającego o akceptację możliwych. Na zdjęciach widać obie strony charakteru odkrywcy: jego wzrok wyraża zarówno zdecydowanie, jak i wrażliwość.

W czasie pierwszego spotkania Leopold natychmiast rozładował napięcie Stanleya, zwracając się do niego w płynnym angielskim. Ci dwaj mężczyźni, którzy spotkali się owego czerwcowego dnia w pałacu królewskim, reprezentowali dwa rodzaje ludzi, które wkrótce staną się powszechne. Dowódcy oddziałów grabiących Afrykę, biali mężczyźni prowadzący żołnierzy do buszu, noszący aparaty pomiarowe, kierujący ogniem strzelb i karabinów maszynowych, stawiający czoła malarii, dyzenterii, tyfusowi pochodzili często - tak jak Stanley - z niższych lub najniższych warstw społeczeństwa. Dla nich Afryka była szansą na zdobycie pieniędzy i sławy oraz na społeczny awans. Największe fortuny w „wyścigu o Afrykę” zdobywali jednak ci ludzie, którzy rozpoczynali karierę, mając już wielkie fortuny - tak jak Leopold.

Choć jego życie toczyło się w luksusie jachtów i pałaców, z nich dwóch to Leopold był mądrzejszy i więcej wiedział o świecie. Oszacował ambicję Stanleya, ogromną zdolność do ciężkiej pracy, głód nieustannych pochlebstw i potrzebę posiadania mecenasa. Stanley, wciąż boleśnie rozczarowany brakiem zainteresowania Kongiem ze strony Brytyjczyków, był zachwycony spotkaniem z monarchą, który podziwiał jego dokonania i chciał, by dokonał jeszcze więcej.

Po spotkaniu resztę 1878 roku Stanley spędził na podróżach po Europie, promując *Przez czarny kontynent*, spotykając się z członkami nowo powstałego paryskiego Klubu Stanleya i przyjmując wszędzie wyrazy uznania. Leopold wysyłał za nim emisariuszy i wiadomości, chcąc utrzymać jego zainteresowanie współpracą z belgijskim monarchą. Przed końcem roku uzgodnili warunki, na jakich Stanley powróci do Konga, tym razem w służbie króla. Kontrakt został zawarty na pięć lat, za czas spędzony w Europie Stanley miał otrzymać 25 tysięcy franków rocznie, a za czas spędzony w Afryce - 50 tysięcy franków (z grubsza 250 tysięcy dzisiejszych dolarów). Rzecz jasna, Leopold miał również w całości pokryć koszty ekspedycji towarzyszącej Stanleyowi.

Uzgodniono, że pierwszym krokiem Stanleya będzie ustanowienie bazy w pobliżu ujścia rzeki, a następnie zbuduje drogę omijającą katarakty, prowadzącą przez niedostępne Góry Kryształowe - podwaliny pod przyszłą kolej. Tragarze przetransportują nią kilka podzielonych na części łodzi parowych, które Stanley następnie złoży i wykorzysta do podróży w górę rzeki, zakładając wzdłuż głównego biegu Konga sieć faktorii handlowych. Później będzie mógł napisać książkę o swoich przeżyciach - ale to Leopold będzie miał prawo

do jej zredagowania.

Bogactwem, na które Leopold miał największą nadzieję natrafić w Kongu, była kość słoniowa. Europejscy i amerykańscy kupcy chętnie kupowali afrykańską kość słoniową na targach Zanzibaru. Ponieważ łatwo się w niej rzeźbiło, w XIX wieku kość słoniowa była odpowiednikiem dzisiejszego plastiku, dodatkowo atrakcyjnym z powodu swego egzotycznego pochodzenia - jej znaczenie rosło wraz z popularnością afrykańskich odkrywców. Ze słoniowych kłów rzeźbiono rękojeści noży, kule bilardowe, grzebienie, wachlarze, serwetniki, klawisze pianin i organów, figury szachowe, krucyfiksy, tabakiery, broszki, statuetki, a także - co było dalekim echem ich oryginalnej funkcji - protezy zębów. Choć kość słoniowa musiała być transportowana z głębokiego interioru, jej wysoka cena i niska dostępność sprawiały, że mimo wszystko była dla kupców atrakcyjnym towarem, tak jak narkotyki czy metale szlachetne. Z pary słoniowych kłów, ważących około pięćdziesięciu kilogramów, można było zrobić kilkaset klawiszy lub tysiące sztucznych zębów. Handlarze kością słoniową woleli kły słoni afrykańskich niż azjatyckich, a spośród wszystkich największe kły miały słonie z Afryki Równikowej. Stanley odkrył, że kość słoniowa była tak powszechnie dostępna, że w miejscowych domach używano jej do obramowywania drzwi.

Na razie jednak owe bogactwa musiały poczekać kilka lat, aż Stanley zbuduje planowaną drogę. W szczegółowym budżecie przygotowanym dla króla Stanley nie pominął niczego: małych łodzi, drewnianych budowli w częściach, lin, narzędzi, afrykańskich tragarzy, europejskich nadzorców. Wśród nich znajdowali się dwaj młodzi Anglicy, którzy - zgodnie ze zwyczajem Stanleja zatrudniania ludzi niekompetentnych - nigdy wcześniej nie opuścili swojego kraju. Przyjmując do pracy nowicjuszy, mógł później narzekać na ich brak doświadczenia: „Na żadnej wyprawie nie miałem przyjaciela, nikogo, kto mógłby być moim równoprawnym towarzyszem, może z wyjątkiem Livingstone’a (...). Jak ktoś, kto przeżył tyle wojen, mógłby być zrozumiany przez kogoś, dla kogo najbardziej poruszającym widokiem było krwawienie z nosa?”<sup>125</sup>.

Stanley był na tyle rozsądny, by zażądać od Leopolda zapłaty z góry. Pomimo wielu podpisanych kontraktów nie było bowiem jasne, dla kogo tak naprawdę pracował: czy dla samego króla, czy dla zdającego się zamierać królewskiego Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego, czy wreszcie dla nowej, nieco tajemniczej instytucji zwanej Komitetem do Zbadania Górnego Konga? Oficjalnie udziałowcami Komitetu była grupa

holenderskich i brytyjskich biznesmenów oraz pewien belgijski bankier, który w rzeczywistości obracał sporymi udziałami samego Leopolda. Przewodniczącym Komitetu był zaufany poplecznik króla, pułkownik Maximilien Strauch.

Leopold chciał, by w jego ambitnych planach widziano jedynie gest filantropii. Kontrakty, jakie musieli podpisać europejscy współpracownicy Stanleya, zakazywały im ujawniania czegokolwiek na temat ich prawdziwego zadania<sup>126</sup>. Leopold zapewniał dziennikarzy, że „planowane są jedynie badania naukowe”<sup>127</sup>. Gdy ktoś chciał dociekać głębiej, król wskazywał klauzulę w statucie Komitetu, która wyraźnie zakazywała mu dążenia do celów politycznych. Król chciał chronić się przed powszechnym w Belgii przekonaniem, że dla tak małego kraju kolonia będzie kosztowną ekstrawagancją. Za wszelką cenę nie chciał też zwracać uwagi potencjalnych rywali na ten apetyczny kawałek afrykańskiego tortu - szczególnie Francji, która zaczęła w tym względzie wykazywać pewne zainteresowanie.

W lutym 1879 roku Stanley zaokrętował się na parowiec pod pseudonimem M. Henri i ponownie wyruszył do Afryki. Tymczasem w Europie holenderskie przedsiębiorstwo, mające kluczowe udziały w Komitecie do Zbadania Górnego Konga, zbankrutowało, a jego szef miał uciec do Nowego Jorku i zatrudnić się tam jako dorożkarz. Leopold nie przejął się tym i wykorzystał upadek holenderskiej firmy, by zaoferować wykupienie pozostałych udziałowców Komitetu, którzy z wdzięcznością przystali na tę propozycję. Do końca roku Komitet prawnie przestał istnieć. Ponieważ jednak wciąż był użyteczną zasłoną, król powoływał się na niego, jak gdyby ciągle działał i jakby to udziałowcy - a nie on sam - finansowali Stanleya i podejmowali decyzje. O upadku Komitetu Stanley dowiedział się dopiero rok później.

Aby zaciemnić sprawy jeszcze bardziej i przydać swoim przedsięwzięciom nazwę, która zarazem mogła służyć jako nazwa bytu politycznego, mistrzowski impresario stworzył inną fasadową organizację - Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga. Nazwa miała brzmieć myląco, podobnie do zamierającego Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego, „filantropijnej” organizacji ksiąząt i odkrywców. „Trzeba zadbać o to, aby nie było oczywiste, że Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga i Międzynarodowe Stowarzyszenie Afrykańskie są dwiema różnymi instytucjami - instruował Leopold swojego doradcę. - Opinia publiczna nie zorientuje się”<sup>128</sup>. Aby ją jeszcze bardziej skonfundować, nowe Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga, podobnie jak nie działający już Komitet do Zbadania Górnego Konga,



używało flagi Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego, przyjętej z wielką pompą na jego pierwszym i ostatnim spotkaniu - złotej gwiazdy na niebieskim tle, mającej symbolizować płomień nadziei w przysłowiowych afrykańskich ciemnościach.

Jeszcze zanim zawarł umowę ze Stanleyem, Leopold starał się ugryźć afrykański tort z innej strony, finansując próby dotarcia do dorzecza Konga ze wschodu. Później były jeszcze trzy takie ekspedycje, nagłośnione w prasie, ale zakończone porażką. W jednej z nich brały udział cztery indyjskie słonie juczne o odpowiednio egzotycznych imionach: Sundergrund, Naderbux, Sosankalli i Pulmalla. Jak się okazało, aby słonie mogły przenieść swój ładunek, pięćdziesięciu ludzi z toporami i maczetami musiało iść przodem, wycinając drzewa i korzenie<sup>\*129</sup>. Słonie, zanim padły z powodu rozmaitych chorób, okazały się marzeniem każdego reportera. Czytelnicy w Europie, śledzący każdy etap tej nieszczęśliwej podróży, nie zdawali sobie sprawy, że naprawdę ważne rzeczy działy się na innym wybrzeżu Afryki, gdzie Stanley po cichu budował drogę wokół katarakt Konga.

W niemal niezauważalny sposób nazwa „Kongo” zaczęła oznaczać nie tylko rzekę, ale i całe terytorium. Gdy opinia publiczna zaczęła zwracać uwagę na nowo powstającą kolonię, król ponownie wspiął się na wyżyny sztuki iluzjonisty. W zależności od publiczności kurtyna za każdym razem odsłaniała inną scenografię. Henry Shelton Sanford, członek rady nadzorczej Leopoldowego przedsięwzięcia, Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego, przedstawiał je niemal jako Travelers Aid<sup>\*\*</sup>. W czasie podróży do Nowego Jorku w 1879 roku, gdzie chciał zadbać o swoje nieintrajne przedsięwzięcia, Sanford wygłosił mowę, w której zapewnił, że celem króla jest „założenie sieci przytułków, gościnnych, ale i naukowych, mających służyć jako ośrodki informacji i pomocy dla podróżnych (...), a wreszcie, przez swój humanizujący wpływ, zapewnić zniesienie handlu niewolnikami”<sup>130</sup>. Jak zapewniał Leopold w artykule opublikowanym w londyńskim „Timesie”, jego nowe Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga było czymś w rodzaju „Towarzystwa Czerwonego Krzyża; utworzonym w zaszczytnym celu świadczenia nieustającej i bezinteresownej służby sprawie postępu”<sup>131</sup>. Przemawiając do bardziej wojskowo nastawionych Niemców, Leopold gładko zmieniał scenografię, porównując swoich ludzi do krzyżowców. Niemal wszyscy dali się zwieść. Baronowa Burdett-Coutts, brytyjska patronka misjonarzy, podarowała mu aż 50 tysięcy franków na jego humanitarne przedsięwzięcia. W Stanach Zjednoczonych pewien pisarz ogłosił, że wielkie dzieło Leopolda „wystarcza, by Amerykanin znów uwierzył w monarchów”<sup>132</sup>.

Tymczasem Leopold rozpuścił wieść, że Stanley ma położyć w Kongu podwaliny pod „konfederację wolnych murzyńskich republik”<sup>133</sup>, których prezydent miałby mieszkać w Europie i władać z pomocą belgijskiego monarchy. Taka wizja, przypominająca unię stanów, trafiała zwłaszcza do amerykańskich odbiorców. Z kolei Europejczykom król opowiadał o wolnych miastach: „Brema, Lubeka, Hamburg od dawna są wolnymi miastami - pisał jeden z jego doradców. - Dlaczego tak samo nie miałoby być w Kongu?”<sup>134</sup>. Ci, którzy znali kulisy, wiedzieli jednak, że w każdym przypadku wolność była tylko rekwizytem, który miał być usunięty, gdy opadnie kurtyna. Jak jeden z podwładnych Leopolda napisał bez ogródek do Stanleya: „Nie ma mowy o przyznawaniu Murzynom jakiegokolwiek władzy politycznej. To byłoby absurd. Całą władzę zachowają biali ludzie, dowódcy posterunków”<sup>135</sup>.

\*

Przez pięć lat Stanley był w Kongu człowiekiem Leopolda. Energia odkrywcy była skierowana nie przeciwko ludziom, ale przede wszystkim przeciwko nieprzyjaznej przyrodzie. Jego drużyna wyrąbała trakt wokół katarakt, bardziej szlak niż drogę, w niektórych miejscach wykorzystując już istniejące ścieżki, a w innych przedzierając się przez zarośla i las, zasypując parowy i przerzucając przez wąwozy mosty z bali. Następnie szlakiem tym przetransportowano ponad pięćdziesiąt ton zapasów i sprzętu. Zwierzęta juczne, takie jak konie i woły, nie dawały rady kongijskiemu klimatowi i chorobom, więc zapasy przenoszone były na barkach tragarzy.

Po dwóch latach budowania drogi, przenoszenia i holowania u szczytu katarakt zostały złożone dwie małe łodzie parowe, które wyruszyły w górę rzeki, by wysadzać brygady mające ustanowić na jej brzegach kolejne bazy. Nazwy nie pozostawiały wątpliwości, czyja miała to być kolonia. Placówka, w której mieściły się zarówno forteca, jak i ogród warzywny, założona u szczytu wielkich katarakt, w miejscu, w którym słychać było ich grzmot, została ochrzczone mianem Leopoldville. Nad nią wznosiło się Wzgórze Leopolda. Wkrótce na mapach pojawiły się Jezioro Leopolda II i Rzeka Leopolda. Jedną z późniejszych łodzi - którą przez jakiś czas kierować będzie najsłynniejszy oficer marynarki Konga - otrzymała nazwę „Roi des Belges” (Król Belgów).

Stanley był ciężkim pracodawcą. „Najlepszą karą jest żelazo - wyjaśniał w jednym z listów do Brukseli - gdyż zostawia wstyd i niewygodę, nie raniąc, nie okaleczając i nie torturując ciała”<sup>136</sup> (oczywiście białych nie zakuwano w kajdany, jedynie czarnych). Jeszcze groźniejsze od gniewu Stanleya były choroby i inne niebezpieczeństwa. Tylko w pierwszym roku zmarło sześciu Europejczyków i dwudziestu dwóch Afrykanów, pozostających pod jego dowództwem, w tym jeden pożarty przez krokodyla.

Po raz pierwszy możemy zobaczyć Stanleya w Afryce oczami kogoś innego. Gdy Paul Nève, inżynier pokładowy, zachorował, napisał do domu:

Pan Stanley bardzo się o mnie troszczył w czasie tych trudnych dni (...) był to rodzaj troski kowala, który stara się naprawić kluczowy przyrząd, zepsuty z powodu zbyt brutalnego traktowania (...) z zębami zaciśniętymi w gniewie, kuje go raz za razem na kowadle, zastanawiając się, czy będzie go musiał wyrzucić, czy też będzie go mógł użyć ponownie<sup>137</sup>.

Nève zmarł kilka tygodni później.

Sam Stanley pewnie nie miałby nic przeciwko porównaniu go do kowala. „Na każdego mile uśmiechniętego tubylca spoglądam w taki sam sposób, w jaki rolnik patrzy na swoje silne dziecko; jak na przyszłego rekruta do zastępu żołnierzy-robotników”<sup>138</sup>. W tym właśnie okresie, gdy tak ciężko eksploatował swoich ludzi, Afrykanie obdarzyli go przydomkiem Bula Matadi albo Bula Matari, czyli „jajogniot”, co sam Stanley wolał tłumaczyć wznioślej jako „łamacz skał”<sup>139</sup>. Twierdził, że tytuł ten nadano mu po tym, gdy zademonstrował zatrwożonym Afrykanom, jak używać młota oburęcznego, a także kiedy w trakcie budowy traktu przez Góry Kryształowe zobaczyli wysadzanie wielkich głazów za pomocą dynamitu.

W swoim opisie wydarzeń niezadowolony Stanley prycha na Afrykanów, z definicji leniwych, oraz na mających „słabą wolę” białych. Nauczają „ewangelii przedsiębiorczości”, ogłaszając, że „pożądany jest europejski pośrednik mający swój dom w Europie, ale serce w Afryce (...). Są oni misjonarzami handlu, przystosowanymi jak nigdzie indziej do warunków panujących w basenie Konga, gdzie jest tak wielu ludzi leniwych”<sup>140</sup>. Najbardziej napastliwy i żarliwy jest właśnie wtedy, gdy jego instynkt przedsiębiorczości styka się z wiktoriańską pruderią. Ma nieustanną obsesję na temat wydobywania „nieubranych i przesadnie

wytatuowanych” Afrykanów z ich „niezmieszanej nagości”<sup>141</sup> i odziewania ich w europejskie ubrania:

Widzę dla Afryki wspaniałą przyszłość, jeśli jakimś zrzędzeniem losu uda mi się przekonać miliony ciemnych z interioru, by odrzucili precz swoje odzienia z trawy i przywdziali (...) używaną odzież (...) Jakiż rynek otwiera się tu na stare ubrania! Odzież odrzucona przez europejskich wojskowych bohaterów, klubowych lokajów, wygalantowanych służących dzisiejszych faraonów, fraki prawników, kupców czy Rothschilda; a może nawet poważny ubiór mojego wydawcy, wszystkie one mogą być noszone przez kongijskich wodzów<sup>142</sup>.

Gdy Stanley wędrował w tę i we w tę przez nierówną, parną okolicę, nadzorując budowę, starannie dbał o swój wygląd, codziennie goląc się i czerniąc wąsy. W trakcie tego pobytu - jak zresztą podczas każdej wizyty w Afryce - jego krępe, mocne ciało znosiło choroby, które wielu innych Europejczyków przedwcześnie zabierały z tego świata. Kilka razy majaczył z powodu gorączki i dwukrotnie był bliski śmierci. Pisał, że po jednym z ataków malarii jego waga spadła do czterdziestu pięciu kilogramów, a był tak słaby, że nie mógł ani mówić, ani podnosić rąk. Leżał w namiocie dwa tygodnie, przekonany, że koniec jest bliski, by następnie wezwać swoich europejskich oficerów i afrykańskich robotników, wydać im ostatnie dyspozycje, pożegnać się i - jak później twierdził - dać ostatni dowód swojej lojalności: „Powiedzcie królowi (...), że żałuję, iż nie udało mi się dokończyć misji, którą mi powierzył”<sup>143</sup>.

Wydobrzeł, ale kilka miesięcy później zachorował ponownie i, nieprzytomny, został zabrany łodzią do Leopoldville. W 1882 roku, ledwo mogąc chodzić, wyruszył na rekonwalescencję do Europy na pokładzie powolnego, portugalskiego parowca. Pomstował później, że pasażerom drugiej klasy i „gorszej rasy” pozwalano na wstęp na pokład klasy pierwszej, gdzie „spluwali, palili i pokładali się w sposób najbardziej socjalistyczny”. Jeszcze gorsza była inwazja pasażerów trzeciej klasy - „kobiet i tuzina półnagich, białych dzieci”<sup>144</sup>.

Dopłynięcie do Europy położyło kres tym niewygodom. Lekarze ostrzegli Stanleya, że powrót do Konga może się dla niego okazać śmiertelny, ale Leopold nalegał - tyle było wszak jeszcze do zrobienia. Król chciał nie tylko zabezpieczyć swoją kolonię, ale też usunąć odkrywcę na kilka kolejnych lat, gdyż ten - zawsze pleciuga - otwarcie mówił prasie o swoich

nadziejach na brytyjskie Kongo. Leopold wykorzystywał swój królewski czar, zwracając się do podróżnika: „Panie Stanley, z pewnością nie myśli pan o zostawieniu mnie teraz, gdy najbardziej pana potrzebuję?”<sup>145</sup>. Po zaledwie dwóch miesiącach Stanley wrócił do Konga, równocześnie walcząc z nawrotem choroby oraz wydając dyspozycje w kwestii nowych dostaw sprzętu i zapasów.

Mając w zasięgu ręki swą wielką zdobycz, Leopold chciał zająć w Kongu tyle ziemi, ile tylko zdoła i chciał jej natychmiast. W jego instrukcjach i listach, wysyłanych w tym okresie do Stanleya, widać narastającą żądzę:

Pozwalam sobie skorzystać z nadarżającej się okazji i wysłać Panu kilka zdań w mojej kiepskiej angielszczyźnie. (...) Koniecznym jest, by kupił Pan (...) tyle ziemi, ile tylko będzie Pan w stanie, i jak najszybciej, bez chwili zwłoki powierzał ją sukcesywnie (...) władzy (...) wodzów z rejonu od ujścia Konga do Stanley Falls. (...) Gdy otrzymam wiadomość, że niezwłocznie wykona pan powyższe instrukcje, wyślę Panu więcej ludzi i więcej zapasów. Być może chińskich wyrobników<sup>146</sup>.

Mimo zapewnień składanych brytyjskiemu posłowi w Brukseli, że przedsięwzięcie w Afryce „nie ma charakteru handlowego, nie opiera się na wymianie gospodarczej”<sup>147</sup>, Leopold pisał do Stanleya: „Pragnę, by nabył Pan całą kość słoniową, jaką można znaleźć w Kongu, bym mógł kazać pułkownikowi Strauchowi wysłać Panu odpowiednie towary w charakterze zapłaty. Zalecam także, by ustanowił Pan granice i pobierał cło na otwartych drogach. Jest to zupełnie uczciwe i zgodne ze zwyczajami każdego kraju”<sup>148</sup>.

Leopold i Stanley wiedzieli, że wokół dorzecza Konga zaczynali węszyć inni Europejczycy. Ich głównym zmartwieniem był hrabia Pierre Savorgnan de Brazza, oficer francuskiej marynarki i odkrywca, który wylądował na północnym brzegu rzeki i wyruszył w głąb lądu. Pewnego dnia, gdy Stanley ciągle budował trakt wokół katarakt, w zdumienie wprowadził go widok pewnego grzecznego Francuza w białym hełmie i granatowym surducie, który pojawił się w jego namiocie. Jeszcze większe zaskoczenie czekało go przy Stanley Pool, gdzie dowiedział się, że de Brazza podpisał traktat z miejscowym wodzem, na mocy którego Francja otrzymywała pas północnego brzegu rzeki. De Brazza wywiesił francuską flagę i pozostawił sierżanta na czele nowej placówki.

Stanley nie znosił konkurencji i jego głośna rywalizacja z de Brazzą ciągnęła się kilka kolejnych lat. Twierdził, że traktat zawarty przez francuskiego odkrywcę opierał się na oszustwie - jego rywal nazywał Stanleya wojowniczym nieprzyjacielem Afrykanów. Paryska prasa była zachwycona. Leopold, spiskując ze Stanleyem, jak przechrzyć de Brazzę, za jego plecami zaprosił Francuza do Brukseli i obdarował go Orderem Leopolda, bezskutecznie próbując go zatrudnić.

Perypetie Stanleya i de Brazzy zaczęły wzbudzać zainteresowanie w Europie. Zgrzybiała Portugalia przypomniała sobie o swoich starych roszczeniach do ziem u ujścia Konga. Wsparła ją Wielka Brytania, zaniepokojona francuskimi działaniami w Kongu. Leopold czuł, że nie ma czasu do stracenia.

Stanley, sam pod presją, wymógł na swoich ludziach jeszcze większe tempo. Wrzeszczał na białych podwładnych, którzy pili za dużo albo pozwalali, by ziemia wokół przystani zarastała trawą. „Ci ludzie sprawiają mi większe kłopoty niż wszyscy Afrykanie zebrani do kupy. Wzbudzają we mnie takie obrzydzenie, że wolałbym być całe życie pucybutem niż niańką tych kreatur, które (...) nie mają prawa określać się mianem ludzi”<sup>149</sup>. Choć jego kariera w obu armiach wojny secesyjnej była krótka i niezbyt chwalebna, w głębi duszy Stanley pozostał wojskowym. Lubił porządek i dyscyplinę, będąc groźnym, ale skutecznym dowódcą. Z czasem zgromadził potężną prywatną armię, wyposażoną w tysiące szybkostrzelnych karabinów, kilkanaście małych dział Kruppa i cztery karabiny maszynowe. Wśród jego zanzibarskich żołnierzy krążyło powiedzenie w suahili: *Bunduki sultani ya bara bara* - działo jest sułtanem interioru.

W międzyczasie Leopold zatrudnił naukowca z Oksfordu, sir Traversa Twissa, by przedstawił uczoną opinię prawną, wspierającą prawo prywatnych kompanii do podpisywania traktatów z lokalnymi wodzami tak, jakby były one suwerennymi krajami. Stanley otrzymał instrukcję, by prowadząc swoje dobrze uzbrojone siły w dół i w górę rzeki, tak właśnie postępować. „Traktaty muszą być jak najkrótsze - rozkazał Leopold - i w kilku artykułach muszą przyznawać nam wszystko”<sup>150</sup>.

Tak było. Gdy Leopold i jego oficerowie skończyli, nad wioskami i ziemiami ponad czterystu pięćdziesięciu kacyków dorzecza Konga powiewała błękitna flaga ze złotą gwiazdą. Teksty traktatów różniły się, ale wiele z nich dawało królowi całkowity monopol handlowy.

Chcąc zatkać usta dociekliwym w Europie i Ameryce, Leopold obstawał przy twierdzeniu, że otwiera Afrykę na wolny handel. Najważniejsze było jednak to, że wodzowie oddali swoje ziemie Leopoldowi i zrobili to za bezcen. W Isangila, niedaleko wielkich katarakt, Stanley kupił ziemię pod faktorię, płacąc kilku wodzom „sutymi zapasami dobrych tkanin, lokajskich liberii i ozdobionych paciorkami mundurów, bogatym asortymentem towarów handlowych (...), nie wspominając o kilku butelkach dżinu”<sup>151</sup>. Zdobywcy Afryki, tak jak zdobywcy Dzikiego Zachodu, uważali alkohol za równie skuteczny jak karabiny maszynowe.

Samo słowo „traktat” było eufemizmem, gdyż wielu wodzów nie miało pojęcia, co właściwie podpisywali. Jedynie kilku widziało wcześniej pismo, a byli proszeni o złożenie swoich „iksów” na dokumencie napisanym w obcym języku prawniczym. Zawarcie porozumienia o przyjaźni pomiędzy dwoma klanami czy dwiema wioskami było do pomyślenia, ale oddawanie czyjejś ziemi komuś po drugiej stronie oceanu już nie. Czy na przykład wodzowie Ngombi i Mafela wiedzieli, co podpisywali 1 kwietnia 1884 roku? W zamian za „jedną sztukę tkaniny miesięcznie dla każdego z podpisanych wodzów, a także tkaninę wręczoną od razu”, obiecali „z własnej woli, w imieniu swoim, swoich dziedziców i wszystkich następców (...) przekazać wymienionemu Stowarzyszeniu zwierzchność nad wszystkimi terytoriami i wyłączone prawo do władania nimi (...) oraz wspierać pracą lub w inny sposób działania usprawniające i ekspedycje, jakie wymienione Stowarzyszenie będzie od czasu do czasu wysyłać na te ziemie. (...) Wszystkie drogi lądowe i rzeczne na terenie kraju, prawo pobierania na nich ceł, prawo do polowań, połowów, górnictwa i lasów będą wyłączną własnością wymienionego Stowarzyszenia”<sup>152</sup>.

Pracą lub w inny sposób. Tkaniny rozdawane przez Stanleya kupiły nie tylko ziemię, ale też siłę roboczą. Był to jeszcze gorszy układ niż ten, jaki zawarli Indianie, sprzedając Manhattan.

\*

Jakie społeczności żyły na tych ziemiach, które - przy nieświadomości ich mieszkańców - Stanley pracowicie zajmował dla króla Belgów? Nie ma na to prostej odpowiedzi, ale gdyby nałożyć mapę Kongo na mapę Europy, Kongo rozciągałoby się między Zurychem, Moskwą i środkową Turcją. Było tak duże jak całe Stany Zjednoczone na wschód

od Missisipi. W większości zajmowały je lasy deszczowe i sawanna, ale także wzgórza wulkaniczne oraz pokryte śniegiem i lodowcami góry, niektóre wyższe od Alp.

Ludzie zamieszkujący to ogromne terytorium byli tak zróżnicowani jak ono same: od obywateli wielkich, skomplikowanych organizacyjnie królestw aż do Pigmejów z deszczowego lasu Ituri, którzy żyli w niewielkich grupach, nie mieli wodzów i żadnej formalnej struktury władzy. Królestwa, których stolice były dużymi miastami, położone były na sawannie, gdzie długodystansowe podróże były łatwiejsze. W lesie deszczowym, gdzie drogę trzeba było wyrąbywać w gęstym, szybko rosnącym poszyciu, społeczności były przeważnie mniejsze. Mieszkańcy lasu byli półnomadami: na przykład kiedy grupa Pigmejów zabiła słonia, na tydzień lub dwa tygodnie ucztowania zakładano wokół niego tymczasową osadę, gdyż łatwiej było przenieść wioskę niż słonia<sup>153</sup>.

Choć niektórzy z mieszkańców Konga - jak choćby Pigmeje - żyli w pokoju, błędem byłoby uważać ich wszystkich za wzorce pierwotnej niewinności. Wielu praktykowało niewolnictwo oraz rytualny kanibalizm, a wojny prowadzili równie chętnie jak wiele innych ludów w innych częściach świata. Konflikty zbrojne prowadzone w tej części Afryki, gdzie odcięta głowa lub ręka była dowodem na pokonanie wroga, były tak samo krwawe jak wszędzie indziej<sup>154</sup>. W niektórych rejonach Konga kobiety były okaleczane - jak ma to miejsce i dziś - przez wycinanie im łechtaczek, co było bardzo okrutnym rytuałem inicjacyjnym.

Jak wiele ludów, rdzenni mieszkańcy dorzecza Konga nauczyli się żyć w harmonii z przyrodą. Niektóre plemiona stosowały *de facto* planowanie rodziny, na przykład pary powstrzymywały się od seksu przed tym, jak mężczyźni wyruszali na łowy, lub wtedy gdy kobieta karmiła piersią. Niektóre liście i kora zawierały substancje mające właściwości antykoncepcyjne lub poronne. Te metody planowania rodziny były uderzająco podobne do tych, które stosowano w innym wielkim lesie deszczowym, w Amazonii.

Największe wrażenie robiło rękodzieło ludów Konga: kosze, maty, ceramika, wyroby z miedzi i żelaza, a nade wszystko z drewna. Musiały minąć dwie dekady, zanim Europejczycy naprawdę docenili tamtejszą sztukę. Jej odkrycie miało silny wpływ na Braque'a, Matisse'a i Picassa, który do śmierci miał w swojej pracowni afrykańskie dzieła sztuki. Kubizm był nowością tylko dla Europejczyków, gdyż jego powstanie częściowo



związane było ze sztuką afrykańską, na przykład ludów Pende i Songye, zamieszkujących dorzecze rzeki Kasai, jednego z głównych dopływów Konga.

Łatwo dostrzec ową charakterystyczną wspaniałość, która tak ujęła Picassa i jego kolegów, gdy na wystawie w Paryżu w 1907 roku zetknęli się z nią po raz pierwszy. W rzeźbach z Afryki Środkowej niektóre części ciała są powiększone, a niektóre zmniejszone; oczy wystają, policzki się zapadają, usta zanikają, wydłużają się torsy; oczodoły powiększają się, zajmując niemal całą twarz; twarze i postaci łamią się i łączą ponownie na nowe sposoby, zachowując inne proporcje, które wcześniej nie mieściły się w tradycyjnym europejskim realizmie.

Te dzieła sztuki były wytworem kultury, która - w przeciwieństwie do chrześcijaństwa czy islamu - nie czyniła wyraźnego rozróżnienia między tym a tamtym światem, między światem ludzi a światem zwierząt. Na przykład wśród ludu Bolia król był obierany przez radę starszych - przodków, którzy pojawiali się w snach, a także przez dzikie zwierzęta, które sygnalizowały swoje poparcie rykami, kiedy kandydat na króla zostawiany był na noc na specjalnej polanie<sup>155</sup>. Prawdopodobnie to właśnie ta płynność granic dała afrykańskim artystom wolność, której nie odkryli jeszcze ich europejscy odpowiednicy.

\*

W czerwcu 1884 roku Stanley zakończył pracę dla Leopolda i z bagażem pełnym traktatów wyruszył do domu, do Europy. Utyskiwał nieco na chciwość swojego chlebobdawcy: król - narzekał - ma „niebywałą żarłoczność, by połknąć miliony kilometrów kwadratowych, mając przetyk, w którym nie zmieściłby się nawet śledź”<sup>156</sup>. Ale to właśnie Stanley umożliwił owo wielkie połknięcie.

Gdy osiadł w Anglii, by pisać swoje tysiącstronicowe, dwutomowe wspomnienia z wypraw, zorientował się, że otaczająca go Europa wreszcie zauważyła Afrykę. Zaczął się wyścig. Traktat, który de Brazza zawarł nad Stanley Pool, wkrótce doprowadził do powstania francuskiej kolonii na północno-zachodnim brzegu rzeki Kongo. Niemiecki kanclerz Otto von Bismarck też pragnął kolonii w Afryce. Brytyjczycy, mający dotychczas największy przyczółek na kontynencie, zaczęli się niepokoić konkurencją.

Leopold nie miał wątpliwości, że żadne z wielkich mocarstw nie będzie chętne do uznania jego prywatnej kolonii, którą wytyczył mu Stanley. Uznanie dyplomatyczne jest jednak po części kwestią precedensu. Gdy pewien duży kraj uzna istnienie czegoś, inne zazwyczaj podążają jego śladem. Leopold uznał, że jeśli żaden duży, europejski kraj nie wykona tego kroku, będzie musiał poszukać gdzie indziej. Niezauważony na swoim macierzystym kontynencie, król po cichu kontynuował mydlenie oczu całej Europie.

\* Nawet sprowadzenie słoni do Afryki niemal zakończyło się katastrofą. Ze statku, który przywiózł je z Indii, opuszczono je do wody za pomocą lin, ale zamiast posłusznie popłynąć do plaży, słonie próbowały wspiąć się z powrotem na pokład. Gdy za pomocą szalup starano się je holować do brzegu, słonie ciągnęły łodzie na pełne morze.

\*\* Organizacja powstała w Stanach Zjednoczonych w połowie XIX wieku, aby pomagać amerykańskim pionierom zdobywającym Dziki Zachód (przyp. tłum.).

## Z FLORYDY DO BERLINA

NA TRAWNIKU przed Białym Domem zalegał wyjątkowo późny, wiosenny śnieg, gdy prezydent Chester A. Arthur włożył wysoki cylinder i wsiadł do prywatnego wagonu, wypożyczonego mu przez Pennsylvania Railroad, i wyruszył na wakacje na Południe. Swoim współpracownikom powiedział, że doskwiera mu zbyt wysokie ciśnienie oraz inne przypadłości i potrzebuje solidnego wypoczynku na Florydzie. Na wakacje z prezydentem udali się także sekretarz marynarki, lokaj, osobisty sekretarz i francuski kucharz, którego napotkany w pociągu dziennikarz opisał jako „jegomościa obszernego w pasie (...) bez wątpienia dobrego żywiciela”<sup>157</sup>. Po drodze, na Południu, do pociągu dosiadł się pewien przyjaciel prezydenta oraz kilka kuzynek jego zmarłej żony. Gdy za Petersburgiem, w Wirginii, wagon wjechał na tory innej kompanii, wielką wesołość wzbudził siwobrody konduktor, który wkroczył do wagonu i zażądał 47,5 dolara opłaty. Na następnej stacji czekał już telegram, w którym nakazywano mu przepuścić prezydenta za darmo.

W Jacksonville, na Florydzie, prezydenta i jego świtę powitała salwa honorowa z dwudziestu jeden karabinów. Następnie zaokrętowali się na bocznokołowy parowiec i wyruszyli meandrami Rzeki Świętego Jana, której porośnięte cyprysami brzegi zamieszkiwały stada czapli i żurawi. Następnego dnia parowiec zacumował przy polanie, położonej około pięćdziesięciu kilometrów od dzisiejszego Disneylandu, gdzie ekipa przesiadła się do powozów i udała się do eleganckiej plantacji pomarańczy Belair. Skosztowano rozmaitych, nagradzanych gatunków hodowanych tam pomarańczy, a sekretarz marynarki aż wspiął się na drzewo, by zerwać jedną, która mu się szczególnie spodobała. Wieczorem prezydencka świta obejrzała występ sześciu miejscowych czarnych chłopców, śpiewających i grających na banjo<sup>158</sup>.

Chester A. Arthur jest jednym z bardziej zapomnianych amerykańskich prezydentów. Ten sympatyczny człowiek jeszcze kilka lat wcześniej był urzędnikiem celnym w nowojorskim porcie, który musiał ustąpić ze stanowiska z powodu oskarżeń o korupcję i niegospodarność. Powiązania Arthura ze stanową organizacją Partii Republikańskiej sprawiły

jednak, że niewiele później został kandydatem tej partii na wiceprezydenta. Kiedy prezydent James A. Garfield zginął od kuli zamachowca, Arthur wkroczył do Białego Domu w atmosferze niemal powszechnej konsternacji. Wytworny, noszący bokobrody, znakomity opowiadacz i lew salonowy, miłośnik cygar, whiskey i drogich ubrań, Arthur jest prawdopodobnie najlepiej pamiętany z powodu swojego powiedzenia: „Mogę być prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale moje prywatne życie nie jest niczyją, cholerną sprawą”. W trakcie wyprawy na Florydę jego życie prywatne i sprawy kogoś innego splotły się jednak wyjątkowo gładko. Właścicielem plantacji Belair był bowiem generał Henry Shelton Sanford, człowiek, który pomógł Leopoldowi zatrudnić Stanleya.

Sanford nie zadał sobie trudu, by opuścić Belgię i być na Florydzie w trakcie prezydenckiej wizyty. Z właściwą bardzo bogatym ludziom pewnością siebie odgrywał rolę gospodarza *in absentia*. Postarał się, aby prezydenta i jego gości powitał jego osobisty przedstawiciel, a także by ulokowano ich w najlepszych pokojach otoczonego drzewami palmowymi hotelu Sanford House, w miasteczku Sanford, nad brzegiem jeziora. Gdy prezydent i jego goście nie zajmowali się wędkowaniem, łapaniem okoni, pstrągów i sumów, strzelaniem do aligatorów albo pływaniem parowcem po okolicy, większość czasu spędzali w Sanford House. Nie zachowały się rachunki, które wskazywałyby na to, kto zapłacił za ten pobyt, ale z dużym prawdopodobieństwem można uznać, że - tak jak w przypadku podróży koleją - nie był to prezydent.

Ironią losu było to, że ta ogromna plantacja pomarańczy, tak podziwiana przez gości z Waszyngtonu, okazała się tak samo fatalną inwestycją jak wszystkie inne przedsięwzięcia Sanforda. Część zakontraktowanych szwedzkich robotników uznała, że warunki pracy są zbyt ciężkie, i próbowała opuścić plantację, ukrywając się na pokładzie parowca. Rzeźnia, w którą zainwestował Sanford, miała możliwości pięciokrotnie większe od lokalnego zapotrzebowania i zbankrutowała. Przystań długości stu sześćdziesięciu metrów i zbudowany na jej końcu magazyn zmiotła powódź. Zarządca jednego z hoteli w Sanford uciekł z pieniędzmi pracodawcy. Brygadziści nie ustawili ogrodzenia, toteż wałęsające się bydło skubało drzewa pomarańczowe. Wszystko, czego tknął się Sanford, rozpadało się w pył, ale jako wspólnik Leopolda był niezwykle skuteczny<sup>159</sup>.

Sanford był długoletnim zwolennikiem Partii Republikańskiej, do której należał prezydent Arthur. Przez dwa lata korespondował z nim i innymi wysokimi urzędnikami jego

administracji na temat planów Leopolda w Kongu. Teraz, po wizycie prezydenta na Florydzie, był pewien, że go wysłucha, toteż wysłał w tej sprawie kilka kolejnych listów. Siedem miesięcy później Leopold wysłał Sanforda za Atlantyk, chcąc wykorzystać swoje wygodne dojście do Białego Domu. Człowiek, który pełnił niegdyś funkcję amerykańskiego posła w Belgii, został osobistym wysłannikiem króla do Waszyngtonu.

Sanford miał ze sobą specjalny kod, którym miał się porozumiewać z Brukselą: *Constance* znaczyło „negocjacje układają się pomyślnie; przewidywany sukces”; *Achille* oznaczało Stanleya, *Eugénie* - Francję, *Alice* - Stany Zjednoczone, *Joseph* - „prawa suwerena”, a *Émile* - najważniejszą osobę, czyli prezydenta. *Bonheur* (szczęście) znaczyło „układ podpisany dzisiaj”<sup>160</sup>. Leopold chciał układu, który dawałby mu całkowite uznanie przez Stany Zjednoczone jego planów w Kongu.

Sanford wiozł także list króla do prezydenta, który sam zredagował i przetłumaczył. „Całość ziem przekazanych nam przez suwerennych wodzów została przekształcona w niezależne państwa” - oznajmił Leopold, co z pewnością zdumiałoby Stanleya, podówczas kończącego swoją misję w Kongu. Leopold II domagał się od Arthura jedynie „oficjalnej deklaracji, że Stany Zjednoczone [będą] traktować przyjaźnie (...) błękitny sztandar ze złotą gwiazdą, który teraz powiewa nad siedemnastoma faktoriami, siedmioma parowcami biorącymi udział w cywilizacyjnej akcji Stowarzyszenia oraz licznymi ziemiami zamieszkanymi przez kilka milionów ludzi”<sup>161</sup>.

Dwudziestego dziewiątego listopada 1883 roku, zaledwie dwa dni po tym, jak Sanford zszedł na brzeg w nowojorskim porcie i wsiadł do nocnego pociągu do Waszyngtonu, został przyjęty w Białym Domu przez prezydenta Arthura. Jak mówił prezydentowi, a także wszystkim, z którymi spotkał się w Waszyngtonie, wielka misja cywilizacyjna Leopolda bardzo przypominała szczytne działania samych Stanów Zjednoczonych w Liberii, dokąd od 1820 roku przenosili się wyzwoleni amerykańscy niewolnicy, a która niewiele później stała się niepodległym krajem. Był to zresztą wybrany przykład, gdyż to nie amerykański rząd zorganizował osadnictwo byłych niewolników w Liberii, ale właśnie prywatne towarzystwo, takie jak Leopoldowe Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga.

Jak wszyscy aktorzy w profesjonalnym zespole Leopolda, Sanford posługiwał się właściwymi rekwizytami. Twierdził na przykład, że traktaty Leopolda z kongijskimi wodzami

przypominały te, które purytański kaznodzieja Roger Williams, znany obrońca praw Indian, zawarł w XVII wieku na Rhode Island. Tak się wygodnie składało, że Sanford miał ze sobą ich kopie. Co więcej, w liście do Arthura Leopolda zapewniał, że amerykańscy obywatele będą mogli bez przeszkód kupować ziemię w Kongu, a amerykańskie towary będą zwolnione od opłat celnych. Na dowód tego Sanford przedstawił jeden z traktatów zawartych między Leopoldem a jakimś kongijskim wodzem. Traktat ten został jednak uprzednio stosownie zredagowany w Brukseli, gdzie usunięto z niego wszelkie wzmianki o monopolu handlowym, którym został obdarowany Leopold<sup>162</sup>. Nie wiedział o tym nie tylko Arthur, ale i Sanford, który jako gorący zwolennik wolnego handlu sam chciał, by Kongo było otwarte na handel ze Stanami Zjednoczonymi.

Sanford głosił w Waszyngtonie, że cywilizacyjny wpływ Leopolda ukróci praktyki okropnych „arabskich” łowców niewolników. A czy owe „niepodległe państwa”, „niepodległe stany” pod hojnym protektoratem Stowarzyszenia nie były czymś w rodzaju Stanów Zjednoczonych Konga? Co więcej, jak przypomniał Sanford w liście do sekretarza stanu Fredericka Frelinghuysena, Kongo „odkrył Amerykanin” (Stanley bowiem wciąż stanowczo utrzymywał, że urodził się i wychował w Stanach Zjednoczonych)<sup>163</sup>. Minął zaledwie tydzień od przybycia Sanforda do Waszyngtonu, gdy prezydent beztrąsko włączył w swoje doroczne orędzie do Kongresu nieznacznie tylko zmieniony tekst Sanforda o szlachetnych zamiarach Leopolda wobec Konga:

Zasobną i ludną dolinę Konga otwiera na świat towarzystwo nazywające się Międzynarodowym Stowarzyszeniem Konga, którego przewodniczącym jest król Belgów. (...) Tamtejsi wodzowie przekazali Stowarzyszeniu wielkie połacie ziemi, zbudowano drogi, po rzekach kursują parowce, powstały załóżki państw (...) zjednoczonych pod flagą, która zapewnia wolność handlu i zakazuje handlu niewolnikami. Cele towarzystwa są filantropijne. Nie ma ono na celu sprawowania stałej kontroli politycznej, ale dąży do zapewnienia dolinie neutralności<sup>164</sup>.

Leopold był zachwycony, słysząc swoją własną propagandę w ustach amerykańskiego prezydenta. Jego doradca, pułkownik Maximilien Strauch, wysłał wiadomość do Sanforda: „ZACHWYT ÉMILEM”<sup>165</sup>.

Sanford zajął się następnie Kongresem. Wynajął dom pod numerem 1925 na G Street,

kilka przecznic od Białego Domu, i zatelegrafował do Belgii, polecając przyjechać żonie i kucharzowi. Następnie zaczął zapraszać do domu senatorów, kongresmanów, członków gabinetu. Był to zapewne najlepszy okres w życiu Sanforda, którego uprzejmy charakter uczynił bon vivantem i kiepskim biznesmenem, ale zarazem pozwolił stać się skutecznym lobbystą. Miał znakomitą piwniczkę z winami i znany był jako „gastronomiczny dyplomata” prowadzący „gastronomiczną kampanię”<sup>166</sup>. „Cóż za uroczy wieczór spędziliśmy wczoraj w pańskim domu, podjęci prawdziwie po królewsku” - pisał do niego jeden z gości<sup>167</sup>. Często bywał sekretarz stanu Frelinghuysen, a prezydent Arthur i członkowie jego gabinetu otrzymywali w prezencie skrzynki pomarańczy z Florydy.

Zabiegając o poparcie Kongresu dla roszczeń Leopolda w Kongu, Sanford natknął się na niespodziewanego sojusznika. Przewodniczącym senackiej komisji spraw zagranicznych był senator z Alabamy, John Tyler Morgan, były generał Konfederacji\*. Jak większość ówczesnych polityków Południa, przerażała go perspektywa milionów wyzwolonych niewolników i ich potomków, którzy zagrażali istniejącemu porządkowi, domagając się niebezpiecznej „równości”. Groźnie wyglądający, wąsаты senator, niewielki wzrostem, ale głośny w mowie, grzmiał złowieszczą na temat niebezpieczeństw „narzuconej władzy Murzynów”, gdy czarni „narzucają się (...) białym rodzinom”, mogąc „przynieść niewinnym kobietom los gorszy od śmierci”<sup>168</sup>. Morgana już od lat niepokoił „problem” rosnącej populacji czarnych. Jego rozwiązanie, które wielu wspierało, było proste: wysłać ich z powrotem do Afryki!

Morgan, zawsze wzywający do „powszechnego exodusu” czarnych z Południa, w różnych momentach swojej długiej kariery postulował wysłanie ich na Hawaje, na Kubę albo na Filipiny, które były dla niego tak odległe, że jego zdaniem od zawsze były „ojczyzną Murzynów”<sup>169</sup>. Najlepsza byłaby jednak Afryka. Dla Morgana nowe państwo Leopolda wydawało się darem niebios. Czy owo terytorium nie wymaga rąk do pracy? I czy Kongijczycy nie handlowaliby chętniej ze Stanami Zjednoczonymi, gdyby spotkali Amerykanów o takim samym kolorze skóry? Wreszcie czy Kongo nie mogłoby się stać rynkiem zbytu dla nadwyżek bawełny południowych stanów? Jak powiedział później w Senacie, Afryka „z pewnością była przygotowana dla czarnych, tak jak ogród Edenu był przygotowany dla Adama i Ewy. (...) W dorzeczu Konga możemy spotkać najlepsze przykłady murzyńskiej rasy, a amerykańscy Murzyni (...) mogą odnaleźć tam pole do realizacji swoich wysiłków”<sup>\*\*170</sup>.

Sanford w pełni się z tym zgadzał. Choć urodził się w Connecticut, gdy tylko zainwestował na Południu, szybko przyjął poglądy tamtejszych białych biznesmenów, to znaczy: „Wyślijcie ich z powrotem do Afryki”. Kongo mogłoby być, mówił, „ujściem (...) dla przedsięwzięć handlowych oraz ambicji naszych kolorowych odpowiedniejszym niż polityka”<sup>171</sup>. Do końca swego życia promował ten nowy „Kanaan naszych współczesnych Izraelitów”<sup>172</sup>, który mógłby „uziemić owo napięcie, które zbiera się w czarnych chmurach zalegających nad naszymi południowymi stanami”<sup>173</sup>. Sanford i Morgan natychmiast doszli do porozumienia i wkrótce skrzynki pomarańczy zaczęły przychodzić także do senatora Morgana.

Na początku 1884 roku Morgan złożył w Senacie rezolucję wspierającą roszczenia Leopolda wobec Konga, wcześniej wysyłając jej projekt Sanfordowi. Jak każdy lobbysta, który tylko ma taką możliwość, Sanford chciał osiągnąć więcej. W projekcie Morgana mowa była o ziemi „nawadnianej przez rzekę Kongo”, ale lobbysta dodał słowa o „jej dopływach i przyległych rzekach”<sup>174</sup>, co mogło oznaczać całą Afrykę Środkową. Senat złagodził ustawę, ale wkrótce przyjął zmodyfikowaną wersję rezolucji Morgana. Wydał także tysiąc egzemplarzy długiego raportu na temat Konga, podpisanego nazwiskiem Morgana, ale napisanego głównie przez Sanforda. „Bez cienia wątpliwości można zapewnić - czytamy w raporcie - że nigdy jeszcze żadni barbarzyńcy nie przyjęli tak chętnie ojcowskiej opieki dobrotliwego przedsiębiorstwa, jak zrobiły to plemiona Konga. Nigdy jeszcze nie było uczciwszego i realniejszego wysiłku (...) w celu zapewnienia im dobrobytu”<sup>175</sup>.

Zdając sobie sprawę z tego, jak uważnie Partia Republikańska prezydenta Arthura słucha głosu wielkiego biznesu, Sanford przekonał Nowojorską Izbę Handlu do uchwalenia rezolucji, która wspierałaby uznanie przez Stany Zjednoczone Leopoldowego Stowarzyszenia. W czołowych amerykańskich gazetach pojawiły się artykuły chwalcące filantropijną działalność króla, zgodnie z ówczesną praktyką dyskretnie opłacane przez Sanforda. Wielopłaszczyznowa kampania Sanforda była prawdopodobnie najbardziej skomplikowaną akcją lobbystyczną XIX wieku, prowadzoną na rzecz obcego władcy. Wreszcie 22 kwietnia 1884 roku wydała swój owoc. Sekretarz stanu ogłosił, że Stany Zjednoczone Ameryki uznają roszczenia Leopolda II wobec Konga. Były pierwszym krajem, który to uczynił.



Leopold wiedział, że zawdzięczał to Sanfordowi. Wiedział też, że dla „generała” ważniejsze od pieniędzy było królewskie uznanie. Zaprosił zatem na śniadanie żonę Sanforda, Gertrude, która w międzyczasie wróciła do Belgii. „Nie mogę Ci opisać wszystkich pochlebnych rzeczy na Twój temat, jakie powiedział król. (...) Mój drogi, nikt nie mógłby schlebiać Ci bardziej ani być grzeczniejszym wobec mnie niż byli król i królowa”<sup>176</sup>.

W trakcie swojego zręcznego lobbowania w Waszyngtonie Sanford rozdawał dokumenty, które kompletnie mieszały nazwy Międzynarodowego Stowarzyszenia Konga, całkowicie kontrolowanego przez Leopolda, oraz Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego, wówczas już niedziałającego, ale zapamiętanego jako dobroczynne towarzystwo słynnych odkrywców, członków rodów królewskich i wielkich książąt. Wszystkim się one radośnie myliły. Na przykład w oficjalnym dokumencie sekretarz stanu Frelinghuysen w tym samym zdaniu użył obu nazw:

Rząd Stanów Zjednoczonych wyraża swoją aprobatę i zadowolenie z humanitarnych i dobroczynnych celów Międzynarodowego Stowarzyszenia Konga, które będzie administrować - jak to już ma miejsce - w interesie ustanowionych tam Wolnych Państw, a także nakazuje oficerom Stanów Zjednoczonych, zarówno na lądzie, jak i na morzu, by traktowali flagę Międzynarodowego Stowarzyszenia Afrykańskiego jako flagę zaprzyjaźnionego państwa<sup>177</sup>.

Jak większość oficjalnych dokumentów, tak i ten szybko zaginął w archiwach biurokratów. Wkrótce został jednak nieco zmieniony, i to w taki sposób, że uszło to uwadze wszystkich. W bestsellerze Stanleya pt. *Kongo i powstanie Wolnego Państwa: dzieje pracy i badań*, wydanym rok później i przetłumaczonym na wiele języków, użyto już nieco innych słów<sup>178</sup>. Kluczową różnicą było to, że dokument odnosił się już wyłącznie do Międzynarodowego Stowarzyszenia Konga, w całości należącego do Leopolda. Redaktorem, który dokonał zmiany, był najprawdopodobniej sam król, który drobiazgowo, rozdział po rozdziale, poprawiał rękopis Stanleya. Już na długo przed Stalinem, który także miał w zwyczaju osobiście poprawiać rękopisy innych, Leopold zdawał sobie sprawę z tego, jak można wykorzystać napisanie historii na nowo.

„Uznanie Stanów Zjednoczonych tchnęło nowe życie w Stowarzyszenie” - pisał Stanley<sup>179</sup>, i miał rację. Tymczasem kiedy Sanford przygotowywał się do powrotu do Belgii, Leopoldowi udało się dobić podobnego targu we Francji. Król miał swojego człowieka nie tylko w Waszyngtonie, ale i w Paryżu - dobrze ustosunkowanego marszanda Arthura Stevensa. Prowadził on negocjacje bezpośrednio z premierem Jules'em Ferrym, a pewien wpływowy dziennikarz z „Le Temps” co miesiąc otrzymywał sowite honorarium za to, żeby pisał przychylne artykuły na temat działalności króla Belgów w Kongu<sup>180</sup>.

Francuzi nie czuli się zagrożeni ani przez maleńką Belgię, ani przez pretensje Leopolda do wielkich połaci ziemi. Jeśli czegoś się bali, to tego, że Leopoldowi, wydającemu ogromne kwoty na budowę kolei wokół katarakt, skończą się pieniądze - a byli przekonani, że tak się właśnie stanie - i będzie musiał odsprzedać całe terytorium Anglii, głównemu rywalowi Francji. W końcu czy Stanley nie zabiegał wielokrotnie o brytyjskie Kongo?

Leopold doszedł do wniosku, że impulsywne anglofilskie tyrady Stanleya mogą mu właściwie pomóc. „Uważam - wyznał pułkownikowi Strauchowi kilka miesięcy wcześniej, po kolejnym takim przemówieniu Stanleya - że nie powinniśmy tego prostować. Nic się nie stanie, jeśli Paryż będzie się obawiał możliwości ustanowienia brytyjskiego protektoratu nad Kongiem”<sup>181</sup>. Leopold zaproponował rozwiązanie, które miało usmierzyć niepokój Francuzów. Jeśli Francja uzna jego roszczenia, on przyzna jej w Kongu *droit de préférence*, czyli coś, co dzisiejsi pośrednicy nieruchomości nazywają prawem pierwokupu. Uspokojeni Francuzi natychmiast się zgodzili. Byli pewni, że robią znakomity interes, gdyż kolejowe plany Leopolda doprowadzą go do bankructwa i będzie musiał wówczas sprzedać im ziemię.

Amerykanie byli tak oczarowani dobroduszością Sanforda, że nie zadali sobie trudu wyznaczenia dokładnych granic owego odległego terytorium, które uznali za własność Leopolda. Z kolei Francja chciała, by granice, obejmujące cały basen Konga, zostały naniesione na mapę.

W liście do Arthura Leopold użył określenia „niepodległe państwa”. W kolejnych oświadczeniach, w następnych miesiącach, występowało już jednak tylko „państwo”. Samo Stowarzyszenie było „czysto tymczasową organizacją, która przestanie istnieć, gdy wykona swoje zadanie - jak w 1884 roku powiedział pewien belgijski dziennikarz, tłumacząc sposób

myślenia króla<sup>182</sup>. Za pomocą takiego oto kuglarstwa byt, uznawany przez coraz więcej państw, w ciągu kolejnego roku przekształcił się z federacji państw - nad którą łaskawą opiekę sprawowało dobroczynne stowarzyszenie - w jedną kolonię, rządzoną przez jednego człowieka.

Leopold zorientował się, że najtwardszym orzechem do zgryzienia jest niemiecki kanclerz Bismarck. Początkowo chciwość króla wpędziła go w tarapaty. Napisał do Bismarcka, że poza dorzeczem Konga zgłasza też roszczenia do mgliście określonych ziem „opuszczonych przez Egipt, gdzie handel niewolnikami wciąż kwitnie. Zezwolenie [tym prowincjom] na przystąpienie do nowego państwa byłoby najlepszym sposobem na dotarcie do źródła problemu i pozbycie się go”<sup>183</sup>. Bismarck, który nie był głupcem, swój komentarz na marginesie obok tego fragmentu wyraził jednym słowem - „szwindel”. Obok ustępu na temat konfederacji wolnych państw zanotował: „mrzonki”. Gdy Leopold napisał, że dokładne granice nowego państwa lub państw zostaną wytyczone później, Bismarck powiedział do pewnego doradcy: „Jego wysokość przejawia naiwną samolubność chciwego Włocha, któremu wydaje się, że jego urok i dobry wygląd pozwolą mu bezkarnie zrobić wszystko”<sup>184</sup>.

Ostatecznie jednak Leopold przechrzył nawet Żelaznego Kanclerza, znowu posługując się znakomitym pośrednikiem. Gerson Bleichröder, bankier Bismarcka, inwestor alpejskiego Tunelu Świętego Gotarda i wielu innych projektów, cieszył się w Berlinie ogromnymi, zakulisowymi wpływami. Król spotkał go kilka lat wcześniej w Ostendzie, modnym belgijskim kurorcie nadmorskim, i od razu dostrzegł w nim kogoś, z kogo można zrobić dobry użytek. Bleichröder po cichu kupił poparcie dla Leopolda, przewożąc 40 tysięcy franków królewskiej darowizny dla berlińskiego Towarzystwa Afrykańskiego. Informował Brukselę o swoich poczynaniach na niemieckim dworze, aż wreszcie niemal udało mu się przekonać swojego przyjaciela, kanclerza, do poparcia kongijskich roszczeń Leopolda. W zamian Bleichröder otrzymał jakieś kontrakty bankowe od doradców Leopolda, a także szansę na to, by sam zainwestował w Kongu. Pewna pianistka, którą uważano za obiekt jego uczuć, została poproszona o danie recitalu na belgijskim dworze, gdzie król Leopold odznaczył ją medalem<sup>185</sup>.

Wkrótce po powrocie Stanleya do Europy, w lecie 1884 roku, negocjacje króla z Bismarckiem osiągnęły punkt kulminacyjny. Odkrywca był przez pięć dni gościem Leopolda, przebywającego na wakacjach w królewskim *chalet* w Ostendzie, nadmorskiej willi

ozdobionej wieżyczkami i basztami. Król zatrudnił specjalnego kucharza, by co rano przygotowywał dla Stanleya tradycyjne brytyjskie śniadania, i obaj mężczyźni aż do późnej nocy prowadzili długie rozmowy. Gdy Stanley miał już wyjeżdżać, przyszła wiadomość od Bismarcka z pytaniami na temat granic nowego państwa kongijskiego, toteż odkrywca został jeszcze kilka godzin, by narysować je na wielkiej mapie zawieszanej w królewskim gabinecie. Bismarck doszedł do wniosku, że lepiej się stanie, gdy Kongo wpadnie w ręce władcy małej i słabej Belgii, stając otworem dla niemieckich kupców, niż gdyby kontrolę nad nim miały sprawować nastawione protekcjonistycznie Francja, Portugalia albo zgoła potężna Anglia. W zamian za gwarancję wolnego handlu w Kongu (Bismarck, tak jak wszyscy, nie znał pełnej treści traktatów pozawieranych przez Leopolda) zgodził się uznać nowe państwo.

\*

Narastające pragnienia zdobycia nowej ziemi w Afryce stały się w Europie nie do wytrzymania. Aby dalej dzielić afrykański tort, konieczne było jednak rozwiązanie niektórych spornych roszczeń oraz ustalenie pewnych podstawowych zasad. Bismarck zaproponował Berlin jako miejsce konferencji dyplomatycznej, na której miano omówić powyższe sprawy. Dla Leopolda konferencja ta stała się kolejną okazją do mocniejszego pochwycenia Konga.

Piętnastego listopada 1884 roku przedstawiciele europejskich potęg zebrali się przy wielkim stole w kształcie podkowy, za oknem mając ogrody oficjalnej rezydencji Bismarcka przy Wilhelmstrasse. Wśród elegancko przyodzianych ministrów i posłów, którzy zasiedli na swoich miejscach pod sklepionym sufitem i błyszczącym żyrandolem, byli hrabiowie, baronowie, pułkownicy oraz wezyr Imperium Osmańskiego. Bismarck, ubrany w szkarłatny mundur, powitał ich po francusku - *lingua franca* dyplomacji - zasiadł z nimi nad wielką mapą Afryki i delegaci rozpoczęli pracę.

Choć to właśnie Stanley, bardziej niż ktokolwiek inny, rozpałił afrykańską gorączkę ziemi, nawet on czuł się nieswojo, wyczuwając w powietrzu tak wielką chciwość. Przypominało mu to, jak sam pisał: „moich czarnoskórych ludzi, rzucających się z błyskiem noży do dzielenia upolowanej zdobyczy”<sup>186</sup>. Konferencja berlińska była najlepszym ucieleśnieniem epoki, w której nowo odkryty entuzjazm wobec demokracji miał swoje jasne granice, a dzielona zdobycz nie dysponowała prawem głosu. Nawet John Stuart Mill, wielki

filozof i zwolennik ludzkiej wolności, w eseju *O wolności* napisał, że „despotyzm jest uprawnioną metodą rządzenia barbarzyńcami, byleby miał na celu polepszenie ich losu”<sup>187</sup>. Przy stole w Berlinie nie zasiadł ani jeden Afrykanin.

Gdy Stany Zjednoczone i Niemcy uznały jego załączkowe państwo, a z Francją zawarto korzystną umowę pierwokupu, pozycja Leopolda bardzo się wzmocniła. Jego Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga nie było rządem - w istocie delegaci na konferencję sami nie wiedzieli, czym było - toteż oficjalnie nie miało w Berlinie swojego przedstawiciela. Leopold nie miał jednak żadnych problemów z tym, by być we wszystkim na bieżąco. Jego przyjaciel Bleichröder uważnie słuchał tego, co się działo w niemieckiej stolicy, podejmując delegatów na uroczystej kolacji. Do tego sam król miał dojść do co najmniej trzech państwowych delegacji.

Po pierwsze, przedstawiciele Belgii byli jego zaufanymi ludźmi - a w dodatku jeden z nich został mianowany sekretarzem spotkania. Po drugie, Leopold miał nadzwyczajne kontakty w brytyjskim Foreign Office, gdyż osobisty asystent sekretarza spraw zagranicznych był poważnie zadłużony u pewnego przyjaciela króla, przedsiębiorcy, który pomógł sfinansować kongijską wyprawę Stanleya<sup>188</sup>. Co więcej, ekspertem prawnym brytyjskiej delegacji był sir Travers Twiss, który niewiele wcześniej doradzał Leopoldowi w sprawie traktatów z kongijskimi wodzami. Wreszcie kto został mianowany jednym z dwóch amerykańskich delegatów na konferencję? Nie kto inny, ale Henry Shelton Sanford, który niemal codziennie słał depesze do Leopolda. A kto był „doradcą technicznym” amerykańskiej delegacji, mimo iż wciąż był pracownikiem Leopolda? Henry Morton Stanley. W przerwie między posiedzeniami konferencji Leopold wysłał ich obu, aby lobbowali dalej - Sanford w Paryżu, a Stanley w Londynie.

Choć jego rola w Berlinie sprowadzała się głównie do tego, że był marionetką w rękę Leopolda, Stanley był traktowany po królewsku i bawił się świetnie. „Dziś wieczorem miałem zaszczyt wieszczać z księciem Bismarckiem i jego rodziną - zapisał w swoim dzienniku. - Książę jest wielkim człowiekiem, dobrym ojcem, a w towarzystwie swojej rodziny jest urzekająco zwyczajny. (...) Książę zadał wiele pytań na temat Afryki i udowodnił mi, że bardzo dobrze zdaje sobie sprawę z warunków panujących na kontynencie”<sup>189</sup>. Bismarck, zaczynający tworzenie w Afryce okazałego niemieckiego imperium, chciał, by słynny odkrywca rozbudził zainteresowanie Niemców tym kontynentem. Zorganizował dla

Stanleya serię bankietów i wykładów w Kolonii, Frankfurtu i Wiesbaden.

Poza Stanleyem prawie wszyscy uczestnicy konferencji widzieli Afrykę co najwyżej na ilustracjach, które zdobiły menu na bankietach Bismarcka. Gdy ktoś wyrażał wątpliwości i pytał, dlaczego roszczenia Leopolda są takie duże, Stanley mógł wypowiadać się jako ktoś, kto w służbie króla spędził w Kongu pięć lat. Zgodnie z relacją pewnego dyplomaty, na samym początku Stanley podszedł do wielkiej mapy Afryki „i natychmiast przykuł uwagę każdego delegata, przedstawiając szczegółowy opis dorzecza Konga, a wreszcie zapewniając o konieczności połączenia pod jednym rządami sąsiednich ziem, co miało być niezbędne w celu zapewnienia komunikacji”<sup>190</sup>.

Rozpoczęła się wymiana telegramów między Berlinem a Brukselą, gdzie Leopold uważnie śledził każdy ruch. Wbrew temu, co się powszechnie uważa, konferencja berlińska nie podzieliła Afryki - łupy były zbyt wielkie i aby podzielić je wszystkie, trzeba by zawrzeć znacznie więcej traktatów. Rozwiązując jednak niektóre spory terytorialne, konferencja (oraz osobna umowa wynegocjowana przez króla z Francją) bardzo pomogła Leopoldowi; każda strona - król, Francja i Portugalia - otrzymała kawałek ziemi u ujścia rzeki Kongo, ale Leopold dostał to, czego chciał najbardziej - położony w dole rzeki morski port Matadi, a także wystarczająco dużo ziemi, by móc zbudować kolej wiodącą wokół katarakt do Stanley Pool.

Dla Leopolda ważniejsza była sieć bilateralnych porozumień, zawartych na konferencji i później, które uznawały jego nową kolonię i jej granice. Na przykład rozmawiając z Brytyjczykami, zasugerował, że jeśli nie dostanie całej ziemi, do której rości sobie prawa, będzie musiał całkowicie opuścić Afrykę, co oznaczało, że w ramach prawa pierwokupu sprzeda Kongo Francji. Błef zadziałał i Anglia ustąpiła.

Europejczycy wciąż kojarzyli bogactwo Afryki z wybrzeżem, toteż oddawanie Leopoldowi ogromnych terenów w interiorze obyło się właściwie bez konfliktów. Głównym powodem, dla którego udało mu się zagarnąć tak wiele, było przekonanie pozostałych krajów, że tak naprawdę zgadzają się na coś w rodzaju międzynarodowej kolonii - znajdującej się, oczywiście, pod auspicjami króla Belgów, ale otwartej na handel z całą Europą. Poza niedbałymi uzgodnieniami na temat wolności żeglugi, rozwiązywania sporów, chrześcijańskich misjonarzy i tak dalej w Berlinie panowała powszechna zgoda na to, by

ogromne tereny w Afryce Środkowej - w tym ziemie Leopolda w dorzeczu Konga - zostały strefą wolnego handlu.

Konferencja zakończyła się w lutym 1885 roku, gdy złożono podpisy pod porozumieniem i ogłoszono ostatnie przemówienia. Leopold II, który nie brał udziału w obradach, skorzystał na niej najwięcej. Gdy w czasie ceremonii podpisywania padło jego imię, sala zaczęła bić brawo. Kanclerz Bismarck, zwracając się w mowie końcowej do delegatów, powiedział: „Nowe państwo Kongo będzie najważniejszym wykonawcą tego, co zamierzamy uczynić, i pragnę wyrazić moje najszczerze życzenia szybkiego rozwoju i realizacji szczytnych zamiarów jego znamienitego twórcy”<sup>191</sup>. Dwa miesiące później na końcu mowy Bismarcka postawiono spóźniony wykrzyknik. U ujścia rzeki Konga pojawił się okręt marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych „Lancaster”, który salwą z dwudziestu jeden dział oddał honor błękitnej fladze ze złotą gwiazdą.

\*

Większość Belgów nie zwracała uwagi na afrykańską ofensywę dyplomatyczną swojego monarchy, ale gdy już było po wszystkim, ze zdumieniem skonstatowali, że jego nowa kolonia jest większa niż Anglia, Francja, Niemcy, Hiszpania i Włochy razem wzięte. Stanowiła jedną trzynastą afrykańskiego kontynentu i była siedemdziesiąt sześć razy większa od samej Belgii.

Aby wyraźnie rozróżnić swoje dwie funkcje, król Belgów planował początkowo przyjąć tytuł „cesarza Konga”. Rozwahał przyodzianie lojalnych wodzów w ubrania wzorowane na mundurach słynnych Beefeaterów z londyńskiej Tower. Ostatecznie uznał jednak, że zostanie zaledwie „królem-suwerenem” Konga. W późniejszych latach kilka razy określił siebie mianem „właściciela” Konga - bardzo słusznie, gdyż jego głównym celem było wyciśnięcie z kolonii każdego grosza<sup>192</sup>. Swojej władzy jako króla-suwerena kolonii nie dzielił z rządem belgijskim, którego członków, tak jak wszystkich innych ludzi, zaskakiwały doniesienia prasowe, że Kongo ustanowiło jakieś nowe prawo czy podpisało nowy traktat międzynarodowy.

Choć na Konferencji berlińskiej uznano Międzynarodowe Stowarzyszenie

Afrykańskie lub Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga (albo, jak w przypadku skonfundowanego amerykańskiego Departamentu Stanu - oba), Leopold zdecydował o jeszcze jednej zmianie nazwy. Złudzenie, że w Kongu działało filantropijne „Stowarzyszenie”, rozplynęło się. Królewskim dekretem z 29 maja 1885 roku król przemianował swój nowy, prywatny kraj na *État indépendant du Congo*, Wolne Państwo Kongo. Wkrótce miało już swój hymn państwowy - *W przyszłość*. Nareszcie, mając pięćdziesiąt lat, Leopold dostał kolonię, o której marzył od tak dawna.

\* Morgan został przewodniczącym komisji dopiero w 1893 roku (przyp. tłum.).

\*\* Morgan wygłosił tę mowę w czasie debaty nad ustawą, przyznającą środki federalne na wspomnienie emigracji czarnych z Południa. W odpowiedzi konwencja Afroamerykanów w Chicago uchwaliła rezolucję, w której domagała się środków federalnych na pokrycie emigracji białych z Południa, szczególnie zaś od senatora Morgana.



## POD FLAGĄ JACHTKLUBU

GDY JEGO WŁADZA za granicą rosła, w domu życie rodzinne Leopolda układało się coraz gorzej. Szukał ucieczki w łóżkach różnych kochanek, z których jedną Belgowie niezwłocznie ochrzcili „Królową Konga”. W kwietniu 1885 roku, zaledwie sześć tygodni po jego dyplomatycznym triumfie w Berlinie, w brytyjskim sądzie pojawiło się imię króla jako jednego z klientów luksusowego „domu rozwiązłości”, którego sprawę badano na żądanie Londyńskiego Komitetu dla Zlikwidowania Kontynentalnego Handlu Angielskimi Dziewczętami<sup>193</sup>. Jak zeznał były pracownik przybytku, Leopold płacił osiemset funtów miesięcznie za ciągłe dostawy młodych kobiet, z których niektóre miały od dziesięciu do piętnastu lat i, jak zapewniano, były dziewicami. Paryska gazeta doniosła o pogłoskach, jakoby Leopold miał potajemnie popłynąć do Anglii swoim jachtem i zapłacić *madame* istic królewską sumę, byleby jego nazwisko nie pojawiło się więcej. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że sprawę wyciszono z innego powodu - jednym ze stałych klientów burdelu miał być książę Walii. Brytyjski sekretarz spraw wewnętrznych wysłał do sądu specjalnego obserwatora, co było ewidentnie zawołowaną wiadomością dla wszystkich zainteresowanych, że im mniej będą mówić, tym lepiej. Przyznawszy się do winy, *madame* przybytku wykpiła się zdumiewająco niską karą.

Gdy jego najstarsza córka, Luiza, miała siedemnaście lat, Leopold wydał ją za mąż za dużo starszego od niej austro-węgierskiego księcia. Po całodziennych uroczystościach para młoda udała się do zamku Laeken, jednak noc poślubna okazała się dla Luizy tak traumatyczna, że uciekła do zamkowych ogrodów w samej koszuli nocnej i służba musiała ją sprowadzić z powrotem do zamku, gdzie wysłuchała pouczenia matki na temat obowiązków żony. Kilka lat później uwikłała się w sieć długów oraz romans z pewnym oficerem kawalerii. Po tym, jak oficer stoczył pojedynek z jej mężem, austriackie władze uwięziły go i dały Luizie wybór między powrotem do męża a zamknięciem w zakładzie dla obłąkanych. Wybrała zakład, a Leopold przestał się do niej odzywać. Obawiając się dalszej kompromitacji, nakazał, by pilnowano jej szczególnie uważnie. Gdy oficer kawalerii został zwolniony z więzienia, z prawdziwie ułańską fantazją udało mu się wydobyć Luizę z

zamknięcia, lecz wkrótce zmarł. Przez resztę swojego nieszczęśliwego życia Luiza kupowała ubrania w ten sam obsesyjny sposób, w jaki jej ojciec próbował kupować kraje, a mania ta pochłonęła całą jej część królewskiego majątku, a nawet o wiele więcej. Jej wyczerpanym wierzycielom udało się wreszcie zająć i zlicytować część jej garderoby: sześćdziesiąt osiem woalek, dziewięćdziesiąt kapeluszy, dwadzieścia siedem sukni wieczorowych, dwadzieścia jeden jedwabnych lub aksamitnych peleryn oraz pięćdziesiąt osiem parasolek przeciwdeszczowych i przeciwsłonecznych<sup>194</sup>.

Leopold nie był wcale lepszym ojcem dla swojej średniej córki, Stefanii. Gdy miała zaledwie szesnaście lat, zaręczył ją z czarnobrodym arcyksięciem Rudolfem z Austro-Węgier, aby pewnego dnia została cesarzową. Leopold szczególnie zazdrościł Habsburgom, którym - w odróżnieniu od niego - niespecjalnie przeszkadzały konstytucje i parlamenty. Rudolf, przyjeżdżając do Brukseli, by zobaczyć Stefanię po raz pierwszy, wziął ze sobą swoją ówczesną kochankę, co okazało się być ponurym zwiastunem przyszłych wydarzeń.

Wythnienie od rodzinnych katastrof dawały królowi sprawy nowej kolonii. Jak wspominała Luiza, „Kongo było jednym z tematów toczących się wokół mnie rozmów”<sup>195</sup>. W porównaniu ze sprawami rodzinnymi sprawy Konga układały się Leopoldowi znacznie lepiej. Gdy tylko udało mu się znaleźć idealny moment polityczny, żeby zdobyć swoje nowe terytorium, okazało się, że jest to również idealny moment na to, by zacieśnić na nim swój uścisk. Przygotowując się do zbudowania ogromnej kolonii, zorientował się, że dysponuje wieloma środkami, których nie mieli wcześniejsi włodarze imperiów. A były one kluczowe, gdyż wkrótce umożliwiły kilku tysiącom pracujących dla króla białych ludzi podporządkowanie sobie około dwudziestu milionów Afrykanów.

Przede wszystkim miał uzbrojenie. Prymitywne, ładowane od przodu karabiny - najlepsza broń, jaką mogli zdobyć Kongijczycy - były niewiele lepsze od muszkietów, jakich używała armia Jerzego Waszyngtona. Tymczasem, począwszy od lat 60. XIX wieku, Europejczycy mogli polegać na odtylcowych karabinach, które na polach bitew wojny secesyjnej udowodniły swój morderczy potencjał. Strzelały dalej i celniej, nie wymagały także używania prochu - bezużytecznego w czasie deszczu - wykorzystując w zamian wodoodporne, mosiężne, szybko dające się ładować naboje.

Wkrótce pojawił się jeszcze lepszy wynalazek: karabin samopowtarzalny, z którego

można było strzelać dwanaście razy albo i więcej, bez potrzeby powtórnego ładowania. Po nim pojawił się karabin maszynowy. Jak pisał poeta Hilaire Belloc:

Choćby i coś nam poszło źle

Mamy maxima, a oni nie!<sup>196</sup>.

Innym osiągnięciem, które w ciągu dwóch dekad od konferencji berlińskiej pozwoliło Europejczykom zająć całą tropikalną Afrykę, była wiedza medyczna. Odkrywczy z połowy XIX wieku szukali przyczyn malarii wszędzie, od „bagiennych wyziewów” po lunatykowanie, ale bez względu na nie odkryto, że skuteczną obroną przed chorobą jest chinina. Na przełomie wieków malaria i hematuria były już lepiej zbadane. Naukowcy zaznajomili się także z żółtą febrą i innymi chorobami, toteż dotychczas astronomicznie wysoka śmiertelność Europejczyków w tropikach zaczęła spadać.

Wreszcie, z powodu niezwyklej geografii Konga, jedno narzędzie okazało się ważniejsze dla Leopolda niż dla innych imperialistów - łódź parowa, którą już widzieliśmy w działaniu. Afrykanom z Konga znana była jako „dom, który chodzi po wodzie”, albo - ze względu na dźwięk, jaki wydawała - *kutu-kutu*. Przez cały XIX wiek łódź parowa była narzędziem kolonizacji, służąc wszystkim - od Brytyjczyków nad Gangesem, w Indiach, do Rosjan nad Obem i Irtyszem na Syberii. Parowce pływające po Kongu, zarówno bocznokołowe, jak i tylnokołowe, miały markizy chroniące przed tropikalnym słońcem. Zazwyczaj długie i wąskie, płytko zanurzone, mogły pokonywać niezliczone meandry głównej rzeki i jej dopływów. Czasami z markiz zwisały druciane siatki chroniące kapitana i załogę przed strzałami.

W tamtych czasach w żegludze morskiej para zastąpiła żagle, czyniąc długą podróż z Europy wzdłuż wybrzeża Afryki o wiele szybszą i bardziej przewidywalną. Parowce przywiozły do Afryki kolejną falę agentów Leopolda. Do 1889 roku w Kongu pracowało już czterystu trzydziestu białych: kupców, żołnierzy, misjonarzy i zarządców tworzącego się nowego państwa<sup>197</sup>. Mniej niż połowę z nich stanowili Belgowie, gdyż ojczyzna Leopolda wciąż nie wykazywała większego zainteresowania posiadłością króla. Znamienne, że niemal wszyscy kongijscy agenci Leopolda byli oficerami armii Belgii oraz innych europejskich krajów, przebywającymi na przedłużonym urlopie.

Mając ludzi na miejscu oraz narzędzia w ręku, Leopold rozpoczął budowę infrastruktury, niezbędnej do eksploatacji kolonii. Najważniejszy był podstawowy system komunikacji, bez którego bogactwa Konga, jakiegokolwiek by były, można by transportować nad morze jedynie za pomocą tragarzy. W 1887 roku brygada geodetów zaczęła wyznaczać trasę kolei, która omijałaby owe trzysta pięćdziesiąt kilometrów niesławnych katarakt. Moskity, upał, gorączka, skalisty teren pocięty głębokimi wąwozami zebrały swoje żniwo i dopiero po trzech latach robotnicy mogli przystąpić do układania torów.

Gdy rozpoczęto prace, zaczęła rosnąć biurokracja Konga - zarówno w Belgii, jak i w samej kolonii. Henry Shelton Sanford starał się o stanowisko głównego urzędnika kolonialnego w Brukseli, pisząc do żony: „To właśnie taki rodzaj pracy, jaką chciałbym wykonywać, dającej zarówno prestiż, jak i pieniądze, a także satysfakcję z czynienia dobra. (...) Sądzę, że (...) zaproponuję plan działania i zaoferuję moje usługi”<sup>198</sup>. Jego nadzieje okazały się jednak płonne, gdyż Leopold doskonale wiedział, że talent Sanforda do wydawania wystawnych przyjęć w Waszyngtonie nie przekłada się na umiejętność bycia dobrym i surowym administratorem, a tego właśnie oczekiwał król. W zamian Leopold pozwolił Sanfordowi skupywać w Kongu kość słoniową oraz inne surowce, obiecując pomoc (z której - jak się miało okazać - nie wywiązał się) w dostarczeniu tragarzy, wzniesieniu budynków i zapewnieniu transportu rzeczno-terenowego. Sanford Exploring Expedition, jak eufemistycznie nazywało się przedsiębiorstwo, wkrótce podzieliło los innych przedsięwzięć Sanforda<sup>199</sup>. Jak zwykle próbował zarządzać wszystkim z Belgii, aż wreszcie rosnące długi zmusiły go do sprzedaży części kolekcji sztuki i przeprowadzki do mniejszego *château*. W tym samym czasie jego zarządcy w Kongu upijali się, a kotły parowców rdzewiały na brzegu.

Leopold był o niebo lepszym biznesmenem niż Sanford, ale i on znalazł się w kłopotach finansowych. Odziedziczył pokaźną rodzinną fortunę, ale lwią jej część pochłonęli odkrywcy, parowce, najemnicy, uzbrojenie i inne wydatki, poczynione na sprawę Konga, toteż pod koniec lat 80. XIX wieku niewiele z niej już zostało. W dodatku, jeśli kolonia miała zacząć przynosić zyski, wspomniane wyżej wydatki trzeba było ponosić cały czas, a nawet zwiększyć nakłady. Skąd jednak wziąć pieniądze? Otrzymanie ich od belgijskiego rządu byłoby dość trudne. Konstytucja kraju wymagała zgody parlamentu na to, by Leopold mógł zostać monarchą innego kraju, toteż w zamian za taką zgodę musiał obiecać, że Kongo nigdy nie stanie się finansowym obciążeniem dla budżetu Belgii. Choć nie była to prawda, udało mu

się przekonać sceptycznych ustawodawców, że dysponuje wystarczającymi środkami na samodzielne zagospodarowanie nabytego terytorium<sup>200</sup>.

Między 1885 a 1890 rokiem król spędził mnóstwo czasu na poszukiwaniu pieniędzy. Przez jakiś czas pożyczał od bankierów, ale z czasem nawet jego główni wierzyciele, Rothschildowie, odmówili dalszego kredytowania. Setki listów Leopolda z tego okresu wskazują na obsesyjne zaniepokojenie brakiem pieniędzy. Schudł, zszarzał, nie mógł sypiać, nawet ministrowie zauważyli, że jest rozkojarzony. Znany był ze swojego ogromnego apetytu (po obfitym posiłku często zamawiał kolejną przystawkę, a pewnego razu w Paryżu zjadł dwa pieczone bażanty), ale starając się zyskać sympatię opinii publicznej (i fundusze), ogłosił, że zaczyna oszczędzać i będzie jadł jeden posiłek dziennie mniej. Królowa Maria Henrietta wykrzyknęła pewnego dnia: „Leopoldzie, zrujnujesz nas tym swoim Kongiem!”<sup>201</sup>.

Król zgromadził trochę pieniędzy, sprzedając obligacje, choć dużo mniej, niż się spodziewał. Napisał nawet do papieża, aby kupił kongijskie obligacje i przyspieszył szerzenie słowa bożego. Udało mu się zachęcić prywatnych przedsiębiorców do zainwestowania w koleje i kilka innych projektów, ale na warunkach, które znacznie zmniejszyły jego udział w wielkich i - jego zdaniem - pewnych zyskach, jakie miały przynieść. Uznał, że jedynym wyjściem z tej finansowej zapaści będzie wielka pożyczka. Biorąc pod uwagę jego i tak już ogromne zadłużenie, mogła ona pochodzić tylko od belgijskiego parlamentu. Leopold miał nadzieję, że z upływem czasu posłowie zapomną o jego wcześniejszych obietnicach, toteż zwlekał ze swoją prośbą, równocześnie dbając o swoją reputację filantropa i społecznika.

\*

Europejczyków wciąż oburzał „arabski” handel niewolnikami, którego centrum był Zanzibar i wschodnie wybrzeże Afryki. Trzeba przyznać, że łowcy rzeczywiście budzili postrach w niemal całej wschodniej i środkowej Afryce, sprzedając schwytych ludzi w Zatoce Perskiej oraz na północno-wschodnim wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Europejskie poczucie wyższości w tej kwestii łączyło się coraz ściślej z rosnącym pragnieniem zdobycia afrykańskich kolonii. Handlarze niewolników byli przeważnie muzułmanami, co pozwalało Europejczykom wygodnie uważać swoje zamiary za jeszcze szlachetniejsze. Opieka Leopolda nad chrześcijańskimi misjonarzami w jego nowej kolonii przyniosła mu wiele pochwał. Tak

bardzo oczarował ludzi swoimi tyradami przeciwko niewolnictwu, że został wybrany na honorowego przewodniczącego Towarzystwa Opieki nad Tubylcami (*Aborigines' Protection Society*)<sup>\*</sup> czcigodnej brytyjskiej organizacji praw człowieka<sup>202</sup>.

Ku zadowoleniu króla Bruksela została wybrana na gospodarza Konferencji Antyniewolniczej, zorganizowanej przez wielkie mocarstwa. Miała ona zacząć się w listopadzie 1889 roku, a jej obrady - trwać osiem miesięcy, z przerwami. Król „dobroczyńca” uprzejmie powitał delegatów w sali belgijskiego ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie zaprezentowano niewolnicze jarzmo. Brytyjski przedstawiciel raportował do Foreign Office: „Wszystkie te kolacje, przyjęcia, bale to ciężka praca”. Z powodów dyplomatycznych w konferencji musiała wziąć też udział Turcja, w której niewolnictwo wciąż było legalne. Turecki reprezentant wybuchnął śmiechem, gdy jakiś mówca skrytykował istnienie haremów, które - jego zdaniem - tworzyły popyt na handel niewolnikami.

Dla dyplomatów konferencja była niekończącym się balem<sup>203</sup>. Okna sali obrad wychodziły na modną aleję, toteż król - jak wspominał później jeden z obecnych, przedstawiciel Austro-Węgier, hrabia von Kevenhüller - „gdy tylko pojawiał się kapelusznik jakiejś damy, wstawał i jak nakręcony podbiegał do okna. Za każdym razem był to powód do wielkiego śmiechu. Wreszcie, aby nie tracił okazji, ludzie ze wszystkich stron przykrytego zielonym sukniem stołu dawali mu znać, gdy tylko pojawiała się jakaś nowa, atrakcyjna dama”<sup>204</sup>.

Konferencja Antyniewolnicza była dla Leopolda błogosławieństwem, gdyż w przerwach między gapieniem się na przechodzące kobiety delegaci zatwierdzali królewskie propozycje walki z niewolnictwem - propozycje, które w zadziwiający sposób przypominały plany budowy rozległej sieci komunikacyjnej w Kongu. Król mówił o konieczności wzniesienia ufortyfikowanych posterunków, zbudowania dróg, kolei i o parowcach, które pomogłyby zbrojnym oddziałom rozprawić się z handlarzami niewolników. Wielkodusznie zaoferował pomoc nowego państwa kongijskiego w osiągnięciu tego szlachetnego celu, w zamian prosząc delegatów, by pozwolili mu na ściąganie cła, z którego zysk miał być przeznaczony na walkę z łowcami niewolników. Mocarstwa zgodziły się, *de facto* zmieniając na korzyść Leopolda porozumienie z Berlina, które gwarantowało wolność handlu.

Henry Sheldon Sanford, mianowany amerykańskim delegatem na Konferencję

Antyniewolniczą, był przerażony. Sześć lat wcześniej załatwił uznanie Stanów Zjednoczonych dla Leopoldowego Konga, osobiście składając podpis pod porozumieniem gwarantującym wolny handel, a teraz Leopold domagał się nagle prawa do pobierania ceł. Jego podszyty naiwnością podziw dla króla wygasł, a Sanford poczuł się oszukany<sup>205</sup>. Był już innym człowiekiem - niegdyś czarujący emisariusz w cylindrze, sześć lat później był już cieniem samego siebie, wyczerpany bezsennością i podagrą. Na jego okolonej posiwiałą brodą twarzy odbijały się wszystkie finansowe kłopoty. Zmarł niecały rok po zamknięciu konferencji, gorzko rozczarowany Leopoldem i poważnie zadłużony. Jego kongijskie inwestycje spaliły na panewce, a jedynym śladem, jaki tam po nim pozostał, był sześciotonowy parowiec „Général Sanford”.

Konferencja wciąż jeszcze obradowała, kiedy Leopold zaprosił Stanleya na tydzień do Brukseli. Stanley przemówił do delegatów, a Leopold odznaczył go Wielkim Krzyżem Konga, zorganizował na jego cześć bankiet oraz przedstawienie w operze, a także ulokował w szkarłatnych komnatach pałacu królewskiego, zazwyczaj zarezerwowanych dla odwiedzających Brukselę członków rodów królewskich. Stanley zachwalał Belgom swojego gospodarza:

Na czym polega wielkość monarchy? Jeśli na wielkości ziem, jakimi włada, to największym jest cesarz Rosji. Jeśli na splendorze, sile oręża i organizacji wojskowej, to pierwszeństwo ma Wilhelm II [niemiecki]. Jeśli jednak królewska wielkość polega na wiedzy i dobroci suwerena, który niczym czuwający nad swoją trzodą pasterz troskliwie prowadzi swój lud, tedy największym monarchą jest wasz król<sup>206</sup>.

Leopold wykorzystywał Stanleya w sposób, w jaki dzisiejsi prezydenci Stanów Zjednoczonych pokazują się w czasie kampanii wyborczej z gwiazdami kina. Wizyta Stanleya w Brukseli była częścią starannie zaplanowanej kampanii *public relations* z okazji dwudziestopięciolecia panowania Leopolda. Król wydał także przyjęcie w ogrodach Laeken dla dwóch i pół tysiąca przedstawicieli belgijskich elit, gdzie zaprezentował olśnionym gościom nowe, ogromne szklarnie, przykryte szklaną kopułą, mieszczące największe na świecie prywatne zbiory botaniczne. Nawet brukselska giełda, której członkowie niechętnie łożyli pieniądze na afrykańskie projekty króla, wydała wielką galę na jego cześć, ozdobiwszy główny hall afrykańskimi włóczyniami i jedną z najbardziej niezwykłych dekoracji kwiatowych w historii: mnóstwem liści, z których wyrastała setka słoniowych kłów.

Celem kampanii Leopolda było zdobycie pieniędzy. Jego wysiłki zakończyły się sukcesem - zawarł umowę z ważnymi członkami gabinetu, którzy zdali sobie sprawę, że afrykańskie posiadłości króla mogą pewnego dnia okazać się całkiem cenne. Leopold zadeklarował, że jeśli parlament udzieli mu pożyczki, o którą prosi, wtedy on zapisze Belgii Kongo w testamencie. W ten oto sposób hojny monarcha, znany krzyżowiec abolicjonizmu, wychwalany przez słynnego odkrywcę Stanleya, fetowany przez swych lojalnych poddanych, wreszcie poprosił parlament o pożyczkę na sfinansowanie jego filantropijnych przedsięwzięć w Kongu w wysokości 25 milionów franków (czyli około 125 milionów dzisiejszych dolarów) i otrzymał ją. Bez procentów.

Zapierająca dech w piersiach arogancja Leopolda nigdzie nie objawiła się zapewne tak wyraźnie jak w owym dziwacznym dokumencie, w którym beztrząsco zapisuje jeden swój kraj drugiemu.

My, Leopold II, król Belgów, Suveren État Indépendant du Congo, chcąc zapewnić Naszej ukochanej ojczyźnie owoce prac, które przez długie lata prowadziliśmy na kontynencie afrykańskim, (...) niniejszym ogłaszamy, że po Naszej śmierci przekazujemy i przenosimy na Belgię Nasze prawa suwerena État Indépendant du Congo<sup>207</sup>.

Tkwiał w tym haczyk. Testament, który król ogłosił publicznie, był tak antydatowany, żeby wyglądał na jego hojny gest, a nie na transakcję.

\*

Pięć lat poprzedzających iście królewskie przyjęcie w Brukseli w 1890 roku nie było łatwe dla Henry'ego Mortona Stanleya. Od końca konferencji berlińskiej w 1885 roku Leopold zastanawiał się, co z nim zrobić. Trzymał go ciągle w charakterze doradcy, aby odkrywca nie został zatrudniony przez Brytyjczyków. Król potrzebował jednak przede wszystkim geodetów, inżynierów górniczych, budowniczych kolei, kapitanów parowców, żołnierzy i zarządców. Wiele lat wcześniej Leopold obiecał mianować Stanleya dyrektorem generalnym mającego powstać państwa kongijskiego. Później jednak, w zmian za francuskie uznanie jego Konga, po cichu obiecał Francuzom (nieznoszącym Stanleya za przyćmienie ich



człowieka, de Brazzy), że nigdy nie zatrudni go w kolonii. Niemordowany Stanley przedstawiał dla króla wartość jedynie w dziedzinie *public relations*. Jak powiedział kiedyś belgijski premier: Leopold „traktował ludzi jak cytryny, wyciskając ich do ostatniej kropli i wyrzucając skórkę”<sup>208</sup>.

Stanley podejrzewał, że Leopold zawarł tajne porozumienie z Francuzami, i - jak to już niejednokrotnie bywało w jego życiu - poczuł się zraniony. Jego afrykański ekwipunek był już spakowany, ale brakowało misji, z jaką można by wyruszyć. Nie potrzebował pieniędzy, które otrzymywał od Leopolda - pisząc książki i wygłaszając pogadanki, zarabiał znacznie więcej. Jego lojalność wobec króla była jednak niezachwiana, nawet wtedy, gdy Leopold wciąż go od siebie odsuwał, pisząc do niego (jak narzekał Stanley w jednym z listów z 1886 roku): „Nie wiemy dokładnie, kiedy będziemy Pana znowu potrzebować, drogi Panie Stanley, ale damy Panu znać wystarczająco wcześnie, aby miał Pan czas się przygotować”<sup>209</sup>.

Jak przed każdą wyprawą do Afryki Stanley rozważał ożenek, nawet jeśli - jak wyznawał zrozpaczony - „prawdą jest, że nie potrafię rozmawiać z kobietami”<sup>210</sup>. Przez ponad rok kolejny raz niezręcznie się zalecał, tym razem do londyńskiej malarki z wyższych sfer, Dorothy Tennant. Malowała greckie nimfy, londyńskich uliczników, a także portret Stanleya. Wydawała się odpowiednią partią, będąc tak samo sztywna i skąpowa w obecności mężczyzn jak Stanley w obecności kobiet. Mając trzydzieści cztery lata, wciąż dzieliła sypialnię z matką, a wpisy w dzienniku kierowała do swego dawno nieżyjącego ojca. Stanley opowiedział Tennant smutną historię o tym, jak porzuciła go Alice Pike, a następnie oświadczył się - bez skutku. Po raz kolejny odrzucony, był przekonany, że powodem były klasowe uprzedzenia Dorothy Tennant. „Ta kobieta omotała mnie swoimi przesadnymi wylewami pochlebstw - żalił się przyjacielowi - swoimi prezencikami z wygrawerowanymi «pamiętaj o mnie», liścikami pachnącymi perfumami”<sup>211</sup>.

Gdy Stanley doświadczał uczuciowych mąk, ambicje Leopolda rosły. Jego kolonialne marzenia rozrastały się - teraz marzył o dolinie Nilu. „Mój drogi ministrze - zwrócił się pewnego razu do belgijskiego premiera, który próbował go odwieść od tych zamiarów. - Czy za nic ma pan chwałę faraonów?”. W porównaniu z nią Kongo było „przyziemne”, ale Nil - wykrzyknął - „to moja wisienka na torcie i nigdy z niego nie zrezygnuję!”<sup>212</sup>. W 1886 roku Leopoldowi nadarzyła się okazja, by za jednym posunięciem zrealizować swoje marzenia o Nilu, dać znowu pracę Stanleyowi i umocnić panowanie nad Kongiem.

Sudan, przez który przepływały obie nitki Nilu, znajdował się pod wspólnym egipsko-brytyjskim panowaniem<sup>\*\*</sup>. Ze względu na ogromne odległości kontrola nad nim była jednak ograniczona. Mahdyści, muzułmańscy fundamentaliści, podnieśli bunt, zabijając brytyjskiego gubernatora i odpierając wysłane przeciwko nim angielskie wojska. Anglia była wstrząśnięta, ale kraj prowadził już zbyt wiele wojen w innych koloniach, toteż - przynajmniej na jakiś czas - zrezygnowano z prowadzenia tej. Rebelianci szli na południe, gdzie do odparcia ataku przygotowywał się zarządca prowincji, wysuniętej najdalej na południe. Wygodnie dla Leopolda, prowincja ta graniczyła z Kongiem.

Jej gubernator, Emin Pasza, zabiegał o pomoc w Europie - jeden z jego listów opublikowano w „Timesie” i zawiązał się ruch na rzecz zorganizowania prywatnej ekspedycji ratunkowej. „Times” napisał, że „pomoc dla Emina Paszy, otoczonego przez dzikie i wrogie plemiona, odciętego od pomocy i zaopatrzenia płynących z cywilizacji, byłaby czynem niebezpiecznym, ale miłosiernym”<sup>213</sup>. Napędzany antymuzułmańską retoryką plan zyskał szerokie wsparcie. Brytyjczyków dodatkowo rozwścieczyły żądania przywódcy mahdystów, który rozkazał królowej Wiktorii przybyć do Sudanu, poddać się jego władzy i przejść na islam.

Brytyjczycy mieli zatem nie tylko muzułmańskich złoczyńców, ale też - w osobie Emina - białego bohatera. Pomimo swojego tytułu (*emin* oznacza „wierny”) oblężony pasza nazywał się naprawdę Eduard Schnitzer i był niskim, chudym niemieckim Żydem. Na zdjęciach widać twarz bez wątpienia europejską, w grubych okularach, na głowie ma czerwony fez i przypomina jakiegoś niedowidzącego członka „shrinersów”<sup>\*\*\*</sup>. Pasza, z wykształcenia lekarz, był wybitnym lingwistą, ale i ekscentrykiem. Poza zarządzaniem prowincją, leczeniem chorych i odpieraniem ataków mahdystów zajmował się również pieczołowitym zbieraniem różnych gatunków flory i fauny, a także tworzył kolekcję wypchanych ptaków dla londyńskiego British Museum.

Plany odsieczy nabierały kształtu, toteż zaczęły spływać darowizny. Spożywczy dom handlowy Fortnum & Mason dostarczył skrzynie z delikatesami; wynalazca Hiram Maxim wysłał najnowszy model swojego karabinu maszynowego; przysłano także nowy mundur galowy dla Emina. A któż lepiej nadawałby się na dowódcę Ekspedycji na Odsiecz Eminowi Paszy niż Henry Morton Stanley? Odkrywca ochoczo przyjął tę propozycję. Szczególnie

oczarował go karabin Maxima, który wypróbował w domu wynalazcy i osobiście przekonał się, że rzeczywiście oddaje reklamowane sześćset strzałów na minutę. Nowa broń, jak powiedział Stanley, miała „pomóc cywilizacji zatriumfować nad barbarzyństwem”<sup>214</sup>.

Gdy Stanley poprosił Leopolda o zwolnienie go z posady doradcy, król wyraził zgodę, ale postawił dwa warunki. Po pierwsze, zamiast ruszyć szybszą i łatwiejszą drogą ze wschodniego wybrzeża, przez wyżyny należące do Brytyjczyków i Niemców, ekspedycja miała przejść przez należące do Leopolda Kongo, w tym przez niezbadany las równikowy Ituri. Po drugie, po odnalezieniu Emina Paszy Stanley miał mu zaoferować, by pozostał na stanowisku gubernatora prowincji, ale przyłączył ją do państwa Kongo.

Leopold chciał w ten sposób nie tylko zbadać (i zapewne powiększyć) nieznaną zakątek swoich ziem, ale też dokonać tego za pieniądze innych. Przedsięwzięcie było bowiem finansowane z wielu źródeł - od Królewskiego Towarzystwa Geograficznego począwszy, przez brytyjskich kupców zainteresowanych ogromnymi, wartymi 60 tysięcy funtów zapasami kości słoniowej, które rzekomo miał mieć Emin, po magnatów prasowych, wiedzących, że kolejna wyprawa Stanleya zwiększy sprzedaż gazet. Wyruszając na początku 1887 roku, odkrywca zręcznie lawirował między oczekiwaniami licznych sponsorów. Zdumieni świadkowie, którzy napotkali później wielkie siły Stanleya obchodzące dolne katarakty rzeki Kongo, zobaczyli, że maszerujący na czele wojsk chorąży - na życzenie wydawcy „New York Herald” Jamesa Gordona Bennetta juniora - niesie nad głową flagę nowojorskiego jachtklubu.

Typowy dla Stanleya dwutomowy, tysięcznicowy bestseller był tylko jedną z wielu książek napisanych na temat Ekspedycji na Odsiecz Eminowi Paszy (rekrutując oficerów, Stanley każdemu z nich kazał podpisać kontrakt, w którym zobowiązywali się do wydania ewentualnych książek dopiero pół roku po publikacji „oficjalnej” relacji Stanleya). Wyprawa, choć przyniosła zyski prasie i wydawcom, okazała się katastrofą dla wszystkich, którzy mieli z nią cokolwiek wspólnego - z wyjątkiem może nowojorskiego jachtklubu, który osiągnął przynajmniej tyle, że jego flagę poniesiono przez kontynent.

Stanley dostawał swoich zwyczajowych napadów wściekłości. Czterokrotnie zwalniał swojego osobistego służącego i tyleż razy przyjmował go z powrotem. Wrzeszczał na swoich białych oficerów, toteż niektórzy z nich odmalowali później jego bardzo nieprzychylny

portret. „Każda, najmniejsza rzecz - pisał jeden - wystarczała, by wpadł w szal”<sup>215</sup>. Pogorszył sytuację finansową upadającego przedsiębiorstwa Sanforda, rekwirując jeden z jego częściowo wykończonych parowców na potrzeby transportu wojsk i zwracając go dopiero kilka miesięcy później, w dodatku poważnie uszkodzony. Przede wszystkim jednak popełnił strategiczny błąd, dzieląc ośmiuset żołnierzy, tragarzy i pozostałych członków ekspedycji na dwie grupy, aby samemu, na czele mniejszego i szybszego oddziału, szybciej przybyć z odsieczą Eminowi Paszy i szybciej trafić na czołówki gazet.

Jak zwykle spartaczył dobór podwładnych. Stojący na czele ariergardy major Edmund Barttelot niemal od razu postradał zmysły. Odesłał w dół rzeki osobisty bagaż Stanleya. Wysłał innego oficera do najbliższego telegrafu (cztery tysiące osiemset kilometrów i trzy miesiące wędrówki w obie strony), aby przesłał do Anglii jakiś bezsensowny telegram. Później stwierdził, że został otruty, i zaczął szukać zdrajców. Jednemu z podejrzanych zaordynował trzysta batów, co okazało się śmiertelne. Kłuł Afrykanów zaostrzoną laską, nakazał zakuć w kajdany kilkunastu ludzi i ugryźć miejscową wieśniaczkę. Zanim zdołał zrobić coś jeszcze, zastrzelił go jeden z Afrykanów.

W tym czasie Stanley przedzierał się przez las równikowy na czele awangardy. Jednego z dezertersów skazał na powieszenie, wielu innych kazał wybatożyć - w niektórych przypadkach robił to osobiście. Bałagan w zaopatrzeniu sprawiał, że tragarze i żołnierze przez większość czasu głodowali. Ci, którzy mieli nieszczęście mieszkać na trasie przemarszu ekspedycji, mieli wrażenie, że nadchodzą najeźdźcy, którzy czasem, domagając się żywności od lokalnych wodzów, brali kobiety i dzieci w charakterze zakładników. „Dziś skończyliśmy nasze ostatnie banany (...), tubylcy nie handlują, a przynajmniej nie proponują nam niczego do sprzedania. W ostateczności będziemy musieli złapać więcej tych ich kobiet” - zapisał w dzienniku jeden z oficerów Stanleya<sup>216</sup>. Inny wspominał, że kiedy pewnego razu wyglądało na to, że zostaną zaatakowani, „Stanley wydał rozkaz spalenia wszystkich okolicznych wiosek”<sup>217</sup>. Jeszcze inny opisał rzeź z taką beztrąską, jakby chodziło o polowanie:

Siedzenie w zaroślach i obserwowanie po cichu tubylców, oddających się swoim codziennym zajęciom, było niezmiernie ciekawe. Część kobiet (...) robiła mąkę bananową, tłukąc wysuszone banany. Widzieliśmy mężczyzn wznoszących chaty i zajmujących się innymi pracami, dziewczynki i chłopców biegających wkoło i śpiewających. (...) Zaczęłam łowy, strzelając w pierś jednemu facetowi. Padł jak kamień (...). Salwy rozległy się w całej

wiosce<sup>218</sup>.

Jeden z członków ekspedycji zapakował odciętą głowę Afrykanina do skrzynki z solą i wysłał do Londynu, aby wypchał ją dla niego taksydermista z Piccadilly<sup>219</sup>.

Ponad połowa z trzystu osiemdziesięciu dziewięciu ludzi w oddziale Stanleya zmarła w trakcie torowania sobie drogi maczetami przez deszczowy las Ituri - czasem pokonywano zaledwie pół kilometra dziennie. Gdy skończyły im się zapasy, jedli pieczone mrówki. Pokonywali wielkie korzenie drzew, musieli obozować na podmokłych terenach, także w trakcie tropikalnych deszczów, które potrafiły czasem trwać siedemnaście godzin bez przerwy. Ludzie dezercerowali, gubili się w dżungli, tonęli, padali ofiarami tężca, dyzenterii i ropiejących wrzodów. Niektórzy ginęli od strzał lub w pułapkach zastawionych przez mieszkańców lasu, obawiających się tych głodujących, uzbrojonych, siejących zniszczenie obcych.

Gdy wreszcie dotarli do Emina, Stanley i jego ludzie byli głodni i wyczerpani. Ponieważ większość zapasów pozostała setki kilometrów za nimi, w dowodzonej przez szaleńca ariergardzie, odkrywca mógł zaoferować malutkiemu paszy jedynie trochę amunicji, listy od europejskich entuzjastów, kilka butelek szampana oraz nowy mundur galowy, który w dodatku okazał się być za duży. W istocie to właśnie Stanley poprosił Emina o zapasy. Pasza powitał ich „w dobrze utrzymanym fezie i w białym, jak śnieg, ubraniu z drelichu bawełnianego, czystym, pięknie odprasowanym i dobrze leżącym”, a na jego twarzy „nie było widać ani śladu choroby lub kłopotu, owszem zdrowie i umysł spokojny”<sup>220</sup>. Emin, wciąż radośnie zbierający eksponaty dla British Museum, grzecznie odmówił Stanleyowi przyłączenia swojej prowincji do nowego państwa Kongo. Największym upokorzeniem, jakie spotkało żalosną awangardę Ekspedycji na Odsiecz Eminowi Paszy, było to, że w ciągu kilku lat, jakie minęły od wysłania listów przez Emina, zagrożenie ze strony buntowników zmniejszyło się i tak naprawdę pasza wcale nie potrzebował pomocy.

Stanley bardzo obawiał się powrotu do domu bez Emina. Pasza zanotował w dzienniku: „Dla niego wszystko zależało od tego, czy udałoby mu się zabrać mnie ze sobą, gdyż tylko wtedy (...) jego ekspedycja zostałaby uznana za całkowicie udaną. (...) Wolałby raczej zginąć niż wrócić bez mnie!”<sup>221</sup>. Stanleyowi udało się ostatecznie przekonać niechętnego paszę, by powrócił z nim do Europy - po części dlatego, że samo przybycie

Ekspedycji na Odsiecz Eminowi Paszy, nader chętnie używającej broni, na nowo wywołało bunt mahdystów. Stanley, Emin oraz ich towarzysze wyruszyli w długą, kilkumiesięczną wędrówkę na wschodnie wybrzeże, docierając do małego, niemieckiego portu w dzisiejszej Tanzanii.

Niemcy wystrzelili z działa na cześć gości, a urzędnicy wydali z tej okazji bankiet w tamtejszej kantynie oficerskiej. Przygrywała marynarska kapela, Stanley, Emin i niemiecki major wygłosili przemówienia. „Wina wyborne, dobrze dobrane i ochłodzone” - pisał Stanley<sup>222</sup>. Słabo widzący Emin, który rozmawiając z gośćmi i popijając szampana, ciągle zmieniał miejsce przy stole, wyszedł przez okno na drugim piętrze, myśląc - błędnie - że są to drzwi prowadzące na werandę. Wpadł na ulicę i stracił przytomność. Musiał spędzić dwa miesiące w miejscowym szpitalu, toteż Stanley nie mógł go triumfalnie przywieźć do Europy. Najbardziej upokarzające dla Stanleya było to, że gdy Emin Pasza wydobrzeał, nie przeszedł na służbę ani do Leopolda, ani do swoich brytyjskich wybawców, ale do Niemców.

W 1890 roku, po powrocie Stanleya, przez kilka miesięcy dyskutowano na temat jego strat (zmarła połowa członków jego wyprawy) oraz okrucieństw, jakie popełniono na jego rozkaz. Jeden z tygodników kpił z niego:

I kiedy afrykańskie słońce  
stawało się nie do zniesienia  
Rzeź przy użyciu broni palnej  
chwilę dawała im wytchnienia!<sup>223</sup>.

(przeł. Jacek Dehnel)

Ekspedycja na Odsiecz Eminowi Paszy była rzeczywiście brutalna. Ci, którzy ją potępiali, nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, że była tylko ułamkiem tego, co zaczynało się dziać w Afryce Środkowej.

\* Organizacja ta działała od 1837 roku (przyp. tłum.).

\*\* Sudan został brytyjsko-egipskim kondominium dopiero w 1899 roku, po stłumieniu powstania mahdystów (przyp. tłum.).

\*\*\* Czerwony fez jest częścią uroczystego stroju popularnego w Stanach Zjednoczonych odłamu masonów, Starożytnego Arabskiego Zakonu Szlachty Mistycznej Świątyni (*Ancient Arabic Order of Nobles of the Mystic Shrine*), zwanych „shrinersami” (przyp. tłum.).

## PIERWSZY ODSZCZEPIENIEC

W TESTAMENCIE LEOPOLDA Kongo zostało potraktowane jak jakaś niezamieszкана parcela, której właściciel może się w każdej chwili pozbyć. W swoim podejściu król nie różnił się jednak od innych współczesnych mu Europejczyków, podróżników, dziennikarzy, twórców imperiów, mówiących o Afryce, jak gdyby była rozległą, pustą przestrzenią, tylko czekającą na to, aż magia europejskiego przemysłu zapełni ją miastami i liniami kolejowymi.

Dostrzeżenie w Afryce kontynentu, zamieszanego przez istniejące społeczeństwa, mające własną kulturę i historię, wymagałoby empatii, której brakowało tym Europejczykom i Amerykanom, którzy jako pierwsi dotarli do Konga. Gdyby było inaczej, zobaczyliby, że rządy Leopolda były nie tyle postępem cywilizacyjnym, ile kradzieżą ziemi i odbieraniem wolności. Wreszcie jednak przybył do Konga człowiek, który jako pierwszy tak właśnie uważał. Spotykamy go w jednym z posterunków leżących na brzegu rzeki Kongo, pewnego parnego, lipcowego dnia 1890 roku, gdy po raz pierwszy przelał swoje odczucia na papier.

Wzdłuż rzeki stoi już wiele posterunków, łączących w sobie funkcje obozu wojskowego i punktu zbioru kości słoniowej. Zazwyczaj składają się z kilku zamieszkanymi przez białych ludzi budynków, krytych strzechą, z werandami ocienionymi drzewami palmowymi. Na maszcie powiewa błękitna flaga ze złotą gwiazdą. Na pożywienie składają się banany, uprawiany maniok i inne warzywa, hoduje się kury, kozy i świnie. Stojący na górcie drewniany blokhauz ze strzelnicami zapewnia obronę, nierzadko jest dodatkowo otoczony palisadą. Słoniowe kły leżą w szopie albo na dworze. Pilnowane przez uzbrojonych wartowników oczekują na transport na wybrzeże. Wyciągnięte na brzeg czółna leżą obok stosu drewna, potrzebnego do palenia w kotłach parowców. Jednym z najważniejszych jest posterunek położony tysiąc sześćset kilometrów w górę rzeki od Wodospadów Stanleya, nad którymi leży Leopoldville - w najdalszym miejscu, do którego można dopłynąć głównym biegiem Konga.



Tego lipcowego dnia w posterunku nad Wodospadami Stanleya pewien zżerany przez wściekłość czterdziestoletni mężczyzna przystępuje do pisania. Notuje energicznie, eleganckim charakterem pisma. Zapewne siedzi na zewnątrz, opierając się o jedną z palm, prawdopodobnie pożyczył stolik od miejscowego kancelisty. Na jego kilku zachowanych, oficjalnych zdjęciach ma krótkie włosy, końcówki wąsów zwężają się w szpic, ma muszkę i wysoki, wykrochmalony kołnierzyk. Tego dnia jest pewnie zbyt gorąco, żeby nosić muszkę, ale niekoniecznie - niektórzy ludzie przybywający do Konga cały czas ubierali się formalnie.

Tekst, który wtedy powstał, jest kamieniem milowym w dziejach praw człowieka oraz dziennikarstwa śledczego. Nosi tytuł: *List otwarty do Jego Najjaśniejszej Wysokości Leopolda II, króla Belgów i suwerena Wolnego Państwa Konga, napisany przez pułkownika, czcigodnego Geo. W. Williamsa ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.*

George Washington Williams rzeczywiście był Amerykaninem. Nie był jednak pułkownikiem, a podawanie się za takowego miało go później wpędzić w kłopoty. Był też czarnoskóry. Z tego właśnie powodu tak długo go ignorowano. W tej masie ludzi, tak ochoczo przybywających do Konga, które Leopold właśnie zaczynał eksploatować, Williams był pierwszym odszczepieńcem. Jak wielu podróżników, którzy znaleźli się nagle w piekle na ziemi, rozpoczął od poszukiwań czegoś, co miało przypominać raj.

\*

Droga, która doprowadziła Williamsa do Konga, spokojnie wystarczyłaby na kilka innych biografii<sup>224</sup>. Urodzony w 1849 roku w Pensylwanii, odebrał skąpą edukację i w 1864 roku - prawie niepiśmienny, niepełnoletni i pod zmienionym nazwiskiem - zaciągnął się do 41. Kolorowego Pułku Armii Unii; pod koniec wojny walczył w kilku bitwach, w czasie szturmów na Richmond i Petersburg, gdzie został ranny.

Później, jak wielu szukających pracy weteranów wojny secesyjnej, zaciągnął się do meksykańskiej armii republikańskiej, próbującej obalić cesarza Maksymiliana, ambitnego, ale pechowego szwagra Leopolda II. Gdy wrócił do domu, nie miał innego fachu niż służba wojskowa, toteż ponownie wstąpił do armii amerykańskiej i spędził większość roku z oddziałem kawalerii, walcząc z Indianami Wielkich Prerii. W drugiej połowie 1867 roku

mógł natknąć się na Henry'ego Mortona Stanleya, kiedy w tym samym czasie przebywali w Kansas, choć w różnych posterunkach wojskowych.

Gdy w następnym roku Williams odszedł z wojska, przez jakiś czas studiował na Uniwersytecie Howard - gdy mówił o tym wiele lat później, wymawiał „Howard” tak, by brzmiało bardziej jak „Harvard”. Twierdził też, że zdobył tytuł doktora, którego nigdy nie miał<sup>225</sup>. Mimo to był zdolnym studentem i gdy przeniósł się do Newton Theological Institution pod Bostonem, w ciągu dwóch lat zaliczył trzyletni kurs magisterski z teologii. W listach, które pisał w czasie służby wojskowej, mało słów było napisanych poprawnie, a zdania są boleśnie nieskładne. Kilka lat później potrafił już płynnie układać zdania w sposób właściwy XIX-wiecznym pastorom. W mowie, którą wygłosił w 1874 roku, kończąc Newton, już słyhać zainteresowanie tematem, który szesnaście lat później zaprowadzi go do Konga:

Przez niemal trzy stulecia okradano Afrykę z jej hebanowych synów. (...) Murzyni w tym kraju mogą zwrócić się do swych anglosaskich braci i - niczym Józef do braci, którzy podstępnie sprzedali go w niewolę - powiedzieć: „...nauczywszy się rzemiosła i sztuki, możemy wrócić do Egiptu i wyprowadzić resztę naszych braci z domu niewoli”\*. Ten dzień nadejdzie!<sup>226</sup>.

Williams pisał i mówił wówczas o sprawach bliższych swojej ojczyźnie - o pozycji amerykańskich czarnych, doświadczających powojennego odwetu w postaci linczów, przemocy ze strony Ku-Klux-Klanu i białych suprematystów, którzy objęli władzę na Południu. Jako weterana szczególnie złościło go to, że wojna, która miała zakończyć niewolnictwo, przyniosła tak niewiele.

W tym samym roku, w którym ukończył seminarium, Williams ożenił się i został pastorem w Dwunastym Kościele Baptystów, jednym z najważniejszych kościołów czarnej społeczności Bostonu. W tej pracy - jak i wielu innych - nie zagrzał długo miejsca. Całe życie nie potrafił zapuścić nigdzie korzeni i choć w każdej nowej pracy osiągał spore sukcesy, rzadko pozostawał w niej długo.

Po zaledwie rocznej służbie przeniósł się do Waszyngtonu, gdzie założył ogólnokrajową gazetę dla czarnych pt. „Commoner”. W pierwszym wydaniu z dumą wydrukowano listy z gratulacjami od słynnych abolicjonistów - Fredericka Douglassa i

William Lloyda Garrisona - ale gazeta szybko przestała się ukazywać i Williams powrócił do działalności duszpasterskiej, tym razem w Cincinnati. Został felietonistą jednej z miejscowych gazet, ale ponownie spróbował założyć własne czasopismo. Nagle po raz kolejny się rozmyślił - zrezygnował z ambony, skończył prawo i zaczął pracę jako prawnik. W 1879 roku, gdy miał trzydziestkę, został wybrany jako pierwszy czarnoskóry do stanowej legislatury Ohio, gdzie wściekał się, próbując znieść zakaz międzyrasowych małżeństw. Po jednej kadencji zrezygnował.

W swoim następnym fachu Williams wyróżnił się znacznie bardziej i tym razem, zanim znowu ruszył dalej, pozostawił za sobą coś trwałego i ważnego. Była to wielka książka - *Historia rasy murzyńskiej w Ameryce od 1619 do 1880 roku. Murzyni jako niewolnicy, żołnierze i obywatele, wraz ze wstępnymi rozważaniami na temat jedności ludzkiej rodziny oraz historycznym szkicem o Afryce i raportem na temat murzyńskich rządów w Sierra Leone i Liberii*. Wydana w dwóch tomach, w 1882 i 1883 roku, książka opowiadała o wczesnych, afrykańskich królestwach, wojnie secesyjnej i rekonstrukcji.

Williams jako jeden z pierwszych amerykańskich historyków używał nietradycyjnych źródeł. Wyczuwał to, co większość naukowców zaczęła przyznawać dopiero sto lat później, a mianowicie, że pisząc historię wykluczonych, nie wystarczy opierać się tylko na konwencjonalnych, opublikowanych źródłach. Podróżując po kraju, Williams nie tylko przeszukał niezliczoną liczbę bibliotek, ale też zdziałał o wiele więcej. Wystosował list do generała Williama Tecumseha Shermana, pytając go o opinię na temat podległych mu czarnych żołnierzy. Przeprowadzał wywiady z innymi weteranami wojny secesyjnej. Gdy gruba, licząca ponad tysiąc stron książka wreszcie ujrzała światło dzienne, została bardzo dobrze przyjęta. „Kilkadziesiąt lat wcześniej - napisał protekcjonalnie, ale z podziwem «New York Times» - powszechnie wątpiono by w to, że przedstawiciel tej rasy mógłby być autorem pracy wymagającej tak wiele umiejętności”<sup>227</sup>. W.E.B. Du Bois nazwał później Williamsa „największym historykiem swojej rasy”<sup>228</sup>.

Williams zaczął podróżować z wykładami, które wygłaszał w stowarzyszeniach weteranów, bractwach, wspólnotach kościelnych, tak czarnych, jak i białych. Miał przemówienie na każdą okazję - od obchodów Dnia Niepodległości po spotkanie waszyngtońskiego Towarzystwa Literackiego Filomatów. Wkrótce podpisał umowę z czołowym ówczesnym agentem, Jamesem B. Pondem, który był także agentem Stanleya.

Spotkał się ze wszystkimi, poczynając od Henry'ego Wadswortha Longfellowa, a skończywszy na prezydentach, Groverze Clevelandzie i Rutherfordzie B. Hayesie. Poważny młody człowiek robił dobre wrażenie na swoich rozmówcach. Mniejszy entuzjazm wzbudzał u wielu czarnych Amerykanów, którzy uważali, że Williams szybko odsunął się od nich i zaprzyjaźnił z możnymi tego świata.

Mimo kolejnych sukcesów pieniądze łatwo przepływały mu przez palce i wkrótce ustawiła się do niego kolejka wściekłych wierzycieli. Wciąż jednak pożytkował swoją energię na różne projekty - napisał drugą książkę, tym razem na temat doświadczeń czarnych żołnierzy wojny secesyjnej. Udał się do Nowego Meksyku w poszukiwaniu ziemi pod osadnictwo czarnych farmerów. Pisał artykuły do gazet, pracował jako prawnik dla Cape Cod Canal Company. Napisał sztukę teatralną o handlu niewolnikami. Zabrał się do pracy w Unii Związków Weteranów, otrzymując honorową rangę pułkownika od najbardziej prestiżowego z nich - Grand Army of the Republic. Wypowiadał się nawet w Kongresie, wspierając pomysł budowy pomnika czarnoskórych weteranów wojny secesyjnej. Prezydent Chester A. Arthur, na którego rzecz Williams agitował w kampanii wyborczej, mianował go ministrem pełnomocnym na Haiti. Kadencja Arthura wkrótce jednak dobiegła końca, a polityczni wrogowie rozpuszczali wieści o długach Williamsa, toteż ostatecznie nie objął stanowiska.

Pewnego razu, gdy Williams spotykał się z Arthurem w Białym Domu, na wizytę z prezydentem przybył Henry Shelton Sanford, lobbujący wtedy w Waszyngtonie o poparcie dla Leopoldowego Konga. Prezydent przedstawił ich sobie<sup>229</sup>. W rodzącym się Kongu, które opisywał Sanford, Williams dostrzegł szansę podążenia za marzeniem, o którym mówił po raz pierwszy w przemówieniu z okazji otrzymania dyplomu. Napisał do jednego z doradców Leopolda, proponując pomoc w zatrudnieniu czarnych Amerykanów do pracy w Kongu. W Afryce bez wątplenia mieliby szansę na rozwój i osadnictwo, której nie mogli uzyskać w Stanach Zjednoczonych. Wystosował także pismo do senackiej komisji spraw zagranicznych, wzywając do uznania Międzynarodowego Stowarzyszenia Konga. Dodał Kongo do listy tematów swoich wystąpień.

W 1889 roku Williams otrzymał zlecenie od pewnego syndykatu prasowego, by napisać serię reportaży z Europy. Bez powodzenia starał się, by zostać jednym z delegatów na Konferencję Antyniewolniczą w Brukseli, co nie przeszkodziło mu później, w czasie wizyty w Londynie, podawać się za delegata na nią<sup>230</sup>. Szybko zorientował się, że Bruksela była

miastem pełnym Europejczyków prześcigających się w głośnym potępianiu niewolnictwa. W takiej atmosferze młody Amerykanin, syn wyzwolenca, zrobił dobre wrażenie. Dysponując listą imponujących osiągnięć, Williams nie mógł się powstrzymać, by się nimi nie chęłpic:

Pułkownik Williams [donosiła gazeta „L'Indépendance Belge”], który zdobył swój stopień w czasie wojny secesyjnej (...), napisał co najmniej pięć lub sześć prac na temat Murzynów. (...) Był pierwszą osobą, która zaproponowała, aby Stany Zjednoczone oficjalnie uznały państwo Kongo, i zezwolono mu wygłosić w tej sprawie ważną mowę przed senacką komisją spraw zagranicznych w Waszyngtonie, zakończoną całkowitym sukcesem<sup>231</sup>.

Pierwszym artykułem wysłanym przez Williama z Belgii był wywiad z Leopoldem, którego określał jako „przyjemnego i zajmującego rozmówcę. Jego włosy i gęsta broda były starannie przystrzyżone i nieco tylko przyprószone siwizną. Rysy twarzy zdecydowane, wyraźne i wyostrzone, a jasne i ruchliwe oczy błyszcząły zza okularów inteligentnym zainteresowaniem”<sup>232</sup>.

Gdy spytał króla, czego oczekuje w zamian za te ogromne pieniądze włożone w Kongo, Leopold odpowiedział: „To, co tam robię, jest chrześcijańskim obowiązkiem wobec biednych Afrykanów. Nie chcę zwrotu ani jednego franka z tych, które tam wydałem”. Po pierwszym spotkaniu Williams, tak jak i wielu innych przed nim, był oczarowany Leopoldem, którego nazwał „jednym z najszlachetniejszych monarchów na świecie, cesarzem, którego największą ambicją jest służyć sprawie cywilizacji chrześcijańskiej i dbać o najwyższe dobro swoich poddanych, rządzonych dobrze, łaskawie i sprawiedliwie”<sup>233</sup>.

Leopold dostrzegł, że aby olśnić swego gościa, należało z zainteresowaniem wysłuchać jego propozycji, w tym wymarzonego projektu Williama wysłania czarnych Amerykanów do pracy w Afryce. W tym samym artykule Williams napisał, że król „okazał się dobrym słuchaczem”<sup>234</sup>. Williams zawarł porozumienie z belgijską kompanią, która zgodziła się zatrudnić w kolonii czterdziestu uzdolnionych rzemieślników, planował też napisanie książki o Kongu. Gdy jednak wrócił do Stanów i przedstawił propozycję w czarnym college’u w Wirginii, sceptyczni studenci zasypali go pytaniami na temat warunków życia w Afryce, na które nie znał odpowiedzi. Odłożył zatem na później swoje plany i zdecydował się najpierw wyruszyć do Konga, żeby zebrać materiały do książki.

Wymagało to zebrania pieniędzy na bilet na parowiec, jedzenie, zapasy i tragarzy, niezbędnych w czasie długiej podróży wokół katarakt. Głównym sponsorem wyprawy miał być amerykański magnat kolejowy Collis P. Huntington, jeden z inwestorów planowanej kolei kongijskiej. Williams zasypywał go uprzedzająco grzecznymi listami, dzięki czemu uzyskał małą dotację na swoje afrykańskie podróże.

W grudniu 1889 roku Williams spotkał się w Białym Domu z prezydentem Benjaminem Harrisonem. Nie wydaje się, by Harrison zrobił cokolwiek więcej, niż tylko życzył Williamsowi szczęśliwej podróży do Afryki, ale sam Williams, zgodnie ze swoim zwyczajem, wykorzystywał później to spotkanie do sugerowania, że powierzono mu jakąś ważną, ale tajną misję.

Gdy przygotowywał się do wyruszenia, rozpowiadając o swoich związkach z prezydentem i Huntingtonem, Leopold i jego ludzie nabrali podejrzeń, że Williams rzeczywiście może służyć amerykańskiemu biznesmenowi i jego prawdziwym zadaniem jest pomóc Huntingtonowi wkroczyć do Konga. Gdy w drodze do Konga Williams bawił w Brukseli

starano się zrobić wszystko, żeby odwieść mnie od mojej misji. Dwór królewski wysłał do mnie oficera, który miał mnie przekonać, bym nie jechał do Konga. Mówił o okropnym klimacie w czasie pory deszczowej, trudach i zagrożeniach, wysokich kosztach. (...) Później król posłał po mnie [i] powiedział (...), że jest to kraj, po którym trudno się podróżuje, gdzie trudno zdobyć jedzenie odpowiednie dla białych ludzi, że ma nadzieję, iż odłożę swoją wizytę w Kongu na co najmniej pięć lat, i wreszcie że w Brukseli uzyskam informacje na temat wszystkiego, czego tylko chciałbym się dowiedzieć. Odpowiedziałem Jego Wysokości, że mam zamiar jechać do Konga natychmiast i że wyruszam za kilka dni<sup>235</sup>.

Między styczniem 1890 roku a początkiem roku następnego Williams opłynął cały afrykański kontynent, co jakiś czas wysyłając do Huntingtona kolejne prośby o więcej pieniędzy. Udało mu się spotkać ze wszystkimi - od wiceprezydenta burskiej Republiki Transwału przez sułtana Zanzibaru po egipskiego kedywa. Otrzymał honorowe członkostwo Klubu Angielskiego na Zanzibarze oraz wygłosił mowę w kairskim Towarzystwie Geograficznym, któremu patronował kedyw. Najważniejsza była jednak wizyta w Kongu, gdzie spędził pół roku, obchodząc pieszo dolne katarakty, a następnie podróżując parowcem

w górę rzeki, aż do Wodospadów Stanleya.

\*

Płynąc parowcem, pokonywało się wówczas najwyżej pięćdziesiąt kilometrów dziennie, a płynąc w górę rzeki nawet mniej. Każdego popołudnia łódź cumowała na noc przy brzegu, czasem przy placówce czy posterunku. Kapitan rozstawiał strażników i wysyłał ludzi, by ścięli trochę drzew, potrzebnych jako paliwo na następny dzień. Jeden z podróżników opisał typową scenę:

O zmierzchu palono ogromne ogniska i przy ich blasku krajowcy rąbali pnie na małe polana, długości trzech, czterech stóp [około metra - przyp. tłum.]. (...) Towarzyszył [temu] zgiełk i krzątania, tępe uderzenia toporów, trzask walących się drzew, a potem sceny przy ognisku, zgrzyt piły i ciach-ciach, a potem zawsze głuchy odgłos rzucanych na stosy kłoców, które następnie przerzucano sobie z rąk do rąk, aż wszystkie zostały załadowane na parowiec<sup>236</sup>.

Europejscy i amerykańscy pasażerowie spali w kabinach na pokładzie, drwale spali na brzegu, na ziemi. O świcie gwizdek zwoływał załogę na pokład statku, do czółen albo na barkę, którą holowano za parowcem, a napęd łopatkowy powoli pchał statek w górę rzeki.

Przemieszczając się w takim tempie, Williams miał mnóstwo czasu, żeby przyjrzeć się Afryce, o której od tak dawna marzył. Uważny obserwator, doświadczony w przeprowadzaniu wywiadów, miał rzadką wśród dziennikarzy i historyków cechę, a mianowicie nie sugerował się tym, co wcześniej napisał ktoś inny. W wioskach, placówkach i posterunkach odnalazł nie dobrotliwie zarządzaną kolonię, którą opisywali Stanley i inni, ale to, co sam nazwał „Syberią kontynentu afrykańskiego”<sup>237</sup>. Jego wścikłość znalazła swoje ujście w tym wyjątkowym dokumencie, który napisał przy Wodospadach Stanleya<sup>238</sup>.

Na początku skierowanego do króla *Listu otwartego* Williams okazuje szacunek: „Dobry i Wspaniały Przyjacielu, mam zaszczyt przedstawić Waszej Wysokości niektóre refleksje na temat Niezależnego Państwa Konga, oparte na uważnej obserwacji”. W drugim akapicie odwołuje się jednak do wyższej instancji niż monarcha, do „króla królów”. I jasne

jest, że Bóg nie jest zadowolony, widząc, co się dzieje w Kongu.

*List otwarty* jest dziełem człowieka, który wydaje się być naprawdę przerażony: najpierw tym, co widzi, a następnie tym, „jak całkowicie byłem rozczarowany, przygnębiony i pozbawiony złudzeń” po „tych wszystkich pochwałach [sic], które wygłaszałem i pisałem na temat tego kraju, państwa Konga i jego suwerena”. Niemal od razu Williams przechodzi do rzeczy, przyjmując ton właściwy jednemu ze swoich zawodów - prawnika:

„Každy z zarzutów, jaki zamierzam postawić rządowi Konga Waszej Królewskiej Mości, został drobiazgowo zbadany; została dokładnie przygotowana lista kompetentnych i wiarygodnych świadków, tekstów, listów, oficjalnych danych oraz dokumentów”. Dokumentacja będzie trzymana, „dopóki nie zostanie powołana Międzynarodowa Komisja, która będzie miała prawo zażądać papierów i świadków, a następnie pod przysięgą rozpatrzyć prawdziwość lub fałszywość postawionych zarzutów”. Łatwo wyobrazić sobie wściekłość Leopolda, do którego oskarżycielskim tonem zwraca się jakiś cudzoziemiec, w dodatku taki, którego on sam odwodził od pomysłu wyjazdu do Konga, a do tego wszystkiego jeszcze czarnoskóry.

Wydrukowany w takim formacie jak niniejsza książka, *Otwarty list* miałby jedynie kilkanaście stron. W tak krótkim tekście Williams jako pierwszy przedstawił jednak niemal wszystkie zarzuty, które oburzona światowa opinia publiczna będzie wystosowywać ponad dziesięć lat później. Choć przed 1890 rokiem pojawiały się w Europie krytyczne głosy na temat Konga króla Leopolda, dotyczyły one głównie dyskryminacji zachodnich kupców. Williams przejmował się prawami człowieka i jako pierwszy napisał spójne, systematyczne oskarżenie Leopoldowego kolonializmu. Oto jego główne zarzuty:

Stanley i jego biali pomocnicy, wykorzystując rozmaite sztuczki, wmawiając Afrykanom, że biali dysponują nadnaturalnymi mocami, przekonali kongijskich wodzów, by przekazali swoją ziemię Leopoldowi. Na przykład: „Ukryto pod ubraniem kilka baterii elektrycznych kupionych w Londynie, przytwierdzonych do ramienia i połączonych z umieszczoną na dłoni taśmą. Gdy biały brat podawał rękę czarnemu bratu, tego ostatniego zdumiewała siła białego brata, która niemal zwałała go z nóg. (...) Gdy tubylec pytał o różnicę siły między sobą a białym bratem, w odpowiedzi słyszał, że biały człowiek potrafi obalać drzewa i dokonywać największych wyczynów wymagających siły”. Inną sztuczką było użycie



szkła powiększającego do zapalenia cygara, po którym „biały człowiek wyjaśnił, że ma bliskie związki ze słońcem i jeśli zechce spalić całą wioskę czarnych braci, to będzie mógł to uczynić”. Kolejnym podstępem było załadowanie broni na pokaz, ale ukrycie naboju w rękawie. Następnie proszono wodza, by wycelował i zastrzelił białego człowieka. Wtedy ten, nietknięty, schylał się i wyciągał nabój z buta. „Przy użyciu takich sposobów (...) oraz kilku butelek dzinu całe wioski przechodziły na własność Waszej Wysokości”. Ziemia kupiona w ten sposób, pisał Williams, była „ziemią, do której Wasza Wysokość ma takie samo prawo jak ja do bycia dowódcą sił zbrojnych Belgii”.

Oprócz tego, że był wielkim bohaterem, Stanley był tyranem. Na jego imię „dreszcz przeszywa prosty lud, o którym piszę. Pamiętają jego złamane obietnice, rzęsiste przekleństwa, gwałtowny charakter, ciężkie razy, brutalne i surowe metody, którymi pozbawił ich ziemi” (proszę zauważyć wyznawany przez Williamsa pogląd, który nie przyszedł do głowy współczesnym mu białym - taki mianowicie, że Afrykanie mają prawo do afrykańskiej ziemi). Spośród setek Europejczyków i Amerykanów, którzy podróżowali po Wolnym Państwie Kongu w jego wczesnych latach, Williams był pierwszym, o którym wiadomo, że wypytywał Afrykanów na temat ich doświadczeń ze Stanleyem.

Ustanowienie wojskowych posterunków wzdłuż rzeki przyniosło śmierć i zniszczenie, ponieważ afrykańscy żołnierze, którzy w nich stacjonowali, byli zmuszeni żywić się sami. „Te pirackie, korsarskie posterunki zmuszają tubylców do tego, by pod lufami muszkietów dostarczali ryby, kozy, drób i warzywa, a kiedy tego nie robią (...), biali oficerowie wyruszają z wyprawą karną, by palić ich domy”.

„Rząd Waszej Królewskiej Mości jest zbyt okrutny wobec swoich więźniów, za najmniejsze przewinienia skazując ich na zakucie w kajdany. (...) Kajdany te często wrzynają się w szyje więźniów, tworząc otarcia, wokół których krążą muchy, co tylko pogarsza ranę”.

Kłamstwem było twierdzenie Leopolda, że jego nowe państwo zapewniało uczciwe rządy i służyło obywatelom. Nie było szkół ani szpitali, z wyjątkiem kilku bud, „w których nie zmieściłby się nawet koń”. Żaden z urzędników kolonialnych nie znał ani jednego afrykańskiego języka. „Sądy Jego Królewskiej Mości są nieskuteczne, niesprawiedliwe, stronnicze i niewydolne”. (Williams jak zawsze posłużył się przykładem: biały służący generalnego gubernatora uniknął kary za kradzież wina, a fałszywie oskarżeni czarni służący

zostali wybitożeni).

Biali kupcy i urzędnicy państwowi porywali afrykańskie kobiety i czynili je swoimi konkubinami.

Biali oficerowie strzelali do wieśniaków - czasami żeby porwać ich kobiety, czasami po to, aby zmusić tych, którzy przeżyli, do niewolniczej pracy, czasami zaś tylko dla sportu. „Dwóch oficerów armii belgijskiej na pokładzie parowca spostrzegło w oddali tubylca w czóźnie. (...) Oficerowie założyli się o pięć funtów, który z nich trafi go ze swojego karabinu. Trzy strzały wystarczyły, by tubylec padł martwy z przestrzeloną głową”.

Leopold nie był szlachetnym krzyżowcem abolicjonizmu, za jakiego się podawał. „Rząd Waszej Królewskiej Mości zajmuje się handlem niewolnikami, hurtowym i detalicznym. Kupuje, sprzedaje, a także kradnie niewolników. Rząd Waszej Wysokości płaci trzy funty za jednego niewolnika zdolnego do służby wojskowej (...) Siła robocza w placówkach Rządu Waszej Królewskiej Mości położonych w górnym biegu rzeki składa się z niewolników obu płci i w każdym wieku”<sup>239</sup>.

To nie było wszystko. Trzy miesiące po napisaniu *Listu otwartego* napisał także *Relację o kraju i państwie Kongo dla prezydenta Republiki Stanów Zjednoczonych Ameryki*. Prezydent Harrison, tak jak Leopold, prawdopodobnie nie spodziewał się żadnej wiadomości od Williamsa. Pisząc do prezydenta, Williams powtórzył swoje zarzuty, dodając, że Stany Zjednoczone ponoszą szczególną odpowiedzialność za Kongo, ponieważ to właśnie one „wprowadziły ten afrykański rząd do rodziny państw”. Tak jak w *Liście otwartym*, podparł oskarżenia przykładami z własnego doświadczenia. „W Wodospadach Stanleya w biały dzień zaproponowano mi niewolników; a nocą odkryłem czóźnie pełne związanych niewolników”. Williams wezwał do zastąpienia tego „opresyjnego i okrutnego rządu” nową władzą, która byłaby „miejskowa, a nie europejska; międzynarodowa, a nie narodowa; sprawiedliwa, a nie okrutna”<sup>240</sup>.

Choć Williams wzywał do powołania miejscowego rządu albo międzynarodowej administracji, musiało minąć wiele lat, zanim ktokolwiek w Europie czy w Ameryce wpadł na podobny pomysł. W liście, który Williams wysłał do amerykańskiego sekretarza stanu, użył określenia, które wygląda jakby wyjęte z późniejszych o ponad pół wieku procesów

norymberskich. Leopoldowe państwo Kongo, pisał Williams, było winne „zbrodni przeciwko ludzkości”<sup>241</sup>.

\*

*List otwarty* został opublikowany w formie ulotki i do 1890 roku, gdy jego autor kończył swoją podróż po Afryce, była ona rozpowszechniana zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Nie wiadomo dokładnie, kto zorganizował jej dystrybucję, ale najprawdopodobniej była to holenderska kompania Nieuwe Afrikaansche Handels Vennootschap, mająca placówki handlowe w Kongu oraz parowiec „Holandię”, na którym podróżował Williams. Urzędnicy kompanii byli wściekli na Leopolda z powodu ograniczania dostępu zagranicznych kupców do jego nowej kolonii oraz zatrzymywania dla siebie i swoich partnerów handlowych cennych zapasów kości słoniowej. Williams nie zezwolił jednak kompanii na przeredagowanie jego wiadomości: *List otwarty* tylko krótko wspomina o kwestii wolnego handlu, a i to dopiero na samym końcu długiej listy zarzutów.

„New York Herald”, który wysłał Stanleya do Afryki, poświęcił *Listowi otwartemu* całą szpaltę, opatrzoną nagłówkiem: AMERYKAŃSKI OBYWATEL OGŁASZA ADMINISTRACJĘ AFRYKAŃSKIEGO WOLNEGO PAŃSTWA MIANEM BARBARZYŃSKIEJ - ŻĄDA ŚLEDZTWA. W artykule cytowano Stanleya, który nazwał *List otwarty* „jawną próbą szantażu”<sup>242</sup>. Dla Williamsa jeszcze bardziej złowieszcze było to, że jego dobroczyńca Collis P. Huntington uznał, że Williams nie zachował się w porządku wobec króla, „pragnącego dla tubylców tego kraju tylko tego, co najlepsze”<sup>243</sup>.

Wściekły Leopold powiedział brytyjskiemu ministrowi w Brukseli, by nie wierzył Williamsowi. „Pułkownik Williams może rzeczywiście być tym, kim król twierdzi, że jest - raportował do Londynu poseł - ale podejrzewam, że w tej ulotce zawarte jest sporo prawdy, której nie sposób zaprzeczyć”<sup>244</sup>. Jeden z doradców Leopolda wspomina w swoich pamiętnikach o nagłym spotkaniu zwołanym po to, by omówić, co można zrobić z *le pamphlet Williams*, z którego paryska prasa robiła już *un vrai scandale*<sup>245</sup>.

Leopold i jego ekipa szybko przygotowali kontratak. „Journal de Bruxelles” pytał: „Przede wszystkim ustalmy, kim jest pan Williams. Człowiek ten nie jest pułkownikiem

Stanów Zjednoczonych”. W kolejnych artykułach gazeta pisała o nim jako o „tak zwanym pułkowniku”, „pseudopułkowniku”, „niezrównoważonym Murzynie” i „panu Williamie, który nie jest pułkownikiem”<sup>246</sup>. (Belgijska prasa nigdy nie kwestionowała, rzecz jasna, „generalskiego” stopnia Henry’ego Sheltona Sanforda). „Le Mouvement Géographique”, gazeta ściśle związana z kongijskim przedsięwzięciem Leopolda, także atakowała Williamsa, wskazując, że choć mieszkańcy Konga rzeczywiście nie zawsze są traktowani sprawiedliwie, to tak samo jest w przypadku amerykańskich Indian.

Inne belgijskie gazety potraktowały jednak poważnie zarzuty Williamsa. Liberalna „La Réforme” napisała: „Kiedy w Kongu króluje handlowa spekulacja, osobiste, absolutne i niekontrolowane przez nikogo rządy autokraty, którego noga nigdy nie postąpiła we władanym przez niego kraju, muszą w nieunikniony sposób prowadzić do poważnych uchybień, na które zwrócił uwagę amerykański podróżnik”<sup>247</sup>. „Nie musimy przyjmować niczym objawionej prawdy wszystkiego, co kongijska administracja przedstawia w swojej obronie” - zadeklarował „Le Courier de Bruxelles”<sup>248</sup>. Gazety w innych krajach również podjęły temat, donosząc o oskarżeniach Williamsa, a czasem drukując ich obszernie fragmenty.

W czerwcu 1891 roku oburzenie dotarło do belgijskiego parlamentu, gdzie w obronie króla wystąpił premier oraz kilku deputowanych. Kilka tygodni później État Indépendant du Congo wydało liczący czterdzieści pięć stron raport podpisany przez najwyższych rangą administratorów. Jak zameldowało do Londynu brytyjskie poselstwo, celem raportu było „odrzuć oskarżenia wystosowanych przez pułkownika Williamsa i jemu podobnych”<sup>249</sup>.

W tym samym czasie Williams kończył swoją podróż po Afryce i przebywał w Egipcie, gdzie poważnie zachorował na gruźlicę. Jak zawsze był bez grosza. Swoją starą śpiewką o wykonywaniu ważnej misji dla potężnych ludzi udało mu się jakoś przekonać brytyjskiego ministra w Kairze, sir Evelyn Baringa, aby przysłał mu lekarza. Mając jedynie czternaście funtów, słał do Huntingtona rozpaczliwie prośby o pieniądze. Gdy wydobrzył, zdobył bilet na brytyjski parowiec płynący do Anglii. Na pokładzie spotkał młodą Angielkę, guwernantkę przy pewnej brytyjskiej rodzinie mieszkającej w Indiach, i kiedy dotarli do Wielkiej Brytanii, byli już zaręczeni. Williams osiadł w Londynie, ale wciąż miał problemy z długami, których narobił w czasie swojej poprzedniej wizyty. Jego gruźlica była jednak coraz poważniejsza, toteż narzeczona ze swoją matką zabrały go do Blackpool, licząc na to, że morskie powietrze postawi go na nogi i będzie mógł zacząć pisać książkę o Kongu Leopolda.

Ich nadzieje okazały się jednak próżne. George Washington Williams zmarł wczesnym rankiem 2 sierpnia 1891 roku, w obecności narzeczonej, jej matki, duchownego i lekarza. Miał czterdzieści jeden lat. Belgijski „Le Mouvement Géographique” odnotował jego śmierć z satysfakcją, porównując go do tych, którzy spalili świątynię delficką. „Jego wczesna śmierć - pisze współczesny historyk dyplomacji S.J.S. Cookey - (...) pozbawiła władze Konga kogoś, kto mógł się okazać zawstydzająco groźnym przeciwnikiem”<sup>250</sup>. Pochowano go w nieoznaczonym grobie w Blackpool i dopiero w 1975 roku doczekał się porządnego nagrobka, wystawionego przez jego biografa, historyka Johna Hope’a Franklina.

Brytyjska narzeczonej Williamsa dopiero po jego pogrzebie dowiedziała się, że miał w Stanach Zjednoczonych żonę i piętnastoletniego syna. W tym i innych kręactwach, długach, przechwałkach na temat tytułu doktora, którego nigdy nie miał, Williams przypominał oszusta. W pewnym stopniu była to jednak odwrotność jego niezwyklej odwagi, która pozwoliła mu sprzeciwić się królowi, jego urzędnikom oraz całemu ówczesnemu porządkowi społecznemu. Po przeciwnej stronie stał na przykład George Grenfell, brytyjski misjonarz, którego Williams odwiedził nad rzeką Kongo. On także widział na własne oczy wszystkie nadużycia, w tym to, jak urzędnicy Leopolda kupowali zakutych w kajdany niewolników, ale - jak napisał w liście do rodziny kilka dni po spotkaniu z Williamsem - nie widział potrzeby „publicznego kwestionowania działań państwa”<sup>251</sup>. Bez względu na to, co Williams opowiadał o swoich dokonaniach, wszystko, co napisał na temat Konga, potwierdzili później inni.

*List otwarty* był wołaniem autora, dochodzącym z głębi jego serca. Niczego mu jednak nie dał, za to odebrał mecenasa, Huntingtona, oraz na zawsze zamknął drogę do urzeczywistnienia największego marzenia, by sprowadzić do Konga amerykańskich czarnoskórych. Nie przyniósł mu też pieniędzy, których zawsze potrzebował, obdarowując go w ostatnich miesiącach życia - zanim skonał w odległym kurorcie - jedynie oszczerstwami. Zanim Williams przybył w 1890 roku do Konga, tysiące Europejczyków i Amerykanów odwiedziło ten kraj i pracowało w nim. Williams był jedyną osobą, która otwarcie i z pasją opowiedziała o tym, co inni ignorowali lub czemu wręcz zaprzeczali. Następne lata miały jeszcze bardziej potwierdzić jego słowa.

\* Wbrew pozorom nie jest to cytatem z Biblii. Williams miesza historię Józefa i jego

braci, opisaną w Księdze rodzaju, z historią Mojżesza, opisaną w Księdze wyjścia (przyp. tłum.).

## „GDZIE PRZYKAZAŃ BRAK DZIESIĘCIU”

LEOPOLD USTANOWIŁ stolicę swojego nowego państwa w portowym mieście Boma, leżącym około stu kilometrów w górę od ujścia rzeki, w miejscu, w którym w 1877 roku Stanley zakończył swoją wielką wyprawę. Na początku lat 90. XIX wieku Boma było już gotowe, a wąskotorowa kolejka, ciągnąca za sobą kilka wagonów, łączyła tętniące życiem doki i magazyny kompanii handlowej z pobliskim płaskowyżem, na którym panował nieco chłodniejszy klimat. To tam wznosiły się urzędy oraz domy dla pracujących w nich Europejczyków. Boma miało także zbudowany z żelaza kościół katolicki, szpital dla Europejczyków, pocztę, dwupiętrowy hotel oraz posterunek wojskowy, którego armaty grzmiały salwą honorową na powitanie przybywających osobistości. Trzy razy dziennie - o 6.00, 11.45 i 18.30 - około siedemdziesięciu pięciu białych urzędników zjeżdżało kolejką ze wzgórza, mijając plantacje bananowców i udawało się na posiłek do hotelowej restauracji. Jedynym Europejczykiem stołującym się gdzie indziej był gubernator generalny, który jadał w swojej wiktoriańskiej rezydencji - nakrytej kopułą, zdobionej portfenetrami i werandami. Co roku urodziny króla świętowano uroczystym przeglądem wojsk, konkursem strzeleckim i koncertem chóru czarnych, katolickich dzieci<sup>252</sup>.

Gubernator generalny Konga, choć dysponował wspaniałą rezydencją, strzeżoną przez afrykańskich wartowników w białych mundurach i czerwonych fezach, miał znacznie mniej władzy niż jego brytyjscy, francuscy i niemieccy odpowiednicy. Kongo, bardziej niż jakakolwiek inna afrykańska kolonia, było zarządzane z Europy. Prawdziwą stolicą État Indépendant du Congo było nie Boma, ale biura w Brukseli, mieszczące się w pałacu królewskim i w jego pobliżu. Król osobiście wybierał wszystkich urzędników wysokiego i średniego szczebla; bezpośrednio podlegał mu także niewielki gabinet, składający się z trzech lub czterech Belgów.

Jego samowładztwo nad ogromnym terytorium było zupełnym przeciwieństwem nader ograniczonej władzy w domu. Wiele lat później, gdy pewnego razu konferował w swoim gabinecie z ministrami, księżę Albert, jego bratanek i następca tronu, otworzył drzwi i

przeciąg zdmuchnął na podłogę jakieś papiery. Gdy jeden z ministrów zaoferował się, że je podniesie, król nakazał Albertowi je pozbierać, mówiąc: „Proszę pozwolić mi to zrobić. Przyszły monarcha konstytucyjny musi nauczyć się schylać”<sup>253</sup>. W Kongu nie było mowy jednak o żadnym schylaniu się - władza Leopolda była absolutna.

Na najniższym poziomie władzę królewską reprezentowali biali ludzie stojący na czele okręgów oraz posterunków, rozmieszczonych na całym ogromnym terytorium. Do niektórych z nich łodzie przybywały zaledwie co kilka miesięcy. Głęboko w interiorze praktyka miała pierwszeństwo nad teorią, ale na papierze szef nawet najpodlejszej placówki miał zapewnioną butelkę czerwonego wina dziennie, spore zapasy angielskiej marmolady, duńskiego masła, konserw, zup, przypraw, *foie gras* i innych pasztetów od Fischera w Strasburgu<sup>254</sup>.

Na tych urzędników czekała obfitość odznaczeń, których klasy odzwierciedlały rozrastającą się hierarchię imperialnych rządów. Dla posiadaczy Orderu Gwiazdy Afryki czekało sześć klas, od zwykłych *médailles* aż do *grands-croix* i *commandeurs*. Królewski Order Lwa, ustanowiony przez Leopolda w celu „uznania zasług i docenienia świadczonej Nam służby”, miał również sześć klas. Dla afrykańskich wodzów, którzy współpracowali z władzą, powstał specjalny medal, w zależności od stopnia „zasług” brązowy, srebrny lub złoty. Na awersie widniał profil Leopolda, a na rewersie herb Konga i słowa: LOJALNOŚĆ I ODDANIE.

Biali urzędnicy Leopoldowego Konga byli zazwyczaj kawalerami, toteż wielu z nich brało sobie afrykańskie konkubiny, czasem nawet kilka równocześnie. Dopiero pod koniec wieku niektórzy z nich zaczęli sprowadzać żony, a inni zdecydowali się na korzystanie z usług agencji matrymonialnych, które drogą pocztową znajdowały narzeczone w Europie<sup>255</sup>.

Zdjęcia z odległych kongijskich placówek z lat 90. XIX wieku wyglądają podobnie. Sądząc po długich cieniach, jest późne popołudnie. Dwóch albo trzech białych mężczyzn w garniturach, pod krawatami, w podłużnych hełmach przeciwslonecznych, które wyglądają jak białe czapki londyńskich policjantów. U ich stóp leży pies. Siedząc na wiklinowych krzesłach przed namiotem albo prostym budynkiem krytym strzechą, uśmiechają się do obiektywu. Za nimi stoją afrykańscy służący, z poważnymi minami trzymają w rękach symbole swojej pozycji - tacę, ręcznik wiszący na ramieniu, otwartą butelkę. Na stoliku stoją kieliszki lub



filizanki - symbole luksusów czekających na nich w ojczyźnie. Biali ludzie są zawsze ubrani na biało.

\*

Królewskie dekrety przychodzące w dużych ilościach z Brukseli tylko potwierdzały taki porządek. Pierwszy i najważniejszy z nich, z 1885 roku, został wydany tego samego dnia, w którym oficjalnie proklamowano istnienie państwa Kongo. Ogłaszał, że cała „niezajęta ziemia” przechodzi na własność państwa. Nie podano dokładnej definicji „niezajętej ziemi”, jednak na całym świecie ziemia, która wygląda na niezajętą, może celowo leżeć ugiorem - szczególnie w tropikach, gdzie obfite opady wypłukują z ziemi substancje odżywcze.

Leopold pragnął każdej ziemi, którą można było zacząć szybko uprawiać. Traktował zatem zajętą i niezajętą ziemię jako swoją własność, roszcząc sobie prawa do wszystkiego, co wydawała. Nie czynił różnicy między kością dzikich słoni a warzywami, którymi wieśniacy mieli karmić jego żołnierzy - wszystko należało do niego.

Brakowało mu jednak środków na eksploatację całego terytorium, toteż przez wiele lat wydawano kolejne dekrety, dzielące Kongo na wielkie części, których „niezajętą ziemię” oddano w użytkowanie prywatnym kompaniom. Owe przedsiębiorstwa miały swoich udziałowców (głównie belgijskich, choć nie tylko) oraz zarządy, w skład których wchodziło wielu urzędników kongijskiego państwa. W każdym przypadku większościowym udziałowcem było jednak państwo, czyli *de facto* Leopold. Budując imperium, Leopold zachowywał się jak dzisiejszy menedżer syndykatu nastawionego na inwestycje o wysokim stopniu ryzyka. Znalazł sposób, by skłonić ludzi do wkładania pieniędzy w jego przedsięwzięcie, zatrzymując przy tym kontrolę nad przebiegiem działań. Ostatecznie, po zsumowaniu wszystkich podatków i opłat, kompanie oddawały państwu ponad 50 procent dochodów.

W przeciwieństwie jednak do zwykłych kapitalistów król - poza inwestycjami - dysponował też wojskiem oraz państwowymi urzędnikami, bezlitośnie wykorzystywanymi do eliminowania z rynku tych przedsiębiorstw, w których nie miał swoich udziałów. Holenderska kompania, na której parowcu podróżował Williams, musiała zmierzyć się z

kongijskimi urzędnikami, którzy zatrzymywali jej łodzie, a jedną nawet ostrzelali. Pewnego razu, jak podaje historyk kompanii, „w pewnym regionie ogłoszono stan wyjątkowy i zamknięto go dla kupców. Gdy stan wyjątkowy zniesiono, okazało się, że zniknęła stamtąd cała kość słoniowa”<sup>256</sup>.

W tym samym czasie król dalej utrzymywał, że zysk był ostatnią rzeczą, o jakiej myślał. „Dziękuję Panu za wczorajsze oddanie mi sprawiedliwości i odrzucenie tych kalumnii, które rozpowszechniają wrogowie Konga, oskarżeń o żądę zysku i zatajanie faktów - pisał do premiera po parlamentarnej debacie w 1891 roku. - Państwo Kongo z pewnością nie jest przedsięwzięciem handlowym. Jeśli na pewnych terenach zajmuje się zbieraniem kości słoniowej, to wyłącznie w celu zmniejszenia swojego deficytu”<sup>257</sup>.

Skoro zaś Afrykanie mieli pomagać w gromadzeniu kości słoniowej, w jakim innym celu - na Boga - miano by czerpać z tego zyski, jeśli nie po to, by wybawić owych ciemnych ludzi od ich gnuśności? Mówienie o leniwych tubylcach towarzyszyło całej europejskiej kolonizacji Afryki i tak samo jak w przypadku Ameryki tłumaczono nim podbój. Pewnego razu Leopold wyznał amerykańskiemu reporterowi, że „zadając się z rasą kanibali, trzeba używać metod, które najskuteczniej pozbawią ich lenistwa oraz pozwolą zrozumieć świętość pracy”<sup>258</sup>.

Na początku lat 90. XIX wieku pracą, której świętość Leopold cenił najbardziej, było pozyskiwanie zewsząd kości słoniowej. Kongijscy urzędnicy państwowi oraz ich afrykańscy pomocnicy przemierzali cały kraj, zabijając słonie, skupując za bezcen albo nawet konfiskując kły wieśniakom. Mieszkańcy Konga od wieków polowali na słonie, ale nagle zakazano im sprzedawania lub dostarczania kłów komukolwiek innemu z wyjątkiem przedstawicieli Leopolda. Drakońskim usprawieniem w pozyskiwaniu kości słoniowej był cały system prowizji, wprowadzony w 1890 roku, będący ledwie zwiastunem tego, co miało nadejść. Pośrednicy otrzymywali część wartości rynkowej słoniowych kłów - ale w zmiennej skali. Za kość słoniową kupioną w Afryce w cenie ośmiu franków za kilogram agent otrzymywał sześć procent znacznie wyższej ceny europejskiej. Prowizja rosła aż do dziesięciu procent, jeśli kość słoniowa była kupiona po cztery franki za kilogram<sup>259</sup>. Europejscy agenci mieli zatem znakomitą zachętę, by zmuszać Afrykanów - w tym, jeśli była taka konieczność, także bronią - do sprzedawania jej po jak najniższych cenach.

Ani jeden belgijski frank nie trafił do kongijskich łowców słoni. Otrzymywali jedynie niewielkie ilości tkanin, paciorków i tym podobnych rzeczy albo miedziany drut, który ogłoszono główną walutą kraju. Afrykanie nie mieli prawa używać pieniędzy, gdyż wolny obrót nimi mógłby podkopać istniejącą *de facto* centralnie planowaną gospodarkę nakazową.

Nakazy dotyczyły przede wszystkim pracy. Państwo najbardziej potrzebowało tragarzy. Każdy urzędnik, który oddalał się od rzeki i wkraczał w busz, aby zbierać kość słoniową, zakładać nowe placówki, tłumić bunt, potrzebował - tak jak Stanley - długiej kolumny tragarzy, niosących na plecach wszystko, od amunicji do karabinu maszynowego po czerwone wino i pasztety. Owe dziesiątki tysięcy tragarzy zazwyczaj otrzymywało zapłatę, nawet jeśli najczęściej tylko w formie pożywienia, które pozwalało im wędrować dalej, ale w większości przypadków byli jednak zmuszani do pracy. Nawet dzieci musiały pracować - jeden ze świadków widział siedmio- czy dziewięciolatków dźwigających dziesięciokilogramowe towary<sup>260</sup>.

„Rząd biednych diabłów, zakutych w dyby, poniósł w stronę nabrzeża moje kufry i skrzynie” - dość beznamyślnie zanotował w dzienniku pewien kongijski urzędnik. Na następnym postoju, przed wyprawą lądową, potrzebował więcej tragarzy. „Było ich około setki, drżących ze strachu przed nadzorcą, który przechadzając się, strzelał z bicia. Na każdego krępego, szerokiego w ramionach chłopaka przypadało wiele szkieletów, wysuszonych jak mumie, o zniszczonej skórze (...) zrytej głębokimi bliznami, pokrytej ropiejącymi ranami. (...) Nie miało to znaczenia, wszyscy nadawali się do pracy”<sup>261</sup>.

Tragarze byli najbardziej potrzebni w miejscach, w których rzekę blokowały wodospady, szczególnie - zanim zbudowano kolej - na odcinku pomiędzy Matadi a Wodospadami Stanleya, którego przejście zajmowało trzy tygodnie. Była to trasa, którą dostarczano zapasy do interioru, a stamtąd sprowadzano nad morze kość słoniową oraz inne bogactwa. Najbardziej pracochłonne było przenoszenie w górny bieg rzeki rozmontowanych parowców - jedną taką łódź musiało czasami nieść aż trzy tysiące tragarzy<sup>262</sup>. Oto jak Edmond Picard, belgijski senator, opisuje karawanę tragarzy, którą widział po drodze wokół wielkich katarakt w 1896 roku:

Nieustannie natykaliśmy się na tragarzy (...), czarnych, nędznych, mających za jedyną odzież przeraźliwie brudną szmatę, kędzierzawych, niosących ładunki na głowach - skrzynie,

bele, słoniowe kły (...) beczki; w większości chorych, uginających się pod ciężarem, który zdawał się jeszcze cięższy z powodu zmęczenia i niewystarczającego jedzenia - garści ryżu i śmierdzącej, suszonej ryby. Żalosne, chodzące kariatydy, juczne zwierzęta na cienkich, małych nogach, o wychudzonych twarzach, nieruchomych oczach, skupionych na utrzymaniu równowagi i szeroko otwartych z powodu wyczerpania. Przychodzą i odchodzą tysiącami (...), zagonieni do pracy przez potężną milicję państwową, wydani przez wodzów, których są niewolnikami i którzy czerpią zyski z ich niewoli. Maszerują na zgiętych nogach, z wypiętym brzuchem, podtrzymując ładunek ramieniem wzniesionym do góry. Inni wspierają się na długich laskach, pokryci kurzem i potem, niczym owady, których roje rozprzestrzeniają się po górach i dolinach. Wykonują syzyfową pracę i umierają przy drogach albo, gdy podróż dobiega końca, udają się do swoich wiosek, by tam umrzeć z przepracowania<sup>263</sup>.

Śmiertelne żniwo było szczególnie wysokie wśród tragarzy, zmuszonych do pokonywania długich dystansów. W 1891 roku regionalny komisarz Paul Lemarinel postanowił założyć nową placówkę w miejscu odległym o prawie tysiąc kilometrów. Z trzystu tragarzy, zmuszonych do wędrówki, nie powrócił żaden<sup>264</sup>.

\*

Stanislas Lefranc, gorliwy katolik i monarchista, był belgijskim prokuratorem, który przybył do Konga, aby objąć stanowisko sędziego. Pewnego niedzielnego poranka w Leopoldville usłyszał przeraźliwy krzyk dzieci.

Chcąc poznać przyczynę tego hałasu, Lefranc natknął się na „około trzydziestu uliczników, niektórych siedmio- czy ośmioletnich, stojących w szeregu i czekających na swoją kolej, z przerażeniem obserwując chłostę swoich kolegów. Większość wstrząsanych strachem uliczników (...) kopała tak mocno, że żołnierze kazali trzymać ich za ręce i nogi nad ziemią. (...) Dwadzieścia pięć razy bicz spadał na plecy każdego dziecka”<sup>265</sup>. Lefranc dowiedział się, że poprzedniego wieczora kilkoro dzieci zaśmiało się w obecności białego człowieka, który rozkazał, aby każdy chłopiec-służący w mieście dostał pięćdziesiąt batów. Drugie dwadzieścia pięć batów miało zostać wymierzone następnego ranka. Lefrancowi udało się temu zapobiec - pod warunkiem, że więcej nie będzie wtrącał się w sprawy dotyczące

dyscypliny.

Lefranc miał okazję zobaczyć w użyciu główne narzędzie stosowane w Leopoldowym Kongu, które w umysłach jego mieszkańców szybko stało się czymś nieodłącznie związanym z rządami białych ludzi, niczym łódź parowa czy karabin - *chicotte*, bat z wysuszonej skóry hipopotama, wyciętej w długą, ostro zakończoną spiralę. Razy *chicotte* wymierzano zazwyczaj na gołe pośladki ofiary. Ciosy zostawiały trwałe blizny; więcej niż dwadzieścia pięć razy pozbawiało ofiarę przytomności, a setka i więcej - co nie było rzadką karą - bywała śmiertelna.

Lefranc widział jeszcze wiele chłost przy użyciu *chicotte*, ale jego opisy, w ulotkach i artykułach prasowych, które publikował w Belgii, nie wywołały reakcji.

Zarządca placówki wybiera ofiarę. (...) Drżący, wymizerowani, kładą się na ziemi twarzą w dół (...), dwóch albo czterech towarzyszy łapie ich za ręce i nogi, zdejmując z nich bawełnianą bieliznę. (...) Za każdym razem, gdy oprawca wznosi *chicotte*, czerwona smuga pojawia się na skórze biednej ofiary, która - choć mocno trzymana - rzuca się w strasznych konwulsjach. (...) Po pierwszych ciosach nieszczęsna ofiara wydaje z siebie potworne krzyki, które wkrótce przechodzą jedynie w słabnące jęki. (...) Wyrafinowanie zła polega też na tym - sam byłem tego świadkiem - że niektórzy oficerowie wymagają, by po skończonej karze mdlejąca ofiara wstała i zaszalowała oprawcy<sup>266</sup>.

Przerażenie, które okazał Lefranc, przyniosło mu tylko reputację dziwaka i mąciwody. „Okazuje zdumiewającą ignorancję w sprawach, na których powinien się znać z racji swojego zawodu. Mierny urzędnik” - napisał urzędujący gubernator generalny, oceniając jego pracę<sup>267</sup>. Lefranc pisał, że - próbując go uciszyć - urzędnicy nakazali mu wykonywanie swoich obowiązków w miejscu położonym daleko od jego domu.

Poza Lefrankiem tylko nieliczni Europejczycy pracujący dla reżimu pozostawili po sobie dowody oburzenia z powodu oficjalnie stosowanego terroru. Oficerowie, kapitanowie parowców, urzędnicy państwowi, pracownicy koncesjonowanych kompanii i inni biali ludzie podróżujący po tym terytorium w większości przyjmowali posługiwanie się *chicotte* równie bezrefleksyjnie, jak pół wieku później setki tysięcy innych umundurowanych ludzi w nazistowskich i sowieckich obozach koncentracyjnych bez słowa sprzeciwu wykonywały

wydane im rozkazy. „Potwory istnieją - pisał Primo Levi o swoim doświadczeniu w Auschwitz - ale jest ich za mało, aby mogli naprawdę stać się zagrożeniem. Dużo niebezpieczniejsi są (...) funkcjonariusze gotowi uwierzyć i wykonywać rozkazy bez zadawania pytań”<sup>268</sup>.

Co sprawiło, że funkcjonariusze w Kongu z taką beztronską obserwowali w działaniu *chicotte* oraz inne metody zadawania bólu i śmierci? Jak zaraz zobaczymy, była to przede wszystkim kwestia rasy. Dla Europejczyków Afrykanie byli gorszym gatunkiem człowieka: leniwym, barbarzyńskim, niewiele lepszym od zwierząt. W rzeczy samej, najczęściej zapędzano ich do pracy wykonywanej zazwyczaj przez juczne zwierzęta. Tak jak w każdym systemie represji, funkcjonariusze musieli najpierw przestać dostrzegać w ofiarach ludzi, co znacznie ułatwiały wiktoriańskie koncepcje rasy.

Oczywiście ten terror był wspierany przez władze. Stąd też dla białego człowieka ewentualny bunt oznaczał sprzeciw wobec całego systemu, który zapewniał mu źródło utrzymania. Wszyscy wokół brali w tym udział. Akceptując to wszystko, dostawało się pensję, awanse i medale. Z tego powodu ludzie, których oburzałoby używanie *chicotte* na ulicach Brukseli, Paryża czy Sztokholmu, w warunkach afrykańskich przyjmowali to za coś normalnego. Echo takiego zachowania możemy usłyszeć pół wieku później, w innym kontekście. „Prawdę mówiąc - powiedział na temat masowych mordów Franz Stangl, komendant obozów zagłady w Sobiborze i w Treblince - po jakimś czasie człowiek do tego przywykł”<sup>269</sup>.

Jedną z rzeczy, która pomagała funkcjonariuszom „przyzwyczajając się”, było istnienie niewielkiego, symbolicznego dystansu (bez znaczenia dla ofiary) między decyzją urzędnika a samym aktem przemocy. Naziści sądzeni po drugiej wojnie światowej często powoływali się w swojej obronie właśnie na ów symboliczny dystans. Doktor Johann Paul Kremer, lekarz z SS, który zwykł przeprowadzać badania patomorfologiczne na świeżej tkance, wyjaśniał:

Chorego układano jeszcze za życia na stole sekcyjnym. Ja przystępowałem do stołu i wypytywałem tego chorego o różne dla moich badań istotne szczegóły. (...) Po zebraniu tych informacji podchodził do chorego sanitariusz i zastrzykiem w okolicę serca zabijał chorego. (...) Ja sam śmiertelnych zastrzyków nigdy nie wykonywałem<sup>270</sup>.

„Ja sam śmiertelnych zastrzyków nigdy nie wykonywałem”. Choć niektórzy biali w Kongu lubili osobiście używać *chicotte*, większość zachowywała podobny, symboliczny dystans między nimi samymi a tym potwornym narzędziem. Raoul de Premorel, pracujący dla kompanii działającej w dorzeczu rzeki Kasai, wspominał: „Początkowo (...) sam brałem na siebie obowiązek wymierzenia kary tym, którzy poprzedniego dnia zasłużyli na takie potraktowanie. (...) Wkrótce (...) postanowiłem powierzyć przeprowadzanie egzekucji innym. Najlepszym wydało mi się takie rozwiązanie, by każdy *capita* [afrykański brygadzysta] sam wymierzał karę w swojej brygadzie”<sup>271</sup>.

W ten sposób gros ciosów przy użyciu *chicotte* wymierzali jedni Afrykanie innym. Dla kolonizatorów miało to dodatkowe znaczenie - tworzono w ten sposób warstwę brygadzystów, rekrutujących się spośród podbitych, kogoś w rodzaju kapo w nazistowskich obozach koncentracyjnych czy pricurki w sowieckich gułagach. Na podbój składa się zatem zarówno terroryzowanie ludzi, jak i zmuszanie innych do szerzenia terroru<sup>\*272</sup>.

Wreszcie, gdy terror staje się niekwestionowaną przez nikogo procedurą, jego efektywne stosowanie staje się dowodem męstwa, takim, jakim jest spokój na polu bitwy. To sprzyja „przyzwyczajeniu się”. Oto jak w 1895 roku dowódca jednej z placówek, Georges Bricusse, opisuje w swoim dzienniku wieszanie człowieka, którego skazał na śmierć za kradzież karabinu:

Szafot jest rozstawiony. Lina przytroczona jest zbyt wysoko. Podnoszą czarnucha i zakładają mu pętlę. Przez kilka chwil lina zwija się, a potem trzask, człowiek wije się na ziemi. Strzał w kark kończy sprawę. Tym razem nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia!!! I pomyśleć, że kiedy pierwszy raz widziałem *chicotte* w użyciu, byłem blady z przerażenia. Ostatecznie Afryka się do czegoś przydaje - mogę teraz iść w ogień tak łatwo, jak gdybym szedł na wesele<sup>273</sup>.

\*

Kontrola tego ogromnego terytorium opierała się na wojsku. W końcu bez sił zbrojnych nie da się zmusić ludzi do tego, by opuścili swoje domy i tygodniami czy miesiącami nosili trzydziestokilogramowe ciężary. Król był bardzo zadowolony z posiadania

własnej afrykańskiej armii, gdyż w Belgii musiał ciągle toczyć boje z plemi, niepodzielającymi jego pasji do ogłaszania poboru, budowania wielkich fortów i wydawania na wojsko ogromnych sum pieniędzy.

Leopold zaczął zatrudniać afrykańskich najemników w tym samym czasie, w którym Stanley w jego imieniu zajmował ziemie w Kongu, to znaczy od 1879 do 1884 roku. W 1888 roku oficjalnie utworzył Force Publique, armię swojego nowego państwa. W ciągu następných dwunastu lat rozrosła się ona do dziewiętnastu tysięcy ludzi, stając się najpotężniejszą armią Afryki Środkowej<sup>274</sup>. Pod koniec lat 90. XIX wieku pochłaniała ponad połowę budżetu państwa<sup>275</sup>. Była równocześnie służbą bezpieczeństwa wewnętrznego, siłami okupacyjnymi i policją. Dzielila się na małe, położone nad brzegiem rzeki garnizony, w który stacjonowało zazwyczaj kilkudziesięciu czarnych żołnierzy pod dowództwem jednego lub dwóch białych oficerów. Tych ostatnich była początkowo tylko garstka, ale już w 1900 roku ich liczba wzrosła do stu osiemdziesięciu trzech, a w 1908 roku aż do trzystu trzynastu.

Force Publique miała ręce pełne roboty. Wielu nowych poddanych króla należało do wojowniczych plemion, które stawiały opór. Bunt przeciwko rządóm Leopolda podniosło kilkanaście grup etnicznych<sup>276</sup>. Yaka opierali się białym przez ponad dziesięć lat, zanim wreszcie zostali pokonani w 1906 roku. Chokwe walczyli przez lat dwadzieścia, zadając ciężkie straty siłóm Leopolda. Ponad pięć tysięcy Boa i Budja prowadziło w lesie deszczowym walkę partyzancką. Tak jak Amerykanie siedemdziesiąt lat później używali w Wietnamie określenia „pacyfikacja”, tak ekspedycje Force Publique nosiły nazwę *reconnaisances pacifiques*.

Historia Afryki Środkowej przed przybyciem Europejczyków pełna była wojen i podbojów podobnych tym na Starym Kontynencie i nawet w czasie rządów Leopolda nie wszystkie wojny prowadzili kolonizatorzy z kolonizowanymi. Ponieważ wiele ludów Konga toczyło boje z innymi plemionami, Force Publique często sprzymierzała się z jedną grupą etniczną przeciwko innej. Jednak prędzej czy później zwycięskie plemię także było podbijane. Mając siły rozproszone na tak wielkiej powierzchni, dowódcy Leopolda przezornie opierali się na zmiennej sieci sojuszy. Ostatecznie jednak przewaga wojskowa zapewniała im zwycięstwo - a to zwycięzcy piszą historię.

Nawet w niej możemy jednak dostrzec czasami determinację tych, którzy stawiali



opór. W Katandze, na głębokim południu, wojowników ludu Sanga prowadził wódz Mulume Niama<sup>277</sup>. Choć żołnierze państwa Kongo mieli artylerię, siły Mulume stawiały zaciekle opór, zabijając jednego oficera i raniąc trzech innych żołnierzy. Następnie schronili się w wielkiej kredowej jaskini Tshamakele. Dowódca Force Publique nakazał swoim ludziom rozpalić ogniska przy wejściach, aby wykurzyć buntowników, i po tygodniu wysłał posłańca, by wynegocjować z Mulume Niama warunki jego kapitulacji. Wódz i jego ludzie odmówili jednak poddania się. Żołnierze ponownie rozpalili ogniska i przez trzy miesiące blokowali wejście do jaskini. Gdy wreszcie wkroczyli do środka, znaleźli sto siedemdziesiąt osiem ciał. Obawiając się, że ich grób mógłby stać się symbolem oporu, żołnierze Force Publique doprowadzili do osunięcia ziemi, aby zatrzeć wszelkie ślady istnienia jaskini Tshamakele oraz ciał Mulume Niamy i jego ludzi.

Inna rebelia wybuchła na trasie karawan omijających wodospady dolnego Konga. Niesławny urzędnik państwowy, Belg Eugène Rommel, zbudował tam stację, aby dostarczać tragarzy potrzebnych do trzytygodniowej wędrówki z Matadi do Stanley Pool, a których w połowie lat 90. XIX wieku potrzebowano aż pięćdziesiąt tysięcy rocznie<sup>278</sup>. W przeciwieństwie do protestanckich misjonarzy i niektórych prywatnych kupców, którzy wynajmowali tragarzy i negocjowali z nimi stawki, państwo Kongo - na wyraźny rozkaz Leopolda - korzystało z pracy przymusowej. Rommel nazwał swoją stację Baka Baka - „pojmanie, pojmanie”.

Piątego grudnia 1893 roku miejscowy wódz imieniem Nzansu wszczął bunt, zabijając Rommla i pałac jego stację. Buntownicy spalili i splądrowali także dwie pobliskie placówki, gdzie zabili dwóch białych urzędników i zranili kilku innych. Nzansu oszczędził jednak Mukimungu, szwedzką misję leżącą na trasie karawan, a nawet podarował misjonarzom trochę znalezionych na szlaku zapasów, a także zwrócił im część dóbr, które jego ludzie zabrali wcześniej. Jeden z misjonarzy, Karl Theodor Andersson, tak napisał do członków swojego Kościoła w Szwecji:

Jeśli przyjaciele naszej misji w ojczyźnie czytają listy i doniesienia prasowe na temat niepokojów w tych rejonach i martwią się o nasze bezpieczeństwo, pragnę ich uspokoić. (...) Przywódca rebeliantów, Nzansu, wódz Kasi, powiadomił nas, że nie życzy źle żadnemu z nas, gdyż zawsze pokazywaliśmy, że jesteśmy przyjaciółmi czarnych ludzi. Ludziom państwa przyrzekł jednak śmierć i nikt, kto zna tutejsze realia, nie może być tym zaskoczony<sup>279</sup>.

Ta rebelia wzbudziła szczególny niepokój administracji państwa, gdyż całkowicie wstrzymała tranzyt na kluczowej trasie karawan do Stanley Pool. Aby zgnieść buntowników, władze wysłały piętnastu białych oficerów na czele dwóch setek czarnych żołnierzy. Inny szwedzki misjonarz, C.N. Börrisson, kilka tygodni później napisał do domu: „Buntownicy nie uciekli, (...) ale zgromadzili się w wiosce swojego przywódcy, której bronili do śmierci - nawet wtedy, gdy spłonęły już ich wszystkie inne wioski”<sup>280</sup>.

Börrisson mówi za buntowników, których głosów nie możemy usłyszeć:

Człowiek zbiera to, co sieje. W istocie to państwo jest prawdziwym powodem tych powstań. To dziwne, że ludzie, którzy mają się za cywilizowanych, sądzą, że mogą traktować bliźniego - nawet jeśli jest innego koloru - jak im się tylko podoba. (...) Bez wątplenia jednym z najbardziej haniebnych [funkcjonariuszy] był nieżyjący pan Rommel. Nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale muszę wspomnieć kilka drobnych spraw, by pokazać, że bunt był usprawiedliwiony. (...) Gdy ludzie odmawiali transportowania [zapasów] i sprzedawania mu towarów po zaniżonych cenach, więził ich kobiety. (...) Nie wstydził się przybywać do naszej placówki i porywać nasze uczennice (...), traktując je w odrażający sposób. Pewnego niedzielnego poranka brat Andersson i ja udaliśmy się do sąsiedniej wioski i pomogliśmy uwolnić trzy nieszczęsne kobiety, pojmane przez jego żołnierzy, ponieważ jedna z nich poprosiła o zwrot jakiegoś kamiennego dzbana, który jej zabrano (...).

Co się jednak dzieje z tymi wszystkimi kobietami, które zostają uwięzione? Niektóre wypuszcza się wolno (...), gdy ich mężowie dokonają już wszystkiego, co w ich mocy, by odzyskać najdroższe im osoby. Inne zmusza się do pracy na roli, ale także do prostytucji (...). Nasi najbardziej tu szanowani mężczyźni (...) powiedzieli nam niedawno ze łzami w oczach i niepokojem w sercu, że widzieli grupę siedmiuset kobiet zakutych razem i transportowanych [parowcami na wybrzeże]. Rzekli nam: „Dla nich nie ma różnicy między ucięciem głowy nam i kurczakowi (...)”.

Czy ktoś mógł być zatem prawdziwie zaskoczony, kiedy niezadowolenie ujawniło się z całą mocą? Nzansu, przywódca powstania i zabójca [Rommela], chciał jedynie zostać Engelbrektem Konga, Gustawem Wazą swoich ludzi. Jego ludzie są mu wierni tak, jak kiedyś Szwedzi byli wierni swoim ówczesnym przywódcom<sup>281</sup>.

Misjonarz porównał Nzansu z dwoma szwedzkimi patriotami z XV i XVI wieku, szlachcicami, którzy stanęli na czele buntów szwedzkiego chłopstwa przeciwko surowym rządóm obcych monarchów. Waza odniósł sukces i został wybrany na króla Szwecji. Nzansu miał mniej szczęścia. Wraz ze swoimi wojownikami przez osiem miesięcy walczył z Leopoldową Force Publique, która mimo stosowania taktyki spalonej ziemi przez pięć lat nie była w stanie go pokonać. Nie wiemy jednak, co się z nim stało później<sup>282</sup>.

\*

Wszyscy wyżsi oficerowie Force Publique byli biali, podobnie także część sierżantów. Przeważnie pochodzili z Belgii, ale też z innych europejskich krajów. Ich własne armie z chęcią dawały im urlop na kilka lat, żeby w tym czasie zdobyli trochę doświadczenia bojowego. Z kolei wszyscy szeregowi żołnierze byli czarni. Najemników z Zanzibaru oraz z brytyjskich kolonii w Afryce Zachodniej, którzy dominowali w pierwszych latach, wkrótce zastąpili żołnierze z samego Konga, przeważnie wcieleni przymusowo. Nawet ci, którzy sami się zgłaszali do służby, często podejmowali taką decyzję dlatego, że - jak powiedział pewnemu Europejczykowi jeden z żołnierzy - „woleli być myśliwymi niż zwierzyną”<sup>283</sup>. Źle opłacani i źle karmieni, za najdrobniejsze przewinienia byli karani chłostą *chicotte*, toteż wielu próbowało ucieczki na pustynię. W pierwszych latach oficerowie dużo czasu poświęcali na ściganie zbiegów. Z czasem, aby zapobiec dezercjom, państwo wysyłało poborowych daleko od ich rodzinnych stron. Gdy kończyła się siedmioletnia służba, wielu żołnierzy musiało jeszcze pokonać setki albo i tysiące kilometrów, by powrócić do domów. Czasami nawet wtedy nie pozwalano im wracać.

Frustracja żołnierzy znajdowała ujście w kolejnych buntach, mniejszych i większych. Pierwszy duży bunt wybuchł w 1895 roku w posterunku Luluabourg, położonym na południowo-wschodniej sawannie. Dowódca, Mathieu Pelzer, był znanym sadystą, którego pięści czuli wszyscy wokół i który zwyczajowo wymierzał żołnierzom karę stu dwudziestu pięciu razów *chicotte*. Rozkazał zabić swoją afrykańską konkubinę, kiedy poszła do łóżka z innym<sup>284</sup>. Pewnego razu Pelzer nakazał ukarać jednego z żołnierzy, ale zanim kat wymierzył pierwszy cios, sierżant imieniem Kandolo wyrwał mu z ręki *chicotte*<sup>285</sup>. Wkrótce Kandolo stanął na czele buntu niezadowolonych podoficerów\*\*.

Żołnierze zaatakowali i zranili Pelzera, który uciekł do buszu, ale rebelianci wkrótce go znaleźli i zabili. Pod wodzą Kandolo, ubranego na biało i dosiadającego byka, wyruszyli przeciwko innym posterunkom Force Publique, zabijając kilku europejskich oficerów i werbując do walki czarnych żołnierzy. Buntownicy kontrolowali region Kasai przez ponad rok. W lesie podzielili się na mniejsze grupy i rozproszyli, skutecznie unikając starcia z dobrze uzbrojonymi ekspedycjami, które wysyłano przeciwko nim. Rok później oficerowie Force Publique szacowali, że wciąż jest na wolności czterystu, pięciuset buntowników, którzy pozyskują nowych członków i sprzymierzają się przeciwko państwu z miejscowymi wodzami. W sumie zdławienie rebelii kosztowało Force Publique życie około kilkuset czarnych żołnierzy i tragarzy oraz piętnastu białych oficerów i podoficerów. Jednym z nich był Amerykanin, porucznik Lindsay Burke, dwudziestosześcioletek z Nowego Orleanu, który przebywał w Afryce od niecałego roku. Na początku 1897 roku wpadł w zasadzkę i zginął wraz z dwudziestoma siedmioma ludźmi. Kandolo został w końcu śmiertelnie ranny w jakiejś bitwie, ale jego dwóch kaprali, Yamba-Yamba i Kimpuki, dalej prowadziło walkę partyzancką. Zostali zabici dopiero w 1908 roku, trzynaście lat po wybuchu powstania<sup>286</sup>.

Na drugim końcu kraju, na dalekim północnym zachodzie, w 1897 roku bunt podniosło trzy tysiące żołnierzy oraz tyle samo tragarzy i pomocników. Ludzie, miesiącami zmuszani do marszu przez lasy i bagna w ciągłych poszukiwaniach źródeł Nilu, powiedzieli wreszcie: „dość”. Trzy lata trwały walki między buntownikami i lojalnymi oddziałami Force Publique, toczone na trzystukilometrowym odcinku lasu i sawanny, rozciągającym się wzdłuż jezior, stanowiących wschodnią granicę Konga. Buntownicy, pochodzący z różnych grup etnicznych, toczyli wspólną walkę pod biało-czerwoną flagą, utrzymywali wojskową dyscyplinę i organizowali zasadzki w celu zdobycia broni i amunicji. Pomagali im przychylnie nastawieni wodzowie, na przykład zawiadamiając tam-tamami o zbliżaniu się sił nieprzyjaciela. Nawet oficjalni dziejopisowie Force Publique przyznawali, że w bitwie „buntownicy wykazywali odwagę godną lepszej sprawy”<sup>287</sup>.

W ciągu ponad dwóch lat od wybuchu buntu rebelianci zwerbowali dwa i pół tysiąca żołnierzy i przeprowadzili atak na ufortyfikowany posterunek. W jednym z najemnych kontyngentów Force Publique biorących udział w kampanii z trzystu żołnierzy zostało tylko trzech. Buntownicy walczyli jeszcze w 1900 roku, aż wreszcie dwutysięczny oddział wycofał się przez granicę na niemieckie terytorium dzisiejszych Rwandy i Burundi, gdzie - w zamian

za prawo do osiedlenia się - złożyli broń.

Ten przedłużający się bunt jest jedynym przypadkiem w historii Leopoldowego Konga, gdy mamy opis świadka wydarzeń po stronie rebeliantów. W kwietniu 1897 roku pojмали oni francuskiego księdza, ojca Auguste' a Achte, który niechcący sam wpadł w ich ręce - uznał, że tak „ogromny obóz” musi należeć do ekspedycji Force Publique<sup>288</sup>. Nagle został otoczony przez dwa tysiące buntowników, których przywódcy mieli pistolety oficerów oraz nosili wyszywane złotem mundury. Prerażony Achte był pewien, że za chwilę umrze. Kilku rebeliantów poturbowało go, mówiąc, że przyrzekli zabijać wszystkich białych ludzi. Przywódcy grupy odwiedli ich jednak od tego zamiaru, wskazując na różnicę między tymi białymi, którzy pracują dla znieprawionego państwa Kongo, oraz całą resztą. Jak relacjonował Achte, Mulamba, wódz tej grupy buntowników, powiedział księdzu, że oszczędzają go, gdyż „nie ma strzelby, naucza słowa bożego, opiekuje się chorymi tubylcami i nigdy nie uderzył czarnego”. Buntownicy doszli do takich wniosków po przesłuchaniu kilkunastu młodych Afrykanów, których ksiądz wcześniej uczył.

Ku zaskoczeniu księdza Achte rebelianci zarznęli kożę, nakarmili go, zaparzyli mu kawy i podarowali wyrób z kości słoniowej, by wynagrodzić mu utratę skonfiskowanych dóbr - „abyś nie pisał w Europie, że cię okradliśmy”. Zwolniono go po kilku dniach. Rebelianci powiedzieli mu, że zabili swoich belgijskich oficerów, ponieważ ci traktowali ich jak zwierzęta i nie płacili im od miesięcy. W dodatku tak żołnierze, jak i wodzowie nawet za drobne przewinienia byli karani chłostą albo nawet strykiem. Opowiadali o pewnym białym oficerze, który tylko jednego dnia zastrzelił sześćdziesięciu żołnierzy odmawiających pracy w niedzielę, a także o jeszcze innym, który „własnoręcznie posypywał solą i pieprzem krwawe rany od *chicotte*, pewnego chorego ze swojego posterunku nakazał zaś wrzucić żywcem do rzeki Lualaba”.

„Przez trzy lata w moim sercu narastała nienawiść do Belgów, ale ją tłumilem - wyznał Mulamba księdzu Achte. - Gdy zobaczyłem, jak Dhanis [baron Francis Dhanis, okręgowy dowódca Force Publique] staje twarzą w twarz z moimi zbuntowanymi pobratymcami, drżałem ze szczęścia - nadchodził czas wolności i zemsty”. Inni buntownicy powiedzieli księdzu Achte, że wybrali Mulambę na swojego króla, a dwóch innych wodzów na jego zastępców i że chcą ustanowić niezawisłe państwo wolne od władzy białych. To i inne powstania przeciwników Force Publique były czymś więcej niż tylko buntami

narzekających żołnierzy - były pierwowzorami antykolonialnych wojen partyzanckich, które w latach 60. XX wieku wstrząsnęły środkową i południową Afryką<sup>289</sup>.

\*

Gdy Leopold wielkodusznie wydawał edykty zakazujące handlu niewolnikami, poza George'em Washingtonem Williamsem żaden z ludzi odwiedzających Kongo nie powiedział oczywistego: niewolnikami byli nie tylko tragarze, ale *de facto* także żołnierze Force Publique. Co więcej, w ramach systemu zatwierdzonego osobiście przez króla białym urzędnikom państwowym płacono premie w zależności od tego, ilu ludzi dostarczyli Force Publique. Czasami funkcjonariusze kupowali ludzi od lojalnych wodzów, którzy dostarczali żywy towar już w łańcuchach. (W notatkach pewnego okręgowego komisarza mamy zapis takiej transakcji - dwóm wodzom z Bongata, którzy w 1892 roku przekazali sześciu nastoletków, za każdego zapłacono dwadzieścia pięć franków<sup>290</sup>). Urzędnicy państwa Kongo otrzymywali dodatkowe premie za „zmniejszanie wydatków na rekrutację”, co było słabo zamaskowaną zachętą do oszczędzania państwowych pieniędzy poprzez porywanie, a nie kupowanie ludzi<sup>291</sup>.

System niewolniczy zawsze jednak posługuje się eufemizmami, których używają nawet bezpośredni wykonawcy. „Dwie łodzie (...) właśnie przybyły z sierżantem Lensem i dwudziestoma pięcioma ochotnikami z Engwettra, zakutymi w łańcuchy; dwóch ludzi utonęło przy próbie ucieczki” - napisał jeden z oficerów, niejaki Louis Rousseau, w miesięcznym raporcie z października 1892 roku<sup>292</sup>. W istocie około trzech czwartych takich „ochotników” umierało, zanim zostali dostarczeni do posterunków Force Publique, co w tym samym roku odnotował zmartwiony tym faktem wysoki rangą urzędnik. Niektórymi z rozwiązań, jakie zalecił w celu uporania się z takim „marnotrawstwem”, były: szybszy transport oraz zamiana ciężkich, żelaznych kajdan na lżejsze, stalowe<sup>293</sup>. Dokumenty z tego okresu pokazują, jak to urzędnicy państwa Kongo zamawiają kolejne dostawy łańcuchów. Jakiś oficer zauważył problem „łączenia” poborowych w trakcie przepraw wąskimi, wiszącymi nad wartkami potokami mostkami z bali. Kiedy „skuci łańcuchami na szyjach *libérés* [wolni ludzie] przekraczają rzekę i jeden z nich spada, pociąga za sobą całą grupę, która w ten sposób przepada”<sup>294</sup>.

Biali oficerowie, negocjujący z wodzami pozyskanie „ochotników” na żołnierzy i tragarzy, często zaopatrywali się u tych samych ludzi, którzy dostarczali niewolników arabskim handlarzom ze wschodniego wybrzeża<sup>295</sup>. Najpotężniejszym z zanzibarskich handlarzy niewolnikami był przystojny, brodaty i dobrze zbudowany Hamed bin Muhammed el Murdżebi, zwany powszechnie Tippu Tip. Jego przydomek pochodził podobno od dźwięku wydawanego przez muszkiet, podstawowe narzędzie pracy łowców niewolników.

Tippu Tip był człowiekiem przebiegłym i zaradnym. Zbił majątek na kości słoniowej i niewolnikach, a odkrycie przez Stanleya drogi w górę rzeki Kongo jeszcze poprawiło jego interesy<sup>\*\*\*</sup>. Leopold wiedział, że potęga Tippu Tipa i jego umiejętności administracyjne czyniły z niego rzeczywistego władcę wschodniego Konga. W 1887 roku Tippu Tip przyjął złożoną przez króla propozycję objęcia posady gubernatora wschodniej prowincji kolonii, ze stolicą w Stanley Falls. Kilku jego krewnych objęło niższe stanowiska. Na początku, gdy siły Leopolda nie kontrolowały jeszcze w pełni terytorium, umowa była korzystna dla obu stron. (Król zobowiązał się także do wykupienia kilku tysięcy niewolników Tippu Tipa, ale - jak wkrótce dowiedzieli się „wyzwoleńcy” - warunkiem odzyskania przez nich wolności było odbycie siedmioletniej służby w Force Publique). Choć przez większość życia Leopoldowi znakomicie udawało się zachowywać pozory, umowa zawarta między krzyżowcem abolicjonizmu a najsłynniejszym handlarzem niewolnikami w Afryce wywołała w Europie pierwszy pomruk niezadowolenia.

Ostatecznie ich drogi się rozeszły. We wschodnim Kongu ambitni biali funkcjonariusze stoczyli bez zgody zwierzchników w Brukseli kilka zwycięskich bitew z miejscowymi afro-arabskimi kacykami, które później opisywano jako szlachetne kampanie przeciwko łajdackim „arabskim” łowcom niewolników. Literatura kolonialna wyniosła je na piedestał oficjalnej mitologii tego okresu, której echo słychać w Belgii do dziś. Siły wojskowe Konga przelały jeszcze więcej krwi, także własnych żołnierzy, całymi latami tłumiąc niezliczone powstania Afrykanów. Na domiar wszystkiego, gdy kampanie przeciwko handlarzom niewolnikami dobiegły końca, wielu z nich zostało później zatrudnionych przez Leopolda w roli urzędników państwowych.

Jak czuła się osoba schwytna w niewolę przez białych zdobywców Konga? Mamy rzadką możliwość przeczytania afrykańskiego opisu takiego doświadczenia, przekazanego przez mówiącego w suahili Amerykanina Edgara Canisiusa. Poruszyła go opowieść pewnej „obdarzonej wielką inteligencją kobiety imieniem Ilanga”. Gdy później spotkał żołnierzy, którzy ją pojмали, doszedł do wniosku, że powiedziała mu prawdę. Wydarzenia, o których mowa, miały miejsce we wschodniej części Konga, niedaleko Nyangwe, miasteczka położonego w tym samym miejscu, gdzie Stanley po raz pierwszy zobaczył wielką rzekę, która miała okazać się Kongiem. Oto opowieść Ilangi w formie, w jakiej ją zapisał Canisius:

Nasza wioska nazywa się Waniendo, od naszego wodza Niendo. (...) To duża wioska, położona niedaleko małego strumienia, otoczona wielkimi polami *mohago* (kasawy) i *muhindu* (kukurydzy) i innego pożywienia, gdyż wszyscy ciężko pracowaliśmy na naszych plantacjach i zawsze mieliśmy mnóstwo jedzenia (...). W naszym kraju nigdy nie prowadziliśmy wojen, a mężczyźni nie nosili innej broni niż noże (...).

Trwała pora deszczowa i rośliny szybko wyrastały w górę, toteż byliśmy zajęci pracą na polach, kiedy do wioski przybył goniec z wieścią, że zbliża się duża grupa ludzi noszących czerwone czapki i niebieskie okrycia, mających broń i długie noże, a wraz z nimi wielu białych ludzi pod wodzą Kibalangi [afrykański przydomek oficera Force Publique Oscara Michaux, który kiedyś z rąk samego Leopolda otrzymał Miecz Honoru]. Niendo natychmiast zwołał do swojej chaty wszystkich mężczyzn i biciem w bębny wezwano wszystkich do wioski. Rozpoczęły się długie narady i ostatecznie powiedziano nam, byśmy po cichu udali się na pola i zebrali dla nadchodzących wojowników orzeszki ziemne, banany i kasawę, a dla białych kozy i drób. Kobiety napełniły kosze i postawiły je na drodze. (...) Niendo sądził, że obdarowując obcych obfitością pożywienia, skłoni ich do przejścia przez wioskę bez robienia nam krzywdy. I tak się stało (...).

Gdy biali ludzie i ich wojownicy odeszli, powróciliśmy do naszych prac, mając nadzieję, że nie wrócą, ale bardzo szybko tak się jednak stało. Tak jak poprzednio, przynieśliśmy duże zapasy jedzenia. Tym razem jednak Kibalanga nie odszedł od razu, ale rozłożył obóz w pobliżu naszej wioski. Jego żołnierze przyszli i ukradli cały nasz drób, wszystkie kozy, wyrwali też naszą kasawę. Nie przejmowaliśmy się jednak - chcieliśmy tylko, żeby nie robili nam krzywdy. Następnego ranka (...), zaraz po tym, jak słońce wysunęło się zza wzgórza, przybyła do wioski wielka grupa żołnierzy. Wszyscy udaliśmy się do



naszych chat i siedliśmy na ziemi. Nie siedzieliśmy długo, gdy żołnierze zaczęli wpadać do środka, szturchając nas i grożąc Niendo bronią. Wtargnęli do domów i wyciągnęli ludzi na zewnątrz. Do naszego domu weszło trzech czy czterech. Złapali mnie oraz mojego męża Olekę i moją siostrę Katingę. Zawleczono nas na drogę, związano razem, a na szyjach, żebyśmy nie uciekli, zaciśnięto powrozy. Wszyscy płakaliśmy, gdyż już wiedzieliśmy, że zostaniemy zabrani jako niewolnicy. Żołnierze okładali nas żelaznymi kijami wystającymi z ich broni. Kibalanga nakazał osobno związać kobiety (w grupach po dziesięć) i mężczyzn, a następnie zmusił nas, byśmy pomaszerowali do jego obozu. Gdy już wszyscy zostali zebrani - a byli wśród nas nie tylko ludzie z Waniendo, ale też z innych wiosek, których nie znaleźliśmy - żołnierze przynieśli kosze jedzenia, które mieliśmy nieść, a w niektórych z nich znajdowało się wędzone ludzkie mięso (...).

Następnie wyruszyliśmy, bardzo szybko maszerując. Moja siostra Katinga miała w ramionach dziecko, więc nie została zmuszona do dźwigania kosza, ale mój mąż Oleka musiał nieść kozę. Wędrowaliśmy aż do popołudnia, kiedy rozbiliśmy obóz w pobliżu strumienia i nareszcie mogliśmy się napić, a byliśmy bardzo spragnieni. Nie mieliśmy co jeść, ponieważ żołnierze nic nam nie dali (...). Następnego dnia kontynuowaliśmy marsz i gdy w południe rozbiliśmy obóz, dano nam trochę kukurydzy i bananów, zebranych w pobliżu wioski, z której wszyscy uciekli. Tak było aż do piątego dnia, gdy żołnierze zabrali dziecko mojej siostry i wyrzucili je w trawy, aby umarło, a jej samej dali do noszenia jakieś garnki, które znaleziono w opuszczonej wiosce. Szóstego dnia byliśmy bardzo słabi z powodu głodu, ciągłego marszu i spania na mokrej trawie. Mój mąż, idący za nami z kozą, nie mógł wytrzymać więcej. Usiadł przy drodze i odmówił pójścia dalej. Żołnierze zbili go, ale dalej odmawiał. Jeden z nich uderzył go w głowę końcem swojej broni i Oleka upadł na ziemię. Jeden żołnierz wziął kozę, a drugi i trzeci wyjęli długie noże, które założyli na końce swoich broni i wbili je w mojego męża. Widziałam tryskającą krew i więcej go już nie zobaczyłam, gdyż minęliśmy szczyt wzgórza i zniknął nam z oczu. Wielu młodych mężczyzn zostało zabitych w ten sam sposób, a wiele dzieci wyrzucono w trawy, aby umarły (...). Po dziesięciu dniach marszu dotarliśmy do wielkiej wody (...) i popłynęliśmy czółnami na drugą stronę, do miasta białych ludzi w Nyangwe<sup>296</sup>.

Reżim Leopolda nie oszczędzał nawet dzieci. „Uważam, że musimy założyć trzy kolonie dla dzieci - napisał król 27 kwietnia 1890 roku. - Jedną w Górnym Kongu, niedaleko równika, o charakterze wojskowym, gdzie księża zarządzaliby instytucjami religijnymi i edukacyjnymi. Jedną w Leopoldville, kierowaną przez księży, ale gdzie żołnierze prowadziliby trening wojskowy. Jedną w Boma, taką jak w Leo. (...). Celem tych kolonii będzie przede wszystkim dostarczanie nam żołnierzy. Musimy zatem zbudować trzy duże baraki w Boma, w Leo i blisko równika (...), każdy zdolny pomieścić półtora tysiąca dzieci oraz personel administracyjny”<sup>297</sup>. Sześć tygodni później gubernator generalny rozkazał regionalnym komisarzom „zbierać jak najwięcej dzieci płci męskiej” do trzech państwowych kolonii<sup>298</sup>.

Z biegiem lat katolicycy misjonarze założyli jeszcze więcej kolonii dziecięcych. W przeciwieństwie do misjonarzy protestanckich, którzy jako cudzoziemcy pozostawali poza kontrolą Leopolda, katolicycy byli przeważnie Belgami, lojalnymi poddanymi króla. (Pewien belgijski zakon, ojcowie Scheut\*\*\*\*, jedną ze swoich misji nazwał nawet nazwiskiem dyrektora jednej z wielkich kompanii koncesyjnych). Leopold hojnie wspierał katolików i niekiedy używał swojej finansowej władzy do kierowania księżmi jak żołnierzami, wysyłając ich w te rejony, w których chciał wzmocnić swoją władzę.

Dzieci zabrane przez misjonarzy były - w teorii - „sierotami”. W najbardziej pierwotnych, tubylczych afrykańskich społecznościach, z ich więzami klanowymi i bardzo szerokim pojmowaniem rodziny, nie istniało sieroctwo w sensie europejskim. Dochodziło do tego, że dzieci zostawały sierotami najczęściej dlatego, że ich rodziców zabijało Force Publique. Dzieci i dorośli, którzy ocalili z morderczych najazdów, byli zabierani przez żołnierzy do katolickich misji.

Monsieur Devos dostarczył nam pięciu więźniów, powiązanych na wysokości szyi, aby kopali glinę na cegły, jak również 25 pracowników z Ibembo do zbierania drewna [donosił swojemu zwierzchnikowi katolicki ksiądz w 1899 roku]. (...) Od ostatniego konwoju dzieci z Buta przybyło jeszcze 25 innych. (...) Co jakiś czas chrzciliśmy kilkoro mniejszych, obawiając się, że mogą umrzeć. (...) 1 lipca obchodziliśmy święto państwowe État Indépendant du Congo. O godzinie ósmej wraz ze wszystkimi dziećmi i flagą stawialiśmy się u stóp schodów wykutych w klifie, aby powitać komendanta Devosa i jego żołnierzy. Gdy wracaliśmy do misji, dzieci maszerowały na przodzie, a żołnierze za nimi. (...) W czasie mszy

(...) w chwili podniesienia hostii trąbki odegrały „prezentuj broń!”<sup>299</sup>.

Koloniami dziecięcymi rządzono tak samo - za pomocą *chicotte* i łańcucha. Było wiele buntów. Ci chłopcy, którzy przeżyli porwanie, transport i szkołę, przeważnie zostawali żołnierzami, tak jak rozkazał Leopold. Kolonie te były jedynymi szkołami państwowymi dla Afrykanów w Kongu Leopolda.

Niedożywione, ciężko doświadczone przez los dzieci, zamknięte w państwowych, katolickich koloniach, padały ofiarami chorób. Śmiertelność była bardzo wysoka, często przekraczając 50 procent<sup>300</sup>. W drodze do kolonii umierały tysiące dzieci. W latach 1892-1893 grupę stu ośmiu chłopców zmuszono do marszu do kolonii w Boma - tylko sześćdziesięciu dwóch dotarło do celu, a kolejnych ośmiu zmarło w następnych tygodniach<sup>301</sup>. W 1895 roku matka przełożona pewnej katolickiej kolonii dla dziewcząt napisała do wysokiego rangą urzędnika: „Niektóre nowo przybyte dziewczynki były tak chore, że (...) nasze dobre siostry nie były w stanie ich uratować. Wszystkie jednak doznały tego szczęścia, że otrzymały chrzest święty; teraz są aniołkami w niebie i chwałą naszego wielkiego króla”<sup>302</sup>.

\*

Mimo tych modlitw wielki król miał coraz więcej kłopotów w swojej odległej ojczyźnie. Jego marzenie, że zobaczy swoją córkę Stefanię w roli cesarzowej Austro-Węgier, zakończyło się katastrofą. Jej mąż, arcyksiążę Rudolf, okazał się alkoholikiem i morfinistą. W 1889 roku wraz ze swoją kochanką został znaleziony martwy w pałacyku myśliwskim - co wydawało się podwójnym samobójstwem, ale przez wiele lat krążyły plotki, że tak naprawdę został zamordowany przez politycznych przeciwników. Jakkolwiek było, szanse Stefanii na zostanie cesarzową przepadły. Leopold udał się do Wiednia, dokąd belgijska rada ministrów wysłała kondolencje. Król, będący w samym środku wielkiej akcji gromadzenia funduszy na rozwój Konga, odpowiedział: „Dziękujemy Panom za uprzejme słowa z powodu katastrofy, jaka na nas spadła. Wiemy, jakie uczucia żywią nasi ministrowie, i liczymy na ich wsparcie w tej straszliwej próbie, jakiej poddał nas Bóg. Róbcie, co w waszej mocy, aby pomóc panu Van Neussowi [głównemu administratorowi finansowemu Konga] w wystawieniu na rynek większej liczby akcji; będzie to nam bardzo miłe. Raz jeszcze dziękuję Wam”<sup>303</sup>.

Owdowiała Stefania poślubiła później węgierskiego hrabiego, którego rodowód był dla Leopolda zbyt mało królewski, toteż mówił o swoim zięciu „ten pastuch”<sup>304</sup>. Przestał się też odzywać do Stefanii, tak jak do jej siostry, Luizy.

Oprócz nieposłusznych córek król miał też na głowie swoją szaloną siostrę Carlotę zamkniętą w zamku na obrzeżach Brukseli i wciąż wierzącą, że jest cesarzową Meksyku. Na ścianie zawiesiła swoją suknię ślubną, wyblakłe kwiaty i upierzonego meksykańskiego bożka. Spędzała całe dni na mówieniu do naturalnej wielkości lalki ubranej w cesarskie szaty. Pogłoski o jej szaleństwach nieustannie zapełniały szpalty brukowej prasy w całej Europie. Mówiono, że gdy pewnego razu w jej zamku wybuchł pożar, Carlota wychyliła się przez okna i zaczęła krzyczeć do płomieni: „To jest zabronione! To jest zabronione!”<sup>305</sup>.

Problemy rodzinne w żadnym stopniu nie mogły jednak wyczerpać energii Leopolda. Miało się wrażenie, jak gdyby pogodził się z tym, że ta dziedzina jego życia będzie już zawsze marna, i w związku z tym poświęcił się innym sprawom, przede wszystkim byciu królem-suwerenem Konga. Gdy nadeszły lata 90. XIX wieku, Leopold zauważył, że Belgowie, którzy jeszcze jakiś czas temu nie byli ani trochę zainteresowani koloniami, zaczynają podzielać jego pasję podboju oraz pragnienie chwały. Głęboko zanurzone w rasistowskich tradycjach owych czasów, fantazje te przenikały nawet do opowieści dla dzieci. Jedną z nich gloryfikuje pewnego młodego belgijskiego porucznika, męczennika imperialnej sprawy, który zginął, tłumiąc rebelię w 1897 roku:

Sytuacja była dramatyczna. Wszystko zdawało się stracone, jednak dzielny de le Court rzucił się w stronę wylomu w szeregach.

Wraz z dwoma innymi belgijskimi oficerami oraz resztkami ich plutonu powstrzymał czarne demony, które rzuciły się w pogoń za oddziałem. (...) Niegodziwi czarnogłowi zdawali się pojawiać na każdym rogu, zgrzytając swymi białymi zębami (...).

Upadł. (...) Zrozumiał, że oto nadszedł wzniosły moment śmierci. (...) Uśmiechając się pogardliwie, wzniosłe, myśląc o swoim królu i jego fladze (...) po raz ostatni spojrzął na wrzeszczącą hordę czarnych demonów (...).

Tak oto, w kwiecie młodości i stawiając czoło wrogowi, umarł Charles de le Court<sup>306</sup>.

Były to lata, gdy - ku niezadowoleniu wielu młodych Europejczyków - na kontynencie panował pokój. Kongo było odpowiednim miejscem dla młodego mężczyzny szukającego walki, zwłaszcza walki ze słabszym przeciwnikiem. Dla białych ludzi było też miejscem, w którym można było wzbogacić się i zyskać władzę. Zostając komisarzem regionu, stawało się na czele terytorium tak wielkiego jak Belgia czy Holandia. Jako dowódca posterunku człowiek znajdował się setki kilometrów od innego białego człowieka. Można było zarządzać podatki wedle własnego życzenia (płacone w pracy, kości słoniowej czy czymkolwiek innym), zbierać je tak, jak się chciało, i karać ludzi zgodnie z własnym widzimisię. Jeśli cię poniosło, jedyną karą, która cię czekała (jeśli w ogóle), było upomnienie. Dowódca posterunku w Manyanga, położonym w pobliżu wielkich katarakt, który w 1890 roku zachłostał na śmierć swoich dwóch służących, musiał uiścić karę - 500 franków<sup>307</sup>. Jedyne, co miało znaczenie, to zapewnienie ciągłych dostaw kości słoniowej do Belgii. Im więcej wysyłałeś, tym więcej zarabiałeś. „*Vive le Congo*, nie ma nic lepszego nad nie! - pisał w 1894 roku pewien młody oficer w liście do swojej rodziny. - Mamy wolność, niezależność i szerokie możliwości. Tutaj jest się prawdziwie wolnym, a nie tylko niewolnikiem społeczeństwa. (...) Tu jest się wszystkim! Wojownikiem, dyplomata, kupcem!!! Bo czemu nie!”<sup>308</sup>. Ludziom takim jak nisko urodzony Stanley Kongo dawało możliwość wielkiego awansu społecznego. Ktoś, kto w Europie był skazany na żywot hydraulika albo urzędnika banku w jakiejś mieścinie, w Kongu mógł zostać dowódcą, handlować kością słoniową, polować na grubego zwierza, a nawet mieć własny harem.

Léon Rom na przykład urodził się w prowincjonalnym belgijskim miasteczku Mons<sup>309</sup>. Mając lat szesnaście, zaciągnął się do wojska, ale brakowało mu wykształcenia, aby zostać oficerem. Potem pracował jako księgowy w firmie celnej, ale szybko się tym znudził. W 1886 roku, mając dwadzieścia pięć lat, przybył do Konga w poszukiwaniu przygód. Na całym terytorium było wtedy tylko kilkuset białych ludzi, toteż Rom szybko awansował i wkrótce został regionalnym komisarzem w Matadi. W tej roli udzielił pewnej białej parze pierwszego w Kongu ślubu cywilnego. Później przez jakiś czas był sędzią. Przy tak małej liczbie białych nie było wyraźnego rozróżnienia między funkcjami cywilnymi i wojskowymi, toteż wkrótce Rom został oddelegowany do szkolenia czarnych kadetów Force Publique. Płaca była dobra - gdy już awansował na kapitana, zarabiał o połowę więcej niż pułkownik w armii belgijskiej.

Zdobywszy różne medale, Rom zyskał sławę przy okazji pewnej potyczki z „Arabami”, kiedy odważnie wkroczył do fortu wroga, żeby negocjować warunki kapitulacji. Jak podaje źródło: „Rom zgłosił się sam. (...) Poszedł nieuzbrojony, tylko w towarzystwie tłumacza, i z miejsca wyznaczonego na spotkanie od razu dostrzegł masy arabskich żołnierzy zgromadzone za obwarowaniami i celujące do niego z karabinów. Emisariusz, z egzemplarzem Koranu należącym do sułtana w roli listu żelaznego, zaprosił go do wejścia do fortecy. Rom śmiało wkroczył do obozu wroga. Po dwóch godzinach negocjacji opuścił go, niosąc w ręku arabską flagę jako dowód kapitulacji”<sup>310</sup>. Sam Rom opisywał to znacznie bardziej dramatycznie: zatriumfował nad przebiegłymi Arabami tylko z powodu swojego *attitude décidée*, mimo iż przerażony tłumacz powtarzał ciągle „Panie, oni cię zabiją!”<sup>311</sup>. Nie wiemy, czy przyjęcie kapitulacji było rzeczywiście tak ryzykowne. Jedną z zalet służby w Force Publique było to, że najbliższy dziennikarz zazwyczaj znajdował się tysiące kilometrów dalej, toteż samodzielnie albo z kilkoma przyjaciółmi można było swobodnie nadawać kształt opisom wydarzeń.

Rom awansował szybko nie tylko w szeregach wojska, ale też został doceniony pod względem intelektualnym. Za każdym razem, gdy wracał do Europy, przywoził ze sobą wiele okazów motyli i w końcu został wybrany na członka belgijskiego Towarzystwa Entomologicznego<sup>312</sup>. Zaszczyty takie jak ten, oficerska szabla i czapka z gwiazdą Konga bardzo różniły się od życia prowincjonalnego księgowego.

Wszystkie te chętnie powtarzane opowieści o bogactwie i chwale, które miały czekać na młodych mężczyzn w Kongu, kryły coś innego: chytrą sugestię, że udając się do Konga, można również zostawić za sobą burżuazyjną moralność. (Jak zobaczymy, tak właśnie było w przypadku Léona Roma). Dla ówczesnych Europejczyków kolonie na całym świecie oferowały wygodną ucieczkę. Kipling pisał:

Płynąć chcę na wschód, za Suez,

gdzie jest dobrem każde zło,

Gdzie przykazań brak dziesięciu

i pić można aż po dno<sup>313</sup>.

(przeł. Maciej Słomczyński)

W Kongu dziesięciu przykazań przestrzegano jeszcze w mniejszym stopniu niż w innych koloniach. Belgia była nieduża, Kongo ogromne, a śmiertelność białych w afrykańskich tropikach wciąż była dramatycznie wysoka. (Władze bardzo starały się utrzymać te dane w tajemnicy, ale wiadomo, że przed 1895 roku dokładnie jedna trzecia agentów kongijskiego państwa umierała na miejscu, a przecież niektórzy umierali już w Europie, gdy dopadały ich choroby przywleczone z Afryki)<sup>314</sup>. Aby obsadzić rozległą sieć placówek na tym nękanym przez malarię terytorium, Leopold musiał zatrudniać nie tylko Belgów, takich jak Léon Rom, ale też młodych mężczyzn z całej Europy, kusząc ich perspektywami łatwego bogactwa, na przykład lukratywnym systemem prowizji od pozyskiwanej kości słoniowej. Wielu przybywających do Konga przypominało ludzi wstępujących w szeregi francuskiej Legii Cudzoziemskiej albo poszukiwaczy złota, szukających szczęścia w czasie dwóch wielkich gorączek złota tamtych czasów, w Południowej Afryce i w Klondike. Dla Europejczyków, mogących zarówno walczyć, jak i bogacić się, Kongo było Legią Cudzoziemską i gorączką złota w jednym.

W pierwszej fali agentów Leopolda było wielu twardych ludzi, uciekających przed problemami małżeńskimi, bankructwem czy alkoholizmem. Nastrój tamtych czasów dobrze oddaje popularna piosenka. Jeden urzędnik opisuje w swym pamiętniku, jak zaraz po przybyciu do Konga całą noc nie mógł zmrużyć oka, gdyż w barze podłego, portowego hoteliku, w którym się zatrzymał, pijani agenci śpiewali ją bez końca. Pierwsza zwrotka brzmiała następująco:

Są tacy, którzy z rodziną swoją

ciągle drą koty,

co z siebie, w długach po uszy tonąc,

robią idiotę,

którzy pewnego wieczora dosyć

kochanki mają.

To właśnie oni, pełni żalości,

Do Konga gnają...<sup>315</sup>.

(przeł. Jacek Dehnel)

Tymczasem w Kongu Afrykanie śpiewali zupełnie inne piosenki. Pewien misjonarz zanotował jedną z nich:

O, matko, jakże nieszczęśni jesteśmy!...

Ale słońce zabije białego człowieka,

Ale księżyc zabije białego człowieka,

Ale czarownik zabije białego człowieka,

Ale krokodyl zabije białego człowieka,

Ale słoń zabije białego człowieka,

Ale rzeka zabije białego człowieka<sup>316</sup>.

\* Jeśli lojalność „podludzi” jest niepewna, zdobywcy czasami stosowali środki bezpieczeństwa. W 1900 roku fotograf uwiecznił scenę rozstrzelania osiemnastu czarnych buntowników: rebelianci są przywiązani do pali, a oddział lojalnych czarnoskórych żołnierzy właśnie oddał salwę. Gdyby jednak lojaliści zawahali się, wszyscy biali mężczyźni z Boma, z głowami okrytymi kapeluszami od słońca, stoją w długim rzędzie, pod odpowiednim kątem, z nabitymi karabinami. To niesamowite zdjęcie odnalazł Jules Marchal. Wcześniej dotarł do niego E.D. Morel.



\*\* Badacza może łatwo zwieść fakt, że w historii ówczesnego Konga pojawiają się aż trzech mężczyzn o imieniu Kandolo. Jeden z nich był przywódcą buntu w 1897 roku, na północy kraju.

\*\*\* Tippu Tip dostarczał tragarzy Stanleyowi, który był na tyle rozsądny, by nie dociekać, dlaczego część z nich zakuta była w łańcuchy. W czasie dwóch ekspedycji Stanleya w części trasy towarzyszyli mu Tippu Tip ze swoją drużyną. Jednym z powodów, dla których ekspedycję na odsiecz Eminowi Paszy tak krytykowano w europejskiej prasie, było to, że pewnego razu Stanley rozkazał, by należąca do misjonarzy łódź parowa przetransportowała jego ludzi na drugą stronę Konga. Oslupiali słudzy boży ujrzeli, że na ich parowcu płynie Tippu Tip w towarzystwie trzydziestu pięciu żon i konkubin.

\*\*\*\* *Congregatio Immaculati Cordis Mariae*, Zgromadzenie Niepokalanego Serca Maryi, zwane ojcami Scheut albo „scheutystami” - belgijskie zgromadzenie misyjne powstałe w 1862 roku (przyp. tłum.).

## SPOTYKAJĄC PANA KURTZA

NA POCZĄTKU sierpnia 1890 roku, kilka tygodni po tym, jak wysłał do króla Leopolda II swój gniewny *List otwarty*, George Washington Williams zakończył długą podróż w dół rzeki Kongo w Kinszasie, położonej nad Stanley Pool. Jeszcze na wodach jeziora albo już dobijając do brzegu w Kinszasie, parowiec Williamsa minął się z łodzią, która zaczynała podróż w górę rzeki - z „Roi des Belges”, długim, pudłowatym bocznokołowcem, z kominem i budką pilota na pokładzie. Gdyby Williams zwrócił uwagę na załogę tego drugiego parowca, zauważyłby wśród niej krępego, czarnobrodego oficera o znanych nam ze zdjęć oczach, jak gdyby nieustannie zmrużonych od tropikalnego słońca. Oficer, który dopiero co przybył do Konga, całą podróż w górę rzeki spędził u boku kapitana, ucząc się rzeki i przygotowując do samodzielnego objęcia dowództwa parowca.

Ten młody oficer był pod wieloma względami typowym przykładem białego, przybywającego w tamtym czasie do Konga: kawaler, potrzebujący pracy, poszukujący przygód i zostawiający za sobą burzliwą przeszłość. Gdy Konrad Korzeniowski dorastał, wyobrażał sobie Afrykę jako coś niejasnego, nieznanego, ale pociągającego: „Kiedy miałem dziewięć lat albo coś koło tego (...), patrzyłem na mapę ówczesnej Afryki i wskazawszy palcem na białą plamę symbolizującą nierozwiązaną tajemnicę tego kontynentu, powiedziałem sobie: (...) «Kiedy dorosnę, pojedę tam»,<sup>317</sup>. Urodzony w Polsce, młodość spędził we Francji. Miał problemy z długami i, jak twierdził, parał się przemytem broni. Podjął też próbę samobójczą. Następnie spędził dekadę jako oficer na brytyjskim statku handlowym, gdzie nauczył się angielskiego, choć nigdy nie pozbył się silnego polskiego akcentu. W początkach 1890 roku Korzeniowski na próżno wypatrywał statku, na który mógłby się zaokrętować. Szukając pracy w Londynie, mieście, w którym dużo mówiono o właśnie zakończonej ekspedycji Stanleya na odsiecz Eminowi Paszy, zaczął ponownie myśleć o egzotycznej krainie ze swoich dziecięcych marzeń. Pojechał do Belgii, zgłosił się do pracy na rzece Kongo i w chwili, w której Stanley kończył swoją honorową wizytę w tym mieście, wrócił do Brukseli na ostateczną rozmowę o pracę.

W rozmowach o pracę trzydziestodwuletni Korzeniowski pokazał, że - tak jak wszyscy w Europie - szczerze wierzył w szlachetne cele „cywilizacyjnej misji” afrykańskiego przedsięwzięcia Leopolda. Pożegnał się z krewnymi i wypłynął do Konga na pokładzie statku, który wiozł pierwszy ładunek szyn i podkładów dla powstającej linii kolejowej. Tak jak inni biali ludzie udający się w głąb lądu, musiał najpierw pokonać pieszo, wraz z grupą czarnych tragarzy, długą drogę z Matadi naokoło katarakt. Gdy wreszcie dotarł do rzeki, zapisał swój dziennik zapisami, godnymi rzeczowego marynarza, na temat mielizn, miejsc zaopatrzenia i innych spraw, których nie odnotowywały dostępne wówczas prymitywne mapy nawigacyjne. Musiała minąć cała dekada, zanim ten ambitny kapitan parowca przelał na papier także inne rzeczy na temat Konga, o których nie wiadomo, ale wtedy świat znał go już jako Josepha Conrada.

W sumie spędził w Kongu pół roku, wożąc ze sobą niedokończony rękopis swojej pierwszej powieści *Szaleństwo Almayera*. Nauka fachu - rejs ze Stanley Pool do Stanley Falls - trwała jedynie cztery tygodnie, bardzo szybko, jak na ówczesne realia. W czasie pory suchej łachy piaskowe, skały i mielizny czyniły żeglugę zdradliwą. Pisał później: „Przytłumiony pomruk Wodospadów Stanleya, podobny do dalekiego grzmotu, wisiał w ciężkim nocnym powietrzu nad ostatnim żeglownym odcinkiem Górnego Konga (...) i rzekłem do siebie z przejęciem: «Przechwalałem się jako chłopiec, że tu właśnie przyjadę. (...) Czymże okazywała się wyidealizowana w chłopięcych marzeniach rzeczywistość!»,<sup>318</sup>.

W Stanley Falls Conrad i kapitan parowca poczuli się źle. Conrad ozdrowiał szybciej i to on dowodził „Roi des Belges” w czasie pierwszej części powrotnego rejsu, kiedy - płynąc z nurtem rzeki - łódź poruszała się niemal dwukrotnie szybciej. Kilka tygodni po tym, jak podróż dobiegła końca, wypowiedział jednak kontrakt i wrócił do Europy.

Kilka gorzkich rozczarowań rozwiało marzenia Conrada. Już na samym początku wdał się w konflikt z urzędnikiem kompanii, dla której pracował, co oznaczało, że nigdy nie otrzyma dowództwa parowca. Gdy już spłynął w dół rzeki, zachorował ponownie, tym razem na malarię i dyzenterię, i musiał dochodzić do siebie pod opieką szkockiego lekarza w amerykańskiej misji baptystów w Stanley Pool<sup>319</sup>. Był tak słaby, że trzeba było go nieść na wybrzeże i nigdy już nie odzyskał pełni zdrowia. Wreszcie chciwość i brutalność napotkanych w Kongu białych ludzi przeraziła go tak bardzo, że jego postrzeganie ludzkiej natury na zawsze uległo zmianie. Swojemu przyjacielowi, krytykowi Edwardowi Garnettowi,

powiedział, że zanim nie spędził sześciu miesięcy w Afryce, „miał pusto w głowie”<sup>320</sup>.

Po ośmioletnim rozpamiętywaniu swoich kongijskich doświadczeń Conrad opisał je w *Jądrze ciemności*, prawdopodobnie najczęściej wznawianej noweli w języku angielskim. Pospieszne zapiski w dzienniku oficerskim - „Szkic ostatniej części Lulanga Passage (...) N by E do NNE. [Po lewej burcie:] przeszkody. [Sondowanie głębokości w sążniach:] 2, 2, 2, 1, 1, 2, 2, 2, i 2”<sup>321</sup> - stały się prozą, której nigdy nie dorównał żaden z innych pisarzy podróżujących po Kongu:

Żegluga w górę tej rzeki przypominała podróż do samych początków świata, kiedy na ziemi panowała się roślinność i królowały wielkie drzewa. Wyschnięte koryto rzeki, głucha cisza, nieprzebyta gęstwina. Powietrze ciepłe, gęste, ciężkie, leniwe. Jasność słonecznych promieni - pozbawiona radości. Długi, pusty szlak wodny zniknął w ponurym cieniu w oddali. Na lśniących srebrnawo ławicach piasku wygrzewały się obok siebie hipopotamy i aligatory. Rozlewająca się szeroko rzeka opływała grupę zalesionych wysepek. Można było na nie zabłądzić jak na pustyni i kluczyć cały dzień wśród mielizn, szukając przesmyku. W końcu człowiek miał wrażenie, że ktoś go zaczarował i odseparował od wszystkiego, co niegdyś było znajome i zostało hen, daleko, w innym życiu<sup>322</sup>.

Marlow, narrator *Jądra ciemności* i *alter ego* Conrada, zostaje zatrudniony przez spółkę handlującą kością słoniową jako kapitan parowca pływającego po nienazwanej rzece, o kształcie na mapie przypominającym „gigantycznego węża, który zanurzał łeb w oceanie, wijąc się poprzez rozległy obszar i chowając koniec ogona gdzieś w głębi lądu”<sup>323</sup>. Jego celem jest stacja, kierowana przez genialnego i ambitnego agenta kompanii, Kurtza, który zgromadził legendarne ilości kości słoniowej, ale - jak dowiaduje się po drodze Marlow - miał popaść w nieokreśloną dzikość. Parowiec Marlowa zostaje zaatakowany przez krajowców, ale w końcu dociera do placówki i zabiera na pokład ładunek kości słoniowej oraz chorego Kurtza. Opowiadając o swoich wielkich planach, Kurtz umiera na pokładzie statku płynącego w dół rzeki.

Nakreślona tylko kilkoma wyrazistymi opisami, postać Kurtza zapadła w pamięć milionów czytelników: samotny biały agent umieszczony gdzieś daleko, nad górnym biegiem rzeki, snujący marzenia o wielkości, zgromadził ogromne zapasy cennej kości słoniowej, a w afrykańskiej dżungli wykroił swoje prywatne władztwo. Zapewne najlepiej pamiętamy

Marlowa, który patrząc przez lornetkę z pokładu parowca, widzi coś, co - jak sądzi - jest rzeźbionymi kulami na słupach ogrodzenia przed domem Kurtza, ale wkrótce orientuje się, że każda z nich to głowa: „szerniała, wyschnięta skóra, zapadnięte policzki, zamknięte powieki. Zdawało się, że śpi na szczycie pała i uśmiecha się wysuszonymi wargami, które odsłoniły rząd białych zębów”<sup>324</sup>.

Nauczyciele w liceach i profesorowie na uniwersytetach, którzy od wielu lat omawiają tę książkę, odwołują się do Freuda, Junga i Nietzschego, klasycznej mitologii, grzechu pierworodnego, koncepcji wiktoriańskiej moralności, do postmodernizmu, postkolonializmu i poststrukturalizmu. Europejscy i amerykańscy czytelnicy, muszący czuć się niezręcznie z powodu skali ludobójczego mordu, który wydarzył się w Afryce na przełomie wieków, starali się wyciągnąć *Jądro ciemności* z jego historycznego kontekstu. Czytamy je jako przypowieść aktualną zawsze i wszędzie, a nie jako książkę na temat konkretnego miejsca i konkretnego czasu. Dwa z trzech razy, kiedy została sfilmowana - najśłynniejszą adaptacją jest *Czas apokalipsy* Francisa Forda Coppola - akcja nawet nie była umieszczona w Afryce. Sam Conrad napisał jednak, że „*Jądro ciemności* jest doświadczeniem (...) tylko trochę (ale naprawdę bardzo niewiele) przerysowanym w stosunku do faktów”<sup>325</sup>. Bez względu na to, jak różne poziomy interpretacji miałyby ta książka, dla nas ważne jest to, jak dokładnie i precyzyjnie opisuje „fakty”: Kongo króla Leopolda w 1890 roku, czyli w momencie, w którym eksploatacja tego terytorium trwała w najlepsze.

W powieści Marlow, tak jak kiedyś Conrad, zaczyna swoją podróż od długiego marszu wokół wodospadów. „Usłyszałem za sobą ciche brzęknięcia i odwróciłem głowę. Ścieżką szło gęsiego sześciu Murzynów. Z trudem pięli się w górę. Szli wolno, wyprostowani, niosąc na głowach koszyki z ziemią, a brzęczący dźwięk towarzyszył ich krokom. (...) Znać im było wszystkie żebra, wszystkie - wyglądające niczym węzły na linie - stawy. Ich szyje zakute były w żelazne, połączone łańcuchem obręcze. Łańcuch kołysał się i brzęczał w rytm ich kroków”<sup>326</sup>. Byli to robotnicy, zaczynający budowę kolei Leopolda.

Kilka stron później Marlow opisuje miejsce, w którym głodujący robotnicy doczołgali się, żeby umrzeć. Dalej na szlaku „od czasu do czasu martwy tragarz - leżący w uprzęży w trawie obok ścieżki z pustą tykwą na wodę i długim kijem przy boku”<sup>327</sup>, a także zauważa „zwłoki czarnoskórego mężczyzny w średnim wieku z dziurą po kuli w głowie”<sup>328</sup>. Są to po prostu opisy tego, co Conrad sam widział na trasie marszu do Stanley Pool. W swoim

dzienniku pod datą 3 lipca 1890 roku zapisał: „Spotkałem oficera dokonującego państwowej inspekcji; kilka minut później na miejscu postoju zobaczyłem zwłoki Bakongo. Zastrzelony? Straszny smród (...)”. Następnego dnia: „Widziałem kolejne zwłoki leżące przy ścieżce w pozie kontemplacyjnego spoczyńku”. A 29 czerwca: „Dziś na drodze natknąłem się na szkielet przywiązany do pala”<sup>329</sup>.

W trakcie wędrówki naokoło wodospadów Marlow opisuje, jak ludzie uciekali przed poborem: „Ludzie już dawno się stamtąd wynieśli. Nic dziwnego, bo gdyby na drodze pomiędzy Deal i Gravesend pojawiła się nagle masa tajemniczych Murzynów, uzbrojonych po zęby w najstraszliwsze narzędzia śmierci, i zaczęła wylapywać wieśniaków do przenoszenia ciężkich pakunków, to z pewnością każde gospodarstwo, każda chałupa w okolicy bardzo szybko by opustoszały. Tyle że w tym przypadku wyludniły się całe wioski. Minąłem kilka po drodze”<sup>330</sup>. To także Conrad widział osobiście. Tragarze w karawanie, z którą podróżował pisarz, byli bliscy buntu. Zaledwie trzy i pół roku później na tym samym szlaku wybuchło brutalne powstanie, w czasie którego wódz Nzansu i jego ludzie toczyli swoją długą, skazaną na klęskę walkę z Force Publique.

Opisując karawany tragarzy maszerujące tą trasą, Marlow dosadnie podsumowuje Leopoldową gospodarkę: „Strumienie (...) lichych perkali, paciorków i mosiężnego drutu napływały do głębin ciemności, z powrotem zaś tryskała z nich drogocenna struga kości słoniowej”<sup>331</sup>. W 1890 roku był to wciąż najcenniejszy towar kolonii. Wspomina nawet o wprowadzonym przez Leopolda systemie prowizji dla agentów: „Jedynym prawdziwym uczuciem było pragnienie objęcia placówki, gdzie handluje się kością słoniową i można liczyć na niezłą prowizję”<sup>332</sup>.

Tworząc kluczową dla swojej powieści postać charyzmatycznego mordercy, prawdopodobnie najsłynniejszego złoczyńcy w dwudziestowiecznej literaturze, Conrad nie minął się z prawdą. Pierwowzorami Kurtza było zapewne kilka osób, wśród nich Georges Antoine Klein, francuski agent firmy ze Stanley Falls, handlującej kością słoniową. Klein, tak jak powieściowy Kurtz, został śmiertelnie ranny i zmarł na pokładzie parowca „Roi des Belges”, płynącego w dół rzeki i dowodzonego przez Conrada. Innym wzorem, bardziej przypominającym Kurtza z charakteru, był major Edmund Barttelot, człowieka, którego Stanley postawił na czele ariergardy ekspedycji idącej na odsiecz Eminowi Paszy. Pamiętajmy, że to Barttelot oszalał, zaczął gryźć, chłostać i zabijać ludzi, aż wreszcie został

zamordowany. Jeszcze innym prototypem Kurtza był Belg, Arthur Hodister, znany z utrzymywania haremu afrykańskich kobiet oraz zgromadzenia ogromnej ilości kości słoniowej<sup>333</sup>. Ostatecznie Hodister zbyt agresywnie wtargnął na terytorium miejscowych afro-arabskich wodzów handlujących kością słoniową, został schwytyany i pozbawiony głowy<sup>334</sup>.

Niezliczeni biografowie Conrada jednak niemal zupełnie pomijają człowieka, który najbardziej ze wszystkich przypominał Kurtza. Już go spotkaliśmy - to Léon Rom, zawadiacki kapitan Force Publique. To właśnie od Roma mógł Conrad przejąć znak rozpoznawczy swojego złoczyńcy: otaczając dom Kurtza kolekcję głów Afrykanów.

Ta „wewnętrzna stacja” z *Jądra ciemności*, miejsce, które Marlow ogląda przez lornetkę i widzi kolekcję wysuszonych głów afrykańskich „buntowników”, pod niektórymi względami przypomina Stanley Falls. W 1895 roku, pięć lat po tym, jak Conrad odwiedził tę placówkę, jej szefem był Léon Rom. Brytyjski odkrywca i dziennikarz, który tego roku zahaczył o Stanley Falls, opisał skutki karnej ekspedycji wojskowej przeciwko afrykańskim rebeliantom: „Wiele kobiet i dzieci zostało wziętych do niewoli, a do Stanley Falls wzięto dwadzieścia jeden głów, których kapitan Rom użył do udekorowania ogrodzenia kwietnika przed swoim domem!”<sup>335</sup>. Jeśli Conrad przeoczył tę relację, która pojawiła się w poczytnym „Century Magazine”, z pewnością zauważył ją 17 grudnia 1898 roku, gdy przedrukował ją „Saturday Review”. Conrad zaczął pisać *Jądro ciemności* kilka dni później.

Co więcej, Rom i Conrad mogli się spotkać w Kongu.

Drugiego sierpnia 1890 roku Conrad, w towarzystwie innego białego człowieka oraz karawany tragarzy, zakończył swoją miesięczną wędrówkę z wybrzeża w głąb lądu. Osiem kilometrów przed położoną nad Stanley Pool Kinszasą, gdzie czekał na nich „Roi des Belges”, karawana musiała przejść przez pobliską placówkę Leopoldville. Te dwa zbiorowiska krytych strzechą chat dzieliło tylko półtorej godziny drogi, a wkrótce miały się połączyć i utworzyć jedno miasto, nazwane przez Belgów Leopoldville, a dziś znane jako Kinszasa. Gdy karawana Conrada, posuwająca się naprzód biegnącą wzdłuż rzeki ścieżką, dotarła do Leopoldville, szefem tamtejszej stacji był Léon Rom. W dzienniku Conrada nie ma wpisu z 2 sierpnia, a w notesie Roma, gdzie wykaligrafowane są skrupulatnie wszystkie najazdy i kampanie, mogące przynieść mu kolejny medal, brak wzmianki o jakiejś wyprawie

poza Leopoldville. Gdyby Rom był na miejscu, z pewnością powitałby karawanę europejskich przybyszów, gdyż w tamtym czasie w Leopoldville i Kinszasie mieszkało na stałe tylko kilkudziesięciu białych ludzi, a pojawienie się nowych było wydarzeniem niecodziennym. Nigdy nie dowiemy się, czy Rom i Conrad rozmawiali, a jeśli tak, to o czym. Stanowiąca własność Roma kolekcja dwudziestu jeden głów Afrykanów należała do innego miejsca i innego czasu, późniejszego o pięć lat, ale niewykluczone, że gdy w grudniu 1898 roku Conrad przeczytał o Romie, skojarzył go z młodym oficerem, którego kiedyś spotkał w Kongu\*.

\*

*Jądro ciemności* jest jednym z najzjadliwszych oskarżeń imperializmu w literaturze, ale, co ciekawe, kiedy chodziło o Wielką Brytanię, jego autor był sam zagorzałym imperialistą. Conrad doskonale zorientował się, czym był gwałt Leopolda na Kongu: „Zgroza! Zgroza!” - mówi na łożu śmierci Kurtz. Marlow, jako *alter ego* Conrada, zastanawia się nad tym, że „podboje, które w praktyce oznaczają odbieranie ziemi ludziom o innym kolorze skóry lub trochę bardziej płaskich nosach, nie mają w sobie nic pięknego, jeśli pozna się je trochę bliżej”<sup>336</sup>. Jednak niemal równocześnie, mówiąc o brytyjskich posiadłościach, oznaczonych na mapie świata kolorem czerwonym, stwierdza, że czerwień jest „zawsze miła dla oka”<sup>337</sup>, gdyż dzieje się tam prawdziwa praca, a brytyjski kolonializm niósł „iskry ze świętego ogniska”<sup>338</sup>. Marlow mówił to, co myślał Conrad, którego uwielbienie dla nowej ojczyzny nie znało granic. Uważał, że „wolność (...) na całym świecie można znaleźć jedynie pod angielską flagą”<sup>339</sup>. W tym samym momencie, w którym piętnował w swoich powieściach europejskie pożądanie afrykańskich bogactw, inwestował w kopalnie złota w pobliżu Johannesburga.

Pod innymi względami Conrad również był typowym przedstawicielem swoich czasów, więźniem tego, co Mark Twain nazwał w innym kontekście „poczuciem białego człowieka, że jest mniej dziki niż inni dzicy”<sup>340</sup>. Ostatnimi czasy *Jądro ciemności* znalazło się pod ostrzałem krytyki, do pewnego stopnia zasłużonym, z powodu sposobu, w jaki przedstawia Murzynów, którzy nigdy nie mówią więcej niż kilka słów (a po prawdzie nie mówią nic) - chrząkają, śpiewają, wydają z siebie „ciągi zdumiewających słów, które brzmieniem nie przypominały ludzkiego języka (...), przypominały responsoria jakiejś



satanistycznej litanii”<sup>341</sup>. Jak stwierdza nigeryjski pisarz Chinua Achebe, prawdziwym przesłaniem tej książki jest: „Trzymaj się z daleka od Afryki, bo pożałujesz! Kurtz (...) winien był posłuchać tego ostrzeżenia, a nie wyszłaby na jaw nękająca jego serce zgroza, bezpiecznie uwiązana w swoim leżu. Głupio wystawił się na dziki powab dżungli i o, proszę, ciemność go dopadła!”<sup>342</sup>.

Choć przepełnione rasizmem epoki wiktoriańskiej, *Jądro ciemności* jest wciąż najlepszym obrazem europejskiego „Rozdrapywania Afryki”. Gdy Marlow wyrusza do nowej pracy i żegna się ze swoją ciotką, ta „wciąż powtarzała o «oduczaniu milionów ciemnych ludzi ich ohydnych obyczajów», aż - słowo honoru - poczułem, że dłużej tego nie zniosę. Odważyłem się zaznaczyć, że firma ma przynosić przede wszystkim zysk”<sup>343</sup>. Biali ludzie opisani przez Conrada grabią kontynent, wierząc, że służą „szlachetnej sprawie”, wyciągają krajowców z ciemności, niosą cywilizację<sup>344</sup>.

Te złudzenia ucieleśnia postać Kurtza, który jest zarazem morderczym kolekcjonerem głów, jak i intelektualistą, „emisariuszem (...) nauki i postępu”. Jest malarzem, tworzy „małe szkice olejowe” kobiety niosącej pochodnię, które Marlow znajduje w stacji centralnej. Jest także poetą i dziennikarzem, który stworzył siedemnastostronicowy raport, dzieło „wprost wibrujące sugestywnością obrazowania (...) wyborny utwór prozatorski”<sup>345</sup> dla Międzynarodowego Towarzystwa Tępienia Dzikich Obyczajów. Na końcu raportu, pełnego górnolotnych haseł, Kurtz dopisał koślawym pismem: „Wytępić całe to bydło!”<sup>346</sup>.

W intelektualnych pretensjach Kurtza Conrad zawarł pewną cechę zdobywania Konga przez białych, gdzie podbój za pomocą pióra i atramentu tak często dopełniał podbój za pomocą strzelby i karabinu maszynowego. Od chwili, w której Stanley wystrzelał sobie drogę w dół Konga i szybko napisał na ten temat dwutomowy bestseller, zbieracze kości słoniowej, żołnierze i odkrywcy chcieli go naśladować, pisząc książki i tysiące artykułów dla wydawanych przez towarzystwa geograficzne czasopism i magazynów na temat odkryć kolonialnych, tak popularnych pod koniec XIX wieku jak dziś „National Geographic”. Jak gdyby akt przeniesienia Afryki na papier był ostatecznym dowodem na wyższość cywilizacji europejskiej. Ta cecha Kurtza jest kolejnym powodem, dla którego można sądzić, że to Léon Rom częściowo zainspirował tę postać. Jak widzieliśmy, Rom był dobrze zapowiadającym się entomologiem. Był też malarzem i gdy nie zbierał motyli albo ludzkich głów, wykonywał portrety i pejzaże, z których pięć do dziś zachowało się w belgijskim muzeum<sup>347</sup>. Co jednak

najciekawsze, był też pisarzem.

W 1899 roku Rom, przebywający w Belgii, wydał książkę swojego autorstwa. *Le Nègre du Congo* jest dziwną publikacją - beztroską, arogancką i zdumiewająco powierzchowną. Krótkie rozdziały dotyczą *Le Nègre en général*: czarnych kobiet, jedzenia, zwierząt, tubylczej medycyny i tak dalej. Rom był zapalonym myśliwym, który triumfalnie pozował do fotografii, stojąc na martwym słoniu, a rozdział traktujący o polowaniach jest tak długi jak rozdziały na temat wierzeń religijnych, zwyczajów pogrzebowych i dziedziczenia władzy razem wzięte.

Czytając książkę Roma, bez trudu można sobie wyobrazić Kurtza, piszącego swój raport dla Międzynarodowego Towarzystwa Tępienia Dzikich Obyczajów. Na temat *la race noire* Rom pisze: „Wytwór bezrozumności, jego uczucia są prostackie, pragnienia grubiańskie, instynkty prymitywne, a do tego jest dumna i próżna. Głównym zajęciem czarnego człowieka, któremu poświęca największą część swojej egzystencji, jest pokładanie się na macie w promieniach słońca, niczym krokodyl na piasku. (...) Czarny człowiek nie zna poczucia czasu i spytany o to przez Europejczyka zazwyczaj odpowiada coś idiotycznego”<sup>348</sup>.

Podobnych fragmentów jest bardzo dużo. Gdy Rom opisuje na przykład Kongijczyków zmuszonych do pracy jako tragarze, twierdzi, że znakomicie się bawili. Gdy karawana wyruszała rano, tragarze krzatali się głośno, gdyż każdy chciał „zająć wybrane przez siebie miejsce w szeregu, na przykład obok przyjaciela, z którym mógłby wymieniać uwagi na temat poprzedniej nocy czy rozprawiać na temat wyżywienia, dość zróżnicowanego i smacznego, które otrzymają na następnym postoju”<sup>349</sup>.

Rom musiał zacząć myśleć o napisaniu książki, jeszcze przebywając w Kongu. Czy kiedy dowiedział się, że Conrad mówi perfekcyjnie po francusku, zwierzył mu się ze swych literackich planów? Czy Conrad widział w Leopoldville jakiś obraz Roma, tak jak Marlow widział obraz Kurtza? Czy mogło być przypadkiem, że prawdziwy łowca głów, Rom, i fikcyjny łowca głów, Kurtz, byli obaj malarzami i pisarzami? Tego nigdy się nie dowiemy.

Jest jeszcze kilka innych niepokojących podobieństw między Leonem Romem i Kurtzem. W powieści Kurtzowi udaje się wzbudzić „uwielbienie”<sup>350</sup> Afrykanów ze stacji centralnej - wodzowie płaszczą się przed nim, ludzie słuchają z niewolniczym oddaniem, a

piękna Murzynka zostaje jego konkubina. W 1895 roku pewien porucznik Force Publique tak oto ocenia w swoim dzienniku zachowanie jednego z oficerów:

Głodzi swoich agentów, a równocześnie (chcąc uchodzić za wielkiego arabskiego pana) daje mnóstwo jedzenia czarnym kobietom ze swojego haremu (...). Do tego w domu przywdziewa galowy mundur, przywieziony razem z kobietami, bierze jakiś kawałek papieru i udaje, że król mianował go wielkim wodzem, a pozostali biali ze stacji są jedynie płótkami. (...) Pewnej biednej, małej Murzynce, która nie chciała zostać jego kochanką, wymierzył pięćdziesiąt batów, a potem oddał ją jakiemuś żołnierzowi.

Najważniejszy jest jednak sposób, w jaki pamiętnikarz zaczyna swoją charakterystykę tego oficera: „Ten człowiek chce być drugim Romem”<sup>351</sup>.

Morderczość Kurtza jest echem innej cechy Roma. Gdy był szefem stacji w Stanley Falls, gubernator generalny wysłał do Brukseli raport na temat kilku agentów, „znanych z zabijania mnóstwa ludzi z błahych powodów”. Wspomina w nim niesławny kwietnik Roma ozdobiony ludzkimi głowami i dodaje: „Przed stacją ciągle stoi szafot!”<sup>352</sup>.

Nie wiemy, czy kiedy Conrad mijał Leopoldville w 1890 roku, Rom realizował już swoje marzenia o władzy, mordzie i sławie, czy jedynie o nich rozmyślał. Jak by jednak nie było, krajobraz moralny *Jądra ciemności* i mroczna postać w jego centrum nie są wytworem wyobraźni powieściopisarza, ale uważnego obserwatora, który z przenikliwą celnością uchwycił ducha czasów i miejsca.

\* Spotkanie Conrada i Roma musiałyby mieć miejsce na początku sierpnia, kiedy Conrad przejeżdżał przez Leopoldville, a zanim opuścił pobliską Kinszasę. Conrad przebywał znowu w Kinszasie/Leopoldville od końca września do końca października i miał z pewnością niejedną okazję, żeby usłyszeć o poczynaniach Roma. Sam Rom wyruszył 2 września 1890 roku, żeby objąć nową placówkę, choć *Biographie Coloniale belge* błędnie sugeruje późniejszą datę. Dziękuję bardzo Jules’owi Marchalowi za odnalezienie tej informacji w państwowych archiwach.

\*\* Największy przedsiębiorca ze wszystkich, król Leopold II, nie pojawia się na stronach *Jądra ciemności*, ale za to występuje w *Spadkobiercach*, powieści, którą Conrad

napisał razem z Fordem Madoxem Fordem. Jednym z jej głównych bohaterów jest brodaty książę de Mersch, który kontroluje Protektorat Grenlandii. Zadaniem założonego przez księcia Towarzystwa Regeneracji Rejonów Arktycznych jest opieka nad biednymi Eskimosami, przyniesienie im wynalazku kolei, właściwej odzieży i innych dobrodziejstw cywilizacji. Książę inwestuje w angielską gazetę, chcąc kupić sobie przychylne artykuły na temat swojej działalności „filantropijnej”. „Otoczyliśmy opieką tubylców - mówi książę - nieustannie mieliśmy ich dobro na uwadze”. Grenlandia w powieści jest bogata w ropę i złoto.

## DRZEWO, KTÓRE PŁACZE

DWUNASTEGO LIPCA 1890 roku padało, ale londyńczycy zignorowali ulewę i zgromadzili się przed Opactwem Westminsterskim. Na śliskim od deszczu chodniku tysiące ludzi tłoczyły się, żeby zobaczyć ważne osobistości, wysiadające z powozów i wchodzące do katedry pomiędzy szpalerem policjantów: byłego premiera Gladstone'a, spikera Izby Gmin, lorda kanclerza, rozmaitych diuków i ksiąząt, kobiety ozdobione klejnotami i generałów obwieszonych medalami. Moźni i potężni zapełnili opactwo, stojąc nawet w bocznych nawach.

Wreszcie pojawił się wóz, z którego wyłonił się człowiek oczekiwany przez wszystkich - blady, chory, podpierający się laską. Henry Morton Stanley miał dokonać czegoś, co wymagało od niego więcej odwagi niż wszystkie jego afrykańskie podróże. Żenił się.

Jego narzeczona, Dorothy Tennant, ekscentryczna portrecistka z wyższych sfer, wcześniej odrzuciła jego zaloty. Gdy odkrywca przedzierał się przez dżunglę w poszukiwaniu Emina Paszy, Tennant zmieniła zdanie. Po powrocie Stanleya zaczęła wysyłać do niego zaskakująco namiętne listy. „Wyobraź sobie dziki, nieuprawiany kawał ziemi i wyobraź sobie, że pewnego dnia ziemia zostaje zaorana i obsadzona kukurydzą. Gdyby mogła mówić, powiedziałaaby: «Nigdy nie wydałam kukurydzy, nie wydaję kukurydzy, nigdy nie wydam kukurydzy». A jednak cały czas zasadzone ziarno spoczywa ukryte w jej łonie. (...) Moja miłość jest płomieniem, który nigdy nie gaśnie, najpierw była iskrą, której nie mogłeś dostrzec w ciemnościach, ale teraz świeci jasno niczym płomień na ołtarzu”<sup>353</sup>.

Na ołtarzu się skończyło. Gdy wieść się rozniosła, ceny obrazów Tennant poszybowały w górę. Gratulacje spłynęły z całego świata. Królowa Wiktorija podarowała jej medalion z trzydziestoma ośmioma diamentami, a Thomas Edison przysłał jeden ze swoich fonografów. Leopold wysłał swojego przedstawiciela, hrabiego d'Aarche, aby służył jako świadek.

Gdy nadszedł ów dzień, Stanley dostał bolesnej niestrawności, zapalenia błony śluzowej żołądka. Dolegało mu to już od pewnego czasu, ale nawrót choroby nie był przypadkiem. Niepewnym krokiem ruszył w stronę nawy, ale w połowie ceremonii musiał przysiąść w fotelu. Po ślubie musiano mu pomóc przy wsiadaniu do powozu. Ochraniający przez konną policję, ruszył, z trudem przeciskając się przez krzyczący i wiwatujący tłum. W trakcie przyjęcia weselnego Stanley leżał na kanapie w osobnym, ciemnym pokoju, cierpiąc ogromne bóle. Choroba doskwierała mu też w trakcie miesiąca miodowego.

W Stanleyu przez całe życie były się ze sobą pragnienie akceptacji oraz lęk przed intymnością. Najdokładniejszy biograf Stanleya, Frank McLynn, uważa, iż lęk ten był tak silny, że małżeństwo Stanleya nigdy nie zostało skonsumowane. Dowód na to jest tylko powierzchowny. Dorothy Stanley nie urodziła dzieci i bez względu na to, co można by sądzić z jej listów, było oczywiste, że sama miała potężną neurozę. Naleganie Stanleya, by w podróż poślubną do Szwajcarii udać się z jego młodym asystentem, było wyjątkowo nieromantyczne. Wreszcie w dzienniku Stanleya wpisy z miesiąca miodowego są częściowo zakreślone atramentem, co zapewne zrobiła po jego śmierci wdowa. Da się jednak odczytać ostatnie słowa jednego z wpisów: „Nie uważam za obowiązek małżeński czynić owych przyjemności, jeśli miałbym czuć się niczym małpa w klatce”<sup>354</sup>. McLynn konkluduje: lęk Stanleya przed kobietami był tak wielki, że „gdy wreszcie został wezwany do zaspokojenia żony, załamał się i wyznał, że uważa seks za rzecz zwierzęcą”<sup>355</sup>.

Bez względu na to, czy taka konkluzja jest słuszna, czy nie, zahamowania, które przyniosły Stanleyowi tyle bólu, przypominają nam, że podróżnicy i żołnierze, którzy zajmowali Afrykę, często wcale nie byli odważnymi, szorstkimi, wytrzymałymi bohaterami rodem z legend, ale nieszczęśliwymi, strapionymi, samotnymi mężczyznami, którzy uciekali przed swoją przeszłością albo przed samymi sobą. Wyjaśnianie imperialistycznej ekspansji powodami ekonomicznymi - poszukiwaniem surowców, pracowników i rynków zbytu - jest, oczywiście, słuszne, ale niewystarczające, gdyż dochodził jeszcze czynnik psychologiczny.

Ożenek Stanleya był symbolem, że epoka odkryć dobiegła końca. Odtąd poświęcał swój czas byciu sławnym. Kiedy nareszcie dostał się do wyższych sfer, stał się niemal własną karykaturą. Podróżował po świecie z wykładami i przemowami, odbierał odznaczenia, otwierał linie kolejowe, udzielał wywiadów. Pomstował przeciwko lenizmowi, socjalizmowi,

niemoralności, „ogólnej przeciętności”<sup>356</sup>, związkom zawodowym, nacjonalizmowi irlandzkiemu, ośmiogodzinnemu dniu pracy, kobietom dziennikarkom i amerykańskiej służbie hotelowej („niedouczonej, niezdyscyplinowanej, nieokrzesanej i źle urodzonej”). Otrzymał tytuł szlachecki i został wybrany do parlamentu. Kiedy udał się w podróż z wykładami do Stanów Zjednoczonych i Kanady, ponownie wziął ze sobą asystenta. Jego żona zabrała ze sobą matkę. Zabezpieczeni dwoma przyzwoitkami, Stanleyowie przemierzali kontynent niczym para królewska, w prywatnym wagonie wyposażonym w fortepian. Wagon nazywał się „Henry M. Stanley”.

\*

Ledwie dwa lata po tym, jak Stanley powlókł się do ołtarza, inny człowiek dokonał w Kongu wybitnego odkrycia. Jednak w przeciwieństwie do Stanleya nie stosował przemocy i okazywał szacunek krajowcom. William Sheppard jednak rzadko kiedy pojawia się w annałach, ponieważ nie pasuje do utrwalonego wizerunku białego odkrywcy Afryki. Przede wszystkim bowiem nie był biały<sup>357</sup>.

Paradoksalnie podróż do Konga umożliwił Sheppardowi, czarnemu Amerykaninowi, biały rasista, John Tyler Morgan, ten sam senator z Alabamy, który pomógł załatwić uznanie Stanów Zjednoczonych dla Leopoldowego Konga, mając nadzieję, że wyemigrują tam amerykańscy Murzyni. Morgan i inni entuzjaści tego pomysłu od dawna uważali, że pierwszym krokiem powinno być wysłanie do Afryki czarnych misjonarzy. Morgan miał nadzieję, że staną się awangardą dla milionów Afroamerykanów, którzy podążą za nimi - im szybciej, tym lepiej. W 1865 roku, gdy biali południowcy stracili już wszelką nadzieję na utrzymanie niewolnictwa, zgromadzenie generalne Południowego Kościoła Prezbiteriańskiego opowiedziało się za tym, by zacząć rekrutować „misjonarzy spośród afrykańskiej rasy tego kontynentu, którzy będą nieśli krajom swoich przodków Ewangelię łaski bożej”<sup>358</sup>.

Plany te nabrały realnego kształtu dopiero kilka lat po wojnie secesyjnej. Należy zacząć od dość oczywistego stwierdzenia, że prezbiterianie z Południa, którzy entuzjazmem wobec niewolnictwa dalece różnili się od prezbiterian z Północy, nie mieli wielu czarnych w swojej kongregacji. Mimo to plany nieprzejednanych rasistów pokroju Morgana do pewnego

stopnia pokrywały się z interesami części Afroamerykanów. Choć tylko nieliczni chcieli przenieść się do Afryki na stałe, George Washington Williams nie był wówczas jedynym, który chciał tam pracować. Wielebny William Sheppard miał podobne ambicje, i to zapewne z takiego samego powodu - był to sposób na wyrwanie się z upokarzających barier, jakie stawiała segregacja.

Urodzony w Wirginii w 1865 roku, Sheppard poszedł do stanowego Hampton Institute, jednej z niewielu na Południu placówek edukacyjnych dla czarnych. Po dalszych studiach w Seminarium Teologicznym dla Kolorowych w Tuscaloosa, w Alabamie, pracował jako pastor prezbiterian w Montgomery i Atlancie, gdzie zyskał reputację człowieka energicznego, ochoczego i odważnego. Pewnego razu ocalił kogoś od utonięcia, innym razem doznał oparzeń, ratując kobietę z płonącego budynku<sup>359</sup>. Pod koniec lat 80. XIX wieku Sheppard zaczął słać listy do Południowego Kościoła Prezbiteriańskiego z prośbą, by wysłali go jako misjonarza do Afryki.

Prezbiterianie trzymali go w niepewności przez dwa lata: władze Kościoła nie pozwalały mu jechać do Afryki, jeśli jego zwierzchnikiem nie byłby jakiś biały. Wreszcie pojawił się obiecujący biały misjonarz, o rok młodszy od Shepparda wielebny Samuel Lapsley, zachęcony do tego przez samego senatora Morgana, który prowadził wraz z ojcem Lapsleya kancelarię adwokacką. Choć pierwszy był potomkiem niewolników, a drugi potomkiem właścicieli niewolników, przypadli sobie do gustu i razem popłynęli do Konga. Po drodze, dzięki protekcji Morgana i Henry'ego Sheltona Sanforda, Lapsley spotkał się w Waszyngtonie z prezydentem Benjaminem Harrisonem, a w Brukseli z królem Leopoldem II. Sheppard, jako czarny, nie dostał zaszczytu uczestnictwa w tych audiencjach. Zgodnie z radą Sanforda, przed wizytą w pałacu Lapsley zaopatrzył się w jedwabny cylinder. Jak wielu przed nim, był oczarowany Leopoldem<sup>360</sup>.

Sheppard i Lapsley przybyli do Konga w maju 1890 roku i na kilka tygodni zatrzymali się w misji w pobliżu Matadi. Kiedy zbierali tragarzy i zapasy, niezbędne na wyprawę naokoło katarakt dolnego Konga, w tym samym miasteczku dokładnie to samo robił Joseph Conrad, który wyruszył do Stanley Pool jedenaście dni po Amerykanach.

Po rozmowie z doświadczonymi misjonarzami ze Stanley Pool i okolic Lapsley i Sheppard postanowili założyć pierwszą misję południowych prezbiterian w górnym biegu



rzeki Kasai. Sheppard udał się na kilka tygodni do buszu, żeby rekrutować pomocników, a Lapsley został w amerykańskiej misji w Leopoldville, gdzie jego droga znów skrzyżowała się z Conradem. Pisarz dzielnie stawiał czoło nie tylko malarii i dyzenterii, ale też ewangelizacji. Jak pisał w liście Lapsley, Conrad „leży chory w pokoju po drugiej stronie dziedzińca. Gdy siedzę (...), za drzewami owocowymi i palmami widzę jego okno. To dżentelmen. W kontaktach z nim mam zamiar wykorzystać angielskojęzyczną Biblię, która leży na jego stoliku”<sup>361</sup>.

Gdy zakończyły się przygotowania, dwaj młodzi misjonarze ruszyli w stronę Kasai. W listach, które Lapsley słał do domu, pobrzmiwa podziw dla Shepparda - podziw białego dla czarnego jest w ich ojczyźnie czymś nie do pomyślenia. „Bateke uważają, że Mundéle Ndom, jak nazywają Shepparda, jest jedyny w swoim rodzaju. (...) Ma wesoły i łagodny charakter, zaprawdę jest człowiekiem rzadkich łask i talentów. Dziękuję Bogu za Shepparda”. Opisuje go jako „urodzonego kupca (...), jemu zostawiam dokonywanie wszelkich zakupów”<sup>362</sup>, z podziwem wypowiada się także o fizycznej wytrzymałości Shepparda, jego umiejętnościach myśliwskich, radzeniu sobie z burzami, które prawie zwiewały ich namioty, a także o tym, jak zanurkował na głębokość prawie pięciu metrów, żeby odblokować kotwicę. Pewnego razu Sheppard zastrzelił hipopotama, a następnie skoczył do wody, żeby obwiązać wokół niego linę, i stanął oko w oko z krokodylem, który również ostrzył sobie zęby na hipopotama. Czarnoskóry miał być w teorii młodszym partnerem w tej misji, ale czytając listy Lapsleya, przychodzi na myśl sztuka Jamesa Barriego *Nieporównany Crichton*, w której jacht pełen Brytyjczyków z wyższych sfer rozbija się na bezludnej wyspie i przywódca zostaje zaradny lokaj.

William Sheppard był pierwszym afroamerykańskim misjonarzem w Afryce. W książce, listach i artykułach prasowych, pisanych przez niego w następnych latach, a także w mowach wygłaszanych przed zachwyconą publicznością w Hampton, słychać, że był kimś zupełnie innym niż większość Amerykanów i Europejczyków, którzy przed nim podróżowali do Afryki. Bez wątplenia jest chrześcijańskim ewangelistą i będzie nim przez następne dwadzieścia lat swojej pracy w Afryce. Od czasu do czasu okazuje zwyczajową protekcjonalność wobec „gęstej ciemności pogaństwa” i „nieokrzesanych, nagich dzikusów, kłaniających się bożkom, pełnych przesądu i grzechu”<sup>363</sup>. Zazwyczaj jednak jego ton jest zupełnie inny. „Zawsze chciałem mieszkać w Afryce - pisał Sheppard do przyjaciela w Stanach - sądziłem, że będę tam szczęśliwy, i jestem”<sup>364</sup>. Ochoczo chłonał nieznane mu

okolice rzeki Kasai: „Od razu zaczęliśmy uczyć się ich języka, wskazując na przedmioty i zapisując nazwy, które nam podali”<sup>365</sup>. Sprawili sobie papugi i małą, czarną małpkę, którą dla żartów nazwali Tippu Tip, po afroarabskim łowcy niewolników. Jego głos, silniejszy i pewniejszy siebie, staje się głosem człowieka, który czuje, że przybył do domu, choć z powodów politycznych i religijnych nie powinien za dużo rozprawiać na ten temat. Cieszy się z bycia między „moim ludem” w „kraju moich przodków”<sup>366</sup>.

Na początku 1892 roku Lapsley musiał udać się w interesach do Boma, stolicy, i na kilka miesięcy zostawił Shepparda samego w Kasai. Gdy Sheppard wyszedł na spotkanie parowca, który - jak sądził - wiozł Lapsleya z powrotem, przeżył ogromne rozczarowanie, otrzymawszy list od innego misjonarza:

Drogi bracie Sheppardzie,

będziesz zaskoczony i zasmucony, gdy dowiesz się, że Twój przyjaciel i towarzysz, wielebny S.N. Lapsley, w czasie swojego pobytu na wybrzeżu 26 marca zmarł z powodu żółciowej gorączki<sup>367</sup>.

Południowi Prezbiterianie, zakłopotani tym, że szefem ich nowej misji został czarnoskóry, wysłali do Konga więcej białych misjonarzy. Kiedy przybyli, Sheppard miał już kilkuletnie doświadczenie, znał okolicę i, jak twierdził pewien belgijski kupiec, był bardzo lubiany „wśród Bakuba, których językiem mówił jako jedyny z Europejczyków”<sup>368</sup>.

Sheppard kwitł. Uwielbiał polować, znany był ze swojej siły oraz charyzmatycznych przemówień. Miał, jak twierdził, pierwszy rower w Afryce Środkowej i radośnie jeździł nim po okolicy. Jego radość życia sprawiała, że był lubiany przez wszystkich, czarnych i białych. Miarą jego popularności niech będzie to, że gdy później zszedł z drogi cnoty i zrobił dziecko pewnej dziewczynie z wioski, postępek ten nie przekreślił jego kariery w Kościele<sup>369</sup>. Chłopiec, nazwany Shapit - tak, jak Afrykanie nazywali jego ojca - prowadził później w misji prasę drukarską.

W przeciwieństwie do innych misjonarzy, którzy wyglądają na zdjęciach dość ponuro, Sheppard wydaje się dobrze bawić, pozując z upolowaną zwierzyną, wesoło pokazując wielkiego, martwego węża czy grając na banjo. Wysoki i krzepki, stoi pomiędzy czarnymi

wojownikami, sam trzyma w ręku dzidę. Albo z karabinem w ręku uśmiecha się szeroko, stojąc z ludźmi trzymającymi łuki i strzały. Raz za razem Sheppard przybiera inną pozę. W kapeluszu od słońca, białej koszuli, białym krawacie i białym, lnianym garniturze, a nawet białych, płóciennych butach. Piers wypięta, ręce pewnie oparte na biodrach. Stoi w grupie Afrykanów, uśmiechając się ciepło, dumnie, niemal jak właściciel. Wygląda jak trener, który prezentuje swoją zwycięską drużynę.

Okolica, w której pracował Sheppard, graniczyła z terenami zamieszkanymi przez lud Kuba. Kuba byli największymi artystami Afryki, wytwarzali maski, rzeźby, tkaniny i kunsztownie rzeźbione narzędzia. Sheppard był pierwszym obcokrajowcem, który zgromadził pokaźną kolekcję sztuki Kuba, obecnie znajdującą się w jego *Alma Mater* w Wirginii. Robił etnograficzne zapiski na temat Kuba oraz innych ludów regionu Kasai, spisując mity, rytuały, zapisując wysokość plonów. Choć jest na tyle uczciwy, żeby przyznać, że niektóre zwyczaje są dla niego odrażające - jak ofiary z ludzi czy zabijanie kobiet podejrzanych o bycie czarownicami - w tym, co pisze, słyhać empatię, szacunek i ciekawość wobec afrykańskich obyczajów, tak odmienne od surowych opinii wydawanych przez ludzi pokroju Stanleya. Sheppard był szczególnie zafascynowany ludem Kuba, wśród którego „miało się wrażenie, że ponownie wkroczyło się do cywilizacji. (...) Być może ich cywilizacja wywodziła się od Egipcjan - a może to Egipcjanie pochodzili od Bakuba!”<sup>370</sup>. Sheppard był urzeczony pewnym ceremonialnym kubkiem do picia wina palmowego, na którym wyryte były twarze podobne do tych znanych ze starożytnych, egipskich artefaktów. „Kubek jest wykonany z mahoni - pisał Sheppard - a twarz na nim zdaje się potwierdzać, że tradycja ta przybyła wiele, wiele lat wcześniej z jakiejś odległej krainy”<sup>371</sup>.

Położenie królestwa Kuba głęboko w interiorze Konga zapewniało ochronę przed łowcami niewolników z obu wybrzeży. Kuba wysoko cenili sobie swoją izolację i robili wszystko, żeby trzymać obcokrajowców z daleka. Ich ojczyzna leżała w granicach ziem przyznanych Leopoldowi przez Europę, jednak w początkowym etapie budowania kolonii jego władza nad tak odległymi terenami pozostawała wyłącznie na papierze. Belgijscy kupcy niemal przez dekadę próbowali dostać się do królestwa Kuba, jednak za każdym razem byli zwracani z jego granic. Wracaly również dary, które posyłano jego władcy.

W 1892 roku Sheppard dokonał czegoś, o czym większość antropologów mogła tylko marzyć - został pierwszym cudzoziemcem, który dotarł do miasta Ifuca, siedziby dworu króla

Kuba imieniem Kot aMbwee II. Król wielokrotnie, i pod karą śmierci, zakazywał pomagania obcokrajowcom, toteż nikt nie dawał Sheppardowi żadnych wskazówek. Dotarcie do stolicy zabrało jemu (i towarzyszącej mu niewielkiej grupie Afrykanów) trzy miesiące, a udało się dopiero wtedy, gdy przeszedł trasę karawany z kością słoniową. Gdy wkroczył do Ifuca, był wciąż ubrany na biało - mając na sobie białe, płócienne buty oraz - jak pisał ponuro - „to, co kiedyś było” białym, lnianym garniturem<sup>372</sup>.

Rozgniewany król rozkazał najpierw ściąć Shepparda, jego towarzyszy i wszystkich, którzy im pomogli, ale szybko dowiedział się, że intruz ma ciemną skórę i zna trochę język Kuba. To oznaczało - zdaniem starszyny - że był reinkarnacją czyjejś duszy. Co więcej, starsi powiedzieli nawet dokładnie czyjej - Bope Mekabe, poprzedniego króla\*. Choć Sheppard wielokrotnie mówił o swoim królu zasiadającym w niebiosach, nie był w stanie przekonać Kuba, że było inaczej<sup>\*\*373</sup>.

Wizyta ta była jednym z najważniejszych momentów w życiu Shepparda. Dostarczył przyszłym naukowcom mnóstwa informacji, gdyż Kuba mieli jeden z najbardziej skomplikowanych systemów politycznych w Afryce Środkowej<sup>374</sup>. Sheppard przebywał na dworze króla Kuba cztery miesiące i zaintrygowany tym, co widział, robił notatki na temat wszystkiego - od obyczajów dworskich do zachowania królewskich sił porządkowych, zajmujących się zwalczaniem kradzieży i innych przestępstw. Ilekroć zbliżał się do króla, zasiadającego na tronie z kości słoniowej, noszącego koronę z paciorków i piór, służący rozpościerali przed nim lamparcie skóry.

„Bardzo polubiłem Bakuba (...) - pisał. - Ze wszystkich ras, które widziałem w Afryce, wyglądali najlepiej: godni, pełni wdzięku, odważni, uczciwi, zawsze uśmiechnięci i gościnni. Ze wszystkich ludów Afryki Równikowej najlepiej znali się na tkaniu, wyszywaniu, rzeźbieniu w drewnie i wytapianiu metali<sup>375</sup>. Sheppard uczestniczył w corocznym spotkaniu wodzów i naczelników całego królestwa, podczas którego wykonywali ceremonialne tańce oraz wymieniali się wiadomościami na temat narodzin, śmierci, zbiorów i innych wydarzeń w swoich władztwach. Napisał później książkę na temat swoich doświadczeń, noszącą tytuł *Prezbiteriańscy pionierzy w Kongu*, ale dotyczy ona głównie wyjątkowo „nieprezbiteriańskich” Kuba. Jest to rzetelny, pochodzący z pierwszej ręki opis ostatniego afrykańskiego królestwa nietkniętego przez wpływy europejskie. Jak donosi Sheppard, mit Kuba „mówi, że pierwsi ludzie, mężczyzna i kobieta, zostali spuszczeni z nieba na linie. Na

ziemi odwiązali się i lina została wciągnięta z powrotem<sup>376</sup>.

Wkrótce po swojej pierwszej wizycie u Kuba Sheppard udał się na jakiś czas do Stanów Zjednoczonych. Po drodze został zaproszony do Londynu, żeby wygłosić wykład w Exeter Hall. Jego podróże po królestwie Kuba i odkrycie jezior, o których Europejczycy nie mieli pojęcia, przyniosły mu członkostwo Królewskiego Towarzystwa Geograficznego - był jedynym prezbiteriańskim misjonarzem, którego spotkał ten zaszczyt. Towarzystwo nazwało także imieniem Shepparda jedno z jezior. W Waszyngtonie Sheppard podarował prezydentowi Groverowi Clevelandowi bambusową matę wykonaną przez Kuba, a Theodorowi Rooseveltowi - fajkę oraz koc z włókien palmowych. W trakcie tych wszystkich podróży Sheppard występował niezliczoną ilość razy: w college'ach, na uniwersytetach, w kościołach, a jego żarliwe przemówienia przyniosły prezbiterianom napływ czarnych misjonarzy obojga płci. Sheppard poślubił jedną z nich - Lucy Gantt, nauczycielkę i utalentowaną śpiewaczkę, którą znał jeszcze z czasów studenckich. Do Afryki przybyło też więcej białych prezbiterian, jako że na czele misji zawsze musieli stać biali. W oficjalnych rejestrach południowych Prezbiterian, powstałych w Stanach Zjednoczonych, przy nazwiskach Shepparda i nowych rekrutów zawsze pojawiała się „(c.)” lub „(colored)”. W Afryce nie czuł jednak, że przynależy do gorszej kategorii obywateli - jednego ze swoich synów nazwał Maxamalinge, po synu króla Kuba.

Trudno się zatem dziwić, że Kuba byli zadowoleni ze swojego sposobu życia i mimo przyjaznego stosunku do Shepparda nie wykazywali większego zainteresowania chrześcijaństwem. W misji, którą kierował Sheppard, było tylko kilku nawróconych. Z powodu swoich odkryć stał się jednak tak znany w Stanach, że prezbiterianie nie zdecydowali się na likwidację misji wśród Kuba i przeniesienie Shepparda w inne miejsce, obawiając się negatywnej reakcji opinii publicznej.

Z czasem, tak jak całe Kongo, także region Kasai znalazł się w żelaznym uścisku Wolnego Państwa Konga. Osiem lat po historycznej wizycie Shepparda siły Leopolda zajęły i złupiły stolicę Kuba.

\*

Zdobycie stolicy Kuba, tak jak wiele innych wydarzeń w Kongu, było efektem odkrycia, którego dokonano w pewnym odległym kraju. Kilka lat wcześniej, jeszcze zanim William Sheppard po raz pierwszy wyruszył do Afryki, w dalekim Belfaście mieszkający tam weterynarz, noszący imponującą, siwą brodę, naprawiał trycykl swojego syna. John Dunlop starał się rozwiązać problem nękający cyklistów już od wielu lat - jak zmniejszyć wstrząsy w czasie jazdy bez zastosowania sprężyn? Dunlop znalazł praktyczne rozwiązanie, którego wszyscy od dawna szukali - napompowywaną, gumową dętkę. W 1890 roku Dunlop Company rozpoczęło produkcję opon, wywołując rowerowe szaleństwo i rozpoczynając nową gałąź przemysłu, która - jak się miało okazać - zapoczątkowała epokę samochodów.

Europejczycy znali kauczuk od czasów Krzysztofa Kolumba, który jako pierwszy zobaczył go w Indiach Zachodnich. Pod koniec XVIII wieku brytyjski naukowiec zauważył, że można nim wymazać ślady ołówka, i dał substancji jej angielską nazwę<sup>\*\*\*</sup>. W 1823 roku Szkot Charles Macintosh zapisał się w historii, wynajdując metodę produkcji na masową skalę czegoś, co amerykańscy Indianie robili od dawna - czynienia materiałów wodoodpornymi poprzez pokrywanie ich gumą. Szesnaście lat później amerykański wynalazca Charles Goodyear przypadkiem wylał siarkę na gorący kauczuk. Zauważył, że powstała w ten sposób mikstura nie twardnieje po wystygnięciu, a gdy jest gorąca, nie śmierdzi i nie jest glutowata, co było podstawowym problemem, kiedy chciano wytworzyć gumowe buty lub płaszcze przeciwdeszczowe. Światowy boom kauczukowy rozpoczął się jednak dopiero na początku lat 90. XIX wieku, pięć lat po tym, jak Dunlop zamontował w trójkołowym rowerze swojego syna gumowe opony na resorach. Światowy przemysł szybko nabrał apetytu nie tylko na gumowe opony, ale też na węże, rury, uszczelki i tym podobne sprzęty, a także gumowe izolacje telegrafów, telefonów i kabli elektrycznych, coraz szczelniej oplatających ziemię. Nagle zaczęło brakować owego magicznego surowca, a jego cena cały czas rosła. Nigdzie indziej jednak boom nie miał takiego wpływu na życie ludzi jak w afrykańskim lesie równikowym, gdzie dzikie pnącza kauczuku oplatały wysokie drzewa, pokrywające niemal połowę należącego do Leopolda Konga.

Dla Leopolda boom kauczukowy był prawdziwym darem od niebios. Inwestycje w Kongu wpędziły go w długi, ale nagle zorientował się, że mogą być o wiele bardziej opłacalne, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał. Świat wciąż potrzebował kości słoniowej, ale pod koniec lat 90. to dziki kauczuk stał się głównym źródłem dochodów z Konga. Mając zapewnioną fortunę, król wypytywał urzędników powracających z Konga o zbiory kauczuku -

połykał kolejne telegramy i raporty docierające z kolonii, robiąc notatki na marginesach i przekazując je dalej swoim pracownikom<sup>377</sup>. Jego listy z tego okresu są pełne liczb: cen surowców na światowych giełdach, wysokości oprocentowania pożyczek, liczby karabinów przeznaczonych do wysłania do Konga, ton kauczuku przeznaczonych do wysłania do Europy, ale także dokładnych wymiarów łuku triumfalnego, który planował wznieść w Brukseli z nowo zarobionych pieniędzy. Korespondencja króla przypomina listy głównego menedżera korporacji, który stworzył nowy, przynoszący zyski produkt i za wszelką cenę stara się wykorzystać swoją przewagę, zanim konkurencja uruchomi własną produkcję.

Konkurencją, której tak obawiał się Leopold, mógł stać się uprawiany kauczuk, pochodzący nie z pnączy, ale z drzew. Drzewa kauczukowe wymagały jednak dużo uwagi i musiało minąć kilka lat, zanimby urosły na tyle, by można było pozyskiwać z nich kauczuk. Król domagał się coraz większych dostaw dzikiego kauczuku, wiedząc, że kiedy tylko dojrzeją drzewa na plantacjach w Ameryce Łacińskiej i Azji, cena surowca spadnie. Tak się też stało, ale wcześniej, przez niemal dwie dekady, Kongo doświadczało kauczukowego boomu. W tym czasie, w poszukiwaniu surowca, nie cofano się przed niczym.

Tak jak w przypadku kości słoniowej, Wolne Państwo Kongo i prywatne kompanie płaciły w zależności od wielkości dostawy. W 1903 roku pewien wyjątkowo „produktywny” agent otrzymał prowizję ośmiokrotnie przewyższającą jego roczną pensję<sup>378</sup>. Wielkie pieniądze płynęły jednak bezpośrednio do Antwerpii oraz Brukseli - w drugim mieście przede wszystkim na niewielką ulicę Bréderode, oddzielającą pałac królewski od kilku budynków mieszczących biura państwa Kongo oraz przedsiębiorstw prowadzących interesy w Afryce.

Choć prywatne państwo Leopolda samo kontrolowało połowę dochodów koncesjonowanych kompanii, król czerpał o wiele więcej zysków z ziemi, którą państwo eksploatowało bezpośrednio. Ponieważ jednak koncesjonowane kompanie były zarządzane mniej sekretnie, mamy na ich temat dokładniejsze statystyki. W 1897 roku na przykład jedną z nich - Anglo-Belgian India Rubber and Exploration Company (ABIR) - zebranie i wysłanie do centrali w Antwerpii kilograma kauczuku kosztowało 1,35 franka, podczas gdy sprzedawała go po cenie sięgającej niekiedy nawet dziesięciu franków za kilogram, co przynosiło jej ponad 700 procent zysku. W 1898 roku rynkowa wartość ABIR była niemal trzydzieści razy większa niż sześć lat wcześniej<sup>379</sup>. W latach 1890-1904 dochody z kongijskiego kauczuku wzrosły dziewięćdziesiąt sześć razy. Na przełomie stuleci État

Indépendant du Congo było już bez wątpienia najbardziej dochodową kolonią w całej Afryce. Zyski były łatwe, gdyż - pomijając transport - samo zbieranie kauczuku nie wymagało żadnego wysiłku, żadnych upraw, żadnych nawozów, żadnych inwestycji w skomplikowany sprzęt. Wymagało tylko pracy.

W jaki sposób znaleźć ręce do pracy? To właśnie sprawiało problem władcom Konga. Nie mogli ich po prostu zebrać, skuć razem i zagonić do pracy pod okiem dzierżącego *chicotte* nadzorca, tak jak robiono z tragarzami. Aby zbierać kauczuk, ludzie musieli równomiernie rozprzecznać się po lesie, a często także wspinać się na drzewa.

Kauczuk jest zakrzepłym sokiem drzewnym - sama nazwa (z francuskiego *caoutchouc*) pochodzi od słowa z języka południowoamerykańskich Indian, oznaczającego „drzewo, które płacze”. Drzewo płaczące w Kongu było długim, gąbczastym pnączem z rodzaju *Landolphia*. U podstawy grube niemal na trzydzieści centymetrów, chcąc dosięgnąć światła słonecznego, potrafiło owinać się wokół drzewa na wysokość ponad trzydziestu metrów. Tam, rozgałęziając się na długość kolejnych dziesiątek metrów, rozpościerało się na konary sąsiednich drzew. Aby zebrać kauczuk, trzeba było naciąć pnącze nożem, a następnie zawiesić wiadro lub ceramiczny garnek, do którego powoli skapywała gęsta, mleczna ciecz. Można było dokonywać małych nacięć lub przeciąć je zupełnie, co oficjalnie było zabronione, gdyż choć dawało, co prawda, więcej kauczuku, to zabijało roślinę. Gdy osuszono już wszystkie pnącza w pobliżu danej wioski, robotnicy musieli szukać świeżych pnączy głębiej w lesie, zazwyczaj w odległości jednego lub kilku dni drogi. Gdy wydobyto wszystko na poziomie gruntu, robotnicy musieli wspinać się na drzewa. „Minęliśmy po drodze człowieka, który złamał kręgosłup, spadając z drzewa, z którego odsącał kauczuk” - napisał pewien misjonarz. Co więcej, gwałtowne, tropikalne ulewy, występujące przez większą część roku, zmieniały pokaźne kawały kauczukodajnego lasu w bagna.

Żadna zapłata w paciorkach czy miedzianym drucie nie była wystarczająca do tego, by zachęcić ludzi do przebywania całymi dniami w zatopionym lesie i wykonywania pracy nie tylko męczącej, ale też fizycznie bolesnej. Zbieracz musiał wysuszyć syrop, żeby stwardniał, a często jedyną metodą było rozprowadzenie substancji na ramionach, udach i klatce piersiowej. Louis Chaltin, oficer Force Publique, pisał w swoim dzienniku w 1892 roku: „Pierwsze kilka razy jest dość bolesne, gdyż człowiek wyrывa sobie włosy z ciała. (...) Krajowiec nie lubi wytwarzać kauczuku. Trzeba go do tego zmusić”<sup>380</sup>.



Jak miałyby być zmuszany? Do Europy powoli docierały wiadomości i pogłoski. Jak donosił w 1892 roku brytyjski wicekonsul: „Nad [rzeką] Ubangi podano mi przykład tego, co się robi (...). Pewien oficer (...) stosował taką metodę (...). Na sam widok jego czołna mieszkańcy danej wioski dawali nogi za pas. Żołnierze wysiadali na brzeg i zaczynali grabież, zabierając z domów całe ptactwo, zboże, *etc.* Po tym napadali na samych tubylców, porywając ich kobiety, przetrzymując je w charakterze zakładniczek aż do chwili, póki wódz danego regionu nie dostarczył żądanej ilości kauczuku. Gdy dostarczono kauczuk, kobiety odsprzedawano po cenie kilku kóz za sztukę i udawano się do kolejnej wioski. I tak aż do czasu zebrania odpowiedniej ilości gumy”<sup>381</sup>.

Zakładnikami były czasami kobiety, czasami dzieci, niekiedy nawet starsi albo sam wódz. Każda placówka państwa lub kompanii miała ogrodzone miejsce, w którym przetrzymywano zakładników. Odmowa dostarczenia kauczuku mogła oznaczać śmierć bliskich, których przetrzymywano w surowych warunkach i skąpo karmiono. „Kobiety pojmane w czasie ostatniego najazdu na Engwettra sprawiają mi ciągły kłopot - pisał 22 listopada 1895 roku oficer Force Publique, Georges Bricusse. - Wszyscy żołnierze chcą jakąś. Wartownicy, mający je pilnować, rozkuwają najładniejsze i gwałcą”<sup>382</sup>.

Leopold, rzecz jasna, nigdy nie ogłosił brania zakładników jako oficjalną praktykę, a kiedy ktoś stawiał takie zarzuty, władze w Brukseli stanowczo im zaprzeczały. Jednak w terenie, z daleka od wścibskich oczu, nie dbano o pozory. Branie zakładników zalecał nawet quasi-oficjalny podręcznik *Manuel du Voyager et du Résident au Congo*, którego egzemplarz administracja dawała każdemu agentowi i każdej placówce, a który wiele nam mówi o tamtejszych praktykach. W pięciu tomach podręcznik poruszał każde zagadnienie - od tego, jak sprawić, żeby służący byli posłuszni, do tego, jak należy strzelać na wiwat. Branie zakładników było jednym z rutynowych działań.

Branie zakładników jest w Afryce (...) łatwe, ponieważ jeśli krajowcy ukrywają się, to nigdy nie odchodzą daleko od swojej wioski, musząc zbierać żywność w pobliskich ogródkach. Dokładnie je obserwując, można być pewnym, że szybko złapie się ludzi. (...) Gdy ma się już wystarczającą liczbę zakładników, należy wybrać spośród nich starszą osobę, najlepiej starą kobietę, i wysłać ją wodzowi w charakterze prezentu, aby rozpocząć negocjacje. Wódz, chcąc uwolnić ludzi, zazwyczaj zgadza się wysłać swoich

przedstawicieli<sup>383</sup>.

Rzadko kiedy historia daje nam możliwość przyjrzenia się tak szczegółowej instrukcji zbrodniczego reżimu. Porady na temat brania zakładników zawarte są w tomie *Zagadnienia praktyczne*, opracowanym przez około trzydziestu autorów. Jednym z nich był Léon Rom, pracujący nad książką przez dwa lata po zakończeniu swojej ciężkiej pracy kolekcjonera głów i szefa placówki w Stanley Falls.

\*

Praktyka brania zakładników wyróżnia Kongo na tle innych reżimów, opartych na pracy przymusowej, choć państwo Leopolda przypominało je pod innymi względami. Stosowano system wyrabiania norm, podobny do znanego z sowieckich łagrów, gdzie również wykorzystywano niewolniczą pracę do zbierania surowców. Na Syberii normy dotyczyły dziennej ilości metrów sześciennych ściętego drzewa albo wydobytej rudy - w Kongu normą były kilogramy kauczuku. Na terytorium podlegającym koncesjonowanej kompanii ABIR, leżącym na południe od wielkiego półkola, które zataczało Kongo, zwyczajową normą, którą każda wioska musiała wyrobić w ciągu dwóch tygodni, było trzy do czterech kilogramów na dorosłego mężczyznę<sup>384</sup>. Oznaczało to nieustanną pracę. W innych miejscach normy były wyższe, a z czasem jeszcze rosły. Pewien urzędnik z dorzecza rzeki Mongala, kontrolowanego przez inną kompanię, Société Anversoise du Commerce au Congo, szacował, że aby wyrobić normę, zbieracze kauczuku musieli spędzić w lesie dwadzieścia cztery dni w miesiącu, śpiąc w prymitywnych klatkach, naprędce wzniesionych w celu ochrony przed panterami - nie zawsze zresztą skutecznej<sup>385</sup>.

Chcąc za wszelką cenę dostać się do pnączy, rosnących wysoko nad ziemią, ludzie czasami zrywali je w całości, cięli je na kawałki i wyciskali do samego końca<sup>386</sup>. Państwo Kongo surowo zakazywało niszczenia pnączy, ale wobec tych, którzy nie dostarczyli wystarczającej ilości kauczuku, stosowano *chicotte*. To ostatnie zwyciężyło. Pewien świadek widział Afrykanów, którzy musieli wykopywać korzenie, żeby zdobyć kauczuk potrzebny do wyrobienia normy.

Cały system był zmilitaryzowany. Rozproszone po całym terenie garnizony Force

Publique często użyczały swoich żołnierzy kompaniom działającym na podstawie koncesji. Poza tym każda kompania miała własną milicję, nazywaną eufemistycznie „wartą”. W sprawach wojskowych, tak jak zresztą niemal we wszystkim innym, kompanie były *de facto* przedłużeniem państwa, więc kiedy trzeba było pojmać zakładników lub spacyfikować zbuntowaną wioskę, „wartownicy” kompanii oraz żołnierze Force Publique często szli ramię w ramię.

Gdzie tylko rosły kauczukowe pnącza, miejscowa ludność była ściśle kontrolowana. Aby móc odwiedzić przyjaciół lub krewnych, trzeba było zazwyczaj uzyskać pozwolenie urzędnika państwa lub kompanii. W pewnych rejonach trzeba było nosić na szyi sznurek z metalowym dyskiem, na którym wryty był numer, pozwalający agentom kompanii sprawdzić, czy wykonało się normę. Do wstąpienia w szeregi tej armii robotników zmuszono mnóstwo Afrykanów - w rejestrach samej tylko ABIR, odpowiedzialnej przecież jedynie za ułamek produkcji kauczuku w Kongu, w 1906 roku figurowało czterdzieści siedem tysięcy zbieraczy<sup>387</sup>.

Kolumny wycieńczonych mężczyzn, niosących na głowach kosze pełne grudkowatej, szarej gumy, maszerowały czasami nawet kilkadziesiąt kilometrów, aby złożyć towar przed domami europejskich agentów, którzy zasiadali na werandach i ważyli kolejne dostawy. W jednym z punktów dostawy pewien misjonarz naliczył czterystu mężczyzn z koszami<sup>388</sup>. Dostarczoną maź dzielono na kawałki wielkości małej walizki i wystawiano na słońce, by wyschły. Następnie transportowano je w dół rzeki na pokładzie ciągniętych przez parowce barek, co było tylko pierwszym etapem długiej podróży do Europy.

Państwo i kompanie płaciły krajowcom za kauczuk kawałkami materiału, paciorkami, kilkoma łyżkami soli lub nożem. Nie kosztowało to prawie nic, a noże i tak były konieczne do zbierania kauczuku. Znamy co najmniej jeden przypadek, gdy wodzowi, który zmusił swoich ludzi do pracy, zapłacono ludźmi. Dysponujemy zapisem prawnego sporu z 1901 roku, toczącego się między dwoma białymi urzędnikami w pobliżu Stanley Falls. Przesłuchiwanym świadkiem jest Liamba, szef wioski Malinda:

Pytanie: Czy M. Hottiaux [urzędnik kompanii] dawał ci kiedyś żywe kobiety i dzieci?

Odpowiedź: Tak, dał mi sześć kobiet i dwóch mężczyzn.

Pytanie: Po co?

Odpowiedź: Jako zapłatę za kauczuk, który dostarczyłem mu do stacji. Powiedział mi, że mogę zrobić z nimi, co chcę: mogę ich zjeść, zabić albo zrobić z nich niewolników<sup>389</sup>.

\*

Las deszczowy, rosnący nad brzegami rzeki Kasai, był bogaty w kauczuk. William Sheppard i inni amerykańscy prezbiterianie znaleźli się w samym środku katastrofy. Kasai stawiało Leopoldowi najzacieklejszy opór<sup>390</sup>. W tym samym regionie, w którym pracował Sheppard, szaleli wojownicy podlegli wodzowi sprzymierzonemu z reżimem, plądrując i paląc wioski. Zrozpaczeni uchodźcy szukali pomocy w prowadzonej przez niego misji.

W 1899 roku Sheppard niechętnie wykonał polecenie swoich przełożonych i udał się do buszu, żeby dowiedzieć się o powodach walk. Znalazł skrwawioną ziemię, zniszczone wioski i wiele zwłok - powietrze było przesiąknięte zapachem gnijących ciał. Gdy dotarł do obozu łupieżców, jego uwagę przykuła wielka liczba wędzonych przedmiotów. Wódz „poprowadził nas do wykonanego z patyków rusztu, pod którym tlił się ogień. Leżały na nim prawe dłonie - policzyłem je i było ich w sumie osiemdziesiąt jeden”<sup>391</sup>. Wódz powiedział Sheppardowi: „Spójrz! Oto nasz dowód. Zawsze muszę odciąć prawą dłoń, żeby móc pokazać władzom, ilu zabiłem”<sup>392</sup>. Z dumą pokazał Sheppardowi ciała, z których pochodziły dłonie. Dym konserwował dłonie, co było konieczne w gorącym, wilgotnym klimacie Konga, gdyż często musiały minąć dni lub tygodnie, zanim można je było pokazać odpowiedniemu urzędnikowi i odebrać nagrodę.

Sheppard natknął się na jeden z najokrutniejszych elementów Leopoldowego systemu pozyskiwania kauczuku. Tak jak branie zakładników, także i odcinanie dłoni było zaaprobowane przez władze. „W czasie mojej służby w Kongu byłem pierwszym komisarzem rejonu równikowego - wspominał na emeryturze Charles Lemaire. - Gdy tylko pojawiła się kwestia kauczuku, napisałem do władz: «Żeby zbierać gumę w regionie (...) trzeba odcinać dłonie, nosy i uszy»,”<sup>393</sup>.

Zdarzało się, że gdy wioska stawiała opór, siły państwa, kompanii lub ich sojuszników rozstrzeliwały wszystkich, żeby wysłać sygnał ostrzegawczy sąsiednim wioskom. Niektórzy europejscy oficerowie byli jednak nieufni i wydając kolejne naboje żołnierzom, oczekiwali dowodu na to, że poprzednie rzeczywiście zużyto do zabicia kogoś, a nie „zmarowano” na polowania czy, co gorsza, odłożono, żeby użyć w przyszłości, na przykład w czasie buntu. Zwyczajowym dowodem była prawa dłoń odcięta od ciała trupa. Czasami zaś wcale nie trupa. „Zdarzało się”, pisał jeden z oficerów do jakiegoś misjonarza, że żołnierze „wystrzelili nabój w czasie polowania na dzikiego zwierza, a następnie odcinali dłoń żywemu człowiekowi”<sup>394</sup>. W niektórych oddziałach był nawet „strażnik dłoni”, którego zadaniem było ich wędzenie<sup>395</sup>.

Sheppard nie był ani pierwszym, ani ostatnim cudzoziemcem, który zobaczył w Kongu ten proceder. Jego artykuły na temat tego makabrycznego odkrycia, pisane do misyjnych biuletynów, były przedrukowywane i powszechnie czytane zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. To właśnie częściowo dzięki nim ludzie zaczęli kojarzyć Kongo z odcinaniem dłoni. Sześć lat po odkryciu Shepparda socjalistyczny polityk Émile Vandervelde, krytykując w przemówieniu wygłoszonym w belgijskim parlamencie wielkie inwestycje Leopolda, finansowane z jego kongijskich dochodów, powiedział, że owe „monumentalne łuki będą kiedyś zwane Łukami Odciętych Dłoni”<sup>396</sup>. Szczerze Williama Shepparda spowodowała w końcu wściekłość władz i pewnego dnia Vandervelde, prawnik, musiał stanąć na sali sądowej w obronie Shepparda. Ale po kolei.

Kauczukowy terror, szerzący się w lesie deszczowym, odciskał niezatarte piętno na ludzkiej pamięci. Pewien katolicki ksiądz, spisujący pół wieku później miejscowe opowieści, cytuje niejakiego Tswambe, który mówi o wyjątkowo znenawidzonym urzędniku państwowym, Leonie Fiévez, terroryzującym cały region, położony pięćset kilometrów na północ od Stanley Pool:

Wszyscy czarni widzieli w nim Diabła Równika. (...) Kazał odcinać dłonie wszystkim ludziom padłym w boju. Chciał wiedzieć, ile dłoni odciął każdy żołnierz, który przynosił dłonie w koszu. (...) W wioskach, które odmawiały dostarczenia kauczuku, przeprowadzano czystkę. Gdy byłem młody, widziałem żołnierza (podległego Fiévezowi), Molilego, który strzegąc wioski Boyeka, złapał dziesięciu krajowców do wielkiej siatki, obciążył ją kamieniami i wrzucił do rzeki. (...) To kauczuk był przyczyną tych cierpień, dlatego więcej

nie chcemy słyszeć tej nazwy. Żołnierze zmuszali młodych mężczyzn do zabijania albo gwałcenia swoich własnych matek i sióstr<sup>397</sup>.

Pewien oficer Force Publique, który w 1894 roku zawitał do placówki kierowanej przez Fiéveza, cytuje go, jak osobiście opowiada, co zrobił, kiedy sąsiednie wioski nie dostarczyły jego wojskom ryb i manioku, tak jak miały przykazane: „Wypowiedziałem im wojnę. Jeden przykład wystarczył: sto uciętych głów i od tamtej pory posterunek był zawsze pełen zapasów. Ostatecznie mój cel był humanitarny - zabiłem stu ludzi (...), ale pozwoliłem żyć pięciuset innym”<sup>398</sup>.

„Humanitarne” zasady, zezwalające na odcinanie dłoni i głów, były rajem dla sadystów pokroju Fiéveza. Szef stacji w M’Bima miał w zwyczaju przestrzeliwać z pistoletu płatki uszne Afrykanów<sup>399</sup>. Raoul de Premorel, agent pracujący nad rzeką Kasai, lubił aplikować duże dawki oleju rycynowego ludziom, których uważał za symulantów<sup>400</sup>. Gdy tubylcy, desperacko próbując wyrobić normę, dostarczali agentowi Albéricowi Dètiege kauczuk zmieszany z kamykami lub ziemią, ten kazał im zjadać towar<sup>401</sup>. Gdy dwóch tragarzy załatwiło się poza wyznaczonym miejscem, miejscowy komisarz Jean Verdussen kazał im wysmarować sobie twarz ekskrementami i przejść tak przed wszystkimi żołnierzami<sup>402</sup>.

Kiedy rozeszły się po Kongu wieści o zbieraniu przez białych żołnierzy koszy odciętych dłoni, narodził się mit, będący przedziwnym odwróceniem lęków białych przed praktykowanym wśród czarnych kanibalizmem. Mówiono, że puszkki z wołowiną, widziane w domach białych ludzi, wcale nie zawierały mięsa zwierząt, ale odcięte dłonie<sup>403</sup>.

\* Tak zazwyczaj przedstawiał tę historię Sheppard, choć przy kilku okazjach twierdził, że wzięto go za zmarłego syna panującego monarchy.

\*\* Znany antropolog Jan Vansina uważa, że możliwa jest inna interpretacja. Ponieważ imię Bope Mekabe nie pojawia się w królewskiej genealogii Kuba, sugeruje, że tubylcy, wiedząc doskonale, kim jest Sheppard, starali się mu przypodobać, żeby wyjawiał im, czy inni Europejczycy też chcieli wkroczyć do ich królestwa.

\*\*\* Ang. *rubber* od czasownika *to rub* (przyp. tłum.).



## TAJNE TOWARZYSTWO MORDERCÓW

LEOPOLD ORAZ niemiecki cesarz Wilhelm II oglądali w Berlinie paradę, kiedy król Belgów, narzekający na upadek autorytetu monarchii, rzucił do cesarza: „Nam, monarchom, nie pozostało właściwie nic innego poza zarabianiem pieniędzy!”<sup>404</sup>. Kauczuk miał wkrótce przynieść Leopoldowi fortunę przewyższającą wszelkie wyobrażenie, ale samo Kongo nigdy mu nie wystarczało. Marząc o imperium obejmującym obydwie wielkie rzeki, Nil i Kongo, połączonym wielką linią kolejową, na początku lat 90. XIX wieku wysłał z Konga kilka ekspedycji na północny wschód, w stronę doliny Nilu. Jedną z nich zajęła stare kopalnie miedzi w Bahr el-Ghazal w imieniu samego Leopolda, powierzając jednak obowiązek wojskowej ochrony armii Konga.

Ostatecznie dalszą drogę w stronę Nilu zagroził królowi Francuzi, ale nie przestał marzyć o nowych koloniach w innych miejscach. „Chciałbym uczynić naszą małą, sześciomilionową Belgią stolicą ogromnego imperium - mówił. - Holandia, Hiszpania, Portugalia są w stanie dekadencji i pewnego dnia ich kolonie będą do wzięcia”<sup>405</sup>. Wypytywał brytyjskiego premiera, Williama Gladstone’a, o możliwość wydzierżawienia Ugandy.

Szybko przydał swoim imperialnym planom humanitarną otoczkę. W 1896 roku zaproponował innemu zdumionemu premierowi Wielkiej Brytanii, lordowi Salisbury, żeby armia Sudanu pod dowództwem kongijskich oficerów „zajęła Armenię, aby położyć kres masakrom [Ormian przez Turków], które tak oburzają całą Europę”<sup>406</sup>. Królowa Wiktoria uważała, że jej kuzyn Leopold postradał rozum. W czasie kryzysu kretańskiego zasugerował, by to kongijscy żołnierze przywrócili porządek na wyspie. Po zwycięstwie Stanów Zjednoczonych w wojnie z Hiszpanią proponował założenie kompanii, która wydzierżawiłaby niektóre z posiadłości hiszpańskich, na przykład Wyspy Kanaryjskie lub położone na południowym Pacyfiku Karoliny. Kompania taka, sugerował Leopold, powinna być zarejestrowana w jakimś „neutralnym” państwie, takim jak na przykład État Indépendant du Congo.



Żadne z tych marzeń nie odwracało jednak uwagi Leopolda od zarządzania swoim głównym źródłem dochodów. Dbał o to, by Kongo przynosiło jak największy zysk, ale w jak największej tajemnicy, żeby nie wywołać żądań o spłatę kredytów, które zaciągnął u belgijskiego rządu. Państwo Kongo nie publikowało swojego budżetu tak długo, jak tylko było to możliwe. Gdy wreszcie musiało to zrobić, przedstawione kwoty były znacznie zaniżone w stosunku do rzeczywistych dochodów<sup>407</sup>.

Kontrolowanie własnego państwa daje możliwość wydawania obligacji. Przynosiły one Leopoldowi niemal tyle samo dochodu co kauczuk. Król wypuścił obligacje o wartości ponad stu milionów ówczesnych franków, czyli pół miliarda dzisiejszych dolarów<sup>408</sup>. Niektóre z nich sprzedał, niektórymi obdarował zaufanych ludzi, część zatrzymał dla siebie, a niektóre spieniężył, żeby sfinansować wielkie projekty publiczne w Belgii. Ponieważ obligacje były oprocentowane nawet do dziewięćdziesięciu dziewięciu lat, Leopold zdawał sobie sprawę, że spłacenie kapitału będzie problemem kogoś innego. W teorii dochody z obligacji miały być przeznaczone na rozwój Konga, ale na ten cel poszła tylko niewielka ich część.

Leopold wolał wydawać je w Europie, podobnie jak pieniądze zarobione na kauczuku. Jak na tak przebiegłego i ambitnego człowieka jego gusta były wyjątkowo niewyszukane i pożytkował swoją fortunę w sposób, który miast w historii przyniósłby mu miejsce raczej w przewodnikach turystycznych. W całej Belgii zaczęły powstawać pomniki, nowe skrzydła pałaców, muzea i pawilony. W swoim ulubionym nadmorskim kąpielisku, Ostendzie, wznosił promenadę za parę milionów franków, kilka parków oraz ozdobioną wieloma wieżyczkami galerię na swoim ulubionym torze wyścigowym, którą z okazji otwarcia ozdobiono osiemdziesięcioma pięcioma tysiącami geranium. Pieniądze z kauczuku sfinansowały także pole golfowe w pobliskim Klemskerke, *chalet* w Raversijde oraz niezliczone naprawy i rozbudowy w zamku Laeken. Wiele z tych budowli Leopold z wielką pompą oficjalnie przekazał swojemu krajowi w darze, choć mieszkał w zamkach i pałacach jak dawniej. Prawdziwym powodem, dla którego ofiarowywał je państwu, było to, że od tamtej pory to właśnie ono musiało płacić za ich utrzymanie. Poza tym w ten sposób odbierał je swoim trzem córkom, którym - na mocy belgijskiego prawa - musiałby zostawić swoje prywatne posiadłości.

W 1895 roku Leopold skończył sześćdziesiąt lat. Z wiekiem stał się hipochondrykiem.

Każda osoba w pobliżu, która ledwie zakaszła, ryzykowała wygnanie z dworu na kilka dni. Bojąc się przeziębic, owijał brodę nieprzemakalną torbą, ilekroć pływał albo wychodził na dwór przy deszczowej pogodzie. Pałacowe obrusy miały być gotowane codziennie, aby usunąć z nich bakterie<sup>409</sup>.

Gdy nie podróżował, mieszkał przeważnie w Laeken. Wstawał wcześnie, brał zimny prysznic, przystrzygał brodę, brał masaż i czytał korespondencję, jedząc wielkie śniadanie, na które składało się sześć sadzonych jaj, mnóstwo tostów i cały słoik marmolady. Większość dnia spędzał w swoich ukochanych ogrodach i szklarniach, czytając listy i dyktując odpowiedzi sekretarzom, którzy musieli nauczyć się pisać w biegu. Lunch trwał dokładnie pół godziny. Jedząc, król czytał gazety i listy, czasami robiąc notatki na marginesach swoim niedającym się odczytać pismem, które jego współpracownicy musieli godzinami rozszyfrowywać. Reszta rodziny siedząca przy stole miała być cicho.

Popołudniami jeździł do stojącego w centrum Brukseli pałacu królewskiego, by spotykać się z gośćmi i urzędnikami, a następnie wracał na wieczorny posiłek do Laeken. Kulminacyjnym momentem królewskiego dnia było nadejście londyńskiego „Timesa”. Każdego popołudnia na prywatnej królewskiej stacji kolejowej w Laeken, z ekspresowego pociągu relacji Ostenda-Bazylea wyrzucano starannie opakowany egzemplarz porannej gazety. Lokaj prasował ją (znowu bakterie), żeby wieczorem król mógł ją poczytać w łóżku. Później, gdy „Times” dołączył do chóru krytyków Leopolda, wzburzony monarcha ogłosił, że anuluje prenumeratę, ale w tajemnicy wciąż codziennie posyłał służącego na stację do Brukseli po egzemplarz gazety.

Leopold lubił „Timesa” zapewne dlatego, że był gazetą potężnego państwa, a nie małego kraju. Jego pragnienie posiadania kolonii sięgało każdego zakątka świata. W 1897 roku zaczął inwestować dochody kongijskiego państwa w koleje w Chinach, robiąc zresztą na tym duże pieniądze. Postrzegał ten kraj tak, jak kiedyś widział „wspaniały kawałek afrykańskiego tortu”, jako gotowy do konsumpcji. I tak jak zawsze był bardziej niż chętny, by samemu zaprosić się do stołu. O trasie, którą miała przebiegać linia kolejowa, powiedział: „To jest kręgosłup Chin, a jeśli mi go dadzą, to wykroję też parę kotletów”<sup>410</sup>. Chciał dokonać zamiany - chińscy robotnicy do Konga, a kongijscy żołnierze do Chin - która dałaby mu wojskowy przyczółek na Dalekim Wschodzie, taki, jaki miały inne zachodnie mocarstwa. W imieniu État Indépendant du Congo kupił w Chinach trochę ziemi. Gdy wysłał na negocjacje

do Chin delegację Konga (składającą się, oczywiście, z samych Belgów), chiński mąż stanu Li Hongzhang udał zaskoczenie: „Czy myliłem się sądząc, że Afrykanie są czarni?”<sup>411</sup>.

\*

W samym Kongu boom kauczukowy przyspieszył budowę najważniejszej inwestycji - linii kolejowej z Matadi do Stanley Pool, która omijałaby wielkie katarakty. Budowa wymagała równoczesnej pracy nawet sześćdziesięciu tysięcy robotników. Choć linia miała jedynie trzysta osiemdziesiąt osiem kilometrów długości i jedynie połowę standardowej szerokości torów, klimat, choroby i trudny teren sprawiły, że jej budowa stała się jednym z najbardziej zniechęcających projektów w historii. Zbudowanie pierwszych dwudziestu dwóch kilometrów zabrało trzy lata. Jeden z pierwszych geodetów oceniających ten nieprzystępny kawałek lądu opisał go jako „zbiorowisko ogromnych głazów, które w niektórych miejscach wyglądały, jak gdyby jakieś olbrzymy poustawiały głazy jeden na drugim”<sup>412</sup>. Cała trasa wymagała wzniesienia dziewięćdziesięciu dziewięciu stalowych mostów o łącznej długości dwudziestu kilometrów<sup>413</sup>.

Robotnicy zostali sprowadzeni z brytyjskich i francuskich ziem w Afryce Zachodniej, z Hongkongu i Makao oraz z brytyjskich Indii Zachodnich. Leopold wciąż entuzjastycznie podchodził do pomysłu wykorzystania w Kongu chińskich robotników. Pytał listownie swojego asystenta: „Ile kosztowałoby założenie w Kongu pięciu dużych, chińskich wioszek? Jednej na północy, jednej na północnym wschodzie, jednej na wschodzie, jednej na południu oraz jednej pomiędzy Matadi a Leopoldville?”<sup>414</sup>. Pomysł z wioskami został ostatecznie zarzucony, ale i tak kosztował życie pięciuset czterdziestu Chińczyków, sprowadzonych w 1892 roku do pracy przy budowie kolei. Trzystu z nich zmarło przy pracy albo uciekło do buszu. Większość przepadła bez śladu, ale na kilku natknięto się ponad osiemset kilometrów dalej, w głębi lądu. Szli w stronę wschodzącego słońca, chcąc dostać się na wschodnie wybrzeże Afryki i odpłynąć do domu<sup>415</sup>.

Kilkuset robotnikom z karaibskiego Barbadosu ewidentnie powiedziano, że jadą gdzie indziej - gdy we wrześniu 1892 roku ich statek zawinął do portu w Boma i zorientowali się, że są w Kongu, rozwścieczeni podnieśli bunt. Żołnierze otwarli do nich ogień, zabijając dwóch i raniąc dużo więcej. Resztę jeszcze tego samego dnia wysłano na stację końcową do

Matadi i zmuszono do pracy.

Kolej była umiarkowanym sukcesem inżynieryjnym, ale ogromną katastrofą humanitarną. Ludzie ulegali wypadkom, dyzenterii, ospie, beri-beri, malarii, a sytuację jeszcze pogarszało złe jedzenie i nieustanne chłosty, wymierzane przez dwustu strażników nadzorujących budowę. Wykolejały się lokomotywy, eksplodowały ładunki dynamitu, zabijając tak czarnych, jak i białych. Nierzadko brakowało miejsc do spania dla robotników, a ci, którzy stawiali opór, musieli pracować w łańcuchach. Europejscy inżynierowie i nadzorcy zawsze mogli zerwać swoje kontrakty i wrócić do domów - co jakiś czas część z nich tak właśnie robiła. Afrykańscy i azjatyccy pracownicy nie mieli jednak takiej możliwości. Gdy rano rozbrzmiewały trąbki, tłum rozgniewanych robotników przynosił europejskim nadzorcom ciała tych towarzyszy, który zmarli w nocy.

Legenda, powtarzana w całej Afryce, mówi, że każdy podkład kolejowy kosztował życie jednego Afrykanina, a każdy słup telegraficzny - życie jednego Europejczyka<sup>416</sup>. Nawet zaniżone oficjalne statystyki pokazywały, że przy budowie kolei zmarło stu trzydziestu dwóch białych i tysiąc osiemset niebiałych<sup>417</sup>. Niektóre źródła szacują jednak, że tylko w ciągu dwóch pierwszych, najgorszych lat zmarło aż trzy tysiące sześćset osób. Wokół linii kolejowej wyrastały cmentarze. Robotnicy raz za razem próbowali ucieczek. Trzystu ludzi z Sierra Leone uzbrojonych w młoty, łopaty i kilofy zaatakowało port w Matadi i próbowało zmusić kapitana jednego z okrętów, by zabrał ich do domu. Uzbrojeni w pałki strażnicy, pochodzący zresztą z Zanzibaru, zmusili ich do wycofania się<sup>418</sup>. Inni robotnicy strajkowali, a jeszcze inni uciekali na pobliskie terytorium Portugalii.

W 1898 roku, osiem lat po rozpoczęciu budowy, pierwsza krótka i gruba lokomotywa, przyozdobiona flagami, ciągnąca po wąskich torach dwa wagony, wyruszyła z Matadi do Stanley Pool. Na miejscu czekał na nią wielki, udekorowany kwiatami namiot, w którym państwowi urzędnicy, wojskowi, przedstawiciele kolei oraz biskup ucztowali i wznosili szampanem toasty za zdrowie króla Leopolda. Zgromadzeni notabie z wielką pompą przyśrubowali ostatni tor, dwadzieścia jeden dział oddało uroczystą salwę, a wszystkie parowce w Stanley Pool zagwizdały. Na dawnej trasie karawan, którą zastąpił pociąg, wzniesiono pomnik: trzy naturalnej wielkości postaci tragarzy - jeden z wielką skrzynią na głowie, a dwóch za nim padających z wycieńczenia. Podpis głosił: KOLEJ WYZWOLIŁA ICH OD NOSZENIA CIĘŻARÓW. Nie było ani słowa o tym, kto zmuszał ich do dźwigania.

Mimo wielu ostrych zakrętów i stromych podejść, które wydłużały podróż w jedną stronę do dwóch dni, kolej w ogromnym stopniu zwiększyła dochody i władzę państwa. Ponad pięć tysięcy ton kauczuku<sup>419</sup>, które pod koniec wieku Kongo produkowało każdego roku, mogło być wysyłanych parowcem z przystani Stanley Pool, zamiast przebywać trzytygodniową trasę na głowach tragarzy. W drugą stronę pociągi przewoziły wokół katarakt parowce, podzielone na znacznie większe fragmenty, niż byli w stanie nosić tragarze. Wkrótce Leopoldville stało się najruchliwszym portem rzeczny w Afryce Środkowej, przyjmującym parowce o wyporności nawet pięciuset ton. Jeden z nich, sześćdziesięciotonowy bocznokołowiec „Ville de Paris”, zaczynał swój żywot jako statek wycieczkowy kursujący po Sekwanie.

\*

Leopold nie ufał obcokrajowcom przybywającym do Konga, z wyjątkiem tych, których zatrudniało państwo lub którzy pracowali przy budowie kolei i temu podobnych przedsięwzięciach. Musiał jednak znosić obecność kilkuset cudzoziemskich misjonarzy protestanckich, pokroju Williama Shepparda i jego kolegów. Niemal wszyscy pochodzili z Anglii, Stanów Zjednoczonych lub Szwecji, krajów, na których przychylności zależało Leopoldowi. Misjonarze przybywali do Konga, aby ewangelizować, zwalczać wielożeństwo i przekazywać Afrykanom wiktoriańską koncepcję grzechu<sup>\*420</sup>. Nie minęło jednak wiele czasu, kiedy kauczukowy terror sprawił, że misjonarze zaczęli mieć problemy ze znalezieniem ciał, które można by odziać, i dusz, które można by ocalić. Przestraszeni krajowcy na całe tygodnie uciekali w głąb dżungli, kiedy tylko widzieli na horyzoncie dym z nadpływających parowców. Afrykanie pytali raz za razem pewnego brytyjskiego misjonarza: „Czy Zbawiciel, o którym nam opowiadasz, zna sposób na wybawienie nas od kauczukowego problemu?”<sup>\*421</sup>. W nieoczekiwany dla siebie sposób misjonarze stali się obserwatorami na polu bitwy, a Sheppard w żadnym wypadku nie był jedynym świadkiem tego, co się działo. W 1894 roku szwedzki misjonarz zapisał pewną wzruszającą kongijską piosenkę:

Jesteśmy zmęczeni życiem w tyranii.

Nie możemy znieść tego, że zabierane są nasze kobiety i dzieci

I zajmują się nimi biali dzicy.

Będziemy prowadzić wojnę (...)

Wiemy, że umrzemy, ale chcemy umrzeć.

Chcemy umrzeć<sup>422</sup>.

Od połowy lat 90. XIX wieku za sprawą misjonarzy Leopold musiał radzić sobie z pojawiającymi się tu i ówdzie protestami w rodzaju artykułów Shepparda na temat odcinanych dłoni i zarzynanych Afrykanów. Nie zwracano na nie jednak większej uwagi, gdyż protestujący byli znacznie mniej biegli w docieraniu do opinii publicznej niż król, który rozbrajał wszystkich swoim onieśmielającym urokiem.

Początkowo zachęcał przedstawicieli towarzystw misyjnych, by zwracali się osobiście do niego, „zamiast uciekać się do prasy, co jest zawsze nieprzyjemne (*toujours désagréable*)”<sup>423</sup>. Następnie stosował obietnice i groźby, nierzadko równocześnie. Zabiegając o względy, równocześnie przypominał o możliwości nałożenia podatków albo zakazania budowy nowych misji. Misja Południowych Prezbiterian, w której pracował Sheppard, miała nieustanne problemy z dostaniem nowej ziemi.

Pod koniec lat 90. najzagorzalszym krytykiem Leopolda był prawdopodobnie szwedzki baptysta E.V. Sjöblom, który każdemu, kto tylko chciał słuchać, opowiadał o tym, co się dzieje w Kongu. W 1896 roku opublikował w szwedzkiej prasie szczegółowe oskarżenie kauczukowego terroru panującego w Kongu, które później przedrukowały gazety w innych krajach. Następnego roku, na publicznym wystąpieniu w Londynie, Sjöblom opowiedział, jak afrykańscy żołnierze Force Publique są nagradzani w zależności od tego, ile odciętych dłoni przyniosą. „Agent powiedział mi, że na własne oczy widział w jednej z placówek państwowego urzędnika, który wypłacał żołnierzom pewną ilość miedzianego drutu (lokalnej waluty) w zależności od tego, ile dłoni mu przynieśli. Jeden z żołnierzy powiedział mi (...): «Komisarz obiecał nam, że skróci naszą służbę, jeśli przyniesiemy dużo dłoni. Sam przyniosłem już wiele dłoni i spodziewam się, że czas mojej służby zostanie skrócony»,<sup>424</sup>. Przedstawiciele państwa grozili Sjöblomowi w samym Kongu i szybko przeprowadzili

kontratak w belgijskiej i brytyjskiej prasie.

Innym dobrze poinformowanym przeciwnikiem Leopolda był H.R. Fox Bourne, sekretarz Towarzystwa Opieki nad Tubylcami, organizacji, która znacznie zmądrzała od momentu, w którym dekadę wcześniej wybrała Leopolda na swego honorowego przewodniczącego. Król osobiście pofatygował się do londyńskiej siedziby „Timesa”, żeby przekonać redakcję, aby nie publikowała artykułów Bourne’a<sup>425</sup>.

Publicznie Leopold znosił wszystko z najwyższą godnością, demonstrując swoje oburzenie z powodu doniesień na temat nadużyć, popełnianych na podległym mu terytorium. Większość oskarżeń nie była jednak w stanie poważnie mu zaszkodzić, gdyż dotyczyła zbrodni dokonywanych na Afrykanach. W 1895 roku musiał jednak stawić czoło pierwszemu poważnemu problemowi w Europie, gdy - jak doniósł wstrząśnięty brytyjski dziennikarz - pewien szczególnie okrutny kongijski oficer „odważył się zabić Anglika”<sup>426</sup>.

Ofiarą był tak naprawdę Irlandczyk, Charles Stokes, barwna, zwracająca na siebie uwagę postać, kupiec, który - jak mawiali Anglicy - „stubyłczył się” i poślubił Afrykankę. Handel kością słoniową prowadzony przez Stokesa był konkurencją dla lukratywnego monopolu, który Leopold starał się ustanowić we wschodnim Kongu. Został też oskarżony o sprzedawanie broni afro-arabskim łowcom niewolników. Na poszukiwanie Stokesa we wschodnich rubieżach Konga została wysłana ekspedycja Force Publique, która znalazła go i od razu powiesiła. Londyńska prasa zatrzęsała się z oburzenia. Protesty wybuchły także w Niemczech, gdyż bazą Stokesa była Niemiecka Afryka Wschodnia, a Kongo w teorii miało być otwarte dla niemieckich kupców. Bezskutecznie próbując usmierzyć falę oburzenia, rząd Konga przyznał się do błędu i wypłacił wysokie odszkodowania brytyjskim i niemieckim rządóm. To jednak nie załatwiło sprawy. Jedna z niemieckich gazet stwierdziła, że jeśli Kongo tak arogancko przeprowadza egzekucję białych ludzi, to co dopiero musi robić czarnym. Europejska prasa zaczęła uważniej przyglądać się okrucieństwom popełnianym w Kongu.

Leopold musiał działać. W 1896 roku powołał Komisję Ochrony Tubylców, składającą się z sześciu uznanych kongijskich misjonarzy, trzech belgijskich katolików i trzech zagranicznych protestantów. Powstanie Komisji przyjęto życzliwie w Europie, szczególnie w Anglii, której krytyki Leopold obawiał się najbardziej. „Manchester Guardian”

napisał: „Obowiązkiem króla Leopolda jest uczciwie stawić czoło faktom”<sup>427</sup>.

Tylko nieliczni zwrócili uwagę na niektóre szczegóły. Członkowie Komisji nie pochodzili z żadnego z kauczukodajnych okręgów, z których dochodziły wieści o okrucieństwach - przeciwnie, wszyscy pracowali w jednym rejonie, obejmującym parę tysięcy kilometrów. Król nie zapewniał im funduszy na podróż na miejsce spotkań Komisji. Jeden z jej brytyjskich członków odradzał wcześniej swoim kolegom publikowanie doniesień na temat dokonywanych okrucieństw, a inny badał dla Leopolda granicę Konga i Angoli. Wreszcie Komisja miała prawo jedynie do informowania władz o nadużyciach.

Komisja spotkała się zaledwie dwukrotnie i za każdym razem, z powodu odległości i kosztów podróży, w spotkaniu brała udział tylko połowa członków. Jej powołanie było jednak celnym posunięciem i w 1897 roku, w czasie swojej letniej podróży do Anglii, Niemiec i Szwecji, Leopold święcił triumfy. Przez następnych kilka lat Anglików zajmowała przede wszystkim wojna burska i ataki na Leopolda niemal zupełnie zniknęły z europejskich gazet. Krytycy króla od czasu do czasu próbowali atakować, ale na próżno. Mieli nadzieję, że kiedyś znowu jeszcze uda się im zwrócić uwagę opinii publicznej na sprawę Konga.

Gdyby przeprowadzano wówczas sondaże opinii publicznej, ostatnie lata XIX wieku okazałyby się okresem największego triumfu Leopolda, zarówno w kraju, jak i za granicą. W Belgii kolonialny szowinizm znajdował odzwierciedlenie w takich i podobnych wierszykach:

Mądry władca na piach suchy

Tych plaż przyzwał swoje hufy:

Maszerują dzielne zuchy

Mimo deszczu i posuchy,

By Arabów zgnieść okrutnych

I z Murzynów zdjąć łańcuchy<sup>428</sup>.



(przeł. Jacek Dehnel)

Mądry władca raczej wysyłał, niż przyzywał, żołnierzy na afrykańskie plaże, gdyż choć Kongo było najważniejszą rzeczą w życiu Leopolda, on sam nigdy się tam nie wybrał.

Zresztą po co miałyby to robić? W wyobraźni Leopolda Kongo nie składało się przecież z głodujących tragarzy, gwałconych zakładniczek, wycieńczonych robotników i odciętych dłoni. Było imperium jego marzeń, porośniętym gigantycznymi drzewami i zamieszkanym przez egzotyczne zwierzęta i mieszkańców wdzięcznych za jego mądre rządy. Zamiast udawać się do Konga, Leopold sam sobie sprowadzał Kongo - właśnie to, które sobie wyobrażał. Z czerwonego mahoni wykonano boazerię w sypialni jego prywatnego wagonu kolejowego. W belgijskich ogrodach zoologicznych pojawiły się zwierzęta z Konga. Do wielkich szklarni w Laeken król dobudował specjalną Szklarnię Kongijską (do dziś pełną palm), zwieńczoną czterema szklanymi belwederami i ośmiokątną kopułą, na szczycie której widniała gwiazda - godło jego prywatnego państwa.

Aby zadośćuczynić swojej malowniczej fantazji, Leopold sprowadził sobie nawet tamtejszych ludzi. W 1897 roku, kiedy Bruksela gościła wystawę światową, najwięcej mówiono o ekspozycji znajdującej się na obrzeżach miasta, w Tervuren<sup>429</sup>. Ponad milion gości przybyło zobaczyć pawilon poświęcony Kongu. Wśród zaprezentowanych eksponatów były zarówno wychwalane przez Stanleya (który dwukrotnie odwiedził wystawę) wytwory cywilizacji, jak karabin Maxima, wielka kolekcja gobelinów przedstawiająca barbarzyństwo i cywilizację, bałwochwalstwo i chrześcijaństwo, poligamię i życie rodzinne, niewolnictwo i wolność. Najbardziej wyjątkowy był jednak żywy obraz, składający się z dwustu sześćdziesięciu siedmiu czarnych mężczyzn, kobiet i dzieci przywiezionych z Konga<sup>\*\*430</sup>.

Z wielką pompą zostali powitani na brukselskim Gare du Nord, a następnie przemaszerowali przez centrum miasta, aby wsiąść do tramwaju jadącego do Tervuren. W tamtejszym parku zostali umieszczeni w trzech specjalnie wzniesionych wioskach - rzecznej, leśnej i „cywilizowanej”. Dodatkową atrakcją była para Pigmejów. „Niecywilizowani” Afrykanie z pierwszych dwóch wiosek używali narzędzi, bębnow i naczyń, które przywieźli z ojczyzny. Tańczyli i pływali po jezioru w czółnach wyłobionych z pni drzew. W ciągu dnia pokazywano ich w „autentycznych” bambusowych chatkach o szerokich, pokrytych strzechą dachach. Europejczycy mający nadzieję zobaczyć osławione nagie piersi Afrykanek musieli

obejść się smakiem, gdyż kobiety odziane były w bawełniane suknie. Jak zauważyło miejscowe czasopismo, to właśnie ubrania były „pierwszą oznaką cywilizacji”<sup>431</sup>.

Leopold osobiście przybył zobaczyć Kongijczyków - jego marzenie, które stało się ciałem. Przedstawiono mu jednego z ich wodzów. Gdy powiedziano mu, że Afrykanie cierpią na niestrawność z powodu otrzymywanych od gości słodczy, nakazał wystawienie odpowiednika „Nie karmić zwierząt”, tabliczki z napisem CZARNI SĄ KARMieni PRZEZ ORGANIZATORÓW. Jedli - i spali - w królewskich stajniach.

Belgijska prasa ekscytowała swoich czytelników rozważaniami, czy „niecywilizowani” Afrykanie są niebezpieczni. Pewien reporter zbliżył się do grupy. „Pośrodku, na pniu drzew, siedział wódz, nieruchomy i otoczony najwyższą czcią. Najpierw było słycać tylko głos śpiewaka, potem dołączył do niego chór śpiewający refren, któremu towarzyszyło klaskanie w dłonie, uderzanie patykami o metalowe przedmioty, a także kołysanie się skulonych ciał. O czym śpiewali solista i chór? O wspaniałych dokonaniach wielkiego wojownika Lothaire’a [kapitana Force Publique]”<sup>432</sup>. Nie było żadnego zagrożenia.

Wśród Afrykanów zamieszkujących „cywilizowaną wioskę” było dziewięćdziesięciu żołnierzy Force Publique, w tym niektórzy należący do wojskowej orkiestry. Żołnierze maszerowali, grali, a na koniec swojego pobytu zostali zaproszeni na bankiet. Czarnoskóry sierżant powstał i wznosił toast za króla Leopolda II. Gdy odpłynęli do domu, gazeta rozpyłyła się w zachwytach: „Towarzyszy im duch Belgii, który ochrania ich niczym tarcza Jowisza. Niechaj zawsze będzie można pokazać światu taki przykład człowieczeństwa!”<sup>433</sup>.

\*

Statek, który zabrał Kongijczyków z powrotem do ich ojczyzny, prawdopodobnie wrócił wcześniej do Belgii z ładunkiem kauczuku, gdyż kongijskie bogactwa nie płynęły do Europy regularnie. Co kilka tygodni nowy parowiec, zelektryfikowany i wyposażony w chłodnie, przybywał do Antwerpii pełen kauczuku, kości słoniowej i innych dóbr. Okręty należały do liverpoolskiej linii żeglugowej Elder Dempster, której parowce od dawna kursowały wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki. Firma miała wyłączność na dostarczanie wszystkiego do i z Konga. Dla kogoś zainteresowanego tym, co się działo w Kongu, nie było

lepszego miejsca niż posada w Elder Dempster - tak, jak gdyby w 1942 czy 1943 roku, chcąc dowiedzieć się, co się dzieje z Żydami, zatrudnił się w dyrekcji niemieckich kolei.

Elder Dempster potrzebowało kogoś, kto często udawałby się do Belgii, żeby nadzorować wysyłanie i przyjmowanie statków kursujących do i z Konga. Zadanie to otrzymał pewien zdolny i pracowity młody człowiek od pewnego czasu pracujący w kompanii, Edmund Dene Morel. Morel, mający wówczas dwadzieścia kilka lat, był dwujęzyczny - jego matka była Angielką, a ojciec francuskim urzędnikiem niskiego stopnia, który zmarł młodo, nie zostawiając wdowie i małemu synowi żadnego zabezpieczenia. Dzieciństwo Morela upłynęło niemal w biedzie w Anglii i Francji. Gdy skończył piętnaście lat, udał się do Paryża, do pracy, żeby wspomóc swoją chorą matkę. Kilka lat później został zatrudniony w liverpoolskiej firmie Elder Dempster na stanowisku kancelisty.

Nie mogąc początkowo utrzymać matki i siebie z marnej pensji, Morel udzielał także lekcji francuskiego po dwa szylingi i sześć pensów za godzinę. Później zaczął dorabiać w bardziej satysfakcjonujący sposób, pisząc artykuły na temat handlu z Afryką dla gazet w rodzaju „Shipping Telegraph” i „Liverpool Journal of Commerce”. Oddawały one punkt widzenia biznesmena - chwaliły wzrost produkcji bawełny i tonażu statków, rzadko kwestionując obowiązujące dogmaty. W niektórych tekstach chwalił rządy Leopolda, pisząc na przykład: „Wielka przyszłość czeka Kongo i (...) te ogromne tereny, zajęte dla swojego kraju przez dalekowzroczość króla Leopolda II, staną się pewnego dnia wspaniałym polem do popisu dla [belgijskiej] przedsiębiorczości”<sup>434</sup>.

W późnych latach 90. XIX wieku pełen entuzjazmu Morel przemierzał w tę i we w tę kanał La Manche w charakterze łącznika między swoją kompanią a urzędnikami państwa kongijskiego. Oto jak później opisywał scenę, której był świadkiem dwa razy w miesiącu:

Nabrzeże w Antwerpii; parowiec zacumowany przy brzegu; dzwony na starej wieży katedry wygrywają melodię *Brabançonne*, narodowy hymn Belgii. Na nabrzeżu i na pokładach parowca ruchliwy, kolorowy tłum. Wojskowe mundury, szelest kobiecych sukni. Oficerowie okrętowi przesuwają się w tę i we w tę, uszczelniają luki. Bucha para. Otoczeni przez grupę krewnych albo przyjaciół, pasażerowie okrętują się na statek wypływający do Konga. Mężczyźni, co do których nawet żółtodziób nie ma wątpliwości, że nie nadają się do przebywania i zarządzania w tropikalnej Afryce. Przeważnie młodzi i przeważnie słabowici,

mali, bladzi nicponie. Niektórymi wstrząsa szloch, inni potykają się niczym odurzeni. Wielu ma na głowie szerokie, tropikalne, filcowe kapelusze, a na plecach zawieszono strzelby - demonstrują je z dumą po raz pierwszy w życiu. Tu i ówdzie starszy, ogorzały jegomość, który bez wątpienia już to kiedyś przechodził. Na twarze tych lepiej nie patrzeć - rysuje się na nich brutalność, ich oczy są okrutne i pożądlive. Od takich twarzy człowiek z niesmakiem odwraca wzrok<sup>435</sup>.

Jako przedstawiciel Elder Dempster w Brukseli Morel zajmował się nie tylko sprawami portowymi, ale miał też do czynienia z czołowymi urzędnikami Leopoldowego Konga. W późniejszych latach wspominał pewien epizod, który miał miejsce w biurze najważniejszego z nich i który wzbudził jego podejrzenia:

Pokój z widokiem na tył pałacu królewskiego w Brukseli. Ponury, z grubymi dywanami i ciężkimi zasłonami - przygniatająca ciemność. Na środku pokoju, przy biurku siedzi człowiek. Przeraziłwie chudy, o wąskich, opadłych ramionach; łysiejące czoło, zgarbiony nos, wielkie, cofnięte uszy, końska szczęka, zimne oczy. Spokojna, nieruchoma, ale prawie nieludzka twarz, blada, skamieniała, ostre rysy i mizerne zapadnięcia: oto twarz „sekretarza stanu” Wolnego Państwa Konga. (...) Fizjonomia sekretarza stanu przechodzi zaskakującą transformację. Wstrząsają nią jak gdyby bezwolne drgawki. (...) Patrzy na nas twarz kogoś innego. Maską niewzruszonej oficjalności zsuwa się z jego twarzy niczym upudrowana rękawiczka z dłoni. Pochyla się do przodu i w gwałtownym *staccato* narzeka, że do prasy wyciekły tajne informacje na temat ładunku ostatniego parowca, który wypłynął do Afryki. (...) Wskazuje na pewien akapit. To wyglądający dość niewinnie spis wszystkich towarów na pokładzie. Na liście wymienione są jednak także skrzynie z nabojami do karabinów oraz wojskowych muszkietów. (...) Tutaj leży problem. To uchylenie państwowej tajemnicy. Gdy ogrom niedyskrecji zostaje ujawniony, mówca wstaje, trupie policzki nabierają kolorów, głos drży, (...) długie, kościste ręce sięgają w powietrze. Nie chce słuchać wyjaśnień, nie życzy sobie, by mu przerywano. Raz za razem powtarza z żarliwym naciskiem słowa *secret professionnel*. Jego gesty stają się brutalne. (...) Młodszy urzędnik opuszcza pokój, zastanawiając się, dlaczego potrzeba aż tyle materiałów wojskowych (...), dlaczego ich eksport powinien być utrzymany w tajemnicy i dlaczego władze Konga miałyby się tak bardzo martwić z powodu owej „niedyskrecji”<sup>436</sup>.

W antwerpskich dokach Morel widział, co przewoziły statki Elder Dempster. Wkrótce

jednak zauważył, że dokumentacja, którą tak skrzętnie prowadził dla swojego pracodawcy, nie zgadzała się z informacjami, które État Indépendant du Congo ogłaszało oficjalnie. Badając rozbieżności między danymi, zaczął dostrzegać gmatwaninę oszustwa. To, co odkrył, wstrząsnęło nim.

Po pierwsze, ładunki broni wysyłane do Konga, których ujawnienie tak zmartwiło sekretarza stanu, nie były niczym wyjątkowym - wręcz przeciwnie, były czymś zupełnie normalnym. „Parowce kompanii Elder Dempster kursujące do Konga od kilku lat regularnie woziły pokaźne ilości naboju oraz tysiące karabinów i muszkietów, przeznaczonych dla państwa albo dla rozmaitych belgijskich kompanii «handlowych». (...) W jakim celu wysyłano ową broń?»<sup>437</sup>.

Drugim odkryciem Morela było to, że z dochodów Konga ktoś potajemnie czerpał pokaźne, idące w dziesiątki milionów dzisiejszych dolarów zyski. „Ilość kauczuku i kości słoniowej sprowadzanej z Konga na statkach Elder Dempster znacznie przewyższała dochody wykazywane oficjalnie przez rząd Konga. (...) Do czyjej kieszeni wędrowały zatem utajone nadwyżki?»<sup>438</sup>.

Ostatnie odkrycie miał tuż przed oczami, w dokach, gdzie obserwował załadunek i rozładunek statków, a potwierdziły je dokumenty Elder Dempster. W nich znalazł najbardziej złowieszczą wiadomość ze wszystkich: „Import do Konga w 80 procentach składał się z towarów, których przeznaczenie nie było handlowe. Mimo to Kongo eksportowało coraz większe ilości kauczuku i kości słoniowej, a statystyki handlowe wskazywały, że tubylcy nie otrzymywali za nie nic albo prawie nic. Jak zatem wchodzono w posiadanie kauczuku i kości słoniowej? Z pewnością nie poprzez handel. Za to, co przychodziło, nie wysyłano żadnej zapłaty»<sup>439</sup>.

Morel miał rację. Dziś wiemy, że wartość kauczuku, kości słoniowej i innych bogactw przybywających co roku z Konga była pięciokrotnie większa od wartości dóbr wysyłanych do Konga i przeznaczonych dla tamtejszych mieszkańców<sup>440</sup>. Morel zdawał sobie sprawę, że za kość słoniową i kauczuk nie płacono Afrykanom pieniędzmi (wiedział bowiem, że nie wolno im było ich posiadać) ani też dobrami pochodzącymi z innych źródeł - Elder Dempster miało przecież monopol na transport. Nie miał zatem wątpliwości, że nie płacono im w ogóle.

E.D. Morel zaprzyjaźnił się potem z sir Arthurem Conanem Doyle'em, twórcą postaci Sherlocka Holmesa. Młody Morel przeprowadził jednak dedukcję o niebo przewyższającą wszystko, czego miał dokonać Holmes. Na podstawie tego, co zobaczył w Antwerpii, oraz dokumentów, które zbadał w Liverpoolu, wydedukował, że na innym kontynencie, odległym o tysiące kilometrów, funkcjonuje niewolnictwo.

Te liczby powiedziały mi swoją historię. (...) Tylko praca przymusowa, straszliwa i nieustanna, mogła wyjaśnić te niesłychane dochody (...), praca przymusowa, której bezpośrednim beneficjentem był rząd Konga; praca przymusowa, którą kierowali najbliżsi współpracownicy samego króla. (...) Znaczenie mojego odkrycia przyprawiło mnie o ból głowy, ale i wściekłość. Odkrycie morderstwa musi być już wystarczająco straszne. Ja odkryłem tajne towarzystwo morderców, którego członkiem był sam król<sup>441</sup>.

Owo błyskotliwe odkrycie, dokonane przez nieznanego urzędnika linii żeglugowej, przysporzyło królowi Leopoldowi II najgroźniejszego wroga.

\* Pewien wysoki rangą urzędnik wizytujący położone nad Kongiem miasto Upoto ze zdumieniem wspomina w swym dzienniku, że pewien brytyjski misjonarz zażądał od niego, by wydał „dekret nakazujący tubylcom noszenie ubrań (?)”.

\*\* Tubylców prezentowano także na innych ówczesnych wystawach światowych oraz w innych miejscach. Najbardziej oburzający był przypadek Ota Bengi, kongijskiego Pigmeja, który we wrześniu 1906 roku został wystawiony w małpiarni nowojorskiego zoo razem z orangutanem. Goście mogli oglądać jego ostre zęby - spiłowane, jak sugerowały gazety, w celu pożerania ludzkiego mięsa. Aby podtrzymać takie podejrzenia, opiekunowie zoo rozrzucili wokół niego kilka kości. Wierszyk, opublikowany w „New York Timesie”, głosił, że Ota Benga został sprowadzony:

Z ciemnej swojej krainy

Do ziemi wolności,

W interesie nauki

Dla dobra ludzkości.

Wystawę zorganizował były prezbiteriański misjonarz, który porzucił nauczanie Ewangelii na rzecz interesów. Ostatecznie delegacja czarnych pastorów uwolniła Ota Bengę z ogrodu zoologicznego. Pozostał w Stanach Zjednoczonych i dziesięć lat później popełnił samobójstwo.

## II

# KRÓL OSACZONY



## DAWID I GOLIAT

GDY EDMUND Dene Morel dokonywał swojego odkrycia, większość ludzi w Europie i Stanach Zjednoczonych wiedziała zaskakująco niewiele o Leopoldowym aparacie wyzysku. Nieliczni wracający z Konga Europejczycy opowiadali publicznie o rozlewie krwi, w którym brali udział. Poza George'em Washingtonem Williamsem dziesięć lat wcześniej dziennikarze podróżujący po Kongu zazwyczaj wtórowali Stanleyowi w wychwalaniu rządów króla Leopolda. Na przykład w 1898 roku aż dwudziestu sześciu dziennikarzy rozplywało się w zachwytach z powodu otwarcia kolei. Cudzoziemscy misjonarze, którzy byli świadkami wielu okrucieństw, nie znali się na mediach i nie mieli politycznej siły przebicia. Krytycy Leopolda z brytyjskich towarzystw dobroczynnych zostali szybko uznani przez opinię publiczną za niedobitki minionej epoki walk o zniesienie niewolnictwa, narzekających na sytuację w jakimś zapomnianym przez Boga zakątku świata.

Morel miał zmienić wszystko. Do tej pory przeciwnicy Leopolda nie mieli dostępu do danych i liczb kongijskiej administracji w Europie, które zgromadził Morel, wykorzystując swoje stanowisko w Elder Dempster. Żaden z nich, z wyjątkiem nieżyjącego już Williamsa, nie miał też takiego talentu do nagłaśniania swojego przekazu, jaki miał wkrótce zademonstrować Morel.

Kiedy dokonał swoich wstrząsających odkryć, Morel nie zgodził się na zachowanie milczenia. Najpierw rozmówił się ze swoim szefem, sir Alfredem Jonesem, kierownikiem linii Elder Dempster, przewodniczącym Liverpoolskiej Izby Handlowej, a także konsulem honorowym Liverpoolu w Wolnym Państwie Kongu. „Nie było łatwo z nim porozmawiać. Nie lubił, gdy zwracano mu uwagę na jakieś nieprzyjemne fakty. (...) Następnego dnia wyruszył do Brukseli. Gdy wrócił, nie odezwał się do mnie, zauważyłem też w jego zachowaniu oziębłość. (...) Powiedział mi, że widział się z królem, który obiecał mu, że zostaną wprowadzone reformy, a także że Belgowie robią wielkie rzeczy i muszą mieć czas, aby zaprowadzić porządek w swoim afrykańskim domu”<sup>442</sup>.

Pracodawcy Morela byli narażeni na wielkie ryzyko. Gdyby upublicznił on swoje odkrycie i rozgniewał Leopolda, kompania mogła utracić lukratywne kontrakty. Kierownictwo firmy nie wiedziało, jak poradzić sobie z tym zarozumiałym żółtodziobem, który twierdził, że dowiedział się czegoś potwornego o ich najlepszym kliencie, i - co gorsza - wymagał od nich, żeby coś z tym zrobili.

Morel zauważył, że w Belgii nagle „zmieniła się atmosfera i na setki różnych sposobów dawano mi do zrozumienia, że moja obecność jest niemile widziana”<sup>443</sup>. W liverpoolskiej centrali Elder Dempster traktowano go chłodno, a następnie próbowano uciszyć. Zaproponowano mu wyższą pensję oraz awans, połączony jednak z przeniesieniem do innego kraju. Gdy to nie poskutkowało, Jones zaoferował mu dwieście funtów rocznie za bycie konsultantem przez godzinę dziennie - co było ledwie tylko zakamuflowaną próbą przekupstwa. Morel znowu odmówił. W 1901 roku rzucił pracę i cały swój czas poświęcił na pisanie z „determinacją, aby zrobić, co w mojej mocy, aby ujawnić i unicestwić to, o czym wiedziałem, że jest niczym więcej jak uprawomocnioną hańbą (...), której towarzyszyły niewyobrażalne barbarzyństwa, winne ogromnej liczby śmierci”<sup>444</sup>.

Morel wiedział, że wykonał ważny krok. „Statek wypłynął - pisał - i żadna siła nie jest w stanie zawrócić go z kursu”<sup>445</sup>. Miał dwadzieścia osiem lat.

Spod pióra Morela zaczęły wypływać strumienie ataków na Leopolda. Najpierw zaczął pracę dla brytyjskiej gazety zajmującej się Afryką, ale wydawca nie pozwalał mu pisać na temat Konga wszystkiego, co by chciał. W 1903 roku założył więc własną gazetę, sponsorowaną przez różnych mecenasów, między innymi Johna Holta, znanego z uczciwości biznesmena z Liverpoolu, będącego dla Morela kimś w rodzaju mentora. „West African Mail” - „Ilustrowany tygodnik założony po to, aby odpowiedzieć na gwałtownie rosnące zainteresowanie sprawami Afryki Zachodniej i Środkowej” - miał stać się forum, na którym nikt nie miał cenzurować Morela.

\*

W Morelu wszystko do siebie pasowało: grube, podkreśnione wąsy oraz wysoka, baryłkowata postać świadczyły o niespożytej energii, a ciemne oczy błyszczały z oburzenia.

Miliony słów, które wypływały spod jego pióra, zapisywał szybkim, pochylonym pismem, niemal ciągłymi liniami, jak gdyby zdążając do celu, nie miał czasu na zostawianie odstępów.

W pewien sposób Morela trudniej zrozumieć niż innych bohaterów tej kongijskiej opowieści. Łatwo na przykład dostrzec, że bolesne dzieciństwo Stanleya w sierocińcu mogło rozwinąć w nim skłonność do okrucieństwa oraz zasiało pragnienie pozostawienia po sobie jakiegoś śladu. Mniej oczywiste jest to, skąd wzięło się u Morela takie pragnienie sprawiedliwości. Jego młodość związana była ze światem biznesu, a nie ruchem socjalistycznym, który na przełomie wieków zainspirował wielu krzyżowców postępu. Jako młody człowiek nie działał w żadnej partii politycznej ani na rzecz żadnej sprawy. Niektórzy jego przodkowie byli kwakrami, choć on sam mógł dowiedzieć się o tym dopiero wiele lat później, nie ma bowiem żadnych dowodów na to, żeby odebrał jakieś kwakerskie wychowanie, kiedy był dzieckiem. Formalnie był członkiem Kościoła anglikańskiego, choć niezbyt entuzjastycznym, gdyż w duchu - tak jak inny wielki podżegacz kwakerskiego pochodzenia, Thomas Paine - nie przepadał za żadną formą zorganizowanej religii. Rozpętując kampanię przeciwko królowi Leopoldowi, nie zyskiwał niczego, a tracił obiecującą karierę w Elder Dempster. Miał na utrzymaniu chorą matkę, żonę i sporą rodzinę, mającą się jeszcze powiększyć. Pod każdym względem nie wydawał się być osobą, która miałaby stanąć na czele wielkiej moralnej krucjaty. Nieumiejętność ignorowania niesprawiedliwości wydawała się naturalnym talentem, z którym się urodził, tak jak niektórzy przychodzą na świat obdarzeni talentem muzycznym. Dowiedziawszy się w Brukseli i Antwerpii tego, czego się dowiedział, pisał: „siedzieć i nic nie zrobić (...) byłoby dla mnie niemożliwością”<sup>446</sup>.

Niegasnące poczucie oburzenia sprawiło, że Morel szybko stał się największym brytyjskim dziennikarzem śledczym swoich czasów. Chcąc dowiedzieć się wszystkiego, czego tylko był w stanie, o wykorzystywaniu Konga i pokazać to światu, stworzył na ten temat wielkie, choć niekiedy zawierające powtórzenia dzieło - trzy pełne książki, fragmenty dwóch innych, setki artykułów w niemal wszystkich głównych brytyjskich gazetach, a do tego wiele po francusku w Belgii i Francji, setki listów do wydawców i kilkadziesiąt broszur (w pewnym momencie napisał sześć w ciągu pół roku, w tym jedną po francusku). Wszystko to powstało w czasie, gdy kierował „West African Mail”, do którego pisał większość artykułów, i to nie tylko pod własnym nazwiskiem, ale też, jak się wydaje, pod pseudonimami Africanus i Obserwator. Wkrótce Morel zaczął też wydawać specjalny comiesięczny dodatek

do gazety, poświęcony wyłącznie ujawnianiu niesprawiedliwości popełnianych w Kongu. Mimo tego ogromnego tempa pracy wciąż znajdował czas na swoje hobby, którym było kolekcjonowanie różnych rodzajów ciem.

W pismach Morela ledwie kontrolowana wściekłość łączy się z drobiazgową celnością. Każdy szczegół w jego książkach oparty jest na dokładnych badaniach, materiał dowodowy rośnie niczym w aktach adwokata. Przez wiele lat tak sympatycy, jak i wrogowie doszukiwali się w jego dziełach błędów faktograficznych, ale bez powodzenia. Nawet dziś niemal w każdym opisie systemu kauczukowego w należącem do Leopolda Kongu można prześledzić statystyki i cytaty, docierając do ich źródeł, z których wiele było opublikowanych właśnie przez Morela.

Choć wkrótce stał się najlepiej słyszalnym głosem w Anglii, pomstującym przeciwko okrucieństwom popełnianym w Kongu, nie był jedyny. Zdecydowany głos w tej sprawie zabrało kilku parlamentarzystów, szczególnie sir Charles Dilke, jeden z najbardziej elokwentnych zwolenników praw człowieka swoich czasów. Działały również organizacje humanitarne w rodzaju Towarzystwa Antyniewolniczego czy Towarzystwa Opieki nad Tubylcami, wypowiadające się w duchu chrześcijańskiego humanitaryzmu, na którego zasady (dziś mogące brzmieć cokolwiek protekcyjnie) powoływali się, piętnując brutalność w Anglii, w koloniach czy gdziekolwiek indziej. Morel różnił się od nich nie tylko swoją niespożytą energią, ale też głębokim przekonaniem, że Kongo jest przypadkiem szczególnym, państwem założonym i opierającym się na pracy niewolniczej. Humanitaryści, pisał Morel, podkreślali „okrucieństwo popełnianych czynów, podczas gdy ja od samego początku starałem się pokazać, że biorąc pod uwagę okoliczności [to, że Leopold objął w posiadanie ziemię i wszystkie jej wytwory], (...) te czyny, z konieczności musiały zostać popełnione”<sup>447</sup>.

Istotny wpływ na Morela wywarła Mary Kingsley, pisarka, z którą zaprzyjaźnił się w 1900 roku, tuż przed jej śmiercią. Jej *Podróże po Zachodniej Afryce* z 1897 roku są zarówno klasyką literatury podróżniczej, jak i jedną z pierwszych europejskich książek, w których Afrykanie traktowani są jak ludzie. Widziała w nich nie „dzikusów” potrzebujących cywilizacji, ale ludzi żyjących w zorganizowanych społeczeństwach, które niszczą kolonizatorzy i misjonarze, niemający poszanowania dla afrykańskiego sposobu życia.

Morel dostrzegł, że dekret Leopolda, który przyznawał państwu „wolne” terytoria,

zupełnie zniszczył tradycyjny system wspólnej własności ziemi i jej płodów. Od Kingsley dowiedział się, że tradycyjnie większość ziemi w Afryce była wspólną własnością wioski, klanu czy plemienia. Jeśli nie była uprawiana, wykorzystywano ją jako tereny łowieckie, źródło drewna na budulec, żelaza na broń i narzędzia albo innych surowców.

Zabranie ziemi było nie tylko kradzieżą - nie zostawiło Afrykanom niczego, czym mogliby handlować, co szczególnie martwiło Morela, gorliwie wierzącego w wolny rynek. Tak jak Kingsley był przekonany, że tylko wolny rynek może godziwie wprowadzić Afrykę do nowoczesności. W sposób zdumiewająco konwencjonalny jak na takiego podżegacza Morel zakładał, że to, co jest dobre dla kupców z Liverpoolu, jest też dobre dla Afryki. Jego wiara jest o tyle zrozumiała, jako że kilku z nim zaprzyjaźnionych liverpoolskich przedsiębiorców było kwakrami, którzy podchodzili do etyki prowadzenia interesów poważnie i hojnie wspierali go w jego poczynaniach.

Morel rzucił się w wir wygłaszania przemówień na temat Konga, pisania książek, artykułów i broszur. Nie mogło być mowy o tym, żeby sam udał się do Konga, gdyż Leopold zwyczajowo zakazywał wjazdu nieprzychylnym mu dziennikarzom. To jednak nie zniechęciło Morela. Gdy zapewnił sobie pozycję najlepiej poinformowanego, najgłośniejszego krytyka Wolnego Państwa Konga, wszyscy wiedzieli, że jeśli ma się jakieś tajne, ujawniające to i owo dokumenty, to właśnie do niego należy się z nimi udać. Im więcej publikował, tym więcej było przecieków. Jego talent do zdobywania tajnych informacji ciągle doprowadzał do wściekłości Leopolda i jego ludzi. Gdy na wystawach światowych, w szklarniach i w muzeach prezentowano starannie wypielęgnowany wizerunek Konga, na łamach „West African Mail” pojawiał się obraz zupełnie innego Konga.

Kiedy na przykład oburzony rzecznik Leopolda zaprzeczył, jakoby porywano kobiety, żeby zmusić ich mężów do zbierania kauczuku, Morel przedrukował formularz, w którym każdy agent kompanii ABIR musiał wymienić wszystkich „tubylców przetrzymywanych cieleśnie w miesiącu..... 1903 roku”. Na stronie znajdowały się rubryki, w które należało wpisać każdego zakładnika: „Imię”, „Wioska”, „Powód zatrzymania”, „Początek zatrzymania”, „Koniec zatrzymania”, „Uwagi”<sup>448</sup>. Nie mogło być wątpliwości, dlaczego ludzie byli „przetrzymywani cieleśnie”, gdyż Morel przedrukował również instrukcję kierownictwa ABIR na temat „utrzymania i karmienia zakładników”<sup>449</sup>.

Pracownicy kompanii lub urzędnicy państwowi, którzy nie zgadzali się na to, co działo się w Kongu, nie mogli pisać do Morela bezpośrednio, gdyż *cabinet noir*, czyli biuro cenzorskie w Boma, cenzurował ich korespondencję. Przywozili jednak ze sobą dokumenty, kiedy wracali do domu. Całymi latami jednym z tajnych informatorów Morela był Raymond De Grez, odznaczony weteran Force Publique, wielokrotnie ranny w boju, który po cichu przekazywał Morelowi informacje z Brukseli. Ktoś z belgijskiej centrali pewnej firmy działającej w Kongu - tej samej, która zatrudniła Josepha Conrada jako kapitana łodzi parowej - przekazał Morelowi zbiór listów od kongijskich agentów kompanii<sup>450</sup>. Ilekroć jakiś rozczarowany weteran powracał z Konga do domu i udzielał prasowego wywiadu, czy to w Belgii, Niemczech, Szwecji czy Włoszech, sympatycy wysyłali Morelowi wycinek z gazety, a on już podejmował starania, by krytyczne informacje dotarły do brytyjskich gazet. Raz utarł nawet nosa kongijskiej administracji, drukując po francusku długą, szczegółową listę tajnych memorandów, listów i innych dokumentów, których ofertę kupna otrzymał<sup>451</sup>.

Jego kampania dodała sił opozycji wobec Leopolda w samej Belgii, szczególnie zasiadającym w parlamencie socjalistom. Gdy niewygodne dla króla informacje powtórzone w czasie parlamentarnych debat, Morel szybko przedrukował je, by zapoznała się z nimi angielska opinia publiczna. Jednym z opublikowanych przez niego kompromitujących materiałów był tajny rozkaz wysłany do kongijskich urzędników państwowych w Afryce, mówiący o premiach, jakie otrzymają w zamian za pozyskanie ludzi do Force Publique: „90 franków za każdego zdrowego i żywotnego mężczyznę zdolnego do służby wojskowej, którego wzrost przekracza 1,55 metra; 65 franków za każdego młodzieńca, którego wzrost przekracza 1,35 metra; 15 franków za dziecko płci męskiej. Dzieci płci męskiej muszą mieć co najmniej 1,20 metra wzrostu i być wystarczająco silne, by znosić trudy wędrówki. (...) Premia będzie się należeć jedynie wtedy, gdy mężczyźni zostaną dostarczeni do urzędów centralnych poszczególnych dystryktów”<sup>452</sup>. Tymczasowy gubernator generalny Konga ostrzegł miejscowych urzędników, że rozkaz ten „pod żadnym pretekstem nie może opuścić dokumentacji. Wszystkie niezbędne wyjaśnienia odnośnie do tego okólnika przekażecie swoim podwładnym ustnie”<sup>453</sup>. Uradowany Morel zamieścił również to ostrzeżenie.

Z innych materiałów, cytowanych w czasie belgijskich debat parlamentarnych, Morel opublikował list oficera Force Publique, porucznika Édouarda Tilkensa, do swojego dowódcy: „Spodziewam się powszechnej rebelii. Myślę, Panie majorze, że już Pana przed tym ostrzegłem. (...) Powód jest zawsze ten sam. Krajowcy są zmęczeni (...) pracą jako

tragarze, zbieraniem kauczuku, dostarczaniem trzody. (...) Walczyłem przez trzy miesiące, mając jedynie dziesięć dni odpoczynku. (...) Mam 152 więźniów. Przez dwa lata prowadziłem wojnę w tym kraju, zawsze towarzyszyło mi czterdziestu, pięćdziesięciu *Albinis* [żołnierzy uzbrojonych w odtylcowe karabiny Albini]. Nie mogę jednak powiedzieć, żebym podporządkował sobie tych ludzi. (...) Wołają umrzeć. (...) Cóż mam robić?”<sup>454</sup>.

Innym ważnym źródłem informacji byli niektórzy brytyjcy, amerykańscy i szwedzcy misjonarze. Cenzura państwowa nie mogła czytać ich listów, gdyż korzystali z własnych łodzi parowych, a korespondencję z Europy wozili im osobiście koledzy. Całymi latami misjonarze byli bezsilnymi świadkami chłost za pomocą *chicotte*, rajdów Force Publique, palenia wiosek i innych stosowanych w praktyce aspektów kauczukowego niewolnictwa. Nareszcie znalazł się jednak ktoś, kto nie tylko chciał opublikować ich świadectwa, ale też przekazać je brytyjskiemu parlamentowi. Morel zasypał misjonarzy prośbami o więcej informacji, które ci odczochoczo spełnili, wysyłając mu coś, co okazało się najpotężniejszym narzędziem jego kampanii: zdjęcia spalonych wiosek, odciętych dłoni, dzieci z amputowanymi kończynami.

Misjonarze dostarczyli mu najbardziej przerażających opisów, jakie kiedykolwiek opublikował. Pewien Amerykanin widział, jak kongijscy żołnierze odcięli komuś dłoń, „a jego biedne, przestraszone serce wciąż biło tak mocno, że krew tryskała z żył na ponad metr”<sup>455</sup>. Brytyjski baptysta opisał, jak pewien państwowy urzędnik karał mężczyzn oskarżonych o kradzież kauczuku: „Kazał ich za to przywiązać do pali i zostawić na cały dzień w pełnym słońcu, a także na całą noc. (...) Byli nadzy i przez cały dzień nie mieli jedzenia ani picia. Cierpieli tak bardzo, że z pragnienia aż wystawały im języki”<sup>456</sup>.

Czasami misjonarze wysyłali Morelowi imiona zmarłych, które również publikował, niczym listy poległych na wojnie. Było to, rzecz jasna, jedyne miejsce, w którym zostały kiedykolwiek wydrukowane<sup>457</sup>:

## 1. Bokangu

wódz

zabity

ciosami

kolbą

karabinu

## 2. Mangundwa

”

”

”

”

”

## 2. Ekunja

”

”

”

”

”

(...)



21. Ekumba

mężczyzna

zastrzelony

22. Monjan

”

”

23. Gili

kobieta

zastrzelona

24. Akaba

chłopiec

zastrzelony

Morel ujawnił również sieć wielkich i małych kłamstw, nieustannie tkaną przez Leopolda i jego sojuszników. Prawie nic nie uszło jego uwadze. Na przykład sprawa sir

Hugha Gilzeana Reida, znamienitego brytyjskiego baptysty, magnata prasowego i byłego członka parlamentu, którego przyjaźń chciał sobie zaskarbić Leopold. Król kilka razy zaprosił Gilzeana Reida do pałacu królewskiego, odznaczył Orderem Leopolda i uczynił komandorem Orderu Korony. W zamian w 1903 roku Gilzean Reid stanął na czele delegacji Towarzystwa Misyjnego Baptystów do Brukseli. W czasie obiadu z królem i innymi znamienitymi Belgami Towarzystwo przedstawiło „memoriał z podziękowaniami”, wyrażając nadzieję, że „ludzie Konga będą już zawsze czerpać korzyści ze sprawiedliwych i prawych rządów”. Morel natychmiast zauważył, że gdy Gilzean Reid przekazał tę wiadomość do londyńskiego „Morning Post”, zmienił tekst memoriału, aby wyrazić królowi nadzieję, że „ludzie Państwa Konga będą coraz lepiej rozumieć korzyści płynące z oświeconych rządów Jego Wysokości”<sup>458</sup>.

\*

Ataki Morela wkrótce przyniosły odpowiedź pałacu królewskiego. Sir Alfred Jones, były szef Morela, zaprosił go pewnego razu na wieczorne przyjęcie. Choć stosunki między nimi były, eufemistycznie rzecz ujmując, napięte, przy posiłku wszyscy się uśmiechali, a - jak pisał Morel - „wybór znakomitych win był szeroki”<sup>459</sup>. Po kolacji Jones i inni goście opuścili pokój, zostawiając Morela jedynie w towarzystwie dyrektora kompanii żeglugowej nazwiskiem Aerts, który szybko wyjaśnił, że jest przedstawicielem Leopolda.

Podjąwszy ostatnią próbę przekonania Morela, że król chce dobrze i trwa wprowadzanie reform, emisariusz przybrał zupełnie inny ton. Jak opisuje to sam Morel (skrót tak jak w oryginale):

Co znaczą dla mnie mieszkańcy Konga? Dlaczego dążę do jakiegoś nieosiągalnego ideału? Jestem młodym człowiekiem, mam rodzinę - czyż nie? Narażam się na wielkie ryzyko. Wtedy bardzo delikatnie i w zawoalowany sposób zasugerował, że mojej sprawie bardziej przysłużyłoby się co innego... „Łapówka?”. Och nie, nie, nic tak wulgarnego, tak poniżającego! Zawsze jednak jest jakiś sposób załatwienia sprawy. Wszystko można załatwić tak, aby zadowolić obie strony. Była to bardzo zajmująca rozmowa, trwająca do bardzo późna. „Nic zatem nie osłabi pańskiej determinacji?”. „Obawiam się, że nie”. Rozstaliśmy się uśmiechnięci. Mój towarzysz sprawiał jednak wrażenie nieco rozdrażnionego. Ja natomiast

bawiłem się wybornie<sup>460</sup>.

Relacja pewnego naocznego świadka, Amerykanina, była szczególnie druzgocząca. Morel opublikował jej fragmenty w kilku artykułach, a całość w książce z 1903 roku (cytowałem ją już wcześniej, na stronach 170-172). W czasie swojej ostatniej podróży po Kongu Edgar Canisius był formalnie agentem handlowym jednej z wielkich koncesjonowanych kompanii kauczukowych, Société Anversoise du Commerce au Congo, jednak w rzeczywistości stał na czele sił zwalczających partyzantkę. Gdy na początku 1900 roku trzydziestoczteroletni Canisius objął swoją placówkę w pobliżu północno-zachodniej granicy Konga, kompania gromadziła kauczuk już od kilku lat i pnącza były coraz rzadsze. Zbieracze z plemienia Budja, jak pisał, „stali się właściwie niewolnikami kompanii, gdyż pozyskiwanie kauczuku zajmowało cały ich czas, zmuszając ich do poszukiwania wielkich pnączy, z których soku pozyskiwano kauczuk, na coraz to dalszych terenach. Ich zarządcy nawet ich nie karmili, a jedyną zapłatą były towary albo absurdalnie małe ilości *mitakos* [kawałków miedzianego drutu]. (...) Krajowcy gorzko narzekali na niedobór kauczukodajnych lian i żałośnie błagali, aby pozwolono im wykonywać jakieś inne prace niż zbieranie kauczuku”<sup>461</sup>.

Budja zbuntowali się i zabili trzydziestu żołnierzy, wysłano więc przeciwko nim kilka karnych ekspedycji. Canisius i dwaj inni biali oficerowie stanęli na czele jednej z nich, wiodąc pięćdziesięciu czarnych żołnierzy i trzydziestu tragarzy. Kolumna maszerowała przez wioski opuszczone przez uciekających Budja, zostawiając za sobą spaloną ziemię. „Podczas gdy nasz oddział mijał wioskę za wioską (...) grupie mężczyzn rozdano pochodnie i polecono podpalić wszystkie chaty. (...) Wędrowaliśmy, a smuga dymu rozciągała się nad dżunglą na wiele mil, ogłaszając tubylcom wszem wobec nadejście cywilizacji”<sup>462</sup>.

Tragarze dźwigali ekwipunek żołnierzy. „Maszerowaliśmy (...) mijając polany zamieszkałe przez tubylców, gdzie drogę zagradzały nam setki powalonych drzew. Musieliśmy się na nie wspinać, a szlak zdawał się wieść przez wszystkie mrowiska w okolicy. Szczególnie ciężko było tragarzom, gdyż wielu z nich było połączonych łańcuchami, zakutymi na szyjach. (...) Nieśli nasze skrzynie, zawieszane na kijach, i gdy jeden z nich upadał, zazwyczaj pociągał za sobą pozostałych skutych tym samym łańcuchem. Wielu nieszczęśników było tak wyczerpanych marszem, że zmusić ich do dalszej wędrówki można było jedynie ciosami kolb karabinów. Niektórzy mieli ramiona tak pogruchothane od kijów, że

dosłownie wrzeszczeli z bólu”<sup>463</sup>.

Z wojskowego posterunku w głębi kraju oddziały Canisiusa wyruszały do dżungli w poszukiwaniu rebeliantów, których po złapaniu zamęczano pracą: „Wszystkim kazano dźwigać ciężkie ładunki, które wcześniej nosiło dwóch mężczyzn (...), aż wreszcie padali ofiarą głodu i ospy”<sup>464</sup>.

Gdy walki stały się cięższe, żołnierze zaczęli zabijać więźniów - pewnego razu nawet trzydziestu naraz. Kiedy kampania dobiegała końca, „mieliśmy za sobą sześć tygodni uciążliwego marszu i zabiliśmy ponad dziewięciuset krajowców, mężczyzn, kobiet i dzieci”<sup>465</sup>. Powodem ich śmierci była perspektywa „zwiększenia miesięcznego urobku o całych dwadzieścia ton kauczuku”<sup>466</sup>.

\*

W 1903 roku, po kilku latach ciężkiej pracy, Morelowi oraz jego sojusznikom w parlamencie i towarzystwach humanitarnych udało się zwrócić uwagę brytyjskiej opinii publicznej na „kwestię Konga” znacznie bardziej niż komukolwiek wcześniej. W maju, po wnikliwej debacie, Izba Gmin jednogłośnie uchwaliła rezolucję wzywającą do „ludzkiego rządzenia krajowcami” w Kongu<sup>467</sup>. Rezolucja oprotestowywała także brak wolnego handlu w Kongu, który obiecywał Leopold. Morel okazał się zręcznym lobbystą. Za kulisami dostarczał wiadomości posłom wspierającym rezolucję i miał tak robić przy okazji wielu przyszłych parlamentarnych debat na temat Konga.

Leopold był zaniepokojony. Wielka Brytania była supermocarstwem i największą potęgą kolonialną w Afryce. Gdyby zwróciła się całkowicie przeciw państwu Kongo, jego zyski byłyby poważnie zagrożone. Czy zwykły dziennikarz pokroju Morela byłby w stanie rozpętać to wszystko? Morel mógł drukować krytyczne artykuły i inspirować uchwalenie parlamentarnej rezolucji, ale skłonienie powściągliwego rządu Wielkiej Brytanii do wywarcia presji na zaprzyjaźnionego monarchę było jednak już czymś innym. Leopold i jego świta doskonale zdawali sobie sprawę z tej różnicy - jak trafnie zauważył pewien belgijski wydawca prasowy: lord Salisbury, wieloletni brytyjski premier, „nie jest człowiekiem, którego los czarnych obchodziłby bardziej niż los Ormian czy Bułgarów”<sup>468</sup>.

Choć wyszło na jaw, czym naprawdę są rządy Leopolda, nic się nie zmieniło. Przez jakiś czas trwała sytuacja patowa, jednak wkrótce miał ją przerwać pewien człowiek, który dokładnie dzień po tym, jak zakończyła się debata w parlamencie, wsiadł na parowiec ruszający w górę rzeki Kongo.

## WŁAMUJĄC SIĘ DO JASKINI ZBRODNI

KIEDY W MAJU 1903 roku sojusznikom Morela w parlamencie udało się uchwalić rezolucję sprzeciwiającą się temu, co działo się w Kongu, Foreign Office wysłało telegram do konsula Jego Wysokości w Kongu, nakazując mu „tak szybko, jak to możliwe, udać się w głąb lądu i raportować”<sup>469</sup>.

Konsulem, który otrzymał ten telegram, był Irlandczyk Roger Casement, przebywający w Afryce od dwudziestu lat<sup>470</sup>. Widzimy go na starszej o dwadzieścia lat fotografii, która jest pierwszym świadectwem jego kontaktów z Kongiem. Przedstawia ona grupę młodych ludzi, zapewne przyjaciół, którzy w pierwszych latach istnienia reżimu Leopolda udają się do pracy w kolonii. Mają na sobie płaszcze, noszą krawaty i wysokie, krochmalone kołnierze. Trzech ma prostoduszne, szczerze brytyjskie twarze, znane z tysięcy innych, pozowanych fotografii przedstawiających kadetów czy rugbystów. Czwarty mężczyzna, przystojny, czarnobrody, z ciemnymi włosami i gęstymi brwiami, różni się od pozostałych dziwnym pochyleniem głowy i zamyślonym wyrazem twarzy. „Postać i twarz - pisał Stephen Gwynn, irlandzki autor, który poznał później Casementa - zdawały mi się należeć do jednego z najprzystojniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek widziałem. Jego oblicze miało urok i wytworność godną rycerza. Był bowiem błędnym rycerzem”<sup>471</sup>.

W 1883 roku dziewiętnastoletni Roger Casement po raz pierwszy popłynął do Konga, pracując, tak się złożyło, jako płatnik na statku Elder Dempster. Rok później wrócił i został tam do końca lat 80. XIX wieku. Kierował bazą zaopatrzeniową pechowej Sanford Exploring Expedition i pracował dla geodetów, wytyczających trasę kolei okrążającej katarakty. Twierdził, że był pierwszym białym człowiekiem, który przepłynął rojącą się od krokodyli rzekę Inkisi. Gdy pracował jako świecki zarządca w pewnej misji baptyistów, ściągnął na siebie delikatną krytykę swojego pracodawcy za to, że kupując jedzenie, nie dość ostro się targował. „Jest bardzo dobry wobec krajowców, zbyt dobry, zbyt hojny, zbyt skłonny im ustępować. Nigdy nie zrobi pieniędzy jako kupiec”<sup>472</sup>.

Casement przez tydzień towarzyszył wiedzionej przez Stanleya Ekspedycji na Odsiecz Eminowi Paszy. „Dobry okaz zdolnego Anglika” - zanotował w swoim dzienniku odkrywca<sup>473</sup>, którego uwadze umknęło irlandzkie pochodzenie Casementa. Ten zaś był o wiele lepszym sędzią ludzkiego charakteru niż Stanley - choć dalej uważał odkrywcę za bohatera, to jednak zauważył jego skłonność do sadyzmu. Kiedy pewnego razu spostrzegł, że pies Stanleya nie ma ogona, ku swemu przerażeniu dowiedział się, że Stanley osobiście odciął ogon, ugotował i dał psu do zjedzenia<sup>474</sup>.

Casement był świadkiem wielu innych okrutnych czynów, popełnionych w Afryce przez białych ludzi. Trudno powiedzieć, czy w życiu Casementa nastąpił jakiś punkt zwrotny pod względem moralnym, taki, jakim dla E.D. Morela były odkrycia w Antwerpii i Brukseli. Jeśli tak, zapewne mogło to być w 1887 roku, gdy na pokładzie parowca wyruszył w górę Konga, w towarzystwie oficera Force Publique, Guillaume’a van Kerckhvena. Van Kerckhoven był dowódcą zapalczywym, znanym ze swojej agresji. Pod nawoskowanymi końcówkami wąsów widniał zawadiacki uśmiech. Nawet gubernator generalny Konga nazwał jedną z jego ekspedycji „huraganem, który przemierza kraj, zostawiając ze sobą jedynie zniszczenia”<sup>475</sup>. Casement z osłupieniem słuchał, jak van Kerckhoven z uśmiechem na ustach wyjaśniał, że płacił swoim czarnym żołnierzom „pięć miedzianych drutów (dwa i pół pensa) za każdą ludzką głowę przyniesioną w trakcie dowodzonych przez niego działań wojennych. Mówił, że to pobudza ich waleczność w obliczu wroga”<sup>476</sup>.

W 1890 roku, gdy Joseph Conrad przybył do Matadi, zanotował w dzienniku: „Zawarłem znajomość z p. Rogerem Casementem, co w każdej okoliczności uważałbym za wielką przyjemność (...). Myśli, wypowiada się dobrze, ogromnie inteligentny i bardzo sympatyczny”<sup>477</sup>. Wzniesione naprędce Matadi - gorąca, parna zbieranina budynków z blachy falistej na wzgórzach nad brzegiem Konga - było pełne pijanych marynarzy, afrykańskich prostytutek oraz młodych podróżników z Europy i Ameryki, mających nadzieję na szybkie wzbogacenie się na boomie kości słoniowej. Casement i Conrad nie czuli się dobrze w atmosferze gorączki złota. Przez dziesięć dni, kiedy Conrad czekał na statek, którym miał popłynąć w głąb ładu, dzielił pokój z Casementem i razem odwiedzali okoliczne wioski.

Każdy, kto spotkał Casementa, przyznawał, że był wyśmienitym rozmówcą. „Największy urok roztaczał jego głos, niezwykle melodyjny” - wspominał jego kolega. Inna osoba powiedziała, że „Casement nie mówi do ciebie - on mruczy do ciebie”<sup>478</sup>. Mówił czy

mruczał, Casement miał w zanadru wiele historii, które zburzyły Conradowi jego szczytną wizję afrykańskiego kolonializmu. Kiedy po półrocznym pobycie opuszczał Kongo, Conrad ponownie spotkał się z Casementem<sup>479</sup>. Wiele lat później spotkali się raz jeszcze na obiedzie w Londynie i - według Conrada - „poszli stamtąd razem do klubu sportowego i przegadali tam do trzeciej nad ranem”<sup>480</sup>. Pisarz pisał do przyjaciela: „On mógłby ci opowiedzieć niejedno! Rzeczy, o których starałem się zapomnieć; rzeczy, o których nigdy nie wiedziałem”<sup>481</sup>. Jedną z nich mogła być opowieść o van Kerckhovenie, kolekcjonerze głów Afrykanów, która również mogła stać się podstawą opowieści o Kurtzu i ogrodzeniu z ludzkimi czaszkami.

W 1892 roku Roger Casement zaczął pracę dla brytyjskiej administracji kolonialnej w dzisiejszej Nigerii. Choć był zatrudniony przez najpotężniejsze wówczas mocarstwo kolonialne, nie przestał zauważać dziejących się niesprawiedliwości. Pierwszym publicznym protestem Casementa, o jakim wiemy, był list, napisany w 1894 roku do Towarzystwa Opieki nad Tubylcami, w którym sprzeciwiał się przeprowadzeniu egzekucji. W niemieckiej kolonii Kamerunu miano powiesić dwadzieścioro siedmioro osób - czarnych żołnierzy wraz z żonami. Żołnierze zbuntowali się, ponieważ ich żony zostały wybatożone. Casement pisał: „Wierzę, że możecie zrobić coś, by wzbudzić w Anglii protest przeciwko okrutnemu postępowaniu Niemców. Ludzie ci byli ich żołnierzami, ale przecież wszyscy mamy obowiązek chronić słabych przed silnymi i sprzeciwiać się brutalności w każdej postaci”<sup>482</sup>.

Casementa szybko przeniesiono do brytyjskiej służby konsularnej. Po pracy w kilku placówkach w Afryce Południowej, w 1900 roku został wysłany do Wolnego Państwa Konga, aby założyć tam pierwszy brytyjski konsul. Kiedy w drodze na placówkę zawitał do Brukseli, król Leopold - zawsze czujnie wypatrujący ludzi, którzy mogliby pomóc jego sprawie - zaprosił go na lunch. Zwykły konsul znalazł się nagle w pałacu królewskim, przy jednym stole z królem, królową Marią Henriettą, ich córką, księżniczką Klementyną, i francuskim księciem Wiktorem Napoleonem\*.

Casement został zaproszony również następnego dnia i tym razem przez półtorej godziny musiał słuchać tyrad Leopolda na temat cywilizacyjnego wysiłku czynionego w Kongu. Choć król przyznał, że niektórzy agenci mogą być winni nadużyć, stwierdził również, że „nie jest możliwe posiadanie w Afryce zawsze najlepszych ludzi, a afrykański klimat rzeczywiście sprzyja demoralizacji charakteru”<sup>483</sup>. Tak jak zawsze, król starał się wydobyć



zapewnienie, że jeśli pojawią się jakieś kompromitujące wiadomości, to właśnie on będzie pierwszym, który o nich usłyszy. „Żegnając mnie, Jego Wysokość poprosił o to, żebym pisał do niego prywatnie, kiedy tylko zechcę, i to pisał szczerze, jeśli tylko pojawi się jakaś sprawa, w której mógłby mi nieoficjalnie doradzić”<sup>484</sup>. W przeciwieństwie do większości gości Leopolda, jego urok osobisty nie uwiódł Casementa. Zbyt wiele już widział w Kongu.

Kiedy został konsulem, Casement wciąż czuł się urzeczony Afryką, ale - jak przez całe swoje życie - nie mógł usiedzieć w miejscu. Dobiegał czterdziestki, lecz zdawało mu się, że utknął na prowincji, na stanowisku, które nie umożliwiała wykorzystywania w pełni jego zdolności. Służba konsularna była jedynie ubogą krewną służby dyplomatycznej Wielkiej Brytanii. Poza tym odpowiedzialność za Kongo nie była tym samym, co bycie brytyjskim konsulem w Paryżu czy Berlinie. Tam trafiali raczej potomkowie dobrze ustosunkowanych rodzin z Anglii niż pochodzący z klasy średniej Irlandczyk. Casement czuł, że zawsze spycha się go na margines. Jego codzienne życie składało się z walk z przeciekającymi dachami, moskitami, dyzenterią oraz nudą pracy, która nie przynosiła zaszczytów, ale „czasami zmuszała nawet do wstawania z łóżka w chorobie albo do wysłuchiwania narzekań pijanych marynarzy”<sup>485</sup>.

Casement miał też inne zmartwienia na głowie. Praca konsula nie pozwalała mu na swobodne wyrażanie swojego oburzenia z powodu nadużyć rządów kolonialnych. Zajmowała go nieco historia Irlandii, ale w tropikach nie mógł rozwijać swoich zainteresowań. Miał ambicje pisarskie, ale niewielkie pole do ich realizacji, z wyjątkiem długich raportów wysyłanych do Londynu, które bawiły Foreign Office. Niewielu konsulów miało w zwyczaju wysyłać systematycznie dwudziestostronicowe komunikaty z zachodnioafrykańskich portów. Pisał ogromną liczbę dość przeciętnych tekstów, ale tylko sporadycznie udawało mu się coś opublikować.

Nowy brytyjski konsul w Kongu był uważany przez innych białych za ekscentryka. Gdy po raz pierwszy podróżował z Matadi do Leopoldville, nie pojechał koleją, ale przeszedł pieszo ponad trzysta kilometrów, protestując w ten sposób przeciwko wysokim cenom biletów. Później używał kolei, ale - jak donosił do Brukseli zdumiony kongijski urzędnik - „zawsze podróżował drugą klasą. Zawsze też towarzyszył mu wielki buldog o potężnych szczękach”<sup>486</sup>.

Było jeszcze coś, czym Casement nie mógł podzielić się nawet z najbliższymi przyjaciółmi i krewnymi, choć niektórzy coś podejrzewali. Był homoseksualistą. W wierszu, którego nie mógł opublikować za życia, napisał:

Szedłem, głosem miłości jedynie wiedziony,

Tam, gdzie Pan Bóg napisał swoje „nie” potworne.

(...)

Wiem tylko, że nie mogę umrzeć i odstąpić

Miłości, co powstała z Bożej - nie mej - woli<sup>487</sup>.

Casement żył w czasach, w których ujawnienie swojego homoseksualizmu groziło hańbą albo czymś jeszcze gorszym. W 1895 roku jego rodak, Oscar Wilde, został skazany na dwa lata ciężkich robót za „popęlnienie czynów z innymi mężczyznami, będących poważną obrazą moralności”. Wiosną 1903 roku, gdy Casement wracał do Konga z pobytu w Europie, na nagłówki gazet trafiła sprawa sir Hectora MacDonalda, generała dywizji, jednego z najznamienitszych brytyjskich wojskowych swoich czasów. Gdy ujawniono jego homoseksualizm i chciano go postawić przed sądem wojskowym, zastrzelił się w paryskim pokoju hotelowym.

Siedemnastego kwietnia 1903 roku Casement zapisał w swoim dzienniku: „Wiadomość o samobójstwie, które popełnił w Paryżu sir Hector MacDonald! (...) Podane przyczyny są bardzo smutne. Bez wątpienia jedna z najbardziej nieszczęsnych spraw tego rodzaju”. Dwa dni później dodał: „Wielki smutek z powodu strasznego końca Hectora MacDonalda”. Po jedenastu dniach, w kongijskim porcie Banana, myśl o MacDonaldzie nie pozwalała Casementowi zasnąć: „Straszliwy pokój w hotelu. Moskity. Nie zmrzyłem oczu. Bardzo smutna śmierć Hectora MacDonalda”<sup>488</sup>.

Casement musiał wiedzieć, że jeśli narobi sobie potężnych wrogów, będzie narażony na szantaż. Podświadomie dążąc do autodestrukcji, prowadził jednak szczegółowy dziennik swoich schadzek, za które w większości płacił. W czasie tej samej podróży z Anglii do Konga

wiele ryzykował, opisując seksualne przygody, których doświadczył po drodze. Madera: „Agostinho, dużo całowania. 4 dolary”. Las Palmas: „Brak ofert”. Na pokładzie statku: „Na dół i och! Och! Szybko, około 18”. Boma: „Wysoki. Ile pieniędzy?”<sup>489</sup>. Gdyby dzienniki te zostały odkryte przez kogoś, kto życzyłby mu źle, byłby zniszczony. Wcześniej były bombą zegarową z zapalnikiem nastawionym na nieznaną godzinę.

W maju 1903 roku, miesiąc po wpisie na temat samobójstwa MacDonalda, Casement znalazł coś, co sprawiło mu radość, a także dawało mu szansę na rozwój kariery. Od dwóch lat wysyłał do Foreign Office raporty na temat nieludzkich warunków panujących w należącym do Leopolda Kongu<sup>490</sup>. Gdy Izba Gmin jednogłośnie uchwaliła rezolucję potępiającą Kongo, brytyjskie władze musiały jakoś zareagować.

Rok wcześniej Casement wysłał do Londynu telegram z propozycją zorganizowania wyprawy w kauczukodajne rejony interioru, która miałaby zbadać panujące tam warunki. Otrzymał zgodę, ale rozpoczęcie ekspedycji opóźniło się z powodu jego urlopu w Anglii i Irlandii. Debata parlamentarna sprawiła jednak, że natychmiast przypomniano sobie o propozycji, i wkrótce po powrocie do Konga Casement miał ruszać w drogę<sup>491</sup>.

Wiedział, że wyprawa będzie ciężka. Pisząc do jednego z przyjaciół, zacytował afrykańskie przysłowie: „Człowiek nie rusza w ciemiste krzewy, chyba że ucieka przed wężem albo goni węża”. Dodał: „Ja ścigam węża i proszę Boga, by pozwolił mi ukręcić gadowi łeb”<sup>492</sup>.

\*

Dochodzenie Casementa mogło polegać na tym, że wyruszyłby nową koleją do Stanley Pool, zamieszkał w wygodnym, ceglany domu i spędził kilka tygodni, jeżdżąc po okolicy. Zamiast tego spędził w interiorze ponad trzy i pół miesiąca. Nie chcąc, żeby jego podróżowanie było zależne od władz Konga - co było najważniejszą formą kontroli odwiedzających kolonię - wypożyczył od jakichś amerykańskich misjonarzy wąską, żelazną, jednopokładową łódź parową i na jej pokładzie ruszył w górę rzeki. Spędził siedemnaście dni nad jeziorem Tumba, gdzie państwo bezpośrednio prowadziło swoje niewolnicze operacje. Odwiedził tereny działań jednej z koncesjonowanych kompanii. Wpłynął parowcem w

dopływy Konga, a gdy nie dało się dalej płynąć, szedł pieszo. Policzył dokładną liczbę ludzi trzymanych jako zakładników w wiosce, która nie dostarczyła wymaganej ilości kauczuku. Przepłynął czołnem na drugi brzeg innej rzeki i przeszedł kilka kilometrów przez zatopiony las, aby spotkać się z jedną z ofiar i osobiście zobaczyć jej obrażenia.

Czasami Casement zostawał na noc w placówkach misji, czasami obozował nad rzeką, na polanach albo na wyspach. („Hipopotam w rzece. Widziałem blisko nas trzy pożywiające się pelikany. Widziałem też pięknego egipskiego ibisa - czarny z białymi skrzydłami - przystojniak przeleciał prosto nad nami”<sup>493</sup>). Podróżował jak zawsze ze swoim ukochanym buldogiem Johnem, a także z kucharzem i pomocnikiem w jednej osobie, określanym w dziennikach mianem „Włochatego Billa”. „Biedny, stary Włochaty Bill. Dziwaczne życie”. Repertuar kulinarny Włochatego Billa był, jak się zdaje, ograniczony do trzech potraw: kurczaka, custard i czegoś w rodzaju gotowanego lub duszonego groszku. „Kurczak, custard, custard, custard (...) codziennie (...) do diabła” - pisze Casement. Czasami przybiera ton sarkastyczny: „Dla odmiany mieliśmy znowu gotowany zielony groszek, a także custard”. Albo: „Znowu duszony zielony groszek i custard dwa razy dziennie przez miesiąc, poddaję się zupełnie”<sup>494</sup>.

Casement nieustannie słał listy do Foreign Office. „Przeklinają mnie tam, w F.O.” - zauważył nie bez satysfakcji<sup>495</sup>. Zresztą przeklinali go na pewno nie tylko tam. Zarzucił kongijskich urzędników listami w których potępiał konkretne przykłady okrucieństwa, a także - wyjątkowo niedyplomatycznie - cały sposób zarządzania kolonią. „System ten, Panie Gubernatorze Generalny, jest zły - beznadziejnie i całkowicie zły (...) i nie poprawia losu miejscowej ludności, cierpiącej z powodu takich rządów. Wręcz przeciwnie - jeśli będą kontynuowane, doprowadzą do zupełnego wygubienia ludzi przy powszechnym potępieniu cywilizowanego świata”<sup>496</sup>. Nic zatem dziwnego, że zmartwiony obrotem spraw Leopold dowiedział się, że nie zostanie łagodnie potraktowany w raporcie brytyjskiego konsula. Podobne pogłoski dotarły też do Morela, który niecierpliwie oczekiwał powrotu Casementa. Brytyjskiemu sekretarzowi spraw zagranicznych Casement, w wyjątkowo niekonsularny sposób, oznajmił triumfalnie, że „włamał się do jaskini zbrodni”<sup>497</sup>.

Był człowiekiem całkowicie pochłoniętym swoją sprawą. Jego złość z powodu tego, co zobaczył, wywierała wielki wpływ na wielu napotkanych Europejczyków - jak gdyby jego oburzenie sprawiało, że i oni mogli sobie pozwolić na ujawnienie własnych, dotychczas

tlamszonych uczuć. Dwaj misjonarze, których odwiedził Casement, tak zainspirowali się jego przykładem, że sami wyruszyli w podróż, żeby zbadać sytuację, a jeden z nich zaczął pisać krytyczne listy do gubernatora generalnego<sup>498</sup>. Kierując się w dół rzeki, Casement napotkał zmierzający w przeciwnym kierunku parowiec doświadczonego brytyjskiego misjonarza George'a Grenfella i mężczyźni zatrzymali się, żeby porozmawiać. Wysłuchawszy Casementa, Grenfell niezwłocznie zrezygnował z zasiadania w oszukańczej Komisji Ochrony Krajowców, powołanej przez Leopolda. Był to, nawiasem mówiąc, próżny gest, gdyż kilka miesięcy wcześniej Leopold pozwolił, żeby mandat komisji wygasł, i nawet nie poinformował o tym jej członków. Włoski konsul w Kongu, zaniepokojony tym, co powiedział mu Casement, odwołał swoje wakacje w Europie i sam wyruszył w podróż, aby zweryfikować doniesienia brytyjskiego kolegi.

Wpisy w dzienniku Casementa są znacznie bardziej poruszające niż jego starannie zredagowany raport. Z tych tajemniczych stron przebija przerażenie autora:

5 czerwca: Opuszczony kraj, nie zostali żadni krajowcy.

25 lipca: Doszedłem do wioski i zajrzałem do najbliższej - liczba ludności znacznie spadła - z kilkuset ludzi zostało jedynie 93.

26 lipca: Biedny, słaby lud... - z prochu powstałeś i w proch się obrócisz - gdzie są dobre serca, myśli pełne współczucia - przepadły.

6 sierpnia: Spisałem wiele zeznań tubylców... Są okrutnie batożeni, gdy spóźnią się z dostawami [kuczuku]... Bardzo zmęczony.

14 sierpnia: A. przybył, żeby powiedzieć, że pięciu ludzi z Bikoro z odciętymi dłońmi przybyło aż z Myanga, żeby mi się pokazać.

22 sierpnia: Bolongo prawie martwe. Pamiętam je dobrze z listopada 1887 roku, było tu wtedy pełno ludzi, a teraz wszystkiego razem 14 dorosłych. Powinienem raczej powiedzieć biedaków, gorzko narzekających na podatek kuczukowy. (...) 6.30 minąłem opuszczony brzeg Bokuta. (...) Mouzede mówi, że wszyscy ludzie zostali zabrani siłą do Mampoko. Biedni nieszczęśnicy.

29 sierpnia: Bongandanga (...) widział „targ” kauczukowy, sama broń - około 20 uzbrojonych ludzi. (...) 242 ludzi z kauczukiem strzeżonych niczym skazańcy. Nazwanie tego „targiem” to szczyt kłamstwa.

30 sierpnia: 16 spętanych mężczyzn, kobiet i dzieci z wioski Mboye w pobliżu miasta. Ohydne. Mężczyzn zamknięto w więzieniu, na moją interwencję wypuszczono dzieci. Ohydny, ohydny, haniebny system.

31 sierpnia: Wieczorem zorganizowano tańce na moją cześć; przyszli (na rozkaz L.) wszyscy miejscowi wodzowie, ich żony *etc.* Biedacy. Było mi ich żal, niekwestionowane pierwsze miejsce w zmuszaniu kogoś do rozrywki.

2 września: Widziałem 16 kobiet pojmanych przez zwiadowców Peetersa i zabranych do więzienia.

9 września: 11.10, znowu mijalem Bolongo. Nieszczęśnicy podpłynęli czółnem, żeby błagać mnie o pomoc<sup>499</sup>.

\*

Casement, który żył wiele lat po zamarcu abolicjonizmu, a przed pojawieniem się organizacji w rodzaju Amnesty International, kiedy notował w dzienniku, przyjmował ton abolicjonistów: „Ohydny, ohydny, haniebny system”. Oficjalny raport napisany był jednak językiem przyjętym później przez Amnesty International oraz podobne jej organizacje: formalnym, trzeźwym. Oceniał wiarygodność różnych świadków, zawierał pełno odniesień do prawa, statystyk, opatrzone zostały suplementami i zapisami zeznań.

Pod koniec 1903 roku Casement wrócił do Europy, żeby przygotować swój raport. Spędził trochę czasu w Londynie, dyktując go i poprawiając. Ostatnie poprawki wprowadzał nawet w pociągu, wracając z wiejskiego domu Josepha Conrada i jego rodziny. Informacje zawarte w raporcie Casementa były w dużej części znane ludziom w rodzaju E.D. Morela i małej grupie jego zwolenników, ale po raz pierwszy miały być poparte autorytetem konsula

Jego Brytyjskiej Mości<sup>\*\*</sup>. Raport był wiarygodny, gdyż Casement miał wieloletnie doświadczenie w podróżowaniu po Afryce i często porównywał aktualną sytuację w Kongu z tą, którą znał z wcześniejszych pobytów, przed nastaniem gorączki kauczukowej.

Raz za razem Casement opisywał odcinanie zwłokom dłoni, a czasami nie tylko ich. W raporcie cytuje pewnego świadka:

„Biali ludzie powiedzieli swoim żołnierzom: «Wy zabijacie tylko kobiety, nie potraficie zabijać mężczyzn». Gdy więc żołnierze nas zabijali, odcinali nam te rzeczy (to mówiąc, świadek wskazał na intymne części mojego buldoga, który drzemał u moich stóp) i zabierali je, żeby pokazać białym, którzy wtedy przyznawali: «To prawda, zabiliście mężczyzn»,<sup>500</sup>.

Mimo powściągliwego tonu raportu i uważnego doboru dokumentacji doniesienia o odcinanych dłoniach i penisach były o wiele bardziej obrazowe i wyraziste, niż się tego spodziewał brytyjski rząd. Foreign Office, już zaniepokojone, zaczęło otrzymywać prośby sir Constantine'a Phippsa, brytyjskiego ministra w Brukseli i żarliwego zwolennika Leopolda, by opóźnić publikację raportu. Phipps, zarozumiały człowiek o ograniczonej inteligencji, nie mógł uwierzyć, „że Belgowie, kulturalni ludzie, wśród których żyłem, nawet pod słońcem tropików mogliby popełnić czyny tak perwersyjnie okrutne”<sup>501</sup>. Kompanie używały „zwiadowców” - tłumaczył sekretarzowi spraw zagranicznych - wyłącznie po to, by chronić pracujących zbieraczy kauczuku. „Proszę zadbać o to, by raport Casementa nie został opublikowany wcześniej niż dziesiątego bieżącego miesiąca, gdyż tego dnia muszę spotkać się z królem Belgów - telegrafował Phipps. - Publikacja raportu z pewnością postawi mnie na dworze w niezręcznym położeniu”<sup>502</sup>.

Jeszcze większa presja nadeszła skądinąd. Naciskany przez pełnego obaw Leopolda, sir Alfred Jones z Elder Dempster dwukrotnie odwiedził Foreign Office, próbując złagodzić wymowę raportu albo przynajmniej zdobyć wcześniej jeden egzemplarz dla króla.

Casement był tak strapiiony tym, co zobaczył w Kongu, że Foreign Office nie było w stanie go kontrolować i udzielił kilku wywiadów londyńskim gazetom. Ich publikacja znacznie utrudniała ewentualne ocenzurowanie lub opóźnienie raportu, choć Foreign Office udało się przynajmniej usunąć z niego wszystkie nazwiska. Gdy na początku 1904 roku raport

został wreszcie przedstawiony opinii publicznej, czytelnicy znajdowali w nim takie oto zeznania: „Nazywam się N.N. Tych dwóch obok to O.O. i P.P.”. Albo: „Biały człowiek, który powiedział, że to jest główny biały człowiek w F.F. (...) nazywał się A.B.”<sup>503</sup>. Nadawało to raportowi dziwnie niematerialny ton, jak gdyby te potworne rzeczy przydarzyły się jakimś nierzeczywistym ludziom, a dokonali ich równie nierzeczywiści sprawcy. Gdy ludzie Leopolda wystosowali długą odpowiedź, Casement nie mógł się bronić, podając konkretne nazwiska i miejsca. Do ataku przyłączyły się belgijskie gazety, powiązane z kongijskim biznesem. Jedna z nich, „La Tribune Congolaise”, napisała, że ludzie z odciętymi dłońmi, których widział Casement, „byli nieszczęśliwymi ofiarami raka dłoni, których dłonie musiały być amputowane w prostej, chirurgicznej operacji”<sup>504</sup>.

Casement był zarazem zły i rozczarowany. Zmienny (sam początkowo chciał chronić świadków, ukrywając ich nazwiska, ale potem zmienił zdanie) i obraźliwy, w proteście wysłał do Foreign Office osiemnastostronicowy list, w którym groził rezygnacją. W dzienniku napisał, że jego zwierzchnicy to „banda głupków”, a jeden z nich jest „nikczemnym kretynem”<sup>505</sup>. W liście nazywa ich „przeklętą koterią niekompetentnych debili”<sup>506</sup>.

Wreszcie jednak Casement znalazł kogoś, z kim mógł dzielić się swoimi odczuciami. Jeszcze w Kongu zaczytywał się pismami Morela i obaj mężczyźni bardzo chcieli się spotkać. „Ten człowiek jest uczciwy do szpiku kości”, zapisał w dzienniku Casement, gdy długo oczekiwane spotkanie wreszcie doszło do skutku. „Zjedliśmy razem późną kolację w [restauracji] Comedy i przegadaliśmy do drugiej nad ranem. M. śpi w gabinecie”<sup>507</sup>. Casement spędził noc w domu przyjaciela przy Chester Square, Morel wyjechał po śniadaniu.

Łatwo wyobrazić sobie, o czym rozmawiali ci dwaj - wysoki, czarnobrody Casement, drżący z oburzenia z powodu tego, co widział. Morel, młodszy niemal o dziesięć lat, też duży, choć przysadzisty, z podkręconym wąsem, także pełen uzasadnionej złości z powodu tego, co udało mu się odkryć w Europie. W pewnym sensie każdy z nich widział połowę prawdy o Leopoldowym „Wolnym Państwie”. Razem dysponowali pełnym obrazem, który należało pokazać światu. Morel zapamiętał to spotkanie do końca życia:

Zobaczyłem przed sobą człowieka mojego wzrostu, smukłego i muskularnego, z wypiętą piersią, głową podniesioną wysoko - przypominającego kogoś, kto długo żył na otwartej przestrzeni. Czarne włosy i broda okrywająca policzki ukrywały tropikalną



opaleniznę. Wyraźne rysy. Ciemnoniebieskie, przenikliwe, głęboko osadzone oczy. Pociągła, szczupła, smągła twarz w typie van Dycka, na której widać było siłę, ale i wielką delikatność. Wyjątkowo przystojna i frapująca twarz. Od chwili, w której uścisnęliśmy sobie ręce i spojrzeliśmy sobie w oczy, narodziło się między nami porozumienie i zaufanie, uleciało uczucie osamotnienia. To był ktoś. Ktoś, kto miał przekonać wysoko postawionych ludzi, że na bezbronnej rasie dokonuje się okropnej zbrodni. (...) Często widzę go w myślach takiego, jakiego widziałem wtedy, w trakcie tej niezapomnianej rozmowy, jak pochyla się nad kominkiem w nieoświetlonym pokoju (...), swym delikatnym, melodyjnym, niemalże regularnym głosem, językiem wyjątkowo dostojnym i smutnym, opowiada historię podłego spisku. (...) Gdy przerywał, wstawał i przechadzał się po pokoju szybkimi, ale cichymi krokami, by znowu przykucnąć przy kominku, gdzie światło płomieni wydobywało rzeźbę jego wspaniałej twarzy.

Byłem głównie milczącym słuchaczem, który zaciskał dłonie na poręczach fotela. Mogę przysiąc, że gdy trwała ta litania koszmarów (...) na własne oczy widziałem te ścigane kobiety, które przyciskają do piersi dzieci i w panice uciekają do buszu. Widziałem krew wypływającą z czarnych ciał, drżących pod kolejnymi ciosami bicia ze skóry hipopotama; dzikich żołdaków szalejących w płonących wioskach; upiorny rejestr odciętych dłoni...

Casement czytał mi fragmenty swojego sprawozdania, które wtedy właśnie pisał, a którego wymowa był identyczna z tym, co i ja często powtarzałem. Powiedział mi, że był wielce zdumiony, że ja, w miejscu odległym o osiem tysięcy kilometrów, doszedłem do takich samych wniosków w tej sprawie. (...) Spadł mi z piersi ogromny ciężar.

Kiedy się rozstaliśmy, było już grubo po północy. Strony jego obszernego raportu leżały rozrzucone na stole, krzesłach i podłodze. Wśród walających się wokół fragmentów raportu, który (...) miał roznieść w pył największe kłamstwo naszych czasów, zasnąłem na sofie w ubraniu; jego autor udał się do sypialni na piętrze<sup>508</sup>.

Kilka tygodni później Casement odwiedził Morela w jego domu w Hawarden, małej walijskiej wiosce niedaleko granicy z Anglią, i zanotował w dzienniku: „Przegadaliśmy prawie całą noc; żona - dobra kobieta”<sup>509</sup>. Próbował przekonać Morela do założenia wspólnie organizacji mającej zająć się wyłącznie walką o sprawiedliwość w Kongu, ale Morel był początkowo sceptyczny. Towarzystwo Opieki nad Tubylcami było niechętnie nastawione do

perspektywy powstania nowej organizacji, która miałaby działać na tym samym polu i konkurować o datki. Żona Morela, Mary, zgodziła się jednak z Casementem i to zapewne dzięki jej namowom Morel pojechał do Irlandii, żeby ponownie porozmawiać z Casementem. Napisał: „Plan Casementa znalazł gorącego orędownika w osobie mojej żony i jeśli przekroczyć Kanał Irlandzki\*\*\* (...), żeby się z nim zobaczyć (...), to w dużej części będzie [jej] zasługa. (...) To (...) na tej irlandzkiej ziemi (...), użyźnionej tyłoma ludzkimi łzami, Casement i ja spiskowaliśmy dalej (...), zastanawiając się nad różnymi sposobami i przygotowując plan kampanii”<sup>510</sup>.

Panowie jedli właśnie obiad w Slieve Donard Hotel w Newcastle, omawiając swoje sprawy, gdy Morel doszedł do przekonania, że „zło dziejące się w Kongu jest wyjątkowe, a wyjątkowe zło wymaga nadzwyczajnych metod. (...) Jeśli dałoby się poruszyć Brytyjczyków, można by poruszyć cały świat. (...) Wielka Brytania odegrała już kiedyś tę rolę [w walce z niewolnictwem]. (...) Czy bylibyśmy w stanie znowu wzruszyć jej wielkie serce?”<sup>511</sup>.

Casement, będący właśnie między jedną placówką a drugą, był jednak wciąż członkiem służby konsularnej. Nową organizacją musiał zatem kierować Morel. „Jak uporać się z prymitywnymi szczegółami? Wyjaśniłem Casementowi, że nie mam pieniędzy. (...) i on też ich nie ma (...). Bez wahania wypisał czek na 100 funtów”<sup>512</sup>. Było to więcej, niż wynosiła miesięczna pensja Casementa.

Wkrótce Casement napisał do Morela: „Nasza liczba powinna rosnać z każdym dniem, aż cała Anglia, jak długa i szeroka, zakrzyknie gromkim nie!”<sup>513</sup>.

Kilka tygodni po kolacji w Irlandii Morel założył Towarzystwo na rzecz Reform w Kongu (*Congo Reform Association*, CRA). Wykorzystując część darowizny Casementa kupił pierwsze sprzęty, między innymi maszynę do pisania. Zdobył też imponującą listę osób udzielających wsparcia nowej organizacji, na której znaleźli się lordowie, earlowie, biznesmeni, duchowni, parlamentarzyści, a także - chcący odwołać się do dziedzictwa walki z niewolnictwem - prawnuk słynnego brytyjskiego abolicjonisty, Williama Wilberforce'a. Pierwsze spotkanie CRA, które odbyło się 23 marca 1904 roku w liverpoolskim Philharmonic Hall, zgromadziło ponad tysiąc ludzi.

Choć i Casement, i Morel mieli swoje wady, ich przyjaźń okazała się głęboka i trwała.

Morel pisał do pewnego przyjaciela: „Myślę, że Morel jest niemal świętym, na tyle, na ile zwykły człowiek może nim być”<sup>514</sup>. Byli swoimi najlepszymi sojusznikami. Ich relacja stawała się głębsza z każdym rokiem, z kolejnymi listami, które ślali do siebie. Casement stał się „Drogim Tygrysem”, a Morel „Drogim Buldogiem”. Leopold był „Królem Bestii”.

Choć Casement mógł być jedynie cichym partnerem w kampanii na rzecz reform, entuzjastycznie udzielał Buldogowi rad na temat politycznej strategii, u kogo lobbować, a nawet jak się ubierać. W tajemnicy przed Foreign Office pomagał zbierać pieniądze na kampanię. Z kolei Morel zachęcał Casementa, aby wrócił do Konga i prowadził dalsze badania. Konsul odpisał, że tamtejsi urzędnicy mogą „powiesić mnie tak, jak powiesili Stokesa - a nic nie przysłużyłoby się lepiej sprawie niż bycie powieszonym przez tamtejszych diabłów”<sup>515</sup>. Nie jest to jedyny raz, kiedy słyhać u Casementa pragnienie męczeństwa.

Spotkanie, na którym Buldog i Tygrys obmyślali strategię walki z Królem Bestii, było później porównywane przez ich sympatyków do legendarnej rozmowy pod rozłożystym drzewem, jaką sto lat wcześniej odbyli William Pitt i William Wilberforce, która dała początek brytyjskiemu ruchowi abolicjonistycznemu. Tak jak brytyjscy abolicjoniści, Morel i Casement byli na razie bezpieczni w Anglii - pełni dobrych chęci, ale sami nie byli narażeni na ciosy *chicotte* czy noszenie kajdan. Byli białymi ludźmi próbującymi powstrzymać innych białych przed brutalnym traktowaniem Afrykanów. Większość Afrykanów toczących tę bitwę w Kongu zginęła i nie znamy ich imion, toteż szanując nazwiska Morela i Casementa, w pewnym sensie czcimy właśnie ich pamięć.

Ci dwaj mężczyźni byli jednak kimś znacznie więcej niż tylko kanapowymi mądralami. Byli ludźmi niewzruszonych przekonań, za które zapłacili wysoką cenę. Gdy w grudniu 1903 roku spotkali się, żeby podzielić się swoją pasją na temat Konga, nie wiedzieli, że kilkanaście lat później połączy ich jeszcze coś - obaj przekroczą bramy londyńskiego więzienia Pentonville. Jeden z nich nigdy go nie opuści.

\* Lista obecnych dobrze pokazuje, jak wyglądało wówczas życie rodzinne Leopolda. To, że królowa w ogóle była w Brukseli, wskazuje, iż zapewne wybierała się wieczorem do opery albo na koncert. Zmęczona oziębłością męża i jego publicznymi miłośkami nie mieszkała z nim pod jednym dachem. Odziana w poważną czerń, niekiedy nosząc na głowie męski cylinder, spędzała większość czasu w eleganckim kurorcie Spa, kojąc swoje smutki w

towarzystwie dziwnej menażerii, składającej się z kilku papug i lamy.

Klementyna, najmłodsza z trzech córek, była wówczas jedyną, z którą Leopold jeszcze rozmawiał. Księżę Wiktor Napoleon, łysiejący dziedzic wygasłego tronu cesarskiego Bonapartów, był miłością jej życia, ale nie zdał egzaminu u Leopolda. Dla powodzenia swoich afrykańskich ambicji król potrzebował wsparcia republikańskiej Francji, która obaliła Bonapartów, toteż nie wydał zgody na to małżeństwo. Bojaźliwa Klementyna nie sprzeciwiła się ojcu, zostając w pałacu w roli gospodyni. Poślubiła Wiktora Napoleona dopiero po śmierci Leopolda.

\*\* W sprawach dotyczących polityki zagranicznej monarcha Wielkiej Brytanii używa tytułu Jego lub Jej Brytyjskiej Mości (*His/Her Britannic Majesty*) (przyp. tłum.).

\*\*\* Cieśnina między Irlandią a Wielką Brytanią nosi dziś nazwę Kanał Północny (przyp. tłum.).

## „JEGO CZYNY PEŁNYM ŚWIATŁEM ZALEJ”

KRUCJATA, KTÓRĄ E.D. Morel prowadził teraz za pomocą Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu, wywierała coraz większy nacisk na rządy Belgii, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Rzadko się zdarza, żeby jeden człowiek, niemający ani pieniędzy, ani tytułów, ani oficjalnego stanowiska, przysporzył tylu kłopotów rządowi kilku ważnych krajów. Morel wiedział, że urzędnicy w rodzaju brytyjskiego sekretarza spraw zagranicznych, sir Edwarda Greya, będą działać dopiero wtedy, „kiedy będzie się ich kopać, a jeśli przestanie się ich kopać, to nie zrobią nic”<sup>516</sup>. Morel poświęcił temu kopaniu ponad dekadę swojego życia.

Poza kierowaniem Towarzystwem na rzecz Reform w Kongu Morel nadal poświęcał kilka godzin dziennie (czasem nawet szesnaście albo osiemnaście) na redagowanie swojej gazety „West African Mail”. „Ludzie chyba nie zauważają, że - poza wszystkim innym - wydaję tygodnik - pisał do kolegi-działacza - a także miesięcznik CRA, który czasami jest bardzo obszerny i który zwykły człowiek redagowałby cały miesiąc. Mogę robić to wszystko wyłącznie dlatego, że wyjątkowo szybko pracuję”<sup>517</sup>.

Morel mógł robić to wszystko także dlatego, że miał oddaną żonę, która prowadziła dom. W istocie, był jednym z niewielu szczęśliwie żonatych bohaterów tej opowieści. Mary Richardson Morel wychowała ich pięcioro dzieci i w każdy możliwy sposób zachęcała męża do dalszej pracy. Szczególnie polubiła Casementa, zgadzając się z nim, że jej mąż powinien założyć organizację poświęconą wyłącznie Kongu. Tak jak w przypadku wielu innych ówczesnych par, nie wiemy, ile znamienitych osiągnięć Morela było również jej zasługą. „Zawsze myślę o niej jako o części ciebie, o dwójce tworzącej «Morełów od reformy Konga», - pisał jego wieloletni zwolennik i powiernik John Holt<sup>518</sup>.

Morel miał również wady. Potrafił być uparty jak osioł i rzadko przyznawał się do błędów. W swojej gazecie od czasu do czasu umieszczał swoje zdjęcie, entuzjastyczne recenzje własnych książek, podziękowania dla niego, przedrukowywał z innych gazet

wywiady z samym sobą, a gdy wyruszał za granicę prowadzić kampanię na rzecz reform w Kongu, artykuł redakcyjny „życzy[ł] panu Morelowi sukcesów w podróży”<sup>519</sup>. Czasami ścierał się z kolegami, którzy zbytnio, jego zdaniem, koncentrowali na sobie uwagę prasy - nigdy jednak z Casementem, którego uwielbiał. Jak wielu niezwykle pracowitych ludzi, miewał napady depresji i użalania się nad sobą. „Moje życie domowe zmniejszyło się do mikroskopijnych proporcji. (...) Gonię resztkami sił” - pisał w 1906 roku do Marka Twaina, oznajmiając, że tak czy owak będzie dalej działał, ponieważ „ci nieszczęśni ludzie nie mają nikogo poza nami. A mają prawo żyć”<sup>520</sup>.

Nie był pozbawiony ograniczeń. Dzielił przesady innych Europejczyków swoich czasów - od wiary w magię wolnego rynku po przekonanie, że Afrykanie mają większy popęd seksualny niż biali mężczyźni i dlatego mogą być zagrożeniem dla białych kobiet. Inne dziwactwa wynikały z jego obsesji powstrzymania okrucieństw w należącym do Leopolda Kongu. U Morela życie Afrykanów w Kongu przed przybyciem białych przypominało wizję „szlachetnego dzikusa” Rousseau. Opisuując tradycyjne społeczeństwa Afryki, skupia się tylko na tym, co pokojowe i łagodne, ignorując zupełnie wszelkie brutalne aspekty tamtejszej kultury - do których należało również obcinanie dłoni zabitym wrogom, i to na długo przed tym, jak stało się to codzienną praktyką Force Publique<sup>521</sup>.

Co nawet ważniejsze, Morela tak bardzo złościła niegodziwość Leopolda, że zupełnie ignorował to, że jego własny kraj również stosował pracę przymusową - w dodatku powszechnie, choć bez takich morderczych skutków - szczególnie w koloniach na wschodzie i południu Afryki. Uważał, że w samym kolonializmie nie ma niczego złego, jeśli tylko administracja jest uczciwa i sprawiedliwa. Wierzył, że tak jest w brytyjskiej Afryce Zachodniej, gdzie bez wątplenia nie było żadnego kauczukowego terroru i żadnego zajmowania tak zwanej wolnej ziemi. W późniejszym okresie swojej kongijskiej kampanii znalazł nawet czas, żeby odwiedzić Nigerię i napisać książkę na jej temat, generalnie przychylną dla brytyjskich rządów.

Mimo tych wad, kiedy w grę wchodziła walka z niesprawiedliwością w Kongu, Morel miał niezachwiane, zaraźliwe poczucie dobra i zła. Był wyśmienitym mówcą i regularnie przemawiał do kilkutysięcznych grup, nie używając notatek. Tylko w latach 1907-1909 wystąpił na ponad pięćdziesięciu spotkaniach w całej Wielkiej Brytanii. „Czasami dostawałem napadów furii (...), gdy któraś wyjątkowo odrażająca historia szczególnie mną

wstrząsała albo gdy musiałem się ograniczać, ponieważ wokół kręcił się ktoś ze zgrai Leopolda. (...) Byłem podekscytowany, gdy dołożyłem im wyjątkowo mocno albo gdy to coś, co tak trudno nazwać, łąpało mnie na podium i czułem na wyciągnięcie ręki ogromną widownię”<sup>522</sup>.

Morel uważał, że jego ruch wpisuje się w wielką tradycję brytyjskich humanitarnych krucjat, takich jak szlachetne oburzenie wywołane przez tureckie masakry: Bułgarów w 1876 roku i Ormian w latach 90. XIX wieku. Nade wszystko zaś widział siebie jako moralnego dziedzica ruchu antyniewolniczego. Swoją oskarżycielską książkę zatytułowaną *Czerwony kauczuk: Opowieść o niewolniczym handlu kauczukiem, który kwitnie w Kongu w roku Pańskim 1906* zaczął mottem zaczerpniętym od wielkiego amerykańskiego abolicjonisty Williama Lloyd Garrisona:

Sztandar emancypacji został rozpostarty...

Nie będę szukał wykrętów,

Nie będę szukał wyjaśnień,

Nie cofnę się nawet o cal:

I zostaną usłyszany,

Historia pokaże, że miałem rację.

Brytyjska tradycja radykalizmu, z której wywodził się Morel, miała swoje korzenie w Kościołach nonkonformistów (protestantów nieuznających Kościoła anglikańskiego) oraz sekcje Clapham - grupie humanitarystów-ewangelikanów, do której należał William Wilberforce, jeden z przywódców abolicjonistów. We wczesnym wieku XIX zapal humanitarystów koncentrował się na polepszeniu warunków życia różnych represjonowanych grup: więźniów, robotników, pracujących dzieci, szaleńców. Nie była to jednak praca u podstaw, którą stosowali później marksiści i związkowcy, ale odgórne narzucanie reform, charakterystyczne dla klas wyższych. Chcieli likwidacji kary śmierci, kar cielesnych i okrucieństwa wobec zwierząt. Gdy zainteresowali się tym, co działo się za granicą, zaczęli

żądać zniesienia handlu niewolnikami i wysłania misjonarzy do odległych regionów świata, by „podźwignęli krajowców”. To właśnie Kościoły nonkonformistów, szczególnie baptystów, wysyłały brytyjskich misjonarzy do Konga.

Co ważne, owi polityczni prekursorzy Morela, w przeciwieństwie do współczesnych mu socjalistów, żywili niewzruszone przekonanie, że poprawianie losu udręczonych ludzi dobrze służy interesom. Lepsze traktowanie kolonialnych poddanych „promowałoby obywatelskie i handlowe interesy Wielkiej Brytanii (...) - uznała parlamentarna komisja w latach 30. XIX wieku. - Dzicy są niebezpiecznymi sąsiadami i klientami niedającymi zysku, a jeśli pozostają upodlonymi obywatelami naszych kolonii, stają się też ciężarem dla państwa”<sup>523</sup>.

Tacy humaniści nigdy nie sprzeciwiali się imperializmowi - dopóty był to imperializm brytyjski. „Emancypacja moralna umieściła Brytyjczyków na specjalnej płaszczyźnie (...) - podsumowuje James Morris w swojej historii Imperium Brytyjskiego. - Skoro tak wiele można osiągnąć, agitując w kraju, to co można by zdziałać, gdyby rozprzestrzenić moralny autorytet Anglii na całej ziemi - stawiając czoło niegodziwościom niewolnictwa, ignorancji i pogaństwa u ich samego źródła, ucząc prostych ludzi dobrodziejstw pary, wolnego handlu i objawionej religii, ustanawiając imperium nie w złym, napoleońskim sensie, ale Moralne Imperium szlachetniejszych intencji. W ten sposób rozwijała się tradycja ewangelikańskiego imperializmu”<sup>524</sup>.

W tej tradycji Morel czuł się jak w domu, gdyż idealnie odpowiadała jego talentowi organizacyjnemu. Choć nie miał żadnych powiązań z bogaczami, ludźmi potężnymi i sławnymi, potrafił im wmówić, że wspierając jego kongijską krucjatę, pomagają samym sobie. Co miesiąc na okładce magazynu Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu ukazywało się całostronicowe zdjęcie jakiejś ważnej osoby, która wspierała działalność organizacji - lorda, earla, parlamentarzysty, byłego gubernatora kolonialnego z zakreślonym wąsem. Po tym, jak Morel założył Towarzystwo w Liverpoolu, zadbał o to, by pierwsze spotkanie komitetu wykonawczego odbyło się w pokoju, który załatwił przychylny sprawie poseł z Izby Gmin. Na niemal każdym publicznym spotkaniu CRA pojawiał się na podium jakiś biskup. Mając wsparcie zarówno państwa, jak i Kościoła, Morel zdał sobie sprawę, że tylko nieliczni wpływowi Brytyjczycy potrafią oprzeć się jego prośbom o wsparcie swoim nazwiskiem sprawy reform w Kongu.



Jedno z jego politycznych ograniczeń było zarazem źródłem jego ogromnej skuteczności jako organizatora. Gdyby Morel uważał, tak jak my dzisiaj, że gwałt na Kongu dokonywany przez Leopolda jest logiczną konsekwencją samej idei kolonializmu, wiary w to, że nie ma niczego złego w odmawianiu mieszkańcom danego kraju prawa do rządzenia się samemu, od razu zostałby uznany za radykała i nikt w Anglii by go nie słuchał. Było jednak inaczej. Całym swoim sercem wierzył, że system stworzony przez Leopolda jest wyjątkowym rodzajem zła. Ludzie z najwyższych warstw angielskiego społeczeństwa mogli zatem wspierać jego krucjatę, nie obawiając się, że zagrozi ona ich własnym interesom.

Mimo pewnych potknięć Morel był w awangardzie tradycji humanitarystów. Jego przekonania były o wiele bardziej wywrotowe, niż był w stanie to przyznać przed samym sobą. Okrucieństwa w Kongu postrzegał nie jako jakąś niedoskonałość, którą należało wyeliminować za pomocą specjalnej ustawy - jak pracę dzieci czy karę śmierci - ale jako część szerszego zjawiska, głęboko zakorzonego „systemu” (by użyć jego własnego określenia) niewolniczej pracy oraz przejmowania afrykańskiej ziemi przez Europejczyków. Taki punkt widzenia znacznie bliższy jest marksizmowi niż wyniosłemu humanitaryzmowi, choć Morel prawdopodobnie nigdy nie przeczytał ani jednego zdania napisanego przez Marksa. Nigdy nie udało mu się rozwiązać konfliktu między tymi dwoma światopoglądami i ciągle napięcie między nimi było dla niego źródłem wielu dramatów.

\*

„Morel jako organizator i lider ruchu dysydentów nie miał sobie równych - pisze historyk A.J.P. Taylor. - Doskonale wiedział, gdzie szukać bogatych sympatyków, i brał od nich pieniądze, ani trochę nie rezygnując przy tym z demokratycznego charakteru [swojego ruchu]. Jego przywództwo akceptowali zarówno milionerzy, jak i robotnicy”<sup>525</sup>. Wśród milionerów byli kwakrzy, jak zamożny, ale wiodący prosty żywot producent czekolady William Cadbury. Datki od bogatych sympatyków utrzymywały przy życiu „West African Mail” i to właśnie ta gazeta - a nie Towarzystwo na rzecz Reform w Kongu - opłacała jego pensję. Paradoksalnie w gazetę zainwestował też trochę sir Alfred Jones z linii Elder Dempster, bez wątplenia licząc na to, że w ten sposób choć trochę stonuje zapal swojego byłego pracownika. Jego nadzieje okazały się jednak płonne, gdyż Morel raz za razem

bezlitośnie atakował Jonesa, ujawniając jego działania jako głównego sojusznika Leopolda w Wielkiej Brytanii. Gdy Jones zorientował się, że nie ma żadnego wpływu na Morela, usunął z gazety swoje ogłoszenia.

Morel dobrze wiedział, jak dostosować przekaz do odbiorców. Przypominał brytyjskim przedsiębiorcom, że monopol Leopolda - skopiowany przez Francuzów - odciął ich od kongijskiego rynku. Duchownym mówił o chrześcijańskiej odpowiedzialności i cytował ponure doniesienia nadsyłane przez misjonarzy. Wszystkim Brytyjczykom oraz ich przedstawicielom w parlamencie przypominał zaś powszechne, choć zazwyczaj niewypowiedziane przekonanie, że to właśnie Anglia ponosi szczególną odpowiedzialność za to, żeby na świecie zwyciężyła prawość.

Jedną z najbardziej zaskakujących rzeczy związanych z kongijską krucjatą było to, że poza przemawianiem na mityngach Morel prowadził ją głównie ze swojego gabinetu. Przez pierwszą połowę dziewięcioletniej działalności Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu nie mieszkał nawet w Londynie. Aż do grudnia 1908 roku główna siedziba CRA mieściła się w Liverpoolu. To właśnie stamtąd, i ze swojego domu w pobliskim Hawarden, Morel prowadził ożywioną korespondencję. Na przykład w pierwszej połowie 1906 roku napisał trzy tysiące siedemset listów. Ogromna liczba jego książek, broszur i artykułów prasowych na temat Konga sprawiała, że pisało do niego mnóstwo ludzi. Uważnie sprawdzał prawdziwość nadchodzących wiadomości, czytając belgijskie gazety i dokumenty, prowadząc korespondencję z urzędnikami państwowymi, dziennikarzami i kupcami w Europie i Afryce. W 1908 roku szacował, że zgromadził dwadzieścia tysięcy listów na temat Konga. Posłużyły one za podstawę wielu dzieł, które opublikował.

Pomimo swojej niechęci do zorganizowanej religii, niekiedy przybierał ton kaznodziei. Leopold i jego zwolennicy, „gadzia, kongofilska prasa Brukseli i Antwerpii”<sup>526</sup>, ucieleśniali diabła, a administracja Konga była „złym i zepsutym systemem, czyniącym ogromne niesprawiedliwości tubylczym rasom”<sup>527</sup>. Morela odbierano tak życzliwie, ponieważ dobrze oddawał ducha swoich czasów, pełnego optymizmu, bezgranicznej wiary w społeczeństwo (które nie widziało i nawet nie wyobrażało sobie horroru wojen światowych) i zdolność ludzkości do przezwyciężenia wszystkich barier, leżących na drodze postępu. „Nasi ojcowie zmietli handel niewolnikami na morzach - pisał w swojej książce *Rządy króla Leopolda w Kongu* - a my powinniśmy wykorzenić współczesny handel niewolnikami w

Kongu”<sup>528</sup>.

Chciał, by ruch na rzecz reform w Kongu był formacją stojącą ponad partyjnymi i religijnymi podziałami. Na jego wiecach przemawiali zawsze posłowie z trzech głównych partii, duchowni anglikanów i nonkonformistów, a także burmistrzowie miast i inni rozmaici dygnitarze. Miał znakomity talent do organizowania wielkich wydarzeń. Typowy wiec często poprzedzało popołudniowe spotkanie w ratuszu z miejscowym burmistrzem i rajcami. Później burmistrz pojawiał się na podium. Do końca 1905 roku na ponad sześćdziesięciu spotkaniach przyjęto rezolucje potępiające rządy Leopolda jako restaurację handlu niewolnikami i wzywające „rząd Jego Królewskiej Mości do zwołania zgromadzenia wszystkich chrześcijańskich mocarstw (...) aby opracować i wcielić w życie plan sprawowania dobrych rządów nad terytorium Konga”<sup>529</sup>. W Liverpoolu widownia nie tylko zapełniła audytorium mające niemal trzy tysiące miejsc, ale zajęła też dwie sąsiednie sale. W całej Anglii i Szkocji na podobnych spotkaniach rozbrzmiewały okrzyki: „Hańba! Hańba!”.

Morel, wirtuoz ówczesnych mediów, szczególnie efektywnie wykorzystywał fotografię. Niemal każdy wiec protestacyjny koncentrował się wokół pokazu około sześćdziesięciu zdjęć dokumentujących życie pod rządami Leopolda, z czego kilka pokazywało okaleczonych Afrykanów albo ich odcięte dłonie. Zdjęcia te, pokazywane na spotkaniach i przedrukowywane w prasie, zobaczyły miliony ludzi. Stanowiły one dowód, którego żadna propaganda nie była w stanie zdezawuować.

Pokazywano także wykresy i diagramy z szacunkowymi dochodami, jakie przynosiło Leopoldowi Kongo, a nawet wiersze, w których czuć było pasję:

Ni wiara, ni żarliwość wiodły Leopolda,

Ni obłąd urodzenia na wpół szlachetnego.

Zimnooki, wypuścił mordercze ogary

Po to, by jego skarbiec dławił się od złota.

Zabalsamuj go, Czasie; Ziemio, wspomnij jego,

Głoś jego imię, czyny pełnym światłem zalej<sup>530</sup>.

(przeł. Jacek Dehnel)

Aby „zalać światłem” czyny Leopolda, Morel musiał zmobilizować zaprzyjaźnionych dziennikarzy. Znał wydawców większości głównych brytyjskich gazet i czasopism, gdyż regularnie pisał do większości z nich, w tym do najbardziej prestiżowego - „Timesa”. Kiedy jakiś wydawca chciał wysłać reportera do Belgii albo do Konga, Morel zawsze miał kogoś godnego polecenia. Bez ogródek przyznawał, że doprowadził do „upadku” brukselskiego korespondenta „Timesa”, który był - jego zdaniem - zbyt przychylny Leopoldowi<sup>531</sup>. Dostarczał informacje sprzyjającym mu belgijskim gazetom i rozsyłał je po całym świecie za pomocą swoich kontaktów w Stowarzyszeniu Prasy. Gdy magazyn „Collier” wysłał do Afryki słynnego amerykańskiego korespondenta Richarda Hardinga Davisa, Morel poinformował go o najnowszych doniesieniach, które ostatecznie znalazły się w artykułach Davisa.

Raport Casementa dodał skrzydeł międzynarodowej kampanii, o której zaczęto pisać w gazetach na całym świecie. W jego drobiazgowo gromadzonych archiwach znajdują się cztery tysiące sto dziewięćdziesiąt cztery wycinki prasowe z lat 1902-1912, dotyczące ruchu na rzecz reform w Kongu<sup>532</sup>. Nie skupiał się przy tym tylko na gazetach: autor powieści przygodowej dla chłopców z 1906 roku zatytułowanej *Samba: Historia kongijskich niewolników kauczuku* dziękuje we wstępie organizatorom CRA za „uczynienie mu tej grzeczności, jaką było przeczytanie rękopisu i sprawdzenie faktów, a także za celne sugestie i uwagi krytyczne”<sup>533</sup>.

Sam Morel pisał o sobie jako o człowieku „opętanym Kongiem”. List z 1906 roku do kwakerskiego sojusznika Williama Cadbury’ego pokazuje, jak bardzo:

Książka. Wychodzi w tym tygodniu... [chodziło o *Czerwony kauczuk*]

Glasgow. Lord Prowost\* zwołał posiedzenie. Prawdopodobnie będę musiał iść. Organizuję lokalny oddział CRA... Jacyś ważni przyjaciele w Glasgow, do których mógłby Pan wysłać list?

Francja. Francuskie CRA ma powstać w tym miesiącu...

Wzbiera fala. Prośby o literaturę dosłownie mnie zalewają. Od dwunastu do dwudziestu listów dziennie z prośbą o literaturę, informacje etc<sup>534</sup>.

Morel, tak jak abolicjoniści przed nim, rozumiał, że każda ogólnokrajowa organizacja musi mieć swoje lokalne oddziały, toteż CRA otwarło swoje „filie” w całej Anglii i Szkocji. Lokalne grupy mobilizowały swoich członków do wysyłania datków, pisania do swoich przedstawicieli w parlamencie oraz zalewania listami lokalnych gazet. Oddział Pań miał dwie przedstawicielki w komitecie wykonawczym CRA. Takimi oto sposobami Morel wywierał ciągłą presję na brytyjski rząd. On i jego sojusznicy nigdy nie wątpili w to, że jeśli tylko Wielka Brytania zaczęłaby działać, to mogłaby zmusić Leopolda do zmiany postępowania albo nawet wyrwać mu z rąk Kongo.

Morel wiedział, że najefektywniejszymi rzecznikami byli ci, którzy mieli wiedzę z pierwszej ręki. W 1906 roku w Towarzystwie zaczęli działać wielebny John Harris, misjonarz baptystów, który wrócił z Konga, oraz jego żona Alice Seeley Harris (która zrobiła większość zdjęć wykorzystanych później przez Morela). Zapal Harrisów dorównywał zapalowi Morela. W ciągu pierwszych dwóch lat pracy dla CRA ponad sześćset razy wystąpili publicznie, razem albo osobno. W czasie jednego ze spotkań w Walii jakaś kobieta tak się przejęła, że wręczyła Alice Harris swoje klejnoty, żeby je sprzedała i przekazała pieniądze ruchowi. Harrisowie pokazywali *chicotte* i kajdany, a w kościołach całej Anglii intonowali specjalne hymny w tak zwane kongijskie niedziele. Opisywali wstrząśniętym słuchaczom swoje osobiste doświadczenia, takie jak to, które John Harris jakiś czas później spisał:

W szeregu stoi (...) czterdziestu synów afrykańskiej wioski, każdy trzyma kosz pełen kauczuku. Kosze są ważone i przyjmowane, ale (...) cztery kosze są zbyt lekkie. Rozkaz jest brutalnie krótki i surowy - pierwszego winowajcę chwyta czterech krzepkich „katów”, rzuca na ziemię i łapie za ręce i nogi. Piąty bierze do ręki długi bicz z poskręcanej skóry hipopotama. Bicz spada szybko i bez wahania, a ostre, pofalowane brzegi głęboko przecinają ciało - plecy, ramiona i pośladki, krew tryska z wielu miejsc. Na próżno ofiara wije się w uścisku katów, bicz rozcina inne części drżącego ciała - u jednego z czterech jego najwrażliwszą część. „Sto batów dla każdego” zostawia po sobie drżące, zakrwawione ciała, leżące na lśniącym piasku przed punktem zbierania kauczuku.

Po tym wstrząsającym wydarzeniu miało miejsce następne. Śniadanie dobiegło końca, kiedy na schodach prowadzących na werandę naszego domu z gliny pojawił się afrykański ojciec i położył na ziemi dłoń i stopę swojej małej córeczki, która nie mogła mieć więcej niż pięć lat<sup>535</sup>.

\*

Gdy kampania Morela w Europie nabierała tempa, z Brukseli do kongijskiej stolicy Boma, a stamtąd do najodleglejszych posterunków płynął gorączkowy strumień listów. W pobliżu brytyjskiej misji, w której pracowali Harrisowie, władze państwa Kongo ulokowały zastępcę oskarżyciela publicznego. Gubernator generalny napisał do niego tak:

Został Pan umieszczony w Baringa przede wszystkim po to, by regularnie informować władze o wszystkim, co w regionie Baringa ma związek z agitacją misjonarzy. (...) Będzie Pan zapewne potrzebował do pracy kilku czarnych, którzy będą mogli zbierać po okolicznych wioskach użyteczne informacje, szczególnie wtedy, gdy misjonarze udadzą się w podróż.

Upoważniam Pana do zatrudnienia w tym celu pięciu robotników. Wydałem polecenia głównemu komisarzowi regionu równika, aby zapewnił Panu niezbędne środki. Wykorzysta je Pan w sposób, który uzna za odpowiedni, czy to zatrudniając czarnych robotników, (...) czy to ofiarowując podarki zamieszkującym wioski tubylcom, którzy mogą dostarczyć Panu informacji (...). Nie muszę dodawać, że należy przy tym zachować jak największą dyskrecję<sup>536</sup>.

W kolejnych miesiącach oskarżyciel publiczny w Boma polecił swojemu zastępcy w Baringa dowiedzieć się, jakie plany mają być omawiane na nadchodzącym spotkaniu protestanckich misjonarzy. Kilka tygodni później wysłał mu także wydania „West African Mail” z ostatnich siedmiu miesięcy oraz wiadomość, że dalsze numery zostaną nadesłane, kiedy tylko dotrą do stolicy:

Zwracam pańską szczególną uwagę na konieczność informowania władz o wszystkich nieścisłościach w wysuwanych przez misjonarzy oskarżeniach, tak aby można było zarzucić

im, że atakują Państwo Kongo ze złej woli. Bardzo ważne jest to, żeby bardzo uważnie przestudiował Pan każdy z tych numerów i wysłał mi raport na temat zawartych w nich nieścisłości<sup>537</sup>.

Wraz z nasilaniem się ataków na Leopolda reżim stopniowo zwiększał kontrolę sojuszników Morela w Kongu. Na największe ryzyko narażony był Hezekiah Andrew Shanu<sup>538</sup>.

Wielka Brytania założyła swoje kolonie w Afryce przed Leopoldem, toteż właśnie w brytyjskich koloniach Wolne Państwo Kongo szukało początkowo doświadczonych pracowników, żołnierzy *etc.* Shanu urodził się w dzisiejszej Nigerii i tam zdobył wykształcenie nauczycielskie. W 1884 roku zaczął pracę dla Leopolda, między innymi rekrutując do Force Publique żołnierzy ze swojej ojczyzny. Gdy dostał posadę kancelisty i tłumacza z angielskiego w biurze gubernatora generalnego w Boma, sprowadził z Lagos żonę, szwagra oraz resztę rodziny. W 1893 roku porzucił pracę państwową, aby otworzyć własny biznes. W następnym roku udał się do Belgii, gdzie umieścił syna w szkole, a sobie zamówił fortepian i łódź parową. We wszystkich krajach kolonialnych przychylnie patrzono na wyrażających wdzięczność poddanych, toteż Shanu, który opowiadał o Kongu i dziękował Belgom za ich dobrą robotę, przyjmowany był entuzjastycznie. Jedna z gazet zauważyła z aprobatą, że Shanu „wyraża się po francusku z wielką poprawnością”<sup>539</sup>, a inna protekcjonalnie zapamiętała go jako „uderzający przykład możliwości doskonalenia się, jakie są dostępne czarnej rasie”<sup>540</sup>. Shanu, szlachetnie wyglądający mężczyzna, w czasie oficjalnych wystąpień pojawiał się w wykrochmalonym białym kołnierzyku, z wstęgą kongijskiego medalu wpiętą w klapę marynarki.

Po wizytach w Anglii, Francji i Niemczech Shanu wrócił do Konga i dokonał imponującego wyczynu - w kraju stworzonym przez białych dla ich korzyści został odnoszącym sukcesy biznesmenem. Otworzył w Boma dobrze zaopatrzone skład, sprzedający konserwy i inne europejskie towary. Do tego prowadził jeszcze zakład krawiecki, pralnię, a także małe pensjonaty w Boma i przy końcowej stacji kolei, w Matadi. Lubił fotografię i publikował swoje zdjęcia w brukselskim czasopiśmie „Le Congo Illustré”. Gdy wynajął jeden ze swoich domów brytyjskiemu wicekonsulowi, zrobił na nim tak wielkie wrażenie, że ten zarekomendował Foreign Office Shanu na swojego zastępcę w czasie, kiedy konsul będzie przebywał w Anglii. Szanowali go również byli pracodawcy. W 1900 roku, w czasie buntu

żołnierzy Force Publique w Boma, państwowi urzędnicy z wdzięcznością przyjęli jego pomoc, a Shanu zapobiegł rozszerzeniu się buntu na przebywających w mieście robotników z Afryki Zachodniej. Zaproponował nawet, że sam weźmie do ręki broń przeciwko buntownikom. „W tej trudnej chwili monsieur Shanu dał dowód swojej lojalności wobec państwa” - napisał wysokiej rangi urzędnik<sup>541</sup>.

Do tamtej pory Shanu stał w jednym rzędzie z władcami Konga, ale coś (choć nie wiemy co) uległo zmianie i przeszedł do obozu wrogów Leopolda. Dla czarnoskórego mężczyzny, mieszkającego w stolicy Konga, było to niebezpieczne posunięcie. Jednym z dowodów jego nowej postawy było dostarczenie Rogerowi Casementowi informacji na temat złego traktowania w Kongu robotników z Afryki Zachodniej. W zamian Casement powiedział Shanu o kampanii, którą Morel prowadził w Europie. Gdy w 1903 roku Casement prowadził swoje badania w głębi kraju, Shanu wysłał list do Morela z prośbą o egzemplarze jego pism. Morel, zachwycony perspektywą posiadania afrykańskiego sojusznika w samej stolicy wroga, natychmiast odpisał, wysyłając Shanu prenumeratę swojej gazety, książkę i kilka broszur. „Nie wiem, jakie są Pańskie poglądy na sprawę Konga - pisał - ale jeśli zgadzają się z moimi, będę wielce rad, jeśli od czasu do czasu przekaże mi Pan jakieś informacje”<sup>542</sup>. Kilka tygodni później Morel napisał ponownie, sugerując Shanu, by wysyłał listy na adres teścia Morela w Devon, żeby tym sposobem uniknąć cenzury w Boma. Nie minęło wiele czasu, gdy Shanu zaczął wysyłać mu różne użyteczne wiadomości.

Gdy w Europie zaczęły się protesty przeciw rządowi Leopolda, Wolne Państwo Kongo zaczęło spektakularnie karać niskich rangą białych urzędników za okrucieństwa wobec Afrykanów. Od czasu do czasu skazywano ich nawet na więzienie, ale zazwyczaj wypuszczano po odsiedzeniu tylko części kary. Procesy były jednak ryzykowne dla władz, gdyż ujawniały opinii publicznej kompromitujące fakty. Tak jak inne kozły ofiarne tyrańskich reżimów na całym świecie, oskarżeni o brutalne masakry w Kongu bronili się, że tylko wykonywali rozkazy - na co zresztą często mieli dowody w postaci świadków lub dokumentów. Państwo dbało o to, by utajnić dokumentację tych procesów, i przez kilka lat nic nie wyciekło. Morel, wiedząc, że te materiały mogą być znakomitą amunicją w kampanii na rzecz reform w Kongu, poprosił Shanu o pomoc.

W początkach 1904 roku pojawiła się wyjątkowo głośna sprawa<sup>543</sup>. Charles Caudron, łatwo pociągający za spust agent kompanii kauczukowej, został oskarżony o szereg zbrodni,



w tym o zamordowanie co najmniej stu dwudziestu dwóch Afrykanów. Postawiono go przed sądem częściowo po to, żeby państwo mogło twierdzić, że dba o prawa człowieka, ale władze miały też inne powody. Caudron obraził swojego zwierzchnika, który uważał, że to on dowodzi wojskowymi operacjami w regionie. Poza tym zaprowadzony przez niego terror zakłócił produkcję kauczuku w zazwyczaj bardzo zyskownym regionie.

Proces ujawnił bardzo wiele na temat rządowej praktyki brania zakładników. Sąd apelacyjny zmniejszył wyrok Caudrona z powodu „okoliczności łagodzących”. Przywołując znajomą śpiewkę na temat „leniwego krajowca”, sąd odniósł się do „poważnych trudności, w których znalazł się [Caudron], wypełniając swoje zadanie wśród ludzi całkowicie niechętnych jakiegokolwiek pracy, niezanujących żadnego prawa poza prawem siły, nieznających innych środków perswazji niż terror”<sup>544</sup>.

Shanu zdobył część dokumentów procesowych i potajemnie wysłał je Morelowi, który natychmiast opublikował je w swojej gazecie, twierdząc, że jest to „najpotężniejszy cios, jaki kiedykolwiek spadł na państwo Kongo”<sup>545</sup>. Była to przesada, ale materiały były w istocie kompromitujące. Najbardziej zawstydzające słowa pochodziły z ust samych kongijskich urzędników. Zwróciły uwagę brytyjskiego Foreign Office i zostały przedrukowane w oficjalnym raporcie.

Kolejny wkład Shanu w kampanię zakończył się jednak tragicznie. Był łącznikiem między Morelem a pewnym kongijskim urzędnikiem, szefem policji w Boma, twierdzącym, że ma informacje, które może przekazać - lub sprzedać - reformatorom. Mężczyzna okazał się jednak zdrajcą. Zaatakował Morela w belgijskiej prasie i ujawnił, że Shanu jest jego współnikiem. Morel, uważający Shanu za człowieka o „nieskalanej reputacji i wielkiej odwadze”<sup>546</sup>, obawiał się o jego życie i namawiał brytyjskiego konsula w Boma, by zrobił co tylko w jego mocy, żeby go ochronić. Wysyłał Shanu oferty pomocy i niespokojnie wypytywał o wiadomości. Gdy wreszcie nadeszły, nie były dobre. Ponieważ Shanu był obywatelem brytyjskim, władze Konga nie chciały aresztować go i ryzykować międzynarodowego incydentu. Mogły go jednak nieustannie prześladować, w tym odbierając mu medal, przyznany wcześniej za pracę na rzecz państwa. Później zakazały państwowym pracownikom mieć cokolwiek wspólnego z interesami, które prowadził, co oznaczało dla nich pewny wyrok śmierci. W lipcu 1905 roku Hezekiah Andrew Shanu popełnił samobójstwo.

\*

Jednym z najelegantszych paryskich hoteli przełomu stuleci był położony w pobliżu Łuku Triumfalnego hotel Élysée-Palace. Któregoś dnia jeden z gości zauważył pewną młodą kobietę, która również przebywała w hotelu. Jej imię i nazwisko - jak i inne szczegóły z przeszłości - pozostają niepewne: nazywała się Caroline, ale może Blanche, Delacroix, ale może Lacroix. Choć jeszcze nastoletnia, Caroline była kochanką Antoine'a-Emmanuela Durrieux, byłego oficera francuskiej armii. Próbował utrzymać ich oboje, grając na wyścigach, ale gdy szczęście przestało mu sprzyjać, zaczął również działać jako jej alfons. Ich apartament w Élysée-Palace był wygodną kwaterą, choć często zdarzało się, że nie opłacali rachunków. Nieoczekiwane rozwiązanie ich kłopotów pojawiło się samo, gdy pewnego dnia do Caroline podeszła kobieta i powiedziała: „*Madame*, przychodzę do pani z polecenia pewnego dżentelmena, który zwrócił na panią uwagę. Jest bardzo ważną osobą i jego wysoki status nie pozwala mi ujawnić jego tożsamości”<sup>547</sup>.

Spotkanie zostało umówione na następny dzień. Według niekoniecznie wiarygodnych pamiętników Caroline, niczego nieświadomy Durrieux, w cylindrze i perłowoszarych rękawiczkach, z lornetką na szyi, wyruszył na tor wyścigowy. (Bardziej prawdopodobne jest to, że doskonale wiedział, co się dzieje, i że zapłacono mu z góry). Caroline udała się do ustronnego pokoju w budynku przy pobliskiej rue Lord Byron. Ważna persona przybyła w towarzystwie dwóch pomocników, którzy usiedli po obu stronach Caroline i zaczęli zadawać jej pytania. „To nie była rozmowa, ale raczej seria zadawanych naprzemiennie banalnych pytań. (...) Musiałam zwracać głowę to w prawo, to w lewo. Odpowiadałam bez zastanowienia, gdyż - jak dowiedziałam się później - jedynym celem pytań było pokazanie milczącej personie obu moich profili”<sup>548</sup>. Obejrzawszy swoją nową zdobycz, ważna osoba uśmiechnęła się pod wąsem i wyraziła zadowolenie. Mężczyzna zaprosił Caroline na wspólną podróż do Austrii i następnego dnia przysłano jej dużą sumę pieniędzy oraz puste skrzynie na nowe suknie, które Caroline miała sobie wybrać. Jej wielbiciel odnalazł najlepszą drogę do jej serca, gdyż nad wszystko inne na świecie uwielbiała kupować ubrania. Caroline miała szesnaście lat. Król Leopold II miał sześćdziesiąt pięć.

Wtedy, tak jak i dziś, nic powiązanego z monarchią nie mogło pozostać tajemnicą. Dworzanie plotkowali, służba szeptala i wieści o skandalicznym romansie szybko dotarły na

łamy europejskiej prasy. Od dawna było wiadomo, że Leopold gustuje w bardzo młodych kobietach, ale utrata głowy dla szesnastoletniej prostytutki była jednak czymś zupełnie innym. Jego nowa kochanka mogłaby być jego wnuczką. Niepoukładane życie rodzinne Leopolda i jego seksualne gusta są w tej historii czymś więcej niż tylko pobocznym detalem. To prawdopodobnie z ich powodu stracił więcej na popularności niż z powodu wszystkich okrucieństw, jakie w jego imieniu popełniano w Afryce<sup>\*\*549</sup>. To sprawiło, że gdy stał się obiektem ataków międzynarodowego ruchu sprzeciwu wobec polityki w Kongu, tylko nieliczni jego poddani chcieli stawać w jego obronie.

Prywatne słabostki Leopolda uczyniły z niego wdzięczny obiekt ataków ze strony prasy światowej, koordynowanych przez Morela. Długa broda, teraz już siwa, czyniła z niego marzenie karykaturzystów. Łamy europejskich gazet zaczęła nawiedzać wielka, okryta płaszczem postać - ociekająca krwią broda, ręce zaciskające się na skurczonych głowach Kongijczyków, pożeranie wzrokiem tancerek *corps de ballet*. Zasiada do stołu, na który podano odcięte głowy Afrykanów przyozdobione bagnetami. Car Mikołaj II narzeka, że jego knut nie jest wystarczająco skuteczny, więc jego kuzyn Leopold, ubrany w tygrysią skórę, zaleca używać *chicotte*. Wzgardzone córki Leopolda smutno błagają ojca o używane suknie Caroline. Leopold i turecki sułtan gawędzą wesoło nad butelką wina, porównując masakrę Kongijczyków do rzezi Ormian.

Kilka lat po tym, jak zaczął się nowy związek króla, zmarła jego zboląła żona, Maria Henrietta, miłośniczka koni i muzyki. Odtąd zadurzenie Leopolda w Caroline stało się już skandalicznie jawne. Umieścił ją w Villa Vanderborght, wielkiej posiadłości położonej naprzeciwko królewskiej rezydencji w Laeken, i kazał zbudować kładkę nad drogą, żeby móc swobodnie odwiedzać ukochaną.

Był maniakalnie zazdrosny o Caroline - i miał po temu powody. Pewnego razu nakrył ją w brukselskiej willi z Durrieux, tym samym byłym oficerem, któremu - jak sądził - sprzątnął ją sprzed nosa. Durrieux, którego Caroline usiłowała przedstawić jako swojego brata, pojawiał się także przy innych okazjach. Jedna z gazet informowała swoich czytelników, że we wszystkich jej rezydencjach Caroline i Durrieux kazali zainstalować elektryczne dzwonki, żeby służba mogła ich ostrzec, gdyby nadchodził Leopold.

Po tym, jak przeniosła się do Brukseli, Caroline często wyprawiała się do Paryża, by

odwiedzać swoją krawcową i kapelusznika. (Przechwalała się, że w jednym sklepie, Callot, wydała na suknie trzy miliony franków). Gdy poskarżyła się królowi, że wieczorny pociąg do Brukseli odjeżdża za wcześnie i przez to nie ma wystarczająco dużo czasu na zakupy, Leopold wolał porozmawiać z dyrektorem kolei niż pozwolić Caroline zostać na noc w Paryżu, poza jego kontrolą. Odtąd pociąg odjeżdżał godzinę później<sup>550</sup>.

Caroline szybko nauczyła się wykorzystywać dziwactwa Leopolda, jak na przykład hipochondrię. „Pewnego dnia, gdy potrzebowałam kilku godzin dla siebie, uzyskałam je, kichając. Ileż razy udało mi się utrzymać jakieś intrygujące kobiety z daleka od króla, mówiąc mu, że mają katar!”<sup>551</sup>.

Leopold zabierał Caroline wszędzie. Oficjalnie podróżowała incognito, ale wraz ze wzrostem liczby służących stało się to trudne. Ku oburzeniu wszystkich w 1901 roku towarzyszyła królowi w podróży na pogrzeb jego kuzynki, królowej Wiktorii. Król nie do końca stracił zainteresowanie innymi młodymi kobietami - w Brukseli, Paryżu i innych miejscach od czasu do czasu wysyłał swojego lokaja albo innego pośrednika, żeby wyszukał kandydatki spełniające pewne fizyczne wymagania - ale Caroline pozostała kimś specjalnym. Zamiast ukrywać dzielącą ich różnicę wieku, raczej ją podkreślali: ona nazywała go *Très Vieux*, a on ją *Très Belle*. O ile ktoś taki jak Leopold był w ogóle zdolny do kochania kogokolwiek, to właśnie ta nieletnia prostytutka była miłością jego życia.

Związek Leopolda z Caroline nie był jedyną sprawą, która przyczyniła się do spadku jego popularności wśród poddanych. Belgowie zaczęli zauważać, że Kongo nie przynosi krajowi wielkiego zysku - większość dochodów szła bezpośrednio na suknie i wille Caroline albo na budowlane projekty króla. Ponieważ Leopold nie miał zbyt dobrego gustu, nie znał się na literaturze i teatrze, a jego niechęć do muzyki była dobrze znana - wydawał pieniądze głównie na budowę, i to zgodnie z zasadą, że im większe, tym lepsze.

Całymi latami król twierdził, że jest biedny, ale im więcej powstawało łuków triumfalnych, muzeów i pomników, tym trudniej było podtrzymywać tę fikcję. Belgowie byli jeszcze bardziej rozgoryczeni, gdy wyszło na jaw, że większość swego nowo zdobytego bogactwa król wydaje za granicą. Szybko stał się jednym z największych właścicieli ziemskich na francuskiej Riwierze, gdzie zbudował przystań dla swojego piętnastotonowego jachtu, „Alberty”, i nakazał architektom z Nicei zaprojektować i wznieść kilka wspaniałych

willi. Należała do niego większość ziemi na krańcu malowniczego Cap Ferrat, który wtedy, jak i dziś, był jednym z najdroższych rejonów nadmorskich na świecie.

Zасыpywał swoją młodą kochankę zamkami i posiadłościami. Gdy zaszła w ciążę, rozpoczął budowę nowej willi na Cap Ferrat, a połowę kosztów budowy nowej drogi, która pozwoliłaby łatwiej dojechać powozom, pokrył rząd Francji. Gdy urodził się syn, nadał mu tytuł księcia Tervuren, a Caroline została baronową de Vaughan. Król wziął ją na rejs po Morzu Śródziemnym na swoim jachcie, ale belgijska opinia publiczna wciąż jej nie znosiła - do tego stopnia, że pewnego razu w Brukseli jej powóz został obrzucony kamieniami. Dla Europejczyków nie było różnicy między prywatnym i publicznym życiem króla. Drugi syn Caroline przyszedł na świat ze zdeformowaną ręką. Karykatura w „Punchu” przedstawiała nowo narodzone dziecko, otoczone ciałami Kongijczyków z odciętymi dłońmi. Podpis głosił: ZEMSTA NIEBIOS.

Co czuł Leopold, gdy zrozumiał, że stał się obiektem takiej nienawiści? Bez wątpienia nie dawało mu to spokoju. Pisał do swojego współpracownika: „Nie pozwolę, by mnie utyłano w krwi i błocie”<sup>552</sup>. Nigdy jednak nie okazywał zawstydzenia albo poczucia winy, zawsze przybierając ton irytacji albo samoużalania się nad sobą. Pewnego razu, gdy w jakiejś niemieckiej gazecie zobaczył swoją karykaturę, na której osobiście odcinał dłonie Murzynom, pociągnął nosem i - jak twierdził adiutant - powiedział: „Odcinanie dłoni - a to idiotyzm! Odciałbym im wszystko inne, ale nie dłonie. To jedyne, czego potrzebuję w Kongu!”<sup>553</sup>. Nic dziwnego, że gdy na jakimś spotkaniu król żartobliwie przedstawił premiera Auguste’ a Beernaerta jako „największego cynika w królestwie”, Beernaert z kamienną miną odparł, że nie śmiałby zajmować miejsca należnego Jego Wysokości<sup>554</sup>.

\* Burmistrz (przyp. tłum.).

\*\* Nie przysporzyły mu także przyjaciół w innych miejscach - po tym, jak złożył oficjalną wizytę w Niemczech, purytańska żona cesarza Wilhelma II, Augusta, wysłała swojego osobistego kapelana, żeby odprawił egzorzczmy w pokojach zajmowanych przez Leopolda.

## ROZLICZENIE

KIEDY E.D. MOREL, Roger Casement oraz ich sojusznicy zwrócili uwagę Europy na doniesienia o ludobójstwie dokonywanym w Afryce Środkowej, gazety i czasopisma prześcigały się w publikowaniu zdjęć spalonych wiosek i okaleczonych ciał oraz zeznań misjonarzy, opowiadających o wyludnieniu całych regionów. Dzisiaj, czytając zapisy i oglądając fotografie, nie sposób nie zapytać - ile osób zginęło w Kongu Leopolda? To dobry moment, żeby przerwać naszą opowieść i spróbować znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Nie jest to jednak łatwe. Przede wszystkim nie możemy narzucić sobie sztywnych ram czasowych, tak jak robimy to, mówiąc o Żydach zamordowanych przez nazistów, kiedy bierzemy pod uwagę lata 1933-1945. Należące do króla Leopolda II Wolne Państwo Kongo istniało oficjalnie dwadzieścia trzy lata, od 1885 roku, ale już wtedy ginęło wielu Kongijczyków, a ważne elementy systemu wyzysku przetrwały jeszcze wiele lat. Boom kauczukowy, przyczyna największego rozlewu krwi w Kongu, rozpoczął się za rządów Leopolda, w połowie lat 90. XIX wieku, ale trwał jeszcze wiele lat po zakończeniu jego autokratycznych rządów.

Co więcej, choć mordy w Kongu dokonywane były na ludobójczą skalę, nie były - ściśle rzecz ujmując - ludobójstwem. Państwo Kongo nie starało się celowo wyeliminować z powierzchni ziemi jednej grupy etnicznej. Ludzie Leopolda, niczym handlarze niewolników, którzy od setek lat grasowali na kontynencie afrykańskim, szukali rąk do pracy, a jeśli w trakcie tych poszukiwań i wykorzystywania pracowników zmarły miliony ludzi, nie miało to większego znaczenia. Tylko nieliczni urzędnicy prowadzili statystyki czegoś w ich oczach tak nieistotnego, jak śmierć Afrykanów. Z tego powodu oszacowanie liczby ofiar wymaga dzisiaj sporej dawki pracy detektywistycznej.

Możemy wyróżnić cztery najważniejsze powody tak ogromnego spadku liczby ludności: 1) mordy; 2) głód, wyczerpanie i ciężkie warunki atmosferyczne; 3) choroby; a także 4) gwałtownie spadającą liczbę narodzin. W najgorszym dla Konga długim okresie

boomu kauczukowego występowały w obfitości wszystkie cztery zjawiska.

Mordy. Choć morderstwa jako takie nie były główną przyczyną śmierci w Leopoldowym Kongu, to jednak są najlepiej udokumentowane. Gdy wioska albo region nie dostarczały wymaganej ilości kauczuku albo sprzeciwiały się władzom regionu, żołnierze Force Publique albo „zwiadowcy” kauczukowych kompanii zazwyczaj zabijali każdego, na kogo się natknęli. Sytuacje, w których świadek widział, a później opisał stos trupów albo odciętych dłoni, były - oczywiście - tylko ułamkiem ich ogólnej liczby. Ale nawet takie ułamki potrafiły ranić wyjątkowo dotkliwie:

W 1896 roku niemiecka gazeta „Kölnische Zeitung”, powołując się na „ważną osobę z Belgii”, opublikowała wiadomość, że tylko w ciągu jednego dnia niesławnemu komisarzowi regionalnemu Leonowi Fiévezowi dostarczono tysiąc trzysta osiem odciętych dłoni. Gazeta dwukrotnie powtórzyła tę historię, bez żadnej noty sprzeciwu ze strony państwa Kongo<sup>555</sup>. Kilka raportów protestanckich i katolickich misjonarzy na temat wydarzeń tamtego dnia podawało nawet większą liczbę dłoni. Przy późniejszych okazjach Fiévez przyznawał, że stosuje się odcinanie dłoni zwłokom, ale gwałtownie zaprzeczył, jakoby nakazał odcinać dłonie żywym ludziom<sup>556</sup>.

W 1899 roku państwowy urzędnik Simon Roi, zapewne nie zdając sobie sprawy, że jedna ze słuchających go osób jest amerykańskim misjonarzem, przechwalał się na temat dowodzonych przez siebie szwadronów śmierci. Misjonarz Ellsworth Faris zapisał tę rozmowę w swoim dzienniku: „Za każdym razem, kiedy kapral wyrusza z tubylcami po kauczuk, fasuje pewną liczbę naboí. Po powrocie musi się z nich oczywiście rozliczyć, a za każdy wystrzelony przedłożyć prawą dłoń zabitego tubylca! (...) [Roi] poinformował mnie, że w ciągu sześciu miesięcy w rejonie rzeki Momboyo zużyto sześć tysięcy naboí, co znaczyło, że sześć tysięcy ludzi zostało zabitych lub okaleczonych. A właściwie jeszcze więcej niż sześć tysięcy, gdyż opowiadano mi nieraz, że żołnierze często zabijają dzieci uderzeniem kolby karabinu, żeby zaoszczędzić amunicję”<sup>557</sup>.

W czasie karnej ekspedycji przeciwko buntownikom z plemienia Budja (zob. s. 244-246) zabito ponad tysiąc trzystu Afrykanów. Doniesienia na ten temat pojawiły się w belgijskich gazetach w 1900 roku, w tym w jednej, którą współfinansowało państwo Kongo. W ciągu następnej dekady na jego terytorium wybuchły dziesiątki innych rebelii przeciwko zbieraniu kauczuku. Nie sposób oszacować, ile ofiar przyniosły te pacyfikacje, ale czasami jakaś przypadkowa statystyka pozwala dojść do wstrząsających wniosków, zwłaszcza gdy wiemy, że żołnierze byli surowo karani za „marnowanie” naboí na „pozaludzkie” cele. Wśród

całej masy dokumentów z ABIR, ujawniających wiele danych, do których dotarł Morel, znajduje się rejestr, pokazujący, że w 1903 roku tylko do jednego z trzydziestu pięciu punktów zbioru kauczuku wysłano w sumie 159 sztuk broni i 40 355 sztuk amunicji<sup>558</sup>.

Lista udokumentowanych masakr jest znacznie dłuższa. Terytorium Konga zostało zalane trupami, czasami nawet dosłownie. Szwedzki misjonarz E.V. Sjöblom pisał, że gdy rzeka wpływała do jeziora Tumba, widział „unoszące się na wodzie martwe ciała z odciętymi dłońmi. Gdy wróciłem, pewien oficer powiedział mi, dlaczego zostali zabici - z powodu kauczuku. Kiedy przekraczałem strumień, zobaczyłem kilka ciał w wodzie, zawieszonych na konarach. Odwróciłem wzrok, nie chcąc patrzeć na ten straszny widok, kiedy pewien idący za nami kapral, tubylec, powiedział: «Och, to nic takiego. Kilka dni temu wróciłem z boju i przyniosłem białemu człowiekowi 160 dłoni, a on wrzucił je do rzeki»,<sup>559</sup>.

Wiadomości o masowych mordach pochodziły nie tylko od misjonarzy i gości. Wielu oficerów Force Publique prowadziło zaskakująco szczere dzienniki, w których pisali o śmierci i zniszczeniu, jakie zostawiali za sobą.

Szwedzki oficer Force Publique, porucznik Knut Svensson, mógł być sprawcą tego, co widział jego rodak Sjöblom w wiosce Bikoro nad jeziorem Tumba. Svensson odnotował w dzienniku, że w ciągu czterech i pół miesiąca od ustanowienia kauczukowego reżimu w latach 1894-1895 zabił 527 ludzi<sup>560</sup>. (Zgodnie z ustnymi przekazami tego regionu, Svensson zbierał ludzi odpornej wioski pod pretekstem podpisywania traktatu albo zatrudniania tragarzy, a następnie po prostu otwierał ogień)<sup>561</sup>.

Rzeczowość dziennika innego oficera, Charles'a Lemaire, mrozi krew w żyłach. „28 marca 1891 roku: (...) spalona wioska Bokanga (...); 4 kwietnia 1891: postój w Bolébo. (...) Ponieważ na nasze spotkanie wyszli z dzidami i muszkietami, spaliliśmy wioskę. Jeden tubylec zabity. (...); 12 kwietnia 1891 roku: atak na wioski Ikengo. (...) Wielki wódz Etchimanjindou, Ekélé, został zabity i wrzucony do wody. (...); 14 czerwca 1891 roku: wyprawa przeciwko Loliva, którzy odmówili przybycia do stacji. Straszna pogoda, atak w czasie ulewy. Krajowców było dużo, nie mogłem wykończyć wszystkich. Około 15 zabitych czarnych. (...); 14 czerwca 1891 roku: o 5 rano wysłałem Metchoudiego z Zanzibaru z około czterdziestoma ludźmi (...), żeby spalili Nkolé. (...) Operacja zakończyła się sukcesem i wszystko zostało spalone. (...); 4 września 1891 roku: o 4 rano przygotowania do ataku na Ipéko. (...) Cała wioska została spalona, a bananowce ścięte. (...); 13 lipca 1892 roku: porucznik Sarrazijn zaatakował wioski Bompopo 7 lipca; 20 krajowców zabitych; 13 kobiet i dzieci wziętych w niewolę”<sup>562</sup>.

Z dziennika Louisa Leclercq'a, innego oficera Force Publique: „21 czerwca 1895 roku



(...) Przybyliśmy do Yambisi o 10.20 rano. (...) Wioska opuszczona. Wysłaliśmy kilka grup żołnierzy, aby przeczesał okolicę. Wrócili po paru godzinach z 11 głowami i 9 więźniami. Czółno wysłane wieczorem na polowanie przywiozło też kilka głów. 22 czerwca 1895 roku: rano przyprowadzono trzech więźniów, a wieczorem trzech kolejnych i tyleż głów. Jakiś człowiek z Baumaneh biegnący przez las i krzyczący imiona swojej zaginionej żony i dzieci zbliżył się za bardzo do naszego obozu i dostał kulkę od jednego z naszych zwiadowców. Przynieśli nam jego głowę. Nigdy wcześniej nie widziałem twarzy, na której rysowałaby się taka rozpacz, taki strach. (...) Spaliliśmy wioskę<sup>563</sup>.

Dzienniki Lemaire' a i Leclercq - oraz wielu innych - wyglądają podobnie, takie same wpisy dzień za dniem, tydzień za tygodniem.

Stawianie jakiegokolwiek oporu - nawet próby oszukiwania białych - były śmiertelnie niebezpieczne. Kiedy regionalny komisarz Jules Jacques <sup>564</sup>dowiedział się, że niektórzy krajowcy, chcąc wydobyć kauczuk, przecięli i zniszczyli pnącza, zamiast tylko naciąć je, tak jak to mieli polecane, wysłał następującą wiadomość swojemu podwładnemu: „M. le Chef de Poste. Ci ludzie [Inongo] są zdecydowanie diabelskim nasieniem. Właśnie przecięli kauczukodajne pnącza. (...) Musimy walczyć z nimi, aż nam się całkowicie poddadzą albo aż zostaną zupełnie wytępieni. (...) Proszę poinformować krajowców, że jeśli przetną choćby jeszcze jedno pnącze, to wytępimy ich do ostatniego człowieka”. E.D. Morel przedrukował tę wiadomość<sup>565</sup>.

Kiedy Kurtz pisał niesławne słowa: „Wytępić całe to bydło!”, Conrad nie musiał wiele wymyślać.

Głód, wyczerpanie i ciężkie warunki atmosferyczne. Gdy rozeszły się wieści na temat panującego terroru, tysiące ludzi uciekło ze swoich wiosek. W odwecie żołnierze często zabierali ich zwierzęta, palili chaty i pola uprawne, nie zostawiając Afrykanom żadnego jedzenia. Takie postępowanie było czymś normalnym jeszcze przed nastaniem kauczukowego boomu, kiedy żołnierze Leopolda poszukiwali przede wszystkim tragarzy, kości słoniowej i pożywienia. Pewien szwedzki oficer opisuje jeden z takich ataków w 1885 roku, w regionie wodospadów dolnego Konga: „Gdy się zbliżyliśmy, w wiosce nastąpiło straszliwe zamieszanie. Krajowcy (...) zostali wzięci całkowicie zaskoczenia. Widzieliśmy, jak zbierają, co tylko mogą, i uciekają w głąb lasu. (...) Zanim opuściliśmy wioskę, kazałem ją splądrować i zabrać kozy, kury i kaczki. (...) Następnie opuściliśmy wioskę i udaliśmy się w lepsze miejsce na nocny odpoczynek<sup>566</sup>.

Tubylcy, uciekając przed takimi ekspedycjami, czasami zostawiali małe dzieci z

obawy, że ich krzyki mogą ujawnić kryjówkę. W rezultacie tego wiele dzieci cierpiało głód. Niewielka liczba ludzi, która miała to szczęście, że żyła w pobliżu granic Konga, uciekła z kraju. Jak szacował pewien francuski gubernator, do 1900 roku na francuskie terytoria przedostało się około trzydziestu tysięcy uchodźców<sup>567</sup>. Inni uciekli na ziemie brytyjskie, choć wielu utonęło w rzece Luapula, wzdłuż której biegła granica z brytyjską Rodezją Północną. Dla większości Kongijczyków nie było jednak żadnej ucieczki, chyba że w głąb dżungli albo na bagna, gdzie brakowało jedzenia i nie było gdzie się schować. Edgar Canisius, amerykański poszukiwacz przygód, widział ludzi zbiegłych przed pacyfikacjami, po których zostawała tylko spalona ziemia, „żyjących w lesie jak dzikie zwierzęta, jedzących korzenie, mrówki i inne owady”<sup>568</sup>. Prezbiteriański misjonarz, kolega Williama Shepparda, pisał w 1899 roku: „Gdy tylko wieśniacy słyszą, że zbliżają się przedstawiciele państwa, jak jeden mąż uciekają do lasu. Jestem pewien, że dziś w nocy, w środku pory deszczowej, w promieniu stu dwudziestu kilometrów od Luebo śpi w lesie co najmniej czterdzieści tysięcy ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, chorych. A są to ostrożne szacunki”<sup>569</sup>.

W tym samym czasie pewien młody angielski odkrywca Ewart S. Grogan przemierzył wzdłuż Afrykę i był wstrząśnięty tym, co zobaczył w północno-wschodniej części Konga; na „wyludnionym i spustoszonej”, długim na pięćset kilometrów odcinku traktu „każda wioska została spalona do cna. Uciekając z kraju, widziałem szkielety, wszędzie szkielety; jakież potworne rzeczy mówiły!”<sup>570</sup>.

Wioski tych, którzy nie uciekli do lasu, też dotknął głód, ponieważ jeśli mieszkali blisko placówek zbioru kauczuku, musieli oddawać żołnierzom większość swoich zbiorów: banany, maniok, ryby, mięso. Wioska Bumba, położona na terytorium podległym ABIR, liczyła sto rodzin, ale co miesiąc musiała dostarczyć piętnaście kilogramów pochrzynu i innych warzyw, a do tego pięć świń albo pięćdziesiąt kurczaków<sup>571</sup>. Co więcej, wioski takie jak ta musiały gromadzić jedzenie, chociaż wszyscy sprawni mężczyźni przebywali w lesie, desperacko starając się zebrać kauczuk. Bez mężczyzn, niezbędnych do zakładania nowych poletek (kluczowych przy uprawie w delikatnej ziemi lasu deszczowego), kobiety często musiały obsadzać tę samą ziemię. Spadały więc zbiory i okres ten pamiętany jest w regionie jako *lonkali* - czas głodu.

Zmarły tysiące zakładników: mężczyzn, kobiet, dzieci i starców, których imion nie znamy. Żołnierze przetrzymywali ich w brudnych zagrodach otoczonych palisadą, często zakuty w łańcuchy, ledwie ich żywiąc (jeśli w ogóle), tak długo, aż mężczyźni z ich wioski nie dostarczyli wymaganej ilości kauczuku - co mogło trwać całymi tygodniami. W 1899 roku tylko w jednym takim ostrokołe umierało od trzech do dziesięciu więźniów dziennie<sup>572</sup>.

Choroby. Tak jak w przypadku amerykańskich Indian, których zdziesiątkowały choroby, zabiły one więcej Kongijczyków niż kule. Europejczycy i afro-arabscy handlarze niewolników sprowadzili do interioru Konga wiele nieznanych tam wcześniej chorób. Miejscowa ludność nie miała czasu wyrobić sobie odporności takiej, jaką miała na przykład na malarię. Nowe i stare choroby szybko się rozprzestrzeniały, ponieważ wielu Kongijczyków zmuszano do dalekich podróży - musieli dźwigać towary na wielkie odległości, stanowić załogę łodzi parowych (wielka łódź potrzebowała od dwudziestu do sześćdziesięciu drwali) albo, wcieleni siłą do Force Publique, służyć jako żołnierze. Największymi zabójcami były ospa i śpiączka afrykańska, choć mniej groźne infekcje płuc i innych organów wewnętrznych też zbierały znaczne żniwo.

Ospa była od setek lat chorobą endemiczną w niektórych rejonach afrykańskiego wybrzeża, ale wielkie migracje ludności w epoce imperialnego podboju rozniosły chorobę po całym interiorze, zostawiając wymarłe całe wioski. Zmarł na nią król Kuba - następca tego, który powitał w swoim królestwie Williama Shepparda. Ospa wzbudzała wyjątkowe przerażenie. Afrykanie nie znali jej przyczyn, toteż nazywali ją „chorobą z góry” albo „chorobą z niebios”. Pewien podróżnik dotarł kiedyś do wymarłego miasteczka, gdzie ciałami ofiar ospy żywił się niemal pięciometrowy boa dusiciel oraz sępy, które były tak obżarte, że nie mogły unieść się w powietrze<sup>573</sup>.

Rzekami rozprzestrzeniała się także śmiertelna śpiączka afrykańska. Szacuje się, że tylko w 1901 roku zmarło na nią pół miliona Kongijczyków<sup>574</sup>. Chorobę powoduje pasożyt, przenoszony przez ugryzienie muchy tse-tse, wielkiej jak giez i wydającej charakterystyczne, przenikliwe brzęczenie. Przeniesiona na ludzi śpiączka jest bardzo zaraźliwa. Wywołuje gorączkę, powiększenie węzłów chłonnych, ochotę na mięso i wrażliwość na zimno. Wreszcie nadchodzi śpiączka, od której pochodzi nazwa choroby.

Obrońcy Leopolda, skonfrontowani z dowodami wysokiej śmiertelności, zarówno wtedy, jak i dziś obwiniali i obwiniają o to właśnie śpiączkę afrykańską<sup>575</sup>. To prawda, że gdyby Kongo przełomu wieków znalazłoby się we władaniu kogoś innego, ta i inne choroby tak czy inaczej spowodowałyby śmierć wielu ludzi. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana, gdyż choroby rzadko kiedy działały same. Epidemie zawsze zbierają większe żniwo wśród ludzi niedożywionych i zmalretowanych - naziści i Sowietnicy nie potrzebowali plutonów egzekucyjnych i komór gazowych, żeby zabić wielu więźniów obozów. Dzisiejsi epidemiolodzy dobrze znają dokładne mechanizmy tym rządzące, zbadane w minionym stuleciu głodu i drutów kolczastych. Nie trzeba było jednak być lekarzem, żeby

dostrzec, że umierający w Kongu nie są jedynie ofiarami chorób. Charles Gréban de Saint-Germain, sędzia w Stanley Falls, napisał w 1905 roku: „Choroby straszliwie gnębią wycieńczoną ludność i temu właśnie, moim zdaniem, należy przypisać stały wzrost zachorowań na śpiączkę. W połączeniu ze zmuszaniem ludzi do pracy tragarzy oraz niedoborem pożywienia ten kraj będzie wkrótce zdziesiątkowany. Nigdzie w Kongu nie widziałem tak przygnębiających scen jak wzdłuż drogi z Kasongo do Kabambare. Większość wiosek jest prawie pusta, wiele chat zniszczonych, mężczyźni, kobiety i dzieci są chudzi, słabi, bez życia, bardzo chorzy, apatyczni. Jednak przede wszystkim nie ma jedzenia”<sup>576</sup>.

Gwałtownie spadająca liczba narodzin. Nie ma niczego zaskakującego w tym, że kiedy mężczyzn na całe tygodnie wysyłano do pracy w lesie, a wygłodzone kobiety przetrzymywano w charakterze zakładniczek, rodziło się coraz mniej dzieci. Związek ten zauważył pewien katolicki misjonarz, pracujący od wielu lat w ważnym, kauczukodajnym regionie nad jeziorem Mai Ndombe. Gdy w 1910 roku przybył tam po raz pierwszy, zaskoczył go niemal zupełny brak dzieci między siódmym a czternastym rokiem życia, choć były dzieci młodsze i starsze. Szczyt boomu kauczukowego w regionie przypadł na lata 1896-1903. W tym właśnie czasie w sąsiednim regionie przebywał prowadzący śledztwo Roger Casement. Szacował, że populacja zmniejszyła się o 60 procent, i napisał, że „w wielu przypadkach dopiero teraz resztki populacji wracają do swoich zniszczonych albo opuszczonych wiosek. (...) Niższa liczba narodzin zmniejsza liczbę ludności. (...) Kobiety nie chcą rodzić dzieci i próbują się zabezpieczyć przed macierzyństwem. Tłumaczą, że gdyby nadeszła «wojna», «kobieta z brzuchem» albo z dzieckiem na ręku nie mogłaby uciekać i ukryć się przed żołnierzami”<sup>577</sup>. Spadek ludności Konga wynikał więc po części z tego, że w zgębionych rodzinach, rozdzielonych kampanią kauczukową, przestawały rodzić się dzieci.

\*

Pierwszy ogólnokrajowy spis ludności został przeprowadzony w Kongu dopiero wiele lat po zakończeniu kauczukowego terroru. Daniel Vangroenweghe, belgijski antropolog pracujący na tych terenach w latach 70. XX wieku, znalazł przekonujące dowody demograficzne na to, że duża liczba mężczyzn zmarła w wyniku przepracowania albo została zabita w karnych ekspedycjach. Potwierdziły to statystyki prowadzone przez sam reżim. Nie ma innego wyjaśnienia dla pewnych niezwyklej prawidłowości, które daje się zauważyć,

gdy czyta się lokalne spisy ludności wiosek, przeprowadzone wiele lat przed pierwszym spisem powszechnym. Niezmiennie pokazują większą liczbę kobiet niż mężczyzn<sup>578</sup>.

Na przykład w Inongo w 1907 roku było 309 dzieci, 402 dorosłe kobiety i tylko 257 dorosłych mężczyzn (było to miasto, którego ludność regionalny komisarz kazał dziesięć lat później „całkowicie podporządkować (...) albo (...) zupełnie wytępić”). W pobliskim Iboko było w 1908 roku 322 dzieci, 543 dorosłe kobiety, ale tylko 262 dorosłych mężczyzn. Niezliczone statystyki z innych wiosek pokazują to samo. Studiowanie tych statystyk dzisiaj przypomina przeczesywanie ruin krematoriów z Auschwitz. Nie dowiemy się z nich, jaka była dokładna liczba ofiar, ale pokażą nam, że doszło do masowego mordu.

Czy biorąc pod uwagę wszystkie te cztery czynniki, możemy powiedzieć, o ile zmniejszyła się populacja Konga w czasie rządów Leopolda? Tak jak historykom próbującym oszacować liczbę ofiar dżumy w czternastowiecznej Europie, łatwiej nam podać przybliżony procent niż dokładną liczbę - w końcu nie dysponujemy dokładnymi spisami ludności. Co ciekawe, niektóre szacunki spadku liczby ludności w Kongu, których dokonali bezpośredni świadkowie, zgadzają się ze współczesnymi wyliczeniami, dokonanymi metodami naukowymi.

Oficjalna komisja belgijska w 1919 roku szacowała, że od chwili, w której Stanley położył podwaliny pod Leopoldowe państwo, ludność terytorium „zmniejszyła się o połowę”<sup>579</sup>. W 1920 roku do podobnych wniosków doszedł major Charles C. Liebrechts, przez większą część istnienia Wolnego Państwa Konga główny urzędnik tamtejszej administracji. Najbardziej miarodajne szacunki pochodzą od Jana Vansiny, emerytowanego profesora historii i antropologii na Uniwersytecie Wisconsin i prawdopodobnie największego specjalisty od etnografii ludności Kotliny Konga. Oparł swoje wyliczenia na „niezliczonych lokalnych źródłach z różnych terenów: doniesieniach kapłanów na temat kurczącej się liczby wyznawców, przekazach ustnych, genealogii i wielu innych”<sup>580</sup>. Jego ustalenia są identyczne: w latach 1880-1920 ludność Konga zmniejszyła się „co najmniej o połowę”<sup>581</sup>.

Połowę czego? Dopiero w latach 20. XX wieku podjęto pierwszą próbę przeprowadzenia ogólnokrajowego spisu. W 1924 roku obliczono ludność Konga na dziesięć milionów, co potwierdziły późniejsze spisy. To by znaczyło, że w czasie rządów Leopolda ludność terytorium zmniejszyła się mniej więcej o dziesięć milionów<sup>582</sup>.

\*

Spalone wioski, zagłodzeni zakładnicy, zastraszeni uchodźcy umierający na bagnach, rozkazy „eksterminacji” - nawet przyjmując chłodne, ekonomiczne podejście, czyż nie był to nieefektywny sposób prowadzenia interesu? Wyrznięcie ogromnej liczby ludzi może zastraszyć pozostałych przy życiu i zmusić ich do zbierania kauczuku, ale czy przy tym nie niszczy się siły roboczej? Tak właśnie było. Belgijscy zarządcy nakazali w 1924 roku przeprowadzenie spisu ludności właśnie dlatego, że martwił ich brak rąk do pracy. „Ryzykujemy, że pewnego dnia miejscowa ludność całkowicie zniknie - ogłosił tego samego roku zafrasowany komitet stały Narodowego Kongresu Kolonialnego Belgii. - Możemy znaleźć się w sytuacji, w której kolonia stanie się pustynią”<sup>583</sup>.

Dlaczego zatem mordy trwały tak długo? Ta sama nieracjonalność charakteryzuje wiele innych masowych mordów. W Związku Radzieckim na przykład rozstrzeliwanie i zamykanie w więzieniach politycznych przeciwników początkowo pomogło Partii Komunistycznej i Józefowi Stalinowi zdobyć władzę absolutną, ale nawet gdy już nie było żadnych przeciwników, rozstrzelano jeszcze siedem milionów ludzi, a kolejne miliony zmarły w odległych obozach Gulagu. Aresztowano tylu inżynierów, że fabryki przestały pracować; tylu kolejarzy, że niektóre pociągi przestały jeździć; tylu pułkowników i generałów, że w czasie niemieckiej inwazji w 1941 roku w dużym stopniu pozbawiona dowództwa Armia Czerwona została prawie rozbita w pył.

W Kongu, jak w Rosji, masowe mordy miały swój własny impet. Władza jest kusząca, a nie ma większej władzy niż możliwość pozbawienia kogoś życia. Raz rozpoczęty masowy mord trudno zatrzymać, staje się czymś w rodzaju sportu, jak polowanie. Annały Konga pełne są przypadków takich jak ten: René de Permentier, oficer, pod koniec lat 90. XIX wieku stacjonował w regionie równinowym. Afrykanie nazywali go Bajunu (od *bas genoux* - na kolana), gdyż zawsze zmuszał, by przed nim klękano. Kazał ścinać wszystkie krzewy i drzewa wokół swojego domu w Bokatola, żeby z ganku móc trenować strzelanie do przechodzących ludzi. Jego podwórko zamiatały więźniarki, ale jeśli znalazł choćby liść, nakazywał ścinać dziesięć z nich. Jeśli ścieżka w lesie była zaniedbana, kazał zabijać dziecko w najbliższej wiosce<sup>584</sup>.

Dwóch oficerów Force Publique, Clément Brasseur i Léon Cerckel, rozkazało ugotować człowieka żywcem<sup>585</sup>. Powiesili go za nogi na drzewie palmowym i rozpalili pod nim ogień. Dwóch misjonarzy natknęło się na posterunek, w którym zabijano więźniów, polewając im głowy żywicą i podpalając ją<sup>586</sup>. Lista takich potworności jest jeszcze dłuższa.

Michael Herr, najlepszy reporter z wojny w Wietnamie, uchwycił ten sam obłęd w głosie jednego ze spotkanych amerykańskich żołnierzy: „Wyrwiemy ogrodzenia, podpalimy bimbler i wysadzimy wszystkie studnie, zabijemy wszystkie kury, świnie i krowy w każdej pieprzonej wiosce. Jeśli nie możemy zastrzelić tych ludzi, to co my tu, kurwa, robimy?”<sup>587</sup>. Kiedy inny Amerykanin, Francis Ford Coppola, chciał oddać na ekranie żądzę krwi, na czym oparł fabułę swojego *Czasu apokalipsy*? Na książce Josepha Conrada, który widział to wszystko sto lat wcześniej w Kongu.

## „DZIENNIKARZE NIE DADZĄ PANU ŻADNYCH POKWITOWAŃ”

KIEDY KRUCJATA na rzecz reform w Kongu osiągnęła swoje apogeum, w Anglii ze sceny zszedł człowiek, którego nazwisko nierozzerwalnie łączyło się z gnębionym terytorium. Sir Henry Morton Stanley został wybrany na posła, ale służba w parlamencie nudziła go. Porywające opowieści o swoich przygodach, które lubił opowiadać z mównicy, nie pasowały do wytwornego stylu Izby Gmin. Stanleyowi brakowało także poczucia humoru, które często przydawało się w parlamencie. Wkrótce zrezygnował ze stanowiska.

Miał zaledwie sześćdziesiąt kilka lat, ale lata walki z malarią, dyzenterią i innymi tropikalnymi chorobami zrobiły swoje. Ten zdumiewająco niski mężczyzna z krótko ściętymi, siwymi włosami i wąsami, o rumianej, ogorzałej twarzy, poruszał się coraz wolniej. Uważnie śledził wiadomości na temat wojny burskiej, pomstując na rebeliantów, którzy ośmielili się sprzeciwić władzy Brytyjczyków. Użał się nad sobą, nazywając się „człowiekiem, który całe swoje życie poświęcił swojej ojczyźnie i Afryce”<sup>588</sup>, i niespokojnie pracował nad autobiografią. Choć całe życie był szybkim, płodnym pisarzem, tej książki nie dokończył, zapewne obawiając się, że zaplącze się we własnoręcznie utkaną sieć kłamstw na temat swojego dzieciństwa i młodości. Wraz z żoną Dorothy i adoptowanym synem dzielił czas między dom w Londynie oraz wzniesioną w stylu neotudorowskim wiejską posiadłość w Surrey. Różne miejsca na jej terenie nosiły nazwy odnoszące się do jego chwały: staw - Stanley Pool, strumień - Kongo, a zagajnik - Las Ituri.

Plotki głosiły, że Stanley nie był zadowolony z tego, że Kongo stało się scenerią opowieści grozy, ale w swoich nielicznych publicznych wypowiedziach zawsze stawał w obronie Leopolda. Pogorszył się stan jego zdrowia, do czego zapewne przyczyniły się tabuny lekarzy, prześcigających się w ordynowaniu słynnemu pacjentowi wszystkich najnowszych terapii: zastrzyków ze strychniny, amoniaku, eteru, impulsów elektrycznych *etc.* Gdy 10 maja 1904 roku, w nocy, Stanley usłyszał bicie Big Bena, wymruczał: „Jakież to dziwne! A więc to



właśnie ten czas! Dziwne”. Tak brzmiały jego ostatnie słowa<sup>589</sup>.

Był jednym z najbardziej szanowanych Europejczyków swoich czasów i jego lojalność wobec Leopolda była dla króla najlepszą reklamą, z którą nic innego nie mogło się równać. Gdy jednak zabrakło Stanleya, opublikowano raport Casementa, a ataki Morela nabrały siły, Leopold musiał znaleźć nowe metody obrony. A pojawiły się one w nieoczekiwanym miejscu.

W pierwszej dekadzie XX wieku luksusowe podróże koleją osiągnęły swoje apogeum. Wygodne wagony sypialne Compagnie Internationale de Wagons-Lits woziły pasażerów między europejskimi miastami. Dla ludzi zamożnych podróż nocnym pociągiem oznaczała obłoki syczącej pary na peronie, tragarza niosącego walizki oraz stewarda ścielącego łóżko. W połowie dekady podróż zaczął umilać elitom jeszcze jeden dodatek. Na stoliku w przedziale sypialnym pojawiał się miesięcznik „Prawda o Kongu”, wydawany w trzech językach - po angielsku, francusku i niemiecku. Jego darmowa dystrybucja wśród niewielkiej grupy najzamożniejszych Europejczyków była marzeniem każdego wydawcy. Głównym udziałowcem Compagnie Internationale de Wagons-Lits był król Leopold II. Tak oto zaczął się kontratak.

Ataki na Leopolda, podsycane przez Morela, nadchodziły ze wszystkich stron. W ciągu dekady liczne filie Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu powstały w Niemczech, Francji, Norwegii, Szwajcarii i wielu innych krajach. Ośmiu członków szwedzkiego parlamentu podpisało się pod rezolucją wspierającą CRA. Do sympatyków Towarzystwa zaliczał się między innymi książę Borys Czetwertyński z zasłużonej polskiej rodziny arystokratycznej, słynny pisarz Anatole France, a także norweski noblista Bjørnstjerne Bjørnson. Jak relacjonuje pewien naoczny świadek, gdy na wiecu w Szwajcarii pokazywano zrobione przez Alice Harris zdjęcia okaleczonych dzieci z Konga, mężczyźni zbledli, a kobietom zwilgotniały oczy<sup>590</sup>. Na wielkim, publicznym wiecu w Australii jeden z mówców zaatakował administrację Konga, podobnie działo się w Nowej Zelandii. We Włoszech jeden z krytyków Leopolda był tak głośny, że konsul Państwa Konga w Genui, Giovanni Elia, wyzwał go na pojedynek (obaj mężczyźni zostali lekko ranni - konsul w nos, jego przeciwnik w ramię)<sup>591</sup>. Morel i jego zwolennicy byli dla króla organizatorami międzynarodowego spisku, toteż zaczął ich zwalczać międzynarodowo.

Belgia nie była mocarstwem, więc Leopold musiał polegać na knuciu, a nade wszystko na manipulowaniu prasą. Rozpętlując swoją kontrkampanię, król pokazał, że w używaniu mediów jest takim samym mistrzem jak jego największy wróg, Morel. Wysłał współpracownika do brytyjskich kolonii w Afryce z zadaniem wyszukania informacji na temat nadużyć równych tym, które opisał w swoim raporcie Casement<sup>592</sup>. Dbał o to, żeby w „Prawdzie o Kongu” pojawiały się często artykuły w rodzaju *Opium w brytyjskich Indiach*<sup>593</sup>, a także niepochlebne wiadomości z Imperium Brytyjskiego: chłosty w Afryce Południowej, ofiary z ludzi w Nigerii, nadużycia w Sierra Leone i w Australii. Następnie, w listach pisanych do swojego przyjaciela, sir Alfreda Jonesa, groził mu odebraniem lukratywnego kontraktu na transport morski do i z Konga, jeśli nie uda mu się złagodzić fali krytyki w Wielkiej Brytanii.

Jones natychmiast zabrał się do działania. Dał trzy tysiące funtów na sfinansowanie dwóm podróżnikom wyprawy do Konga. Jednym z nich był jego przyjaciel, wicehrabia William Mountmorres, młody człowiek, który pośrednio zawdzięczał swoją pracę Jonesowi. W 1906 roku Mountmorres posłusznie opublikował przychylną książkę na temat Konga: „Zdumiewający jest ten szczery zapał, z jakim urzędnicy (...) oddają się swojej pracy”. Mountmorres odnotował, co prawda, kilka ekscesów, ale stwierdził, że ogólnie Kongo jest „dobrze i łagodnie zarządzane”<sup>594</sup>. Książka Mountmorresa przypomina słynne opisy Związku Radzieckiego autorstwa Beatrice i Sidneya Webbow. Tak jak Webbowie, Mountmorres uważał, że skrupulatnie przestrzega się wszystkich spisanych praw i przepisów. *Chicotte*, jak podkreślał, mogło być stosowane dopiero po zakończeniu formalnego procesu, w trakcie którego oskarżony miał prawo wezwać swoich świadków. Nawet wtedy chłostać można było jedynie pośladki, a „jednorazowo nie można było zadać więcej niż dwadzieścia razów, chyba że w przypadku notorycznego złodziejstwa, kiedy maksymalną karą było pięćdziesiąt razów. W takim przypadku kara musiała być jednak rozłożona na kilka dni, gdyż jednego dnia nie można było wymierzyć więcej niż dwadzieścia uderzeń”<sup>595</sup>. W praktyce prawo to było przestrzegane mniej więcej tak samo drobiazgowo jak zakaz kary śmierci w Związku Radzieckim.

Innym sponsorowanym przez Jonesa podróżnikiem była Mary French Sheldon, londyńska wydawczyni i pisarka książek podróżniczych. Po Kongu poruszała się wyłącznie łodziami parowymi, należącymi do państwa albo do powiązanych z nim kompanii (czego starał się nie robić Casement), a urzędnicy nie ustawiali w wysiłkach, żeby pokazać jej uroki

kolonii. Dokądkolwiek się udała, uwalniano zakładników, żeby nie widziała ich w zamknięciu. Według jednego z misjonarzy, w Bangala nad rzeką Kongo jeden z państwowych agentów „specjalnie na jej przybycie zburzył stare więzienie i wyrównał teren, żeby ładnie wyglądało”<sup>596</sup>. Sprawy skomplikowały się tylko raz, gdy szef jednej ze stacji otrzymał błędne instrukcje. Pomyliwszy panią Sheldon z innym VIP-em, na którego przyjazd miał się przygotować - członkiem Liverpoolskiej Szkoły Medycyny Tropikalnej - na jej przybycie zgromadził na polanie wszystkich najbardziej pokaleczonych i chorych ludzi, jakich tylko zdołał znaleźć<sup>597</sup>. Nie miało to jednak znaczenia: pani Sheldon zakochała się w kapitanie łodzi i bawiła się znakomicie. Gdy wracała do domu, Leopold przyjął ją na audiencji, a Jones pomógł opublikować w prasie jej entuzjastyczne artykuły. „Więcej okrucieństwa widziałam na ulicach Londynu niż w Kongu” - pisała w „Timesie” w 1905 roku<sup>598</sup>. Gdy wróciła, wygłosiła mowę połączoną z pokazem zdjęć przed pięciusetosobową widownią zgromadzoną w londyńskim Savoyu - za wszystko zapłacił Leopold<sup>599</sup>. Zaczęła otrzymywać od króla stałą sumę 1500 franków miesięcznie (około 7500 dzisiejszych dolarów) w zamian za lobbowanie na jego rzecz w parlamencie.

Uruchamiając tę kontrofensywę przeciwko swoim brytyjskim krytykom, Leopold równocześnie próbował ich pozyskać, jak zawsze używając pośredników, żeby zatrzeć ślady. Pewien paryski adwokat złożył propozycję jednemu z członków rady Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu, że jeśli CRA przygotuje plan reform oraz stosowny budżet, on może zagwarantować, że Jego Wysokość przeczyta go z najwyższym zainteresowaniem. Morel odrzucił ofertę, którą określił jako „wyjątkowo bezczelną”<sup>600</sup>. Sir Hugh Gilzean Reid, brytyjski baptysta i przyjaciel Leopolda, podjął podobną inicjatywę w stosunku do Towarzystwa Opieki nad Tubylcami, ale i ona spełzła na niczym.

Król dokonał zręcznej zemsty na jednym ze swoich przeciwników. Pierre Mille, wpływowy francuski dziennikarz i sojusznik Morela, często i zaciekle atakował Leopolda w swoich artykułach. Pewnego dnia dworzanin doniósł, że Mille potajemnie odwiedza w Brukseli jakąś kobietę, która nie jest jego żoną. Leopold dowiedział się, gdzie się zatrzymują, i wysłał im zaproszenie do zwiedzenia szklarni zamku w Laeken. Mille i jego dama przyjęli je i zdawali się być tak zachwyceni, że Leopold był przekonany, że udało mu się zjednać sobie jednego z największych przeciwników. Wkrótce jednak Mille wrócił do atakowania Leopolda. Wtedy król poprosił belgijską ambasadę w Paryżu, żeby zdobyła domowy adres Mille’a, na który następnie wysłał wielki bukiet kwiatów, do którego dołączona była kartka z

królewskim herbem i wiadomością: „Dla Państwa Mille, na pamiątkę ich wizyty w Laeken”<sup>601</sup>.

Kampanię Leopolda prowadziła starannie przygotowana ekipa. We wrześniu 1904 roku zwołał swoich czołowych doradców i przedstawił im plan powołania Biura Prasowego. Miało mieścić się z daleka od wścibskich oczu opinii publicznej, ukryte za fasadą kilku niewzbudzających podejrzeń instytucji: Komitetu Ochrony Interesów Afryki mieszczącego się w Niemczech, Biura Prawa Porównawczego w Brukseli oraz działającej w wielu krajach Federacji Obrony Belgijskich Interesów za Granicą<sup>602</sup>.

W ciągu następnego roku lub dwóch z pras drukarskich zaczęły schodzić nowe, przychylne Leopoldowi książki. Biuro prasowe potajemnie finansowało kilka belgijskich gazet oraz wydawany w Edynburgu magazyn „Nowa Afryka - Prawda o Wolnym Państwie Kongu”. Wzorując się na Morelu, Leopold zamówił około trzydziestu broszur. Jego brytyjski publicysta Demetrius C. Boulger (otrzymujący 1250 franków miesięcznie, nie licząc dodatków) napisał jedną z nich, zatytułowaną być może nazbyt obronnie - *Państwo Kongo NIE jest państwem niewolniczym*<sup>603</sup>. Inną był *Kompletny spór o Kongo, ilustrujący kontrowersyjne metody szanownego pana Morela, sekretarza Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu*, której oficjalnym autorem był podpułkownik James Harrison, „dżentelmen o absolutnie niezależnym umyśle, sportowiec i podróżnik, znany w londyńskich kręgach towarzyskich i politycznych”. Kompetencje Harrisona miały polegać na tym, że był kiedyś w Kongu na wielkim polowaniu, gdzie dowiedział się, że „tubylcy są radośni i zadowoleni”<sup>604</sup>.

Biuro Prasowe prowadziło większość działań pod przykryciem. Jego agenci potajemnie płacili wydawcom i reporterom w całej Europie. W 1907 roku Leopold opłacał brukselskich korespondentów „Times of London” oraz niemieckiego „Kölnische Zeitung”. Dwóch wydawców głównych wiedeńskich gazet otrzymywało równowartość ponad 70 tysięcy dzisiejszych dolarów. We Włoszech konsul Elia (ten od pojedynku) opłacał dwie gazety, a innym podrzucał przychylne artykuły, pozyskiwał ludzi, żeby pisali broszury korzystne dla Leopolda, a także wręczał łapówki przynajmniej jednemu posłowi<sup>605</sup>. „Corriere della Sera” odmówiło jednak przyjęcia łapówki i zaczęło własne dochodzenie<sup>606</sup>.

Biuro skupiło swoje wysiłki na Niemczech, które były teraz jednym z głównych mocarstw w Afryce. Niemcy były szczególnym problemem, gdyż cesarz Wilhelm II osobiście

nienawidził Leopolda, którego pewnego razu nazwał „szatanem i mamoną w jednej osobie”<sup>607</sup>. Biuro Prasowe zorganizowało zwyczajową serię przemówień i broszur po niemiecku, ale to był dopiero początek. Rolę niemieckiego komiwojażera Leopolda odgrywał Ludwig von Steub, bankier i honorowy konsul Belgii w Monachium. W 1903 roku berlińska „National-Zeitung” pisała z pasją o „pozbawionym skrupułów biznesmenie mieszkającym w brukselskim pałacu”<sup>608</sup>, ale von Steub, który wiedział o finansowych kłopotach gazety, zaczął działać. W 1905 roku gazeta była już neutralna: „Bez wątpienia nie jest łatwo Niemcowi wyrobić sobie jasną opinię na temat sytuacji, w której w grę wchodzi tyle różnych interesów, szczególnie brytyjskich handlarzy kauczukiem”<sup>609</sup>. Później tego samego roku poświęciła całą stronę na entuzjastyczny artykuł na temat kwitnącego państwa Kongo, kłamliwie oczernianego przez klikę zagranicznych kupców i misjonarzy, opowiadających „klechdy” oraz „nienawistne głupstwa”<sup>610</sup>. W 1906 roku opublikowała dekrety Leopolda, a w 1907 roku wydawca gazety został odznaczony przez belgijskiego monarchę.

Tajemnicza transformacja zaszła także w innych niemieckich gazetach. Na przykład „Münchener Allgemeine Zeitung”, niegdyś stanowczo sprzeciwiająca się rządowi Leopolda, nagle zaczęła publikować przychylne mu wiadomości, pochodzące „z najbardziej wiarygodnych źródeł”, „kongijskich źródeł” albo „dobrze poinformowanych źródeł”. Brukselski korespondent gazety (nieopłacany przez Leopolda) wysłał kilka krytycznych raportów, w tym długi artykuł, który został opublikowany, ale którego z pewnością nie przeczytał wcześniej redaktor naczelny. W następnym numerze redakcyjny wstępniak zaczynał się od słów: „Wbrew opiniom, które przedstawiliśmy w poprzednim numerze, inne źródło - bez wątpienia lepiej poinformowane na temat sytuacji w Kongu - nadesłało nam następujący komentarz...”<sup>611</sup>.

Zazwyczaj trudno prześledzić przepływ łapówek, ale z powodu pewnego zabawnego łańcucha zdarzeń wiemy co nieco na temat niemieckich łapówek Leopolda. Ich ujawnienie zaszkodziło skuteczności Biura Prasowego i w 1908 roku zakazano dalszego ich wręczania w Niemczech. Jednak przebywający w Monachium von Steub albo nie zrozumiał wiadomości, albo zbyt lubił swoją ciekawą pracę. Dalej płacił łapówki, ale gdy nie zwrócono mu za nie pieniędzy, zaczął się martwić. Wkrótce zaczął bombardować urzędników w Brukseli unizonymi, błagalnymi listami, które cudem przetrwały i ponad pięćdziesiąt lat później zostały odkryte w archiwach. „Zgodnie z opinią wszystkich kolonialnych ekspertów, dobra wola niemieckiego rządu [wobec Konga] jest głównie moją zasługą” - pisał do belgijskiego

ministra spraw zagranicznych<sup>612</sup>. „Wywieszenie białej flagi w tak ważnym momencie i oddanie pola bitwy przeciwnikowi zdaje mi się zbrodnią. (...) 1 stycznia i 1 kwietnia dokonałem zwyczajowych płatności i mam nadzieję, że moje wydatki zostaną wreszcie pokryte”<sup>613</sup>. Później, bardziej zdesperowany niż zwykle, opisuje swoje „płatności na rzecz organów prasowych”<sup>614</sup> i wyjaśnia, dlaczego nie przedstawia żadnych dowodów: „M. Liebrechts [sekretarz generalny spraw wewnętrznych Wolnego Państwa Konga], zlecając mi to zadanie, powiedział: «Dziennikarze i pisarze nie dadzą panu żadnych pokwitowań, więc proszę o nie nie prosić»»,<sup>615</sup>.

\*

Fala krytyki - mimo wysiłków króla, aby ją zatrzymać - rozlewała się coraz szerzej. Gdy na Wyspach Brytyjskich ruch na rzecz reform w Kongu rósł w siłę, E.D. Morel skierował swój wzrok na Stany Zjednoczone. Morel powtarzał każdemu Amerykaninowi, który chciał słuchać, że Stany Zjednoczone, pierwszy kraj, który uznał Wolne Państwo Konga, są szczególnie odpowiedzialne za to, żeby położyć kres krwawym rządóm Leopolda.

We wrześniu 1904 roku, na zaproszenie grupy amerykańskich misjonarzy w Kongu, potępiających postępowanie monarchy, Morel przebył Atlantyk. Wkrótce po tym, jak wysiadł na brzeg w Nowym Jorku, został przyjęty w Białym Domu przez prezydenta Theodore’a Roosevelta. Później przemawiał na poświęconej prawom człowieka konferencji w Bostonie, zachęcając swoich sojuszników do założenia amerykańskiego oddziału Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu. Jego pierwszym przewodniczącym został doktor G. Stanley Hall, rektor Clark University, dziś pamiętany przede wszystkim jako człowiek, który zaprosił do Ameryki Zygmunta Freuda. Zastępcami rektora zostało kilku duchownych, David Starr Jordan, rektor Uniwersytetu Stanforda, Booker T. Washington oraz Mark Twain<sup>616</sup>. Washington stanął też na czele delegacji czarnych baptystów do Białego Domu, która zwróciła się do prezydenta Roosevelta z prośbą o to, by wywarł naciski na Leopolda. Lobbował też członków senackiej komisji spraw zagranicznych, a także, zachęcony przez Morela, razem z Twainem wystąpił publicznie w kilku miastach z przemówieniami na temat Konga<sup>617</sup>. „Doktor Washington nie jest byle jakim przeciwnikiem” - pisał do króla jeden z jego amerykańskich agentów<sup>618</sup>. Leopold bezskutecznie próbował odsunąć Washingtona od tej sprawy, oferując mu pokrycie wszystkich kosztów wyprawy do Konga, a gdy to nie poskutkowało, zaproponował wyprawę

do Belgii<sup>619</sup>.

Morel, którego Mark Twain spotkał w Nowym Jorku, zrobił na pisarzu ogromne wrażenie. Twain trzykrotnie pojechał do Waszyngtonu lobbować. „Chyba nigdy nie widziałem go tak wzburzonego jak wtedy, gdy ktoś pytał go o okrutne traktowanie tubylców w Wolnym Państwie Kongu (...) - pisał o Twainie Washington. - Widziałem się z nim kilkakrotnie przy okazji wysiłków w celu wprowadzenia reform w Kongu i nigdy nie wydawał się zmęczony mówieniem na ten temat”. Twain zjadł lunch z Rooseveltem (o czym Morel szybko doniósł brytyjskiemu Foreign Office), spotkał się z sekretarzem stanu i napisał do Morela, że kwestia reformy Konga jest w Stanach Zjednoczonych „ogromnym przedsięwzięciem (...), [które] wymaga organizacji na miarę U.S. Steel”<sup>620</sup>. W 1905 roku napisał broszurę *Monolog króla Leopolda*. Miała wiele wznowień, a cały dochód z niej autor przekazał Towarzystwu na rzecz Reform w Kongu<sup>621</sup>. Większość monologu dotyczy prasowej kampanii Leopolda. „Przez te dwadzieścia lat wydałem miliony, aby zatkać gębę pismakom obu kontynentów, i wciąż mi się to nie udaje”<sup>622</sup> - mówi zdesperowany król w utworze Twaina. „Wszystko się zawaliło z winy aparatu fotograficznego, jedyne nieprzekupne świadka, jakiego spotkałem w moim życiu”<sup>623</sup>. W broszurze Twaina Leopold atakuje z imienia Williama Shepparda, nazywając go czarnym „misjonarzem, który wszędzie musi wetknąć swój parszywy nos”<sup>624</sup>. Nieco przerysowany *Monolog króla Leopolda* nie jest najlepszym dziełem Marka Twaina, ale sprowokował królewską maszynę propagandową do wydania anonimowej broszury, zatytułowanej *Odpowiedź Markowi Twainowi*, liczącej czterdzieści osiem stron.

Morel, tak jak to zrobił w Anglii, zręcznie dostosowywał swój przekaz do różnych grup amerykańskich odbiorców. Większość jego sojuszników stanowili postępowi intelektualiści w rodzaju Marka Twaina, ale żeby pomóc sprawie, był gotów sprzymierzyć się i z diabłem. Zręcznie wykorzystał senatora Johna Tylera Morgana, byłego generała sił Konfederacji, dzięki którego staraniom dwadzieścia lat wcześniej Stany Zjednoczone uznały Leopoldowe Kongo. Morgan, chcący uczynić z Południa krainę należącą wyłącznie dla białych, wciąż grzmiący na temat odsyłania czarnych do Afryki, domagał się bezzwłocznego zaprzestania nadużyć w Kongu, gdyż w przeciwnym razie żadni czarnoskórzy nie będą chcieli się tam przenieść. Jak powiedział Morelowi - miał nadzieję, że dziesięć milionów czarnych Amerykanów „zapuści korzenie” w Kongu<sup>625</sup>. Pod wpływem nalegań Morela Morgan dbał o to, by sprawa okrucieństw w Kongu nie zniknęła z obrad Senatu.

John i Alice Harrisowie, doświadczeni brytyjscy misjonarze, którzy podążyli za Morelem do Ameryki, wygłosili ponad dwieście publicznych przemówień w czterdziestu dziewięciu miastach<sup>626</sup>. Na wiecu w Chicago pewna stara kobieta, która urodziła się jeszcze jako niewolnica, chciała przekazać sprawie reformy Konga oszczędności swojego życia - Harrisowie przyjęli od niej tylko jednego dolara<sup>627</sup>. W ich ślady poszli inni aktywiści. John Harris entuzjastycznie donosił Morelowi z Waszyngtonu, że „telegramy, petycje, prywatne listy nadchodzą całymi tysiącami. (...) Jeszcze trochę nacisków i (...) prezydent (...) podejmie jakieś działania”<sup>628</sup>.

Sekretarz stanu Elihu Root, który w końcu był adresatem tych wszystkich poczynań, wspominał później wyczerpany: „Ci sami ludzie, którzy najbardziej sprzeciwiają się temu, by Stany Zjednoczone wklewały się w jakiegokolwiek sojusze, kiedy chodzi o sprawy humanitarne, w sposób najbardziej fanatyczny nalegają, by robić w tej sprawie niezliczone ilości rzeczy naraz. (...) Kościoły protestanckie, a także wiele dobrych kobiet, wszyscy oni szaleją, żebyśmy powstrzymali okrucieństwa w Kongu. (...) Ludzie ciągle zasypują [listami] Departament [Stanu], domagając się działań”<sup>629</sup>. Pod petycją podpisali się wszyscy członkowie senatu stanowego Massachusetts, a także gubernator, grupa profesorów i urzędników z Uniwersytetu Yale, rektorzy innych uczelni, dziekani seminariów teologicznych, biskupi i wydawcy gazet. Rezolucja w sprawie Konga została też przyjęta na krajowej konwencji Kobiecej Chrześcijańskiej Unii Trzeźwości.

Chociaż Morel miał wielu głośnych zwolenników w różnych krajach Europy, dopiero w Stanach sprawa reformy Konga nabrała takiego rozmachu jak w Anglii. Leopold, przerażony, że ruch przeciwko jego rządowi rozszerza się na kolejny kontynent, zabrał się do dzieła. Gdy w 1904 roku Morel przemawiał w Bostonie, pojawiło się co najmniej sześciu rzeczników króla, domagających się, żeby dano im tyle samo czasu na odpowiedź. Gdy rok później wpływowy senator z Massachusetts Henry Cabot Lodge przybył do Paryża z wizytą, król natychmiast wysłał posłańca z zaproszeniem na kolację w Brukseli. „Zaproponował sześć różnych dni, więc nie było jak się wykręcić” - napisał Lodge Rooseveltowi. Leopold zrobił wrażenie na Lodge’u, który opisał króla jako „przebiegłego, aktywnego, zdolnego człowieka interesu - skrzyżowanie [magnatów kolejowych] Jima Hilla & Harrimana, świetnego organizatora, propagatora i spekulanta. Wie wszystko o wszystkich”<sup>630</sup>.



Wykorzystując swoją wiedzę „o wszystkich”, Leopold obrał sobie za cel jeszcze potężniejszego senatora, Nelsona W. Aldricha z Rhode Island. Aldrich, multimilioner, karciany kompan J. Pierponta Morgana, teść Johna D. Rockefellera juniora, przewodniczący senackiej komisji finansów, był jedną z najbardziej wpływowych osób w Waszyngtonie. Jak powiedział Roosevelt dziennikarzowi Lincolnowi Steffensowi: „Jestem tylko prezydentem, a on miał już do czynienia z wieloma prezydentami”<sup>631</sup>.

Leopold zabiegał o względy Aldricha i innych wpływowych Amerykanów, obiecując im udział w zyskach z grabieży Konga. Przyznał umowy koncesyjne Aldrichowi, Guggenheimom, Bernardowi Baruchowi, Johnowi D. Rockefellerowi juniorowi, a także biznesmenowi Thomasowi Ryanowi, który był przyjacielem (i byłym klientem) Roota, sekretarza stanu. W liście do króla od jednego z jego amerykańskich agentów widać całą strategię Leopolda: „Otworzyć dla amerykańskich interesów pas kongijskiej ziemi, ze wschodu na zachód. Jeśli trzeba, wziąć za gardło obecnych inwestorów i zmusić ich do podzielenia się swoimi przywilejami z Amerykanami. W ten sposób Amerykanie będą mieli interesy w Kongu, co uczyni daremnymi skowoty angielskich agitatorów i belgijskich socjalistów”<sup>632</sup>. Leopold podarował także ponad trzy tysiące eksponatów Amerykańskiemu Muzeum Historii Naturalnej, w którego radzie - jak wiedział - zasiadał J.P. Morgan.

W przypadku senatora Aldricha szczodrość Leopolda opłaciła się. Departament Stanu znajdował się pod ciągłą presją reformatorów, domagających się mianowania amerykańskiego konsula generalnego w Kongu, który osobiście zweryfikowałby doniesienia Casementa. Aby ułagodzić reformatorów, sekretarz stanu Root mianował konsula generalnego, tak jak się tego domagali, jednak kiedy Aldrich się o tym dowiedział, zablokował nominację w Senacie, a Root ją w końcu wycofał.

Leopold zwrócił też uwagę na kluczową grupę amerykańskich wyborców - katolików, odgrywając przed nimi rolę prześladowanego katolika. Jego przedstawiciele w Rzymie skutecznie przekonali Watykan, że protestanci misjonarze nękają katolickiego monarchę. Strumień korespondencji po łacinie<sup>633</sup> zaczął płynąć ze Stolicy Apostolskiej do zaufanego człowieka Leopolda w Stanach Zjednoczonych, kardynała Jamesa Gibbonsa z Baltimore, który - tak się składało - był również karcianym kompanem senatora Aldricha. Kardynał Gibbons wierzył, że krucjata na rzecz reform w Kongu była dziełem „zaledwie grupy niezadowolonych ludzi (...), którzy polegają na niewiarygodnych pogłoskach,

rozpowszechnianych przez tubylców”<sup>634</sup>. Głośno wypowiadał się w obronie Leopolda, który w podzięcie odznaczył go Wielkim Krzyżem Orderu Korony.

Leopold dysponował całym zastępem lobbystów w Stanach Zjednoczonych. Alfred Nerinx, profesor Uniwersytetu George’a Washingtona, pomógł założyć nowy anglojęzyczny magazyn na temat Konga, wygłaszał przemówienia i dbał o to, żeby w opiniotwórczych czasopismach pojawiały się przychylne Leopoldowi artykuły. Frederick Starr, ekscentryczny antropolog z Uniwersytetu Chicagowskiego, który gorliwie wierzył w niższość „prymitywnych” ludzi, został odznaczony jednym z niezliczonych medali Leopolda. Opłacono mu także całoroczną wyprawę do Konga. W zamian napisał piętnaście entuzjastycznych artykułów do „Chicago Daily Tribune”, zatytułowanych *Prawda o Wolnym Państwie Kongo* i wydanych później w formie książkowej<sup>\*\*635</sup>. Henry Wellington Wack, adwokat zatrudniony w firmie farmaceutycznej, opublikował grubą książkę, która szybko pojawiła się w tysiącach amerykańskich bibliotek. Instrukcje z Brukseli mówiły, że Wack ma „podawać się nie za pracownika państwa, ale za niezależnego publicystę”<sup>636</sup>.

Jeden z amerykańskich agentów okazał się jednak nierzetelny. Podejmując wysiłek lobbystyczny w Stanach, król popełnił rzadki, ale katastrofalny w skutkach błąd.

\*

Gdyby w 1904 roku jakiś dobrze ustosunkowany Kalifornijczyk stanął przed sądem, na swojego obrońcę wybrałby zapewne pułkownika Henry’ego I. Kowalsky’ego z San Francisco. Kowalsky był typowym amerykańskim adwokatem: bon vivant, gawędziarz, bardzo towarzyski i niebywale rozrzutny (jego rachunki hotelowe były legendarne), krzykliwy, balansujący na granicy prawa showman, który olśniewał tabuny słynnych przyjaciół i znajomych. Atutami Kowalsky’ego, przysparzającymi mu całe rzesze klientów, były zarówno przytłaczająca osobowość, jak i ogromny talent prawniczy. Czasem byli to bokserzy i ludzie z półświatka, czasem nieznanymi krewni albo życiowe partnerki, których zawsze udawało mu się znaleźć, ilekroć przychodziło do podważania jakiegoś testamentu. Jak wielu ówczesnych „pułkowników”, Kowalsky nigdy nie służył w wojsku, choć pozwalał wierzyć Europejczykom, że tak było.

Nie tylko osobowość Kowalsky'ego była przytłaczająca. Znany był z tego, że świetnie gotował i pochłaniał ogromne ilości jedzenia. „W porównaniu z nim prezydent Taft wygląda jak główny akrobata cyrkowej trupy” - zauważył pewien reporter, kiedy Theodore'a Roosevelta zastąpił w Białym Domu otyły William Howard Taft<sup>637</sup>. Ogromny kark Kowalsky'ego wylewał się za kołnierz, nie mówił, a ochryple charczał. Kiedy pewna gazeta z San Francisco spytała swoich czytelników o ulubione przepisy na świąteczne potrawy, Kowalsky figlarnie wysłał przepis na smażone podgardle.

Cierpiał także na narkolepsję, chorobę, która powoduje niekontrolowane napady snu. „Trudno znaleźć kogoś znającego San Francisco, kto nie widział kiedyś Kowalsky'ego zasypiającego na ulicy, w trakcie rozprawy sądowej, w hotelowym lobby albo w łożu teatru” - pisał pewien dziennikarz<sup>638</sup>. Tak naprawdę zapewne kontrolował ten problem znacznie lepiej, niż się do tego przyznawał. Jak zauważył reporter, relacjonujący jedną z rozpraw sądowych, „[Kowalsky] budzi się zawsze w odpowiednim momencie, żeby zgłosić celne zastrzeżenia natury prawnej albo zadać jakieś pytanie”.

„To właśnie te nagłe przebudzenia - toczyła się dalej opowieść - powodowały ogromne spustoszenia w umeblowaniu sali rozpraw sędziego Grahama. Gdy mężczyzna wążący - ostrożnie szacując - około trzystu funtów<sup>\*\*\*</sup> budzi się gwałtownie, jest w stanie wstrząsnąć nawet najsolidniejszym krzesłem. (...) Jeszcze kilka takich razy i słyhać złowieszczy zgrzyt, następnie pęknięcie i łomot. «Oto i kolejne» - mruczy Bailiff McGenity, gdy pułkownik wstaje ze zniszczonego krzesła i sięga po inne<sup>639</sup>. Na koniec właśnie tej relacjonowanej rozprawy Kowalsky wielkodusznie zaprezentował sądowi specjalne krzesło, które sam zamówił - zrobione z twardego dębu, połączone śrubami i wzmocnione żelaznymi okuciami.

Gdy Kowalsky występował przeciwko słynnemu rewolwerowcowi Wyattowi Earpowi, pobudliwy Earp zagroził, że zastrzeli Kowalsky'ego na miejscu. Kiedy przy innej okazji mężczyźni wpadli na siebie w saloonie w San Francisco, Earp zapędził adwokata na zaplecze, wyciągnął broń i rozkazał mu się przygotować na spotkanie Stwórcy. Wtedy otłuszczona głowa Kowalsky'ego opadła na pierś i zasnęła. Earp wypadł z pomieszczenia, krzycząc: „Co można zrobić z człowiekiem, który zasypia wtedy, gdy masz go zabić!”<sup>640</sup>.

Kowalsky bezbłędnie trafiał do lukratywnych klientów i takiego właśnie klienta

znalazł, kiedy do Kalifornii przybył książę Albert, belgijski następca tronu. Albert podróżował incognito, ale Kowalski rozpoznał go i zaprzyjaźnił się z nim, a w 1904 roku zaproszono go do Belgii. W Ostendzie został przyjęty na pokładzie królewskiego jachtu i przedstawiony Leopoldowi.

Monarcha zobaczył w Kowalskim Amerykanina związanego z rządzącą wówczas Partią Republikańską, człowieka przedstawiającego się jako mistrz lobbingu, zdolnego pokrzyżować szyki kłopotliwym „ulepszaczom świata”, sprawiającym problemy Jego Królewskiej Mości. Morel podburzał amerykańską opinię publiczną, toteż nie było czasu do stracenia. Król zatrudnił Kowalski’ego, dał mu szczegółowe instrukcje oraz tyle pieniędzy, żeby mógł wynająć luksusowe biuro na Wall Street. Gdy Kowalski przygotowywał się do przeprowadzki, jego przyjaciele w San Francisco - sędziowie, biznesmeni, admirał, a nawet koledzy po fachu, zapewne szczęśliwi, że opuszcza miasto - wydali mu pożegnalne przyjęcie, po którym bez wątpienia wzrosła jego i tak już imponująca waga. Burmistrz miasta powiedział: „Nie powtórzę dokładnie tekstu toastu, który mi przygotowano. Tak jak nasz gość - jest zbyt obszerny”<sup>641</sup>. Inny mówca zauważył, że to całe szczęście, że Leopold nie wysłał Kowalski’ego bezpośrednio do Konga, gdyż „kanibale mieliby z takiego morsa wiele pożytku”<sup>642</sup>.

Kowalski odpowiedział na toasty: „Opuszczam was tylko dlatego, że głos obowiązku wezwał mnie do służenia ludzkości i cywilizacji”<sup>643</sup>. Wzywało go również coroczne 100 tysięcy franków, około pół miliona dzisiejszych dolarów. W swojej nowej roli Kowalski został przyjęty przez prezydenta Roosevelta, któremu podarował fotografię Leopolda w srebrnej ramce, album zdjęć z Konga oraz memorandum z prośbą o to, by nie dawał się zwodzić zazdrosnym misjonarzom i liverpoolskim kupcom.

Zaskoczony tym wszystkim był baron Ludovic Moncheur, belgijski poseł w Stanach Zjednoczonych, który właśnie napisał pełen zachwytów artykuł do wpływowego „North American Review” zatytułowany *Warunki w Wolnym Państwie Kongu* i był przekonany, że to właśnie on stoi na czele propagandowego wysiłku Leopolda w Ameryce. Przeraziło go to nagle pojawienie się pozbawionego wszelkich skrupułów Kowalski’ego. Moncheur dowiedział się, że tego samego dnia, którego w San Francisco odbył się wielki bankiet pożegnalny na jego cześć, Kowalski wdał się w bójkę z wierzycielem w budynku sądu. Moncheur i jego współpracownicy zaczęli gorączkowo słać listy do Brukseli.

W pałacu królewskim żaden śmiałek nie ważył się sprzeciwić nowemu faworytowi króla, ale Moncheur otrzymał wreszcie zakodowany telegram od jednego z głównych administratorów Konga: „Otrzymałem Pańskie wiadomości o Kowalskim. Czy sądzi Pan, że powinniśmy przerwać jego misję? Tak czy inaczej, byłoby to dla nas trudne. Czy nie lepiej spróbować wysłać go z inną misją do Afryki albo do Chin?”<sup>644</sup>. Jeden z pomocników Moncheura odpisał: „Wysłanie go do Konga zupełnie mijałoby się z celem, chyba że możnaby mieć nadzieję, że już stamtąd nie wróci”<sup>645</sup>. Moncheur dalej wysyłał ostrzeżenia przed Kowalskim: „Jeśli to ja mam być powodem jego niełaski, może dojść do scen, które wywołają skandal w gazetach”<sup>646</sup>.

Kongijscy urzędnicy bardzo ostrożnie zaprosili Kowalski’ego do Brukseli, gdzie poprosili, by udał się z pilną misją do Nigerii. Kowalski wydawał się zainteresowany i nawet kupił sobie kapelusz od słońca i strzelbę na słonie, ale ostatecznie odrzucił ofertę. Prawdopodobnie domyślił się, że próbuje się go odsunąć od sprawy Konga. Zmartwieni doradcy Leopolda nie mieli odwagi go zwolnić, ponieważ wiedział zbyt dużo, nie pozostawało im zatem nic innego, jak odesłać go z powrotem do Stanów Zjednoczonych, żeby dalej lobbował na rzecz Konga. Z trudem jednak maskowali swoją narastającą irytację: „Zadaniem pułkownika Kowalski’ego jest oświecenie senatorów i kongresmanów na temat słuszności naszej sprawy, a także oddalenie niebezpieczeństwa uchwalenia jakiejś nieprzychylniej nam rezolucji”. Niemniej „nie wolno mu dzwonić do Białego Domu - chyba że w sprawach najwyższej konieczności. (...) Nie będzie też wygłaszał publicznych przemówień, dopóki nie poradzi się belgijskiego ministra”<sup>647</sup>.

Kowalski został odstawiony na boczny tor i rok po tym, jak został zatrudniony, król pozwolił, aby jego kontrakt wygasł. Próżny adwokat zaczął bombardować Leopolda listami (zaczynającymi się od „Moja Droga Wysokości...”), w których opisywał swoją pracę na rzecz spraw Konga, demaskował swoich rywali wśród innych amerykańskich lobbystów Leopolda (jednego z nich nazwał „łajdakiem” i „niegodnym, niehonorowym, pozbawionym osobowości niewdzięcznikiem”), a także żalił się: „Nie było to łatwe zadanie, pracowałem nad nim całymi dniami i nocami. (...) Przemierzyłem w tej sprawie tysiące mil”. Próbował pochlebstw, żeby król znowu go zatrudnił: „Muszę wyznać, że żywię wobec Waszej Wysokości takie same uczucia jak wobec mojego ukochanego i nieodżałowanego ojca”<sup>648</sup>. Do rocznej pensji Kowalski’ego król dodał solidne 125 tysięcy franków, pod warunkiem jednak, że odejdzie po

cichu, mając go równocześnie perspektywą skorzystania z jego usług w przyszłości<sup>649</sup>.

Ostatecznie odrzucony Kowalsky zrobił jednak to, czego obawiali się Moncheur i jego koledzy z belgijskiej ambasady. W dniu 10 grudnia 1906 roku czytelnicy wydawanej przez Williama Randolpha Hearsta gazety „New York American” przeczytali na pierwszej stronie artykuł, który ujawniał działania amerykańskich lobbystów na rzecz Konga. Nagłówek głosił: NIESAMOWITA PRÓBA WPLYNIĘCIA NA NASZ KONGRES PRZEZ KRÓLA LEOPOLDA UJAWNIONA. (...) PEŁNY TEKST UMOWY MIĘDZY KRÓLEM BELGII LEOPOLDEM I JEGO OPŁACANYMI AGENTAMI W WASZYNGTONIE. Choć oburzony Kowalsky twierdził, że ktoś okradł jego biuro, najprawdopodobniej to właśnie on sprzedał Hearstowi całą swoją korespondencję na temat Konga.

Przez cały tydzień, codziennie, w „American” oraz innych swoich gazetach Hearst publikował kolejne odsłony tej smakowitej historii: wielostronicowe artykuły, dziesiątki fotografii *etc.* Nic gorszego nie mogło się Leopoldowi przytrafić, zwłaszcza że „American”, chcąc zwiększyć zainteresowanie sprawą, epatował niegodziwością króla, zamieszczając wzięte od Morela zdjęcia odciętych dłoni oraz przedrukowując zarzuty reformatorów: NIEBYWAŁE OKRUCIEŃSTWA. (...) TORTURY KOBIET I DZIECI. (...) STANY ZJEDNOCZONE WSTRZAŚNIĘTE ZBRODNIAМИ W KONGU<sup>650</sup>.

Dokumenty ujawniały, że poza pensją i potajemnymi płatnościami Leopold obiecał Kowalsky’emu dodatkowe 100 tysięcy franków w państwowych obligacjach Konga, „jeśli amerykański rząd nie ogłosi żadnych decyzji szkodliwych dla Konga i jeśli do końca następnej sesji Kongres nie uchwali żadnych nieprzychylnych rezolucji”<sup>651</sup>. Jeden z listów Kowalsky’ego do króla mówił o tysiąc dolarowej łapówce, jaką musiał zapłacić niewymienionemu z nazwiska słynnemu dziennikarzowi, „osobistemu przyjacielowi prezydenta”, którego usługi „na rzecz naszej sprawy były warte setki tysięcy”. Kowalsky przechwalał się także, że zapobiegł ujawnieniu nieprzychylnych faktów przez „Munsey’s Magazine”, udając się do „wydawcy, mojego osobistego przyjaciela, który zniszczył rzeczony artykuł i w zamian opublikował inny, bardzo przychylny Jego Wysokości”<sup>652</sup>.

Najciekawszą wiadomością było to, że Kowalsky użył pieniędzy Leopolda do przekupienia Thomasa G. Garretta, pracującego przy senackiej komisji spraw zagranicznych, który miał opóźnić publikację ewentualnych rezolucji przeciwko Kongu. Jak napisał królowi

Kowalsky, Garrett „stał przed drzwiami i zagradzał drogę wyjącom misjonarzom, duchownym i religijnym świrom, a także niektórym agentom liverpoolskiej proveniencji, którzy chcieli wejść do sali obrad komisji. Cały ten czas stałem na posterunku i dopiero gdy zakończyła się sesja Kongresu, odetchnąłem z ulgą”<sup>653</sup>. Na pierwszej stronie „American” pojawiło się zdjęcie listu, ręcznie napisanego na urzędowej papeterii amerykańskiego Senatu, w którym Garrett domagał się od Kowalsky’ego obiecanej zapłaty.

Garrett został natychmiast zwolniony. W kilka godzin po tym, jak historia pojawiła się w prasie, Lodge, senator z Massachusetts, gdzie miało swoją siedzibę Amerykańskie Towarzystwo na rzecz Reform w Kongu, przedłożył rezolucję wzywającą do powołania międzynarodowego śledztwa w sprawie kongijskiego skandalu. Zręczne lobbowanie Moncheura oraz zakulisowe działania senatora Aldricha złagodziły ostateczną wymowę rezolucji, ale cały epizod gwałtownie zmienił nastroje w Waszyngtonie. Sekretarz stanu Root zmienił poprzednią politykę nieinterweniowania i zdecydował się współpracować z Brytyjczykami, żeby wyrzucić presję na Leopolda i położyć kres jego rządów w Kongu. Rewelacje Kowalsky’ego - natychmiast przedrukowane triumfalnie przez Morela, tak w Anglii, jak i we francuskojęzycznych broszurach skierowanych do Belgów - były dla Leopolda poważnym problemem. Wszystko zwróciło się przeciwko królowi.

\*

W tym samym czasie, w którym wynajmował Kowalsky’ego, Leopold działał też na zupełnie innym froncie. Pamiętając, jak efektywna była swego czasu Komisja Ochrony Tubylców, która uciszyła krytyków w latach 90. poprzedniego wieku, zdecydował się na powołanie kolejnej komisji. Miała udać się do Konga, zbadać sytuację i oczyścić dobre imię króla<sup>654</sup>.

Do swojej nowej Komisji Śledczej powołał trzech sędziów - Belga, Szwajcara i Włocha. Wbrew pozorom komisja nie była jednak niezależna. Włoch, baron Giacomo Nisco, był sędzią nie we Włoszech, ale w Kongu. To właśnie on był sędzią w niesławnej sprawie Caudrona (zob. s. 277-278), który obniżył wyrok, argumentując, że pewna doza „siły” i „strachu” była konieczna. Co więcej, żaden z trzech sędziów nie tylko nie znał żadnego afrykańskiego języka, ale nawet angielskiego, co pozwoliłoby osobiście przesłuchać

brytyjskich i amerykańskich misjonarzy. Komisja miała przesłuchać świadków, a na końcu spisać raport. Leopold miał nadzieję, że w czasie długiej podróży do Konga baron Nisco wytłumaczy swoim kolegom, że tubylcy potrzebują surowej dyscypliny.

Komisja spędziła w Kongu kilka miesięcy, wysłuchała trzystu siedemdziesięciu zeznań. Jej obrady odbywały się wszędzie, gdzie się tylko dało - od werand posterunków zbioru kauczuku do pokładu parowca „Arcyksiężna Stefania”, którym podróżowali jej członkowie (nazwanego tak na cześć jednej z córek Leopolda, do której się nie odzywał). Wszystko odbywało się uroczyście: szkarłatne i czarne togi sędziów, tłumacze, protokolanci, strażnicy uzbrojeni w strzelby z bagnetami. Pochód świadków składających przerażające zeznania. Jedne z najbardziej wstrząsających złożył Lontulu, wódz Bolima, który został wybatożony *chicotte*, wzięty jako zakładnik, zakuty w łańcuchy i zmuszony do pracy. Gdy nadeszła jego kolej, żeby zeznawać, Lontulu położył na stole komisji sto dziesięć gałązek - po jednej za każdego człowieka z jego plemienia, który został zabity w trakcie kampanii kauczukowej. Podzielił gałązki na cztery stosy - arystokrację plemienną, mężczyzn, kobiety i dzieci. Po kolei wymienił imiona zmarłych.

Więści o tym zeznaniu szybko dotarły do Brukseli, ale Leopold nie zdawał sobie początkowo sprawy z tego, jakie wrażenie zrobiło ono na członkach komisji. W marcu 1905 roku z kongijskiej stolicy Boma nadszedł niepokojący sygnał ostrzegawczy, że wszystko to może zaszkodzić królowi. Paul Costermans, urzędujący gubernator generalny Konga i człowiek osobistej uczciwości (na tyle, na ile to możliwe w przypadku kogoś na tak wysokim stanowisku w opresyjnym reżimie), został poinformowany o ustaleniach komisji. Wpadł wówczas w głęboką depresję, co zaalarmowało jego współpracowników, a dwa tygodnie później, napisawszy serię pożegnalnych listów, poderżnął sobie gardło brzytwą.

Źle wróżyła także wiadomość, że jeden z sędziów, wysłuchując kolejnych świadków opowiadających o okrucieństwach, załamał się i zaczął szlochać<sup>655</sup>. Dla króla stało się wreszcie oczywiste, że jego plan nie powiódł się: ku jego przerażeniu to, co miało być tylko pozorem śledztwa, wymknęło się spod kontroli i zamieniło się w prawdziwe dochodzenie. Choć Morel nie miał dostępu do jego oficjalnych protokołów, szybko opublikował w formie broszury to, co powiedzieli komisji zaprzyjaźnieni misjonarze i ich afrykańscy parafianie, a następnie wysłał broszurę wszystkim członkom belgijskiego parlamentu.



Po powrocie do Europy członkowie komisji zasiedli do obrad i sporządzili raport, liczący sto pięćdziesiąt stron. Choć napisany suchym i biurokratycznym językiem, powtarzał niemal wszystkie główne zarzuty Casementa i Morela. Król był wściekły. Jesienią 1905 roku nie mógł już dłużej odwlekać publikacji raportu, na który czekała cała Europa. Politycy i dziennikarze od dawna spekulowali na temat jego zawartości. Ale Leopold wciąż miał asa w rękawie - zapewne najbardziej mistrzowskie posunięcie w swojej długiej karierze.

Doskonale rozumiejąc znaczenie *public relations*, król w pełni zdawał sobie sprawę z tego, że od samego wydarzenia politycznego często większe znaczenie ma to, jak postrzega je opinia publiczna. A więc kluczem do kontroli nad jakimś wydarzeniem jest kontrola tego, jak jest ono postrzegane. Wiedział też, że dziennikarze piszą zawsze na określony termin, toteż marzą o skrócie oficjalnego raportu - szczególnie, że materiał miał być w języku obcym. Trzeciego listopada 1905 roku, dzień przed planowanym opublikowaniem raportu, wszystkie główne angielskie gazety otrzymały pewien dokument, do którego załączone było wyjaśnienie, że jest to „kompletny i autentyczny skrót raportu”<sup>656</sup>. Ten jakże przydatny i w samą porę wydany skrót pochodził od Towarzystwa Misyjnego Afryki Zachodniej, co również brzmiało wiarygodnie. W końcu misjonarze byli najzagorzalszymi krytykami państwa Kongo. Jeszcze wygodniejsze było to, że skrót był napisany po angielsku.

Niemal każda brytyjska gazeta z radością opublikowała skrót, przekonana, że zdobyła ważną informację dzień wcześniej niż wszyscy. Associated Press przesłało skrót do Stanów Zjednoczonych, gdzie główne gazety również go przedrukowały. Kiedy w następnych dniach dziennikarze i wydawcy przeczytali pełny tekst wydanego po francusku raportu, okazało się, że ten tak zwany skrót ma niewiele wspólnego z rzeczywistym raportem. Po kolei odnosił się do jego wszystkich istotnych punktów, ale „skracał” je tak, że nie można było ich poznać. Gdy na przykład raport mówił: „Opisaliśmy katastrofalne skutki tragarstwa i pokazaliśmy, że zmuszanie tubylców do nadmiernej pracy w okolicach ważnych placówek ma wpływ na wyludnianie się kraju”, skrót głosił: „Aby uniknąć godnych pożałowania skutków [tragarstwa] w czasie budowania kolei, komisja sugeruje używanie dróg wodnych”<sup>657</sup>.

Dziennikarze zaczęli się zastanawiać, czym jest Towarzystwo Misyjne Afryki Zachodniej. Udało im się dotrzeć do biura jego londyńskiego prawnika, ale ten odmówił wyjawienia adresu swojego klienta. Dzień albo dwa później ustąpił i wskazał jednopokojowe biuro po drugiej stronie ulicy, na drzwiach którego widniał świeżo wymalowany znak. W

biurze znajdował się jedynie stróż. Prawnik przedstawił listę członków zarządu Towarzystwa, ale żaden z tych, z którymi udało się skontaktować reporterom, nigdy nie brał udziału w spotkaniu zarządu. Dalsze śledztwo ujawniło, że „skrót” przywiózł do Anglii pewien belgijski ksiądz, którego parafię Leopold niedawno hojnie obdarował. O Towarzystwie Misyjnym Afryki Zachodniej nikt nie słyszał - ani wcześniej, ani później<sup>658</sup>.

\* Metody Leopolda usprawiedliwiano w niej znanym nam już motywem leniwego tubylca: „Stworzenie takiego systemu, w którym czarna rasa pracuje dobrowolnie i bez przymusu, wykracza poza ludzkie możliwości”.

\*\* Oto co Starr pisze o *chicotte*: „Wiele razy (...) widziałem wychłostanego człowieka, który śmiał się i bawił ze swoimi towarzyszami, jak gdyby nic się nie stało”.

\*\*\* Około 140 kilogramów (przyp. tłum.).

## ŻADEN CZŁOWIEK NIE JEST OBCY

W NIEZREDAGOWANEJ WERSJI zeznań, jakie złożono przed Komisją Śledczą, rządy króla Leopolda II zostały całkowicie obnażone. Nie sposób już było tłumaczyć się tym, że zebrane informacje pochodziły od wrogów monarchy, gdyż wszyscy trzej członkowie komisji zostali osobiście wybrani przez Leopolda. Nie można było twierdzić, że świadkowie zmyślali, gdyż ich zeznania potwierdzali inni zeznający. Wreszcie nie dało się zrobić ze świadków leniwych malkontentów, gdyż często samo stanięcie przed komisją groziło im śmiercią. Kiedy Raoul van Calcken, urzędnik ABIR, dowiedział się, że dwaj Afrykanie, Lilongo i Ifomi, mają zeznawać przed komisją, nakazał ich pojmać. Lilongo opowiedział brytyjskiemu misjonarzowi: „[van Calcken] kazał swoim zwiadowcom przywiązać nas do dwóch drzew, plecami do pnia, tak, że nasze stopy nie dotykały ziemi. Ramiona mieliśmy wyciągnięte nad głową. (...) Spójrz na blizny, które mam na całym ciele. Wisieliśmy w ten sposób kilka dni i nocy (...) nie mając nic do picia i do jedzenia. Czasami padał deszcz, a czasami świeciło słońce. (...) Płakaliśmy i płakaliśmy, aż brakło nam łez - cierpieliśmy taki ból, jak gdybyśmy umierali. Gdy tak wisieliśmy, zwiadowcy i biały człowiek bili nas grubymi kijami po częściach intymnych, w kark i inne miejsca, aż straciliśmy przytomność”<sup>659</sup>. Ifomi zmarł, a van Calcken nakazał wrzucić jego ciało do rzeki. Lilongo przeżył, złożył zeznanie przed komisją i razem z bratem wrócił do rodzinnej wioski.

Zeznania złożone przez Lilongo i innych świadków znalazły się w raporcie, poprzedzone nagłówkiem z pełną nazwą komisji (Komisja Śledcza powołana dekretem Króla-Suwerena z 23 lipca 1904 roku) oraz nazwiskami i tytułami trzech komisarzy. Po nich były miejsca na nazwiska sekretarzy, świadków, przysięgających mówić całą prawdę i tylko prawdę, oraz tłumacza. Później następowały zeznania.

Świadek Ilange Kunda z M’Bongo: „Znałem Malu Malu [Szybko Szybko, tak Afrykanie nazywali porucznika Force Publique Charles’a Massarda]. Zmuszał nas do zbierania kauczuku, był bardzo okrutny. Pewnego dnia na własne oczy zobaczyłem, jak zabił krajowca imieniem Bongiyangwa tylko dlatego, że spośród pięćdziesięciu koszy kauczuku

uznał jeden za nie dość pełny. Malu Malu nakazał żołnierzowi imieniem Tshumpa pojmać [Bongiyangwę] i przywiązać do palmy. Był związany na wysokości kolan, brzucha i ramion, co druzgotało mu ręce. Malu Malu miał na sobie pas z nabojami, wziął karabin i z odległości około dwudziestu metrów zabił Bongiyangwę jednym strzałem. (...) Widziałem ranę. Nieszczęśnik wydał z siebie krzyk i był martwy”<sup>660</sup>.

Świadek M’Putila z Bokote: „Jak widać, moja prawa dłoń jest odcięta. (...) Kiedy byłem bardzo mały, na moją wioskę najechali żołnierze, szukając kauczuku. (...) Gdy uciekałem, kula przebiła mój kark, zostawiając ranę, po której wciąż widać ślad. Upadłem i udawałem martwego. Żołnierz wyjął nóż, odciął moją prawą dłoń i wziął ją ze sobą. Widziałem, że niośł także inne odcięte dłonie. (...) Tego samego dnia zabito moich rodziców i wiem, że ich dłonie również odcięto”<sup>661</sup>.

Świadek Ekuku, najwyższy wódz Boiéka. „Znałem dobrze Jungiego. Zmarł jakieś dwa miesiące temu z powodu chłosty, jaką otrzymał. Widziałem, jak go bito, i widziałem, jak umierał. To było trzy, cztery metry od werandy białego człowieka, pokazałem państwu to miejsce, między dwoma kaktusami. Rozciągnęli go na ziemi. Biały człowiek Ekotolongo [Molle] trzymał jego głowę, a Nkoi [Ablay] stał przy jego nogach i okładał go laską. W czasie egzekucji połamano trzy laski. Wreszcie Nkoi kopnął Jungiego kilka razy i kazał mu wstać. Gdy ten się nie poruszył, Ekate powiedział białemu człowiekowi: «Ten człowiek nie żyje, zabił go pan...». Na co biały człowiek odparł: «Nic mnie to nie obchodzi. Sędziowie są biali i ja też». (...) Następnego dnia pochowano Jungiego. (...) Jungi był stary, ale zdrowy”<sup>662</sup>.

Świadek Mingo z Mampoko: „Kiedy pracowałam przy wyrobie cegieł w Mampoko, zwiadowcy Nkusu Lomboto i Itokwa dwukrotnie chcieli mnie ukarać. Zadzierali moją spódnicę i wkładali mi do pochwy glinę, co mnie bardzo bolało. Biały człowiek Likwama [agent kompanii, Henri Spelier] widział to, ale jedyne, co powiedział, to: «Jeśli umrzesz, kiedy pracujesz dla mnie, wrzucę twoje zwłoki do rzeki»,”<sup>663</sup>.

Zeznania ciągnęły się jedno za drugim, opowieść za opowieścią, całymi setkami. Nareszcie reszta świata mogła usłyszeć to, co rzadko do niej docierało - głos samych Kongijczyków. Rzadko kiedy przy okazji europejskiego „Rozdrapywania Afryki” udało się komukolwiek zebrać tak bolesną kolekcję świadectw samych Afrykanów. Każdego, kto przeczytałby te opowieści, musiałyby ogarnąć przerażenie.

Nikt ich jednak nie przeczytał. Mimo krytycznych wniosków raportu zeznania afrykańskich świadków nigdy nie zostały bezpośrednio zacytowane. Raport komisji był bardzo ogólny. Zeznania nie zostały opublikowane oddzielnie, nikomu też nie wolno było ich zobaczyć. Przeniesiono je do zamkniętej części państwowych archiwów w Brukseli. Dopiero w latach 80. XX wieku zostały odtajnione i zezwolono ludziom na ich swobodne czytanie i kopiowanie.

\*

Leopold miał siedemdziesiąt lat w czasie, kiedy zręcznymi manipulacjami próbował kontrolować publikację raportu Komisji Śledczej. Choć coraz starszy, zdawał się być w ciągłym ruchu. Unikał Brukseli na tyle, na ile to było możliwe, a gdy już pojawiał się w stolicy, okazywał swoją pogardę wobec wszystkiego co belgijskie, każąc sobie przysyłać potrawy z Paryża. Wolał przebywać za granicą. Kupił Caroline zamek we Francji i często tam jeździł. Lubił odwiedzać Paryż, gdzie pewnego razu zabrał na obiad całą radę ministrów. Każdej zimy podróżował na Riwierę swoim prywatnym wagonem, którego skórzane fotele były wytłaczane złotem. Gdy zasypani śniegiem Belgowie kręcili nosem, a dworzanie kursowali tam i z powrotem, król spędzał cztery miesiące w roku na pokładzie swojego jachtu, długiej i smukłej „Alberty”, napędzanej zarówno parą, jak i wiatrem.

W czasie tych zim spędzanych na Riwierze Caroline mieszkała w luksusowej posiadłości Villa des Cèdres, którą Leopold wzniósł na brzegu morza. „Każdej zimy - pisała - parowiec przywoził króla (...) na nabrzeże, skąd podziemnym tunelem można było dostać się do mojej willi. Mówiąc o tym, nie mogę nie wspomnieć o wyjątkowej sympatii króla dla wszystkiego (...), co było tajemnicze i sekretne. Można było mu sprzedać każdy dom, jeśli tylko był zbudowany na brzegu opuszczonego kamieniołomu albo miał tajemne schody”<sup>664</sup>.

Nawet wtedy, gdy zmuszał się do przebywania w swoim frustrująco małym kraiku, Leopold nieustannie się przemieszczał: między zamkiem Laeken, królewskim *chalet* na plaży w Ostendzie i dwoma innymi zamkami. Ekipy rzemieślników nieustannie remontowały te budynki, dodawały nowe pokoje, przybudówki, zmieniały fasady. W Laeken zainstalowano windę w stylu włoskiego renesansu, a także otwarty dla publiczności „pawilon chiński” (w

którym mieściła się, o dziwo, francuska restauracja). W założeniu miał być to pierwszy z serii budynków, prezentujących różne regiony świata. Architektoniczny konik Leopolda dotyczył nie tylko budynków, które mógł zobaczyć, ale też tych, w których mieszkał. Zażyczył sobie na przykład „ozdobić centrum Ostendy atrakcyjnymi, jednolitymi fasadami”<sup>665</sup>. Zaoferował sąsiadowi 25 tysięcy franków za to, żeby zmienił fasadę na zaprojektowaną przez jego ulubionego architekta, Francuza Charles’a Giraulta. Gdy sąsiad odmówił, został wywłaszczony.

Król często odwiedzał Giraulta w Paryżu. Zasiadali razem przy stole w atelier architekta i oglądali plany budowli. Leopold lubił też wizytować miejsca budowy. „Poprosić ministra robót publicznych, żeby stawił się w brukselskim Pałacu w środę o 9.00 - polecił swojemu prywatnemu sekretarzowi pewnego dnia w 1908 roku. - Chcę pojechać z nim do Parku St. Gilles i być tam o 9.30. Na 11.00 mamy być pod Łukiem Pięćdziesięciolecia. Około 12.30 lunch w Pałacu, potem do Laeken na 14.00. Przystanek przy moście nad kanałem. O 15.00 Avenue Van Praet i Japońska Pagoda. O 16.00 Avenue de Meysse i Rue du Heysel”<sup>666</sup>. Nakazawszy wybudować nowe budynki w Brukseli, w okolicy pałacu królewskiego, polecił też zbudować specjalne, drewniane rusztowanie, z którego mógł oglądać postępy prac.

Gdy pojawiali się goście, monarcha zawsze subtelnie negocjował zwiększenie swojej władzy. Théophile Delcassé, francuski minister spraw zagranicznych, zauważył, że jedynym problemem Leopolda „jest to, że nie umie ukryć swojej inteligencji: człowiek robi się podejrzliwy i boi się, że zaraz zostanie wywiedziony w pole”<sup>667</sup>. Południowoafrykański król diamentów, Cecil Rhodes, człowiek, który prowadził interesy w Afryce na skalę porównywalną z Leopoldem, zażartował pewnego razu, że musiał odrzucić zaproszenie na kolację w pałacu, ponieważ „każde zaproszenie [od króla], które kiedykolwiek przyjął, kosztowało go prowincję”<sup>668</sup>.

Służba w Laeken widywała króla - dużą, brodatą postać, z wielkim nosem i surowymi brązowymi oczami, ubraną w mundur generalski i wspartą na dębowej lasce - który całymi godzinami spacerował po zamkowych ogrodach albo szklarniach, wśród palm i innych tropikalnych roślin. Przybywało mu dziwactw. Czasami wybierał się na *rendez-vous* z Caroline na wielkim trycyklu, który nazywał *mon animal*. Ponieważ nadal obawiał się zarazków, doszedł do przekonania, że dobre dla zdrowia jest codzienne wypijanie dużej ilości gorącej wody - od tej pory służący zawsze mieli w pogotowiu pełen dzbanek. Protokół

pozostał formalny jak wcześniej, a Leopold, zawsze mówiący powoli i majestatycznie, narzucił ton taki, „jakby bez przerwy odpowiadał na wznoszone pod jego adresem toasty” (jak ujęli to Joseph Conrad i Ford Madox Ford w swojej wspólnej powieści *Spadkobiercy*<sup>669</sup>). Leopold zaczął również mówić o sobie w trzeciej osobie. „Przynieście mi trochę gorącej wody!”, „Wezwijcie mi lekarza!”, „Podajcie mi laskę!”<sup>670</sup>.

Rozkaz, który tak naprawdę chciał wydać, brzmiał: „Nie zabierajcie mi Konga!”. Dzięki kampanii Morela i jego własnej komisji śledczej ze wszystkich stron narastała na niego presja. Wszyscy żądali, żeby zrzekł się kraju, który uważał za swoją prywatną własność. Tak naprawdę rozważano tylko jedną możliwość, to znaczy zmiany Konga w kolonię Belgii. Nawet Morel, sfrustrowany brakiem innych politycznych rozwiązań, niechętnie wspierał tak zwane rozwiązanie belgijskie. Uważał, że gdyby za nim poszły konieczne reformy - na które nieustannie nalegał - prawa Kongijczyków byłyby lepiej chronione w belgijskiej kolonii, która rządziłaby się prawem i byłaby uważnie obserwowana, niż w prywatnej posiadłości monarchy. Może nas dziś zaskakiwać, że nawet reformatorzy w ogóle rzadko rozważali cokolwiek innego niż „rozwiązanie belgijskie”, ale nie możemy zapominać, że w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku niemal nikomu (z wyjątkiem grupy rebeliantów w głębi kongijskiej dżungli) nie przychodziło do głowy, że Afrykanie mogliby rządzić się samodzielnie. W 1890 roku George Washington Williams wzywał do powołania w Kongu rządu „miejscowego, a nie europejskiego; międzynarodowego, a nie narodowego”<sup>671</sup>. Musiały jednak minąć ponad trzy dekady, zanim nawet najbardziej zagorzali przeciwnicy kolonializmu w Europie, Afryce czy Ameryce wyrazili podobny pogląd<sup>672</sup>.

Międzynarodowa eksplozja złej prasy, którą wywołała katastrofa z Kowalskim, stała się dla Leopolda punktem zwrotnym<sup>673</sup>. Zrozumiał, że zamiast - tak jak miał zamiar - na łożu śmierci wielkodusznie podarować Belgii Kongo, musi zmienić plany. Mając niezwykły talent do uchodzenia cało z największych tarapatów, zaczął manewrować. Skoro ci „dobroczyńcy” zmuszają go do oddania jego ukochanego Konga, nie odda go ot tak. Sprzeda je. A kupujący - Belgia - słono za nie zapłaci.

Choć brzmi to dziwnie, Leopold zapędził Belgię w kozi róg. Ruch na rzecz reform w Kongu osiągnął taką skalę, że na szali leżała międzynarodowa reputacja Belgii. Zdolność brytyjskiej opinii publicznej do moralizatorskiego oburzania się była niezależna od tamtejszego rządu. W tym samym czasie jacyś brytyjscy humaniści organizowali bojkot

portugalskich towarów, ponieważ w portugalskich koloniach stosowano pracę niewolniczą. Co więcej, jeśli Belgia nie przejęłaby szybko kolonii, mógł to zrobić jakiś inny potężny kraj - Francja i Niemcy od dawna ostrzyły sobie zęby na kawałki Konga, zazdrosne o krociowe zyski, jakie przynosił Leopoldowi eksport kauczuku. Prezydent Roosevelt sugerował, że wraz z Wielką Brytanią jest skłonny zwołać międzynarodową konferencję na temat losu Konga. Posłowie brytyjski i amerykański trzykrotnie rozmawiali z belgijskim ministrem spraw zagranicznych, nalegając, by Belgia anektowała Kongo<sup>674</sup>. Choć władza Leopolda w Belgii była mocno ograniczona, to jednak zatroskany rząd tego kraju nie miał żadnej kontroli nad Leopoldem jako władcą Konga. Król trzymał w ręku wszystkie karty i wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Ile mógł dostać od swojego rządu za swoją kolonię? Negocjacje zaczęły się pod koniec 1906 roku, ale wkrótce ugrzęzły, ponieważ władze Belgii nie dostały wglądu w utajnione finanse Konga. W końcu, kiedy kupuje się zyskowne przedsiębiorstwo, najpierw zapoznaje się z jego księgowością. Leopold spędzał zimę na słonecznym Cap Ferrat, kiedy rząd wysłał do niego sekretarza generalnego ministerstwa spraw zagranicznych, barona Leona van der Elsta. Król przez kilka dni gościł barona na swoim jachcie i pokazywał ogrody swojej ciągle powiększającej się posiadłości. Gdy jednak baron spytał o dane finansowe, Leopold odpowiedział, że państwo Kongo „nie ma długu wobec nikogo - z wyjątkiem jego założyciela (...) i nikt nie ma prawa pytać o jego rachunki”<sup>675</sup>. Gdy księgowi wreszcie do nich dotarli, stało się jasne, dlaczego Leopold był tak oporny - brakowało dwudziestu pięciu milionów franków, które belgijski rząd pożyczył mu w 1890 roku, oraz prawie siedmiu milionów, które pożyczył kilka lat później. Jedna z antwerpskich gazet zasugerowała, że pieniądze dostała Caroline. Król burzył się i srożył, odmawiając odpowiedzi na dalsze pytania.

Negocjacje ciągnęły się przez rok 1907, aż do początków 1908 roku. Leopold narzekał i wściekał się na chcących z nim porozmawiać urzędników. Pewnego razu trzasnął drzwiami przed nosem swojego sekretarza, oskarżając go o współdziałanie z jego wrogami, chcącymi zabrać mu jego Kongo<sup>676</sup>. Te napady wściekłości - tak jak jego urok - były jednak wykalkulowane. Dały mu czas, który wykorzystał na ukrycie swoich bogactw związanych z Kongiem, twierdząc przy tym cały czas, że nie ma żadnego majątku: „Jestem władcą Konga, ale dobrobyt kraju nie ma wpływu na moje osobiste dobra, tak jak dobrobyt Ameryki nie zwiększa zamożności prezydenta Roosevelta - powiedział pewnemu amerykańskiemu korespondentowi. - Nie zainwestowałem w kongijski przemysł ani centa i nie otrzymywałem



żadnej pensji jako władca Konga<sup>677</sup>.

Ostatecznie król zasugerował, że jest gotów ustąpić, i podał swoją cenę. Rzeczywiście trochę ustąpił, ale niewiele. W marcu 1908 roku strony doszły wreszcie do porozumienia. W zamian za Kongo rząd Belgii zgodził się przejąć jego dług, wynoszący 110 milionów franków, w większości pod postacią obligacji, które Leopold lekką ręką rozdawał swoim faworytom, na czele z Caroline. W dodatku sam był wierzycielem części długu, w którego przejęcie został wmanewrowany rząd belgijski - niemal 32 miliony franków pożyczek, których Leopold nigdy nie spłacił.

W ramach umowy Belgia zgodziła się wydać 45,5 miliona franków na dokończenie projektów budowlanych króla. Dokładnie jedna trzecia tej kwoty miała pójść na intensywne przebudowy w Laeken - już wtedy jednej z najbardziej luksusowych monarszych rezydencji w Europie. W szczycie renowacji pracowało tam siedmiuset murarzy, sto pięćdziesiąt koni i siedem napędzanych parą dźwigów, realizując Leopoldowy plan budowy światowego centrum konferencyjnego.

Wreszcie, do tego wszystkiego, miano wypłacić Leopoldowi kolejne 50 milionów franków „w dowód wdzięczności za wielkie poświęcenia, jakie poczynił na rzecz Konga<sup>678</sup>”. Kwoty te nie miały pochodzić od belgijskich podatników, ale z dochodów, jakie dawało Kongo.

\*

W listopadzie 1908 roku, gdy w Boma trwały oficjalne uroczystości z powodu przekazania zwierzchności nad Kongiem, w głębi kraju dochodziło do niezwykłych wydarzeń. Zaczęły się jeszcze pod rządami Leopolda i trwały nieprzerwanie także pod nową władzą. Różnica między tymi dwoma reżimami nie była zatem tak duża, jak tego chcieli reformatorzy. W centrum tych wydarzeń znajdował się czarny amerykański misjonarz William Sheppard<sup>679</sup>.

Dziesięć lat wcześniej napisał artykuł o wędzeniu nad ogniskiem osiemdziesięciu jeden rąk. Był on jednym z najczęściej przytaczanych opisów okrucieństw dziejących się w

Kongu. Jeden z naukowców pisze, że „jego zeznanie było cytowane przez niemal każdego amerykańskiego reformatora, czarnego i białego”<sup>680</sup>. Przez kilka lat Sheppard miał silne wsparcie swojego zwierzchnika Williama Morrisona, białego misjonarza, który od 1897 roku stał na czele misji Południowych Prezbiterianów<sup>681</sup>. Morrison był nieustraszonym przeciwnikiem reżimu, przyjacielem Morela i szanowanym przywódcą, który zachęcał swoich kolegów po fachu, Amerykanów, Brytyjczyków, Skandynawów, do głośnego wyrażania sprzeciwu. Bombardował urzędników w Boma listami protestacyjnymi, opublikował list otwarty do Leopolda, a będąc w Londynie, wygłosił mowę, która odbiła się szerokim echem. W Stanach Zjednoczonych stanął nawet na czele delegacji prezbiterianów do Theodore’ a Roosevelta w sprawie Konga. Reżim nienawdził Morrisona tak samo jak Shepparda.

Ze wszystkich amerykańskich misjonarzy, którzy tak irytowali Leopolda, jego najgłośniejszymi krytykami byli właśnie Sheppard i Morrison. Nakazał przeszukiwać czasopisma misjonarzy w poszukiwaniu nieprzychylnych mu artykułów - niektóre z tych egzemplarzy zachowały się, pokreślone niebieskim ołówkiem przez pracowników pałacu królewskiego. Prawdziwym celem króla był jednak sam Morel. W Anglii był bezpieczny, ale jego informatorzy byli nieustannie zastraszani. W 1906 roku Leopold wydał dekret karzący grzywną albo pięcioletnim więzieniem za oczernianie urzędników państwa Konga. Pewnego brytyjskiego misjonarza, który przekazywał informacje Morelowi, wkrótce postawiono przed sądem. Uznany za winnego, został ukarany grzywną w wysokości pięciu tysięcy franków, obciążony kosztami procesu i w rezultacie - będąc mniej bojowo nastawiony niż Morrison czy Sheppard - opuścił kraj<sup>682</sup>. Mała grupa amerykańskich prezbiterianów uznała, że głośne sprzeciwianie się reżimowi zaczyna się robić niebezpieczne, gdyż władze zaczynają ich uważnie obserwować, nie tylko w Afryce. Nie wiedzieli, że Moncheur, belgijski poseł w Waszyngtonie, udał się do Wirginii, żeby wziąć udział w jednym z wieców, na których Sheppard, wyjątkowo utalentowany mówca, ujawniał tłumom słuchaczy okrucieństwa, do jakich dochodziło w Kongu<sup>683</sup>.

Rządy Leopolda dobiegały końca, toteż Compagnie du Kasai, kompania działająca na podstawie koncesji i *de facto* sprawująca władzę w regionie, w którym pracowali prezbiterianie, próbowała - póki jeszcze trwał boom - zdobyć tyle kauczuku, ile się tylko dało. W dorzeczu rzeki Kasai eksploatacja zaczęła się najpóźniej, toteż wkrótce rejon ten zaczął dostarczać najwięcej kauczuku. I kto nagle wkracza ponownie na scenę, tym razem w roli wizytującego okolicę inspektora generalnego Compagnie du Kasai? Léon Rom, kolekcjoner

odciętych głów, który od kiedy go ostatnio spotkaliśmy, znacznie awansował. Zatrudnianie byłych oficerów Force Publique w kompaniach, które działały w Kongu, było na porządku dziennym.

Zazwyczaj pokojowi Kuba podnieśli bunt przeciwko kauczukowemu terrorowi w rejonie Kasai, zachęceni - tak jak w przypadku innych tragicznie zakończonych afrykańskich powstań - przez starszyznę, która twierdziła, że posiada amulet zmieniający naboje białych ludzi w wodę. Buntownicy spalili faktorie handlowe oraz misje. Gdy naboje nie zmieniły się w wodę, zabito około stu osiemdziesięciu powstańców<sup>684</sup>. William Sheppard w corocznym biuletynie dla amerykańskich prezbiterianów w kraju „Kassai Herald” opisał skutki powstania. Jako pierwszy zainteresował się historią Kuba, pisząc ją w taki sposób, w jaki nie zrobiłby tego żaden biały misjonarz:

Ci nieprzejednani mężczyźni i kobiety byli wolni od niepamiętnych czasów. Uprawiali wielkie pola kukurydzy, groszku, tytoniu i ziemniaków, łapali słonie dla ich kłów, lamparty dla ich skór. Od zawsze byli rządzani przez swoich własnych królów, nie bali się władzy, mieli sędziów w każdym mieście królestwa. Ten wspaniały lud, liczący około 400 tysięcy głów, wkroczył w nowy etap swojej historii. Zaledwie kilka lat wcześniej podróżujący przez ten kraj znajdowali jego mieszkańców mieszkających w wielkich domach, mających od jednego do czterech pokoi. W nich Kuba żyli szczęśliwi wraz ze swoimi żonami i dziećmi - jedno z najzamożniejszych i najinteligentniejszych afrykańskich plemion...

Jakże się jednak zmienili w ciągu ostatnich trzech lat! Ich pola uprawne zarastają krzewami i dżunglą. Ich król jest niemal niewolnikiem. Mieszkają w jednoizbowych, na wpół zbudowanych, wielce zaniedbanych chatkach. Ulice ich miast nie są czyste i zamiecione, jak to było wcześniej. Nawet ich dzieci wołają o chleb.

Skąd taka zmiana? Oto odpowiedź, zawarta w kilku słowach. Uzbrojeni zwiadowcy kompanii handlowych zmuszają mężczyzn i kobiety do spędzania całych dni i nocy w lesie i zbierania kauczuku. Opłata, jaką za to otrzymują, jest tak nędzna, że nie mogą z niej żyć. W większości wiosek ci biedni ludzie nie mają czasu na to, by słuchać Ewangelii i odpowiadać na potrzebę zbawienia swojej duszy<sup>685</sup>.

Artykuł Shepparda został opublikowany w styczniu 1908 roku, w tym samym

miesiącu, w którym Léon Rom powrócił do Belgii z półrocznej podróży służbowej w dorzeczu Kasai. Wkrótce koledzy Roma z Compagnie du Kasai zaczęli grozić, grzmieć i żądać wycofania artykułu, na co nie zgodzili się Morrison i Sheppard. Morrison wysłał listy do przedstawicieli kompanii, utrzymane w zdecydowanym tonie, w których przedstawił kolejne zarzuty, co ich jeszcze bardziej zdenerwowało. Obaj misjonarze mogli zostać pociągnięci do odpowiedzialności, gdyż formalnie do publikacji biuletynu doszło w Kongu. W Anglii Morel przedrukował artykuł Shepparda oraz nadesłane przez misjonarzy zdjęcia robotników przymusowych, związanych za szyje sznurami.

Gdy kompania wciąż narzekała na obraźliwy - jej zdaniem - artykuł, brytyjski wicekonsul w Kongu, Wilfred Thesiger, udał się z trzymiesięczną wizytą do dorzecza Kasai, żeby przygotować raport na temat panujących tam warunków. Nerwowi urzędnicy Konga śledzili jego ruchy - aż za dobrze pamiętając międzynarodowe poruszenie, jakie cztery lata wcześniej wywołał raport Casementa. Ku rozczarowaniu władz Thesiger zatrzymał się w misji amerykańskich presbiterianów i podróżując, korzystał z ich łodzi „Laspley”. Przewodnikiem Thesigera był Sheppard, który mówił miejscowymi językami i dobrze znał okolicę. Zabrał go do trzydziestu jeden wiosek Kuba. Kiedy wyjechali, podejrzliwy szef tamtejszej stacji przepytał tubylców, którzy z nimi rozmawiali, i zaniepokojony wysłał raport do swoich zwierzchników: „Sheppard wskazał na konsula i powiedział: «Widzisz tego białego człowieka? Kiedy wróci do Europy, powtórzy wszystko, co mu powiesz, ponieważ jest bardzo potężny». W wioskach Bakuba [Thesiger] zadawał wszystkie pytania, które zasugerował mu Sheppard”<sup>686</sup>. Wkrótce Thesiger przedłożył brytyjskiemu parlamentowi niezwykle krytyczny raport na temat głodu i brutalności, jakie panowały w rejonie Kasai. Jeden z fragmentów, w którym opisywano, jak rozpadają się domy Kuba, kiedy oni sami są zmuszani do niewolniczej pracy przy zbiorze kauczuku, stwierdzał dokładnie to samo, co artykuł Shepparda. Wartość akcji Compagnie du Kasai poleciała na łeb, na szyję. Kompania i władze Konga były wściekle i obwiniały o wszystko Shepparda.

Kompania nie mogła prawnie ukarać presbiterianów za pomaganie Thesigerowi, ale mogła ukarać za opublikowanie w 1908 roku tekstu Shepparda. W lutym 1909 roku oskarżyła o zniesławienie Shepparda jako autora artykułu oraz Morrisona jako wydawcę, domagając się osiemdziesięciu tysięcy franków odszkodowania<sup>687</sup>. Obaj mężczyźni, głęboko przekonani o słuszności swego postępowania, postanowili, że jeśli zostaną skazani, „pójdą do więzienia, ale nie zapłacą kary”<sup>688</sup>. Za granicą ich zwolennicy ruszyli na odsiecz. „Morrison na ławie

oskarżonych - napisał sir Arthur Conan Doyle (pomijając zupełnie czarnego oskarżonego, Shepparda) - jest lepszym ucieleśnieniem wolności niż Statua Wolności Bartholdiego w nowojorskiej zatoce<sup>689</sup>. W Waszyngtonie sprawę omawiano na posiedzeniu gabinetu. Amerykańskie poselstwo w Brukseli poinformowało władze Belgii, że Stany Zjednoczone obserwują proces z „zainteresowaniem i niepokojem”, sugerując przy tym, że amerykańskie uznanie belgijskich roszczeń do Konga może zależeć od wyniku procesu<sup>690</sup>.

Rozprawa odbyła się w Leopoldville, odległym od prezbiteriańskich misji o tysiąc kilometrów podróży rzekami Kasai i Kongo. Fotografia pokazuje Morrisona i Shepparda stojących pod jakimiś palmami i czekających na proces. Obok nich kilkunastu Kuba, przygotowanych do zeznawania w ich obronie. Kuba mają nagie torsy. Biały Morrison, z gęstą brodą, wygląda na zrezygnowanego, jak gdyby oczekiwał na kolejną ciężką próbę, na którą wystawia go Bóg, a którą wynagrodzi mu dopiero życie wieczne. Ma na sobie czarny kapelusz, czarny garnitur i zdarte buty. Czarny Sheppard ubrany jest w biały garnitur i biały kapelusz. Jego buty błyszczą, pierś wypięta, jest wyższy o głowę od reszty ludzi i zdaje się dobrze bawić. W jego podejściu do Kuba jest coś dumnego i opiekuńczego, jak gdyby byli jego młodszymi pobratymcami.

Rozprawa miała się rozpocząć, kiedy w Kasai trwała pora sucha - misjonarze uważali, że był to celowy zabieg. Gdy łódź parowa wioząca oskarżonych i ich świadków natknęła się na niski stan wód, kapitan odmówił dalszej żeglugi. Wyznaczono nowy termin rozprawy.

Morel zatelegrafował do swojego przyjaciela i sojusznika, lidera belgijskich socjalistów Emile'a Vanderveldego, prosząc go o polecenie jakiegoś „uczciwego, młodego belgijskiego prawnika”<sup>691</sup>, który zgodziłby się reprezentować obu misjonarzy. Vandervelde, czołowa figura europejskiej socjaldemokracji, sam był prawnikiem i ku zaskoczeniu wszystkich ogłosił, że sam podejmie się ich obrony *pro bono*. Proces został odroczony ponownie, żeby Vandervelde mógł przybyć do Konga. Kiedy przygotowywał się do wyjazdu, niektórzy krytykowali go za to, że jedzie aż do Afryki, żeby bronić pary „obcych”. To, że jeden z owych obcych jest czarny, zostawiano w domyśle.

Vandervelde odpowiedział: „Na sali sądowej żaden człowiek nie jest obcy”<sup>692</sup>.

Przybywszy do Konga, Vandervelde, antyklerykał, przewodniczący Drugiej

Międzynarodówki, dobrze znający wiele ważnych postaci ówczesnej światowej lewicy, zamieszkał w placówce misyjnej i poruszał się po Stanley Pool parowcem misjonarzy, pływającym pod amerykańską banderą. Z wielkim rozbawieniem obserwował, jak misjonarze chrzczą ludzi poprzez całkowite zanurzenie w wodzie i modlą się o przychylny werdykt sądu<sup>693</sup>.

Wreszcie w sali sądowej z cegieł i drewna, przy oknach otwartych na oścież z powodu upału, rozpoczął się proces. Z powodów proceduralnych sąd odrzucił zarzuty przeciwko Morrisonowi, co czyniło z Shepparda jedyne oskarżonego. Proces był bez cienia wątpliwości największą atrakcją tego niedużego miasteczka, porośniętego mangowcami, palmami i baobabami, składającego się z baraków, zamieszkałych przez przymusowych pracowników, wojskowych koszar oraz pola, na którym Europejczycy w każdą niedzielę ćwiczyli strzelanie. Salę sądową zapełniło ponad trzydziestu zagranicznych misjonarzy protestanckich, którzy przybyli w charakterze wsparcia. Wraz z innymi zwolennikami Shepparda siedzieli po jednej stronie sali. Po drugiej zasiadali misjonarze katolicy, urzędnicy państwa Kongo i inni sojusznicy Compagnie du Kasai. Ci, którzy nie zmieścili się w sali, obserwowali rozprawę przez okna i drzwi. Urzędnicy kompanii mieli na sobie białe garnitury i takie same kapelusze przeciwsłoneczne. Sheppard, w ciemnym płaszczu i chusteczką w brustaszy, wyglądał bardzo elegancko.

Sędzia rozpoczął obrady, dzwoniąc małym dzwoneczkiem, i jako pierwszy przemówił prawnik Compagnie du Kasai. Vandervelde wstał, żeby wypowiedzieć się na tym jakże niecodziennym forum. Sheppard - zwrócił się do sędziego - „nie należy już do Anglii czy do Ameryki, ale do Kasai. (...) Jedynym powodem, dla którego ujawnił warunki, w jakich żyją tubylcy, była troska o ich dobro”<sup>694</sup>. Vandervelde „był wyśmienitym obrońcą - doniósł Morrison. - Jego przemowa była popisem elokwencji, niewzruszonej logiki, palącego sarkazmu i rozpaczliwego wezwania do tego, by oddać sprawiedliwość nie tylko nam, misjonarzom, ale w szczególności tubylcom. Przez ponad dwie godziny oczarowywał salę”<sup>695</sup>. Poruszony był także sam Sheppard. Jak pisał: „o procesie mówi się w całym kraju”, a widzowie „byli tak wzruszeni, że często musieli korzystać z chusteczek”. Jego zdaniem łkali nawet katolicy księża, zazwyczaj gorliwie wspierający państwo, a jeden z nich podszedł później pogratulować mowy Vanderveldemu. „Mówi się, że nigdy jeszcze mowa taka jak ta nie została wygłoszona w Kongu”<sup>696</sup>.

Proces sprawił, że zainteresowano się Sheppardem w Stanach. W „Boston Herald” opublikowano nagłówki AMERYKAŃSKI MURZYN BOHATEREM KONGA oraz PIERWSZY POWIADOMIŁ ŚWIAT O NADUŻYCIACH W KONGU, a pod nimi: „Doktor Sheppard nie tylko stawał przed monarchami, ale też stawał przeciwko nim. Nie ustając w pragnieniu służenia swojej rasie na jej rodzinnej ziemi, ten syn niewolnika (...) odważył się przeciwstawić potędze Leopolda”<sup>697</sup>.

Po mowach końcowych sędzia ogłosił, że wyda wyrok w ciągu dwóch tygodni. To w końcu polityka, a nie elokwencja Vanderveldego czy modły misjonarzy, decydowała o wszystkim. Obecność na sali sądowej konsula generalnego oraz wicekonsula Stanów Zjednoczonych przypominała o problemach, przed jakimi będzie musiała stanąć Belgia, jeśli uzna Shepparda za winnego. Z drugiej strony, sędzia wiedział, że jeśli uzna zarzuty Shepparda przeciwko kompanii za zasadne, nie będzie miał co liczyć na dalszą karierę w Kongu. Obrawszy ostrożną, centrową pozycję, zrezygował to, że artykuł Shepparda nie wymieniał nazwy Compagnie du Kasai (choć w tamtej okolicy nie działała żadna inna kompania), ale atakował „uzbrojonych strażników koncesjonowanych kompanii handlowych”. Dlatego, zdecydował sędzia w najbardziej zaskakujący sposób: „oskarżony Sheppard nie zamierzał atakować rzeczonyj kompanii. (...) Artykuł nie dotyczył i nie mógł dotyczyć Compagnie du Kasai”<sup>698</sup>. W rezultacie nie tylko Sheppard został uznany za niewinnego, ale i Compagnie du Kasai. Została ona jednak obarczona kosztami procesu.

Żony misjonarzy, które zostały nad rzeką Kasai, wiedziały o przysiędze mężów, że raczej pójdą do więzienia niż zapłacą karę. Gdyby tak się stało, nie byłoby ich na pokładzie parowca prezbiterianów wracającego z Leopoldville. W misji, w której biali i czarni niecierpliwie oczekiwali na wiadomości, panowało braterstwo, które w Stanach Zjednoczonych byłoby nie do pomyślenia. „Pani Morrison i ja z zapartym tchem czekałyśmy na powrót naszych umiłowanych - pisała Lucy Gantt Sheppard. - Gdy «Lapsley» zacumował, setki chrześcijan zaczęło śpiewać pieśni, machać rękoma i krzyczeć z radości. To był wspaniały moment - czas na dziękczynienie”<sup>699</sup>.

\*

W Europie nikt nie dziękował Leopoldowi. W grudniu 1909 roku, niecałe dwa

miesiące po procesie Shepparda, siedemdziesięcioletni król ciężko zachorował na „blokadę jelitową”, co było prawdopodobnie eufemistycznym określeniem raka. Otoczony nieustannymi renowacjami, które trwały w Laeken, architektonicznymi planami i rysunkami, król przeniósł się do innego budynku, położonego wśród wielkich szklarni Pawilonu Palmowego. Caroline wraz z dwoma synami pospieszyła do łóżka Leopolda, a prywatny kapelan króla udzielił im pospiesznego ślubu. Naprawiwszy swoje nadwątlone relacje z Kościołem, król mógł otrzymać ostatni sakrament. Mimo to Caroline, która została u jego boku, musiała wychodzić z pokoju, ilekroć pojawiał się jakiś inny gość.

Odrzucone córki Leopolda, Luiza i Stefania, przybyły do Brukseli w nadziei na pojednanie z ojcem i korzystne dla siebie zmiany w jego testamencie. Ale on, uparty do samego końca, odprawił je z kwitkiem. Królewski lekarz, doktor Jules Thiriar, będący w imieniu króla również akcjonariuszem kilku kongijskich kompanii, nakazał przeprowadzenie operacji, która okazała się nieskuteczna. W tym samym czasie belgijski parlament uchwalił wymarzoną ustawę Leopolda, nakazującą obowiązkową służbę wojskową. Gdy król wybudził się z narkozy, drżącą ręką złożył na ustawie swój podpis. Następnego dnia był niezwykle zwawy, zaczął domagać się gazet i rozkazał zacząć przygotowania do wyjazdu na Riwierę. Kilka godzin później już nie żył. Jeden z setek krążących wokół urzędników zabrał łkającą Caroline od łóżka monarchy.

Jeśli wierzyć pamiętnikom Caroline, Leopold, już po zawarciu sekretne go ślubu, zwrócił się do barona Auguste'a Goffineta, jednego z grubych, brodatych, nieco zezowatych bliźniaków, którzy przez trzydzieści lat zaliczali się do grona jego najbliższych współpracowników, i powiedział: „Oto wdowa po mnie. Oddaję ją pod pańską opiekę w ciągu tych kilku dni, które po mojej śmierci spędzi w Belgii”<sup>700</sup>. Jest całkiem prawdopodobne, że król rzeczywiście zrobił coś podobnego, wiedział bowiem doskonale, że jego trzy córki szczerze nienawidziły Caroline (podobnie jak belgijska opinia publiczna), a będą traktować ją jeszcze gorzej, kiedy dowiedzą się, że to właśnie jej zostawił warte fortunę kongijskie obligacje - nie licząc tych sześciu milionów franków, które już jej dał.

Prawnicy księżniczki Luizy próbowali przejąć papiery wartościowe, toteż gdy Caroline udała się do swojej brukselskiej willi, znalazła ją zamkniętą na głucho i strzeżoną. Tak samo było z francuskim zamkiem, który dostała od Leopolda. Z pomocą jego lojalnych współpracowników, których widziano, jak w ostatnich godzinach życia króla wyjmują



obligacje z jego biurka, Caroline dostała jednak większość swoich pieniędzy i wyjechała do Paryża.

Niecały rok później ponownie wyszła za mąż - jej mężem został nie kto inny, ale były francuski oficer Durrieux, jej poprzedni absztyfikant i alfons. Jeśli podzieliła się z nim swoją fortuną, to był to bez wątpienia jeden z najbardziej dochodowych przypadków stręczycielstwa w historii. Z dwóch synów Caroline i Leopolda jeden zmarł kilka lat po ojcu. Drugi przeżył długie i ciche życie, utrzymując się z odsetek od kapitału, który został wypracowany rękami kongijskich niewolników. Zmarł w 1984 roku. Prawdopodobnie najbardziej interesującą osobą spośród potomków Leopolda była jego wnuczka Elżbieta, jedyne dziecko Stefanii i austro-węgierskiego arcyksięcia Rudolfa. Poślubiła socjalistycznego polityka i zyskała miano Czerwonej Arcyksiężniczki.

Gdy Leopold umarł, jego poddani nie oplakiwali go zbyt wiele. Dużo bardziej woleli jego bratanka i następcę, Alberta I, skromnego, sympatycznego i - co wyjątkowo rzadkie w europejskich monarchiach - otwarcie kochającego swoją żonę. Dzięki Morelowi i jego sojusznikom reszta świata pamięta o Leopoldzie nie z powodu monumentów, z których był tak dumny, ale odciętych dłoni. Amerykański poeta Vachel Lindsay napisał:

Słuchajcie, jak duch Leopolda wyje w męce,

Smażąc się w piekle, że obcinał ludziom ręce.

Słuchajcie, jak tam diabły wrzeszczą i chichoczą wściekle,

Obcinając jego dłonie, głęboko, w piekle<sup>701</sup>.

(przeł. Robert Stiller)

Ale bitwa o to, jak zostaną zapamiętani Leopold i jego czyny, dopiero się zaczynała.

\*

Życie Rogera Casementa, który w początkowej fazie tej bitwy był najważniejszą postacią, uległo zasadniczym zmianom. Kiedy opublikowano jego raport, gazety przeprowadzały z nim wywiady, podejmował go cały londyński świat literacki, brytyjski monarcha odznaczył go medalem, belgijski monarcha atakował, bronił go Morel i ruch na rzecz reform w Kongu, a wreszcie zrehabilitowała komisja śledcza, którą powołał sam Leopold.

Casement musiał jednak z czegoś żyć. W 1906 roku znowu pracował jako brytyjski konsul w odległym miejscu, tym razem w Santos, w Brazylii, gdzie konsulat mieścił się w pustym, wymalowanym na biało pokoju, wynajętym w magazynie kawy. Na specjalne uroczystości nosił galowy mundur (białe rękawiczki, złote galony kołnierzyka i rękawów, szpada i kapelusz z rozetką), ale jego codzienna praca była o wiele mniej spektakularna. Wyczerpująco podsumował całą swoją karierę konsularną, pisząc: „Mój poprzednik w Santos kazał założyć w biurze drucianą siatkę, żeby (...) zirytowani brytyjscy poddani nie rzucali w niego przedmiotami. (...) W zatoce Delagoa [w Mozambiku] nie mogłem sobie pozwolić na zatrudnienie sekretarza. Przez dwa lata musiałem siedzieć w biurze i samemu otwierać drzwi każdemu gościowi. Myłem butelki i robiłem wszystkie inne rzeczy. (...) Niektóre panie przychodziły do mnie i prosiły, żebym zapłacił za nie woźnicy. Poproszono mnie, żebym ogłosił rozwód, i skarcono mnie, gdy tego nie zrobiłem. Pewnego razu do mojego biura w zatoce Delagoa przyszła jakaś kobieta, która zemdląła na sofie, a potem została u mnie na cały tydzień”<sup>702</sup>.

Gdy nie wykupywał z więzienia pijanych żołnierzy albo nie wykonywał innych czynności konsularnych, Casement coraz więcej czasu poświęcał sprawom Irlandii. Kiedy przebywał na urlopie w rodzinnym kraju, spotkał się z członkami ruchu na rzecz odrodzenia „cudownego, wspaniałego języka” gaelickiego, a wraz z nim korzeni irlandzkiej kultury<sup>703</sup>. Odwiedził prowadzoną przez nich szkołę w Cloghaneely, gdzie zrobiono mu zdjęcie - wysoki, z ramionami skrzyżowanymi na brzuchu, jak gdyby ukrywał swoją niepewność, siedzi niezręcznie między członkami Ligi Gaelickiej, uroczyście przyodzianymi w wiktoriańskie kamizelki i jaskółki.

„Samotny, w lasach Konga, gdzie odnalazłem Leopolda - pisał do przyjaciółki - odnalazłem również w sobie niepoprawnego Irlandczyka”<sup>704</sup>. Przyjacielowi powiedział: „sądzę, że tylko dlatego, że byłem Irlandczykiem, mogłem w pełni zrozumieć zło, które

działo się w Kongu<sup>705</sup>. Doszedł do przekonania, że Irlandia, tak jak Kongo, jest kolonią i że źródłem niesprawiedliwości jest właśnie to, że kolonialni zdobywcy zabrali ziemię jej mieszkańcom. „Zrozumiałem, że patrzyłem na tę tragedię [w Kongu] oczami człowieka innej rasy, która sama była niegdyś zwierzyną łowną<sup>706</sup>”.

Wszystko prawda, ale czy tylko Irlandczycy byli „rasą, która sama była niegdyś zwierzyną łowną”? W tej pruderyjnej epoce Casement, homoseksualny mężczyzna, całe swoje dorosłe życie czuł się jak zwierzyzna łowna. To jednak była sprawa zbyt niebezpieczna, żeby można się nią było zająć, w przeciwieństwie do irlandzkiego nacjonalizmu, którego sprawa zupełnie pochłonęła Casementa. Choć nigdy nie udało mu się w pełni opanować języka, czasami używał gaelickiej formy swojego nazwiska, Ruari MacAsmund, i próbował pisać w języku gaelickim listy. W drodze na placówkę w Brazylii zappełnił bagaż książkami o Irlandii i napisał do przyjaciółki: „Pamiętaj, że mój adres w Santos to Konsulat Wielkiej Brytanii i Irlandii, nie Brytyjski Konsulat!!!<sup>707</sup>”. Żeby to podkreślić, kazał wydrukować sobie specjalny papier listowy. Pisał z Brazylii do domu: „Wysyłajcie mi wiadomości o Kongu i Irlandii - cała reszta się nie liczy<sup>708</sup>”.

W czasie podróży do domu jego statek zawinął do Rio de Janeiro. Brytyjski wicekonsul wspominał później: „Casement zszedł na brzeg i przez chwilę porozmawialiśmy, zanim wrócił na pokład statku na lunch. (...) W połowie drogi powrotnej na statek niegodziwi brazylijscy wioślarze, którzy nas wieźli, nagle odłożyli wiosła i, jak to często mieli w zwyczaju, próbowali zażądać od nas więcej pieniędzy, niż było ustalone. Wtedy Casement wygłosił przejmujący monolog na temat *home rule* dla Irlandii, którego nic nie było w stanie przerwać. Wioślarze próbowali go przekrzyknąć, ale nie dali rady. Ostatecznie zniesmaczeni zrezygnowali i powiosłowali w stronę statku, podczas gdy Casement ciągle perorował na temat Irlandii<sup>709</sup>”.

Hojny jak zawsze (kilka lat pomagał utrzymywać swojego niewydarzonego brata), ale i często zadłużony, Casement zdołał jakoś odłożyć ponad osiemdziesiąt pięć funtów na „płatności na sprawę irlandzką w 1907 roku”. Zaczynał coraz bardziej postrzegać świat przez pryzmat kolonizacji - kolonizatorów i kolonizowanych. W jego listach widać dyskomfort z powodu pracy dla największej potęgi imperialnej. Nierzadko też łagodnie beształ swojego przyjaciela, E.D. Morela, za jego wiarę w to, że Anglia moralnie góruje nad innymi kolonialnymi mocarstwami. „Nie potrzebuję Twojego brytyjskiego rządu. (...) Jesteś jednym z

nielicznych, mój drogi Buldogu, dla których narodowość nie ma znaczenia - i za to Cię kocham. Gdy jednak myślę o tym, co J.B. [John Bull\*] zrobił Irlandii, chce mi się płakać, że zamiast z nim walczyć, wciąż muszę mu służyć. (...) Nie zgadzam się z Tobą, że Anglia i Ameryka są dwiema humanitarnymi potęgami. (...) [Są] nastawione przede wszystkim materialistycznie, a humanitarne stają się dopiero po stu latach”<sup>710</sup>.

Morel doradził Casementowi, żeby nie poświęcał swojej emerytury, przedwcześnie odchodząc ze służby konsularnej. Rozumiał frustrację Casementa, ale był na tyle inteligentny, żeby wiedzieć, że jej część brała się nie tyle z pracy, ile z samej natury przyjaciela. „Jesteś człowiekiem, któremu trudno pomóc - napisał raz do Casementa. - Jesteś bardzo dumny, za co Cię przede wszystkim podziwiam. Mimo to - wybacz, że to piszę - trudno czasem odgadnąć, co takiego trzeba zrobić, żeby dokładnie sprostać Twoim oczekiwaniom”<sup>711</sup>.

Casement martwił się o dobro Morela, tak samo jak Morel martwił się o los przyjaciela. Wiedział, że Morel, włożywszy całą swoją energię w sprawę reformy Konga, nie odłożył ani trochę pieniędzy na stare lata. Przebywając na urlopie w Londynie, Casement zaczął zbierać pieniądze na ten cel, samemu ofiarowując pięćdziesiąt funtów. Pisał do Williama A. Cadbury’ego, kwakerskiego wytwórcy czekolady: „Mam nadzieję, że uda nam się zebrać między 10 a 15 tysięcy funtów i ta suma (...), zainwestowana na konto żony i dzieci, na zawsze usunie nękające go obawy. Wtedy będzie mógł się poświęcić czynieniu większego dobra dla Afryki albo innego miejsca, gdzie potrzebna jest taka nieustraszona dusza jak jego”<sup>712</sup>. Casement wysłał w tej sprawie mnóstwo listów i osobiście spotykał się z sympatykami sprawy Konga. Co prawda, nie udało mu się zdobyć tyle, ile zamierzał, ale i tak zebrał kilka tysięcy funtów. On - a Morel nawet bardziej - mieli ogromny talent do czegoś, co jest niezbędne w organizowaniu politycznych krucjat - pozyskiwania środków.

Nagle przed Casementem wyrosła okazja do powtórzenia swojej słynnej wyprawy śledczej, którą odbył w Kongu, ale tym razem w innej części świata. Nadsyłane do Anglii raporty opisywały okrucieństwa, jakie urzędnicy Peruwiańskiej Amazońskiej Kompanii Kauczukowej wyrządzali Indianom z regionu Putumayo, położonego w odległej Amazonii. Brytyjcy humaniści, związki zawodowe i wspólnoty religijne domagały się jakichś działań. Firma miała swoją siedzibę w Londynie, a niektórzy z jej źle traktowanych pracowników byli brytyjskimi poddanymi - kontraktowymi robotnikami z Barbadosu. Foreign Office wysłało Casementa, żeby zbadał sytuację.

Putumayo było dla Casementa powtórką z Konga - począwszy od długiej, męczącej podróży na pokładzie zatłoczonych łodzi parowych, przez roje tropikalnych moskitów, aż do takiego samego systemu pracy niewolniczej, opartego na strzelaniu, kajdanach, ucinaniu głów, okaleczaniu i porwaniach, który tak samo był napędzany przez nienasycony popyt Europy na dziki kauczuk. Casement ważył i próbował nosić ładunki kauczuku, które musieli nosić Indianie. Mierzył dyby, w które zakuwano ludzi mających być wychłostanymi biczem ze skóry tapira, przypominającym *chicotte*.

Śląc raporty do Foreign Office, Casement wiedział, że wszystko musi być bardzo dokładnie udokumentowane. W jego innych pismach z tego okresu widać jednak romantyczne idealizowanie uciśnionych. Uważał, że Irlandczycy byli „białymi Indianami”, a dotknięte biedą Galway „irlandzkim Putumayo”<sup>713</sup>. W artykule prasowym przekonywał, że Indianie znad Putumayo moralnie górują nad swoimi białymi panami, są bowiem „socjalistami z charakteru, zwyczaju i, być może, z powodu pamięci o Inkach i ludach preinkaskich”<sup>714</sup>. (Niektóre mniejsze ludy, zniszczone przez armie Inków, nie miały o nich zapewne tak dobrego zdania).

Choć uległ mitowi szlachetnego dzikusa, Casement zrobił to, co do niego należało. Tak jak w przypadku Konga, nie wystarczyło mu wykonanie swojego zadania dla Foreign Office - napisał mnóstwo listów do wpływowych ludzi, zbierał pieniądze i słał zapytania do sympatyzujących z nim członków parlamentu. Kiedy był w środku pracy, doszła do niego elektryzująca wiadomość: z rekomendacji sekretarza spraw zagranicznych miało mu zostać nadane szlachectwo. Całymi dniami zastanawiał się, czy je przyjąć, czując - jak pisał przyjaciółce - że „dopóki Irlandia nie jest bezpieczna, a jej perspektywy dobre, żaden Irlandczyk nie ma prawa przyjmować wyróżnień”<sup>715</sup>. Ostatecznie zgodził się, ale kiedy przyszedł dzień ceremonii - która wymagała, żeby uklęknął przed brytyjskim monarchą - wymówił się chorobą.

Kiedy Casement przebywał nad Putumayo, jego życie składało się, tak jak w Kongu, tylko z pracy i rzadko miał czas na cokolwiek poza nią. W czasie długiej podróży do i z Ameryki Południowej ponownie jednak zapełnił swój dziennik schadzkami. Na pokładzie statku: „Steward kapitana, hinduski chłopak, 19 lat, szeroka twarz”<sup>716</sup>. W Pará, w Brazylii: „Czy zobaczę drogiego Joao! Wstanę wcześniej. (...) Na cmentarz i zobaczymy! Przychodzi

Joao, z radości rumieni się aż do cebulek włosów<sup>717</sup>. Wydaje się, że stał się mniej ostrożny. Spacerując po Pará: „Kolacja o 20 i na cmentarz, spotkać się z przyjacielem. (...) Policjant przechodził za ogrodzeniem, ale tylko się roześmiał. 10 dolarów<sup>718</sup>. Wciąż się ukrywał, ale bomba zegarowa tykała.

\*

Pewnego wieczora roku 1910, a więc rok po śmierci króla Leopolda, widzowie londyńskiego teatru, którzy przybyli zobaczyć nową sztukę o Sherlocku Holmesie pod tytułem *Nakrapiana przepaska*, zauważyli na widowni trzech mężczyzn: słynnego dziennikarza E.D. Morela, właściciela rozpoznawalnych wąsów; czarnobrodego sir Rogera Casementa, opalonego po pobycie w Putumayo; oraz twórcę postaci Sherlocka Holmesa, sir Arthura Conana Doyle’a, gospodarza dwóch pozostałych.

Conan Doyle był najważniejszą osobą, którą Morel pozyskał na rzecz sprawy reform w Kongu. Morel chętnie przyjął jego pomoc, tym bardziej że przejęcie Konga przez Belgię i śmierć Leopolda bardzo utrudniły mu pracę. Morelowi przytrafiła się najgorsza rzecz, jaka może stać się krzyżowcowi - utracił swojego złoczyńcę. Wiara w to, że niegodziwościom systemu winien jest jeden człowiek, zawsze jest kusząca. Morel nigdy nie uległ tej pokusie, ale bał się, że mogą jej ulec jego zwolennicy. Demonizowanie Leopolda było dla reformatorów bronią obusieczną. Kiedy król zniknął, ruch mógł się z łatwością zachwiać, toteż wsparcie Conan Doyle’a przyszło w najbardziej odpowiednim momencie.

W 1909 roku, stając u boku Morela, pisarz przemawiał do ogromnych tłumów: dwa tysiące osiemset ludzi w Edynburgu, trzy tysiące w Plymouth, pięć tysięcy w Liverpoolu. Był autorem wstępu do najnowszej książki Morela, a także - opierając się na jego materiałach - sam napisał książkę *Zbrodnia w Kongu*. Pierwszego tygodnia po jej publikacji sprzedano ponad dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy i natychmiast została przetłumaczona na kilka języków. Conan Doyle miał zapał neofity i jego tyrady były jeszcze żarliwsze niż Morela. Nazywał wykorzystywanie Konga „największą zbrodnią w historii świata<sup>719</sup>”.

Morel uważał przejęcie Konga przez Belgię za jedynie „połowiczny sukces<sup>720</sup>”. Wiedział, że system ustanowiony przez Leopolda nie zostanie szybko rozmontowany - był

zbyt zyskowy. Ci sami ludzie, którzy za rządów Leopolda byli regionalnymi komisarzami i szefami stacji, mieli po prostu dostawać pensję z innego źródła. Force Publique nie zadała sobie nawet trudu, żeby zmienić nazwę. Nowym belgijskim ministrem do spraw kolonii został były urzędnik kompanii, która wykorzystwała tysiące przymusowych robotników do zbudowania linii kolejowej we wschodnim Kongu. Przewodniczący komisji belgijskiego senatu, zatwierdzającej nowy budżet kolonii (który, jak zauważył Morel, zwiększał „podatki w naturze” dla Afrykanów), był udziałowcem niesławnej kompanii kauczukowej ABIR. Wiedział, że dopóki na kauczuku będzie można zarobić duże pieniądze, biali ludzie, używając broni palnej i *chicotte*, będą zmuszać czarnych ludzi do jego zbierania. W jednym z wielu listów do wydawców różnych brytyjskich gazet Conan Doyle, z pomocą Morela, napisał: „Dopóty, dopóki w jakichkolwiek raportach na temat reform w Kongu będzie pojawiać się zdanie «dorośli tubylcy będą zmuszeni do pracy», nie ma mowy o jakiegokolwiek prawdziwej reformie”<sup>721</sup>.

Morel skupił się na próbie zmuszenia Foreign Office do tego, by zażądało od belgijskiego rządu wyeliminowania zniechęconego Leopoldowego „systemu” pracy przymusowej, a także konfiskat surowców i produktów ziemi. W jednej z ostatnich akcji Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu Morel zażądał, by brytyjski okręt wojenny zablokował rzekę w Boma. Sekretarz spraw zagranicznych Grey odmówił, ale wycofał brytyjskie uznanie dla belgijskiego Konga. Morel rzucił się w wir pracy z nawet większą intensywnością niż zwykle, publikując następną książkę oraz nieprzerwany strumień broszur, artykułów i kolejnych numerów wydawanego przez Towarzystwo czasopisma. Zappełnił Royal Albert Hall aż po najwyższe balkony, urządzając wielki wiec protestacyjny, który wsparło dwudziestu biskupów i stu czterdziestu parlamentarzystów.

Nadchodził czas zmian w Kongu. Nowy belgijski król, Albert I, który przed objęciem tronu odwiedził Kongo i widział ludzi z odciętymi dłońmi, wyraźnie dał do zrozumienia, że uważa pracę przymusową za skandal, i nalegał na poważne reformy. (Niestety, w późniejszych latach utracił swój młodzieńczy idealizm). Morel był zachwycony, ale tego typu wiadomości sprawiały, że trudno było utrzymać zainteresowanie i zapal zwolenników. Do 1910 roku Amerykańskie Towarzystwo na rzecz Reform w Kongu wykruszyło się. „Zapał Amerykanów dość szybko gaśnie” - pisał Morel do jednego ze swoich korespondentów<sup>722</sup>.

Sam bohatersko próbował skupić zainteresowanie swoich zwolenników na sprawie

własności ziemi, o wiele ważniejszej - ale i o wiele mniej spektakularnej - niż osobista niegodziwość Leopolda. Od dawna żywił przekonanie, że „źródło wszelkiego zła [będzie] nietknięte (...) dopóki kongijscy tubylcy ponownie nie staną się właścicielami swojej ziemi oraz tego, co ona wydaje”<sup>723</sup>.

Choć nigdy nie było to jego celem, głośnie nalegania Morela, by przyznać Afrykanom prawa do ich ziemi, sprawiły, że wielu ludzi - szczególnie w brytyjskim Foreign Office - uznało je za zagrożenie nie tylko dla belgijskich, ale i brytyjskich poczynań w Afryce. Sekretarz spraw zagranicznych napisał do lorda Cromera, który wspierał Morela: „Kwestia tubylcza nie jest tak prosta, jak mu się wydaje. (...) W naszych własnych koloniach też nie mówimy, że cała ziemia i wszystkie jej produkty należą do tubylców”<sup>724</sup>. Ze swoją wiarą w to, że kongijska ziemia jest własnością Afrykanów, Morel był znacznie radykalniejszy niż niemal wszyscy ludzie, z którymi pracował. Dało o sobie znać to niewypowiedziane napięcie między Morelem-krzyżowcem sprawiedliwości a Morelem-brytyjskim patriotą, którego najnowszy sławny sojusznik, Conan Doyle, był niegdyś przewodniczącym chłopięcej Ligi Imperialnej<sup>\*\*</sup>. W pismach Morela z tamtego okresu widzimy, jak jego zaangażowanie w sprawę Konga zmieniło go, czyniąc zeń pesymistę. W 1909 roku, wbrew pełnej samozadowolenia atmosferze epoki, w surowym tonie przestrzegał przed „długofalowymi konsekwencjami, nie tylko dla Afryki Południowej, ale i całej czarnej Afryki”<sup>725</sup>, jakie będzie miało ustanowienie przez Wielką Brytanię nowej, niezależnej Unii Południowej Afryki, w której parlamencie będą zasiadać wyłącznie biali.

Nie wszystko jednak wyglądało ponuro. Jesienią 1909 roku belgijski minister do spraw kolonii ogłosił, że w ciągu trzech lat zostaną wprowadzone szerokie reformy. Morel stanowczo protestował przeciwko zbyt długiemu, jego zdaniem, okresowi przejściowemu. Mimo to po trzech latach zaczęły nadchodzić listy od misjonarzy, które dawały nadzieję na poprawę. Równie budujące wieści nadsyłali brytyjscy konsulowie, badający tamtejszą sytuację. Liczba doniesień na temat okrucieństw, wyrządzanych robotnikom pracującym przy pozyskiwaniu kauczuku, spadła niemal do zera. W 1912 roku Alice i John Harrisowie - kierujący teraz nowym, powstałym z połączenia dwóch wcześniejszych organizacji Towarzystwem Antyniewolniczym i Opieki nad Tubylcami - powrócili z podróży do Konga i donieśli o „niebywałej poprawie”<sup>726</sup>.

Z czasem Morel musiał walczyć na dwóch frontach: przeciwko brytyjskiemu uznaniu



Konga jako belgijskiej kolonii (co ostatecznie nastąpiło w 1913 roku), a także przeciwko gasnącemu zapalowi swoich zwolenników. Nawet Casement uważał, że „oblężenie pirackiej twierdzy (...) dobiega końca”, i nakłaniał Morela, by zakończył kampanię<sup>727</sup>. Mimo pewnych wątpliwości, dobrze widocznych w jego listach, Morel postanowił publicznie ogłosić zwycięstwo. „Nie mam zamiaru malować rzeczywistości w kolorowych barwach. Potrzeba całych pokoleń, żeby zagoiły się rany zadane Kongu. Ale (...) skończyły się okrucieństwa. (...) Źródłem dochodów nie jest już przymusowa albo niewolnicza praca. Nie ma już podatku kauczukowego. Tubyłcy są wolni i mogą sami zbierać owoce swojej ziemi. (...) Nieodpowiedzialny despotyzm został zastąpiony przez odpowiedzialny rząd”<sup>728</sup>. Przyznał, że jednym z głównych celów, których nie udało się osiągnąć, było oddanie Afrykanom ziemi na własność.

Szesnastego czerwca 1913 roku w londyńskim hotelu Westminster Palace odbyło się ostatnie spotkanie Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu. Po raz ostatni spotkało się wielu czołowych sympatyków ruchu z Wielkiej Brytanii: John i Alice Harrisowie, arcybiskup Canterbury, podróżnicy, misjonarze, wydawcy, parlamentarzyści. Sir Roger Casement, William Cadbury, John Holt, Émile Vandervelde, Pierre Mille i pisarz John Galsworthy przysłali listy albo telegramy, które zostały odczytane. E.D. Morel miał zaledwie trzydzieści dziewięć lat, kiedy organizacja, którą założył i która przez niemal dekadę wzburzała wody polityki w kilku krajach, zakończyła swoją działalność.

Wychwalali go kolejni znamienici mówcy. Morel nie lubił dzielić się światłem reflektorów, ale gdy wreszcie przemówił, oddał cześć komuś innemu: „Słuchając tego wszystkiego, co zostało dziś powiedziane, wyobraziłem sobie małą łódź parową, która - za miesiąc minie dziesięć lat od tamtej chwili - brnie w górę Konga. Na jej pokładzie znajduje się ktoś, kogo część z państwa zna; człowiek wielkiego serca (...) Roger Casement”<sup>729</sup>. Wiec wyznaczał koniec pierwszego wielkiego ruchu na rzecz praw człowieka w XX wieku. „Zadaliśmy cios w imię ludzkiej sprawiedliwości - powiedział Morel zgromadzonym - który nie może być i nie będzie zapomniany”<sup>730</sup>. Dopiero następne pokolenie mogło osądzić prawdziwość tych słów.

\* Postać grubiańskiego Anglika, stworzona w 1712 roku przez Johna Arbuthnota w satyrycznym utworze pt. *The History of John Bull* - ucieleśnienie Wielkiej Brytanii (*przyp. tłum.*).

\*\* Liga Imperialna była popularną na przełomie wieków patriotyczną (ale i szowinistyczną) organizacją młodzieżową, skupioną wokół czasopisma „Boys of the Empire” (przyp. tłum.).

## ZWYCIĘSTWO?

ŚMIERĆ LEOPOLDA wydawała się końcem pewnej epoki, tak w Europie, jak i w Afryce. Wielu Belgów poczuło ulgę: wraz z królem zniknął wstyd z powodu młodziutkiej kochanki, gorszących sporów z córkami oraz niczym niemaskowanej chciwości. Szybko jednak stało się jasne, że duch Leopolda nie zniknie tak łatwo. Król był właścicielem jednej z największych fortun w Europie i postanowił zabrać ją ze sobą do grobu. I w pewien sposób mu się to udało.

Niedługo przed śmiercią Leopold cichaczem założył w Niemczech fundację, której przekazał obrazy, srebra, kryształy, klejnoty, meble i inne dobra wartości około 25 milionów franków, do tego dokładając jeszcze 20 milionów franków w obligacjach. Statut fundacji mówił, że część dochodów należy zainwestować ponownie, a resztę wydać „zgodnie z wytycznymi założyciela” na tak lubiane przez niego wielkie, krzykliwe budowle: pałace, pomniki i budynki publiczne. Leopold obawiał się, że przyszłe, pozbawione rozmachu belgijskie rządy nie będą wydawać pieniędzy w taki sposób. Poza tym chciał - jak zawsze - zabrać swoją fortunę Luizie, Stefanii i Klementynie. „Król ma tylko dwa marzenia - miał powiedzieć jeden z belgijskich ministrów w ostatnich latach rządów Leopolda - umrzeć jako miliarder i wydziedziczyć córki”<sup>731</sup>.

Niemiecka fundacja nie była jedynym miejscem, w którym Leopold próbował ukryć swoją fortunę. Okazało się, że pięćdziesiąt osiem nieruchomości w Brukseli, kupionych w imieniu króla przez jego wiernego pomocnika, barona Auguste’a Goffineta, należy do innej tajnej kompanii. Kolekcję posiadłości na Riwierze przejęła trzecia podejrzana instytucja, Korporacja Nieruchomości Mieszkalnych i Ogrodowych Côte d’Azur. Niektóre z willi zostały zarezerwowane na letnie posiadłości przyszłych belgijskich monarchów; inne miały stać się częścią wielkiego kompleksu wypoczynkowego, składającego się z parków, ogrodów, obiektów sportowych i domków, w którym za darmo mogliby spędzać wakacje biali urzędnicy pracujący w Kongu<sup>732</sup>. Do tego wszystkiego wymienione instytucje otrzymały obligacje kongijskie warte ponad 25 milionów franków<sup>733</sup>.

Rząd Belgii całymi latami próbował wydobyć się z finansowego bagna, w jakie wpędził go Leopold, ale ponieważ zainteresowane instytucje mieściły się w Belgii, Francji i Niemczech, wybuch pierwszej wojny światowej przerwał ten żmudny proces. Ośrodek wypoczynkowy nigdy nie powstał. Nie skończono też monumentalnej Światowej Szkoły Kolonializmu, którą z takim entuzjazmem planował Leopold. Jej wielkie fundamenty wciąż stoją na przedmieściach Brukseli. Jedną z willi króla na Riwierze kupił ostatecznie Somerset Maugham, a inną przerobiono na ogród zoologiczny, któremu przyniosła sławę trupa muzykujących szympansów.

Dopiero czternaście lat po śmierci Leopolda, w 1923 roku, udało się rozwiązać ostatnią zagadkę finansów monarchy. Odkryto między innymi, że część bogactw, którymi dysponował, oficjalnie należała do jego wciąż żyjącej siostry, szalonej Carloty. Leopold, będący jej prawnym opiekunem, swobodnie przejął kilka posiadłości, nielegalnie spłacając ją obligacjami Wolnego Państwa Konga<sup>734</sup>.

Niegdyś cesarzowa Meksyku przeżyła swojego brata o wiele lat. Gości podejmowała w wielkim pokoju, w którym w szeregu stało co najmniej kilkanaście krzeseł. Kiedy Carlota wchodziła do pokoju, zanim przywitała się z prawdziwym gościem, po kolei pozdrawiała każdego z wymyślonych. Czas mijał, a ona spędzała mnóstwo czasu, zmieniając stroje i układając fryzurę. Kiedy pewnego dnia zobaczyła się w lustrze i zrozumiała, że nie jest już młoda i piękna, rozkazała wytluc wszystkie lustra w zamku. Na jednym z przyjęć, czterdzieści pięć lat po egzekucji jej męża, wykrzyknęła nagle, zdumiona: „Ależ nie ma jeszcze Maksymiliana!”. Była zapewne jedną z nielicznych osób, które nie zauważyły czteroletniej okupacji niemieckiej w czasie pierwszej wojny światowej. Zmarła w 1927 roku, mając osiemdziesiąt sześć lat, do samego końca mamrocząc o nieistniejących królestwach i dynastiach<sup>735</sup>.

Nawet dziś badaczom trudno stwierdzić, z jakich zaskórniaków, Leopold zapłacił za które fanaberie<sup>736</sup>. Nie sposób też jednoznacznie powiedzieć, ile pieniędzy zarobił na Kongu w ciągu całego życia. Belgijski badacz Jules Marchal spróbował odpowiedzieć na to pytanie i - nie licząc mniejszych, trudnych do prześledzenia źródeł pieniędzy - „ostrożnie” oszacował tę kwotę na 220 milionów ówczesnych franków, czyli 1,1 miliarda dzisiejszych dolarów<sup>737</sup>.

Plątanina Leopoldowych finansów wywołała zalew pozwów sądowych, z których jeden złożyły Stefania i Luiza. Twierdziły, że mają prawo do części bogactw ich ojca, zgromadzonych na kontach tajnych fundacji. Większość pieniędzy dostał jednak belgijski rząd.

Żaden prawnik nie argumentował, że pieniądze powinny się zwrócić Kongijczykom.

\*

Ostatnie spotkanie Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu w 1913 roku wyznaczyło koniec najważniejszego i najbardziej wytrwałego ruchu tego rodzaju. Od abolicjonizmu na początku XIX wieku po międzynarodowy bojkot i embargo z powodu apartheidu, skierowane przeciwko Republice Południowej Afryki w latach 70. i 80. XX wieku nie było niczego, co mogłoby się z nim równać. Choć ruch na rzecz reform w Kongu był niezwykle bohaterskim przedsięwzięciem, nie sposób nie zadać pewnych niepokojących pytań, w tym najważniejszego z nich - czy ruch ten spowodował jakieś trwałe skutki?

Przez wiele lat zwyczajowo odpowiadano, że tak. Doniesienia zawarte w raportach Casementa i Komisji Śledczej wywołały nową falę buntów w niektórych regionach, które spowodowały zauważalny - choć tymczasowy - spadek produkcji kauczuku. E.D. Morel i jego sojusznicy wskazywali, że po tym, jak Kongo przeszło pod kontrolę Belgii, spadła liczba doniesień o popełnianych okrucieństwach. Nawet Alexandre Delcommune, biznesmen i administrator w Kongu, bezwzględny kauczukowy „baron”, w wymijający sposób potwierdził, że odebranie Konga Leopoldowi było słuszne. (To właśnie kompania Delcommune’a zatrudniła Conrada w charakterze kapitana statku). Stwierdził, że gdyby rządy Leopolda trwały jeszcze dziesięć lat, „nie byłoby już tam żadnego kauczukowego pnącza, a może też żadnego tubylca”<sup>738</sup>. Czy zatem reformatorzy ocalili miliony ludzkich istnień?

Byłoby to najlepsze zakończenie tej historii - wspaniały ruch osiągnąłby wspaniałe rezultaty. Sprawność organizacyjna E.D. Morela, świadectwa George’a Washingtona Williamsa, Williama Shepparda i Rogera Casementa, śmierci Andrew Shanu oraz zbuntowanych wodzów, Nzansu, Mulume Niama i Kandolo, nie poszłyby na marne. Prawda jest jednak znacznie bardziej ponura.

Po przejęciu Konga przez Belgów, w 1908 roku, rzeczywiście spadły doniesienia o nadużyciach popełnianych wobec zbieraczy dzikiego kauczuku. W kolejnych latach było coraz mniej przypadków palenia wiosek oraz brania kobiet i dzieci w charakterze zakładników. Odcinanie dłoni nie było już oficjalnie stosowaną praktyką. Zmiany te nie wynikały jednak z łagodności nowej władzy, którą pomogli ustanowić reformatorzy, ale z kilku innych czynników. Jednym z nich było przejście od dzikiego kauczuku do kauczuku uprawianego. Innym wprowadzenie nowej metody zmuszania ludzi do pracy, która wzbudzała dużo mniej protestów misjonarzy i humanitarystów: podatków.

Belgijscy zarządcy, którzy przejęli Kongo od Leopolda, zrozumieli, że muszą założyć plantacje, które przynajmniej w części zastąpią dziki kauczuk. W przeciwnym razie Afrykanie, chcący za wszelką cenę wyrobić normę, zetrną wszystkie pnącza, które w niektórych regionach kraju występowały już coraz rzadziej. Wypowiedź Delcommune'a pokazuje, że dokładnie tak samo obawiał się zniknięcia dzikiego kauczuku, jak i Kongijczyków.

Nałożenie wysokich podatków zmuszało ludzi do pracy na plantacjach albo przy zbiorach kauczuku, bawełny, oleju palmowego i innych produktów. Był to również skuteczny sposób pozyskiwania dzikiego kauczuku, z którego przecież nie zrezygnowano zupełnie. Do lat 20. XX wieku biali kupcy kupowali dziki kauczuk od tubylców, którzy potrzebowali pieniędzy na zapłacenie podatków.

Praca przymusowa - kluczowy element tego, co Morel nazywał „systemem” - wciąż była stosowana w wielu różnych dziedzinach. Stała się szczególnie brutalna w czasie pierwszej wojny światowej. W 1916 roku powiększona Force Publique najechała na Niemiecką Afrykę Wschodnią, dzisiejszą Tanzanię. Belgia, tak jak inne państwa ententy, chciała - przy okazji powojennego podziału łupów - zdobyć dla siebie kawałek niemieckich posiadłości w Afryce. Mnóstwo Kongijczyków na siłę wcielono do armii albo zmuszono do pracy tragarzy. Według szacunków kolonialnych z 1916 roku tylko w jednej ze wschodnich prowincji Konga, w której mieszkało 85 518 dorosłych mężczyzn, w ciągu roku tragarze przepracowali trzy miliony dniówek, a 1359 z nich zmarło w wyniku chorób<sup>739</sup>. Szalał głód. Jak donosił jeden z katolickich misjonarzy: „Ojciec jest na froncie, matka mieli mąkę dla żołnierzy, a dzieci noszą na plecach ciężary!”<sup>740</sup>.

Lata powojenne przyniosły wzrost wydobycia miedzi, złota i cyny. Tak jak zawsze zyski nie zostawały w Kongu. Zarządy kopalni miały prawo stosować *chicotte*. Tylko w kopalni złota w Moto, leżącej nad górnym biegiem rzeki Uele, w pierwszym półroczu 1920 roku wymierzono 26 579 batów - średnio osiem razy na pełnoetatowego pracownika<sup>741</sup>. Sposoby pozyskiwania pracowników do kopalni też nie odbiegały zbyt od tych, które stosowano w czasach Leopolda. Jak pisze historyk David Northrup, „kopalnia wysyłała do wiosek swojego człowieka, któremu towarzyszyli żołnierze albo zatrudniani przez kopalnię policjanci. Dostawał prezenty, które miał rozdać, oraz przydzieloną liczbę mężczyzn, jaką miał zdobyć (zazwyczaj dwukrotnie wyższą, niż było trzeba, gdyż i tak połowa rekrutów uciekała, kiedy tylko nadarzyła się po temu okazja). Wódz zbierał zatem ludzi, najczęściej tych, których nie lubił, których się obawiał albo którzy nie mieli siły mu się sprzeciwić, a następnie zakuwał ich w łańcuchy i wysyłał do siedziby władz regionu. (...) Wodzowie otrzymywali dziesięć franków za każdego rekruta”<sup>742</sup>. Jeśli robotnik zbiegł, można było uwięzić członka jego rodziny - nie różniło się to za bardzo od dawnego systemu brania zakładników.

Warunki pracy w kopalniach były, jak wszędzie w Afryce, tragiczne. W latach 1911-1918 w kopalniach i hutach miedzi Katangi zmarło pięć tysięcy ludzi. To przymusowi robotnicy w latach 1921-1931 dobudowywali nowy odcinek słynnej kolei Matadi-Leopoldville oraz poszerzali rozstaw istniejących torów. Zmarło przy tym więcej ludzi niż podczas budowy samej kolei w latach 90. XIX wieku<sup>743</sup>. Paradoksalnie dla tysięcy Afrykanów, zmuszonych do pracy przy tym i innych przedsięwzięciach, zbawieniem okazał się Wielki Kryzys.

Wybuch drugiej wojny światowej sprawił, że czas przymusowej pracy zwiększono w Kongu do stu dwudziestu dni na osobę rocznie. Ponad 80 procent uranu, wykorzystanego do budowy bomb zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki, wydobyto w ściśle strzeżonej kopalni Shinkolobwe<sup>744</sup>. Państwom ententy potrzeba było jeszcze więcej kauczuku niż zwykle - na setki tysięcy opon dla wojskowych ciężarówek, dżipów i samolotów. Część kauczuku pochodziła z nowych plantacji, ale mieszkańcy wiosek znowu musieli spędzać w lesie całe tygodnie na poszukiwaniu dzikich pnączy<sup>745</sup>.

Chociaż nie zdołano całkowicie wyeliminować pracy przymusowej, reformatorom przez dziesięć lat udało się utrzymać zainteresowanie świata sprawami Konga. Rzadko zdarza się, żeby ludzie tak bardzo i tak długo oburzali się z powodu czegoś, co dzieje się tak daleko. To każe nam zadać kolejne ważne pytanie - dlaczego właśnie Kongo?

Według dawnego, angielskiego prawa bycie świadkiem morderstwa albo odkrycie zwłok i niepodniesienie wrzawy było traktowane jak przestępstwo. Świat jest jednak pełen trupów i tylko z powodu niektórych podnosi się wrzawę. To prawda, że dziesięć milionów ofiar w Kongu można by uznać za najkrwawszą część europejskiego „Rozdrapywania Afryki”, ale tylko wtedy, jeśli patrzylibyśmy na Afrykę jak na szachownicę podzieloną granicami, które wyznaczyli Europejczycy. Tak się po prostu złożyło, że to Leopold miał więcej kauczukodajnych terenów niż ktokolwiek inny. W ciągu dziesięciu lat, od kiedy zaczął pozyskiwać kauczuk, podobne systemy pracy przymusowej zostały ustanowione we francuskich koloniach na północ i zachód od rzeki Kongo, w rządzonej przez Portugalczyków Angoli i w pobliskim Kamerunie, który kontrolowali Niemcy. Dla kompanii działających w Kamerunie „wzorem, na którym się opierali (...) były przedsięwzięcia króla Leopolda II w Wolnym Państwie Kongu - dywidendy, które wzbudzały podziw w kręgach finansjery”<sup>746</sup>.

W równikowych posiadłościach Francji, których historia jest najlepiej udokumentowana, było mniej kauczukodajnych terenów niż w Leopoldowym Kongu, ale reżim był tak samo brutalny<sup>747</sup>. Niemal cały teren, z którego pozyskiwano kauczuk, został podzielony między kompanie działające na podstawie koncesji. Na porządku dziennym były: praca przymusowa, branie zakładników, zakuwanie w łańcuchy, wygłodzeni tragarze, palone wioski, paramilitarni „zwiadowcy” i *chicotte*. Tysiące uchodźców, którzy przepłynęli Kongo, szukając na francuskich terytoriach schronienia przed reżimem Leopolda, uciekło przed Francuzami z powrotem. W należącym do Francji bogatym w kauczuk lesie równikowym straty ludności dorównywały tym w Leopoldowym Kongu - 50 procent<sup>748</sup>. Tak samo jak w kolonii Leopolda, na francuskich i niemieckich ziemiach wybuchały długie, zaciekle bunty przeciwko kauczukowemu terrorowi<sup>749</sup>. Francuska badaczka Catherine Coquery-Vidrovitch opublikowała wstrząsający wykres, który pokazywał, że w latach 1904-1907 tylko w jednym francuskim posterunku, Salanga, spadki i wzrosty miesięcznej produkcji kauczuku ściśle wiązały się z liczbą naboju wykorzystanych przez „zwiadowców” kompanii - w „dobrym”,



„produktywnym” miesiącu zużywano około czterystu nabo<sup>750</sup>.

W tym samym okresie we Francji wybuchł skandal, kiedy na ławie oskarżonych zasiadło dwóch białych, oskarżonych o wyjątkowo odrażające morderstwo, którego dopuścili się we francuskim Kongu. Chcąc uczcić Dzień Bastylli, włożyli łaskę dynamitu w odbył czarnego więźnia i podpalili lont. Naśladując Leopolda, rząd próbował uspokoić sytuację, wysyłając w 1905 roku do Afryki komisję śledczą. Na jej czele stanął de Brazza, słynny odkrywca, którego specjalnie wezwano z emerytury. Władze miały nadzieję, że nie odważy się powiedzieć nic zawstydzającego na temat kolonii, którą sam zdobył dla Francji, a której stolica nazywała się Brazzaville.

Sytuacja wymknęła się jednak spod kontroli. Na czas wizyty komisji nakazano wprowadzić pewne kosmetyczne zmiany, na przykład rozkuć robotników, ale nie do wszystkich posterunków w interiorze instrukcje te dotarły na czas. Wstrząśnięty tym, co zobaczył, de Brazza zaczął pisać raport, który miał być boleśnie krytyczny, ale - ku uldze francuskich władz - podróżnik zmarł w drodze do kraju. Wyprawiono mu imponujący pogrzeb państwowy na paryskim cmentarzu Père-Lachaise, a kwiecistą mowę pożegnalną wygłosił sam minister do spraw kolonii: „Brazza nie umarł (...) żyje jego pasja. (...) Jest przykładem (...) odwiecznych tradycji sprawiedliwości i humanitaryzmu, które są chlubą Francji”<sup>751</sup>. Odwieczne tradycje sprawiedliwości i humanitaryzmu nie pozwoliły jednak na publikację wstępnej wersji raportu de Brazzy. Ten sam minister, przy pełnym wsparciu parlamentu, szybko ukrył raport, który nigdy nie został opublikowany. Nie wprowadzono większych zmian w lukratywnym systemie przyznawania koncesji. Budowa w latach 20. XX wieku nowej linii kolejowej na terytorium francuskim, która omijała wielkie wodospady Konga, kosztowała życie około dwudziestu tysięcy przymusowych robotników - znacznie więcej niż budowa i przebudowa pobliskiej linii Leopolda<sup>752</sup>.

(Oto ciekawy przypis do historii francuskiego Konga. Kto, poprzez podstawionych ludzi i fasadowe spółki, okazał się być jednym z głównych akcjonariuszy pięciu działających tam kompanii, w tym większościowym w trzech z nich? Król Leopold II - jak odkrył belgijski rząd, kiedy wreszcie udało się rozwikłać sieć finansowych powiązań monarchy<sup>753</sup>. Obawiając się, że Francuzi mogą być niezadowoleni, kiedy wyszłoby na jaw, że ich kolonia po części należy do władcy sąsiedniego kraju, Belgowie trzymali to w tajemnicy przez kilka lat i ostatnie udziały sprzedali dopiero w latach 20. XX wieku. Leopold był również właścicielem

pokaźnych udziałów kilku kompanii, które dostały koncesje w niemieckim Kamerunie).

To, że ruch na rzecz reform skupił się wyłącznie na Leopoldowym Kongu, wydaje się jeszcze mniej logiczne, jeśli przyjrzymy się masowym mordom pod kątem procentowej liczby ofiar. Przy zastosowaniu takiego kryterium stwierdzimy, że jeszcze gorszy los spotkał lud Herero w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, dzisiejszej Namibii. Tam nawet nie próbowano ukryć zabijania mową o filantropii, organizując zwykłe ludobójstwo, które w dodatku zostało zapowiedziane.

W 1904 roku, po tym, jak Niemcy zabrali im większość ziemi, Herero podnieśli bunt. W odpowiedzi Cesarstwo Niemieckie wysłało ciężko uzbrojony korpus ekspedycyjny pod dowództwem generała Lothara von Trothy, który wydał rozkaz eksterminacji - *Vernichtungsbefehl*<sup>754</sup>:

Każdy Herero, z bronią lub bez, z bydłem lub bez, który zostanie znaleziony na niemieckim terytorium, zostanie rozstrzelany. (...)

Podpisano: wielki generał potężnego Cesarza, von Trotha.

Gdyby nie było to wystarczająco jasne, dopisek precyzował: „Nie będzie się brało jeńców płci męskiej”.

Z około osiemdziesięciu tysięcy Herero, którzy zamieszkiwali te ziemie w 1903 roku, w 1906 roku zostało mniej niż dwadzieścia tysięcy wywłaszczonych uchodźców. Resztę zapędzono na pustynię, aby umarli z pragnienia (Niemcy zatruli studnie), zastrzelono albo - żeby oszczędzać naboje - zakłuto bagnietami i zatłuczono kolbami.

Wydany przez von Trothę rozkaz eksterminacji wzbudził protesty w samych Niemczech, ale na świecie nie zwrócono na niego uwagi - mimo iż był to sam środek kampanii na rzecz reform w Kongu. Morel i jego sojusznicy tak dalece się tym nie interesowali, że pięć lat później jeden z dwóch głównych sponsorów Morela, biznesmen John Holt, mógł spytać: „Czy to prawda, że Niemcy wyrznęli Herero - mężczyzn, kobiety i dzieci? (...) Nigdy o tym nie słyszałem”<sup>755</sup>.

W czasie kiedy Niemcy mordowali Herero, świat w milczeniu przyglądał się także brutalnej walce z partyzantką, jaką Amerykanie prowadzili na Filipinach, torturując więźniów, paląc wioski i zabijając 20 tysięcy buntowników. Wywołane przez wojnę choroby i głód pochłonęły życie kolejnych 200 tysięcy Filipińczyków. Międzynarodowa krytyka nie spotkała też Anglii z powodu zabijania australijskich Aborygenów na podstawie rozkazów nie mniej bezwzględnych niż ten wydany przez von Trothę. Wreszcie ani w Europie, ani w Stanach Zjednoczonych nie odbył się ani jeden większy protest przeciwko dziesiątkowaniu amerykańskich Indian.

Dlaczego zatem w Anglii i Stanach Zjednoczonych tak oburzano się tym, co działo się w Kongu, skoro nie zwrócono większej uwagi na inne masowe mordy? Polityka empatii jest niestała. Z pewnością Anglicy i Amerykanie skupili się na Kongu, bo było bezpiecznym celem. Oburzenie z powodu Konga nie dotyczyło kwestii nieprawości popełnianych przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. Nie pociągało też za sobą konsekwencji dyplomatycznych, handlowych i militarnych, jakie z pewnością miałyby zwrócenie się przeciwko jakiemuś mocarstwu, na przykład Francji czy Niemcom. Morel miał zresztą pewnego rodzaju słabość do Niemiec, choć trzeba przyznać, że nawet mając ręce pełne spraw kongijskich, często i zdecydowanie atakował Francję za przyjęcie w swoich równikowych koloniach systemu, który śmiertelnością (i efektywnością) ustępował tylko Leopoldowemu. Nie znajdował jednak odzewu wśród swoich rodaków, którzy widzieli na horyzoncie pierwszą wojnę światową i wiedzieli, że to właśnie Francja będzie ich najważniejszym sojusznikiem.

To, co wydarzyło się w Kongu, było rzeczywiście mordem na ogromną skalę, ale smutna prawda jest taka, że ludzie, którzy popełnili go na rozkaz Leopolda, nie byli bardziej morderczy niż wielu innych Europejczyków, którzy kolonizowali i podbijali Afrykę. Najlepiej ujął to Conrad: „Cała Europa pomogła stworzyć Kurtza”<sup>756</sup>.

\*

W ciągu kilku lat od śmierci Leopolda ze sceny zeszli też inni aktorzy kongijskiego dramatu. W 1910 roku William Sheppard wrócił do Stanów na dobre. Został, co prawda, uniewinniony w procesie wytoczonym mu przez Compagnie du Kasai, ale zmuszono go do

ustąpienia z powodu romansu z Afrykanką. Wyznaczono mu okres próbny, a następnie pozwolono wrócić do pracy duszpasterskiej w Stanach Zjednoczonych, dokąd nie dotarły wiadomości o skandalu<sup>757</sup>. Po dwudziestu latach w Afryce miał jednak zrujnowane zdrowie ciągłymi atakami gorączki. Ostatnie lata spędził jako pastor Prezbiteriańskiego Kościoła Łaski w Louisville w stanie Kentucky, gdzie jego żona, Lucy, prowadziła chór i uczyła w szkółce niedzielnej.

Sheppard dalej pisał i przemawiał na temat Afryki - mimo iż w jego kongregacji panowała rasowa segregacja. Przy różnych okazjach wielcy przeciwnicy, Booker T. Washington i W.E.B. Du Bois, zapraszali Shepparda, by występował razem z nimi<sup>758</sup>. Ale ten człowiek, który cieszył się takim szacunkiem wśród czarnoskórych Amerykanów, pierwszy obcokrajowiec, który spotkał króla Kuba, przyjmowany w Białym Domu, na amerykańskim Południu wciąż był obywatelem drugiej kategorii. Wiele lat później pewna biała kobieta z rodzinnego miasteczka Shepparda, Waynesboro w Wirginii, powiedziała o nim: „Był takim dobrym czarnuszkiem. Kiedy wrócił z Afryki, pamiętał, gdzie jest jego miejsce, i zawsze wchodził kuchennymi drzwiami”<sup>759</sup>. Kiedy zmarł w Louisville w 1927 roku, mając sześćdziesiąt dwa lata, na jego pogrzeb przyszło ponad tysiąc ludzi.

Na drugim końcu kraju otyłość Henry’ego Kowalsky’ego przyspieszyła jego koniec. Miał pięćdziesiąt sześć lat, kiedy w 1914 roku znaleziono go na podłodze jego apartamentu w Palace Hotel w San Francisco. W 1924 roku Léon Rom, wiele lat po tym, jak skończył odcinać głowy ludziom, osunął się na ziemię w belgijskim biurze Compagnie du Kasai i zmarł. Tego samego roku zmarł też w Anglii Joseph Conrad, który tak celnie uchwycił charakter Roma i jemu podobnych poszukiwaczy przygód. Do czasów współczesnych dożyła tylko misjonarka, reformatorka i fotografka Alice Harris, która skończywszy sto lat, zmarła w 1970 roku.

Inny ważny bohater tej kongijskiej opowieści zakończył jednak życie w zgoła inny sposób.

W 1913 roku sir Roger Casement odszedł z brytyjskiej służby konsularnej na emeryturę i nareszcie mógł się poświęcić sprawie, która pochłaniała go całkowicie - wolności dla swojej ojczyzny. Wrócił do Irlandii i pomógł założyć paramilitarną organizację Irlandzkich Ochotników oraz podróżował po kraju, przemawiając na wiecach. Jeden z jego

towarzyszy opisał Casementa w Dublinie w 1914 roku: „Za kotarą stał Roger Casement i patrzył przez okno. (...) Na jego twarzy widniało przygnębienie, które zawsze nosił z dumą, jak gdyby miał na głowie wszystkie troski świata. Widziałem jego przystojny i szlachetny profil, rysujący się na kraciastym wzorze kotary oraz szarym niebie. Zdawał się jeszcze wyższy niż zwykle, a czarne włosy i broda dłuższe niż zazwyczaj. Lewą nogę wystawił do przodu i zobaczyłem, że ma w bucie wielką dziurę - dlatego, że zawsze oddaje całego siebie, nie dbając o swoje potrzeby”<sup>760</sup>.

„Dla każdego Irlandczyka jest dość oczywiste, że John Bull liczy się tylko z karabinem” - pisał Casement<sup>761</sup>. Wyprawił się za Atlantyk, żeby zebrać od Amerykanów irlandzkiego pochodzenia fundusze na kupno broni na czarnym rynku, ale kiedy tylko dotarł do Stanów Zjednoczonych, wybuchła pierwsza wojna światowa. Brytyjczycy ogłosili, że jakiegokolwiek rozmowy na temat *home rule* dla Irlandii będą musiały poczekać. Casement odpowiedział listem otwartym, w którym ogłosił, że Irlandczycy nigdy nie „poświęcą swojej krwi, honoru i męstwa na wojnie, która w żaden sposób ich nie dotyczy. (...) Irlandia nie oddaje swojej krwi żadnej innej ziemi oraz żadnej innej sprawie poza sprawą irlandzką. (...) Niech nasze groby znajdą się w tej patriotycznej trawie, jedynym miejscu, w którym zwłoki irlandzkiej narodowości mogą wrócić do życia”<sup>762</sup>.

Zgolił brodę i używając fałszywego paszportu, wyruszył z Nowego Jorku do Niemiec. Bojowo nastawieni irlandzcy nacjonaści chcieli od Niemiec deklaracji, że kiedy wygrają wojnę, Irlandia uzyska niepodległość. W zamian obiecywali uzbroić i wyćwiczyć Irlandzką Brygadę Bojowników, mającą składać się z jeńców wojennych irlandzkiego pochodzenia, przebywających w niemieckiej niewoli. Casement wymyślił, że jeśli brygada irlandzka nie mogłaby walczyć w samej Irlandii, to mogłaby stanąć u boku Egipcjan, innego zniewolonego ludu, który pragnie wywalczyć swoją niepodległość od Wielkiej Brytanii. Jak pisał w swoim dzienniku, planował „połączyć zieloną flagę Irlandii z zieloną flagą Proroka i (...) zepchnąć ententę do morza”<sup>763</sup>.

Marzenia Casementa nie spotkały się z sympatią irlandzkich jeńców wojennych. Byli zawodowymi żołnierzami, których przodkowie często służyli w tych samych oddziałach brytyjskiej armii. Z około dwóch tysięcy dwustu jeńców do brygady irlandzkiej wstąpiło mniej niż sześćdziesięciu. Dostali niemieckie mundury z harfą i koniczyną na pagonach. Casement czasami brał udział w szkoleniach brygady. Oddział, niewiele większy od plutonu,

nigdy jednak nie wziął udziału w walce.

Antykolonializm Casementa bardzo konfundował Niemców, którzy chcieli pozbyć się tego niezmordowanego romantyka. Na szczęście bardzo chciał wrócić do Irlandii i dołączyć do swoich towarzyszy w podziemiu. Dwudziestego pierwszego kwietnia 1916 roku w pobliżu zachodniego brzegu Irlandii na powierzchnię wypłynęła niemiecka łódź podwodna. Do małej łodzi załadowano trochę zapasów, a następnie przesiedli się do niej Casement oraz jego dwóch towarzyszy. Kiedy kapitan U-Boota spytał Casementa, czy nie brakuje mu jakichś ubrań, ten odparł: „Tylko całunu”<sup>764</sup>.

W pewien sposób Casement całe życie czekał na chwilę, w której powróci do ojczyzny i zostanie męczennikiem. „Kiedy wylądowałem w Irlandii tamtego ranka (około trzeciej nad ranem), płynąc, przemoczony, w stronę nieznanego brzegu, (...) przez chwilę czułem się szczęśliwy i znowu się uśmiechałem. (...) Wokół mnie wszędzie były pierwiosnki i dzikie fiołki, a wkoło było słycać śpiew skowronków. Byłem znowu w Irlandii”<sup>765</sup>.

Pojmano go kilka godzin później. W głowie miał może pierwiosnki i skowronki, ale w kieszeni bilet kolejowy na pociąg z Berlina do Wilhelmshaven, gdzie mieściła się baza niemieckich okrętów podwodnych, a także dziennik z zakodowanym zapisem: „12 kwietnia: opuściłem Wicklow na jachcie Williego”<sup>766</sup>. Na plaży policja odnalazła również zakopane trzy pistolety Mausera, amunicję, lornetkę, mapy i egzemplarz *Rubajjatów Omara Chajjama*.

Dwa dni później Casementowi - jako pierwszemu angielskiemu rycerzowi od kilkuset lat - przedstawiono zarzut zdrady stanu. Zamknięto go w londyńskiej Tower bez możliwości komunikowania się ze światem i bardzo szybko postawiono przed sądem. Strażnicy doprowadzali go na salę sądową w kajdankach. Sir Arthur Conan Doyle, choć zdecydowanie potępiał działania Casementa (jak niemal wszyscy jego przyjaciele z ruchu na rzecz reform w Kongu), przekazał na jego obronę siedemset funtów. Wraz z innymi sławnymi pisarzami podpisał się też pod petycją o darowanie Casementowi życia. Złożenia podpisu odmówił jednak Joseph Conrad, który w 1890 roku dzielił z Casementem pokój w Matadi. Był równie niezłomnym patriotą swojej przybranej ojczyzny, Anglii, jak Casement jej przeciwnikiem.

Pieniądze i wyrazy poparcia przybywały z całego świata. Murzyńska Liga Solidarności (*Negro Fellowship League*) wysłała list do króla Jerzego V z prośbą o łaskę:

„Czujemy wielką wdzięczność wobec tego człowieka z powodu tego, czego dokonał, kiedy był brytyjskim konsulem w Afryce i ujawnił, w jaki sposób traktuje się tubylców w Kongu. Gdyby nie on, świat nie dowiedziałaby się o tych barbarzyńskich okrucieństwach”<sup>767</sup>. George Bernard Shaw napisał dla Casementa mowę do wygłoszenia na rozprawie, ale ten podziękował i wygłosił własną.

„Prawo do samostanowienia jest czymś, co otrzymujemy z chwilą narodzin. Nie można go komuś nadać, nie można też odebrać - tak jak prawa do życia, do odczuwania słońca, wążania kwiatów albo kochania bliźnich. (...) Jeśli człowiek musi z zapartym tchem błagać o możliwość życia na własnej ziemi, myślenia tego, co się chce, śpiewania swoich pieśni, zbierania owoców swojej pracy, wtedy z pewnością jest odważniej, zdrowiej i uczciwiej zostać buntownikiem (...), niż przyjmować to z pokorą niczym normalną dolę człowieczą”<sup>768</sup>. W przeciwieństwie do wielu nacjonalistów Casement chciał wolności dla wszystkich narodów, nie tylko dla swojego. W tamtych czasach czymś rzadkim - jeśli nie wyjątkowym - było stawianie na równi walki o wolność Europejczyków (jak Irlandczyków) i Afrykanów (jak Kongijczyków i Egipcjan). Mowa Casementa szybko przeszła do annałów antykolonializmu i zrobiła wielkie wrażenie na pewnym młodym człowieku, który miał kiedyś poprowadzić swój kraj do niepodległości - Jawaharlalu Nehru, który powiedział, że „wyrażała dokładnie to, co powinien czuć uciskany naród”<sup>769</sup>.

Casementa uznano za winnego i przeniesiono do londyńskiego więzienia Pentonville - wielkiego, ponurego budynku wzniesionego w 1842 roku, w którym przetrzymywani w całkowitej izolacji więźniowie musieli zachowywać milczenie. W poprzednich mieszkaniach Casementa w Londynie Scotland Yard odnalazł niektóre z jego dzienników. Władze natychmiast wykonały fotografie fragmentów dotyczących homoseksualnych doświadczeń i pokazały je królowi, wpływowym ludziom z londyńskich klubów dżentelmenów, parlamentarzystom. Dopuszczono do nich także dziennikarzy, a jeden egzemplarz wysłano nawet do Waszyngtonu. Rząd chciał zdyskredytować Casementa i zniechęcić innych notabli do wstawiania się o łaskę dla niego. Dzienniki przypieczętowały jego zgubę.

Jeden z uwięzionych w Pentonville pacyfistów zobaczył przez okno Casementa obserwującego zachód słońca. Wyglądał „zdumiewająco spokojnie (...) jak gdyby już żył w jakimś innym świecie. Na jego twarzy nie było śladu niepewności ani strachu”<sup>770</sup>. Rankiem 3 sierpnia 1916 roku strażnicy związali Casementowi ręce za plecami. „Pomaszerował na szafot

- opowiadał obecny w czasie egzekucji ksiądz - z godnością księcia, górując nad nami wszystkimi”<sup>771</sup>. Kat nazwał go „najdzielniejszym człowiekiem, jakiego przyszło mi powiesić”<sup>772</sup>. W jednym z ostatnich listów, które napisał z celi, niecały tydzień przed egzekucją, Casement przyjrzał się swojemu życiu: „Popełniłem wiele okropnych błędów, sporo rzeczy zrobiłem zupełnie źle - ale Kongo było najlepszą rzeczą w moim życiu”<sup>773</sup>.

\*

Długa walka o Kongo zmieniła nie tylko Casementa, ale i jego przyjaciela, E.D. Morela. W ostatniej dekadzie życia stoczył swoją najodważniejszą bitwę, ale tym razem stanął do niej zupełnie sam. Nie miał wsparcia żadnych lordów i biskupów.

W ostatnich latach ruchu na rzecz reform w Kongu Morel dostrzegł, jak bardzo jego ruch został osłabiony przez *entente cordiale* Paryża i Londynu - porozumienie pełne tajnych klauzul, w których oba kraje podporządkowywały wszystko przygotowaniom do nadchodzącej wojny. Na początku sierpnia 1914 roku Morel przebywał nad morzem, na wakacjach ze swoją córką we francuskim Dieppe. Jedne z jego nielicznych wakacji przerwał jednak zbliżający się konflikt zbrojny. Morel z córką szybko znaleźli się na przepelnionej łodzi płynącej do Anglii, podczas gdy ulice wypełnili świeżo zmobilizowani rezerwiści. W Londynie Morel i jego przyjaciel, poseł Charles Trevelyan, pełni złych przeczuć przeszli się po pustej Izbie Gmin, słysząc za oknami tłum, który głośno wyrażał swoje wsparcie dla wojny.

Morel był jednym z niewielu ludzi w Europie, którzy bez ogródek mówili, że wojna to szaleństwo. Argumentował, że seria ukrywanych przed parlamentem i opinią publiczną traktatów uwikłała Anglię w niepotrzebny kataklizm. Nie był pacyfistą - zadeklarował, że jeśli Anglia zostanie zaatakowana, to stanie do jej obrony. Tak się jednak nie stało. Poproszono go o rezygnację z kandydowania do parlamentu z ramienia Partii Liberalnej. Wraz z niewielką, znękaną grupą podobnie myślących mężczyzn i kobiet Morel założył Unię Kontroli Demokratycznej (*Union of Democratic Control*, UDC), która szybko stała się najważniejszym ruchem antywojennym w Anglii. Scotland Yard otwierał listy działaczy UDC i podsłuchiwał ich telefony. Tłum wdzierał się na ich spotkania, zrywając plakaty, rzucając śmierdzące bomby, a nawet bijąc mówców i widzów. Nie minęło wiele czasu, a już nikt w



Londynie nie chciał wynająć UDC sali. Ze wszystkich stron dawni sojusznicy opuszczali Morela. Kiedy pewien zaprzyjaźniony dziennikarz - już w mundurze - uklonił się Morelowi na ulicy, ten był tak wzruszony, że zapłakał, mówiąc: „Nie sądziłem, że ktoś się jeszcze do mnie odezwie”<sup>774</sup>.

Tak jak w ruchu na rzecz reform w Kongu, tak i w UDC Morel był najważniejszą postacią. Jeden z kolegów pisał: „Było coś wulkanicznego w tym człowieku, w którego sercu nieustannie płonął żar”<sup>775</sup>. Żona Morela, Mary, niezmiennie go wspierała i sama została członkinią rady organizacji. Założył oddziały UDC w całej Anglii, wydawał miesięcznik organizacji i - jak zwykle - pisał kolejne artykuły, broszury, a do tego wydał jeszcze dwie książki. Ponieważ jednak Anglia znajdowała się w stanie wojny, praca była dużo trudniejsza - cenzura blokowała niektóre jego teksty, zasypywano go także nienawistnymi listami. Policja dokonywała nalotów na biuro UDC i na prywatny dom Morela, gdzie zabrała z jego biurka korespondencję<sup>776</sup>. Jedną z rzeczy, którą Morelowi udało się wydać, było *Dziesięć lat tajnej dyplomacji*. Historyk A.J.P. Taylor pisze: „Wszystkie późniejsze, międzywojenne prace, analizujące przyczyny wojny, wzorowały się właśnie na nim. (...) Morel zrobił coś więcej niż tylko zmienił metodę - zmienił paradygmat”<sup>777</sup>.

Dzisiaj jest dla nas oczywiste, że osiem i pół miliona zabitych i zmarłych oraz ponad dwadzieścia jeden milionów rannych w pierwszej wojnie światowej było niepotrzebną tragedią, której dało się uniknąć. Zapominamy jednak, że w tamtych czasach mało kto miał odwagę powiedzieć to głośno. Im dłużej trwała wojna, pod tym większym ostrzałem znajdował się Morel. „Daily Sketch” zaciekle atakował ruch antywojenny: „Kiedy debatuje się z pacyfistami i pyta się o to, skąd czerpią swoje wiadomości, zawsze powołują się na jedno źródło - Morela. (...) Aby zniszczyć ten spisek, trzeba dopaść arcycypiskowca”<sup>778</sup>. Jego biuro było pod ciągłym nadzorem policji. KIM JEST PAN MOREL? - pytał „Daily Express” - I KTO PŁACI ZA JEGO PRONIEMIECKĄ UNIEJ?<sup>779</sup>. „Evening Standard” bez ogródek nazwał go „niemieckim agentem”<sup>780</sup>.

W czasie takich ataków Morel otrzymał informację o aresztowaniu Casementa. Koledzy z UDC ostrzegali go, że już i tak ma duże kłopoty, i odradzali mu wsparcie przyjaciela, który - w przeciwieństwie do nich - rzeczywiście kolaborował z Niemcami. Choć musiało kosztować go to bardzo wiele, Morel nie odwiedził Casementa w jego ostatnich miesiącach życia. Casement, wielkoduszny jak zawsze, wysłał mu wiadomość, że doskonale

go rozumie. Przyjaciółka, która się z nim widziała, przekazała Morelowi: „Powiedział mi, że uważa, że zachował się pan całkiem słusznie, posłuchawszy rady pańskich kolegów. Nie ma co do tego wątpliwości”<sup>781</sup>.

Całą wojnę Morel pozostał wierny swoim poglądom - równie niezłomny wtedy, gdy wszyscy byli przeciwko niemu, jak i wtedy, kiedy w czasach ruchu na rzecz reform w Kongu miał za sobą wsparcie całego brytyjskiego establishmentu. Wzywał do zawarcia pokoju i niepodpisywania tajnych traktatów. Przestrzegał też - proroczo, jak się miało okazać - przeciwko zbyt surowym warunkom pokojowym, jakie - był pewien - zostaną narzucone Niemcom. Będąc w sojuszu z carską Rosją, pisał, nie można przedstawiać wojny jako walki między demokracją i autokracją. Domagał się rozbrojenia, powołania międzynarodowej rady wszystkich państw i przyjęcia zasady, że o losie każdego terytorium zdecydują jego mieszkańcy w plebiscycie.

„Wojna 1914-18 wszystko w moim życiu zmieniła - pisał Bertrand Russell, który również odważnie przeciwstawiał się panującej wokoło szowinistycznej gorączce. - Straciłem dawnych przyjaciół i zyskałem nowych. Poznałem kilku ludzi, dla których żywiłem głęboki podziw, przede wszystkim E.D. Morela. (...) Z niestrudzoną energią i ogromną zręcznością, mimo przeszkód ze strony propagandy i cenzury, czynił, co mógł, aby oświecić naród brytyjski co do prawdziwych zamiarów rządu, który pędził młodych ludzi na rzeź. Był bardziej niż inni przeciwnicy wojny atakowany przez polityków i prasę... (...) Mimo wszystko odwaga nigdy go nie opuściła”<sup>782</sup>. O Morelu powiedział: „Żaden inny znany mi człowiek nie miał w sobie tej samej bohaterskiej prostoty w dążeniu do prawdy i głoszeniu jej”<sup>783</sup>.

Oficjalne dokumenty pokazują, że wielu wysokich rangą urzędników zastanawiało się, jak „bezpiecznie wsadzić [Morela] za kratki”<sup>784</sup> - jak ujął to jeden z oficjeli Foreign Office, to znaczy bez publicznego procesu, w czasie którego ten świetny i przekonujący mówca mógłby głosić swoje poglądy. W 1917 roku znaleziono stosowny paragraf - aresztowano go za złamanie dawno zapomnianego prawa, które zakazywało wysyłania antywojennej literatury do państw neutralnych. Nie pozwolono mu na wpłacenie kaucji i pospiesznie skazano na pół roku ciężkich robót.

Morel opisuje pewne dziwne wydarzenie, które miało miejsce w czasie jego procesu w 1917 roku: „Malowniczym urozmaiceniem tego poza tym dość przygnębiającego wydarzenia

była pewna postać, która pojawiła się za moimi plecami na sali sądowej. W czasie kiedy mój obrońca przemawiał, człowiek ten przeszedł przez salę i wręczył oskarżycielowi jakąś notatkę. Ten przeczytał ją i skinął głową, a tajemniczy człowiek zasiadł na swoim miejscu. Wtedy go rozpoznałem - to był ten sam człowiek, który (...) pełnił funkcję akredytowanego przedstawiciela Leopolda II w Ameryce i wdał się ze mną w polemikę, kiedy przebywałem z misją w Stanach Zjednoczonych<sup>785</sup>. Leopold zmarł osiem lat wcześniej, a podróż Morela do Stanów miała miejsce jeszcze pięć lat przed śmiercią króla. Co najmniej sześciu lobbystów króla występowało wtedy przeciwko Morelowi, a on sam nie precyzuje, który z nich w tak tajemniczy sposób pojawił się na sali sądowej, jak gdyby to sam Leopold wydawał polecenia zza grobu.

Niecały rok po tym, jak stracono tam Casementa, Morel przekroczył bramy więzienia Pentonville. W celi na prawo od niego siedział człowiek, który ukradł trzy butelki whiskey, a na lewo - gwałciciel dziecka. W listach, które było mu wolno wysyłać do żony raz w miesiącu, pisał: „Po raz pierwszy od dwudziestu lat zdarza się tak, że choć nie jesteśmy razem, to nie piszemy do siebie codziennie”<sup>786</sup>.

Spędzał całe dni w zakurzonej pokoju, szyjąc płócienne torby pocztowe albo tkając hamaki i maty dla marynarki wojennej. Wszystko odbywało się w całkowitym milczeniu - w godzinach pracy więźniowie nie mogli ze sobą rozmawiać. Zamykano go w celi codziennie od 16.00 do 8.00 rano następnego dnia. Na kolację, którą więźniowie jadali samotnie w celi, składał się „kawałek chleba, pół pinty\* zimnawej owsianki, podanej w misce, w której poprzedniego dnia znajdował się wędzony śledź - jego kawałki wciąż można było wyłowić. Do tego pinta gęstego, gorącego kakao, które było dla mnie prawdziwym nektarem bogów - szczególnie wtedy, kiedy było zimno”<sup>787</sup>. Raz albo dwa razy w ciągu nocy słyszałem stukot, kiedy strażnik otwierał wizjer i zaglądał kontrolnie do wszystkich cel. Nocą przenikał „chłód zimnej celi, który nie przypominał niczego innego i przed którym nie było żadnej ochrony”<sup>788</sup>.

W ciszy, obserwowani przez stojących na galeriach strażników, osadzeni siadywali w więziennej kaplicy i wysłuchiwali doniesień o zwycięstwach odniesionych przez Wielką Brytanię w wojnie, której Morel się sprzeciwiał. Czasami w pracy musiał nosić do więziennego warsztatu wielkie kawały juty, ważące - jak szacował - blisko pięćdziesiąt kilogramów. Z krzywym uśmiechem myślał wtedy o afrykańskich tragarzach, którzy kilka lat

wcześniej nieśli jego bagaż przez całą Nigerię. „Pamięć trwa, a doświadczenie jest najlepszym nauczycielem. Wiele mogę się nauczyć z tej sytuacji, a poza tym zdobyłem doświadczenie po obu stronach barykady”<sup>789</sup>. Jeden z uwięzionych włamywaczy wyczuwał, że Morel jest kimś ważnym, i zwracał się do niego „sir”.

Na początku 1918 roku, dwa miesiące po zwolnieniu Morela, Bertrand Russell (który wkrótce sam miał trafić do więzienia) napisał do Gilberta Murraya: „Widziałem wczoraj E.D. Morela, pierwszy raz po jego wyjściu z więzienia, i odniosłem wrażenie, że wyrok sześciomiesięczny to poważna sprawa. Ma całkowicie białe włosy (przedtem z trudem można było dostrzec siwiznę). Kiedy wyszedł na wolność, był w stanie całkowitego wyczerpania, fizycznego i umysłowego, głównie z powodu niedostatecznego odżywiania”<sup>790</sup>.

Morel powrócił do pisania i przemawiania, ale jego stan zdrowia znacznie się pogorszył. Niegdyś krzepki, przeraźliwie wychudł. Niedługo później przeżył pierwszy z kilku zawałów serca. Doznał jednak tej satysfakcji, że w następnych latach został publicznie zrehabilitowany. Rzeczywiście były tajne traktaty między państwami ententy. Część z czterestu punktów, będących podstawą programu pokojowego prezydenta Woodrowa Wilsona, wyglądała tak, jak gdyby skopiowano je z jednej z broszur Morela. W czasie wojny UDC wspierali głównie związkowcy i - ku zaskoczeniu Morela, byłego pracownika przedsiębiorstwa żeglugowego, który nigdy nie uważał się za socjalistę - Partia Pracy zaczęła traktować go jak bohatera. W 1922 roku, kandydując do parlamentu z ramienia laburzystów, miał wielką przyjemność pokonać byłego ministra rządu, który w czasie wojny wysłał go do więzienia - Winstona Churchilla.

Morel zyskał ogromną popularność w swoim okręgu wyborczym, w szkockim Dundee. W 1923 roku wybrano go ponownie, a rok później kolejny raz. Kiedy wyjeżdżał do Londynu, na peronie zegnało go dwadzieścia tysięcy ludzi<sup>791</sup>. W parlamencie szybko wyrósł na czołowego eksperta Partii Pracy w sprawach polityki zagranicznej. Kiedy w 1924 roku lider partii Ramsay MacDonald został pierwszym laburzystowskim premierem, powszechnie sądzono, że sekretarzem do spraw zagranicznych mianuje właśnie Morela. Tak się jednak nie stało. Dla MacDonalda, stojącego na czele niepewnej koalicji, Morel był zbyt niezależnym moralistą i krzyżowcem - a do tego potencjalnym przeciwnikiem w walce o przywództwo w partii. MacDonald zachował stanowisko sekretarza do spraw zagranicznych dla siebie, a w ramach rekompensaty zgłosił Morela jako kandydata Wielkiej Brytanii do Pokojowej

Nagrody Nobla.

Morel miał zaledwie pięćdziesiąt jeden lat, ale więzienie, prześladowania okresu wojny, rozczarowanie z powodu nieotrzymania stanowiska ministerialnego oraz zabójcze tempo pracy, jakie narzucił sobie w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, zrobiły swoje. Od czasu do czasu musiał leżeć - kładł się wówczas na tarasie Izby Gmin. Wraz z żoną często jeździli do swojego rodzinnego domu w Devonshire. Dwunastego listopada 1924 roku, spacerując po lesie ze swoją szwagierką, Morel poczuł się zmęczony i usiadł pod drzewem, żeby odpocząć. Już nie wstał.

Odbyły się wielkie uroczystości na jego cześć: w Dundee, w Londynie i w Nowym Jorku. Francuski pisarz Romain Rolland powiedział: „Będą mijać lata, a Morel wciąż będzie górował nad swoją epoką”<sup>792</sup>.

\* Pinta, ang. jednostka objętości równa 0,56 litra (przyp. tłum.).

## WIELKIE ZAPOMINANIE

JEDNYM Z NAJBARDZIEJ upiornych doświadczeń, które czekały w Związku Radzieckim na gościa z zagranicy, był spacer przestronnymi korytarzami moskiewskiego Muzeum Rewolucji przy ulicy Gorkiego. Setki zdjęć i obrazów przedstawiających rewolucjonistów w futrzanych czapach, stojących za zaśnieżonymi barykadami, niezliczone strzelby, karabiny maszynowe, flagi i sztandary, wielka kolekcja innych pamiątek i dokumentów, a poza tym ani jeden ślad tego, że ponad dwadzieścia milionów obywateli ZSRR poniosło śmierć w celach, łagrach, egzekucjach i celowo wywołanych klęskach głodu.

Moskiewskie muzeum przeszło tak wielką przemianę, że jego twórcy by go dzisiaj nie poznali. Tymczasem po drugiej stronie Europy znajduje się muzeum, które nie zmieniło się ani na jotę. Żeby je zobaczyć, trzeba przespacerować się z siedziby Unii Europejskiej w Brukseli na przystanek końcowy linii tramwajowej 44. Tramwaj zawiezie nas przez przyjemnie zacieniony Forêt de Soignes na obrzeża miasta, do dawnej książęcej siedziby w dzielnicy Tervuren. W VIII wieku mieszkał tu i polował święty Hubert, patron myśliwych. Dziś, zwrócony w stronę parku, stoi tu ogromny, wzniesiony przez króla Leopolda II pałac w stylu Ludwika XV - Królewskie Muzeum Afryki Środkowej. W zwykły dzień natkniemy się w nim na setki zwiedzających - od uczniów, notujących skrzątnie w swoich zeszytach, po starszych ludzi, których przywieziono klimatyzowanymi autokarami.

W muzeum mieści się jeden z największych na świecie zbiór eksponatów, związanych z Afryką - obejrzenie wszystkiego zajmuje cały dzień. Jest tu kapelusz Stanleya i laska Leopolda, kajdany niewolników i czółno, w którym zmieściłaby się setka ludzi. Jedną z wystaw, pełną broni i mundurów, poświęconą jest „kampaniom antyniewolniczym” lat 90. XIX wieku - przeciwko „arabskim” handlarzom, rzecz jasna. Na tablicy wymienionych jest kilkudziesięciu oficerów Force Publique, którzy „spoczywają na afrykańskiej ziemi”. W innej części muzeum prezentowane są wypchane zwierzęta: słonie, szympansy, goryle. Na ekranie telewizora wyświetlany jest bez przerwy stary, czarno-biały film, pokazujący tańce w maskach ludu Pende, króla Kuba w otoczeniu dworu, ceremonie pogrzebowe Ntomba -

Afryka to wyłącznie egzotyczne stroje i dudnienie bębnow. W stojących wszędzie szklanych gablotach eksponowane są rękodzieła afrykańskich kultur: włócznie, strzały, piszczałki, maski, misy, kosze, wiosła, berła, pułapki na ryby, instrumenty muzyczne *etc.*

Na jednej z wystaw czasowych można zobaczyć wyjątkowe rzeźby z rejonu Dolnego Konga: mają około metra wysokości, przedstawiają drewniane postaci, w których piersi i karki wbite są setki gwoździ, kolców i małych, podobnych do brzytwy ostrzy. Wyglądają jak torturowane karły. Podpis informuje, że są to *nkondi*, fetysze mające odstraszać czarowników i innych złoczyńców. Każdy gwóźdź i ostrze symbolizuje przysięgę albo zwykłe postanowienie walki z niesprawiedliwością. Po znacznie większej niesprawiedliwości, jaka miała miejsce w Kongu, nie ma jednak śladu. Na żadnej z dwudziestu wielkich wystaw nie ma najmniejszej wzmianki o śmierci milionów Kongijczyków\*.

Nie ma na ten temat niczego w całej Brukseli. Rue Bréderode, gdzie swoją siedzibę miały najważniejsze koncesjonowane kompanie oraz część administracji Konga, wciąż biegnie na tyłach pałacu królewskiego. Budynek, w którym Joseph Conrad starał się o pracę, zajmuje dziś urząd podatkowy. Z drugiej strony pałacu ogromny pomnik konny Leopolda spogląda metalowymi oczyma na trasę szybkiego ruchu. A jednak u podstaw tego wszystkiego, co widzimy, leżą odcięte dłonie, zabrana ziemia, przelana krew, rozbite rodziny i osierocone dzieci. Dochody z Konga pokryły renowacje ozdobionego kolumnami, pełnego przepychu pałacu królewskiego, jeszcze bardziej okazałego zamku Laeken, w którym mieszka belgijska rodzina królewska, a także imponujących szklarni - niemal dwu i pół hektara przykrytego szkłem. Każdej wiosny, kiedy szklarnie są udostępniane zwiedzającym, tysiące gości mija ozdobione kameliami i azaliami popiersie Leopolda. W Laeken znajduje się także pięciopiętrowa japońska pagoda, architektoniczne dziwactwo, które Leopold zobaczył na paryskiej wystawie światowej. Spodobała mu się tak bardzo, że kupił ją - płacąc pieniędzmi z Konga. Nad miastem góruje największa z ekstrawaganckich budowli, sfinansowanych z kongijskich pieniędzy - najeżony postaciami bohaterów wielki Łuk Pięćdziesięciolecia, sprawiający wrażenie nadętego skrzyżowania paryskiego Łuku Triumfalnego i Bramy Brandenburskiej, do którego dobudowano łukowate skrzydła. Potężna konstrukcja z kamienia i betonu przywodzi na myśl Conradowski opis nienazwanej europejskiej stolicy w *Jądrze ciemności*: „miasto, które zawsze przypomina (...) bielony grobowiec”<sup>793</sup>. Brak jednak choćby jednej wzmianki o milionach Afrykanów, których praca pozwoliła zapłacić za to wszystko, wpędzając ich do grobów na nieoznakowanej ziemi, gdzie

nie pozostał po nich żaden znak.

Bruksela nie jest pod tym względem wyjątkowa. W Berlinie też próżno szukać muzeum (albo chociaż pomnika) wymordowanych Herero, a w Paryżu czy Lizbonie nic nie przypomina o kauczukowym terrorze, który zdziesiątkował ludność francuskiej i portugalskiej Afryki. Na amerykańskim Południu na każdy pomnik upamiętniający niewolnictwo przypada mnóstwo zachowanych posiadłości z epoki tamtych czasów oraz pomników wojny secesyjnej. A jednak świat, w którym żyjemy - z jego podziałami i konfliktami, powiększającą się przepaścią między bogatymi i biednymi, niewytłumaczalnymi wybuchami przemocy - znacznie bardziej kształtują tragiczne zdarzenia, o których staramy się zapomnieć, niż te, które świętujemy i mitologizujemy. Kongo Leopolda jest właśnie jednym z takich przemilczeń w historii.

Kongo stanowi uderzający przykład polityki zapominania. Leopold oraz belgijscy urzędnicy kolonialni, którzy przyszli po nim, podjęli niebywały wysiłek, próbując wymazać z historii potencjalnie obciążające dowody. Pewnego sierpniowego dnia w 1908 roku, na krótko przed oficjalnym przekazaniem kolonii Belgii, młody adiutant króla Gustave Stinglhamber wszedł do pałacu królewskiego i w pobliskich biurach administracji Wolnego Państwa Konga zobaczył swojego przyjaciela. Dzień był wyjątkowo ciepły nawet jak na środek lata, toteż obaj mężczyźni podeszli do okna, żeby tam porozmawiać. Stinglhamber usiadł na kaloryferze, ale natychmiast zeskoczył - grzejnik był wściekle gorący. Gdy wezwali woźnego, żeby wytłumaczył im, co się dzieje, ten wyjaśnił: „Bardzo mi przykro, proszę pana, ale palą archiwa państwowe”. W piecach palono przez osiem dni, zmieniając większość archiwów państwowych Konga w popiół i dym unoszący się nad Brukselą. „Oddam im moje Kongo - powiedział Stinglhamberowi Leopold - ale nie mają prawa wiedzieć, co tam robiłem”<sup>794</sup>.

W tym samym czasie, kiedy w Brukseli palono archiwa, z pałacu królewskiego wysłano do Konga nakaz zniszczenia także miejscowych archiwów. Pułkownik Maximilien Strauch, wieloletni *consigliere* króla w sprawach dotyczących Konga, powiedział później: „Głosy, które mogły przemówić w imieniu zniszczonych archiwów, zostały skazane na systematyczne uciszenie ze względu na wyższe dobro”<sup>795</sup>. Rzadko kiedy totalitarnemu reżimowi udaje się tak dokładnie zniszczyć dowody swoich poczynań. W pewien sposób więcej dowodów na piśmie zostawili po sobie Hitler i Stalin, też powołujący się na „wyższe dobro”.



Takie samo celowe zapominanie dokonywało się w umysłach ludzi służących reżimowi. Nie da się samemu zapomnieć, że brało się udział w masowym mordzie - trzeba się o to postarać. Zaglądając do wspomnień pierwszych białych zdobywców Afryki, możemy czasem natknąć się na przykład równoczesnego zapominania i opisywania wydarzenia, o którym chce się zapomnieć. Nie jest to wymazywanie, ale odwrócenie rzeczy do góry nogami, dziwne przeobrażenie na chwilę kata w ofiarę. Spójrzmy na przykład na wspomnienia Raoula de Premorela, który w latach 1896-1901 kierował punktem zbioru kauczuku w regionie Kasai. Opisuje, jak poradził sobie z domniemanym przywódcą buntu:

Kazałem dwóm zwiadowcom zaciągnąć go przed posterunek, gdzie związano mu nadgarstki. Przywiązano go za ręce do belki z przodu budynku. Rozkazałem podnieść go wyżej, zaciskając linę coraz bardziej, aż dotykał podłogi tylko koniuszkami palców. (...) Tak zostawiłem nieszczęśnika. Wisiał tak całą noc, czasami błagając o litość, czasami mdlejąc. Jego wierna żona przez całą noc robiła, co mogła, żeby ulżyć mu w cierpieniu. Przynosiła jedzenie i picie, masowała bolące nogi. (...) Gdy wreszcie nadszedł ranek i moi ludzie go zdjęli, padł nieprzytomny na ziemię. „Zabierzcie go” - poleciłem. Nie wiem, czy przeżył, czy nie. (...) Teraz czasami śnię, że sam jestem tym biedakiem i wokół mnie tańczy stu pięćdziesięciu moich czarnych pobratymców. Budzę się przerażony i cały mokry od potu. Przez te wszystkie lata, które minęły od tamtej nocy, czasami mam wrażenie, jak gdybym to ja wycierpiał najbardziej<sup>796</sup>.

Czasami mam wrażenie, jak gdybym to ja cierpiał najbardziej... Historia zna przypadki podobnego zachowania u ludzi, którzy mieli krew na rękach. Proces zapominania o mordach w Leopoldowym Kongu jeszcze bardziej nabrał na sile, gdy sama Belgia stała się nie zdobywcą, ale ofiarą. Świat był wstrząśnięty inwazją Niemiec na neutralną Belgię w sierpniu 1914 roku, a także śmiercią belgijskich cywilów w pierwszych tygodniach wojny.

Przez następne cztery lata brytyjski, a potem także amerykański rząd wykorzystywał cierpienia „małej, dzielnej Belgii” do wzbudzania wojennej gorączki w krajach, które same nie zostały zaatakowane. W gazetach, na rysunkach, plakatach i w patriotycznych przemówieniach głośno ujawniano masowe gwałty na Belgijkach, jakich mieli dokonywać niemieccy żołnierze. Opowiadano, że Niemcy przybijają belgijskie niemowlęta do drzwi domów. Do tego - co było uderzającym, choć nieświadomym echem wizji, które roztaczał

ruch na rzecz reform w Kongu - prasa w krajach ententy donosiła, że niemieccy żołnierze odcinają dłonie i stopy belgijskich dzieci. Pewien belgijski poeta, przebywający na wygnaniu, napisał nawet wiersz na ten temat<sup>\*\*797</sup>.

Wstrząsające doniesienia o odciętych dłoniach i stopach były tak rozpowszechnione, że pewien amerykański bogacz chciał nawet adoptować okaleczone belgijskie dzieci. Ale choć nawet wyznaczono nagrodę, nie udało się takich dzieci znaleźć. Ostatecznie wszystkie doniesienia o zbiorowych gwałtach, okaleczeniach i krzyżowaniu dzieci okazały się nieprawdziwe<sup>798</sup>. W czasie wojny - i zaraz po jej zakończeniu - żaden z krajów trójporozumienia nie chciał pamiętać o tym, że dziesięć, dwadzieścia lat wcześniej to właśnie ludzie króla Belgów odcinali dłonie w Afryce. W ten oto sposób cała historia rządów Leopolda w Kongu oraz ruchu, który mu się sprzeciwił, została wymazana z europejskiej pamięci - prawdopodobnie nawet łatwiej i skuteczniej niż inne mordy popełnione w czasie kolonizacji Afryki.

\*

W cichej wiosce Hoepertingen, położonej godzinę jazdy pociągiem na wschód od Brukseli, w skromnym, niewyróżniającym się niczym domku, otoczonym niewielkim wiśniowym sadem, mieszka Jules Marchal i jego żona. Raz w roku spędzają kilka tygodni na zbieraniu wiśni, sprzedając je przez miejscową spółdzielnię rolniczą. Marchal urodził się w Hoepertingen i dziś, mając siedemdziesiąt trzy lata, wygląda na członka miejscowej starszyny: nosi szelki, ma złoty ząb, siwe włosy oraz miłą, rumianą twarz. Z powodu siwych wąsów jest trochę podobny do starego Stanleya. Na tym jednak kończy się podobieństwo<sup>799</sup>.

Marchal jest emerytowanym dyplomata. We wczesnych latach 70. XX wieku był belgijskim ambasadorem w trzech krajach Afryki Zachodniej: Ghanie, Liberii i Sierra Leone. Pewnego razu w jednej z liberyjskich gazet przeczytał wzmiankę o milionach ofiar, jakie przyniosły rządy króla Leopolda w Kongu.

„Byłem zdumiony - mówi Marchal - i napisałem do Brukseli, do ministra spraw zagranicznych, stwierdzając: «Muszę napisać list do redakcji ze sprostowaniem tego dziwnego oszczerstwa pod adresem naszego kraju, ale nie znam historii tego okresu. Czy

mógłbym prosić o jakieś informacje na ten temat?». Czekałem, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi. I taki był początek mojej ciekawości”.

Marchal jest człowiekiem ostrożnym i metodycznym, typem człowieka, który woli przeczytać książkę w oryginale, dotrzeć do samego źródła informacji, poznać historię nie z czyjś opracowania, ale z oryginalnych dokumentów. Gdy rozbudzono jego zainteresowanie, zaczął czytać na temat historii dawnego Konga i zorientował się, że z powodu spalenia archiwów przez Leopolda odnalezienie jakichś oryginalnych dokumentów nie będzie łatwe. Niektóre kluczowe akta uniknęły jednak pieców w 1908 roku. Były wśród nich spisane zeznania afrykańskich świadków przed Komisją Śledczą w latach 1904-1905. Marchal zorientował się, że są one przechowywane - bardzo dla niego wygodnie, jak sądził - w archiwach belgijskiego ministerstwa spraw zagranicznych, w którym pracował. Postanowił się im przyjrzeć.

Marchal był później na placówce w innym afrykańskim kraju, „ale w głowie ciągle miałem Kongo. Panowała wokół niego jakaś niezdrowa atmosfera. Dowiedziałem się o tej wielkiej kampanii w międzynarodowej prasie w latach 1900-1910, o śmierci milionów ludzi, o której my, Belgowie, nie mieliśmy pojęcia. Kiedy w 1975 roku przybyłem do Brukseli, żeby zacząć pracę w gmachu ministerstwa, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było udanie się do archiwów resortu i poproszenie o wgląd w zeznania złożone przed Komisją Śledczą”.

Powiedziano mu, że to niemożliwe. Tomy zeznań ostemplowane były jako *Ne pas à communiquer aux chercheurs* - niedostępne dla badaczy. Marchal zaprotestował, mówiąc, że ma rangę ambasadora, a poza tym od złożenia raportu przez komisję minęło siedemdziesiąt lat. Nie miało to jednak znaczenia i nie pozwolono mu zobaczyć akt.

„W archiwach ministerstwa spraw zagranicznych panowała pewna zasada. Nie zezwalano badaczom na dostęp do materiałów, które mogły szkodzić reputacji Belgii. Ale wszystko na temat tego okresu szkodziło belgijskiej reputacji! Dlatego nie pokazywali nic”. Marchalowi brakowało piętnastu lat do emerytury i pozostał w służbie zagranicznej. Powracał do Afryki jako ambasador, a kilka lat przepracował za biurkiem w Brukseli. Dostał jednak obsesji na punkcie tego tematu i cały swój wolny czas wykorzystywał na badania oraz pisanie o Kongu króla Leopolda. Po odejściu na emeryturę w 1989 roku poświęcił się temu całkowicie. Czterdzieści lat w służbie cywilnej dało mu niezwykłą umiejętność docierania do

informacji znajdujących się w państwowych archiwach, a ponadto odwiedził każde archiwum w Europie i Stanach Zjednoczonych, które tylko miało jakieś dokumenty na temat tego okresu. W samej Belgii odnalazł w prywatnych kolekcjach materiały, które uniknęły pieców. Zorientował się, że często najwięcej wiadomości dostarczają listy i raporty ludzi niższej rangi, idealistycznie nastawionych młodych oficerów, świeżo przybyłych do Konga i wstrząśniętych tym, że afrykańska rzeczywistość różni się od tego, co opowiadano im w Europie. Studiował archiwa towarzystw misjonarskich i kompanii prowadzących interesy w Afryce. Pojechał do Irlandii, żeby przebadac papiery Casementa i zobaczyc plażę, na której wylądował w swojej ostatniej misji.

Kiedy Marchal był jeszcze belgijskim dyplomatą, pisał pod pseudonimem Delathuy. Było to panieńskie nazwisko jego prababki, o której mówił: „Wyjątkowa kobieta. Została jednak wykreślona z rodzinnej historii, ponieważ miała nieślubne dziecko. Nigdy o niej nie wspomiano, to był temat tabu. Tak jak historia tych milionów ofiar”. Marchal napisał czterotomową historię Leopoldowego Konga w swoim ojczystym flamandzkim, a potem zredagował ją i przetłumaczył na francuski. Choć w Belgii całkowicie ignorowane, jego książki są klasycznymi, drobiazgowo udokumentowanymi opracowaniami tego tematu, które nie mają sobie równych. Zapewne nigdy by nie powstały, gdyby ich autor nie przeczytał tego artykułu w liberyjskiej gazecie.

Kiedy Marchal mówi o swojej pracy, widać, że jest ona dla niego wszystkim. Głos staje się wyższy, gestykuluje, wyciąga z półek książki i dokumenty, zagląda do szuflad w poszukiwaniu fotografii. Ma zdjęcia wszystkich domów w Anglii, w których mieszkał E.D. Morel. „Morel był traktowany w Belgii jak zdrajca i niegodziwiec. Chciałem oddać mu sprawiedliwość”.

Marchala irytowało to, że przez tyle lat reprezentował swój kraj, nie wiedząc nic o jego przeszłości. Ale jeszcze bardziej złościło go to, że nie miał dostępu do archiwów swojego ministerstwa. W pewnym momencie pewien wysoki rangą urzędnik powiedział mu: „Może pan zobaczyć akta, ale tylko jeśli obieca pan, że nic pan na ich podstawie nie napisze”. Marchal odmówił pójścia na taki układ. Dopiero po ośmiu latach nękania urzędników pozwolono mu zajrzeć do zeznań złożonych przed Komisją Śledczą. W swojej książce opublikował ich zbiór, który opatrzył przypisami.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Marchala martwiło to, czego się dowiedział. Zanim w wieku czterdziestu kilku lat wstąpił do belgijskiej służby zagranicznej, przez prawie dwadzieścia lat pracował w Kongu. W ostatnich latach belgijskiego panowania i pierwszych latach niepodległego państwa był młodym zastępcą regionalnego administratora kolonialnego. Wiele lat później Marchal i jego żona, Paula, zaczęli się zastanawiać, czy coś, co wtedy widzieli lub słyszeli, może być zinterpretowane inaczej w kontekście tego, co wiedzą już o historii Konga z przełomu wieków. Przypomnieli sobie jedno takie wydarzenie:

„Kiedy w 1948 roku przybyłem do Konga, moją pierwszą pracą było wręczanie odznaczeń wodzom wiosek, którzy w czasie drugiej wojny światowej zbierali kauczuk dla władz. Wiesz, że wtedy zmuszano wszystkich do zbierania w lesie dzikiego kauczuku. Musiałem obdarować medalami ponad setkę wodzów. Razem ze mną jeździło sześciu lub siedmiu żołnierzy na czele z kapralem. Pewnego razu powiedział mi: «Tym razem kauczuk to nic takiego. Ale za pierwszym razem było naprawdę strasznie». Dopiero trzydzieści lat później zrozumiałem, co miał na myśli”.

\*

Kolonizatorzy pisali podręczniki szkolne w całej Afryce. To, w połączeniu z szeroką cenzurą książek i gazet, sprawiło, że z pisanych źródeł właściwie wymazano zupełnie te ponure wydarzenia. W ciągu pół wieku belgijskiego panowania podręczniki szkolne wychwalały Leopolda i jego rządy niemal tak, jak w radzieckich szkołach wychwalano Lenina. Oto na przykład fragment podręcznika z 1959 roku przeznaczonego dla młodych kongijskich żołnierzy chcących zostać podoficerami w Force Publique. Wyjaśnia on, że historia „pokazała, jak Belgom udało się bohatercko stworzyć tak ogromne terytorium”. Walcząc z „arabskimi” handlarzami niewolników, „w ciągu trzech lat pełnych poświęceń, uporu i niezachwianej wytrzymałości wspaniale wypełnili najbardziej humanitarne zadanie stulecia, wyzwalaając zdziesiątkowane i wykorzystywane ludy tej części Afryki”<sup>800</sup>. Jeśli zaś chodzi o nienazwanych z imienia krytyków: „Kłamliwa kampania, przedsięwzięta przez zawistnych cudzoziemców (...) niczego nie pokazała”<sup>801</sup>.

Oficjalnie zadekretowane zapomnienie nie mogło, rzecz jasna, objąć wszystkich wiosek, gdzie wciąż pamięta się kauczukowy terror. Ale nawet ta zbiorowa pamięć jest dziś

słabsza, niż można by się spodziewać. Garstka zapalonych antropologów pomogła zachować te wspomnienia<sup>802</sup> - często w formie szczątkowych, miejscowych legend, mówiących o wyjątkowo okrutnych ludziach. Okres ten pamięta się jako *la guerre du Blanc* (wojna białego człowieka) albo - w języku ludu Mongo - *lokeli* (zdruzgotanie)<sup>803</sup>. Czasami, na podstawie informacji zebranych przez świadków, takich jak Casement albo misjonarze, można zidentyfikować niegodziwca jako regionalnego komisarza, agenta kompanii albo wodza, który współpracował ze zdobywcami. W języku Mongo istnieje idiom na określenie „tyranizowania” - „wysłać kogoś, by zbierał kauczuk”<sup>804</sup>.

Na afrykańskiej wsi stosunkowo niewiele pamięta się o epoce kauczuku, ponieważ w ustnej tradycji zazwyczaj upamiętnia się królów, dynastie i bitwy - a te dynastie, które przetrwały, niemal zawsze współpracowały z kolonialnymi władcami. Jak zauważył Jan Vansina w swojej historii ludu Kuba: „W tradycji dynastycznej nie zachowały się żadne wzmianki o tych wydarzeniach [niewolnictwie przy pozyskiwaniu kauczuku]. Ci władcy, którzy czerpali zyski z systemu, nie byli skłonni zachowywać tego w oficjalnej pamięci”<sup>805</sup>. W miastach, gdzie żyje dziś wielu Kongijczyków, proces gwałtownej urbanizacji przyniósł gwałtowne zmiany. Na przykład to, co sto lat temu było tylko małą wioską Kinszasa, dziś jest chaotyczną i wciąż rosnącą metropolią, w której mieszka pięć milionów ludzi, przy czym wielu z nich dopiero niedawno przybyło ze wsi w desperackim poszukiwaniu pracy. Takie zmiany nadwyrężyły i osłabiły więzi, które sprawiają, że jedno pokolenie przekazuje tradycję następnemu. Tradycyjne zwyczaje są bardzo słabe, a wraz z nimi znika pamięć o siłach, które jako pierwsze nimi zachwiały.

\*

Dziesiątki lat po śmierci Leopolda pojawiła się w Kongu osobliwa legenda<sup>806</sup>. Wierzono, że król nie umarł, ale przybył, by zamieszkać w swojej dawnej kolonii. Wcielił się w katolickiego biskupa Jeana-Felixa de Hemptinne’a, władczego arystokratę, który bardzo długo cieszył się wielkimi wpływami w Kongu. (Legendzie z pewnością pomógł wygląd Hemptinne’a, który nosił gęstą, siwą brodę i przypominał króla imponującą posturą). De Hemptinne miał być reinkarnacją Leopolda lub nieślubnym synem monarchy i w tej roli wywierać zakulisowy wpływ na kluczowe wydarzenia, na przykład rozkazując policji strzelać do strajkujących górników albo polecając sędziemu wydanie szczególnie surowego wyroku.

Leopold nie potrzebował jednak reinkarnacji, żeby zostawić po sobie ślad. Historia wywarła na Afryce swoje niezatarte piętno: dziesięciolecia kolonializmu; kilkaset lat handlu niewolnikami, tak w rejonie Atlantyku, jak i w świecie arabskim; a także - co zbyt często się pomija - niezliczone stulecia rdzennego niewolnictwa. Głównym dziedzictwem epoki kolonialnej, jakie Europa zostawiła Afryce, nie była wcale demokracja, jaką znamy z Anglii, Francji czy Belgii, ale autorytarne rządy i wyzysk. Ze wszystkich krajów kontynentu to właśnie Kongu było najtrudniej wydostać się z cienia przeszłości.

Kiedy Kongo wreszcie uzyskało niepodległość, źle na tym wyszło. Belgię, tak jak większość kolonialnych mocarstw, zaskoczyła wzbierająca w Afryce w latach 50. XX wieku fala żądań. Afrykanie domagali się prawa do samostanowienia. W 1959 roku w Leopoldville wybuchły demonstracje, które Force Publique krwawo stłumiła. Do tamtej chwili dziedzice Leopolda sądzili, że czas na niepodległość Konga przyjdzie dopiero za wiele dziesiątek lat. Tylko niektórych Afrykanów przygotowywano na tę chwilę i kiedy z powodu wzrastającej presji w 1960 roku wreszcie nadeszła niepodległość, w całym Kongu nie było nawet trzydziestu czarnoskórych absolwentów wyższych uczelni. Nie było kongijskich oficerów, inżynierów, agronomów, lekarzy. Administracja kolonii niewiele zrobiła, aby oddać władzę rdzennym mieszkańcom: z pięciu tysięcy stanowisk w służbie cywilnej tylko trzy obsadzone były przez Afrykanów<sup>807</sup>.

Do Leopoldville przybył król Belgów Baudouin, żeby oficjalnie i protekcyjnie podarować Kongu niepodległość. Powiedział: „To od was zależy, panowie, czy pokażecie, że jesteście godni zaufania, którym was obdarzyliśmy”<sup>808</sup>. Gniewna, zaimprovizowana odpowiedź Patrice’a Lumumby przykuła uwagę świata. Zaledwie miesiąc wcześniej odbyły się wybory, które uczyniły go premierem koalicyjnego rządu. Były to pierwsze ogólnokrajowe demokratyczne wybory w historii kraju, a także ostatnie de facto - nie tylko formalnie - demokratyczne wybory w ciągu następnych trzydziestu pięciu lat. Lumumba uważał, że aby uwolnić się od kolonialnej przeszłości, nie wystarczy uzyskać niezależność polityczną - kontynent musi też przestać być europejską kolonią gospodarczą. Jego przemówienia zaalarmowały zachodnie stolice. Belgijskie, brytyjskie i amerykańskie korporacje prowadziły szeroko zakrojone interesy w Kongu, bogatym w miedź, kobalt, diamenty, złoto, cynę, mangan i cynk. Lumumba był intrygującą i charyzmatyczną postacią, świetnym mówcą, którego głos szybko usłyszano poza granicami kraju. Zachodnie rządy

obawiały się zatem, że jego przekaz może stać się zaraźliwy. W dodatku nie dało się go przekupić. Kiedy nie znalazł wsparcia na Zachodzie, Lumumba zwrócił się do Związku Radzieckiego, co przekreśliło go w oczach amerykańskiego i europejskiego kapitału. Jego dni były policzone. Zaledwie dwa miesiące po tym, jak został pierwszym demokratycznie wybranym premierem, podkomisja do spraw tajnych operacji amerykańskiej Narodowej Rady Bezpieczeństwa (w skład której wchodził szef CIA, Allen Dulles) zatwierdziła jego zabójstwo<sup>809</sup>. Richard Bissell, szef operacji CIA, powiedział później: „Prezydent [Dwight D. Eisenhower] dużo bardziej wolałby, gdyby zajęto się nim w inny sposób, ale tak jak wielu innych ludzi uważał Lumumbę za dzikiego psa, z którym trzeba było sobie poradzić”<sup>810</sup>.

Rozważano różne sposoby uporania się z tym „problemem”, wśród nich truciznę (szef placówki CIA wysłał jej zapas do Leopoldville), karabin albo wynajęcie najemników. Trudno było jednak zbliżyć się do Lumumby, toteż CIA wsparło jego przeciwników w podzielonym rządzie Konga, przekonane, że nie minie wiele czasu, zanim sami zaczną działać. Zaczęli. W styczniu 1961 roku premier został aresztowany, brutalnie pobity i zastrzelony w Elizabethville, a agent CIA jeździł po mieście, próbując pozbyć się ciała, które miał w bagażniku<sup>811</sup>. Nie wiemy, czy gdyby Lumumba przeżył, pozostałby wierny swojej retoryce i nadziejom, których ucieleśnieniem był dla wielu ludzi w Afryce i nie tylko. Tak jak wielu Kongijczyków przed nim, skończył w nieoznakowanym grobie.

Kluczową postacią, która zorganizowała morderstwo Lumumby, był podoficer dawnej Force Publique, Joseph Désiré Mobutu, podówczas szef sztabu kongijskiej armii. Już wcześniej zachodnie mocarstwa dostrzegły w Mobutu kogoś, kto zadba o ich interesy. Gdy planowano zabójstwo Lumumby, miejscowe CIA oraz attaché wojskowi zachodnich państw wręczyli mu zapłatę<sup>812</sup>. W 1963 roku, w ciemnych okularach, mundurze generalskim ze złotymi galonami i szpadą u boku, spotkał się w Białym Domu z prezydentem Kennedym. Prezydent oddał mu do dyspozycji prywatny samolot i pilotów U.S. Air Force. W 1965 roku, zachęcany przez Stany Zjednoczone, Mobutu zorganizował przewrót i został dyktatorem - był nim przez ponad trzydzieści lat.

Dzięki dalszej pomocy wojskowej, otrzymywanej ze Stanów Zjednoczonych, Mobutu udaremnił kilka prób obalenia go<sup>813</sup>. Niektórych politycznych przeciwników torturował i zabijał, innych skazywał na wygnanie, a jeszcze innych przyjmował do kręgu swoich współpracowników. W ciągu trzech dekad jego rządów Stany Zjednoczone przekazały mu



ponad miliard dolarów pomocy wojskowej i gospodarczej, a europejskie mocarstwa - szczególnie Francja - nawet więcej. W zamian za to Stany Zjednoczone i ich sojusznicy dostali godny zaufania, antykomunistyczny reżim, bezpieczną bazę dla działań CIA oraz francuskich operacji wojskowych. Kongu rządy Mobutu dały niewiele, z wyjątkiem zmiany nazwy państwa w 1971 roku - na Zair.

Kontrolowane przez państwo media określały Mobutu mianem „Przewodnika”, „Ojca Narodu”, „Sternika” i „Mesjasza”. Za przyzwoleniem Amerykanów i Europejczyków bogactwo kraju płynęło przede wszystkim do kieszeni „Mesjasza” oraz zagranicznych przedsiębiorstw górniczych. Lojalność Mobutu wobec jego zachodnich sojuszników uczyniła z niego częstego gościa w Waszyngtonie, gdzie przezornie zrzucał wojskowy mundur i wkładał cywilne ubranie, do ręki brał rzeźbioną, hebanową laskę, a na głowę wkładał swoją słynną, afrykańsko wyglądającą czapkę z lamparciej skóry, którą w rzeczywistości wykonał paryski modysta. Ronald Reagan przyjmował go kilkakrotnie w Białym Domu, wychwalając jako „głos rozsądku i dobrej woli”<sup>814</sup>. George H. Bush witał go jako „jednego z naszych najcenniejszych przyjaciół”, dodając: „Jestem zaszczycony, że to właśnie prezydent Mobutu jest pierwszym afrykańskim przywódcą, którego mogę zaprosić z oficjalną wizytą w czasie mojej prezydentury”<sup>815</sup>.

Mobutu i jego świta korzystali z państwowego budżetu tak swobodnie, że wkrótce państwo przestało działać. Kiedy w 1993 roku skończyły mu się pieniądze na opłacenie armii i urzędników państwowych, wydrukował nową walutę. Ponieważ sprzedawcy nie chcieli jej przyjmować, żołnierze zbuntowali się, rabując sklepy, budynki państwowe i prywatne domy. Zginęły setki ludzi. Rosły stosy niewywożonych całymi latami śmieci. Kilka linii lotniczych wciąż kursowało do Konga, ale starały się nie zostawiać samolotów na noc z obawy przed kradzieżą, której nie chciały rekompensować firmy ubezpieczeniowe. Rząd przestał dawać pieniądze szkołom i szpitalom. Amerykańska ambasada w Kinszasie doradzała swoim pracownikom, żeby w razie zatrzymania ich samochodu przez policję nie odblokowywali drzwi i okien, a dokumenty pokazywali przez szybę - w przeciwnym razie mogą stracić portfel.

Zanim w 1997 roku obalono Mobutu, trzydzieści dwa lata u władzy uczyniły go jednym z najbogatszych ludzi świata - w najlepszym dla niego momencie prywatny majątek Mobutu szacowano na cztery miliardy dolarów<sup>816</sup>. Większość czasu spędzał na swoim

jachcie, zacumowanym na rzece Kongo w Kinszasie, dawnym Leopoldville. Jedno z wielkich jezior przemianował na Jezioro Mobutu Sese Seko. Kupił pałace we Francji, Belgii, Portugalii, Hiszpanii, Szwajcarii i kilku jeszcze innych miejscach. Nie czynił różnicy między swymi prywatnymi pieniędzmi a majątkiem państwa. W ciągu zaledwie roku trzydzieści jeden razy wysyłał do Wenezueli samolot państwowych linii lotniczych, żeby przetransportować pięć tysięcy długowłosych owiec na swoje prywatne ranczo w Gbadolite<sup>817</sup>. Kiedy w 1987 roku remontowano jego jacht, po prostu przejął najbardziej luksusowy ze statków, wciąż pływających po Kongu i jego dopływach. Zażądał - i dostał - akcje każdego większego przedsiębiorstwa w kraju.

Zrzucanie winy za problemy Afryki wyłącznie na europejski kolonializm byłoby uproszczeniem, historia nigdy nie jest tak prosta. Mimo to przyjrzyjmy się raz jeszcze Mobutu. Poza kolorem skóry niezbyt różnił się od monarchy, który sto lat wcześniej rządził tym terytorium: autokratyzm, wielkie bogactwo wydarte tej ziemi, jacht, wykorzystywanie majątku państwa do celów prywatnych, wielkie udziały w państwowych przedsiębiorstwach, które prowadziły interesy w jego kraju. Tak jak Leopold wykorzystywał swoje prywatne państwo i z nikim nie dzielił się zyskami ze sprzedaży kauczuku, tak Mobutu wszedł w posiadanie prywatnych kopalni złota - i plantacji kauczuku. Zwyczaj dodrukowywania pieniędzy - w razie potrzeby - też przypominał emitowanie przez Leopolda kongijskich obligacji.

„Podbici - pisał Ibn Chaldun w XIV wieku - zawsze chcą naśladować zdobywców - ubiorem, rzemiosłem, zwyczajami i charakterem”<sup>818</sup>. Luksusowa willa Mobutu, Villa del Mare, różowo-biała, zdobiony kolumnami marmurowy zamek w Roquebrune-Cap-Martin na francuskiej Riwierze z krytymi i otwartymi basenami, połączanymi łazienkami oraz lądowiskiem dla helikopterów, stoi kilkanaście kilometrów od Cap Ferrat, gdzie swoje posiadłości miał niegdyś Leopold. Z jednego półwyspu można dostrzec drugi.

\*

Jakie epitafium możemy napisać ruchowi, który sto lat temu z takim wysiłkiem działał na rzecz sprawiedliwości w Kongu?

Ruch na rzecz reform w Kongu osiągnął dwie rzeczy, które przetrwały do dziś. Po pierwsze, dzięki wysiłkom E.D. Morela, Rogera Casementa i równie odważnych, choć mniej znanych ludzi, jak George Washington Williams, William Sheppard i Hezekiah Andrew Shanu, zgromadził kolosalną ilość materiałów o ogromnej wartości historycznej. Przetrwały, mimo usilnych starań Leopolda i jego sympatyków - ówczesnych i obecnych - żeby je spalić, zignorować albo zdyskredytować, włożyć między bajki. To zgromadzone świadectwo prawdy jest bardzo ważne, szczególnie dla kontynentu, którego historia jest tak pełna przemilczeń.

Ruch ma też inne wielkie osiągnięcie. Jego sympatycy przechowali tradycję postrzegania świata w pewien szczególny sposób - zdolność do oburzania się, gdy inni ludzie cierpią, i to bez względu na to, który zakątek świata zamieszkują i jaki mają kolor skóry.

Gdy zwolennicy reform w Kongu przemawiali na masowych wiecach w Anglii i Stanach Zjednoczonych, pokazywali zdjęcia: dorosłych i dzieci z odciętymi dłońmi, ludzi zmuszanych do niewolniczej pracy jako tragarze, zdewastowanych wiosek. Plakat głosił: „WYKŁAD NA TEMAT OKRUCIEŃSTW W KONGU. 60 wyśmienitych fotograficznych przezroczy zrobionych przez wielbego J.H. Harrisa oraz pana E.D. Morela”. Zdjęcia były czarno-białe, kwadratowe (o boku około 7,5 cm), wykonane do „latarni magicznej”. Gdyby poszukać tych przezroczy, można je znaleźć - leżą w dwóch zakurzonych, drewnianych pudełkach, na parterze małego, taniego, londyńskiego budynku. Jest to siedziba Anti-Slavery International, dawniej Towarzystwa Antyniewolniczego, wcześniej Towarzystwa Antyniewolniczego i Ochrony Tubylców, jeszcze wcześniej - Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Antyniewolniczego. John i Alice Harrisowie prowadzili Towarzystwo przez wiele lat po tym, jak skończyli pracę z Morelem. Działając bez przerwy od 1839 roku, Anti-Slavery International jest najstarszą instytucją praw człowieka na świecie. Dziś w pokoju, w którym stoją pudła z tymi przezroczyami, uwijają się młodzi, dwudziestoparoletni ludzie, nosząc plakaty, kasety i pliki ulotek na temat pracy dzieci w Bangladeszu, Nepalu i Malezji; więzionych w domach kobiet na Bliskim Wschodzie; ludzi w Brazylii, którzy wpadli w spiralę długu; dziecięcej prostytucji w Tajlandii; okaleczania kobiecych genitaliów w Afryce; wykorzystywania imigrantów w Anglii.

Przez ostatnie dwieście lat tradycja, obecna w tym londyńskim biurze, rozszerzyła się na cały świat. Dziś mniej mówimy o protekcyjnym w swym duchu „humanitaryzmie”, a bardziej o „prawach człowieka”. Podstawowe wolności nie są postrzegane jako dary, które

mogą wręczyć jacyś szlachetni dobroczyńcy, ale - jak powiedział Casement w czasie swojego procesu - coś, do czego ma się prawo od chwili narodzin. Właśnie w takim duchu działają organizacje w rodzaju Amnesty International, które wierzą w to, że zbrodnią jest zamykanie kogoś w więzieniu tylko z powodu jego przekonań (bez względu na to, czy dzieje się to w Chinach, Turcji czy Argentynie), albo Lekarze bez Granic, wierzący w to, że każde chore dziecko ma prawo do opieki zdrowotnej (tak w Rwandzie i Hondurasie, jak i w południowym Bronksie).

Ruch na rzecz reform w Kongu nie tylko pomógł ukształtować i wzmocnić takie przekonania, ale zrobił coś jeszcze większego. Organizacje praw człowieka zajmują się dziś głównie skutkami - mężczyzną w więzieniu, kobietą w niewoli, dzieckiem bez opieki zdrowotnej. E.D. Morel mówił też o przyczynach, które umożliwiły cały system wyzysku - kradzieży afrykańskiej ziemi oraz pracy przymusowej. To właśnie był radykalizm (w najgłębszym i najlepszym znaczeniu tego słowa), na którym opierała się pasja czołowych reformatorów, która po tym, jak Morel i Casement zakończyli walkę o sprawiedliwość w Kongu, zaprowadziła ich do więzienia Pentonville.

Tradycja ta sięga rewolucji francuskiej, a nawet jest jeszcze wcześniejsza. Przykład dali ludzie, którzy walcząc o wolność, stawiali czoło wielkim przeciwnościom - począwszy od buntów niewolników w obu Amerykach, a skończywszy na trwającym pół wieku oporze w Afryce Południowej, który wyniósł do władzy Nelsona Mandelę. Przez dziesięć lat swojej działalności ruch na rzecz reform w Kongu był kluczowym ogniwem tego łańcucha i trudno wyobrazić sobie szlachetniejszą tradycję. Sto lat temu, kiedy wybuchła sprawa kongijska, idea pełnych praw człowieka - politycznych, społecznych i gospodarczych - była poważnym zagrożeniem dla porządku, który panował w większości krajów świata. I jest nim nadal.

\* Tak było w czasie, kiedy wychodziła ta książka, w 1998 roku. Na temat zmian, jakie wprowadzono od tamtej pory, zob. s. 388-390.

\*\* Wiersz kończy się tak:

A gdy Teutona złożonego celnym

Strzałem Belgowie zoczą wzdłuż drożyny,

Często znajdują, gdzieś w kieszeni głębi,

Pośród pierścionków i zmiętej satyny,

Parę stóp dziecka, okrutnie odciętych.

(przeł. Jacek Dehnel)

## PATRZĄC WSTECZ: POSŁOWIE OSOBISTE

MINEŁO PRAWIE dziesięć lat od pierwszego wydania tej książki. Kiedy zacząłem pracę nad nią, zaskoczyło mnie to, jak trudno było zainteresować nią kogokolwiek. Z dziesięciu nowojorskich wydawców, którzy przeczytali szczegółowy opis planowanej książki, dziewięciu ją odrzuciło. Jeden zasugerował, że historia ta lepiej sprawdziłaby się jako artykuł w czasopiśmie. Inni mówili, że rynek nie jest zainteresowany książkami o Afryce albo że Amerykanów nie obchodzi, co się wydarzyło wiele lat temu w miejscu, które tylko nieliczni potrafią wskazać na mapie. Na szczęście dziesiąte wydawnictwo, Houghton Mifflin, miało większe zaufanie do czytelników oraz ich umiejętności dostrzeżenia związków między Leopoldowym Kongiem i współczesnością - brytyjski Macmillan również. Do dziś wydrukowano około pół miliona egzemplarzy, po angielsku i w jedenastu innych językach. Książka stała się podstawą kilku filmów (przede wszystkim dokumentu Pippy Scott *King Leopold's Ghost*), angielsko-i francuskojęzycznych stron internetowych na temat historii Konga, hiphopowej piosenki, awangardowego spektaklu na Broadwayu i niesamowitej rzeźby kalifornijskiego artysty Rona Garriguesa: najeżonego asamblażu kości słoniowej, kauczuku, fragmentów broni, zużytej amunicji, kości, rzeźb Bakongo i medali, niegdyś przyznawanych przez Leopolda.

Ta historia wciąż żyje. Przy plaży w belgijskiej Ostendzie, ulubionym uzdrowisku Leopolda, przez wiele lat stał wielki pomnik z brązu przedstawiający króla na koniu, którego otaczały mniejsze postaci wdzięcznych Afrykanów i miejscowych rybaków. Pewnej nocy w 2004 roku grupa anarchistów odpiłowała dłoń jednemu z Afrykanów po to, by - jak napisali w anonimowym liście - rzeźba lepiej oddawała wpływ Leopolda na Kongo. To wszystko jest bardzo interesujące dla pisarza, który w pewnym momencie myślał, że nigdy nie uda mu się wydać swojej książki.

Czasem zastanawiam się, dlaczego ci wydawcy powiedzieli „nie”. Może to wynikać z

przekonania, że jedyne współczesne tyranie, o których warto pisać, to komunizm i faszyzm. Podświadomie czujemy większą bliskość z ofiarami Stalina i Hitlera, ponieważ niemal wszyscy byli Europejczykami. Świadomie zaś uważamy, że komunizm i faszyzm były nowymi zjawiskami w historii, ponieważ przyniosły dziesiątki milionów ofiar, zabitych w imię totalitarnych, nietolerujących sprzeciwu ideologii. Zapominamy, że wcześniej, pod panowaniem kolonialnym, zmarły dziesiątki milionów Afrykanów. Kolonializm też mógł być totalitaryzmem - w końcu cóż może być bardziej totalitarnego niż system pracy przymusowej? Cenzura była potężna: Afrykanin w belgijskim Kongu miał taką samą możliwość wyrażania swojego zdania jak obywatel stalinowskiego Związku Radzieckiego. Kolonializm objaśniała skomplikowana ideologia, która wyrażała się wszędzie, począwszy od wierszy Kiplinga i wykładów Stanleya po kazania i książki na temat kształtu czaszek leniwych tubylców oraz geniuszu europejskiej cywilizacji. Mówienie o niewolnikach jako o *libérés*, „wyzwolonych”, tak jak robili to urzędnicy Leopolda, było językiem tak wypaczonym jak napis *Arbeit macht frei* nad bramą Auschwitz. Komunizm, faszyzm i europejski kolonializm przyznawały sobie prawo do totalnej kontroli nad życiem swoich poddanych. We wszystkich trzech przypadkach systemy te wywierały przemożny wpływ jeszcze długo po tym, jak same upadły.

\*

Wiedziałem, że reżim kolonialny wpłynął na wielu Kongijczyków, ale nie spodziewałem się, że pojawienie się tej książki sprawi, iż zetknę się z mnóstwem ich potomków. Któregoś dnia zadzwonił do mnie pewien Amerykanin, praprawnuk niesławnego Léona Roma. Wnuczka E.D. Morela, wychowywana przez babkę, wdowę po Morelu, napisała do mnie długi list. Zetknąłem się z ukrytą diasporą Kongijczyków w Stanach Zjednoczonych - niemal za każdym razem kilku z nich czekało do końca spotkania i potem podchodziło do mnie, by porozmawiać. Przez niektórych z nich udało mi się wysłać do bibliotek i szkół w Kongu francuskojęzyczne wydania książki. W pewnej kalifornijskiej księgarni pojawiła się wielokulturowa grupa ludzi, którzy zdawali się wiedzieć wszystko na temat Williama Shepparda - okazało się, że są z pobliskiego kościoła prezbiteriańskiego, siostrzanego wobec jego dawnej misji. W Sztokholmie spotkałem się ze szwedzkimi baptystami, wysławiającymi misjonarza E.V. Sjöblöma, jednego z najwcześniejszych i najodważniejszych krytyków Leopolda. W czasie przemówienia, które wygłosiłem w Nowym Jorku, podeszła do mnie

siwa, starsza kobieta i pochylając się nad stołem, powiedziała z wyraźnym obcym akcentem: „Wiele lat żyłam w Kongu i to, co pan powiedział, to wszystko prawda!”. Zniknęła, zanim cokolwiek z siebie wydusiłem. Któregoś dnia wróciłem do domu i zastałem na automatycznej sekretarce nagrany głos Afrykanina: „Muszę z panem porozmawiać. Mój dziadek był tragarzem i zmarł z wycieńczenia, zakatowany przez Belgów”.

Najciekawsze było obserwowanie reakcji w Belgii, gdzie książka została wydana w obu głównych językach kraju, po francusku i flamandzku. Kiedy pojechałem do Antwerpii, razem z historykiem Jules'em Marchalem udaliśmy się do portu, gdzie sto lat wcześniej E.D. Morel liczył ładunki kości słoniowej i kauczuku z Konga, dochodząc do zdumiewającego wniosku, że są to efekty pracy niewolników. Niestety, Marchal zmarł na raka, ale doczekał chwili, kiedy przyznano mu rację, której tak długo mu odmawiano.

Tak w Antwerpii, jak i w Brukseli słuchacze byli przyjaźnie nastawieni, przejęci prawami człowieka i autentycznie zawstydzeni tym, że w szkole nie nauczono ich niczego na temat krwawej, afrykańskiej przeszłości ich kraju. Prasowe recenzje były pozytywne. I wtedy pojawiły się inne reakcje.

Głos zabrały dziesiątki tysięcy Belgów, których cały świat zawałił się w 1960 roku, kiedy ich kolonia uzyskała niepodległość i musieli w pośpiechu opuścić Kongo. W Belgii istnieje co najmniej kilkanaście organizacji grupujących dawnych mieszkańców kolonii, nazywających się na przykład Braterskie Towarzystwo Dawnych Kadetów Ośrodka Studiów Wojskowych dla Europejczyków w Luluabourgu (*Fraternal Society of Former Cadets of the Center for Military Training of Europeans at Luluabourg*). Stowarzyszenie tych organizacji założyło stronę internetową, na której umieszczono długą krytykę książki: „szukający sensacji (...) zlepek (...) faktów, przypuszczeń i wymyślonych sytuacji”. Inny atak na „kłamliwe bzdury”, zawarte w książce, zaczął się od łzawej inwokacji do Leopolda: „Ty, który myślałeś, że po zakończeniu swego pracowitego życia będziesz mógł zaznać wiecznego odpoczynku, myliłeś się”. Broszura dawnych kolonistów stwierdzała: „Przeciwko wielkiemu monarsze spuszczone ze smyczy ogary piekiel”.

Brytyjska gazeta „Guardian” opublikowała długi artykuł o tym, jak „nowa książka rozpętała awanturę w kraju, próbującym zmierzyć się ze swoją kolonialną przeszłością”. Cytowała belgijskiego profesora Jeana Stengersa, konserwatywnego badacza Afryki, który



stwierdzał, że „w ciągu dwóch, trzech lat [książka] zostanie zapomniana”. Belgijski premier z pewnością chciał zakończyć tę awanturę i powiedział gazecie: „Przeszłość kolonialna jest przeszłością. (...) Nie istnieje już żaden emocjonalny związek (...). To historia”.

\*

Ale historia nie chce odejść. W 2001 roku, na konferencji na temat rasizmu, zorganizowanej przez ONZ w południowoafrykańskim Durbanie, pewien dziennikarz zauważył, że wielu delegatów czytało moją książkę - jeden z nich spytał belgijskiego ministra spraw zagranicznych Louis Michela, czy jego kraj bierze pełną odpowiedzialność za Leopoldowe „zbrodnie przeciwko ludzkości”. W tym samym roku Michel wysłał do belgijskich przedstawicielstw dyplomatycznych poufne memoranda, w których instruował, jak należy odpowiadać na wstydlive pytania czytelników *Ducha króla Leopolda i Jądra ciemności*. (Jego instrukcja: prewencyjne działania *public relations* będą bezproduktywne - należy zmienić temat i mówić o dzisiejszych działaniach Belgii na rzecz pokoju w Afryce).

Inne wydarzenia także sprawiły, że kolonialna przeszłość wróciła na pierwsze strony belgijskich gazet. Rok po ukazaniu się tej książki belgijski pisarz Ludo de Witte opublikował *Zabójstwo Lumumby*, w którym ujawnił mnóstwo nowych, obciążających materiałów na temat belgijskiego udziału w morderstwie pierwszego demokratycznie wybranego premiera Konga. Rok później fabularny film Raoula Pecka przybliżył widowni historię życia Lumumby. W 2001 roku śledztwo belgijskiego parlamentu potwierdziło wiele informacji de Wittego i rząd wystosował oficjalne przeprosiny. Nie przeprosiły jednak władze Stanów Zjednoczonych, które też miały spory udział w zabójstwie premiera.

Wszystko to sprawiło, że zaczęto zadawać niewygodne pytania na temat instytucji, którą opisałem na stronach 367-368, Królewskiego Muzeum Afryki Środkowej. Muzeum znalazło się pod presją rozmaitych ośrodków o sprzecznych interesach - lobby dawnych kolonistów, zdeterminowanych, by dalej wychwalano belgijskie rządy w Kongu; wielu zwykłych Belgów (w tym młodszej kadry muzeum), przekonanych, że czas na drastyczne zmiany; urzędników państwowych, zaniepokojonych wizerunkiem kraju; a także, jak mówiono, rodziny królewskiej. W 1999 roku przedstawiciel muzeum przyznał, że rozważane jest wprowadzenie zmian w ekspozycji, „ale absolutnie nie z powodu niedawno wydanej,

haniebną książkę jakiegoś Amerykanina”. Dwa lata później władze mianowały nowego dyrektora, który w kolejnych, niezliczonych wywiadach prasowych obiecywał zupełne przekształcenie muzeum.

W 2005 roku z wielkim hukiem otwarto w muzeum wielką wystawę czasową pod tytułem „Pamięć o Kongu: epoka kolonialna”, równolegle publikując bogato ilustrowaną książkę pod tym samym tytułem. Zarówno wystawa, jak i książka były znakomitymi przykładami fałszywego przyznania komuś racji. Oto przykład - wśród setek zdjęć prezentowanych w muzeum znajdowały się cztery słynne zdjęcia z pokazów Morela, dokumentujące dokonywane w Kongu okrucieństwa. Były jednak w małym formacie, a umieszczono je obok dziesiątek innych, powiększonych zdjęć, przedstawiających zupełnie niewinne sceny, jak choćby kongijskich muzyków grających na instrumentach. Na innym zdjęciu widniała powołana przez Leopolda Komisja Śledcza z lat 1904-1905, podpisana jako „pionierska inicjatywa w historii praw człowieka w Afryce Środkowej”. Nie było jednak ani słowa o dwulicowości króla, który starał się zablokować publikację raportu komisji (s. 317-318). W wydanej przez muzeum publikacji pół strony zajmowało zdjęcie kapitana Léona Roma, ale ani słowem nie wspomniano o jego kolekcji odciętych głów, szafocie, jaki wznosił w swoim ogródku, ani o tym, że prawdopodobnie to właśnie on był wzorem dla Conradowego Kurtza. Na wystawie i w książce słusznie wychwalano Williama Shepparda za to, że choć był laikiem, był również jednym z pierwszych antropologów w Kongu. Nie zająknięto się jednak o jego procesie, o którym pisałem na stronach 330-334. W książce znajdowało się kilkadziesiąt naukowych artykułów na różne tematy - od komunikacji autobusowej w Leopoldville po parki narodowe Konga. Nie było jednak ani jednego artykułu - a w Muzeum ani jednej gabloty - na temat podstawy gospodarki kolonialnej, jaką był system pracy przymusowej. Ani w muzeum, ani w książce nawet raz nie padało słowo „zakładnik”. Nie daje to podstaw, by sądzić, że Królewskie Muzeum Afryki Środkowej powie w przyszłości całą prawdę o historii Konga. Ale prawda o kolonializmie rzadko kiedy jest prezentowana w pełni. Czy w Stanach Zjednoczonych istnieje gdzieś muzeum dokumentujące nasze własne imperialistyczne awantury na Filipinach albo w Ameryce Łacińskiej?

\*

Po kilku latach widzę, co w tej książce mogłem napisać lepiej. Najwięcej trudności

sprawiło mi przedstawienie Afrykanów jako pierwszoplanowych bohaterów tej opowieści. Historycy często mają ten problem, gdyż materiały źródłowe autorstwa kolonizatorów są zawsze dokładniejsze, pełniejsze i obfitsze niż te stworzone przez podbitych, słabych, biednych. Ciągle wydawało mi się nieuczciwe to, że wiemy tak wiele o Leopoldzie i jego codziennym życiu, a tak mało o tubylczych władcach z tego okresu, nie wspominając już o zwykłych Kongijczykach, którzy zmarli, zbierając kauczuk. Albo to, że istnieje tak wiele materiałów na temat Stanleya, a tak mało na temat jego afrykańskich odpowiedników: kupców z wybrzeża, którzy w chwili, kiedy Stanley w służbie Leopolda dopiero przybył do Konga, już prowadzili karawany tragarzy w głąb lądu i handlowali z interiorom. Spośród tych, którzy stawiali czoło reżimowi, wiemy wszystko o życiu Europejczyków i Amerykanów, takich jak Morel, Casement czy Sheppard, ale niemal nic o przywódcach buntów, jak Kandolo czy Mulume Niama, którzy w walce stracili życie. To wypacza tę historię w taki sposób, że - wbrew mojej woli - Kongijczycy nie są jej głównymi bohaterami.

Wielokrotnie zmagalem się z tym problemem podczas pisania książki i nie znalazłem lepszego rozwiązania. Istnieją dobre antropologiczne studia różnych ludów Konga, ale biograficzne opracowania na temat poszczególnych Afrykanów są bardzo ubogie. Kiedy piszemy o postaciach, musimy opowiadać głównie o królu Leopoldzie oraz Europejczykach i Amerykanach, jego sojusznikach i przeciwnikach. Aby wejść głębiej w życie poszczególnych Kongijczyków, trzeba się uciec do prozy - jak pisarz Chinua Achebe, piszący o epoce kolonialnej w innych miejscach Afryki, albo Toni Morrison, pisząca o doświadczeniu amerykańskich niewolników.

Jest jednak dostępny zbiór afrykańskich wspomnień z czasów Leopolda, którego nie było, kiedy pisałem tę książkę. Cytat na stronach 212-213 pochodzi z artykułu, bazującego na wywiadach z dziesiątkami Kongijczyków, którzy przeżyli kauczukowy terror sprzed pięćdziesięciu lat. Przeprowadził je w latach 50. XX wieku belgijski misjonarz Edmond Boelaert, który następnie przetłumaczył je wraz z innym misjonarzem, Gustaafem Hulstaertem, oraz ich kongijskim kolegą, Charles'em Lonkamą. Obaj księża byli w pewnym stopniu antykolonialistami i często popadali w konflikt z katolicką hierarchią. Ośrodek Badawczy Centre Aequatoria, w misji w pobliżu kongijskiego Mbandaka, oraz jego belgijscy sympatycy umieścili w Internecie pełen zapis tych wywiadów, niemal dwieście stron. To, niestety, za mało, żeby dać nam pełen obraz czyjegoś życia, ale mimo to jest to rzadki przykład zeznań Afrykanów z pierwszej ręki.

Pracując nad następną książką po *Duchu króla Leopolda*, spędziłem kilka lat żyjąc intelektualnie w towarzystwie protestanckich ewangelików, którzy odegrali kluczową rolę w ruchu antyniewolniczym z lat 1787-1833. Z tego powodu nabrałem przekonania, że nie doceniłem roli ewangelików w ruchu na rzecz reform w Kongu i ich roli w dotarciu do brytyjskiej opinii publicznej. Niedawna praca Kevina Granta *A Civilised Savagery: Britain and the New Slavery in Africa, 1884-1926* tylko wzmacnia to przekonanie. Grant pokazuje, jak dosłownie wszyscy, którzy pisali o Morelu, nie wyłączając mnie, przeoczyli fakt, że dwa miesiące przed założeniem Towarzystwa na rzecz Reform w Kongu szkoccy baptyści już gromadzili tłumy na pokazach przezroczy, przedstawiających okrucieństwa popełniane w Kongu. Wydobył na światło dzienne niepokojące materiały, które pokazywały, jak Morel, skupiony wyłącznie na swoim Kongu, wybielał doniesienia na temat pracy przymusowej w portugalskiej Afryce, gdzie robotnicy zbierali kakao dla jego przyjaciela i dobroczyńcy, wytwórcy czekolady Williama Cadbury'ego. Z kolei opis tego, co robił Morel w czasie pierwszej wojny światowej, może tylko wzmocnić nasz podziw dla odwagi tego człowieka. Nie tylko wylądował w więzieniu z powodu swoich przekonań (gdy jego dawni sojusznicy, misjonarze, dali się porwać patriotycznej gorączce), ale też był niemal zupełnie sam - w czasie wojny i później - orędując za prawem Afrykanów do własnej ziemi.

Dzięki listom od uważnych czytelników w nowym wydaniu *Ducha króla Leopolda* poprawiłem różne drobne błędy z poprzednich wydań. Bilans z rozdziału 15 nie wymagał jednak poprawek. Ta ogromna liczba śmierci zawsze była tym, z czym zwolennikom Leopolda było najtrudniej się zmierzyć. Przy braku dokładnych wyliczeń, jakie mógłby dać spis ludności, zawsze będziemy musieli opierać się tylko na szacunkach. Niemniej zarówno wtedy, jak i dzisiaj najbardziej wiarygodne szacunki są wysokie. Poza tymi, które przytaczałem, mógłbym wymienić wiele innych. Isidore Ndaywel è Nziem, kongijski badacz, którego *Histoire générale du Congo* wydano w tym samym roku co *Ducha króla Leopolda*, ocenia liczbę ofiar na trzysta milionów - jeszcze więcej niż liczba, którą podałem. Belgijscy apologety zwracają czasem uwagę na to, że w innych koloniach Afryki Środkowej śmiertelność również była bardzo wysoka, a wśród amerykańskich Indian jeszcze wyższa. To prawda, ale nie neguje to ani też nie usprawiedliwia gigantycznej liczby ofiar Leopoldowego Konga.

Książka pierwszy raz ukazała się tuż po tym, jak obalono wieloletniego dyktatora Mobutu. Za jego rządów państwo właściwie przestało funkcjonować, a władza stała się - tak jak za panowania Leopolda - tylko sposobem wzbogacenia się przywódcy i jego ludzi. Pod względem zdrowotnym, przewidywanej długości życia, szkolnictwa i dochodów ludność Konga miała się wtedy znacznie gorzej niż w 1960 roku, po osiemdziesięciu latach kolonializmu. Żołnierze Mobutu samowolnie pobierali haracze na drogach, generałowie sprzedawali myśliwce jak własne, a w czasie boomu na nieruchomości w Tokio kongijski ambasador w Japonii sprzedał budynek ambasady, chowając pieniądze do własnej kieszeni. Wszystko zdawało się lepsze niż to.

Kiedy w 1997 roku rządy Mobutu dobiegły końca, wielu miało nadzieję, że cierpiący tyle lat Kongijczycy nareszcie zaczną czerpać zyski z bogatych zasobów swojego kraju. Tak się jednak nie stało. Wiadomości z kraju, nazwanego - o ironio - Demokratyczną Republiką Konga, od kilku lat są tak ponure, że przygnębiony człowiek ma ochotę przewrócić stronę gazety albo zmienić kanał telewizyjny: masowe gwałty dokonywane przez żołnierzy zarażonych HIV, plądrowanie szkół i szpitali, dziesięcioletni żołnierze wymachujący kałasznikowami. Od upadku Mobutu kraj pustoszy zdumiewająco skomplikowana wojna domowa. Uczestniczą w niej armie siedmiu sąsiednich państw, bezwzględne bandy podległe miejscowym watażkom oraz oddziały rebeliantów z innych krajów, uciekających na rozległe, niekontrolowane przez nikogo terytoria - takie jak oddziały Hutu, odpowiedzialne za rwandyjskie ludobójstwo z 1994 roku. Armia Rwandy podążyła za nimi na terytorium Konga i dokonała czegoś w rodzaju kontrludobójstwa, by następnie plądrować bogactwa naturalne Konga: w ciągu ledwie dwóch lat przywłaszczyła sobie surowce warte ponad 250 milionów dolarów. Wszystkie te siły, a do tego nominalne władze Konga oraz kilka opozycyjnych grup zbrojnych, łączą i dzieli ciągle zmieniająca się sieć sojuszy.

Biorą w tym udział także międzynarodowe korporacje. Ich interesów nie chroni już Force Publique, ale zawierane pod stołem umowy z różnymi armiami i frakcjami. W dawnych czasach to kość słoniowa i kauczuk napędzały pogoń za zyskiem; dzisiejsze kompanie równie chętnie wyciągają ręce po kongijskie diamenty, złoto, drewno, miedź, kobalt i koltan - mieszaninę kolumbitu i tantalitu, używaną do produkcji mikroprocesorów i telefonów komórkowych. Swego czasu cena koltanu zrównała się z ceną złota. Walka toczy się o

bogactwa, nie o ideologię - najcięższe boje często toczyły się w różnych miejscach - w zależności od wzrostu i spadku cen surowców.

Wojna zebrała potworne żniwo. Brak dokładnych statystyk, a szacunki są niepewne, ale bezpośrednio i pośrednio kosztowała życie co najmniej miliona ludzi, z czego tylko nieliczni byli żołnierzami. Większość ofiar to zwykli mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy znaleźli się w środku działań wojennych, weszli na minę przeciwpiechotną lub musieli uciekać z domów do lasu albo do przepelnionych obozów dla uchodźców, które w środku pory deszczowej toną w błocie. Tak jak w czasach Leopolda, najwięcej ludzi pada ofiarą chorób, dotyczących zgwałconych, wygłodniałych, nierzadko uciekających ze swych domów. Mimo rozejmów i porozumień w sprawach podziału władzy śmierć będzie najprawdopodobniej nadal zbierać swe żniwo.

Położenie kresu bałkanizacji kraju nie jest ani w interesie rebeliantów, ani sąsiadów Konga, ani ich sojuszników z wielkich korporacji. Wszyscy przedkładają korupcję nad uregulowaną gospodarkę, która poprzez pobór podatków dałaby obywatelom Konga szansę na prawdziwy udział w dochodach z surowców. Posiadanie ogromnych zasobów naturalnych i brak sprawnej władzy okazało się dla Konga katastrofalną mieszanką. Kiedy w państwowej kasie brakuje pieniędzy, armia staje się samofinansującą się organizacją wydobywczo-przemysłową. Kiedy brakuje szkół i miejsc pracy - armia z łatwością rekrutuje żołnierzy spośród dzieci. Kiedy po całej Afryce krążą miliony sztuk broni, którą można kupić na ulicznym straganie albo od policjanta, który nie dostaje pensji - broń może mieć każdy.

Tragedią jest to, że nie istnieje żadna zewnętrzna grupa nacisku - taka, jaką byli reformatorzy Morela - mogąca lobbować za wprowadzeniem zmian. Nie wiadomo także, jakie zmiany byłyby najskuteczniejsze. Czegoś jednak trzeba spróbować. Można by przestać tak bezmyślnie wysyłać do Afryki uzbrojenie. Tylko w latach 90. XX wieku Stany Zjednoczone zapewniły afrykańskim armiom broń oraz szkolenia o łącznej wartości ponad 200 milionów dolarów - z siedmiu armii biorących udział w kongijskiej wojnie domowej pomoc od Stanów Zjednoczonych otrzymało sześć.

Coś zdziałać mogłyby duże, i z odpowiednimi uprawnieniami, siły pokojowe Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ale nie należy się łudzić, że takie nawet siły - przy braku sprawnie funkcjonującego rządu centralnego - rozwiązałyby problem Konga.

Międzynarodowa interwencja w tym kraju byłaby czymś takim jak zwrócenie się do ochrony z prośbą o to, by patrolowała bank, który właśnie został napadnięty. Strażnicy mogą sami okraść bank i uciec - poczynając od tego, że zwykli oficerowie mogą próbować szmuglowania diamentów, a skończywszy na tym, że państwa, które wysyłają do Konga swoich żołnierzy, w zamian za pomoc mogą domagać się przywilejów dla własnych firm. Inne rozwiązania są jednak dużo gorsze, oddziały interwencyjne zaś mogłyby ocalić miliony istnień ludzkich. Do tego dochodzi jeszcze jedno: skończenie z subsydiami i barierami handlowymi, które tak bardzo utrudniają Południu sprzedaż swoich produktów rolnych w Europie i Ameryce, byłoby zbawiennym dla całej Afryki krokiem w kierunku wyrównaniu międzynarodowego boiska gospodarczego, na którym, póki co, biedni wciąż mają pod górkę.

\*

Jednym z powodów napisania tej książki była chęć pokazania, jak dalece europejski kolonializm ukształtował świat, w którym obecnie żyjemy. Mając w pamięci to, jak Stany Zjednoczone i Europa chroniły swoje inwestycje przez wspieranie chciwych despotów w rodzaju Mobutu, nie sposób nie mówić o neokolonializmie. Chciałbym jednak dodać słowo ostrzeżenia. Mimo złodziejstwa Leopolda i jego następców nie można obwiniać kolonializmu o wszystkie problemy dzisiejszej Afryki. Większość historii ludzkości składa się z podbojów jednych ludów przez inne. Mimo to różne kraje, które niegdyś były brutalnie kolonizowane - od Irlandii po Koreę Południową - odniosły sukces i zdołały stworzyć sprawiedliwe, dostatnie i demokratyczne społeczeństwa.

Powody, dla których nie udało się to prawie w całej Afryce, wykraczają daleko poza dziedzictwo kolonializmu. Jednym z nich jest dramatyczna sytuacja kobiet w tamtejszych społeczeństwach i wynikające z niej przemoc, ucisk i uprzedzenia. Innym czynnikiem jest głęboko zakorzeniona w afrykańskiej kulturze tolerancja, a nawet uwielbienie dla „silnych przywódców” w rodzaju Mobutu, dla których polityka oznacza przede wszystkim wzbogacenie własne i swojego klanu albo grupy etnicznej. Wreszcie - i być może to nadal być najważniejsze - w strukturę społeczną wciąż ciasno wplecione jest dziedzictwo tubylczego niewolnictwa.

Te same przeszkody istnieją wszędzie. W wielu krajach dyskryminacja kobiet blokuje

postęp społeczny i gospodarczy. Wiele społeczeństw - od Bałkanów po Afganistan - ma problemy ze zbudowaniem państwa w sytuacji, w której pragnący władzy demagodzy rozpalają etniczne szowinizmy, a Afryka nie jest osamotniona ze swoim dziedzictwem niewolnictwa. Czechow, zdający sobie sprawę z roli, jaką pańszczyzna odegrała w jego ojczyźnie, pisał o tym, jak Rosjanie muszą wycisnąć poddaństwo z samych siebie, kropla po kropli. Problemy Rosji pokazują, jak żmudne i trudne jest to zadanie.

Nawet bez problemów spowodowanych przez kolonializm narodziny trwale i prawdziwie demokratycznego społeczeństwa są zazwyczaj powolnym i niełatwym procesem. Zanim Zachodnia Europa przeszła drogę od Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, z mozaiką hrabstw, księstw i królestw, do dzisiejszej wspólnoty narodów, musiały minąć całe stulecia rozlewu krwi - w tym okrutna wojna trzydziestoletnia, która pod wieloma względami (anarchia, zmieniające się sojusze i plądrujący najemnicy) przypominała to, co dziś dzieje się w Kongu. Afryka nie może sobie pozwolić na podobne stulecia. Jej przyszłość nie będzie jednak łatwa, a nigdzie nie będzie trudniejsza niż w Kongu.



# PRZYPISY

## Wstęp

<sup>1</sup> E.D. Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, eds William Roger Louis, Jean Stengers, Oxford 1968, rozdziały 4 i 5.

<sup>2</sup> Na przykład w 1907 roku; zob. „Official Organ of the Congo Reform Association”, April 1908, s. 24.

<sup>3</sup> „Times”, 23 grudnia 1908; cyt. za: Morel, op. cit., s. 208.

<sup>4</sup> Ibidem, s. XIV.

<sup>5</sup> Joseph Conrad, *Geografia a niektórzy odkrywcy*, w: idem, *Ostatnie szkice*, Warszawa 1974, s. 225.

## Prolog: „Handlarze porywają naszych ludzi”

<sup>6</sup> Zob. Egon Klemp (ed.), *Africa on Maps Dating from the Twelfth to the Eighteenth Century*, New York 1970.

<sup>7</sup> Peter Forbath, *The River Congo: The Discovery, Exploration and Exploitation of the World's Most Dramatic River*, New York 1977, s. 41.

<sup>8</sup> Ibidem, s. 73.

<sup>9</sup> Ibidem.

<sup>10</sup> Georges Balandier, *Życie codzienne w państwie Kongo, XVI-XVIII w.*, Warszawa 1970, s. 27.

<sup>11</sup> Jan Vansina, *Kingdoms of the Savanna*, Madison 1966, s. 41-45.

<sup>12</sup> Zob. Balandier, op. cit.; Jean Cuvelier, *L'Ancien royaume de Congo: Fondation, découverte, première évangélisation de l'ancien Royaume de Congo. Règne du Grand Roi Affonso Mvemba Nzinga (+1541)*, Bruges 1946; Anne Hilton, *The Kingdom of Kongo*, Oxford 1985, rozdziały 1-3; Vansina, op. cit., rozdział 2.

<sup>13</sup> Balandier, op. cit., s. 57.

<sup>14</sup> Vansina, op. cit., s. 149.

<sup>15</sup> Spis niewolników pochodzi z 1736 roku; zob. Joseph C. Miller, *Way of Death: Merchant Capitalism and the Angolan Slave Trade 1730-1830*, Madison 1988, s. XIII.

<sup>16</sup> Książka Josepha C. Millera *Way of Death...* (op. cit.) jest najlepszym źródłem, chociaż skupia się na późniejszym okresie.

<sup>17</sup> Basil Davidson, *Afryka budzi się*, Warszawa 1957.

<sup>18</sup> Rui de Aguiar do króla Manuela I, 25 maja 1516; cyt. za: Affonso I, *Correspondance de Dom Afonso, roi du Congo 1506-1543*, eds Louis Jadin, Mireille Decorato, Brussels 1974, s. 117.

<sup>19</sup> Vansina, op. cit., s. 45-58.

<sup>20</sup> Albert S. Gérard, *African Language Literature: An Introduction to the Literary History of Sub-Saharan Africa*, Harlow, Essex 1981, s. 287.

<sup>21</sup> Alfons I do Jana III, 6 lipca 1526; cyt. za: Affonso I, op. cit., s. 156.

<sup>22</sup> Alfons I do Jana III, 18 października 1526; cyt. za: ibidem, s. 167.

<sup>23</sup> Alfons I do Jana III, 25 sierpnia 1526; cyt. za: ibidem, s. 159.

<sup>24</sup> Alfons I do Jana III, 6 lipca 1526; cyt. za: ibidem, s. 155-156.

<sup>25</sup> Jan III do Alfonsa I, 1529; cyt. za: ibidem, s. 175.

<sup>26</sup> Alfons I do Manuela I, 31 maja 1515; cyt. za: ibidem, s. 103.

<sup>27</sup> Alfons I do Jana III, 25 marca 1539; cyt. za: ibidem, s. 210.

<sup>28</sup> Zob. Robert Harms, *River of Wealth, River of Sorrow: The Central Zaire Basin on the Era of the Slave and Ivory Trade, 1500-1891*, New Haven 1981, s. 210.

<sup>29</sup> G.L. Haveaux, *La Tradition Historique des Bapende Orientaux*, Brussels 1954, s. 47.

<sup>30</sup> Miller, op. cit., s. 4-5.

<sup>31</sup> John H. Weeks, *Among the Primitive Bakongo*, London 1914, s. 294-295.

<sup>32</sup> Polecenie dla pana Tudora z 7 lutego 1816; cyt. za: Roger Anstey, *Britain and the Congo in the Nineteenth Century*, Oxford 1962, s. 5.

<sup>33</sup> Forbath, op. cit., s. 177.

<sup>34</sup> *Narrative of the Expedition to explore the River Zaire, usually called the Congo...* [London 1818], s. 342; cyt. za: Anstey, op. cit., s. 9.

## 1. „Nie ustane w poszukiwaniach”

<sup>35</sup> Najlepszymi biografiami Henry’ego Mortona Stanleya są staranne i szczegółowe: Johna Biermana (*Dark Safari: The Life behind the Legend of Henry Morton Stanley*, New York 1990) oraz Franka McLynna (*Stanley: The Making of an African Explorer*, London 1989; *Stanley: Sorcerer’s Apprentice*, London 1991). Richard Hall (*Stanley: An Adventurer*

*Explored*, London 1974) jako pierwszy obalił niektóre mity, ale nie podaje szczegółowych odniesień źródłowych. Autobiografia Stanleya jest jedynym źródłem na temat jego młodości, ale bardzo wiele pomija i fałszuje - co zarazem wiele ujawnia.

<sup>36</sup> Henry Morton Stanley, *The Autobiography of Sir Henry Morton Stanley*, ed. Dorothy Stanley, Boston 1909, s. 8.

<sup>37</sup> Ibidem, s. 10.

<sup>38</sup> Bierman, op. cit., s. 8.

<sup>39</sup> Stanley, op. cit., s. 29.

<sup>40</sup> Ibidem, s. 67.

<sup>41</sup> Ibidem, s. 87.

<sup>42</sup> „Daily States” [Nowy Orlean], 16 kwietnia 1891; cyt. za: Bierman, op. cit., s. 29.

<sup>43</sup> Stanley, op. cit., s. 33.

<sup>44</sup> Ibidem, s. 113.

<sup>45</sup> Ibidem, s. 121.

<sup>46</sup> Szkic nieukończonyj autobiografii Stanleya; cyt. za: McLynn, *Stanley: The Making of an African Explorer*, op. cit., s. 37-38.

<sup>47</sup> Stanley, op. cit., s. 107-111.

<sup>48</sup> Bierman, op. cit., s. 48.

<sup>49</sup> Artykuł Stanleya z 25 maja 1867; cyt. za: ibidem, s. 47.

<sup>50</sup> Miał tak powiedzieć doktor Hastings Banda z Malawi; cyt. za: Frank McLynn, *Hearts of Darkness: The European Exploration of Africa*, New York 1992, s. IX.

<sup>51</sup> Richard West, *Congo*, New York 1972, s. 22-23.

<sup>52</sup> Hugh Honour, *The Image of the Black in Western Art*, t. IV, Cambridge 1989, s. 264.

<sup>53</sup> Henry Morton Stanley, *Jak odzukałem Livingstona: podróż*, Lwów 1877, s. 5.

<sup>54</sup> Henry Morton Stanley, *How I Found Livingstone: Travels, Adventures and Discoveries in Central Africa, Including Four Months' Residence with Dr. Livingstone*, London 1872, s. XVI-XVII. Ta część została usunięta z polskiego, mocno skróconego wydania (przyp. tłum.).

<sup>55</sup> Stanley, *Jak odzukałem Livingstona...* op. cit., s. 6.

<sup>56</sup> George Martelli, *Leopold to Lumumba: a History of the Belgian Congo 1877-1960*, London 1962, s. 10.

<sup>57</sup> Norman R. Bennett (ed.), *Stanley's Despatches to the New York Herald 1871-72, 1874-77*, Boston 1970, s. 23.

<sup>58</sup> Stanley, *How I Found Livingstone...* op. cit., s. 6.

<sup>59</sup> Ruth Slade, *King Leopold's Congo: Aspects of the Development of Race Relations in the Congo Independent State*, London 1962, s. 23.

<sup>60</sup> Bierman, op. cit., s. 97.

<sup>61</sup> Stanley, *How I Found Livingstone...* op. cit., s. 318.

<sup>62</sup> Bennett, op. cit., s. 76.

<sup>63</sup> Stanley, *How I Found Livingstone...* op. cit., s. 112-113.

<sup>64</sup> Zob. McLynn, *Stanley: The Making...* op. cit., s. 204.

<sup>65</sup> Richard Hall, op. cit., s. 99.

## 2. Lis przekracza strumień

<sup>66</sup> Klasyczną biografię Leopolda napisała Barbara Emerson (*Leopold II of the Belgians: King of Colonialism*, London 1979). Neal Ascherson (*The King Incorporated: Leopold II in the Age of Trusts*, London 1963) lepiej uchwycił naturę Leopolda, ale ta praca jest ubogo opatrzona przypisami.

<sup>67</sup> List królowej Marii-Luizy do Leopolda, 28 czerwca 1849; cyt. za: G. Freddy, *Léopold II intime*, Paris 1905, s. 27.

<sup>68</sup> Emerson, op. cit., s. 23.

<sup>69</sup> Theo Aronson, *Defiant Dynasty: The Coburgs of Belgium*, New York 1968, s. 35.

<sup>70</sup> Madame de Metternich, cyt. za: Ascherson, op. cit., s. 36.

<sup>71</sup> Joanna Richardson, *My Dearest Uncle. Leopold I of the Belgians*, London 1961, s. 188.

<sup>72</sup> Leopold do Alberta, 19 listopada 1857; cyt. za: Emerson, op. cit., s. 56.

<sup>73</sup> Ibidem, s. 19.

<sup>74</sup> Leopold do Brialmonta; cyt. za: ibidem, op. cit., s. 56.

<sup>75</sup> Léon Le Febve de Vivy, *Documents d'histoire précoloniale belge*, Brussels 1955, s. 20. Na temat Moneya zob. Jean Stengers, *Combien le Congo a-t-il coûté à la Belgique?*,

Brussels 1957, s. 145 (przypisy) oraz Jules Marchal, *L'État Libre du Congo: Paradis Perdu. L'Histoire du Congo 1876-1900*, t. 1, Borgloon 1996, s. 40-41.

<sup>76</sup> Leopold do Lambermonta, 11 czerwca 1861; cyt. za: P.A. Roeykens, *Les Débuts de l'oeuvre africaine de Léopold II (1875-1879)*, Brussels 1955, s. 413-414, przypisy.

<sup>77</sup> Leopold do Brialmonta, 16 maja 1861; cyt. za: Jean Stengers, *Congo Mythes et Réalités: 100 Ans d'Histoire*, Paris 1989, s. 21.

<sup>78</sup> Le Febve de Vivy, op. cit., s. 23.

<sup>79</sup> Pierre Daye, *Léopold II*, Paris 1934, s. 438-439.

<sup>80</sup> Marszałek Canrobert; cyt. za: ibidem, s. 92.

<sup>81</sup> Aronson, op. cit., s. 34-35.

<sup>82</sup> Louise of Belgium, Princess, *My Own Affairs*, London 1921, s. 34.

<sup>83</sup> Ibidem, s. 29.

<sup>84</sup> Edgard Goedleven, *The Royal Greenhouses of Laeken*, Brussels 1989, s. 69-75.

<sup>85</sup> Gustave Stinghamber, Paul Dresse, *Léopold II au Travail*, Brussels 1945, s. 256.

<sup>86</sup> H. Montgomery Hyde, *Mexican Empire: The History of Maximilian and Carlota of Mexico*, London 1946, s. 291.

<sup>87</sup> Ibidem, s. 226. Zob. też Richard O'Connor, *The Cactus Throne: The Tragedy of Maximilian and Carlotta*, New York 1971, s. 271-273.

<sup>88</sup> Leopold do Lambermonta, 22 sierpnia 1875; cyt. za: Roeykens, op. cit., s. 95-96.

<sup>89</sup> Ibidem, s. 73.

<sup>90</sup> Emile Vandewoude, *De Aardrijkskundige Conferentie (1976) vanuit het koninklijk Paleis genzien*, w: *La Conférence de Géographie de 1876: Recueil d'études*, Brussels 1876, s. 434.

<sup>91</sup> Sir Henry Rawlison do lady Rawlison, 11 września 1876; cyt. za: Thomas Pakenham, *The Scramble for Africa: The White Man's Conquest of the Dark Continent from 1876 to 1912*, New York 1991, s. 21.

<sup>92</sup> Mowa Leopolda na Konferencji Geograficznej, w: P.A.Roeykens, *Léopold II et la Conférence géographique de Bruxelles (1876)*, Brussels 1956, s. 197-199. Skrócony opis konferencji zob. Sanford H. Bederman, *The 1876 Brussels Geographical Conference and the Charade of European Cooperation in African Exploration*, „*Terrae Incognitae*” 1989, 21, s. 63-73.

<sup>93</sup> Pakenham, op. cit., s. 22.

### 3. Wspaniały tort

<sup>94</sup> Marchal, op. cit., s. 28-32.

<sup>95</sup> Henry Morton Stanley, *Through the Dark Continent; or, The Sources of the Nile Around the Great Lakes of Equatorial Africa and Down the Livingstone River to the Atlantic Ocean*, t. 1-2, wyd. I: 1878; reprint wydania z 1899: New York 1988, s. 346-347.

<sup>96</sup> Stanley, *The Autobiography...* op. cit., s. 329.

<sup>97</sup> Henry Morton Stanley, *The Exploration Diaries of H.M. Stanley*, eds Richard Stanley, Alan Neame, New York 1961, s. 199.

<sup>98</sup> Ibidem, s. 125.

<sup>99</sup> Bierman, op. cit., s. 182.



<sup>100</sup> „New York Herald”, 17 września 1877; cyt. za: McLynn, *Stanley: Sorcerer's Apprentice*, op. cit., s. 11.

<sup>101</sup> McLynn, *Stanley: The Making of an African Explorer*, op. cit., s. 257.

<sup>102</sup> Stanley, *The Exploration Diaries...* op. cit., s. 87.

<sup>103</sup> Ibidem, s. 195.

<sup>104</sup> Stanley do Alice Pike, 25 grudnia 1874; cyt. za: Bierman, op. cit., s. 163.

<sup>105</sup> Alice Pike do Stanleya, 13 października 1874; cyt. za: McLynn, *Stanley: The Making of an African Explorer*, op. cit., s. 248.

<sup>106</sup> Stanley, *Through the Dark Continent*, op. cit., s. 148-152.

<sup>107</sup> Ibidem, s. 190.

<sup>108</sup> Ibidem, s. 91.

<sup>109</sup> Stanley, *The Exploration Diaries...* op. cit., s. 130.

<sup>110</sup> Herbert Ward, *A Voice from the Congo: Comprising Stories, Anecdotes, and Descriptive Notes*, London 1910, s. 110.

<sup>111</sup> G. Hulstaert, *Documents africains sur la pénétration européenne dans l'Equateur*, w: *Enquêtes et Documents d'Histoire africaine 2*, Louvain 1977, s. 52.

<sup>112</sup> „Daily Telegraph”, 12 listopada 1877; cyt. za: Henry Morton Stanley, *The Congo and the Founding of Its Free State: A Story of Work and Exploration*, t. 1, New York 1885, s. VI.

<sup>113</sup> Stanley, *Through the Dark Continent*, op. cit., t. 2, s. 261-262.

<sup>114</sup> Stanley do Alice Pike, 14 sierpnia 1876; cyt. za: Bierman, op. cit., s. 189.

<sup>115</sup> Ibidem, op. cit., s. 214.

<sup>116</sup> Stanley, *Through the Dark Continent*, op. cit., t. 2, s. 59.

<sup>117</sup> Ibidem, s. 99.

<sup>118</sup> Stanley, *The Exploration Diaries...* op. cit., s. 40.

<sup>119</sup> Leopold do Greindla, 30 maja 1877; cyt. za: Roeykens, op. cit., s. 235.

<sup>120</sup> Leopold do Solvynsa, 17 listopada 1877; cyt. za: Pakenham, op. cit., s. 38; Ascherson, op. cit., s. 104.

<sup>121</sup> Joseph A. Fry, *Henry S. Sanford: Diplomacy and Business in Nineteenth-Century America*, Reno 1982, s. 78-99.

<sup>122</sup> Greindl do Sanforda, 28 listopada 1877; cyt. za: ibidem, s. 133.

<sup>123</sup> Hall, op. cit., s. 245.

<sup>124</sup> Marchal, op. cit., s. 49.

<sup>125</sup> Stanley, *The Autobiography...* s. 351.

<sup>126</sup> Marchal, op. cit., s. 49.

<sup>127</sup> *The Whitehall Review and the King of the Belgians*, „The Whitehall Review”, 2 sierpnia 1879, s. 269.

<sup>128</sup> Leopold do Straucha, 8 stycznia 1884; cyt. za: Henry Morton Stanley, *Unpublished Letters*, ed. Albert Maurice, London 1955, s. 20-21.

<sup>129</sup> Anstey, *Britain and the Congo*, s. 75.

<sup>130</sup> Mowa z 6 marca 1879; cyt. za: François Bontinck, *Aux Origines de l'État Indépendant du Congo. Documents tirés d'Archives Américaines*, Louvain 1966, s. 74.

#### **4. „Traktaty muszą przyznawać nam wszystko”**

<sup>131</sup> Jean Stengers, *King Leopold and Anglo-French Rivalry, 1882-1884*, w: Prosser Gifford, William Roger Louis (eds), *France and Britain in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, New Haven 1971, s. 144.

<sup>132</sup> William T. Hornaday, *Free Rum on the Congo*, Chicago 1887, s. 44-45; cyt. za: Jean Stengers, *King Leopold's Imperialism*, w: Roger Owen, Bob Sutcliffe (eds), *Studies in the Theory of Imperialism*, London 1972, s. 260.

<sup>133</sup> Pułkownik Maximilien Strauch, w: Bierman, op. cit., s. 225.

<sup>134</sup> Eugène Beyens do Leona Lamberta, 3 listopada 1882; cyt. za: Stengers, *King Leopold and Anglo-French Rivalry*, op. cit., s. 142.

<sup>135</sup> Strauch do Stanleya, brak daty; cyt. za: Stanley, *Unpublished Letters*, s. 22-23.

<sup>136</sup> Stanley do Straucha, 12 czerwca 1881; cyt. za: ibidem, s. 49.

<sup>137</sup> Ibidem, s. 44.

<sup>138</sup> Stanley, *The Congo and the Founding of Its Free State*, op. cit., t. 2, s. 93-94.

<sup>139</sup> Ibidem, t. 1, s. 147-148, 237. Sprostowanie zob w: Marchal, op. cit., s. 52.

<sup>140</sup> Stanley, *The Congo and the Founding of Its Free State*, op. cit., t. 2, s. 376-377.

<sup>141</sup> Ibidem, op. cit., t. 2, s. 100.

<sup>142</sup> Ibidem, op. cit., t. 1, s. 130-131.

<sup>143</sup> Pakenham, op. cit., s. 130.

<sup>144</sup> Stanley, *The Congo and the Founding of Its Free State*, op. cit., t. 1, s. 459.

<sup>145</sup> Frank Hird, *H.M. Stanley: The Authorized Life*, London 1935, s. 186.

<sup>146</sup> Leopold do Stanleya, 31 grudnia 1881; cyt. za: Emerson, op. cit., s. 96.

<sup>147</sup> FO 84/1802, 15 listopada 1882; cyt. za: Stengers, *King Leopold and Anglo-French Rivalry*, op. cit., s. 133.

<sup>148</sup> Leopold do Stanleya, 31 grudnia 1881; cyt. za: Emerson, op. cit., s. 96.

<sup>149</sup> Stanley, *The Congo and The Founding of Its Free State*, op. cit., t. 1, s. 466.

<sup>150</sup> Leopold do Straucha, 16 października 1882; cyt. za: Stanley, *Unpublished Letters*, op. cit., s. 161.

<sup>151</sup> Stanley, *The Congo and The Founding of Its Free State*, op. cit., t. 1, s. 185.

<sup>152</sup> Ibidem, t. 2, s. 196-197.

<sup>153</sup> Istnieje obszerna antropologiczna literatura na temat basenu Konga. Zob. zwłaszcza: Jan Vansina, *Kingdom of the Savanna* (Madison 1966); idem, *Paths in the Rainforest* (Madison 1990). Świetnie napisana książka o Pigmejach: Colin M. Turnbull, *Leśni ludzie*, Warszawa 1996.

<sup>154</sup> Jean-Luc Vellut, *La Violence Armée dans l'État Indépendant du Congo*, „Cultures et Développement” 1934, 16, nr 3-4, s. 701; Jan Vansina, *The Children of Woot: A History of the Kuba Peoples*, Madison 1978, s. 144, 343.

<sup>155</sup> Vansina, *Kingdoms of the Savanna*, op. cit., s. 100.

<sup>156</sup> Stanley do Sanforda, 4 marca 1885; cyt. za: Bontinck, op. cit., s. 300.

## 5. Z Florydy do Berlina

<sup>157</sup> „New York Times”, 6 kwietnia 1883; 13 kwietnia 1883.

<sup>158</sup> O wakacjach prezydenta Arthura na Florydzie zob. „New York Times”, 5-15 kwietnia 1883. Na temat samego Arthura zob. Thomas C. Reeves, *Gentleman Boss: The Life of Chester Alan Arthur*, New York 1975.

<sup>159</sup> Na temat kłopotów Sanforda zob. Fry, *Henry S. Sanford...* op. cit., s. 100-106.

<sup>160</sup> Bontinck, op. cit., s. 139-140.

<sup>161</sup> Leopold do Arthura, 3 (?) listopada 1883; cyt. za: ibidem, s. 135-136.

<sup>162</sup> Stengers, *King Leopold and Anglo-French Rivalry*, op. cit., s. 128, 130 (przypisy).

<sup>163</sup> Sanford do Freylinghuysena, 30 grudnia 1882; cyt. za: Murray Lee Carroll, *Open Door Imperialism in Africa: The United States and the Congo, 1876-1892*, [Storrs] 1971, s. 115.

<sup>164</sup> Orędzie Arthura do Kongresu, 4 grudnia 1883; cyt. za: Bontinck, op. cit., s. 144.

<sup>165</sup> Strauch do Sanforda, 6 grudnia 1883; cyt. za: ibidem, s. 146.

<sup>166</sup> Anonimowy list do filadelfijskiego „Timesa”, 31 stycznia 1885; cyt. za: ibidem, s. 160.

<sup>167</sup> Latrobe do Sanforda, 18 marca 1884; cyt. za: ibidem, s. 189.

<sup>168</sup> Joseph A. Fry, *John Tyler Morgan and the Search for Southern Autonomy*, Knoxville 1992, s. 56-57.

<sup>169</sup> Ibidem, s. 26, 185.

<sup>170</sup> Zob. *Congressional Record*, 7 stycznia 1890; cyt. za: Carroll, op. cit., s. 332-333, 337.

<sup>171</sup> Sanford do Evarsta, 21 stycznia 1878; cyt. za: Bontinck, op. cit., s. 29.

<sup>172</sup> James L. Roark, *Masters Without Slaves: Southern Planters in the Civil War and Reconstruction*, New York 1977, s. 169.

<sup>173</sup> Lysle E. Meyer, *Henry S. Sanford and the Congo: a Reassessment*, „African Historical Studies” 1971, IV, nr 1, s. 28 (przypis).

<sup>174</sup> Bontinck, op. cit., s. 171.

<sup>175</sup> Elizabeth L. Normandy, *Black Americans and U.S. Policy Toward Africa: Two Case Studies from the pre-World War II Period*, [Columbia, S.C.] 1987, s. 171.

<sup>176</sup> Gertrude Sanford do Henry’ego Sanforda, kwiecień 1884; cyt. za: Fry, *Henry S. Sanford...* op. cit., s. 148.

<sup>177</sup> Bontinck, op. cit., s. 201.

<sup>178</sup> Stanley, *The Congo and the Founding of Its Free State*, op. cit., t. 2, s. 420.

<sup>179</sup> Ibidem, s. 383.

<sup>180</sup> Tysiąc franków miesięcznie. Stengers, *Congo Mythes et Réalités...* op. cit., s. 48.

<sup>181</sup> Leopold do Straucha, 26 września 1883; cyt. za: Pakenham, op. cit., s. 245.

<sup>182</sup> Emerson, op. cit., s. 108.

<sup>183</sup> Ibidem, s. 108.

<sup>184</sup> Ibidem, s. 109.

<sup>185</sup> O roli Bleichrödera zob. Fritz Stern, *Gold and Iron: Bismarck, Bleichröder, and the Building of the German Empire*, New York 1977, s. 403-409.

<sup>186</sup> Hall, op. cit., s. 265.

<sup>187</sup> John Stuart Mill, *O Wolności*, Warszawa 1999, s. 26.

<sup>188</sup> Anstey, *Britain and the Congo*, s. 68; Pakenham, *The Scramble for Africa*, s. 247.

<sup>189</sup> Dziennik Stanleya, 24 listopada 1884; cyt. za: McLynn, *Stanley: The Making of an African Explorer*, op. cit., s. 86-87.

<sup>190</sup> Raport delegata Stanów Zjednoczonych Johna A. Kassona w: Clarence Clendenen, Robert Collins, Peter Duignan, *Americans in Africa 1865-1900*, Stanford 1966, s. 57.

<sup>191</sup> H.L. Wesseling, *Divide and Rule: The Partition of Africa, 1880-1914*, Westport, CT 1996

<sup>192</sup> Jean Stengers, *The Congo Free State and the Belgian Congo before 1914*, w: L.H. Gann, Peter Duignan (eds), *Colonialism in Africa 1870-1960*, Vol. 1, Cambridge 1969, s. 262. Zob. także Jean Stengers, *La place de Leopold II dans l'histoire de la colonisation*, „La Nouvelle Clío”, October 1950, No. 9, s. 515.

## 6. Pod flagą jachtklubu

<sup>193</sup> „Pall Mall Gazette”, 10 kwietnia 1885, s. 9; 11 kwietnia 1885, s. 3.

<sup>194</sup> „New York Times”, 5 czerwca 1917; 15 czerwca 1917.

<sup>195</sup> Louise of Belgium, op. cit., s. 32.

<sup>196</sup> Hilaire Belloc, *The Modern Traveller*, London 1898.

<sup>197</sup> Na podstawie spisu z 31 grudnia 1889; zob. „Le Mouvement Géographique”, 23 marca 1890.

<sup>198</sup> Henry Sanford do Gertrude Sanford, 30 sierpnia 1884; cyt. za: Fry, *Henry S. Sanford...* op. cit., s. 150.

<sup>199</sup> Ibidem, s. 157-163; James P. White, *The Sanford Exploring Expedition*, „Journal of African History” 1907, VIII, nr 2, s. 291-302.

<sup>200</sup> Édouard Van der Smissen (ed.), *Léopold II et Beernaert: d'après leur correspondance inédite de 1884 à 1894*, Brussels 1920, t. 1, s. 127.

<sup>201</sup> Stinglhamber, Dresse, op. cit., s. 142.

<sup>202</sup> David Lagergren, *Mission and State in the Congo: A Study of the Relations Between Protestant Missions and the Congo Independent State Authorities with Special Reference to the Equator District, 1885-1903*, Uppsala 1970, s. 198 (przypisy).

<sup>203</sup> Kirk do Wyldę'a, 24 kwietnia 1890; cyt. za: Suzanne Miers, *The Brussels Conference of 1889-1890: The Place of the Slave Trade in the Policies of Great Britain and Germany*; cyt. za: Gifford, Louis, op. cit., s. 102.

<sup>204</sup> Charles Liebrechts, *Congo: Suite à mes souvenirs d'Afrique*, Brussels 1920, s. 29-30.

<sup>205</sup> Meyer, op. cit., s. 17; Fry, *Henry S. Sanford...* op. cit., s. 168.



<sup>206</sup> Emerson, op. cit., s. 149.

<sup>207</sup> Mutamba-Makombo, *L'histoire du Zaire par les Textes*, t. 2: 1885-1955, Kinshasa 1987, s. 32.

<sup>208</sup> August Beernaert; cyt. za: Emerson, op. cit., s. 64.

<sup>209</sup> Stanley do Mackinnona, 23 września 1886; cyt. za: Bierman, op. cit., s. 256.

<sup>210</sup> Hall, op. cit., s. 274.

<sup>211</sup> Stanley do Mackinnona, 23 września 1886; cyt. za: Bierman, op. cit., s. 256.

<sup>212</sup> Stengers, *The Congo Free State...* op. cit., s. 287.

<sup>213</sup> „Times”, 14 stycznia 1887; cyt. za: Emerson, op. cit., s. 157.

<sup>214</sup> „Globe”, 19 stycznia 1887; cyt. za: McLynn, *Stanley: Sorcerer's Apprentice*, op. cit., s. 146, <sup>215</sup> Dziennik A.J. Mounteney Jephsona; cyt. za: Bierman, op. cit., s. 289.

<sup>216</sup> Ibidem, s. 297.

<sup>217</sup> Dziennik A.J. Mounteney Jephsona; cyt. za: ibidem, s. 286.

<sup>218</sup> Ibidem, s. 281.

<sup>219</sup> Dziennik Stairsa; cyt. za: ibidem, s. 298.

<sup>220</sup> Henry Morton Stanley, *W czeluściach Afryki, Poszukiwanie, ocalenie i odwrót Emina Baszy*, Warszawa 1891, s. 318-319.

<sup>221</sup> 14 stycznia 1889, *Die Tagebüchen von Dr Emin Pascha*, ed. Franz Stuhlmann, t. 4, Hamburg 1916-1927, s. 202; cyt. za: McLynn, *Stanley: Sorcerer's Apprentice*, op. cit., s. 262-263.

<sup>222</sup> Stanley, *W czeluściach Afryki...* op. cit., s. 691.

<sup>223</sup> Bierman, op. cit., s. 340.

## 7. Pierwszy odszczepieniec

<sup>224</sup> Jeśli nie zostało zaznaczone inaczej, fakty biograficzne na temat Williama pochodzą z książki Johna Hope'a Franklina, *George Washington Williams: a Biography*, Chicago 1985.

<sup>225</sup> Marchal, op. cit., s. 176.

<sup>226</sup> Franklin, op. cit., s. 10-11.

<sup>227</sup> „New York Times”, 22 stycznia 1883; cyt. za: ibidem, s. 116.

<sup>228</sup> W.E.B. Du Bois, *The Negro in Literature and Art*, „Annals of the American Academy of Political and Social Science”, September 1913, nr 49, s. 215; cyt. za: ibidem, s. 133.

<sup>229</sup> Bontinck, op. cit., s. 221, 442.

<sup>230</sup> Marchal, op. cit., s. 178.

<sup>231</sup> „L'Indépendance Belge”, 1 listopada 1889; cyt. za: ibidem, s. 180.

<sup>232</sup> „Boston Herald”, 17 listopada 1889; cyt. za: Franklin, op. cit., s. 181-182.

<sup>233</sup> Ibidem.

<sup>234</sup> Ibidem.

<sup>235</sup> George Washington Williams, *A Report on the Congo-State and Country to the President of the Republic of the United States of America*; cyt. za: ibidem, s. 265.

<sup>236</sup> J. Rose Troup, *With Stanley's Rear Column*, London 1890, s. 124; cyt. za: Norman Sherry, *Zachodni świat Conrada*, Gdańsk 1975, s. 67-68.

<sup>237</sup> Williams do Huntingtona, 14 kwietnia 1890; cyt. za: Franklin, op. cit., s. 191.

<sup>238</sup> George Washington Williams, *An Open Letter to His Serene Majesty Leopold II, King of the Belgians and Sovereign of the Independent State of Congo*, przedruk w: ibidem, s. 243-254.

<sup>239</sup> Ibidem.

<sup>240</sup> Williams, *A Report on the Congo-State...* op. cit., s. 277-279.

<sup>241</sup> Williams do Blaine'a, 15 września 1890, w: Bontinck, op. cit., s. 449.

<sup>242</sup> „New York Herald”, 14 kwietnia 1891.

<sup>243</sup> Huntington do Mackinnona, 20 września 1890; cyt. za: Franklin, op. cit., s. 208.

<sup>244</sup> Vivian do lorda Salisbury, 4 kwietnia 1891; cyt. za: ibidem, s. 210.

<sup>245</sup> Bontinck, op. cit., s. 448.

<sup>246</sup> „Journal de Bruxelles”, 12, 13, 14 czerwca 1891; cyt. za: Franklin, op. cit., s. 211-212.

<sup>247</sup> „La Réforme”, 15 czerwca 1891; cyt. za: Marchal, op. cit., s. 195.

<sup>248</sup> Franklin, op. cit., s. 213.

<sup>249</sup> Gosselin do lorda Salisbury, 19 lipca 1891; cyt. za: ibidem, s. 215.

<sup>250</sup> S.J.S. Cooley, *Britain and the Congo Question: 1885-1913*, London 1968, s. 36.

<sup>251</sup> Grenfell do Baynesa, 23 czerwca 1890; cyt. za: Franklin, op. cit., s. 194.

## 8. „Gdzie przykazań brak dziesięciu”

<sup>252</sup> Zob. liczne artykuły w „La Belgique Coloniale”, szczególnie z 18 grudnia 1897, s. 607; 28 sierpnia 1898, s. 411.

<sup>253</sup> Aronson, op. cit., s. 141-142.

<sup>254</sup> L.H. Gann, Peter Duignan (eds), *The Rulers of Belgian Africa 1884-1914*, Princeton University Press, Princeton 1979, s. 106.

<sup>255</sup> Louis Leclercq, *Les carnets de campagne de Louis Leclercq. Étude de mentalité d'un colonial belge*, ed. Pierre Salmon, „Revue de l'Université de Bruxelles”, Nouvelle Série 3, February-April 1970, s. 284-285.

<sup>256</sup> Herman Obdeijn, *The New Africa Trading Company and the Struggle for Import Duties in the Congo Free State 1886-1894*, „African Economic History” 1983, nr 12, s. 202.

<sup>257</sup> Leopold do Beernaerta, 19 czerwca 1891; cyt. za: Van Der Smissen, op. cit., t. 2, s. 212.

<sup>258</sup> „New York American”, 11 grudnia 1906.

<sup>259</sup> Marchal, op. cit., t. 1, s. 212.

<sup>260</sup> Constant De Deken, *Deux Ans au Congo*, Antwerp 1902, s. 72 (przypis); cyt. za: William J. Samarin, *The Black Man's Burden: African Colonial Labor on the Congo and Ubangi Rivers, 1880-1900*, Boulder, CO 1989, s. 118.

<sup>261</sup> Léopold Courouble, *En Plein Soleil: Les Maisons de Juge - La Voyage à Bankana*, Brussels 1930, s. 77, 83.

<sup>262</sup> Samarin, op. cit., s. 120.

<sup>263</sup> Edmond Picard, *En Congolie*, Brussels 1896, s. 96-97.

<sup>264</sup> Marchal, op. cit., t. 1, s. 202.

<sup>265</sup> Jules Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II: L'Histoire du Congo 1900-1910*, Paris 1996, t. 2, s. 317.

<sup>266</sup> Ibidem, s. 325-326. Opowieść Lefranka została przedrukowana w belgijskiej gazecie „L'Express de Liège”, 1 czerwca 1908, a także przez Towarzystwo na rzecz Reform w Kongu.

<sup>267</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 318.

<sup>268</sup> Primo Levi we wstępie do swej książki *Se questo è un uomo*, Torino 1976.

<sup>269</sup> Gitta Sereny, *W stronę ciemności: rozmowy z komendantem Treblinki*, Warszawa 2002, s. 174.

<sup>270</sup> Jadwiga Bezwińska, Danuta Czech, *Auschwitz w oczach SS: Rudolf Höss, Pery Broad, Johann Paul Kremer*, Oświęcim 2011, s. 152.

<sup>271</sup> Raoul de Premorel, *Kassai: The Story of Raoul de Premorel, African Trader*, ed. Reginald Ray Stuart, Stockton, CA 1975, s. 63.

<sup>272</sup> Zob. Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 2, s. 116; idem, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 39.

<sup>273</sup> Georges Bricusse, *Les carnets de campagne de Georges Bricusse (6 février 1894-18 juillet 1896)*, ed. Pierre Salmon, Brussels 1966, s. 85.

<sup>274</sup> Gann, Duignan, op. cit., s. 79.

<sup>275</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 354.

<sup>276</sup> Najlepsze omówienie zob. A. Isaacman, Jan Vansina. *African Initiatives and Resistance in Central Africa, 1880-1914*, w: Adu A. Boahen (ed.), *General History of Africa*, Vol. II, Paris 1985.

<sup>277</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 27-28; F. Flament et al., *La Force Publique de sa naissance à 1914: Participation des militaires à l'histoire des premières années du Congo*, Brussels 1932, s. 182-183.

<sup>278</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 323.

<sup>279</sup> Karl Theodor Andersson, 28 grudnia 1893, w: *Missionsförbundet*, 1894, s. 83.

<sup>280</sup> C.N. Börrisson, 2 lutego 1894, w: *Missionsförbundet*, 1894, s. 132-134.

<sup>281</sup> Ibidem.

<sup>282</sup> Sigbert Axelson, *Culture Confrontation in the Lower Congo: From the Old Congo Kingdom to the Congo Independent State with Special Reference to the Swedish Missionaries in the 1880s and 1890s*, Falköping 1970, s. 259-260; Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 320-321.

<sup>283</sup> Roger Casement, *The Congo Report*, w: Peter Singleton-Gates, Maurice Girodias (eds), *The Black Diaries: An Account of Roger Casement's Life and Times with a Collection of his Diaries and Public Writings*, New York 1959, s. 166.

<sup>284</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 373.

<sup>285</sup> A. Van Zandijcke, *Pages d'Histoire du Kasayi*, Namur 1953, s. 182.

<sup>286</sup> Guy de Boeck, *Les Révoltes de la Force Publique sous Léopold II, Congo 1895-1908*, Brussels 1987, s. 104, 125. Zob. też: Flament, op. cit.; Van Zandijcke, op. cit.; a także skrócony opis w: Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 372-376.

<sup>287</sup> Flament, op. cit., s. 417. Najlepszy opis tego powstania znajduje się u de Boeck.

<sup>288</sup> Wszystko, o czym mówi ksiądz Achte, zob. w: de Boeck, op. cit., s. 224-228. De Boeck dotarł do cennych materiałów źródłowych, znanych wcześniej tylko w skróconej wersji.

<sup>289</sup> Taki pogląd wyraził w swej książce de Boeck, op. cit.

<sup>290</sup> Daniel Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, Brussels 1986, s. 43.

<sup>291</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 216.

<sup>292</sup> Ibidem, s. 224.

<sup>293</sup> Ibidem, s. 227.

<sup>294</sup> Ibidem, s. 231.

<sup>295</sup> Ibidem, rozdział 14.

<sup>296</sup> Edgar Canisius, *A Campaign Amongst Cannibals*, London 1903, s. 250-256.

<sup>297</sup> Leopold do Van Eetvelde'a, 27 kwietnia 1890; cyt. za: Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 2, s. 209. Na temat roli katolickich misjonarzy w Kongu zob. ibidem, rozdział V.

<sup>298</sup> Okólnik gubernatora z 4 czerwca 1890; cyt. za: ibidem, t. 2, s. 177.

<sup>299</sup> *Het H. Misoffer. Tijdschrift van de Norbertijner Missien*, 1889, s. 226; cyt. za: Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 2, s. 298.

<sup>300</sup> Ibidem, s. 181-182.

<sup>301</sup> Ibidem, s. 179.

<sup>302</sup> Ibidem, s. 221.

<sup>303</sup> Ludwig Bauer, *Leopold the Unloved: King of the Belgians and of Wealth*, Boston 1935, s. 216.

<sup>304</sup> Daye, op. cit., s. 399.

<sup>305</sup> O'Connor, op. cit., s. 346.

<sup>306</sup> Gann, Duignan, *The Rulers of Belgian Africa...* op. cit., s. 62-63.

<sup>307</sup> Lagergren, s. 195.

<sup>308</sup> Slade, op. cit., s. 116.

<sup>309</sup> Najważniejsze źródła do biografii Roma (wszystkie mniej lub bardziej hagiograficzne) to: *Biographie coloniale belge*, Vol. 2, kolekcje 822-826; Édouard Janssens, Albert Cateuax, *Les Belges au Congo*, Antwerp 1907-1912, t. 1, s. 125-132 oraz t. 2, s. 197-200; Adolphe Lejeune-Choquet, *Histoire militaire du Congo: explorations, expéditions, opérations de guerre, combats et faits militaires*, Brussels 1906, s. 114-126; „Bulletin de l'Association des Vétérans coloniaux”, June 1946, s. 3-5; Sidney Langford Hinde, *The Fall of the Congo Arabs*, New York 1969 (reprint wydania z 1897), s. 232, 235, 244-245; a także nieopublikowane *Notes. Mes Services au Congo de 1886 à 1908* autorstwa samego Roma. Pierwsze trzy, a także książka Nicolasa Arnolda (*À nos héros coloniaux morts pour la civilisation 1876-1908*, Brussels 1931), są przydatnym zbiorem faktów na temat karier wielu innych Europejczyków służących wówczas w Kongu.

<sup>310</sup> Janssens, Cateuax, op. cit., t. 2, s. 199-200.



<sup>311</sup> Lejeune-Choquet, op. cit., s. 123-124.

<sup>312</sup> Albert Chapaux, *Le Congo*, Brussels 1894, s. 470.

<sup>313</sup> Joseph Rudyard Kipling, *Mandalay*, przeł. Maciej Słomczyński, w: Henryk Krzeczkowski, Jerzy S. Sito, Juliusz Żuławski (red.), *Poeci języka angielskiego*, t. 3, Warszawa 1974, s. 65.

<sup>314</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 210. Zob. Gann, Duignan, op. cit., s. 68, gdzie podana jest podobna liczba, ale w odniesieniu tylko do wojskowych, zmarłych przed 1906 rokiem.

<sup>315</sup> Picard, *En Congolie*, s. 145-146.

<sup>316</sup> L. Dieu, *Dans la brousse congolaise*, Liège 1946, s. 59-60; cyt. za: Slade, op. cit., s. 72.

## 9. Spotykając pana Kurtza

<sup>317</sup> Joseph Conrad, *A Personal Record*, London 1912, s. 13.

<sup>318</sup> Conrad, *Geografia a niektórzy odkrywcy*, op. cit., s. 225.

<sup>319</sup> Samuel Lapsley, *Life and Letters of Samuel Norvell Lapsley: Missionary to the Congo Valley, West Africa 1866-1892*, Richmond, VA 1893, s. 83. Nie wspomina o tym jednak większość biografów Conrada.

<sup>320</sup> Edward Garnett, *Introduction*, w: idem, (ed.), *Letters from Conrad 1895-1924*, London 1928, s. XII.

<sup>321</sup> Joseph Conrad, *Dziennik kongijski*, w: idem, *Ostatnie szkice*, op. cit., s. 37.

<sup>322</sup> Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, Kraków 2000, s. 38-39.

<sup>323</sup> Ibidem, s. 10.

<sup>324</sup> Ibidem, s. 65.

<sup>325</sup> Joseph Conrad w nocy autorskiej przed *Youth: A Narrative; and Two Other Stories*, London 1921, w: idem, *Heart of Darkness: An Authoritative Text; Backgrounds and Sources; Criticisms*, ed. Robert Kimbrough, New York 1988, s. 4.

<sup>326</sup> Conrad, *Jądro ciemności*, op. cit., s. 18.

<sup>327</sup> Ibidem, s. 23.

<sup>328</sup> Ibidem, s. 23.

<sup>329</sup> Joseph Conrad, *Congo Diary and Other Uncollected Pieces*, ed. Zdzisław Najder, New York 1978.

<sup>330</sup> Conrad, *Jądro ciemności*, op. cit., s. 23.

<sup>331</sup> Ibidem, s. 21.

<sup>332</sup> Ibidem, s. 28.

<sup>333</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 284.

<sup>334</sup> „Times of London”, 8 grudnia 1892; cyt. za: Sherry, op. cit., s. 120.

<sup>335</sup> E.J. Glave, „The Century Magazine”, September 1897, s. 706.

<sup>336</sup> Conrad, *Jądro ciemności*, op. cit., s. 8-9.

<sup>337</sup> Ibidem, s. 12.

<sup>338</sup> Ibidem, s. 6.

<sup>339</sup> Frances B. Singh, *The Colonialistic Bias of Heart of Darkness*, „Conradiana” 1978, 10.

<sup>340</sup> Mark Twain, *More Tramps Abroad*, London 1897, s. 137-138.

<sup>341</sup> Conrad, *Jądro ciemności*, op. cit., s. 75.

<sup>342</sup> Chinua Achebe, *An Image of Africa: Racism in Conrad's 'Heart of Darkness'*, „Massachusetts Review” 1977, 18; reprint w: Conrad, *Heart of Darkness*, op. cit., s. 261.

<sup>343</sup> Conrad, *Jądro ciemności*, op. cit., s. 14-15.

<sup>344</sup> Joseph Conrad, Ford Madox Ford, *Spadkobiercy. Opowieść ekstrawagancka*, Warszawa 1974, s. 123.

<sup>345</sup> Conrad, *Jądro ciemności*, op. cit., s. 56.

<sup>346</sup> Ibidem, s. 56.

<sup>347</sup> Musée Royal de l’Afrique Centrale w Tervuren.

<sup>348</sup> Léon Rom, *La Nègre du Congo*, Brussels 1899, s. 5-6.

<sup>349</sup> Ibidem, s. 84.

<sup>350</sup> Conrad, *Jądro ciemności*, s. 63.

<sup>351</sup> Leclercq, op. cit., s. 264.

<sup>352</sup> Wahis do van Eetvelde’a, 2 listopada 1896; cyt. za: Marchal, *L’État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 298.

## 10. Drzewo, które płacze

<sup>353</sup> Tennant do Stanleya, 6 i 9 maja 1890; cyt. za: McLynn, *Stanley: Sorcerer's Apprentice*, s. 328-329.

<sup>354</sup> Wpis w dzienniku Stanleya z 9 września 1890; cyt. za: ibidem, s. 334.

<sup>355</sup> Ibidem.

<sup>356</sup> Ibidem, s. 376, 337.

<sup>357</sup> Najlepszą pracą na temat Shepparda jest napisana przez Williama E. Phippsa *The Sheppards and Lapsley: Pioneer Presbyterians in the Congo*, Louisville, KY 1991. Zob. też: Larryetta M. Schall, *William H. Sheppard: Fighter for African Rights*, w: Keith L. Schall (ed.), *Stony the Road: Chapters in the History of Hampton Institute*, Charlottesville 1977; Stanley Shaloff, *Reform in Leopold's Congo*, Richmond, VA 1970; William H. Sheppard, *Presbyterian Pioneers in Congo*, Richmond, VA 1916; Walter L. Williams, *William Henry Sheppard, Afro-American Missionary in the Congo, 1890-1910*, w: Sylvia M. Jacobs (ed.), *Black Americans and the Missionary Movement in Africa*, Westport, CT 1982.

<sup>358</sup> Shaloff, op. cit., s. 15.

<sup>359</sup> „The Missionary”, vol. XXVI, nr 6, s. 219-220.

<sup>360</sup> Samuel Lapsley, op. cit., s. 44.

<sup>361</sup> List Lapsleya do „Ciotki Elsie”; cyt. za: ibidem, s. 1891.

<sup>362</sup> Ibidem, s. 83, 94, 108.

<sup>363</sup> Schall, *William H. Sheppard...* op. cit., s. 114-115.

<sup>364</sup> Sheppard do dra S.H. Henkela, 5 stycznia 1892; cyt. za: Shaloff, op. cit., s. 29.

<sup>365</sup> William H. Sheppard, *Yesterday, To-day and To-morrow in Africa*, „Southern Workman”, August 1910, s. 445.

<sup>366</sup> Walter Williams, *William Henry Sheppard*, s. 138.

<sup>367</sup> S.C. Gordon do Sheppard; cyt. za: Shaloff, op. cit., s. 30.

<sup>368</sup> Ernest Stache do Rady Zagranicznych Misji Kościoła Prezbiteriańskiego, 7 sierpnia 1892; cyt. za: ibidem, s. 32.

<sup>369</sup> Phipps, op. cit., s. 118; Robert Benedetto (ed.), *Presbyterian Reformers in Central Africa: a Documentary Account of the American Presbyterian Congo Mission and the Human Rights Struggle in the Congo, 1890-1918*, Leiden 1996, s. 30, 423-425.

<sup>370</sup> Sheppard, „Southern Workman”, December 1893, s. 184-187.

<sup>371</sup> Sheppard, *African Handicrafts and Superstitions*, „Southern Workman”, September 1921, s. 403-404.

<sup>372</sup> Jan Vansina, *The Children of Woot: A History of the Kuba Peoples*, Madison 1978, s. 3.

<sup>373</sup> Zob. Shaloff, op. cit., s. 45.

<sup>374</sup> *The Children of Woot: A History of the Kuba Peoples* Jana Vansiny jest najlepszym opracowaniem naukowym na temat ludu Kuba.

<sup>375</sup> Sheppard, *Presbyterian Pioneers in Congo*, op. cit., s. 137.

<sup>376</sup> Ibidem, s. 119.

<sup>377</sup> Liebrechts, op. cit., s. 37-38.

<sup>378</sup> Robert Harms, *The World ABIR Made: The Maringa-Lopori Basin, 1885-1903*, „African Economic History” 1983, 22, s. 132.

<sup>379</sup> Ibidem, s. 130-131.

<sup>380</sup> Louis Chaltin, dziennik, 16 lipca 1892; cyt. za: David Northrup, *Beyond the Bend in the River: African Labor in Eastern Zaire, 1865-1940*, Athens, Ohio 1988, s. 51.

<sup>381</sup> Pulteney do Foreign Office, 15 września 1899, FO 10/731, nr 5; cyt. za: Cooney, op. cit., s. 50-51 (przypisy).

<sup>382</sup> Bricusse, op. cit., s. 81.

<sup>383</sup> Albert Donny et. al. *Manuel du voyageur et du résident au Congo*, Brussels 1897-1901, t. 1, s. 139-140.

<sup>384</sup> Harms, op. cit., s. 132.

<sup>385</sup> Daniel Vangroenweghe, *Le Red Rubber de l'Anvernoise, 1899-1900, Documents inédits*, „Annales Aequatoria” 1985, 6, s. 57.

<sup>386</sup> Robert Harms, *The End of Red Rubber: A Reassessment*, „Journal of African History” 1975, XVI, nr 1, s. 81.

<sup>387</sup> Ibidem, s. 79.

<sup>388</sup> Harms, *The World ABIR Made*, op. cit., s. 134.

<sup>389</sup> Canisius, op. cit., s. 267.

<sup>390</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 106-107.

<sup>391</sup> Dziennik Sheppard, 14 września 1899.

<sup>392</sup> Sheppard, „Missionary”, February 1900, s. 61.

<sup>393</sup> Charles Lemaire, *Belgique et Congo*, Gand 1908, s. 64.

<sup>394</sup> Ellsworth E. Faris, dziennik, 23 sierpnia 1899; cyt. za: Morel, op. cit., s. 248.

<sup>395</sup> Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 234.

<sup>396</sup> Debata w parlamencie 28 lutego 1905; cyt. za: ibidem, s. 288.

<sup>397</sup> E. Boelaert, *Ntange*, „Aequatoria” XV, nr 2, s. 58-59.

<sup>398</sup> Bricusse, op. cit., s. 56.

<sup>399</sup> Guy Burrows, *The Curse of Central Africa*, London 1903, s. XVIII-XIX.

<sup>400</sup> De Premorel, op. cit., s. 64.

<sup>401</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 85.

<sup>402</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 291.

<sup>403</sup> Jan Breman, *Primitive Racism in a Colonial Setting*, w: Jan Breman (ed.), *Imperial Monkey Business: Racial Supremacy in Social Darwinist Theory and Colonial Practice*, Amsterdam 1990, s. 119-120.

## 11. Tajne towarzystwo morderców

<sup>404</sup> Bauer, op. cit., s. 169.

<sup>405</sup> Rozmowa miała miejsce 30 sierpnia 1892; cyt. za: Stengers, *The Congo Free State...* op. cit., s. 286.

<sup>406</sup> Emerson, op. cit., s. 193-194.

<sup>407</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t 1, s. 353.

<sup>408</sup> Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 87.

<sup>409</sup> Zob. Stinglhamber, Dresse, op. cit., s. 38-50; Baron E. Carton de Wiart, *Léopold II: Souvenirs de dernières années 1901-1909*, Brussels 1944, s. 44, 123-130.

<sup>410</sup> Stinglhamber, Dresse, op. cit., s. 88.

<sup>411</sup> Emerson, op. cit., s. 221.

<sup>412</sup> Sabakinu Kivilu, *La région de Matadi dans les années 1880*, w: *Le Centenaire de l'État Indépendant du Congo: Recueil d'études*, Brussels 1988, s. 324.

<sup>413</sup> René J. Cornet, *La Bataille du Rail*, Brussels 1958, s. 376.

<sup>414</sup> Leopold do Thyssa, 31 maja 1888; cyt. za: ibidem, s. 236.

<sup>415</sup> Ibidem, s. 236.

<sup>416</sup> Axelson, op. cit., s. 204.

<sup>417</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 143.

<sup>418</sup> Cornet, op. cit., s. 236.

<sup>419</sup> Gann, Duignan, op. cit., s. 213.

<sup>420</sup> Emile Wangermée, dziennik, 31 stycznia 1899; cyt. za: Lagergren, op. cit., s. 294 (przypisy).

<sup>421</sup> Ruth Slade, *English-Speaking Missions in the Congo Independent State*



(1878-1908), Brussels 1959, s. 251.

<sup>422</sup> Axelson, op. cit., s. 259-260.

<sup>423</sup> Slade, *English-Speaking Missions...* op. cit., s. 255.

<sup>424</sup> E.D. Morel, *Red Rubber: The Story of Rubber Slave Trade Which Flourished on the Congo for Twenty Years, 1890-1910*, Manchester 1919, s. 43-44.

<sup>425</sup> Fox Bourne do Morela, 21 listopada 1903; cyt. za: William Roger Louis, *Roger Casement and the Congo*, „Journal of African History” 1964, V, nr 1, s. 99 (przypis).

<sup>426</sup> Lionel Declé w „Pall Mall Gazette”, 11 czerwca 1896; cyt. za: William Roger Louis, *The Stokes Affair and the Origins of the Anti-Congo Campaign, 1895-1896*, „Revue Belge de Philologie et d’Histoire” 1965, 43, s. 575.

<sup>427</sup> 21 września 1896; cyt. za: Lagergren, op. cit., s. 197 (przypisy).

<sup>428</sup> Louis Graide, *Les Belges au Congo*; cyt. za: F. AlexisM., *Soldats et Missionnaires au Congo de 1891 à 1894*, Lille 1896.

<sup>429</sup> Marchal, *L’État Libre du Congo...* op. cit., t. 2, s. 78-80; Jo Gérard, *Le Pharaon des Belges: Léopold II*, Brussels 1984, s. 181; Hans Werner Debrunner, *Presence and Prestige: Africans in Europe. A History of Africans in Europe before 1918*, Basel 1979, s. 340-342; „Le Mouvement Geographique”, 27 czerwca 1897 i 18 lipca 1897; „La Belgique Coloniale”, 4 lipca 1897 i 5 września 1897.

<sup>430</sup> Wiersz M.E. Buhlera został wydrukowany w „New York Timesie” 19 września 1908 roku. Zob. też Philips Verner Bradford, Harvey Blume, *Ota Benga: The Pygmy in the Zoo*, New York 1992.

<sup>431</sup> „La Belgique Coloniale”, 4 lipca 1897, s. 314.

<sup>432</sup> Ibidem.

<sup>433</sup> Ibidem, 5 września 1897, s. 423.

<sup>434</sup> „The Belgians in Africa”, 22 lutego 1894.

<sup>435</sup> Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 27.

<sup>436</sup> Ibidem, s. 28-29.

<sup>437</sup> Ibidem, s. 36.

<sup>438</sup> Ibidem, s. 29-40.

<sup>439</sup> Ibidem, s. 36.

<sup>440</sup> Gann, Duignan, op. cit., s. 149.

<sup>441</sup> Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 41-42.

## 12. Dawid i Goliat

<sup>442</sup> Ibidem, s. 47-48.

<sup>443</sup> Ibidem, s. 48.

<sup>444</sup> Ibidem, s. 5.

<sup>445</sup> Ibidem, s. 49.

<sup>446</sup> Ibidem, s. 30.

<sup>447</sup> Morel, *Red Rubber...* op. cit., s. 8 (przypisy).

<sup>448</sup> „West African Mail”, 13 stycznia 1905, s. 996.

<sup>449</sup> „Special Congo Supplement to the West African Mail”, January 1905.

<sup>450</sup> E.D. Morel, *King Leopold's Rule in Africa*, London 1904, s. 31.

<sup>451</sup> „Official Organ of the Congo Reform Association”, September-November 1908.

<sup>452</sup> Morel, *Red Rubber...* op. cit., s. 24.

<sup>453</sup> Ibidem, s. 25.

<sup>454</sup> Ibidem, s. 56.

<sup>455</sup> Ibidem, s. 47.

<sup>456</sup> Ibidem, s. 57.

<sup>457</sup> „Official Organ of the Congo Reform Association”, January 1906, s. 15.

<sup>458</sup> Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 115.

<sup>459</sup> Ibidem, s. 128.

<sup>460</sup> Ibidem, s. 129.

<sup>461</sup> Canisius, op. cit., s. 75-80.

<sup>462</sup> Ibidem, s. 99.

<sup>463</sup> Ibidem, s. 92-93.

<sup>464</sup> Ibidem, s. 113.

<sup>465</sup> Ibidem, s. 142.

<sup>466</sup> Ibidem.

<sup>467</sup> Rezolucja z 20 maja 1903; cyt. za: Catherine Ann Cline, *E.D. Morel 1873-1924: The Strategies of Protest*, Belfast 1980, s. 37.

<sup>468</sup> Georges Lorand, „La Reforme”, 14 września 1896; cyt. za: Lagergren, op. cit., s. 199 (przypis).

### 13. Włamując się do jaskini zbrodni

<sup>469</sup> PRO HO 161; cyt. za: B.L. Reid, *The Lives of Roger Casement*, New Haven 1976, s. 42. Zob też PRO FO 629/10, 11, 12.

<sup>470</sup> Najlepszymi biografiami Casementa są prace B.L. Reida (op. cit.) oraz Briana Inglisa (*Roger Casement*, London 1973), który poświęca wiele uwagi działaniom Casementa w Afryce, ale nie odnosi się do źródeł.

<sup>471</sup> Stephen Gwynn, *Experiences of a Literary Man*, London 1926; cyt. za: Reid, op. cit., s. 63.

<sup>472</sup> W. Holan Bentley; cyt. za: Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 276.

<sup>473</sup> Dziennik Stanleya, 15 kwietnia 1887; cyt. za: McLynn, *Stanley: Sorcerer's Apprentice*, op. cit., s. 171.

<sup>474</sup> Ibidem, s. 174-175.

<sup>475</sup> Camille Janssen, „Bulletin de la Société Belge d'Études Coloniales” 1912, s. 717.

<sup>476</sup> Casement do Foreign Office, 14 stycznia 1904, PRO FO 10/807; cyt. za: Roger

Casement, *Le Rapport Casement*, eds Daniel Vangroenweghe, Jean-Luc Vellut, Louvain, 1985.

<sup>477</sup> Joseph Conrad, *Dziennik kongijski*, op. cit., s. 5.

<sup>478</sup> Ernest Hambloch, *British Consul: Memories of Thirty Years' Service in Europe and Brazil*, London 1938, s. 71; cyt. za: Reid, op. cit., s. 5 (przypisy).

<sup>479</sup> Tak wynika z listu Conrada do Cunninghame' o Grahama z 26 grudnia 1903; zob. Reid, op. cit., s. 14.

<sup>480</sup> Conrad do Johna Quinna, 24 maja 1916; cyt. za: Frederick Karl, *Joseph Conrad: The Three Lives*, New York 1979, s. 286. Conrad, często niezbyt precyzyjny w kwestii dat, określa czas tego spotkania na 1896 rok i błąd ten powtarzają niektórzy jego biografowie. To jednak niemożliwe, gdyż ten rok Casement spędził w Afryce. Jane Ford (*An African Encounter, a British Traitor and Heart of Darkness*, „Conradiana” 1995, 37, nr 2, s. 125) uważa, że do spotkania doszło w 1898 roku - tuż przed tym, jak Conrad zaczął pisać *Jądro ciemności*.

<sup>481</sup> Conrad do Cunninghame'a Grahama, 26 grudnia 1903; cyt. za: Joseph Conrad, *Listy*, opr. Zdzisław Najder, Warszawa 1968, s. 226.

<sup>482</sup> Casement do Foxa Bourne'a, 2 lipca 1894; cyt. za: Reid, op. cit., s. 20.

<sup>483</sup> Singleton-Gates, Girodias, op. cit., s. 91.

<sup>484</sup> Louis, *Roger Casement and the Congo*, op. cit., s. 103.

<sup>485</sup> Inglis, op. cit., s. 41.

<sup>486</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* t. 1, s. 187.

<sup>487</sup> Inglis, op. cit., s. 382-383.

<sup>488</sup> Roger Casement, *The 1903 Diary*, w: Singleton-Gates, Girodias, *The Black Diaries...* op. cit., 17, 19, 30 kwietnia 1903, s. 121, 123, 125.

<sup>489</sup> Ibidem, 13 i 20 marca, 8 kwietnia, 12 maja 1903, s. 111, 115, 119, 129.

<sup>490</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 189-190.

<sup>491</sup> Ibidem, s. 192; Inglis, op. cit., s. 69.

<sup>492</sup> Casement do Poultneya Bigelowa, 13 grudnia 1903; cyt. za: Reid, op. cit., s. 53.

<sup>493</sup> Casement, *The 1903 Diary*, op. cit., 2 lipca 1903, s. 145.

<sup>494</sup> Ibidem, 8, 9, 10, 13 lipca 1903, s. 147, 149.

<sup>495</sup> Ibidem, 11 czerwca 1903, s. 137.

<sup>496</sup> Casement do Fuchsa, 15 września 1903; cyt. za: Casement, *Le Rapport Casement*, op. cit., s. V.

<sup>497</sup> Casement do Lansdowne'a, 15-16 września 1903, FO 10/805; cyt. za: Louis, *Roger Casement and the Congo*, op. cit., s. 107.

<sup>498</sup> Lagergren, op. cit., s. 323-329.

<sup>499</sup> Casement, *The 1903 Diary*, op. cit., s. 135, 153, 155, 157, 159, 163, 165.

<sup>500</sup> Casement, *The Congo Report*, op. cit., s. 114.

<sup>501</sup> Phipps do Lansdowne'a, 27 lutego 1904; cyt. za: Louis, *Roger Casement and the Congo*, op. cit., s. 112-113.

<sup>502</sup> Phipps do Barringtona, 5 lutego 1904; cyt. za: ibidem, s. 111 (przypisy).

<sup>503</sup> Casement, *The Congo Report*, op. cit., s. 112.

<sup>504</sup> „Special Congo Supplement to the West African Mail”, czerwiec 1904.

<sup>505</sup> Casement, *The 1903 Diary*, op. cit., 1 i 16 grudnia 1903, s. 183, 185.

<sup>506</sup> Casement do Nightingale’a, 8 września 1904; cyt. za: Reid, op. cit., s. 65.

<sup>507</sup> Casement, *The 1903 Diary*, op. cit., 10 grudnia 1903, s. 183.

<sup>508</sup> Morel, *E.D. Morel’s History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 160-162.

<sup>509</sup> Casement, *The 1903 Diary*, op. cit., 5 stycznia 1904, s. 189.

<sup>510</sup> Morel, *E.D. Morel’s History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 163-164.

<sup>511</sup> *Ibidem*, s. 164-165.

<sup>512</sup> *Ibidem*, s. 165.

<sup>513</sup> Inglis, op. cit., s. 92.

<sup>514</sup> Morel do Holta, 12 lipca 1910; cyt. za: Bernard Porter, *Critics of Empire: British Radical Attitudes to Colonialism in Africa 1895-1914*, New York 1968, s. 267.

<sup>515</sup> Casement do Morela, 4 lipca 1906; cyt. za: Louis, *Roger Casement and the Congo*, op. cit., s. 119.

## **14. „Jego czyny pełnym światłem zalej”**

<sup>516</sup> Morel do Guthriego, 25 lutego 1910; cyt. za: Morel, *E.D. Morel’s History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 195 (przypisy).

<sup>517</sup> Morel do Brabnera, 14 września 1908; cyt. za: ibidem, s. 211.

<sup>518</sup> Holt do Morela; cyt. za: W.S. Adams, *Edwardian Portraits*, London 1957, s. 179.

<sup>519</sup> „West African Mail”, 23 września 1904, s. 601.

<sup>520</sup> Morel do Twaina; cyt. za: Hunt Hawkins, *Mark Twain's Involvement with the Congo Reform Movement: 'A Fury of Generous Indignation'*, „The New England Quarterly”, June 1978, s. 167.

<sup>521</sup> Vansina, *The Children of Woot...* op. cit., s. 144, 343; Vellut, op. cit., s. 701.

<sup>522</sup> Morel do Holta, 1910; cyt. za: Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 217.

<sup>523</sup> Furley, op. cit., s. 141-142.

<sup>524</sup> James Morris, *Heave's Command: An Imperial Progress*, New York 1973, s. 39.

<sup>525</sup> A.J.P. Taylor, *The Trouble Makers: Dissent over Foreign Policy 1792-1939*, London 1957, s. 133.

<sup>526</sup> Morel, *King Leopold's Rule in Africa*, op. cit., t. 1, s. 261.

<sup>527</sup> Ibidem, s. X.

<sup>528</sup> Ibidem, s. XVII.

<sup>529</sup> Cookey, op. cit., s. 149.

<sup>530</sup> William Watson, *Leopold of Belgium*, „West African Mail”, 21 września 1906, s. 608. W nieco zmienionej wersji wydrukował go także „African Mail”, 26 listopada 1909, s. 80.



<sup>531</sup> Notatka Morela z 14 czerwca 1907, w: Cline, op. cit., s. 58.

<sup>532</sup> Taką liczbę podają *Inventaire des microfilms des Papiers Morel, series A, B, E, F, G, H, I, se rapportant à l'histoire du Congo et conservés à la British Library of Political and Economic Science*, Brussels 1961.

<sup>533</sup> Herbert Strang, *Samba: a Story of the Rubber Slaves of the Congo*, London 1906, s. VI.

<sup>534</sup> Morel do Cadbury'ego, październik 1906; cyt. za: Cline, op. cit., s. 54.

<sup>535</sup> John Harris w niepublikowanych wspomnieniach; cyt. za: William Roger Louis, *Sir John Harris and 'Colonial Trusteeship'*, „Bulletin des Séances de l'Académie Royale de Sciences d'Outre Mer” 1968, 3, s. 833.

<sup>536</sup> Wahis do Charlesa Smetsa, 26 stycznia 1906, De Ryck Collection.

<sup>537</sup> Weber do Naura, 16 sierpnia 1906, ibidem.

<sup>538</sup> Jeśli nie zostało podane inaczej, wszystkie informacje na temat Shanu pochodzą z: Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 142, 167-168, 191, 231, 296-302, 330-332; a także z książki Charles'a Lemaire'a, *Au Congo: Comment les noirs travaillent*, Brussels 1895, s. 42-44; oraz *Biographie Coloniale Belge*, op. cit., Vol. 4, kol. 838-839.

<sup>539</sup> „La Mouvement Géographique”, 30 września 1894, s. 85.

<sup>540</sup> „La Chronique Coloniale et Financière”, 11 grudnia 1904, s. 1.

<sup>541</sup> Memorandum dla Albrechta Gohra, 27 lipca 1900; cyt. za: Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 297.

<sup>542</sup> Morel do Shanu, 4 września 1903; cyt. za: ibidem, s. 231.

<sup>543</sup> Na temat sprawy Caudrona zob. Morel, *King Léopold's Rule in Africa*, op. cit.,

135-153.

<sup>544</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., s. 231.

<sup>545</sup> Morel, *King Léopold's Rule in Africa*, op. cit., s. 135.

<sup>546</sup> Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 156.

<sup>547</sup> Baroness De Vaughan, Paul Faure, *A Commoner Married a King*, New York 1937, s. 48.

<sup>548</sup> Ibidem, s. 51.

<sup>549</sup> Zob. Stinglhamber, Dresse, op. cit., s. 306.

<sup>550</sup> De Vaughan, Faure, op. cit., s. 123.

<sup>551</sup> Ibidem, s. 67.

<sup>552</sup> Leopold do Liebrechtsa, 31 stycznia 1899; cyt. za: Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 2, s. 96.

<sup>553</sup> Stinglhamber, Dresse, op. cit., s. 136.

<sup>554</sup> Ascherson, op. cit., s. 142.

## 15. Rozliczenie

<sup>555</sup> Marchal, *L'État Libre du Congo...* t. 1, s. 339.

<sup>556</sup> Lagergren, op. cit., s. 297.

<sup>557</sup> Z raportu Casementa, powtórzone przez Morela; cyt. za: ibidem, s. 288 i Marchal,

*E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., s. 197-198.

<sup>558</sup> „West African Mail”, 17 lutego 1905, s. 111.

<sup>559</sup> Przemówienie Sjöbloma w Londynie, 12 maja 1897; cyt. za: Morel, *Red Rubber...* op. cit., s. 43.

<sup>560</sup> Lagergren, op. cit., s. 121.

<sup>561</sup> Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 59.

<sup>562</sup> Charles Lemaire, *Charles Lemaire a l'Equateur: Son journal inedit, 1891-1895*, ed. Daniel Vangroenweghe, „Annales Aequatoria” 1986, 7, s. 18, 20, 23, 30, 36, 48.

<sup>563</sup> Louis Leclercq, op. cit., s. 244-445.

<sup>564</sup> Jacques wyróżnił się później w czasie pierwszej wojny światowej, a jego pomnik stoi dziś na głównym placu belgijskiego Diskmuide. Zob. Marchal, *L'État Libre du Congo...* op. cit., t. 1, s. 362.

<sup>565</sup> „West African Mail”, 16 marca 1906, s. 1219.

<sup>566</sup> P. Möller, *Tre Ar i Kongo*, Stockholm 1899, s. 234-235; cyt. za: Kivilu, op. cit., s. 338.

<sup>567</sup> Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 63.

<sup>568</sup> Canisius, op. cit., s. 170.

<sup>569</sup> William Morrison, list z Luebo, 15 października 1887, „The Misssionary”, Februar 1900, s. 67.

<sup>570</sup> Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 58.

<sup>571</sup> Samuel H. Nelson, *Colonialism in the Congo Basin 1880-1940*, Athens, OH 1994, s. 100.

<sup>572</sup> Harms, *The World ABIR Made...* op. cit., s. 134.

<sup>573</sup> McLynn, *Hearts of Darkness...* op. cit., s. 245.

<sup>574</sup> Ibidem, s. 238.

<sup>575</sup> Zob. na przykład Jean Stengers w: Morel, *Red Rubber...* op. cit., s. 255.

<sup>576</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 49.

<sup>577</sup> Casement, *The Congo Report*, op. cit., s. 140.

<sup>578</sup> Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 233.

<sup>579</sup> Léon Guebels, *Relation complète des travaux de la Commission Permanente pour la Protection des Indigènes au Congo Belge*, Elisabethville 1954, s. 196-197.

<sup>580</sup> Rozmowa autora, wrzesień 1995 roku.

<sup>581</sup> Jan Vansina, *Introduction*, w: Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 10.

<sup>582</sup> *La Question sociale au Congo: Rapport au comité du congrès colonial national*, Brussels 1924, s. 7.

<sup>583</sup> Ibidem, s. 101.

<sup>584</sup> Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 60.

<sup>585</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 26.

<sup>586</sup> Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 115.

<sup>587</sup> Michael Herr, *Dispatches*, New York 1977, s. 29.

## 16. „Dziennikarze nie dadzą panu żadnych pokwitowań”

<sup>588</sup> McLynn, *Stanley: Sorcerer's Apprentice*, op. cit., s. 405.

<sup>589</sup> Stanley, *The Autobiography...* op. cit., s. 515.

<sup>590</sup> Daniel Bersot we wstępie do swej książki *La vie au Congo: Sous la chicotte*, Geneva 1909.

<sup>591</sup> Liane Ranieri, *Les Relations entre l'État Indépendant du Congo et l'Italie*, Brussels 1959, s. 195.

<sup>592</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 12.

<sup>593</sup> „*La Vérité sur le Congo*”, Janvier 1905, s. 8.

<sup>594</sup> William Geoffrey Bouchard de Montmorency, Viscount Mountmorres, *The Congo Independent State: A Report on a Voyage of Enquiry*, London 1906, s. 99-100, 159.

<sup>595</sup> *Ibidem*, s. 105-106.

<sup>596</sup> John Weeks do Morela, 7 listopada 1904; cyt. za: „*West African Mail*”, 10 marca 1905, s. 1186.

<sup>597</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 304.

<sup>598</sup> „*Times*”, 3 lutego 1905; cyt. za: Bontinck, op. cit., s. 456.

<sup>599</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 316.

<sup>600</sup> Morel do Foxa Bourne'a, 18 października 1905; cyt. za: Cooney, op. cit., s. 143.

<sup>601</sup> Stinglhamber, Dresse, op. cit., s. 334-335.

<sup>602</sup> Jacques Willequet, *Le Congo Belge et la Weltpolitik (1894-1914)*, Brussels 1962, s. 109-113.

<sup>603</sup> Zob. Demetrius C. Boulger, *The Congo State is NOT a Slave State: a Reply to Mr. E.D. Morel's Pamphlet Entitled „The Congo Slave State”*, London 1903, s. 3.

<sup>604</sup> Rozmowa z Harrisonem, „Journal of Commerce”, 23 czerwca 1904.

<sup>605</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., s. 12-21.

<sup>606</sup> „Official Organ of the Congo Reform Association” 1909, nr 1, s. 64.

<sup>607</sup> Willequet, op. cit., s. 36.

<sup>608</sup> Ibidem, s. 150.

<sup>609</sup> „National-Zeitung”, 4 marca 1905; cyt. za: ibidem, s. 150-151.

<sup>610</sup> „National-Zeitung”, 30 maja 1905; cyt. za: ibidem, s. 152.

<sup>611</sup> „Münchener Allgemeine Zeitung”, 1 marca 1906; cyt. za: ibidem, s. 159-160.

<sup>612</sup> Von Steub do Davignona, 21 maja 1909; cyt. za: ibidem, s. 114 (przypisy).

<sup>613</sup> Von Steub do Davignona, 21 maja 1909; cyt. za: ibidem, s. 128.

<sup>614</sup> Von Steub do Davignona, 14 września 1909; cyt. za: ibidem, s. 130.

<sup>615</sup> Von Steub do Denyna, 8 października 1909; cyt. za: ibidem, s. 130.

<sup>616</sup> Na temat zaangażowania Marka Twaina w ruch na rzecz reform w Kongu zob. Hawkins, *Mark Twain's Involvement...* op. cit., s. 147-175.

<sup>617</sup> Booker T. Washington, *Tributes to Mark Twain*, „North American Review”, June 1910, 191, nr 655, s. 829; cyt. za: Shelley Fisher Fishkin, *Was Hugh Black?: Mark Twain and African-American Voices*, New York 1993, s. 106.

<sup>618</sup> Kowalsky do Leopolda, „New York American”, 11 grudnia 1906.

<sup>619</sup> Na temat zaangażowania Bookera T. Washingtona w ruch na rzecz reform w Kongu zob. Louis R. Harlan, *Booker T. Washington: The Wizard of Tuskegee 1901-1915*, New York 1983, s. 270-271; idem, *Booker T. Washington in Perspective: Essays of Louis R. Harlan*, ed. Raymond W. Smock, Jackson 1988, s. 75-77.

<sup>620</sup> Twain do Morela, ok. 12 stycznia 1906; cyt. za: Robert Wuliger, *Mark Twain on King Leopold's Soliloquy*, „American Literature”, May 1953, s. 236.

<sup>621</sup> Maxwell Geismar, *Mark Twain: An American Prophet*, Boston 1970, s. 222.

<sup>622</sup> Mark Twain, *Monolog króla Leopolda*, Warszawa 1964, s. 13.

<sup>623</sup> Ibidem, s. 43.

<sup>624</sup> Ibidem, s. 28

<sup>625</sup> Morgan do Morela, 6 października 1904; cyt. za: Joseph O. Baylen, *Senator John Tyler Morgan, E.D. Morel, and the Congo Reform Association*, „The Alabama Review”, April 1962, s. 117-132.

<sup>626</sup> „Congo News Letter”, April 1906; April 1907.

<sup>627</sup> „Official Organ of the Congo Reform Association”, April 1906, s. 10.

<sup>628</sup> Harris do Morela, 14 lutego 1906; cyt. za: Cookey, op. cit., s. 174.

<sup>629</sup> Philip C. Jessup, *Elihu Root, 1905-1937*, New York 1938, t. 2, s. 61-62.

<sup>630</sup> Lodge do Roosevelta, 6 lipca 1905; cyt. za: Jerome L. Sternstein, *King Leopold II, Senator Nelson W. Aldrich, and the Strange Beginnings of American Economic Penetration of the Congo*, „African Historical Studies II” 1969, nr 2, s. 192.

<sup>631</sup> Ibidem, s. 193.

<sup>632</sup> Wack do Leopolda; cyt. za: „New York American”, 13 grudnia 1906.

<sup>633</sup> *Probe novit summus Pontifex ea omnia, quae exagitata fuerunt contra Gubernium Status Congi Independentis seu Belgici, per aliquos missionarios protestantes anglicos (...)*. Kardynał Gotti do Gibbonsa, 24 listopada 1904; cyt. za: Ruth Slade, *English-Speaking Missions in the Congo Independent State (1878-1908)*, Brussels 1959, s. 310.

<sup>634</sup> Gibbons do Morela, 21 października 1904; cyt. za: Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 183.

<sup>635</sup> Zob. Frederick Starr, *The Truth About the Congo: 'The Chicago Tribune' Articles*, Chicago 1907, s. 91.

<sup>636</sup> „New York American”, 12 grudnia 1906.

<sup>637</sup> „San Francisco Call”, 15 stycznia 1911.

<sup>638</sup> „San Francisco Examiner”, 29 listopada 1911.

<sup>639</sup> „San Francisco Call”, 15 stycznia 1911.

<sup>640</sup> „San Francisco Bulletin”, 18 listopada 1914.

<sup>641</sup> Mayor E.E. Schmits, w: [Henry I. Kowalsky], *Speeches Made at Banquet*



*Tendered to Col. Henry I. Kowalsky by his Friends, January five, Nineteen-five, San Francisco 1905, s. 10.*

<sup>642</sup> Ibidem, s. 26.

<sup>643</sup> Ibidem, s. 40.

<sup>644</sup> De Cuvelier do Moncheura, 4 lutego 1905; cyt. za: Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 270.

<sup>645</sup> Nerincx do de Cuveliera, 11 lutego 1905; cyt. za: ibidem, s. 270.

<sup>646</sup> Moncheur do de Cuveliera, 19 lutego 1905; cyt. za: ibidem, s. 271.

<sup>647</sup> „New York American”, 10 grudnia 1906.

<sup>648</sup> Kowalsky do Leopolda, bez daty; cyt. za: „New York American”, 11 grudnia 1906.

<sup>649</sup> Ibidem, s. 272.

<sup>650</sup> „New York American”, 10 i 11 grudnia 1906.

<sup>651</sup> Ibidem, 10 grudnia 1906.

<sup>652</sup> Ibidem, 11 grudnia 1906.

<sup>653</sup> Kowalsky do Leopolda; cyt. za: „New York American”, 11 grudnia 1906.

<sup>654</sup> Na temat komisji śledczej zob. Congo Reform Association, *Evidence Laid Before the Congo Commission of Inquiry at Buvembu, Bolobo, Lulanga, Baringa, Bongandanga, Ikau, Bonginda, and Monsembe*, Liverpool 1905; Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit.; Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 111-122; Cookey, op. cit., s. 132-151.

<sup>655</sup> Arthur Conan Doyle, *The Crime of the Congo*, New York 1909, s. 75; E.D. Morel, „Penny Pictorial”, October 1907, artykuł 4.

<sup>656</sup> „Daily Chronicle”, 7 listopada 1905.

<sup>657</sup> Ibidem.

<sup>658</sup> Ibidem, 7, 11, 14, 15 listopada 1905; „Daily News”, 15 listopada 1905.

## 17. Żaden człowiek nie jest obcy

<sup>659</sup> „Regions Beyond”, January-February 1906, s. 46; „Official Organ of the Congo Reform Association”, January 1906, s. 5.

<sup>660</sup> *Procès-Verbaux de la Commission d'Enquête instituée par décret du 23 juillet 1904*, Ministère des Affaires Etrangères, Archives Africaines, Brussels (IRCB 717-718), 2 listopada 1904.

<sup>661</sup> Ibidem, 21 listopada 1904.

<sup>662</sup> Ibidem, 5 stycznia 1905.

<sup>663</sup> Ibidem, 2 stycznia 1905.

<sup>664</sup> De Vaughan, Faure, op. cit., s. 99-100.

<sup>665</sup> Leopold do Goffineta, 23 stycznia 1906; cyt. za: Liane Ranieri, *Léopold II Urbaniste*, Brussels 1973, s. 247.

<sup>666</sup> Carton de Wiart, op. cit., s. 177.

<sup>667</sup> Ascherson, op. cit., s. 219.

<sup>668</sup> Stinglhamber, Dresse, op. cit., s. 59.

<sup>669</sup> Conrad, Madox Ford, op. cit., s. 92.

<sup>670</sup> Bauer, op. cit., s. 163; Louis de Lichtervelde, *Léopold II of the Belgians*, New York 1929, s. 323.

<sup>671</sup> Williams, *A Report on the Congo-State*, s. 279.

<sup>672</sup> Kiedy w 1919 roku na paryskim Drugim Kongresie Panafrykańskim, pod przywództwem W.E.B. Du Boisa, spotkali się czarnoskórzy działacze z Ameryki, Karaibów i Afryki, nawet oni nie domagali się pełnej niepodległości dla afrykańskich kolonii. Zob. Robert Chrisman, Nathan Hare (eds), *Pan-Africanism*, New York 1974, s. 302.

<sup>673</sup> Stengers, *Congo Mythes et Réalites...* op. cit., s. 176.

<sup>674</sup> Cookey, op. cit., s. 210.

<sup>675</sup> Léon van der Elst, *Souvenirs sur Léopold II*, „Revue Générale” 1923; cyt. za: Emerson, op. cit., s. 259.

<sup>676</sup> Carton de Wiart, op. cit., s. 188.

<sup>677</sup> Wywiad w „Publishers’ Press”; cyt. za: „New York American”, 11 grudnia 1906.

<sup>678</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 349.

<sup>679</sup> *Ibidem*, t. 1, s. 75-91.

<sup>680</sup> Normandy, op. cit., s. 300.

<sup>681</sup> Na temat Williama Morrisona zob. Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 75-91; Shaloff, op. cit., s. 84-94; T.C. Vinson, *William McCutchan Morrison*:

*Twenty Years in Central Africa*, Richmond VA 1921. Dziesiątki listów Morrisona przedrukowano w: Benedetto, op. cit.

<sup>682</sup> Slade, *English-Speaking Missions...* op. cit., s. 317.

<sup>683</sup> Phipps, op. cit., s. 95-96.

<sup>684</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 225.

<sup>685</sup> William H. Sheppard, *From the Bakuba Country*, „The Kassai Herald”, 1 stycznia 1908, s. 12-13, w: Sheppard Papers.

<sup>686</sup> Kocher do oskarżyciela państwowego, 31 lipca 1908; cyt. za: Daisy S. Martens, *A History of European Penetration and African Reaction in the Kasai Region of Zaire, 1880-1908*, [Burnaby, British Columbia] 1980, s. 398.

<sup>687</sup> Amerykański konsul generalny Handley do zastępcy sekretarza stanu, 21 września 1909, w: Sheppard Papers.

<sup>688</sup> Morrison do Chestera, 9 sierpnia 1909; cyt. za: Benedetto, op. cit., s. 383.

<sup>689</sup> Conan Doyle, *The Crime of the Congo*, s. IV.

<sup>690</sup> Departament Stanu do H.L. Wilsona, 2 lipca 1909; cyt. za: Shaloff, op. cit., s. 119.

<sup>691</sup> Morel do Vandervelde’a, lipiec 1909; cyt. za: Slade, *English-Speaking Missions...* s. 371 (przypisy).

<sup>692</sup> Vinson, op. cit., s. 99.

<sup>693</sup> Émile Vandervelde, *Souvenirs d’un Militant Socialiste*, Paris 1939, s. 90-91.

<sup>694</sup> „Official Organ of the Congo Reform Association”, 5 stycznia 1910, s. 465.

<sup>695</sup> Morrison do Conan Doyle'a, bez daty; cyt. za: ibidem.

<sup>696</sup> William Sheppard, *The Days Preceding the Trial*, „Christian Observer”, 10 listopada 1909.

<sup>697</sup> Phipps, op. cit., s. 106.

<sup>698</sup> Shaloff, op. cit., s. 125.

<sup>699</sup> Phipps, op. cit., s. 106.

<sup>700</sup> De Vaughan, Faure, op. cit., s. 201.

<sup>701</sup> Vachel Lindsay, *Kongo, Studium rasy murzyńskiej*, w: idem, *Wiersze wybrane*, Warszawa 1979, s. 125.

<sup>702</sup> Singleton-Gates, Girodias, op. cit., s. 317.

<sup>703</sup> Casement do Gertrude Bannister, marzec 1904; cyt. za: Inglis, op. cit., s. 113.

<sup>704</sup> Casement do Alice Green, wiosna 1907; cyt. za: ibidem, s. 152.

<sup>705</sup> Casement do Cadbury'ego, 7 lipca 1905; cyt. za: Porter, op. cit., s. 267.

<sup>706</sup> Casement do Alice Green; cyt. za: Inglis, op. cit., s. 125.

<sup>707</sup> Casement do Alice Green, 21 września 1906; cyt. za: Reid, op. cit., s. 78.

<sup>708</sup> Casement do Parry'ego, 9 października 1906; cyt. za: ibidem, s. 80-81.

<sup>709</sup> Rozmowa z sir Geraldem Campbell; cyt. za: René MacColl, *Roger Casement: A New Judgment*, New York 1957, s. 73 (przypis).

<sup>710</sup> Adams, op. cit., s. 203.

<sup>711</sup> Morel do Casementa, 21 czerwca 1913; cyt. za: Reid, op. cit., s. 173.

<sup>712</sup> Casement do Cadbury'ego, 4 lipca 1910; cyt. za: ibidem, s. 97.

<sup>713</sup> Komentarz Casementa na liście otrzymanym od Charlesa Robertsa, 6 czerwca 1913, w: ibidem, s. 172.

<sup>714</sup> Roger Casement, *The Putumayo Indians*, „Contemporary Review”, September 1912; cyt. za: Inglis, op. cit., s. 206.

<sup>715</sup> Casement do Alice Green, 21 czerwca 1911; cyt. za: Reid, op. cit., s. 137.

<sup>716</sup> Roger Casement, *The 1910 Diary*, 20 listopada 1910, w: Singleton-Gates, Girodias, op. cit., s. 289.

<sup>717</sup> Ibidem, 9 sierpnia 1910, s. 221.

<sup>718</sup> Dziennik Casementa, 16 sierpnia 1911; cyt. za: Inglis, op. cit., s. 194.

<sup>719</sup> Arthur Conan Doyle do „Timesa”, 18 sierpnia 1909, w: idem, *Letters to the Press*, eds John Michael Gibson, Richard Lancelyn Green, London 1986, s. 138.

<sup>720</sup> Morel do Weeksa, 9 listopada 1908; cyt. za: Cline, op. cit., s. 64.

<sup>721</sup> Conan Doyle do „Daily Express”, 13 kwietnia 1910; cyt. za: idem, *Letters to the Press*, op. cit., s. 152.

<sup>722</sup> Morel do Clarapede'a, 23 marca 1910, w: Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 202.

<sup>723</sup> Morel do „Morning Post”, 4 czerwca 1907; cyt. za: William Roger Louis, *The Triumph of the Congo Reform Movement, 1905-1908*, w: Jeffrey Butler (ed.), *Boston University Papers on Africa: African History*, t. 2, Boston 1966, s. 280.

<sup>724</sup> Grey do Cromera, 13 marca 1908; cyt. za: Morel, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, op. cit., s. 199 (przypisy).

<sup>725</sup> „African Mail”, 27 sierpnia 1909, s. 463.

<sup>726</sup> „Official Organ of the Congo Reform Association”, August 1912, nr 10, s. 799.

<sup>727</sup> Casement do Morela, 13 czerwca 1912, w: Louis, *Roger Casement and the Congo*, op. cit., s. 119.

<sup>728</sup> Przemówienie Morela do komitetu wykonawczego CRA, 25 kwietnia 1913, „Official Organ of the Congo Reform Association”, July 1913, s. 986-987.

<sup>729</sup> „African Mail”, 27 czerwca 1913, Suplement, s. 12.

<sup>730</sup> Ibidem, s. 6.

## 18. Zwycięstwo?

<sup>731</sup> Robert E. Park, *A King in Business: Leopold II of Belgium, Autocrat of the Congo and International Broker*, w: Stanford M. Lyman, *Militarism, Imperialism, and Racial Accommodation: An Analysis and Interpretation of the Early Writings of Robert E. Park*, Fayetteville 1992, s. 214.

<sup>732</sup> Stinglhamber, Dresse, op. cit., s. 131.

<sup>733</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 2, s. 432.

<sup>734</sup> Stengers, *Combien le Congo a-t-il coûté à la Belgique?*, op. cit., s. 172, 275.

<sup>735</sup> Hyde, op. cit., s. 321-324; Jasper Ridley, *Maximilian and Juárez*, New York 1992, s. 290; Gene Smith, *Maximilian and Carlota: A Tale of Romance and Tragedy*, New York

1973, s. 290; H. de Reinach Foussemagne, *Charlotte de Belgique: Impératrice du Mexique*, Paris 1925, s. 378. Większość informacji na temat ostatnich sześćdziesięciu lat życia Carloty pochodzi z drugiej albo trzeciej ręki, ponieważ belgijska rodzina królewska trzymała ją z daleka od opinii publicznej.

<sup>736</sup> *Combien le Congo a-t-il coûté à la Belgique?* Jeana Stengersa jest najdokładniejszym studium finansów Leopolda, ale nawet tam brak odpowiedzi na niektóre pytania.

<sup>737</sup> Oto skrócone szacunki Marchala w liście do autora z 30 lipca 1997 r.:

Pożyczki udzielone państwu Kongo, które nie zostały zainwestowane w Kongo, ale wydane przez Leopolda w Europie: 110 mln franków (Jean Stengers, *La dette publique de l'État Indépendant du Congo (1879-1908)*, w: *La dette publique aux XVIIIe et XIXe siècles: son développement sur le plan local, régional et national*, Brussels 1980, s. 309).

Nieoficjalne zyski ze sprzedaży kauczuku w najlepszych latach boomu, 1898-1908, przede wszystkim kauczuku zbieranego na terenach państwowych, a także z udziałów państwa w największych kompaniach działających na podstawie koncesji (ABIR, Compagnie du Kasai, Société Anvernoise du Commerce au Congo): 110 mln franków.

Nie wlicza się wcześniejszych zysków z handlu kauczukiem ani z udziałów państwa w mniejszych przedsiębiorstwach.

<sup>738</sup> Alexandre Delcommune, *L'Avenir du Congo Belge Menacé (1919)*; cyt. za: Michel Massoz, *Le Congo de Léopold II (1878-1908)*, Liège 1989, s. 576.

<sup>739</sup> Northrup, op. cit., s. 109.

<sup>740</sup> Ibidem, s. 107.

<sup>741</sup> Ibidem, s. 161.

<sup>742</sup> Ibidem, s. 99.



<sup>743</sup> Jules Marchal, nieopublikowane badania.

<sup>744</sup> Robert Cornevin, *Histoire du Zaïre: des Origines à nos Jours*, Paris 1989, s. 286-288.

<sup>745</sup> Roger Anstey, *King Leopold's Legacy: The Congo Under Belgian Rule 1908-1960*, London 1966, s. 144-152.

<sup>746</sup> Jean Suret-Canale, *French Colonialism in Tropical Africa 1900-1945*, New York 1971, s. 21.

<sup>747</sup> Ibidem, s. 20-28; West, op. cit., s. 165-181; Catherine Coquéry-Vidrovitch, *Le Congo au temps des grandes compagnies concessionnaires 1898-1930*, Paris 1972, s. 171-197.

<sup>748</sup> Vansina, *Paths in the Rainforest*, op. cit., s. 239.

<sup>749</sup> Ibidem, s. 242.

<sup>750</sup> Coquéry-Vidrovitch, op. cit., s. 181.

<sup>751</sup> Étienne Clémentel; cyt. za: Pakenham, op. cit., s. 639.

<sup>752</sup> Coquéry-Vidrovitch, op. cit., s. 195.

<sup>753</sup> Stengers, *Combien le Congo a-t-il coûté à la Belgique?*, op. cit., s. 278-279; Marchal, *L'État Libre du Congo*, op. cit., t. 1, s. 45.

<sup>754</sup> Jon Swan, *The Final Solution in South West Africa*, „MHQ: The Quarterly Journal of Military History” 1991, 3, nr 4, s. 51; Pakenham, op. cit., s. 611.

<sup>755</sup> Holt do Morela, 5 października 1909; cyt. za: William Roger Louis, *Great Britain and Germany's Lost Colonies 1914-1919*, Oxford 1967, s. 34.

<sup>756</sup> Conrad, *Heart of Darkness...* op. cit., s. 50.

<sup>757</sup> Benedetto, op. cit., s. 30, 423-425.

<sup>758</sup> Donald Franklin Roth, „*Grace Not Race*”: *Southern Negro Church Leaders, Black Identity, and Missions to West Africa, 1865-1919*, Austin 1975, s. 283.

<sup>759</sup> Phipps, op. cit., wstęp.

<sup>760</sup> Darrell Figgis, *Recollections of the Irish War*, New York 1927, s. 11.

<sup>761</sup> Casement do Mortena, 1 maja 1914; cyt. za: Roger Sawyer, *Casement: The Flawed Hero*, London 1984, s. 114.

<sup>762</sup> Roger Casement, „*Irish Independent*”, 5 października 1914; cyt. za: Singleton-Gates, Girodias, op. cit., s. 357-358.

<sup>763</sup> Roger Casement, 28 września 1915; cyt. za: Reid, op. cit., s. 309.

<sup>764</sup> Basil Thompson, *Queer People*, London 1922, s. 87. Autor był śledczym Scotland Yardu, przesłuchującym Casementa.

<sup>765</sup> Casement do swojej siostry, Niny, 15 lipca 1916; cyt. za: Reid, op. cit., s. 351.

<sup>766</sup> Inglis, op. cit., s. 313.

<sup>767</sup> *Ibidem*, s. 364.

<sup>768</sup> Przedrukowana w: Singleton-Gates, Girodias, op. cit., s. 498.

<sup>769</sup> Inglis, op. cit., s. 346.

<sup>770</sup> A. Fenner Brockway; cyt. za: *ibidem*, s. 368.

<sup>771</sup> Ojciec Thomas Carey, 5 sierpnia 1916; cyt. za: Reid, op. cit., s. 448.

<sup>772</sup> Ellis, „Catholic Bulletin”, August 1928; cyt. za: ibidem.

<sup>773</sup> Casement do Mortena, 28 lipca 1916; cyt. za: ibidem, s. 436.

<sup>774</sup> Adams, op. cit., s. 212.

<sup>775</sup> H.M. Swanwick, *Builders of Peace: Being Ten Years' History of the Union of Democratic Control*, London 1924, s. 187.

<sup>776</sup> Ibidem, s. 98; Marvin Swartz, *The Union of Democratic Control in British Politics During the First World War*, Oxford 1971, s. 105.

<sup>777</sup> Taylor, op. cit., s. 120.

<sup>778</sup> „Daily Sketch”, 1 grudnia 1915; cyt. za: Cline, op. cit., s. 103.

<sup>779</sup> „Daily Express”, 4 kwietnia 1915; cyt. za: ibidem, s. 110.

<sup>780</sup> „Evening Standard”, 7 lipca 1917; cyt. za: Adams, op. cit., s. 210.

<sup>781</sup> Alice Green do Morela, w: MacColl, op. cit., s. 273-274.

<sup>782</sup> Bertrand Russell, *Autobiografia 1914-1944*, Warszawa 1998, s. 43-44.

<sup>783</sup> Idem, *Freedom versus Organization, 1814-1914*, New York 1962, s. 402; cyt. za: Swartz, op. cit., s. 50.

<sup>784</sup> M.N. Kearney, 10 października 1916, FO 371/2828/202398, PRO; cyt. za: Cline, op. cit., s. 111.

<sup>785</sup> E.D. Morel, *The Persecution of E.D. Morel: The Story of his Trial and Imprisonment*, Glasgow 1918, s. 11.

<sup>786</sup> Adams, op. cit., s. 180.

<sup>787</sup> E.D. Morel, *At Pentonville: September, 1917-January, 1918*; cyt. za: Robert Smillie (ed.), *Thoughts on the War: The Peace and Prison*, London 1920, s. 60.

<sup>788</sup> Ibidem, s. 62.

<sup>789</sup> Ibidem, s. 66.

<sup>790</sup> Russell, *Autobiografia 1914-1944*, op. cit., s. 106.

<sup>791</sup> F. Seymour Cocks, *E.D. Morel*, „Foreign Affairs: a Journal of International Understanding”, December 1924, VI, nr 6, s. 118.

<sup>792</sup> Marchal, *E.D. Morel contre Léopold II...* op. cit., t. 1, s. 10.

## 19. Wielkie zapomnienie

<sup>793</sup> Conrad, *Jądro ciemności*, op. cit., s. 11.

<sup>794</sup> Stinglhamber, *Dresse*, op. cit., s. 52-53.

<sup>795</sup> Strauch do Wautersa, 1911; cyt. za: Stanley, *The Exploration Diaries of H.M. Stanley*, s. XI.

<sup>796</sup> De Premorel, op. cit., s. 97.

<sup>797</sup> Émile Verhaeren, *La Belgique sanglante*; cyt. za: James Morgan Read, *Atrocity Propaganda 1914-1919*, New Haven 1941, s. 35.

<sup>798</sup> Ibidem, s. 78-96.

<sup>799</sup> Autor rozmawiał z Jules'em Marchalem we wrześniu 1995 roku.

<sup>800</sup> État Major de la Force Publique, *L'Afrique et le Congo jusqu' à la création de l'État Independant du Congo*, Leopoldville 1959, s. 10-11.

<sup>801</sup> Ibidem, s. 145.

<sup>802</sup> Szczególne zasługi na tym polu ponieśli dwaj belgijscy księża, Edmond Boelaert i Gustave Hulstaert. Zob. także Daniel Vangroenweghe, op. cit., oraz Roger Anstey, *The Congo Rubber Atrocities - A Case Study*, „African Historical Studies” 1971, IV, nr 1, s. 59-76.

<sup>803</sup> Nelson, op. cit., s. 104.

<sup>804</sup> Vangroenweghe, *Du Sang sur les Lianes*, op. cit., s. 234.

<sup>805</sup> Vansina, *The Children of Woot...* op. cit., s. 230.

<sup>806</sup> Johannes Fabian, *Remembering the Present: Painting and Popular History in Zaire*, Berkeley 1996, s. 27-28, 55, 60, 261.

<sup>807</sup> Stengers, *Congo Mythes et Réalites...* op. cit., s. 271.

<sup>808</sup> Jan Bremen, *The Civilization of Racism: Colonial and Postcolonial Development Policies*, w: Jan Bremen (ed.), *Imperial Monkey Business: Racial Supremacy in Social Darwinist Theory and Colonial Practice*, Amsterdam 1990, s. 145.

<sup>809</sup> Sean Kelly, *America's Tyrant: The CIA and Mobutu of Zaire*, Washington, DC 1993, s. 57-60. Książka Kelly'ego oparta jest na rozmowach i dokumentach, w tym zwłaszcza na słynnym raporcie z 20 listopada 1975 roku, opracowanym przez komisję amerykańskiego Senatu pod przewodnictwem senatora Franka Churcha; zob. *Alleged Assassination Plots Involving Foreign Leaders. An Interim Report of the Select Committee to Study Governmental Operations with Respect to Intelligence Activities*. United States Senate, Washington, DC 1975.

AARC, Public Library,  
<[http://www.aarclibrary.org/publib/contents/church/contents\\_church\\_reports\\_it.htm](http://www.aarclibrary.org/publib/contents/church/contents_church_reports_it.htm)>

(10.10.2011).

<sup>810</sup> John Ranelagh, *The Agency: The Rise and Decline of the CIA*, New York 1986, s. 342.

<sup>811</sup> John Stockwell, *In Search of Enemies*, New York 1978, s. 105.

<sup>812</sup> Crawford Young, *The Northern Republics 1960-1980*, w: David Birmingham, Phyllis M. Martin (eds), *History of Central Africa*, New York 1983, t. 2, s. 325; Kelly, *America's Tyrant*, s. 71.

<sup>813</sup> Ibidem, s. 178.

<sup>814</sup> Helen Winternitz, *East along the Equator: A Journal up the Congo and into Zaire*, New York 1987, s. 270.

<sup>815</sup> George H.W. Bush, 29 czerwca 1989; cyt. za: Kelly, op. cit., s. 1.

<sup>816</sup> „The Guardian”, 13 maja 1997.

<sup>817</sup> Blaine Harden, *Africa: Dispatches from a Fragile Continent*, New York 1990, s. 38.

<sup>818</sup> Pascal Bruckner, *The Tears of the White Man: Compassion as Contempt*, New York 1986, s. 84.

## BIBLIOGRAFIA

Badacz, poszukujący najdokładniejszej bibliografii współczesnych prac naukowych na temat kolonialnej historii Konga, powinien zajrzeć do *Bibliographie historique du Zaïre à l'époque coloniale (1880-1960): travaux publiés en 1960-1996* (Enquêtes et Documents d'Histoire Africaine, Louvain 1996), pod redakcją Jean-Luca Velluta. Poniżej przedstawiam listę prac, na których się opierałem.

Dyktatura kolejności alfabetycznej nie pozwala na oddanie sprawiedliwości tym książkom, które były mi największą pomocą przy pisaniu *Ducha króla Leopolda*. Pozwolę sobie zatem najpierw wymienić te prace, z których korzystałem najwięcej.

Wiele tekstów źródłowych wyszło spod ręki najważniejszych bohaterów tej opowieści: króla Alfonsa I, Rogera Casementa, Josepha Conrada, Williama Shepparda, Henry'ego Mortona Stanleya, George'a Washingtona Williamsa, Edmunda Dene'a Morela. Nie powstało dotychczas całościowe opracowanie bogatego - i wiele ujawniającego - zbioru listów i notatek króla Leopolda II, ale setki z nich można znaleźć w *Léopold II et Beernaert: d'après leur correspondance inédite de 1884 à 1894* (Goemaere, Brussels 1920), pod redakcją Édouarda van der Smisena. Niektóre z nich przedrukowano także w *Aux Origines de l'État Indépendant du Congo. Documents tirés d'Archives Américaines* François Bontincka - ważnym zbiorze wczesnych listów i dokumentów (Publications de l'Université Lovanium de Léopoldville, Éditions Nauwelaerts, Louvain 1966). Antologia Roberta Benedetta zawiera mnóstwo niepublikowanych wcześniej materiałów źródłowych, dotyczących prezbiteriańskich misjonarzy oraz ich pracy na rzecz praw człowieka.

Większość europejskich i amerykańskich (choć nie afrykańskich) postaci doczekała się swoich biografii. Korzystałem szczególnie z biografii Stanleya autorstwa Johna Biermana i Franka McLynna oraz biografii Casementa Briana Inglisa i B.L. Reida. Przydatne były też prace na temat E.D. Morela, napisane przez Catherine Cline, A.J.P. Taylora, F. Seymoura Cocksa i W.S. Adamsa (z których jednak żadna nie jest pełną biografią, na jaką zasługuje ten człowiek). Biografia George'a Washingtona Williamsa, pióra Johna Hope'a Franklina, wydobyła Williamsa z zapomnienia i dostarczyła mi większości materiałów do rozdziału

ósmego. Spośród różnych biografii Leopolda kluczowymi były dwie - napisane przez Barbarę Emerson oraz Neala Aschersona. Większość informacji na temat królewskiego dworu pochodzi ze wspomnień jego współpracowników: Gustave'a Stinglhambera i barona Cartona de Wiarta.

*The Scramble for Africa* Thomasa Pakenhama jest wyczerpującym omówieniem tego okresu z punktu widzenia dyplomacji, niepozbawionym jednak pisarskiego wycucia szczegółu, z którego obficie podkładałem. W prologu inspirowałem się także *The River Congo* Petera Forbatha, jednego z pisarzy, którzy dostrzegli tragizm losów króla Alfonsa I. Mnóstwa informacji dostarczają książki wydane w ostatnich latach - szczególnie ważne były prace Ruth Slade, Roberta Harmsa, Stanleya Shaloffa, S.J.S. Cookeya, Davida Lagergrena, a także liczne dzieła Jeana Stengersa. *Le Congo Belge et la Weltpolitik (1894-1914)* Jacques'a Willequeta dostarcza wielu pikantnych wiadomości na temat przekupywania prasy przez Leopolda.

Wreszcie ostatnimi czasy kilku Belgów zerwało z tradycją lukrowania historii Konga, która przez kilkadziesiąt lat była w ich kraju normą. Pełna pasji książka *Du Sang sur les Lianes* Daniela Vangroenweghe była bardzo przydatna. Studium buntów wzniesionych przez Force Publique, autorstwa Guya de Boecksa, pokazuje, w jaki sposób rebelie te były wstępem do antykolonialnych wojen partyzanckich pół wieku później. Francuskojęzyczne wydanie czterotomowej historii Konga, 1876-1910, autorstwa Jules'a Marchala, jest najlepszym naukowym opracowaniem tego kluczowego okresu, dokonany z encyklopedyczną precyzją. Zawdzięczam mu bardzo wiele - tak jak każdy, kto będzie kiedyś pisał o tej epoce.

## **Źródła archiwalne i pozycje nieopublikowane**

Carroll Murray Lee, *Open Door Imperialism in Africa: The United States and the Congo, 1876-1892*, Ph.D. thesis, University of Connecticut, [Storrs] 1971.

*Inventaire des microfilms des Papiers Morel, series A, B, E, F, G, H, I, se rapportant à l'histoire du Congo et conservés à la British Library of Political and Economic Science, London School of Economics, Fonds National de la Recherche Scientifique, Brussels 1961.*



De Ryck Maurice Martin, *Zaire Colonial Documents Collection*, University of Wisconsin.

Martens Daisy S., *a History of European Penetration and African Reaction in the Kasai Region of Zaire, 1880-1908*, Ph.D. thesis, Simon Fraser University, [Burnaby, British Columbia] 1980.

McStallworth Paul, *The United States and the Congo Question, 1884-1914*, Ph.D. thesis, Ohio State University, [Columbus, OH] 1954.

Normandy Elizabeth L., *Black Americans and U.S. Policy Toward Africa: Two Case Studies from the pre-World War II Period*, Ph.D. thesis, University of South Carolina [Columbia, SC] 1987.

*Procès-Verbaux de la Commission d'Enquête instituée par décret du 23 juillet 1904*, Ministère des Affaires Etrangères, Archives Africaines, Brussels, IRCB 717-718.

Rom Léon, *Notes. Mes Services au Congo de 1886 à 1908*, Musée Royal de l'Afrique Centrale, Document MRAC-Hist-56.28.

Roth Donald Franklin, *„Grace Not Race”: Southern Negro Church Leaders, Black Identity, and Missions to West Africa, 1865-1919*, Ph.D. thesis, University of Texas at Austin, Austin 1975.

William H. Sheppard Papers, Hampton University, Hampton, Virginia.

## **Druki zwarte i artykuły**

Achebe Chinua, *An Image of Africa: Racism in Conrad's 'Heart of Darkness'*, „Massachusetts Review” 1977, 18, reprint w: Joseph Conrad, *Heart of Darkness: An Authoritative Text; Backgrounds and Sources; Criticisms*, ed. by Robert Kimbrough, W.W. Norton & Co, New York 1988.

Adams W.S., *Edwardian Portraits*, Secker & Warburg, London 1957.

Afonso I, *Correspondance de Dom Afonso, roi du Congo 1506-1543*, eds by Louis Jadin, Mireille Decorato, Academie Royale des Sciences d'Outre-Mer, Brussels, 1974.

*Alleged Assassination Plots Involving Foreign Leaders. An Interim Report of the Select Committee to Study Governmental Operations with Respect to Intelligence Activities.* United States Senate, U.S. Government Printing Office, Washington, DC 1975. AARC, Public Library, <[http://www.aarclibrary.org/publib/contents/church/contents\\_church\\_reports\\_ir.htm](http://www.aarclibrary.org/publib/contents/church/contents_church_reports_ir.htm)> (10.10.2011).

Annexe aux Annales du Musée du Congo, Ethnographie et Antropologie, Serie IV, Fascicule I. *L'État Indépendant du Congo - Documents sur le pays et ses habitants*, Brussels 1903.

Anstey Roger, *Britain and the Congo in the Nineteenth Century*, Clarendon Press, Oxford 1962.

Anstey Roger, *The Congo Rubber Atrocities - A Case Study*, „African Historical Studies” 1971, IV, nr 1, s. 59-76.

Anstey Roger, *King Leopold's Legacy: The Congo Under Belgian Rule 1908-1960*, Oxford University Press, London 1966.

Arnold Nicolas, *À nos héros coloniaux morts pour la civilisation 1876-1908*, La Ligue du Souvenir Congolais, Brussels 1931.

Aronson Theo, *Defiant Dynasty: The Coburgs of Belgium*, Bobbs-Merrill, New York 1968.

Ascherson Neal, *The King Incorporated: Leopold II in the Age of Trusts*, George Allen & Unwin, London 1963.

Axelsson Sigbert, *Culture Confrontation in the Lower Congo: From the Old Congo Kingdom to the Congo Independent State with Special Reference to the Swedish Missionaries in the 1880s and 1890s*, Gummessons, Falköping 1970.

Balandier Georges, *Życie codzienne w państwie Kongo, XVI-XVIII w.*, przeł. Eligia Bąkowska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970.

Bauer Ludwig, *Leopold the Unloved: King of the Belgians and of Wealth*, Little, Brown and Company, Boston 1935.

Bawele Mumbanza Mwa, *Afro-European Relations in the Western Congo Basin c. 1884-1885*, w: Stig Förster, Wolfgang J. Mommsen, Ronald Robinson, *Bismarck, Europe and Africa: The Berlin Africa Conference 1884-1885 and the Onset of Partition*, Oxford University Press, London 1988.

Baylen Joseph O., *Senator John Tyler Morgan, E.D. Morel, and the Congo Reform Association*, „The Alabama Review”, April 1962.

Bederman Sanford H., *The 1876 Brussels Geographical Conference and the Charade of European Cooperation in African Exploration*, „Terra Incognita” 1989, 21.

Belloc Hilaire, *The Modern Traveller*, E. Arnold, London 1898.

Benedetto Robert (ed.), *Presbyterian Reformers in Central Africa: A Documentary Account of the American Presbyterian Congo Mission and the Human Rights Struggle in the Congo, 1890-1918*, E.J. Brill, Leiden 1996.

Bennett Norman R. (ed.), *Stanley's Despatches to the New York Herald 1871-72, 1874-77*, Boston University Press, Boston 1970.

Bersot Daniel, *La vie au Congo: Sous la chicotte*, A. Jullien, Geneva 1909.

Bezwińska Jadwiga, Czech Danuta, *Auschwitz w oczach SS: Rudolf Höss, Pery Broad, Johann Paul Kremer*, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2011.

Bierman John, *Dark Safari: The Life behind the Legend of Henry Morton Stanley*, Alfred A. Knopf, New York 1990.

*Biographie Coloniale Belge*, Vol. VI: *Biographie d'Outre-Mer*, Académie Royale de Sciences Coloniales/Académie Royale de Sciences d'Outre-Mer, Brussels 1955.

Birmingham David, Martin Phyllis M. (eds), *History of Central Africa*, t. 2, Longman, New York 1983.

Boahen Adu A. (ed.), *General History of Africa*, Vol. II, UNESCO, Paris 1985.

Bobb F. Scott, *Historical Dictionary of Zaire*, Scarecrow Press, Metuchen, NJ 1988.

Boelaert E., *Ntange*, „Aequatoria” 1952, XV, nr 2 i 3.

Bontinck François, *Aux Origines de l'État Independant du Congo. Documents tirés d'Archives Américaines*, Publications de l'Université Lovanium de Léopoldville, Éditions Nauwelaerts, Louvain 1966.

Boulger Demetrius C., *The Congo State is NOT a Slave State: a Reply to Mr. E.D. Morel's Pamphley Entitled „The Congo Slave State”*, Samson Low, Marston, London 1903.

Bradford Philips Verner, Blume Harvey, *Ota Benga: The Pygmy in the Zoo*, St. Martin's Press, New York 1992.

Bremen Jan, *The Civilization of Racism: Colonial and Postcolonial Development Policies*, w: Jan Bremen (ed.), *Imperial Monkey Business: Racial Supremacy in Social Darwinist Theory and Colonial Practice*, VU University Press, Amsterdam 1990.

Bremen Jan, *Primitive Racism in a Colonial Setting*, w: Jan Breman (ed.), *Imperial Monkey Business: Racial Supremacy in Social Darwinist Theory and Colonial Practice*, VU University Press, Amsterdam 1990.

Bricusse Georges, *Les carnets de campagne de Georges Bricusse (6 février 1894-18 juillet 1896)*, ed. Pierre Salmon, Édition CEMUBAC, Brussels 1966.

Bruckner Pascal, *The Tears of the White Man: Compassion as Contempt*, The Free Press, New York 1986.

Buell Raymond Leslie, *The Native Problem in Africa*, Macmillan, London 1928.

Burrows Guy, *The Curse of Central Africa*, R.A. Everett & Co., London 1903.

Canisius Edgar, *A Campaign Amongst Cannibals*, R.A. Everett & Co, London 1903.

Carton de Wiart Edmond, Baron, *Léopold II: Souvenirs de dernières années 1901-1909*, Les Ouvres Goemare, Brussels 1944.

Casement Roger, *The Congo Report*, w: Peter Singleton-Gates, Maurice Girodias, *The Black Diaries: An Account of Roger Casement's Life and Times with a Collection of his Diaries and Public Writings*, Grove Press, New York 1959.

Casement Roger, *The Crime Against Europe: The Writings and Poetry of Roger Casement*, ed. by Herbert O. Mackey, C.J. Fallon, Dublin 1958.

Casement Roger, *Le Rapport Casement*, eds by Daniel Vangroenweghe, Jean-Luc Vellut, Université Catholique de Louvain, Belgium 1985.

Chapaux Albert, *Le Congo*, Charles Rozez, Brussels 1894.

Chrisman Robert, Hare Nathan (eds), *Pan-Africanism*, Bobbs-Merrill, New York 1974.

Chanaiwa D., *African Initiatives and Resistance in Southern Africa*, w: Adu A. Boahen (ed.), *General History of Africa, Vol. II*, UNESCO, Paris 1985.

Clendenen Clarence, Collins Robert, Duignan Peter, *Americans in Africa 1865-1900*,

The Hoover Institution on War, Revolution, and Peace, Stanford 1966.

Cline Catherine Ann, *E.D. Morel 1873-1924: The Strategies of Protest*, Blackstall Press, Belfast 1980.

Cocks Seymour F., *E.D. Morel: The Man and His Work*, George Allen & Unwin, London 1920.

*La Conférence de Géographie de 1876: Recueil d'études*, Académie Royale de Sciences d'Outre-Mer, Brussels 1876.

*Le Congo Belge en Images*, J. Lebègue & Cie., Brussels 1914.

Congo Reform Association, *Evidence Laid Before the Congo Commission of Inquiry at Buvembu, Bolobo, Lulanga, Baringa, Bongandanga, Ikau, Bonginda, and Monsembe*, Liverpool 1905.

Conrad Joseph, *A Personal Record*, M. Dent & Sons, London 1912

Conrad Joseph, *Congo Diary and Other Uncollected Pieces*, ed. by Zdzisław Najder, Doubleday, New York 1978.

Conrad Joseph, *Heart of Darkness: An Authoritative Text; Backgrounds and Sources; Criticisms* ed. by Robert Kimbrough, W.W. Norton & Co, New York 1988.

Conrad Joseph, *Jądro ciemności*, przeł. Ireneusz Socha, Zielona Sowa, Kraków 2000.

Conrad Joseph, *Listy*, opr. Zdzisław Najder, przeł. Halina Carroll-Najder, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968.

Conrad Joseph, *Ostatnie szkice*, przeł. Halina Carroll-Najder, Leszek Elektorowicz i Józef Miłobędzki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974.

Conrad Joseph, Ford Madox Ford, *Spadkobiercy. Opowieść ekstrawagancka*, przeł.

Henryk Krzeczowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974.

Cookey S.J.S., *Britain and the Congo Question: 1885-1913*, Longmans, Green & Co., London 1968.

Coquéry-Vidrovitch Catherine, *The Colonial Economy of the Former French, Belgian and Portuguese Zones 1914-1935*, w: Adu A. Boahen (ed.), *General History of Africa*, Vol. II, UNESCO, Paris 1985.

Coquéry-Vidrovitch Catherine, *Le Congo au temps des grandes compagnies concessionnaires 1898-1930*, Mouton, Paris 1972.

Cornet René J., *La Bataille du Rail*, Editions L. Cuypers, Brussels 1958.

Cornevin Robert, *The Germans in Africa before 1918*, w: L.H. Gann, Peter Duignan (eds), *Colonialism in Africa 1870-1960*, t. 1-5, Cambridge University Press, Cambridge 1969.

Cornevin Robert, *Histoire du Zaïre: des Origines à nos Jours*, Académie des Sciences d'Outre Mer, Paris 1989.

Courouble Léopold, *En Plein Soleil: Les Maisons de Juge - La Voyage à Bankana*, La Renaissance du Livre, Brussels 1930.

Cuvelier Jean, *L'Ancien royaume de Congo: Fondation, découverte, première évangélisation de l'ancien Royaume de Congo. Règne du Grand Roi Affonso Mvemba Nzinga (+1541)*, Desclée de Brouwer, Bruges 1946.

Davidson Basil, *African Civilization Revisited: From Antiquity to Modern Times*, Africa World Press, Trenton, NJ 1991.

Davidson Basil, *Africa in History: Themes and Outlines*, Collier Books, New York 1991.

Davidson Basil, *The African Slave Trade*, Little, Brown and Co., Boston 1980.

Davidson Basil, *Afryka budzi się*, przeł. Klemens Kępcicz, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1957.

Daye Pierre, *Léopold II*, Arthème Fayard et Cie., Paris 1934.

De Boeck Guy, *Les Révoltes de la Force Publique sous Léopold II, Congo 1895-1908*, Les Editions EPO, Brussels 1987.

Debrunner Hans Werner, *Presence and Prestige: Africans in Europe. A History of Africans in Europe before 1918*, Basler Afrika Bibliographien, Basel 1979.

De Deken Constant, *Deux Ans au Congo*, Clément Thibaut, Antwerp 1902.

Delcommune Alexandre, *L'Avenir du Congo Belge Menacé (1919)*, w: Michel Massoz, *Le Congo de Léopold II (1878-1908)*, Soledi, Liège 1989.

Depelchin Jacques, *From the Congo Free State to Zaire: How Belgium Privatized the Economy. A History of Belgian Stock Companies in Congo-Zaire from 1885-1974*, Codesria, Dakar 1992.

De Premorel Raoul, *Kassai: The Story of Raoul de Premorel, African Trader*, ed. by Reginald Ray Stuart, Pacific Center for Western Historical Studies, Stockton, CA 1975.

Donny Albert et al., *Manuel du voyageur et du résident au Congo*, t. 1-3, Hayez, Brussels 1897-1901.

Doyle Arthur Conan, *The Crime of the Congo*, Doubleday, Page & Company, New York 1909.

Doyle Arthur Conan, *Letters to the Press*, eds by John Michael Gibson, Richard Lancelyn Green, Secker & Warburg, London 1986.

Du Bois W.E.B., *The Negro in Literature and Art*, „Annals of the American Academy



of Political and Social Science”, September 1913, nr 49.

Duignan Peter, *The USA, the Berlin Conference, and its Aftermath 1884-1885*, w: Stig Förster, Wolfgang J. Mommsen, Ronald Robinson, *Bismarck, Europe and Africa: The Berlin Africa Conference 1884-1885 and the Onset of Partition*, Oxford University Press, London 1988.

Dumont Georges-Henri, *Léopold II*, Fayard, Paris 1990.

Emerson Barbara, *Leopold II of the Belgians: King of Colonialism*, Weidenfld and Nicolson, London 1979.

État Major de la Force Publique, *L’Afrique et le Congo jusqu’ à la création de l’État Independant du Congo*, Leopoldville 1959.

Fabian Johannes, *Remembering the Present: Painting and Popular History in Zaire*, University of California Press, Berkeley 1996.

Fetter Bruce, *Colonial Rule and Regional Imbalance in Central Africa*, Westview Press, Boulder, Colorado 1983.

Fetter Bruce (ed.), *Demography from Scanty Evidence: Central Africa in the Colonial Era*, Lynne Rienner Pulishers, Boulder, Colorado 1990.

Figgis Darrell, *Recollections of the Irish War*, Doubleday, Doran & Co., New York 1927.

Fishkin Shelley Fisher, *Was Hugh Black?: Mark Twain and African-American Voices*, Oxford University Press, New York 1993.

Flament F. et al., *La Force Publique de sa naissance à 1914: Participation des militaires à l’histoire des premières années du Congo*, Institut Royal Colonial Belge, Brussels 1932.

Peter Forbath, *The River Congo: The Discovery, Exploration and Exploitation of the World's Most Dramatic River*, Harper & Row, New York 1977.

Förster Stig, Mommsen Wolfgang J., Robinson Ronald (eds), *Bismarck, Europe and Africa: The Berlin Africa Conference 1884-1885 and the Onset of Partition*, Oxford University Press, London 1988.

Fousse-magne H. de Reinach, *Charlotte de Belgique: Impératrice du Mexique*, Plon-Nourrit et Cie, Paris 1925.

Franklin John Hope, *George Washington Williams: A Biography*, University of Chicago Press, Chicago 1985.

Freddy G., *Léopold II intime*, Félix Juven, Paris 1905.

Fry Joseph A., *Henry S. Sanford: Diplomacy and Business in Nineteenth-Century America*, University of Nevada Press, Reno 1982.

Fry Joseph A., *John Tyler Morgan and the Search for Southern Autonomy*, University of Tennessee Press, Knoxville 1992.

Gann L.H., Duignan Peter (eds), *Colonialism in Africa 1870-1960*, t. 1-5, Cambridge University Press, Cambridge 1969.

Gann L.H., Duignan Peter (eds), *The Rulers of Belgian Africa 1884-1914*, Princeton University Press, Princeton 1979.

Garnett Edward (ed.), *Letters from Conrad 1895-1924*, Nonesuch Press, London 1928.

Geismar Maxwell, *Mark Twain: An American Prophet*, Houghton Mifflin, Boston 1970.

Gérard Albert S., *African Language Literature: An Introduction to the Literary History of Sub-Saharan Africa*, Longman, Harlow, Essex 1981.

Gérard Jo, *Le Pharaon des Belges: Léopold II*, Éditions J.M. Collet, Brussels 1984.

Gifford Prosser, William Roger Louis (eds), *Britain and Germany in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, Yale University Press, New Haven 1967.

Gifford Prosser, William Roger Louis (eds), *France and Britain in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, Yale University Press, New Haven 1971.

Glave E.J., *Cruelty in the Congo Free State*, „The Century Magazine”, September 1897, s. 699-715.

Goedleven Edgard, *The Royal Greenhouses of Laeken*, Lannoo/Duculot/Inbel, Brussels 1989.

Graide Louis, *Les Belges au Congo*, w: F. AlexisM., *Soldats et Missionnaires au Congo de 1891 à 1894*, Desclee, de Brouwer & Cie, Lille 1896.

Grand-Carteret John, *Popold II, Roi des Belges et des Belles: Devant l'Objectif Caricatural*, Louis-Michaud, Paris 1908.

Gründer Horst, *Christian Missionary Activities in Africa in the Age of Imperialism and the Berlin Conference of 1884-1885*, w: Stig Förster, Wolfgang J. Mommsen, Ronald Robinson, *Bismarck, Europe and Africa: The Berlin Africa Conference 1884-1885 and the Onset of Partition*, Oxford University Press, London 1988.

Guebels Léon, *Relation complète des travaux de la Commission Permanente pour la Protection des Indigènes au Congo Belge*, Centre d'Études des Problèmes Socieaux Indigènes, Elisabethville 1954.

Halen Pierre, Riesz János (eds), *Images de l'Afrique et du Congo/Zaire dans les lettres françaises de Belgique et alentour: Actes du colloque international de Louvain-la-Neuve (4-6 février 1993)*, Éditions du Trottoir, Brussels 1993.

Hall Richard, *Stanley: An Adventurer Explored*, Collins, London 1974.

Harden Blaine, *Africa: Dispatches from a Fragile Continent*, Norton, New York 1990.

Harlan Louis R., *Booker T. Washington in Perspective: Essays of Louis R. Harlan*, ed. by Raymond W. Smock, University Press of Mississippi, Jackson 1988.

Harlan Louis R., *Booker T. Washington: The Wizard of Tuskegee 1901-1915*, Oxford University Press, New York 1983.

Harms Robert, *The End of Red Rubber: a Reassessment*, „Journal of African History” 1975, XVI, nr 1, s. 73-88.

Harms Robert, *River of Wealth, River of Sorrow: The Central Zaire Basin on the Era of the Slave and Ivory Trade, 1500-1891*, Yale University Press, New Haven 1981.

Harms Robert, *The World ABIR Made: The Maringa-Lopori Basin, 1885-1903*, „African Economic History” 1983, 22.

Hawkins Hunt, *Joseph Conrad, Roger Casement and the Congo Reform Movement*, „Journal of Modern Literature 9” 1981-82, nr 1, s. 65-80.

Hawkins Hunt, *Mark Twain's Involvement with the Congo Reform Movement: 'A Fury of Generous Indignation'*, „The New England Quarterly”, June 1978, s. 147-175.

Headrick Daniel R., *The Tools of Empire: Technology and European Imperialism in the Nineteenth Century*, Oxford University Press, New York 1981.

Herr Michael, *Dispatches*, Alfred A. Knopf, New York 1977.

Hilton Anne, *The Kingdom of Kongo*, Clarendon Press, Oxford 1985.

Hinde Sidney Langford, *The Fall of the Congo Arabs*, Negro Universities Press, New York 1969 [reprint wydania z 1897].

Hird Frank, *H.M. Stanley: The Authorized Life*, S. Paul & Co., London 1935.

Honour Hugh, *The Image of the Black in Western Art*, t. IV, Menil Foundation/Harvard University Press, Cambridge 1989.

Hulstaert G., *Documents africains sur la pénétration européenne dans l'Equateur*, w: *Enquêtes et Documents d'Histoire africaine 2*, Louvain 1977.

Hyde H. Montgomery, *Mexican Empire: The History of Maximilian and Carlota of Mexico*, Macmillan, London 1946.

Hyland Paul, *The Black Heart: A Voyage into Central Africa*, Henry Holt and Company, New York 1989.

Inglis Brian, *Roger Casement*, Hodder and Stoughton, London 1973.

Isaacman A., Vansina Jan, *African Initiatives and Resistance in Central Africa, 1880-1914*, w: Adu A. Boahen (ed.), *General History of Africa*, Vol. II, UNESCO, Paris 1985.

Janssens Édouard, Cateaux Albert, *Les Belges au Congo*, t. 1-2, J. van Hille-De Backer, Antwerp 1907-1912.

Jessup Philip C., *Elihu Root, 1905-1937*, t. 2, Dodd, Mead, New York 1938.

Katz Fred E., *Ordinary People and Extraordinary Evil: A Report on the Beguilings of Evil*, State University of New York Press, Albany 1993.

Kelly Sean, *America's Tyrant: The CIA and Mobutu of Zaire*, American University Press, Washington, DC 1993.

Kipling Joseph Rudyard, *Mandalay*, przeł. Maciej Słomczyński, w: Henryk Krzeczkowski, Jerzy S. Sito, Juliusz Żuławski (red.), *Poeci języka angielskiego*, t. 3,

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974.

Kivilu Sabakinu, *La région de Matadi dans les années 1880*, w: *Le Centenaire de l'État Indépendant du Congo: Recueil d'études*, Académie Royale des Sciences d'Outre-Mer, Brussels 1988.

Kiwanuka Semakula M., *Colonial Policies and Administrations in Africa: The Myths of the Contrasts*, w: Gregory Maddox (ed.), *The Colonial Epoch in Africa*, Garland Publishing, New York 1993.

[Kowalsky Henry I.], *Speeches Made at Banquet Tendered to Col. Henry I. Kowalsky by his Friends, January five, Nineteen-five*, San Francisco 1905.

Lagergren David, *Mission and State in the Congo: A Study of the Relations Between Protestant Missions and the Congo Independent State Authorities with Special Reference to the Equator District, 1885-1903*, Gleerup, Uppsala 1970.

Lapsley Samuel, *Life and Letters of Samuel Norvell Lapsley: Missionary to the Congo Valley, West Africa 1866-1892*, Whittet & Shepperson, Richmond, VA 1893.

Leclercq Louis, *Les carnets de campagne de Louis Leclercq. Étude de mentalité d'un colonial belge*, ed. by Pierre Salmon, „Revue de l'Université de Bruxelles”, Nouvelle Série 3, February-April 1970.

Lederer A., *L'Impact de l'arrivée des Européens sur les transports en Afrique Centrale*, w: *Le Centenaire de l'État Indépendant du Congo: Recueil d'études*, Académie Royale des Sciences d'Outre-Mer, Brussels 1988.

Le Febvre de Vivy Léon, *Documents d'histoire précoloniale belge (1861-1865). Les idées coloniales de Léopold, duc de Brabant*, Académie Royale de Sciences Coloniales, Brussels 1955.

Lejeune-Choquet Adolphe, *Histoire militaire du Congo: explorations, expéditions, opérations de guerre, combats et faits militaires*, Maison d'Édition Alfred Castaigne, Brussels

1906.

Lemaire Charles, *Au Congo: Comment les noirs travaillent*, Imprimerie Scientifique Ch. Bulens, Brussels 1895.

Lemaire Charles, *Belgique et Congo*, A. Vandeweghe, Gand 1908.

Lemaire Charles, *Charles Lemaire a l'Equateur: Son journal inedit, 1891-1895*, ed. Daniel Vangroenweghe, „Annales Aequatoria” 1986, 7.

Levi Primo, *Se questo è un uomo*, Einaudi, Torino 1976.

Lichtervelde Louis, comte de, *Léopold II of the Belgians*, Century Co., New York 1929.

Liebrechts Charles, *Congo: Suite à mes souvenirs d'Afrique*, Office de Publicité, Brussels 1920.

Lindqvist Sven, *Wytepić cale to bydło*, przeł. Milena Haykowska, W.A.B., Warszawa 2009.

Louis William Roger, *Great Britain and Germany's Lost Colonies 1914-1919*, Clarendon Press, Oxford 1967.

Louis William Roger, *The Philosophical Diplomatist: Sir Arthur Hardinge and King Leopold's Congo, 1906-1911*, „Bulletin des Séances de l'Académie Royale de Sciences d'Outre Mer” 1965, s. 1402-1430.

Louis William Roger, *Roger Casement and the Congo*, „Journal of African History” 1964, V, nr 1.

Louis William Roger, *Sir John Harris and 'Colonial Trusteeship'*, „Bulletin des Séances de l'Académie Royale de Sciences d'Outre Mer” 1968, 3.

Louis William Roger, *The Stokes Affair and the Origins of the Anti-Congo Campaign, 1895-1896*, „Revue Belge de Philologie et d'Histoire” 1965, 43.

Louis William Roger, *The Triumph of the Congo Reform Movement, 1905-1908*, w: Jeffrey Butler (ed.), *Boston University Papers on Africa: African History*, t. 2, Boston University Press, Boston 1966.

Louise of Belgium, Princess, *My Own Affairs*, Cassell and Co., London 1921.

Luwel Marcel, *Roger Casement a Henry Morton Stanley: Un rapport sur la situation au Congo en 1890*, „Africa-Tervuren” 1968, XIV, nr 4, s. 85-92.

MacColl René, *Roger Casement: A New Judgment*, W.W. Norton & Co., New York 1957.

Marchal Jules, *E.D. Morel contre Léopold II: L'Histoire du Congo 1900-1910*, t. 1-2, Éditions l'Harmattan, Paris 1996.

Marchal Jules, *L'État Libre du Congo: Paradis Perdu. L'Histoire du Congo 1876-1900*, t. 1-2, Éditions Paula Bellings, Borgloon 1996.

Martelli George, *Leopold to Lumumba: A History of the Belgian Congo 1877-1960*, Chapman & Hall, London 1962.

Martin Phyllis M., *The Violence of Empire*, w: David Birmingham, Phyllis M. Martin (eds), *History of Central Africa*, Longman, t. 2, New York 1983.

Martinez Lyons, *The Colonial Disease: A Social History of Sleeping Sickness in Northern Zaire, 1900-1940*, Cambridge University Press, Cambridge 1992.

McLynn Frank, *Hearts of Darkness: The European Exploration of Africa*, Carroll & Graf, New York 1992.

McLynn Frank, *Stanley: The Making of an African Explorer*, Constable, London



1989.

McLynn Frank, *Stanley: Sorcerer's Apprentice*, Constable, London 1991.

Meyer Lysle E., *Henry S. Sanford and the Congo: a Reassessment*, „African Historical Studies” 1971, IV, nr 1.

Miers Suzanne, *The Brussels Conference of 1889-1890: The Place of the Slave Trade in the Policies of Great Britain and Germany*, w: Prosser Gifford, William Roger Louis (eds), *France and Britain in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, Yale University Press, New Haven 1971.

Mill John Stuart, *O wolności*, przeł. Amelia Kurlandzka, Akme, Warszawa 1999.

Miller Joseph C., *Way of Death: Merchant Capitalism and the Angolan Slave Trade 1730-1830*, University of Wisconsin Press, Madison 1988.

Möller P., *Tre Ar I Kongo*, P.A. Norstedt & Söner, Stockholm 1899.

Money J.W.B., *Java; or, How to Manage a Colony. Showing a Practical Solution of the Questions Now Affecting British India*, Hurst and Blackett, London 1861.

Montmorency William Geoffrey Bouchard de, Viscount Mountmorres, *The Congo Independent State: A Report on a Voyage of Enquiry*, Williams and Norgate, London 1906.

Morel Edmund Dene, *At Pentonville: September, 1917-January, 1918*, w: Robert Smillie (ed.), *Thoughts on the War: The Peace and Prison*, London 1920.

Morel Edmund Dene, *E.D. Morel's History of the Congo Reform Movement*, eds William Roger Louis, Jean Stengers, Clarendon Press, Oxford 1968.

Morel Edmund Dene, *Great Britain and the Congo: The Pillage of the Congo Basin*, Smith, Elder Co., London 1909.

Morel Edmund Dene, *King Leopold's Rule in Africa*, William Heinemann, London 1904.

Morel Edmund Dene, *The Persecution of E.D. Morel: The Story of his Trial and Imprisonment*, Reformers' Bookstall, Glasgow 1918.

Morel Edmund Dene, *Red Rubber: The Story of Rubber Slave Trade Which Flourished on the Congo for Twenty Years, 1890-1910*, National Labour Press, Manchester 1919.

Morris James, *Heave's Command: An Imperial Progress*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1973.

Mutamba-Makombo, *L'histoire du Zaire par les Textes*, t. 2: 1885-1955, EDIDEPS, Kinshasa 1987.

Mwembu Dibwe Dia, *La Peine du Fouet au Congo Belge (1885-1960)*, „Les Cahiers Tunisie” 1986, nr 135-136, s. 127-153.

Nelson Samuel H., *Colonialism in the Congo Basin 1880-1940*, Ohio University Center for International Studies, Athens, OH 1994.

Northrup David, *Beyond the Bend in the River: African Labor in Eastern Zaire, 1865-1940*, Ohio University Center for International Studies, Athens, OH 1988.

Obdeijn Herman, *The New Africa Trading Company and the Struggle for Import Duties in the Congo Free State 1886-1894*, „African Economic History” 1983, nr 12, s. 193-212.

O'Connor Richard, *The Cactus Throne: The Tragedy of Maximilian and Carlotta*, G.P. Putnam's Sons, New York 1971.

Oliver Roland, Oliver Caroline (eds), *Africa in the Days of Exploration*, Prentice-Hall, Englewood Cliffs, NJ 1965.

Owen Roger, Sutcliffe Bob (eds), *Studies in the Theory of Imperialism*, Longman, London 1972.

Pakenham Thomas, *The Scramble for Africa: The White Man's Conquest of the Dark Continent from 1876 to 1912*, Random House, New York 1991.

Park Robert E., *A King in Business: Leopold II of Belgium, Autocrat of the Congo and International Broker*, w: Stanford M. Lyman (ed.), *Militarism, Imperialism, and Racial Accommodation: An Analysis and Interpretation of the Early Writings of Robert E. Park*, University of Arkansas Press, Fayetteville 1992.

Phipps William E., *The Sheppards and Lapsley: Pioneer Presbyterians in the Congo*, Presbyterian Church (USA), Louisville, KY 1991.

Picard Edmond, *En Congolie*, Paul Lacomblez, Brussels 1896.

Porter Bernard, *Critics of Empire: British Radical Attitudes to Colonialism in Africa 1895-1914*, St. Martin's Press, New York 1968.

Ranelagh John, *The Agency: The Rise and Decline of the CIA*, Simon & Schuster, New York 1986.

Ranieri Liane, *Léopold II Urbaniste*, Hayez, Brussels 1973.

Ranieri Liane, *Les Relations entre l'État Indépendant du Congo et l'Italie*, Academie Royale des Sciences d'Outre-Mer, Brussels 1959.

Read James Morgan, *Atrocity Propaganda 1914-1919*, Yale University Press, New Haven 1941.

Reid B.L., *The Lives of Roger Casement*, Yale University Press, New Haven 1976.

Reeves Thomas C., *Gentleman Boss: The Life of Chester Alan Arthur*, Alfred A.

Knopf, New York 1975.

Renoy Georges, *Nous, Léopold II*, Bibliothèque Européenne, Zaltbommel 1989.

Richardson Joanna, *My Dearest Uncle. Leopold II of the Belgians*, Jonathan Cape, London 1961.

Ridley Jasper, *Maximilian and Juárez*, Ticknor & Fields, New York 1992.

Roark James L., *Masters Without Slaves: Southern Planters in the Civil War and Reconstruction*, W.W. Norton & Co., New York 1977.

Roark James L., *American Expansionism vs. European Imperialism: Henry S. Sanford and the Congo Episode, 1883-1885*, „Mid-America: An Historical Review” 1978, LX, s. 21-33.

Roeykens P.A., *Les Débuts de l'oeuvre africaine de Léopold II (1875-1879)*, Académie Royale de Sciences Coloniales, Brussels 1955.

Roeykens P.A., *Léopold II et la Conférence géographique de Bruxelles (1876)*, Académie Royale de Sciences Coloniales, Brussels 1956.

Rom Léon, *La Nègre du Congo*, Imprimerie Louis Vogels, Brussels 1899.

Rothstein Andrew, *British Foreign Policy and Its Critics 1830-1950*, Lawrence and Wishart, London 1969.

Rubin William (ed.), „Primitivism” in 20th Century Art: *Affinity of the Tribal and the Modern*, vol. 1, Museum of Modern Art, New York 1984.

Russell Bertrand, *Autobiografia 1914-1944*, przeł. Alicja Podzielna, Czytelnik, Warszawa 1998.

Russell Bertrand, *Freedom versus Organization, 1814-1914*, Norton, New York 1962.

Samarin William J., *The Black Man's Burden: African Colonial Labor on the Congo and Ubangi Rivers, 1880-1900*, Westview Press, Boulder, CO 1989.

Sawyer Roger, *Casement: The Flawed Hero*, Routledge & Kegan Paul, London 1984.

Sereny Gitta, *W stronę ciemności: rozmowy z komendantem Treblinka*, przeł. Jan K. Milencki, Cyklady, Warszawa 2002.

Severin Timothy, *The African Adventure*, Hamish Hamilton, London 1973.

Schall Larryetta M., *William H. Sheppard: Fighter for African Rights*, w: Keith L. Schall (ed.), *Stony the Road: Chapters in the History of Hampton Institute*, University of Virginia Press, Charlottesville 1977.

Shaloff Stanley, *Reform in Leopold's Congo*, John Knox Press, Richmond, VA 1970.

Shannon R.T., *Gladstone and the Bulgarian Agitation 1876*, Thomas Nelson and Sons, London 1963.

Sheppard William H., *Presbyterian Pioneers in Congo*, Presbyterian Committee of Publication, Richmond, VA 1916.

Shepperson George, *Aspects of American Interest in the Berlin Conference*, w: Stig Förster, Wolfgang J. Mommsen, Ronald Robinson (eds), *Bismarck, Europe and Africa: The Berlin Africa Conference 1884-1885 and the Onset of Partition*, Oxford University Press, London 1988.

Sherry Norman, *Zachodni świat Conrada*, przeł. Maria Boduszyńska-Borowikowa, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1975.

Singh Frances B., *The Colonialistic Bias of Heart of Darkness*, „Conradiana” 1978,

Singleton-Gates Peter, Girodias Maurice, *The Black Diaries: An Account of Roger Casement's Life and Times with a Collection of his Diaries and Public Writings*, Grove Press, New York 1959.

Slade Ruth, *English-Speaking Missions in the Congo Independent State (1878-1908)*, Académie Royale des Sciences Coloniales, Brussels 1959.

Slade Ruth, *King Leopold's Congo: Aspects of the Development of Race Relations in the Congo Independent State*, Oxford University Press, London 1962.

Smith Gene, *Maximilian and Carlota: A Tale of Romance and Tragedy*, William Morrow & Company, New York 1973.

Smith Iain R., *The Emin Pasha Relief Expedition*, Clarendon Press, Oxford 1972.

Stanley Henry Morton, *The Autobiography of Sir Henry Morton Stanley*, ed. Dorothy Stanley, Houghton Mifflin Company, Boston 1909.

Stanley Henry Morton, *The Congo and the Founding of Its Free State: A Story of Work and Exploration*, t. 1-2, Harper & Brothers, New York 1885.

Stanley Henry Morton, *The Exploration Diaries of H.M. Stanley*, eds Richard Stanley, Alan Neame, Vanguard Press, New York 1961.

Stanley Henry Morton, *How I Found Livingstone: Travels, Adventures and Discoveries in Central Africa, Including Four Months' Residence with Dr. Livingstone*, Sampson Low, Marston, Low, and Searle, London 1872; wyd. pol.: *Jak odszukałem Livingstona: podróż*, przeł. H. Loreau, Gubrynowicz i Schmidt, Lwów 1877.

Stanley Henry Morton, *In Darkest Africa; or The Quest, Rescue and Retreat of Emin, Governoe of Equatoria*, t. 1-2, Charles Scribner's Sons, New York 1890; wyd. pol.: *W czeluściach Afryki. Poszukiwanie, ocalenie i odwrót Emina Baszy*, przeł. Benedykt Pobóg, Nakład Redakcyi „Wędrowca”, Warszawa 1891.

Stanley Henry Morton, *Through the Dark Continent; or The Sources of the Nile Around the Great Lakes of Equatorial Africa and Down the Livingstone River to the Atlantic Ocean*, t. 1-2, 1 wyd.: Harper, New York 1878; Dover Publications, New York 1988 [reprint wydania z 1899].

Stanley Henry Morton, *Unpublished Letters*, ed. by Albert Maurice, W. & R. Chambers, London 1955.

Starr Frederick, *The Truth About the Congo: The Chicago Tribune Articles*, Forbes & Co., Chicago 1907.

Stengers Jean, *Belgian Historiography since 1945*, w: P.C. Emmer, H.L. Wesseling (eds), *Reappraisals in Overseas History*, Leiden University Press, The Hague 1979.

Stengers Jean, *Combien le Congo a-t-il coûté à la Belgique?*, Académie Royale de Sciences Coloniales, Brussels 1957.

Stengers Jean, *The Congo Free State and the Belgian Congo before 1914*, w: L.H. Gann, Peter Duignan (eds), *Colonialism in Africa 1870-1960*, t. 1-5, Cambridge University Press, Cambridge 1969.

Stengers Jean, *Congo Mythes et Réalités: 100 Ans d'Histoire*, Éditions Duculot, Paris 1989.

Stengers Jean, *King Leopold and Anglo-French Rivalry, 1882-1884*, w: Prosser Gifford, William Roger Louis (eds), *France and Britain in Africa: Imperial Rivalry and Colonial Rule*, Yale University Press, New Haven 1971.

Stengers Jean, *King Leopold's Imperialism*, w: Roger Owen, Bob Sutcliffe (red.), *Studies in the Theory of Imperialism*, Longman, London 1972.

Stengers Jean, *La place de Leopold II dans l'histoire de la colonisation*, „La Nouvelle Clio”, October 1950, No. 9, s. 517-536.

Stengers Jean, Vansina Jan, *King Leopold's Congo, 1886-1908*, w: Roland Oliver, G.N. Sanderson (eds), *The Cambridge History of Africa, From 1870 to 1905*, Cambridge University Press, Cambridge 1985.

Stephanie of Belgium, H.R.H. Princess, *I Was to Be Empress*, Ivor Nicholson & Watson, London 1937.

Stern Fritz, *Gold and Iron: Bismarck, Bleichröder, and the Building of the German Empire*, Alfred A. Knopf, New York 1977.

Sternstein Jerome L., *King Leopold II, Senator Nelson W. Aldrich, and the Strange Beginnings of American Economic Penetration of the Congo*, „African Historical Studies II” 1969, nr 2, s. 189-204.

Stinglhamber Gustave, Dresse Paul, *Léopold II au Travail*, Éditions du Sablon, Brussels 1945.

Stockwell John, *In Search of Enemies*, W.W. Norton & Co., New York 1978.

Strang Herbert, *Samba: A Story of the Rubber Slaves of the Congo*, Hodder and Stoughton, London 1906.

Suret-Canale Jean, *French Colonialism in Tropical Africa 1900-1945*, Pica Press, New York 1971.

Swan Jon, *The Final Solution in South West Africa*, „MHQ: The Quarterly Journal of Military History” 1991, 3, nr 4, s. 36-55.

Swanwick H.M., *Builders of Peace: Being Ten Years' History of the Union of Democratic Control*, Swarthmore Press, London 1924.

Swartz Marvin, *The Union of Democratic Control in British Politics During the First World War*, Clarendon Press, Oxford 1971.



Taylor A.J.P., *The Trouble Makers: Dissent over Foreign Policy 1792-1939*, Hamish Hamilton, London 1957.

Thompson Basil, *Queer People*, Hodder and Stoughton, London 1922.

Thompson Robert S., *Léopold II et Henry Sanford: Papiers inédits concernant le Rôle joué par un Diplomate Américain dans le Création de l'E. I. du Congo*, „Congo Revue Générale de la Colonie Belge” 1930, II, s. 295-329.

Troup J. Rose, *With Stanley's Rear Column*, Chapman & Hall, London 1890.

Turnbull Colin M., *Leśni ludzie*, przeł. Helena Błaszczewicz, Muza, Warszawa 1996.

Twain Mark, *Monolog króla Leopolda*, przeł. Juliusz Stroynowski, Książka i Wiedza, Warszawa, 1964.

Twain Mark, *More Tramps Abroad*, Chatto & Windus, London 1897.

Usogwe G.N., *European Partition and Conquest of Africa: An Overview*, w: Adu A. Boahen (ed.), *General History of Africa*, Vol. II, UNESCO, Paris 1985.

Van der Smissen Édouard (ed.), *Léopold II et Beernaert: d'après leur correspondance inédite de 1884 à 1894*, Goemaere, Brussels 1920.

Vangroenweghe Daniel, *Du Sang sur les Lianes*, Didier Hater, Brussels 1986.

Vangroenweghe Daniel, *Le Red Rubber de l'Anvernoise, 1899-1900, Documents inédits*, „Annales Aequatoria” 1985, 6.

Vansina Jan, *The Children of Woot: A History of the Kuba Peoples*, University of Wisconsin Press, Madison 1978.

Vansina Jan, *Kingdoms of the Savanna*, University of Wisconsin Press, Madison 1966.

- Vansina Jan, *Paths in the Rainforest*, University of Wisconsin Press, Madison 1990.
- Van Zandijcke A., *Pages d'Histoire du Kasayi*, Collection Lavigerie, Namur 1953.
- Vaughan, baroness de, Faure Paul, *A Commoner Married a King*, Ives Washburn, New York 1937.
- Vellut Jean-Luc, *La Violence Armée dans l'État Indépendant du Congo*, „Cultures et Développement” 1934, 16, nr 3-4.
- Vinson T.C., *William McCutchan Morrison: Twenty Years in Central Africa*, Presbyterian Committee of Publication, Richmond, VA 1921.
- Ward Herbert, *A Voice from the Congo: Comprising Stories, Anecdotes, and Descriptive Notes*, William Heinemann, London 1910.
- Weeks John H., *Among the Primitive Bakongo*, Seeley, Service & Co., London 1914.
- Wesseling H. L., *Divide and Rule: The Partition of Africa, 1880-1914*, Praeger, Westport, CT 1996.
- West Richard, *Congo*, Rinehart and Winston, New York 1972.
- White James P., *The Sanford Exploring Expedition*, „Journal of African History” 1907, VIII, nr 2.
- Willequet Jacques, *Le Congo Belge et la Weltpolitik (1894-1914)*, Presses Universitaires de Bruxelles, Brussels 1962.
- Williams George Washington, *An Open Letter to His Serene Majesty Leopold II, King of the Belgians and Sovereign of the Independent State of Congo*, w: John Hope Franklin, *George Washington Williams: A Biography*, University of Chicago Press, Chicago 1985.
- Williams George Washington, *A Report on the Congo-State and Country to the*

*President of the Republic of the United States of America*, w: John Hope Franklin, *George Washington Williams: A Biography*, University of Chicago Press, Chicago 1985.

Williams George Washington, *A Report on the Proposed Congo Railway*, w: John Hope Franklin, *George Washington Williams: A Biography*, University of Chicago Press, Chicago 1985.

Williams Walter L., *William Henry Sheppard, Afro-American Missionary in the Congo, 1890-1910*, w: Sylvia M. Jacobs (red.), *Black Americans and the Missionary Movement in Africa*, Greenwood Press, Westport, CT 1982.

Winternitz Helen, *East along the Equator: A Journal up the Congo and into Zaire*, Traveler/Atlantic Monthly Press, New York 1987.

Wuliger Robert, *Mark Twain on King Leopold's Soliloquy*, „American Literature”, May 1953, s. 234-237.

Young Crawford, *The Northern Republics 1960-1980*, w: David Birmingham, Phyllis M. Martin (eds), *History of Central Africa*, t. 2, Longman, New York 1983.

## **Gazety i czasopisma**

„La Belgique Coloniale” (Bruksela)

„Le Congo Illustré” (Bruksela)

„The Congo News Letter” (Boston)

„Missionförbundet” (Sztokholm)

„Le Mouvement Géographique” (Bruksela)

„Official Organ of the Congo Reform Association”

„Regions Beyond” (Londyn)

„Southern Workman” (Hampton, Wirginia)

„West African Mail”, później „African Mail” (Liverpool)

## PODZIĘKOWANIA

MOJE PODZIĘKOWANIA kieruję do pracowników Królewskiego Towarzystwa Geograficznego (Royal Geographical Society) w Londynie; Anti-Slavery International; Musée Royal de l’Afrique Centrale w Tervuren; Musée Royal de l’Armée et d’Histoire Militaire w Brukseli; Svenska Missionförbundet w Sztokholmie; Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego Baptystów w Rochester, w stanie Nowy Jork; Muzeum Sanforda w Sanford, w stanie Floryda; Oddziału Historycznego Kościoła Prezbiteriańskiego w Stanach Zjednoczonych w Montreal, w stanie Karolina Północna. Wszyscy życzliwie odpowiedzieli na moje prośby o udostępnienie informacji, zdjęć i innych materiałów. Dziękuję także Enid Schildkrout z Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku; archiwistom z Hampton University w Hampton, w stanie Wirginia, którzy udostępnili mi spuściznę Williama Shepparda; Ebbie Segerberg za tłumaczenia ze szwedzkiego; Davidowi Raymondowi i Fritzowi Sternowi za cenne sugestie bibliograficzne.

Pisanie tej książki pomogło mi zrozumieć kluczową rolę, jaką odgrywają biblioteki w przechowywaniu tych historycznych materiałów, które pewni potężni ludzie próbują ukryć, a inni wolą ignorować. Jestem wdzięczny, że mogłem pożyczać książki, choć - jak się pewnego razu okazało - byłem pierwszą osobą, która od 1937 roku sięgnęła po jakiś tom. Dwukrotnie zdarzyło się, że wypożyczyłem dzieło sprzed kilkudziesięciu lat, które nawet nie miało rozciętych stron. Dziękuję także rozmaitym osobom z wielu instytucji, które ułatwiły mi prowadzenie badań: bibliotekom w Northwestern University, Uniwersytetu Yale i Bates College; Nowojorskiej Bibliotece Publicznej; bibliotece Union Theological Seminary w Nowym Jorku; bibliotekom Hoovera i Greena na Uniwersytecie Stanforda; a przede wszystkim bibliotekom Doe, Moffitta i Bancrofta Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, w których spędziłem najwięcej czasu. Obfitość w Berkeley materiałów sprzed wieku jest wymownym świadectwem tego, co istniało, zanim nierozgarnięci politycy i fanatycy ograniczania podatków zaczęli obcinać budżety państwowych i stanowych uniwersytetów.

Moja żona, Arlie, chociaż sama kończyła pisać wspaniałą książkę, żyła *Duchem króla Leopolda* tak samo jak ja. Jej wnikliwe uwagi były bezcenne, a kiedy rękopis był gotowy, Arlie знаła bohaterów tak dobrze, jak gdyby byli naszymi bliskimi przyjaciółmi. Miałem

szczęście, że wielu prawdziwych przyjaciół również go czytało i podzieliło się ze mną cennymi radami, opierając się na swoim doświadczeniu pisarskim, dziennikarskim, historycznym. Podziękowania niech zechcą przyjąć: Ayi Kweri Armah, Harriet Barlow, Mary Felstiner, Laurie Flynn, David Hochschild, Patricia Labalme, Paul Solman, Allen Wheelis, Francis Wilson, Blaikie, Monty i Robert F. Worth. Za krytyczną lekturę i wsparcie jestem również wdzięczny moim agentom - Denise Shannon i Georges'owi Borchardtowi, a także Dawn Seferian, mojej byłej wydawczyni w Houghton Mifflin.

Niemal każda strona tej książki bardzo wiele zawdzięcza konsultacjom redakcyjnym Toma Engelhardta. Jego nazwisko jest pilnie strzeżonym sekretem wśród tych amerykańskich pisarzy, którzy dbają o swoje rzemiosło. Niewielu ludzi mogłoby się z nim równać pod względem mistrzostwa w krytycznej lekturze tekstu, wygładzaniu zdań, akapitów, całej książki. Gdyby przyznawano Oscary za redakcję, Tom już dawno by go dostał.

Nie miałem doświadczenia w badaniu tego tragicznego okresu historii, toteż pomocą służyło mi kilka osób, które znają się na tym temacie znacznie lepiej ode mnie. Daniel Vangroenweghe przeczytał rękopis i podzielił się ze mną niektórymi dokumentami. Szczególny dług wdzięczności mam wobec dwóch największych badaczy tego okresu: antropologa Jana Vansiny i historyka Jules'a Marchala. Niezliczoną ilość razy prosiłem ich o pomoc, obaj też bardzo uważnie przeczytali książkę (Marchal aż dwa szkice) i dzięki nim udało mi się uniknąć rozlicznych błędów. Nie odpowiadają jednak za błędy, które wkradły się przez przypadek w trakcie kolejnych redakcji książki, ani za miejsca, w których moja interpretacja faktów różni się od interpretacji jednego lub drugiego z nich. Nie potrafię wyrazić im mojej wdzięczności tak, jak na to zasługują.

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI *Young Leopold*: Corbis-Bettmann. *Stanley*: Royal Geographical Society. *Sanford*: Sanford Museum, City of Sanford. *Telegram*: Sanford Museum, City of Sanford. *King Leopold*: Corbis-Bettmann. *Twa Mwe*: Royal Geographical Society. *Goodwill*: Royal Geographical Society. *Williams*: Archive Photos. *Ivory*: Sanford Museum, City of Sanford. *Conrad*: New York Times Co./Archive Photos. *Rom*: Collection of the Musée Royal de l'Armée, Brussels. *Rom with rifle*: *Les Vétérans Coloniaux 1876-1908*: *Revue Coloniale Illustrée*. *Van Kerckhoven*: Collection of the Musée Royal de l'Armée, Brussels. *Morel*: Anti-Slavery International. *Antwerp*: Hulton-Getty. *Casement*: Archive Photos. *Shanu*: *Au Congo*: *Comment les Noirs Travaillent* by Charles Lemaire. *Sheppard*: Presbyterian Church

(USA) Department of History, Montreat, N.C. *Nsala*: Anti-Slavery International. *Severed hands*: Anti-Slavery International. *Two youths*: Anti-Slavery International. *Chicotte*: *Regions Beyond*. *Women Hostages*: *Regions Beyond*. *Baringa village*: *Regions Beyond*. *Baringa razed*: *Regions Beyond*. *Meeting poster*: *Regions Beyond*. *Leopold and skulls*: Stock Montage, Inc. *The Appeal*: *Regions Beyond*. *Expert Opinion*: Stock Montage, Inc. *Rubber coils*: Stock Montage, Inc. *Guilt of delay*: Stock Montage, Inc.

# INDEKS

Skróty: afryk. - afrykański; austr. - austriacki; bryt. - brytyjski; franc. - francuski; hol. - holenderski; jez. - jezioro; m. - miasto, miejscowość; rz. - rzeka; właśc. - właściwie; zob. - zobacz; zw. - zwany; żeg. - żeglutowy.

## A

Aarche, hrabia d'

ABIR zob. Anglo-Belgian India Rubber and Exploration Company Abisynia

Ablay, zw. Nikoi

abolicjonizm, abolicjoniści

Aborygeni

Achebe Chinua

Achte Auguste

Aden

Aerts, dyrektor Elder Dempster

Afroamerykanie

Afryka passim

Afryka Południowa/Południowa Afryka; zob. też Republika Południowej Afryki  
Afryka Równikowa



Afryka Środkowa

Afryka Subsaharyjska

Afryka Zachodnia

Akaba, ofiara terroru

Albert I Koburg, król Belgów

Albert Sachsen-Coburg-Gotha, książę, mąż Wiktorii, królowej Wielkiej Brytanii  
Aldrich Nelson W.

Alfons I, król Konga

Amazonia, region

Amazonka, rz.

Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku Amnesty International

Andersson Karl Teodor

Anglia, Anglicy; zob. też Wielka Brytania Anglo-Amerykańska Ekspedycja  
Odkrywczą w Afryce Anglo-Belgian India Rubber and Exploration Company, ABIR

Angola

Antwerpia

apartheid

Argentyna

Armenia

Arthur Chester A.

Augusta Wiktoria, żona Wilhelma II, cesarzowa Niemiec Australia

Austro-Wegier, Cesarstwo

Azja Południowa

## **B**

Bahr el-Ghazal, kopalnie miedzi Baka Baka, posterunek

Bakongo, lud

Bakuba zob. Kuba, lud

Bangala, wioska

Baptista Pedro

Bradshaw Urban

Baring, sir Evelyn

Baringa, posterunek

Barker Frederick

Barney Albert

Barrie James

Bartholdi Frédéric Auguste

Barttelot Edmund

Baruch Bernard

Basako, wioska

Baudouin I Koburg, król Belgów

Baumaneh, wioska

Beernaert Auguste

Belgia passim

Belloc Hilaire

Bennett James Gordon, Jr

Berlińskie Towarzystwo Geograficzne Bikoro, lud; wioska

Birma

Bismarck Otto von

Bissell Richard

Biuro Prasowe

Biuro Prawa Porównawczego w Brukseli Bjørnson Bjørnstjerne

Bleichröder Gerson

Boa, lud

bogactwa naturalne i ich eksploatacja; zob. też kość słoniowa; kauczuk Bokanga, wioska

Bokangu, wódz, ofiara terroru

Bokatola, posterunek

Bolébo, wioska

Bolia, lud

Bolima, lud

Bolongo, wioska

Boma, stolica Wolnego Państwa Konga Bompopo, wioska

Bongandanga, świadek terroru

Bongata, wioska

Bongiyangwa, ofiara terroru

Bope Mehambe, król Kuba

Börrisson C.N.

Boulger Demetrius C.

Bourne Henry Richard Fox

Brasseur Clément

Braterskie Towarzystwo Dawnych Kadetów Ośrodka Studiów Wojskowych dla Europejczyków w Luluabourgu Brazylia; zob. też Indianie z Putumayo Brazza Pierre Savorgnan, hrabia de Brazzaville, m.

Bricusse Georges

Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Antyniewolnicze (British and Foreign Anti-Slavery Society) Budja, lud

Bułgarzy

Bumba, wioska

bunty i rebelie; zob. też Budja Burdett-Courts Angela, baronessa Burke Lindsay

Burowie; wojna burska

Burton Richard

Burundi

Bush George H.W.

Buta, wioska

Buxton, sir Thomas Fowell

**C**

Cadbury William A.

Cameron Verney Lovett

Canisius Edgar

Cão Diogo

Carlota, właśc. Maria Charlotta Koburg, siostra Leopolda II, żona Maksymiliana Habsburga, cesarzowa Meksyku Caroline zob. Vaughan Caroline, baronowa de Casement  
Roger

Caudron Charles

Cejlon

Cerckel Léon

Chaltin Louis

Chiny, Chińczycy

chłosta *chicotte*

Chokwe, lud

Churchill Winston

CIA (Central Intelligence Agency) Cleveland Grover

Compagnie du Kasai

Compagnie Internationale de Wagons-Lits Conan Doyle, sir Arthurr zob. Doyle, sir Arthur Conan Conrad Joseph, właśc. Konrad Korzeniowski Cookey S.J.S.

Coppola Francis Ford

Coquéry-Vidrovitch Catherine

Costermans Paul

Cromer Evelyn Baring, lord

Czechow Antoni

Czetwertyński Borys, książę

Czyngis-Chan

## **D**

Davis Richard Harding

Delcassé Théophile

Delcommune Alexandre

Detiège Albéric

Dhanis Francis, baron

Dickens Karol

Dilke, sir Charles

Disraeli Benjamin

Dokumentacja masakr i zbrodni; zob. też Casement Roger; Force Publique; Komisja Śledcza (Leopolda II); Morel Edmund Dene; Williams George Washington Douglass Frederick

Doyle, sir Arthur Conan

Du Bois W.E.B.

Du Chaillu Paul Belloni

Dulles Allen

Dunlop John; Dunlop Company

Durrieux Antoine-Emmanuel

## **E**

Earp Wyatt

Edison Thomas

Egipt, Egipcjanie

Eisenhower Dwight D.

Ekele, wódz

Ekspedycja na Odsiecz Eminowi Paszy Ekuku, wódz Boiéka

Ekumba, ofiara terroru

Ekunja, wódz, ofiara terroru

Elder Dempster, bryt. kompania żeg.

Elia Giovanni



Elizabethville, m.

Elst Léon van der, baron

Elżbieta Habsburg, arcyksiężniczka austr., wnuczka Leopolda II Emin Pasza, właśc.  
Schnitzer Eduard Engelbrektsson Engelbrekt

Engwettra, wioska

État Independant du Congo zob. Kongo, Wolne Państwo **F**

Faris Ellsworth

Federacja Obrony Belgijskich Interesów za Granica Ferry Jules

Fiévez Léon

Filipiny, Filipińczycy

Force Publique

Ford Ford Madox

France Anatole

Franciszek Józef I Habsburg, cesarz Austro-Węgier Francja, Francuzi

Franklin John Hope

Frelinghuysen Frederick

Freud Zygmunt

**G**

Galsworthy John

Ganges, rz.

Gantt Lucy zob. Sheppard Lucy Gantt Garfield James A.

Garnett Edward

Garrigues Ron

Garrison William Lloyd

Gbadolite, farma

Ghana

Gibbons James, kard.

Gili, ofiara terroru

Girault Charles

Gladstone William

Goffinet Auguste, baron

Goodyear Charles

Gough-Roberts Katie

Grant Kevin

Grant Ulysses S.

Gréban de Saint-Germain Charles Greindl Jules, baron

Grenfell George

Grey, sir Edward

Grez Raymond de

Grogan Ewart S.

Guggenheimów, korporacja

Gustaw Waza, król Szwecji

Gwynn Stephen

## **H**

Hall G. Stanley

Hannibal, wódz Kartaginy

Harris John

Harris Seeley Alice

Harrison Benjamin

Harrison James

Hayes Rutherford B.

Hearst William Randolph

Heath, sir Leopold

Heaton Dick

Hemptinne Jean-Felix de, abp

Herero, lud

Herr Michael

Higden Ranulf

Hiroszima

Hiszpania, Hiszpanie

Hitler Adolf

Hodister Arthur

Holandia

Holt John

Honduras

Hongkong

Horne James Vaughan

Hottiaux, urzędnik z ABIR

Hulstaert Gustaaf

humanitaryzm, humanitaryści; Sekta Clapham Huntington Collis P.

Hutu, lud

## **I**

Ibn Chaldun

Iboko, wioska

Ifomi, ofiara terroru

Ifuca, stolica Kuba

Ilanga z Waniengo, ofiara terroru Ilange Kunda z M'Bongo, ofiara terroru Indianie amerykańscy

Indianie z Putumayo; terror kauczukowy Indie

Indie Wschodnie, hol.

Indie Zachodnie, bryt.

Indochiny

Inkowie

Inongo, wioska

Irlandia, Irlandczycy

Irlandzcy Ochotnicy

Isangila, wioska

Ituri, las deszczowy

## **J**

Jacques Jules

Jan II, król Portugalii

Jan III, król Portugalii

Jan, Książdz zob. Książdz Jan, legendarny władca afryk.

Jerzy V, król Wielkiej Brytanii Johannesburg, m.

Jones, sir Alfred

Jordan David Starr

José Anastasio

Jung Carl Gustav

## **K**

Kabambare, wioska

Kamerun

Kandolo, przywódca buntu

Karol III, król Hiszpanii

Kasai, rz.

Kasi, wioska

Kasongo, wioska

Katanga; kopalnie i huty miedzi kauczuk, terror kauczukowy

Kennaway, sir John

Kennedy John F.

Kerckhoven Guillaume van

Kevenhuller Johann Carl, hrabia von Kimpuki, przywódca buntu

Kingsley Mary

Kinszasa, m.; zob. też Léopoldville Kioko Mukunzo, opowiadacz z ludu Pende

Kipling Joseph Rudyard

Klein Georges Antoine

Klementyna, córka Leopolda II

kolej wokół katarakt; zob. też Stanleya Wodospady; tragarze kolonizacja: „Rozdrapywanie Afryki”; zob. też Francja, Konferencja Berlińska, Niemcy, Portugalia, Wielka Brytania Kolumb Krzysztof

Komisja Śledcza (Leopolda II)

Komisja Śledcza, franc.

Komitet do Zbadania Górnego Konga Komitet Ochrony Interesów Afryki Konferencja

Antyniewolnicza (1889) Konferencja Berlińska (1885)

Konga, Demokratyczna Republika

Konga, Kotlina

Konga, Królestwo

Konga, Republika (Kongo Kinszasa) Kongo, najemnicy

Kongo, państwa zob. Konga, Demokratyczna Republika; Konga, Królestwo; Konga, Republika (Kongo Kinszasa); Kongo, Wolne Państwo/État Independant du Congo; Kongo Belgijskie; Zair Kongo Belgijskie

Kongo/Lualaba, rz.; zob. też kolej wokół katarakt; parowce; tragarze Kongo, Wolne Państwo/État Independant du Congo Korporacja Nieruchomości Mieszkalnych i Ogrodowych Côte d'Azur kość słoniowa

Kościelne Towarzystwo Misyjne

Kościół katolicki, katolicy; zob. też misjonarze, misje Kościoły protestanckie, protestanci; zob. też misjonarze, misje Kot aMbwecky II, król Kuba

Kowalsky Henry

Kremer Johann Paul

Królewskie Muzeum Afryki Środkowej w Tervuren (Bruksela) Królewskie Towarzystwo Geograficzne w Londynie Kryształowe, Góry

Książ Jan, legendarny władca afryk.

Kuba, Bakuba, lud



Kuba, królestwo

## **L**

La Manche, kanał

La Roncière-le-Noury, baron de

Lapsley Samuel

Leclercq Louis

Lefranc Stanislas

Legia Cudzoziemska, franc.

Lekarze bez granic

Lemaire Charles

Lemarinel Paul

Lenin Włodzimierz

Leopold I Koburg, król Belgów

Leopold II Koburg, król Belgów, passim Léopoldville, ob. Kinszasa

Lesseps Ferdinand, wicehrabia de Levi Primo

Levy-Lawson Edward

Li Hongzhang

Liberia

Liebrechts Charles C.

Liga Gaelicka

Ligongo, świadek terroru

Limba, szef wioski

Lincoln Abraham

Lindsay Vachel

Liverpool

Livingstone David

Lodge Henry Cabot

Loliva, lud

Londyński Komitet dla Zlikwidowania Kontynentalnego Handlu Angielskimi Dziewczętami (London Committee for the Suppression of the Continental Traffic in English Girls) Longfellow Henry Wadsworth

Lonkama Charles

Lontulu, wódz Bolima

Lothaire Hubert

Lualaba rz. zob. Kongo, rz.

Luapula, rz.

ludobójstwo; zob. też Dokumentacja masakr i zbrodni; Casement Roger; Force Publique; Komisja Śledcza (Leopolda II); Morel Edmund Dene; śmiertelność; Williams George Washington Ludwika Maria Orleańska, żona Leopolda I, królowa Belgów Luebo, wioska

Luiza, córka Leopolda II

Luluabourg, posterunek

Lumumba Patrice

## **M**

M'Putila z Bokote, świadek terroru MacDonald Ramsay

MacDonald, sir Hector

Macintosh Charles

Mackinnon William

Mafela, wódz

mahdyści, powstanie mahdystów w Sudanie Mai Ndombe, region

Makao 218

Maksymilian Habsburg, cesarz Meksyku Malinda, wioska

Malume Niama, wódz Sange, przywódca buntu Mampoko, wioska

Mandela Nelson

Mangundwa, wódz, ofiara terroru ManiKongo, władca Konga

Manyanga, posterunek

Marchal Jules

Marchal Paula

Maria Henrietta Habsburg, żona Leopolda II, królowa Belgów Marks Karol

Massard Charles, zw. Malu Malu

Matadi, port

Maugham Somerset

Mauro Fra

Maurowie

Maxim Hiram

Mbandaka, m.

Mbanza Kongo, m.

McLynn Frank

Meksyk

Michaux Oscar, zw. Kibalanga

Michel Louis

Międzynarodowe Stowarzyszenie Afrykańskie Międzynarodowe Stowarzyszenie  
Kongo Międzynarodowe Towarzystwo Tępienia Dzikich Obyczajów Mikołaj II Romanow,  
car Rosji

Mill John Stuart

Mille Pierre

Mingo z Mampoko, świadek terroru misjonarze, misje, towarzystwa misyjne; zob. też  
Kościelne Towarzystwo Misyjne; Kościoły protestanckie; Kościół anglikański; Kościół  
katolicki; Południowy Kościół Prezbiteriański; Towarzystwo Misyjne Baptystów w Brukseli  
Mobutu Joseph Désiré

Molle, zw. Ekotolongo

Momboyo, rz.

Moncheur Ludovic, baron

Money J.W.B.

Mongala, rz.

Monjan, ofiara terroru

Morel Edmund Dene

Morel, Mary Richardson

Morgan J. Pierpont

Morgan John Tyler

Morris James

Morrison Toni

Morrison William

Morrison, żona Williama

Moto, kopalnia złota

Mountmorres William, wicehrabia Mouzede, świadek terroru

Mozambik

Mukimbungu, misja

Mulamba, przywódca buntu

Murray Gilbert

Murzyńska Liga Solidarności (Negro Fellowship League) Muzeum Rewolucji w Moskwie

muzułmańscy fundamentaliści w Sudanie zob. mahdyści Myanga, wioska

**N**

Nagasaki

Namibia

Napoleon I Bonaparte, cesarz Francuzów Napoleon III Bonaparte, cesarz Francuzów  
Ndaywel è Nziem Isidore

Nehru Jawaharlal

Nerinx Alfred

Nève Paul

Ngombi, wódz

Niemcy

Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia Niemiecka Afryka Wschodnia

Niendo, wódz Waniendo

Nietzsche Friedrich

Nieuwe Afrikaansche Handels Vennootshap, kompania hol.

niewolnictwo, system niewolniczy; antyniewolnicze organizacje; antyniewolniczy ruch; zob. też Konferencja Antyniewolnicza niewolnikami, handel; arabski/afro-arabski; arabski; transatlantycki; zob. też niewolnictwo, Zanzibar Niger, rz.

Nigeria

Nikole, wioska

Nil. rz.

Nisco Giacomo, baron

Norwegia

Nowojorska Izba Handlu (New York Chamber of Commerce) Nyangwe, m.

Nzansu, wódz Kasi

## **O**

obozy koncentracyjne: niem.; sow.

Organizacja Narodów Zjednoczonych Ormianie

Ota Benga

## **P**

Paine Thomas

Parana, rz.

parowce; zob. też Kongo, rz.; tragarze Parry Betsy, matka Stanleya

Paryskie Towarzystwo Geograficzne Peck Raul

Pelzer Mathieu

Pende, lud

Pentonville, więzienie

Permentier René de, zw. Bajunu

Peruwiańska Amazońska Kampania Kauczukowa Phipps, sir Constantine

Picard Edmond

Picasso Pablo



Pigmeje, lud

Pike Alice

Pitt William, Młodszy

Pocock Edward

Pocock Frank

Południowy Kościół Prezbiteriański, prezbiterianie; zob. też misjonarze, misje Pond  
James B.

Portugalia, Portugalczycy

praca przymusowa

prawa człowieka

Premorel Raoul de

Putumayo, region Amazonii; zob. też Indianie z Putumayo **R**

Ravenstein Filip Henryk, hrabia de, syn Leopolda II Rawlison, sir Henry

Reagan Ronald

Reid, sir Hugh Gilzean

Reid Benjamin Lawrence

Republika Południowej Afryki/Afryka Południowa Rhodes Cecil

Richthofen Ferdinand von, baron Rockefeller John D., Jr

Rodezja Północna

Rohlfs Gerhard

Roi Simon

Rolland Romain

Rom Léon

Rommel Eugène

Roosevelt Theodore

Root Elihu

Rosja, Imperium Rosyjskie

Rothschildowie, bankierzy

Rousseau Jean Jacques

Rousseau Louis

Rowlands John, ojciec Stanleya

ruch/kampania na rzecz Reform w Kongu Rudolf Habsburg, arcyksiążę, następca tronu Austro-Węgier Rufidzi, rz.

Russell Bertrand

Rwanda

Ryan Thomas

## **S**

Said Pasza, kedyw Egiptu

Salisbury Robert Gascoyne-Cecil, lord San Francisco

Sanford Exploring Expedition

Sanford Gertude

Sanford Henry Shelton

Sanga, lud

Scott Pipa

Shanu Hezekiah Andrew

Shaw George Bernard

Sheldon Mary French

Sheppard Lucy Gantt

Sheppard Maxamalinge

Sheppard William

Shapit

Sherman William Tecumseh

Siemionow Piotr

Sierra Leone

Singapur

Sinkolobwe, kopalnia uranu

Sjöblom E.V.

Société Anversoise du Commerce au Congo Songye, lud

Speke John

Spelier Henri, zw. Likwama

Stalin Józef

Stangl Franz

Stanley Dorothy Tennant

Stanley Falls, placówka

Stanley Henry Morton, właśc. John Rowlands, zw. Bula Matadi Stanley Pool, jez.

Stanley Pool, placówka

Stanleya Wodospady

Stany Zjednoczone

Starr Frederick

Stefania, córka Leopolda II

Steffenson Lincoln

Steub Ludwig von

Stevens Arthur

Stinglhamber Gustave

Stokes Charles

Strauch Maximilien

Sudan

Sueski, Kanał; Kompania Kanału Sueskiego Suez

Svensson Knut

Syberia

Szwajcaria

Szwecja, Szwedzi

Ś

śmiertelność, przyczyny śmierci; zob. też ludobójstwo Światowa Szkoła Kolonializmu  
w Brukseli **T**

Taft William Howard

Tanganika

Tanganika, jez.

Tanzania

Taylor A.J.P.

telegraf

Tennant Dorothy zob. Stanley Dorothy Tennant Teodor II, cesarz Abisynii

Tervuren Ludwik Filip, księżę de, syn Leopolda II Thesiger Wilfred

Thiriar Jules

Tilkens Édouard

Tippu Tip, właśc. Hamed bin Muhammed el Murdżebi Towarzystwo Afrykańskie w Berlinie Towarzystwo Afrykańskie w Kairze Towarzystwo Antyniewolnicze (Anti-Slavery Society) Towarzystwo Antyniewolnicze i Opieki nad Tubylcami (Anti-Slavery and Aborigines Protection Society) Towarzystwo Misyjne Afryki Zachodniej; zob. też misjonarze, misje Towarzystwo Misyjne Baptystów w Brukseli; baptyści; zob. też misjonarze, misje Towarzystwo na rzecz Reform w Kongu Congo Reform Association, CRA) Towarzystwo Opieki nad Tubylcami (Aborigines Protection Society) tragarze; zob. też kolej wokół katarakt Transwalu, Republika

Trevelyan Charles

Trotha Lothar von

Tshamakele, jaskinia

Tshumpa, żołnierz

Tswambe, opowiadacz

Tswambe, świadek terroru

Tuckey James K.

Tumba, jez.

Turcja; rzezie Bułgarów; rzezie Ormian Twain Mark, właśc. Samuel Langhorne Clemens Twiss, sir Travers

## U

Ubangi, rz.

Uele, rz.

Unia Kontroli Demokratycznej (Union of Democartic Control, UDC) Unia Południowej Afryki; zob. też Afryka Południowa Upoto, m.

Urugwaj, rz.

## V

Van Calcken Raoul

Van Neuss Hubert

Vandervelde Émile

Vangroenweghe Daniel

Vansina Jan

Vaughan Caroline, baronowa de, zw. Caroline, kochanka Leopolda II Verdussen Jean

## W

Wack Henry Wellington

Walii, księżę, właśc. Albert Edward von Sachsen-Coburg-Gotha, później Edward VII,  
król Wielkiej Brytanii Waniendo, wioska

Washington Booker T.

Webb Beatrice

Webb Sidney

Wielka Brytania/Zjednoczone Królestwo, Brytyjczycy; Foreign Office; zob. też  
Anglia, Anglicy Wiktor Napoleon Bonaparte, księżę Wiktoria Hanowerska, królowa Wielkiej  
Brytanii Wiktorii, jez.

Wiktorii, wodospady

Wilberforce William

Wilde Oscar

Wilhelm II Hohenzollern, cesarz Niemiec Williams George Washington

Williams Roger

Wilson Woodrow

Witte Ludo de

Włochy



wojny światowe: pierwsza; druga Wystawa Światowa z Brukseli (1897) **Y**

Yaka, lud

Yamba-Yamba, przywódca buntu

Yambisi, wioska

**Z**

Zair

zakładnicy, system zakładników

Zanzibar

Zgromadzenie Niepokalanego Serca Maryi, zw. ojcami z Scheut Zjednoczone Królestwo zob. Wielka Brytania Związek Radziecki, ZSRR; łagry; zob. też Stalin Józef

## ILUSTRACJE



Leopold w młodości



Henry Morton Stanley w zaprojektowanej przez siebie „czapce Stanleya” do podróżowania w tropikach



Henry Shelton Sanford, bogaty arystokrata z Connecticut, który skutecznie lobbował za tym, żeby amerykański Kongres uznał roszczenia Leopolda do Konga

Form No. 1.

# THE WESTERN UNION TELEGRAPH COMPANY.

This Company TRANSMITS and DELIVERS messages only on conditions limiting its liability, which have been accepted to by the sender of the following message. Errors can be guarded against only by repeating a message back to the sending station for comparison, and the company will not hold itself liable for errors or delays in transmission or delivery of Unrepeated Messages, beyond the amount of tolls paid thereon, nor in any case where the claim is not presented in writing within sixty days after sending the message.  
This is an UNREPEATED MESSAGE, and is delivered by request of the sender, under the conditions named above.

THOS. T. FICKERT, General Manager.

NORVIN GREEN, President.

NUMBER	SENT BY	RECD BY	CHECK
59 my	Hg	S	21 Allesh 4 Ex
NEW ORLEANS		1255 -	Pm DEC. 8, 1888.

Received at: Bruussels Via Washington & Via Charleston

To: Gen Sanford Charles Hotel no

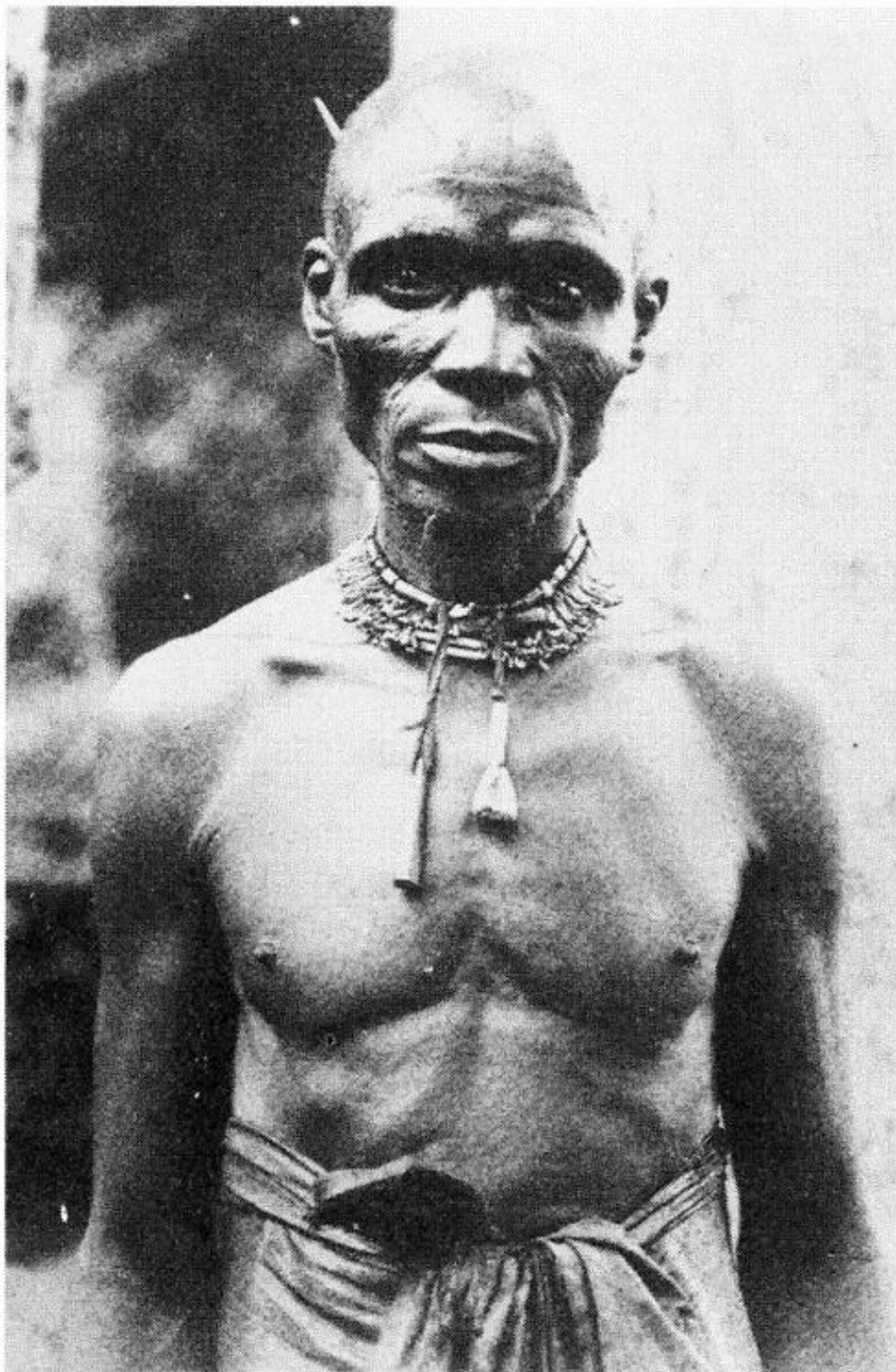
Enchanted with Emile Before beginning negotiations please wire what you know about dispositions of Senate will  
William

Zakodowany telegram z Brukseli z podziękowaniami dla Sanforda za jego lobbowanie w Waszyngtonie. „Emile” to prezydent Chester A. Arthur, który wychwalał Leopolda w przemówieniu przed Kongresem; „William” to główny doradca Leopolda w sprawach Konga, pułkownik Maximilien Strauch

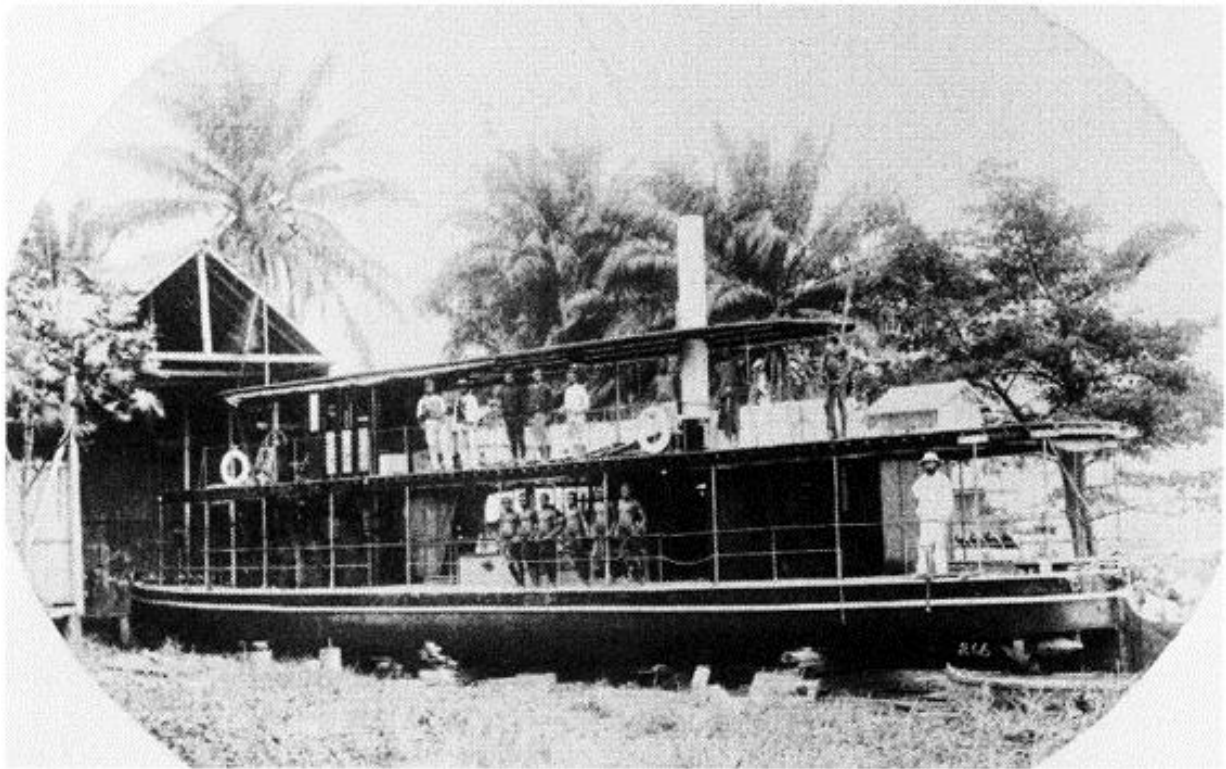




Król Leopold II



Twa Mwe, wódz Kwango. Miejscowi wodzowie często stawali przed wyborem - albo dostarczyć białym swoich ludzi jako niewolników, albo oddać się w niewolę lub zginąć

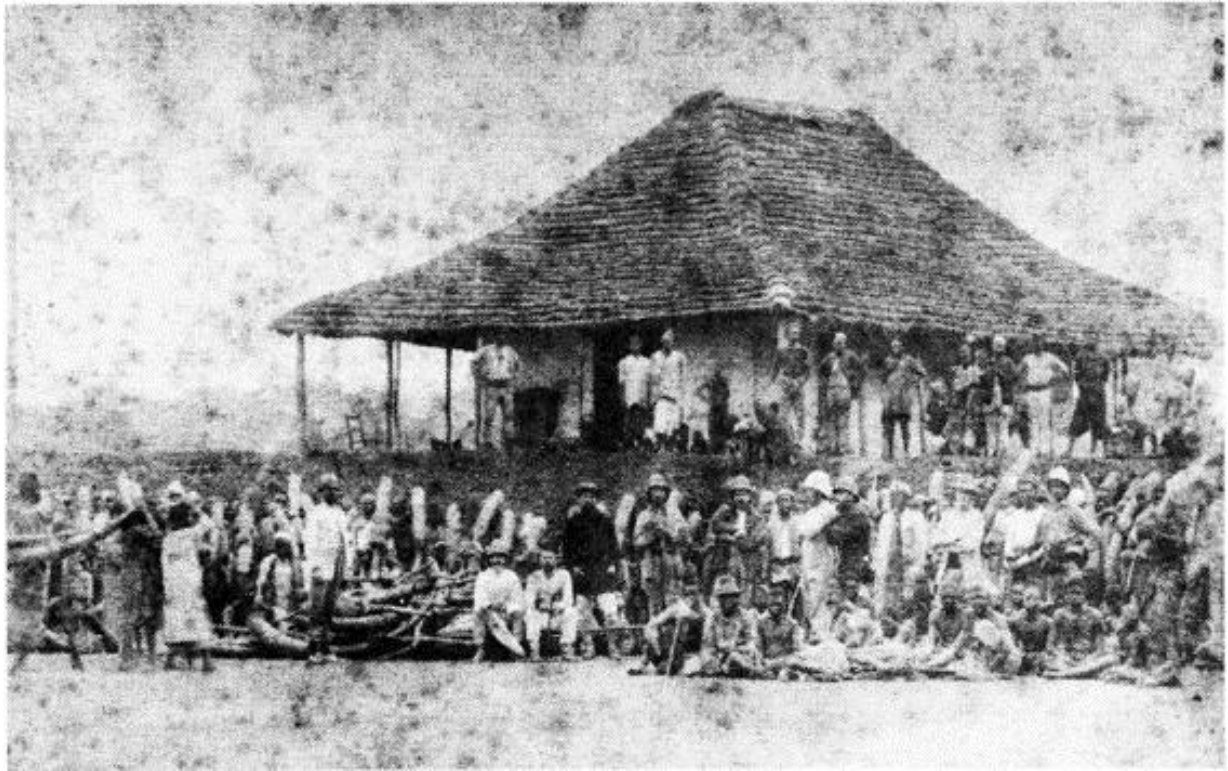


„Goodwill”, łódź parowa brytyjskich misjonarzy - typowy środek transportu po kongijskich rzekach w latach 90. XIX wieku





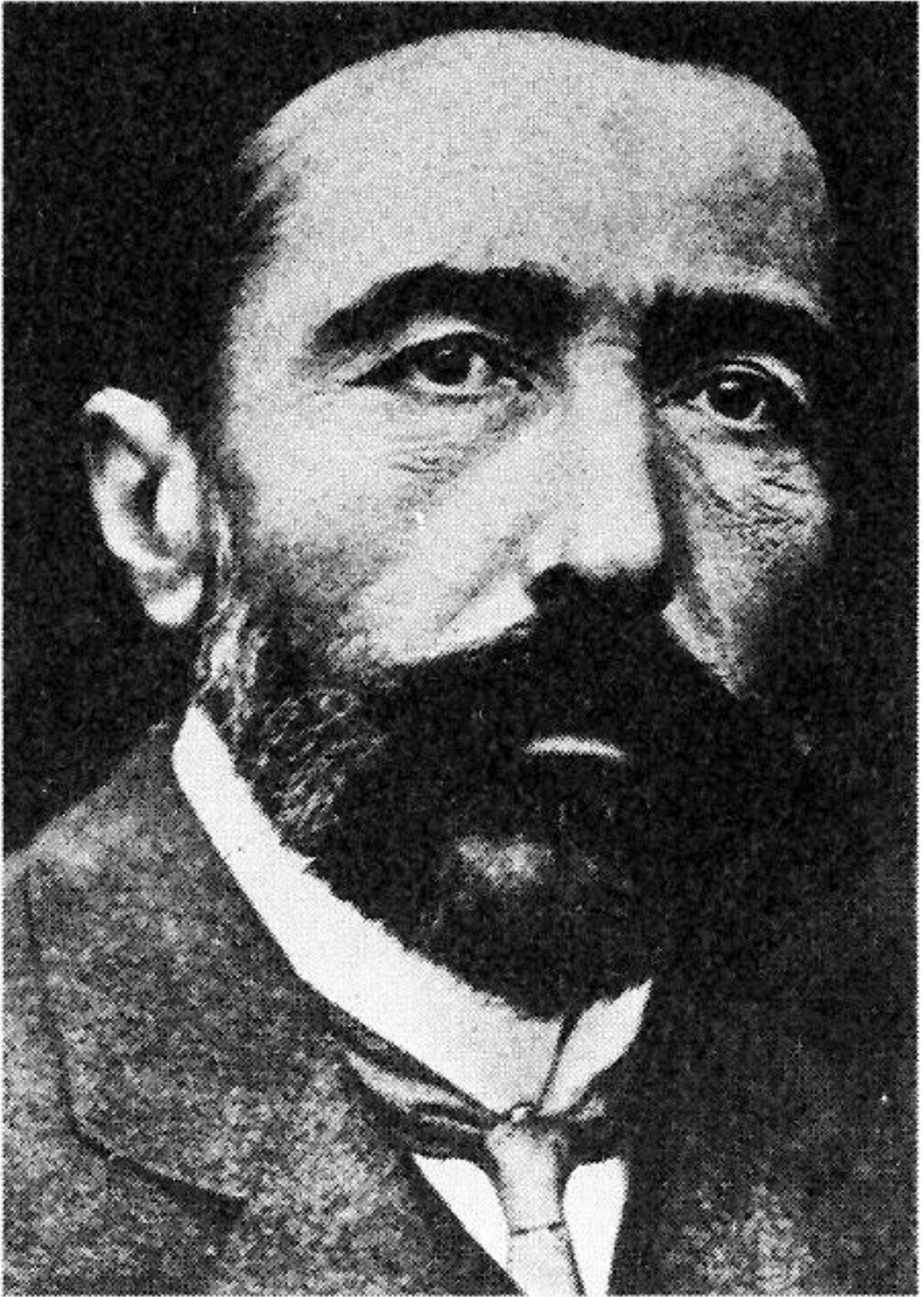
George Washington Williams, prawnik, dziennikarz, pastor i historyk, jako pierwszy ujawnił Leopoldowe rządy terroru w Kongu



Punkt zbiorów kauczuku w latach 90. XIX wieku. Kły słoni, kupione od Afrykanów za bezcen albo skonfiskowane, osiągały w Europie bardzo wysokie ceny i były surowcem, z którego wyrabiano wszystko - od sztucznych zębów po klawisze do fortepianów

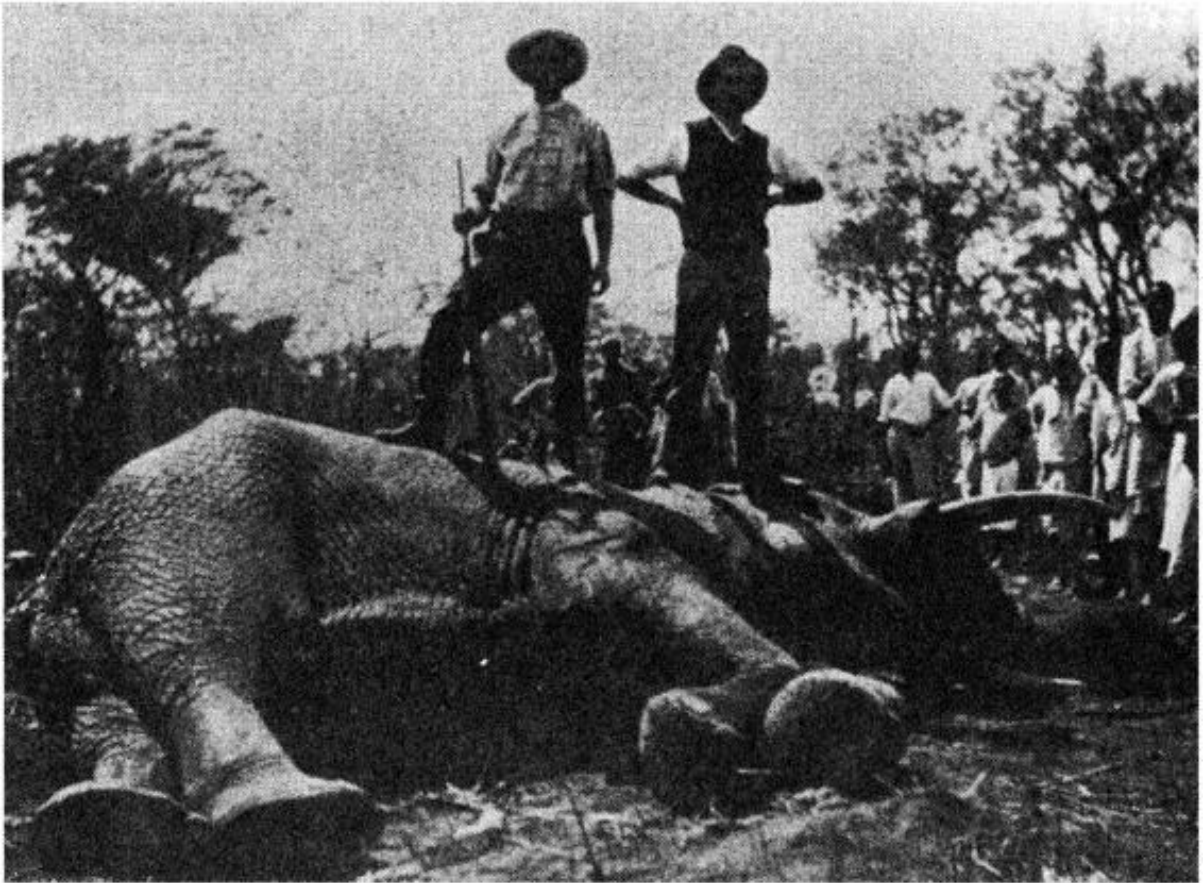


Jeden z pierwowzorów Kurtza z Jądra ciemności: Léon Rom. Ten zawadiacki oficer znany był z tego, że ozdabiał swój ogród uciętymi głowami Afrykanów. Napisał także książkę o afrykańskich zwyczajach, malował portrety i pejzaże, a także kolekcjonował motyle



Joseph Conrad

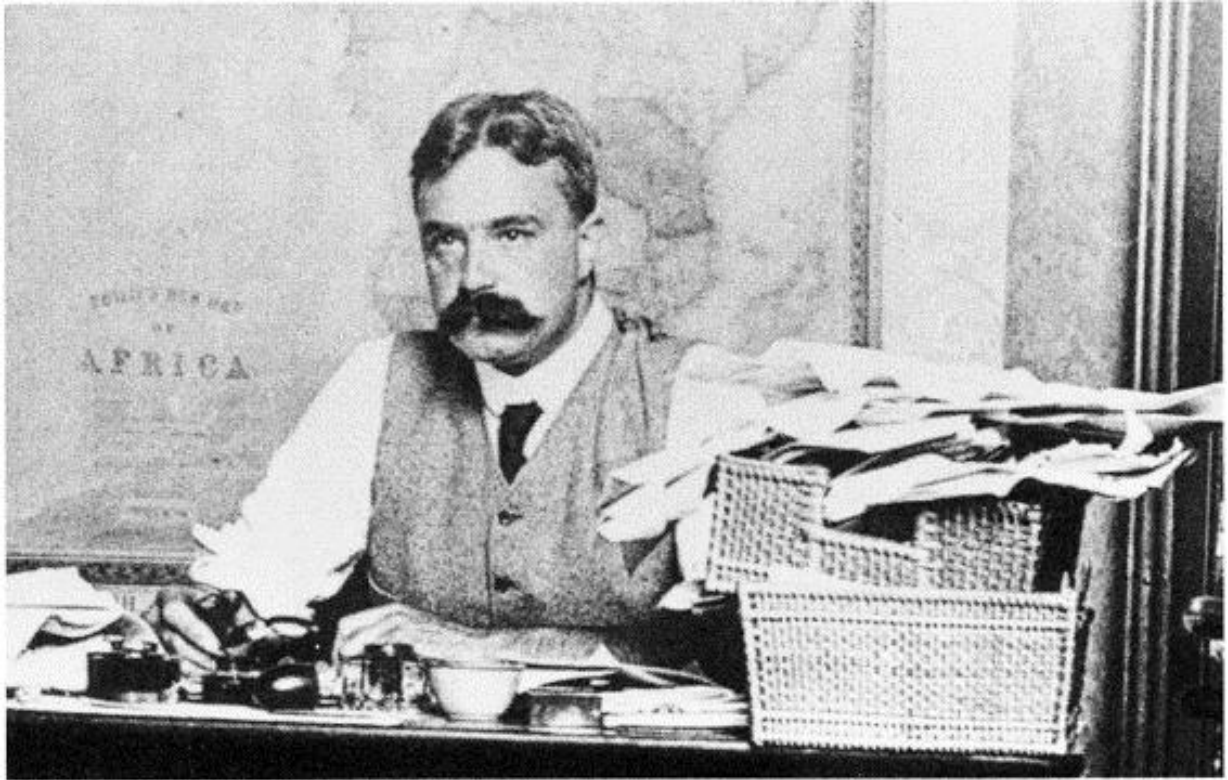




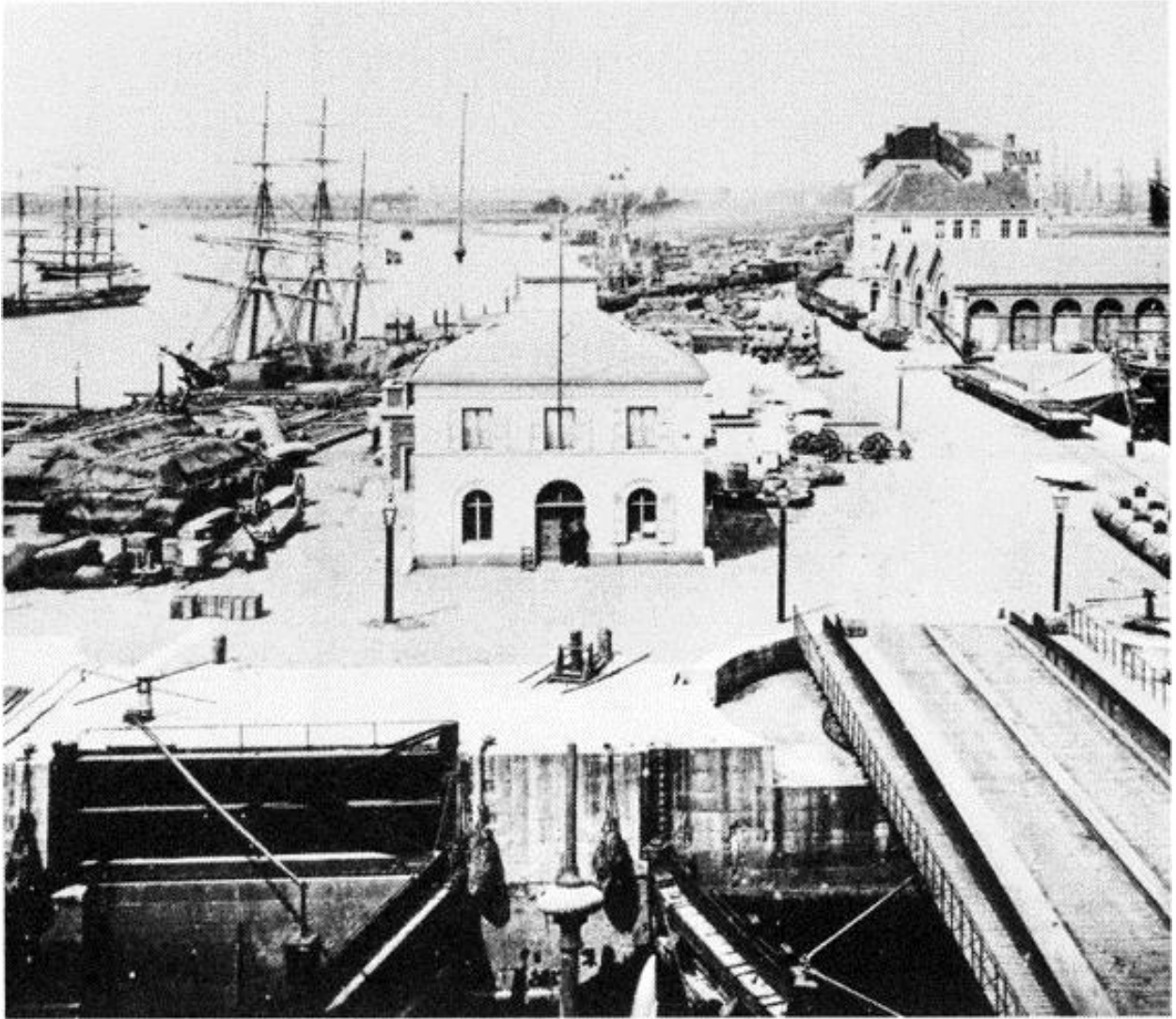
Rom (z karabinem) na polowaniu



Inny pierwowzór Kurtza: Guillaume van Kerckhoven, który z uśmiechem na ustach wyjaśnił towarzyszowi podróży, że płacił swoim czarnym żołnierzom „pięć miedzianych drutów (dwa i pół pensa) za każdą ludzką głowę przyniesioną w trakcie dowodzonych przez niego działań wojennych. Mówił, że to pobudza ich waleczność w obliczu wroga”



Edmund Dene Morel

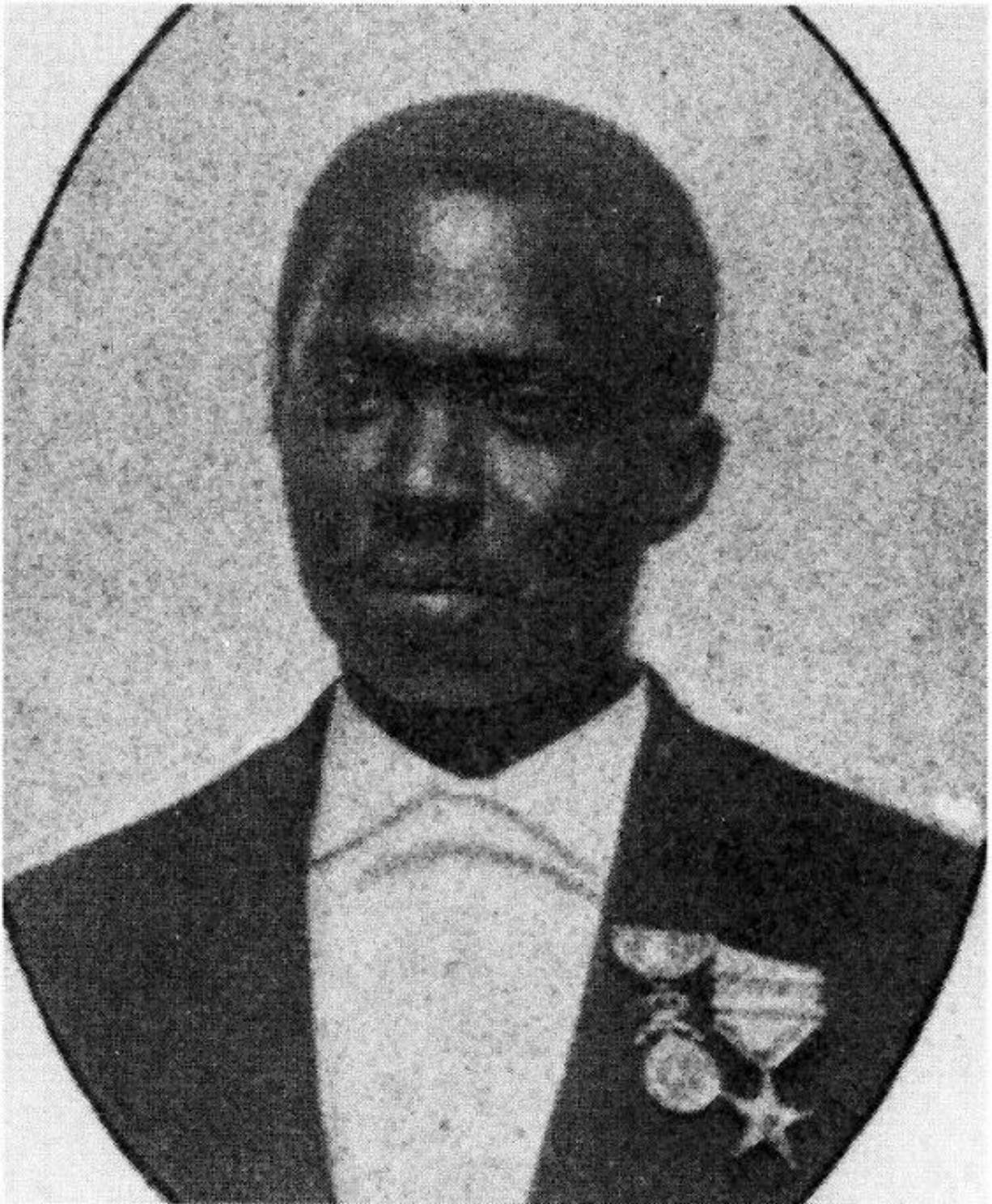


Doki w Antwerpii, gdzie młody E.D. Morel zaczął podejrzewać, że w Kongu istnieje niewolnictwo





Sir Roger Casement, brytyjski konsul, działacz, świadek okrucieństw popełnianych w Kongu,  
irlandzki patriota



Hezekiah Andrew Shanu. Choć otrzymał medale za wierną służbę władzom, potajemnie zwrócił się przeciwko nim i wysłał dokumenty za granicę. Kiedy wyszło to na jaw, został zaszczyty i popełnił samobójstwo

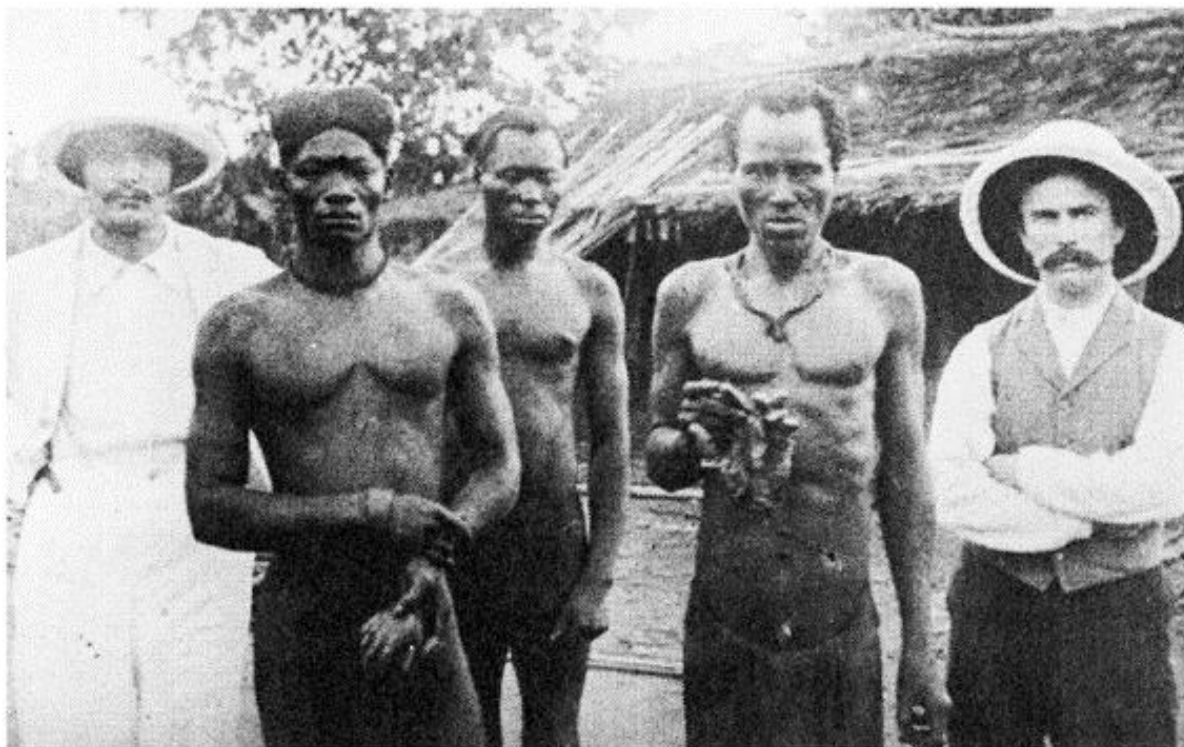


Wielebny William H. Sheppard, presbiteriański misjonarz, odkrywca, pierwszy cudzoziemiec, który dotarł do stolicy królestwa Kuba. Sheppard udokumentował brutalność Wolnego Państwa Kongo, co doprowadziło go na salę sądową



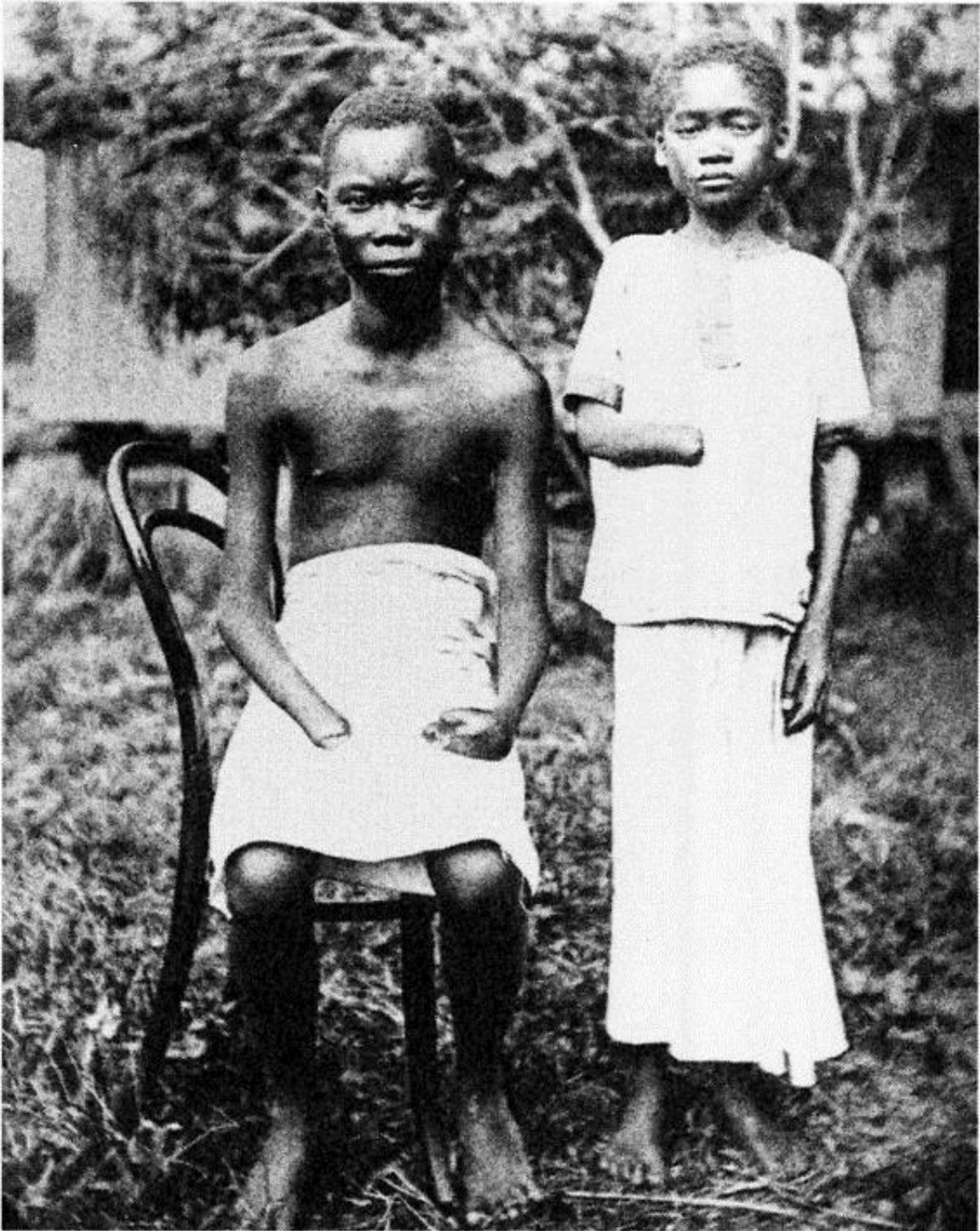
Nsala, z rejonu Wala, patrzy na odciętą dłoń i stopę swojej pięcioletniej córeczki, Boali,

ofiary milicji Anglo-Belgian India Rubber Company (ABIR)



Brytyjscy misjonarze w towarzystwie mężczyzn, trzymających dłonie ludzi o imionach Bolenge i Lingomo, którzy padli ofiarą milicji ABIR





Dwóch chłopców w rejonie równikowym. Po lewej Mola, który stracił dłoń, gdy strażnicy związali je zbyt mocno i wdała się gangrena. Po prawej stoi Yoka, którego dłoń odcięli żołnierze na dowód, że nie zmarnowali naboju



*Chicotte* w użyciu. Proszę zwrócić uwagę na stos kajdan w lewym dolnym rogu



Zakładniczki trzymane pod strażą, żeby ich mężowie zbierali w lesie dziki kauczuk



Wioska Baringa. Pośrodku, na stołeczku, siedzi wódcz. Po prawej widać jego dom. Przez otwory w dachach innych domów unosi się dym



Baringa po tym, jak została zrównana z ziemią pod plantację kauczuku. Kiedy zapasy



dzikiego kauczuku stopniały, władze nakazały zasadzić więcej drzew kauczukowych. Często było taniej wykorzystać istniejące już polany - jak ta, na której stała wioska - niż wycinać las

. . GREAT . .

# CONGO DEMONSTRATION.

---

THE  
Protest of Christian England  
AT THE . .  
**ROYAL ALBERT HALL**  
.. ON ..  
*Friday, November 19, 1909,*  
AT 7.30 P.M.

---

Chairman: HIS GRACE  
**THE ARCHBISHOP OF CANTERBURY.**

---

SPEAKERS:  
The Right Rev. **THE LORD BISHOP OF LONDON,**  
**Rev. Dr. JOHN CLIFFORD, M.A.**  
The Right Rev. **THE LORD BISHOP OF OXFORD,**  
**Rev. J. SCOTT LIDGETT, M.A., D.D.**  
**Rev. C. SILVESTER HORNE, M.A.**

Supported by  
*The Lord Bishops of Rochester, Birmingham, Manchester, Carlisle,  
Ely, Newcastle, St. Asaph, Truro, Wakefield, Exeter, Gloucester,  
Lichfield, Liverpool, Durham;*

**Dr. CAMPBELL MORGAN, Rev. J. E. RATTENBURY, Dr. MONRO GIBSON,**  
**Rev. D. J. HILEY, Rev. SILAS K. HOCKING, Rev. J. H. SHAKESPEARE,**  
**Rev. J. D. JONES, Rev. GEO. HOOPER, Rev. THOMAS YATES,**  
**Prof. A. E. GARVIE, Dr. HORTON, Rev. F. B. MEYER.**

---

**RESERVED SEATS, Price 5/. 2/6 and 1/.**

<b>FREE RESERVED SEAT TICKETS</b>	<small>may be obtained (by enclosing 1d. Stamp) from TRAVERS BUXTON, Esq. Hon. Treasurer, 51, Denison House, Vauxhall Bridge Road, S.W., who will gladly welcome offers of financial assistance.</small>
-----------------------------------	--

THE ALBERT HALL is Ten minutes' walk from either of the following Stations  
HIGH STREET KENSINGTON, SOUTH KENSINGTON,  
(both on the District Railway.)

**BUSES from all parts of London pass the Door.**

Wielka demonstracja w sprawie Konga. Protest Chrześcijańskiej Anglii w Royal Albert Hall w piątek, 19 listopada 1909 roku o 19.30, pod przewodnictwem Jego Łaskawości arcybiskupa Canterbury. Mówcy: Jego Ekscelencja biskup Londynu, Wielebny dr John Clifford; Jego Ekscelencja biskup Oksfordu, Wielebny J. Scott Lidgett; Wielebny C. Silvester Horne. A także Ich Ekscelencje: biskupi Rochester, Birmingham, Manchesteru, Carlisle, Ely, Newcastle, St. Asaph, Truro, Wakefield, Exeter, Gloucester, Lichfield, Liverpoolu, Durham; (...) Miejsca rezerwowane, cena: korona, pół korony, szyling, mogą być nabyte u skarbnika TRAVERSA BURTONA, Esq., 51 Denison House, Vauxhall Bridge Road, S.W., który z chęcią przyjmie każdą pomoc finansową. Albert Hall znajduje się dziesięć minut piechotą od

następujących stacji: High Street Kensington, South Kensington (obie na linii District Railway). Dojeżdżają autobusy ze wszystkich części Londynu



Ta karykatura pojawiła się w Niemczech, a obok niej kiepski wierszyk o obsesji Leopolda na temat odcinania zarówno głów, jak i kuponów od swoich inwestycji



### **THE APPEAL.**

**"IN THE NAME OF ALMIGHTY GOD,—All the Powers exercising sovereign rights, or having influence in the said territories undertake to watch over the preservation of the native races, and the amelioration of the moral and material conditions of their existence."**

*Article VI. The Act of Berlin. 1885.*

Reformatorzy często wskazywali na porozumienie z Berlina z 1885 roku jako na jedną z niedotrzymanych umów dotyczących traktowania Afrykanów

APEL.

„W imię Boga Wszchemogącego. Wszystkie państwa dysponujące suwerenną władzą albo mające wpływy na wymienionych ziemiach podejmują się dbać o przetrwanie tubylczych ras oraz polepszenie moralnych i materialnych warunków ich egzystencji”. Artykuł VI, Akt Generalny Konferencji Berlińskiej, 1885



„Punch” z 1905 roku: jedna z wielu karykatur porównujących Leopolda z tureckim sułtanem, którego potępiano za masakry Ormian

#### OPINIA EKSPERTA.

Leopold: Idiotyczny jest cały ten hałas, który robią z powodu tych tak zwanych okrucieństw w moich kongijskich posiadłościach. Abdul: To tylko gadanie, mój drogi kolego. Nic nie



zrobią. Mnie nigdy nic nie zrobili



„Punch” z 1906.

W UŚCISKU KAUCZUKU.

Scena z „Wolnego” Państwa Kongo



„Punch” z 1909 roku.

WINA OPÓŹNIENIA.

Kongijski nadzorca niewolników: Nic mi nie będzie. Wciąż tylko gadają